

MICHAŁ
BUŁHAKOW

Mistrz
i
Małgorzata



MICHAŁ BUŁHAKOW

Mistrz i Małgorzata

(Tłumaczyli: Irena Lewandowska i Witold Dąbrowski)

...Więc kimże w końcu jesteś?

– Jam częścią tej siły, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie czyni dobro.

J. W. *Goethe* “Faust”

CZEŚĆ PIERWSZA

1. Nigdy nie rozmawiaj z nieznajomymi

Kiedy zachodziło właśnie gorące wiosenne słońce, na Patriarsznych Prudach zjawiono się dwu obywateli. Pierwszy z nich, mniej więcej czterdziestoletni, ubrany w szary letni garnitur, był niziutki, ciemnowłosy, zażywny, łysawy, swój zupełnie przyzwoity kapelusz zgniótł wpół i niósł w rękę; jego starannie wygoloną twarz zdobiły nadnaturalnie duże okulary w czarnej rogowej oprawie. Drugi, rudawy, barczysty, kudłaty młody człowiek w zsuniętej na ciemną kraciastej cyklistówce i kraciastej koszuli, siedł w wymiętych białych spodniach i czarnych płóciennych pantoflach.

Ten pierwszy był to Michał Aleksandrowicz Berlioz we własnej osobie, redaktor miesięcznika literackiego i prezes zarządu jednego z największych stowarzyszeń literackich Moskwy, w skrócie Massolitu, towarzyszył mu zaś poeta Iwan Nikołajewicz Ponyriow, drukujący się pod pseudonimem Bezdorny.

Kiedy pisarze znaleźli się w cieniu lip, które zaczynały się już zazieleniać, natychmiast ostro ruszyli ku jaskrawo pomalowanej budce z napisem “Piwo i napoje chłodzące”.

Tu musimy odnotować pierwszą osobliwość tego straszliwego majowego wieczoru. Nie tylko nikogo nie było koło budki, ale i w równoległej do Małej Bronnej alei nie widać było żywego ducha. Choć wydawało się, że nie ma już czym oddychać, choć słońce rozprażywszy Moskwę zapadało w gorącym suchym pyle gdzieś za Sadowoje Kolco – nikt nie przyszedł pod lipy, nikogo nie było na ławkach, aleja była pusta.

- Butelkę mineralnej – poprosił Berlioz.
- Mineralnej nie ma – odpowiedziała kobieta z budki i z niejasnych powodów obraziła się.
- A piwo jest? – ochryplym głosem zasięgnął informacji Bezdorny.
- Piwo przywiozą wieczorem – odpowiedziała kobieta.
- A co jest? – zapytał Berlioz.
- Napój morelowy, ale ciepły – powiedziała.
- Może być. Niech będzie!

Morelowy napój wyprodukował obfitą żółtą pianę i w powietrzu zapachniało wodą fryzjerską. Literaci wypili, natychmiast dostali czkawki, zapłacili i zasiedli na ławce zwróceniem twarzami do stawu, a plecami do Bronnej.

Wtedy wydarzyła się następna osobliwość, tym razem dotycząca tylko Berlioza. Prezes nagle przestał czkać, serce mu zadygotało i na moment gdzieś się zapadło, potem wróciło na miejsce, ale tkwiła w nim tępą igłą. Zarazem ogarnął Berlioza strach nieuzasadniony, ale tak okropny, że zapragnął uciec z Patriarszych Prudów, gdzie go oczy poniosą.

Żałośnie rozejrzał się dookoła, nie mógł zrozumieć, co go tak przerażyło. Poblądł, otarł czoło chusteczką i pomyślał: “Co się ze mną dzieje? Nigdy jeszcze to mi się nie zdarzyło. Serce nawala. Jestem przemęczony... chyba czas najwyższy, żeby rzucić wszystko w diabły i pojechać do Kisłowodzka...”

I wtedy skwarne powietrze zgęstniało przed Berliozem i wysnuł się z owego powietrza przezroczysty, nad wyraz przedziwny obywatel. Malutka główka, dżokejka, kusa kraciasta marynareczka utkana z powietrza... Miał ze dwa metry wzrostu, ale w ramionach wąski był i chudy niepomiarowo, a fizys, proszę zauważyć, miał szydercza.

Życie Berlioza tak się układało, że nie był przyzwyczajony do nadprzyrodzonych zjawisk. Poblądł więc jeszcze bardziej, wytrzeszczył oczy i pomyślał w popłochu: “Nic takiego istnieć nie może...”

Ale coś takiego, niestety, istniało. Wydłużony obywatel, przez którego wszystko było widać, wisiał w powietrzu przed Berliozem chwiejąc się w lewo i w prawo.

Berlioza opanowało takie przerażenie, że aż zamknął oczy. A kiedy je otworzył, zobaczył, że już po wszystkim, widziadło rozpląnęło się, kraciasty zniknął, a jednocześnie tępą igłą wyskoczyła z serca.

– Uff, do diabła! – zakrzyknął redaktor. – Wiesz, Iwan, od tego gorąca przed chwilą o mało co nie dostałem udaru! Miałem nawet coś w rodzaju halucynacji. – Spróbował się roześmiać, ale w jego oczach jeszcze ciągle migotało przerażenie, a ręce mu się trzęsły. Jednak uspokoił się z wolna, otarł twarz chusteczką, dość dziarsko oświadczył: “No więc tak...” i poprowadził dalej wykład przerwany piciem napoju morelowego.

Wykład ów, jak się potem dowiedziano, dotyczył Jezusa Chrystusa. Chodziło o to, że do kolejnego numeru pisma redaktor zamówił antyreligijny poemat. Iwan Bezdomny poemat ów stworzył, i to nadzwyczaj szybko, ale, niestety, utwór jego ani trochę nie usatysfakcjonował

redaktora. Główną osobą poematu, to znaczy Jezusa, Bezdomny odmalował wprawdzie w nad wyraz czarnej tonacji, niemniej jednak cały poemat należało zdaniem redaktora napisać od nowa. I właśnie teraz redaktor wygłaszał wobec poety coś w rodzaju odczytu o Jezusie w tym jedynie celu, aby unaocznić twórcy jego podstawowy błąd.

Trudno powiedzieć, co właściwie zgubiło Iwana – jego niezwykle plastyczny talent czy też całkowita nieznajomość zagadnienia, ale cóż tu ukrywać, Jezus wyszedł mu żywy, Jezus ongiś istniejący rzeczywiście, choć, co prawda, obdarzony wszelakimi najgorszymi cechami charakteru.

Berlioz zaś chciał dowieść poecie, że istota rzeczy zasadza się nie na tym, jaki był Jezus, dobry czy zły, ale na tym, że Jezus jako taki w ogóle nigdy nie istniał i wszystkie opowieści o nim to po prostu zwyczajne mitologiczne wymysły, czyli bujda na resorach.

Dodajmy, że redaktor był człowiekiem czytany i z wielką znajomością rzeczy powoływał się w swym przemówieniu na starożytnych historyków, na przykład na sławnego Filona z Aleksandrii i na niezmiernie uczonego Józefa Flawiusza, którzy nigdzie ani słowem nie wspomnieli o istnieniu Jezusa. Wykazując solidną erudycję, Michał Aleksandrowicz oznajmił poecie między innymi również i to, że owo miejsce w księdze piętnastej, w rozdziale czterdziestym czwartym słynnych “Roczników” Tacyta, gdzie wspomina się o straceniu Chrystusa, jest po prostu późniejszą wstawką apokryfistów.

Poeta, dla którego wszystko, o czym go informował redaktor, było nowością, wlepił w Michała Aleksandrowicza swe roztropne zielone oczy i słuchał uważnie, z rzadka tylko czkając i szeptem przeklinając morelowy napój.

– Nie ma takiej wschodniej religii – mówił Berlioz – w której dziewica nie zrodziłaby boga. Chrześcijanie nie wymyślili niczego nowego, stwarzając swojego Jezusa, który w rzeczywistości nigdy nie istniał. I właśnie na to należy położyć nacisk.

Wysoki tenor Berlioza rozlegał się w pustej alei i im dalej Michał Aleksandrowicz zapuszczał się w gąszcz, w który bez ryzyka skręcenia karku zapuścić się może tylko człowiek niezmiernie wykształcony – tym więcej ciekawych i pożytecznych wiadomości zdobywał poeta. Dowiedział się na przykład o łaskawym bogu egipskim Ozyrysie, synu Nieba i Ziemi, o sumeryjskim bogu Tammuzie, o Marduku i nawet o mniej znanym groźnym bogu Huitzilopochtli, którego niegdyś wielce poważali meksykańscy Aztekowie. I akurat wtedy, kiedy Berlioz opowiadał poecie o tym, jak Aztekowie lepili z ciasta figurki Huitzilopochtli, w alei ukazał się pierwszy człowiek.

Potem, kiedy prawdę mówiąc było już za późno, najróżniejsze instytucje opracowały rysopisy owego człowieka. Porównanie tych rysopisów musi zadziwić każdego. I tak, na przykład, pierwszy z nich stwierdza, że człowiek ów był niskiego wzrostu, miał złote zęby i utykał na prawą nogę. Drugi zaś mówi, że człowiek ten był wręcz olbrzymem, koronki na jego zębach były z platyny, a utykał na lewą nogę. Trzeci oznajmia lakonicznie, że wymieniony osobnik nie miał żadnych znaków szczególnych. Musimy, niestety, przyznać, że wszystkie te rysopisy są do niczego.

Przed wszystkim opisywany nie utykał na żadną nogę, nie był ani mały, ani olbrzymi, tylko po prostu wysoki. Co zaś dotyczy zębów, to z lewej strony były koronki platynowe, a z prawej złote. Miał na sobie drogi szary garnitur i dobrane pod kolor zagraniczne pantofle. Szary beret dziarsko załamał nad uchem, pod pachą niósł laskę z czarną rączką w kształcie głowy pudła. Lat na oko miał ponad czterdzieści. Usta jak gdyby krzywe. Gładko wygolony. Brunet. Prawe oko czarne, lewe nie wiedzieć czemu zielone. Brwi czarne, ale jedna umieszczona wyżej niż druga. Słowem – cudzoziemiec.

Przechodząc obok ławki, na której znajdowali się redaktor i poeta, cudzoziemiec spojrział na nich, przystanął i nagle usiadł na sąsiedniej ławce, o dwa kroki od naszych przyjaciół.

“Niemiec...” – pomyślał Berlioz. “Anglik...” – pomyślał Bezdomny. – “Taki upał, a ten siedzi w rękawiczkach!”

A cudzoziemiec objął spojrzeniem wysokie domy, z czterech stron okalające staw, przy czym stało się oczywiste, że miejsce to widzi po raz pierwszy i że wzbudziło ono jego zainteresowanie. Zatrzymał wzrok na górnych piętrach, w których oślepiająco połyskiwało w szybach okien potrzaskane i dla Berlioza na zawsze zachodzące słońce, potem przeniósł spojrzenie na dół, gdzie ciemniał w szybach nadszycany wieczór, do czegoś tam uśmiechnął się z politowaniem, zmrużył oczy, wsparł brodę na dłoniach, a dłonie na rączce laski.

– A ty – mówił Berlioz do poety – bardzo dobrze i odpowiednio satyrycznie pokazałeś, na przykład, narodziny Jezusa, syna bożego, ale dowcip polega na tym, że jeszcze przed Jezusem narodziło się całe mnóstwo synów bożych, jak powiedzmy fenicki Adonis, frygijski Attis, perski Mitra. A tymczasem, krótko mówiąc, żaden z nich się w ogóle nie narodził, żaden z nich nie istniał, nie istniał także i Jezus. Musisz koniecznie zamiast narodzin Jezusa czy też, powiedzmy, hołdu trzech króli, opisać nonsensowne wieści rozpowszechniane o tym hołdzie. Bo z twego poematu wynika, że Jezus narodził się naprawdę!

W tym momencie Bezdorny spróbował opanować nękającą go czkawkę i wstrzymał oddech, na skutek czego czknął jeszcze boleściwiej i głośniejsze i w tejże chwili Berlioz przerwał swój wykład, ponieważ cudzoziemiec wstał nagle i zbliżył się do pisarzy. Ci spojrzeli nań ze zdumieniem.

– Proszę mi wybaczyć – zaczął nieznajomy. Mówił z cudzoziemskim akcentem, ale słów nie kaleczył – że nie będąc znajomym panów ośmielam się... ale przedmiot naukowej dyskusji panów jest tak interesujący, iż...

Tu nieznajomy uprzejmie zdjął beret i pisarzom nie pozostawało nic innego, jak wstać i ukłonić się.

“Nie, to raczej Francuz...” – pomyślał Berlioz.

“Polak...” – pomyślał Bezdorny.

Należy od razu stwierdzić, że na poecie cudzoziemiec od pierwszego słowa zrobił odpychające wrażenie, natomiast Berliozowi raczej się spodobał, a może nie tyle się spodobał, ile, jak by tu się wyrazić... zainteresował go czy co...

– Panowie pozwolą, że się przysiada? – uprzejmie zapytał cudzoziemiec i przyjaciele jakoś mimo woli się rozsunęli, cudzoziemiec zwinnie wcisnął się pomiędzy nich i natychmiast włączył się do rozmowy. – Jeśli dobrze usłyszałem, to był pan łaskaw stwierdzić, że Jezus w ogóle nie istniał? – zapytał kierując na Berlioz swoje lewe zielone oko.

– Tak jest, nie przesłyszał się pan – grzecznie odpowiedział Berlioz. – To właśnie powiedziałem.

– Ach, jakie to ciekawe! – wykrzyknął cudzoziemiec.

“Czego on tu szuka?” – pomyślał Bezdorny i zasępił się.

– A pan zgodził się z kolegą? – zainteresował się nieznajomy i odwrócił się w prawo, do Bezdornego.

– Na sto procent! – potwierdził poeta, który lubił wyrażać się zawile i metaforycznie.

– Zdumiewające! – zawołał nieproszony dyskutant, nie wiedząc czemu rozejrzał się dookoła jak złodziej, ściszył swój niski głos i powiedział: – Proszę mi wybaczyć moje natręctwo, ale, jeśli dobrze zrozumiałem, panowie na dobitkę nie wierzycie w Boga? – w jego oczach pojawiło się przerażenie; dodał: – Przysięgam, że nikomu nie powiem!

– Zgadza się, nie wierzimy – z lekkim uśmiechem, wywołanym przerażeniem zagranicznego turysty, odpowiedział Berlioz – ale o tym można mówić bez obawy.

Cudzoziemiec opadł na oparcie ławki i aż pisnął z ciekawości, pytając:

– Panowie jesteście ateistami?!

– Tak, jesteśmy ateistami – uśmiechając się odpowiedział Berlioz, a Bezdomny rozeźlił się i pomyślał: “Ale się przyczepił, zagraniczny osioł!”

– Och! Jakie to cudowne! – wykrzyknął zdumiewający cudzoziemiec i pokręcił głową wpatrując się to w jednego, to w drugiego literata.

– W naszym kraju ateizm nikogo nie dziwi – z uprzejmością dyplomaty powiedział Berlioz. – Znakomita większość ludności naszego kraju dawno już świadomie przestała wierzyć w bajeczki o Bogu.

Wtedy cudzoziemiec wykonał taki numer: wstał, uściśnął zdumionemu redaktorowi dłoń i powiedział, co następuje:

– Niech pan pozwoli, że mu z całego serca podziękuję.

– Za co mu pan dziękujecie? – mrugając oczyma zapytał Bezdomny.

– Za niezmiernie ważną informację, dla mnie, podróżnika, nadzwyczaj interesującą – wieloznacznie wznosząc palec wyjaśnił zagraniczny dziwak.

Niezmiernie ważna informacja najwidoczniej istotnie wywarła silne wrażenie na podróżniku, bo z przerażeniem rozejrzał się po domach, jak gdyby się obawiał, że w każdym oknie zobaczy jednego ateistę.

„Nie, to nie Anglik” – pomyślał Berlioz, Bezdomnemu zaś przyszło do głowy: “Ciekawe, gdzie on się nauczył tak gadać po rosyjsku!” – i poeta znowu się zasępił.

– Ale pozwólcie, że was, panowie, zapytam – po chwili niespokojnej zadumy przemówił zagraniczny gość – co w takim razie począć z dowodami na istnienie Boga, których, jak wiadomo, istnieje dokładnie pięć?

– Niestety! – ze współczuciem odpowiedział Berlioz. – Żaden z tych dowodów nie ma najmniejszej wartości i ludzkość dawno odłożyła je ad acta. Przyzna pan chyba, że w kategoriach rozumu nie można przeprowadzić żadnego dowodu na istnienie Boga.

– Brawo! – zawołał cudzoziemiec. – Brawo! Pan dokładnie powtórzył pogląd nieokiełznanego staruszka Immanuela w tej materii. Ale zabawne, że stary najpierw doszczętnie rozprawił się z wszystkimi pięcioma dowodami, a następnie, jak gdyby szydząc z samego siebie, przeprowadził własny, szósty, dowód.

– Dowód Kanta – z subtelnym uśmiechem sprzeciwił się wykształcony redaktor – jest

również nieprzekonujący. I nie na darmo Schiller powiada, że rozważania Kanta na ten temat mogą zadowolić tylko ludzi o duszach niewolników, a Strauss je po prostu wyśmiewa.

Berlioz mówił, a zarazem myślał przez cały czas: “Ale kto to może być? I skąd on tak dobrze zna rosyjski?”

– Najlepiej byłoby posłać tego Kanta na trzy lata na Sołowki za te jego dowody! – nagle palnął nieoczekiwanie Iwan.

– Ależ, Iwanie! – wyszeptał skonfundowany Berlioz.

Propozycja zesłania Kanta na Sołowki nie tylko jednak nie oszołomiła cudzoziemca, ale nawet wprawiła go w prawdziwy zachwyty.

– Otóż to! – zawołał i jego lewe, zielone, zwrócone na Berlioza oko zabłysło. – Tam jest jego miejsce! Przecież mówiłem mu wtedy, przy śniadaniu: “Jak pan tam, profesorze, sobie chce, ale wymyślił pan coś, co się kupy nie trzyma. Może to i mądre, ale zbyt skomplikowane. Wyśmieję pana”.

Berlioz wybałuszył oczy. “Przy śniadaniu... do Kanta! Co on plecie?” – pomyślał.

– Ale – mówił dalej cudzoziemiec do poety, nie speszony zdumieniem Berlioza – zesłanie go na Sołowki jest niemożliwe z tej przyczyny, że Kant już od stu z górą lat przebywa w miejscowościach znacznie bardziej odległych niż Sołowki i wydobyć go stamtąd jest zupełnie niemożliwe, zapewniam pana.

– A szkoda! – wypowiedział się agresywny poeta.

– Ja również żałuję – błyskając okiem przytaknął mu niewyjaśniony podróżnik i ciągnął dalej.

– Ale niepokoi mnie następujące zagadnienie: skoro nie ma Boga, to kto kieruje życiem człowieka i w ogóle wszystkim, co się dzieje na świecie?

– O tym wszystkim decyduje człowiek – Berlioz pośpieszył z gniewną odpowiedzią na to, trzeba przyznać, niezupełnie jasne pytanie.

– Przepraszam – łagodnie powiedział nieznajomy – po to, żeby czymś kierować, trzeba bądź co bądź mieć dokładny plan, obejmujący jakiś możliwie przyzwoity okres czasu. Pozwoli więc pan, że go zapytam, jak człowiek może czymkolwiek kierować, skoro pozbawiony jest nie tylko możliwości planowania na choćby śmiesznie krótki czas, no, powiedzmy, na tysiąc lat, ale nie może ponadto ręczyć za to, co się z nim samym stanie następnego dnia?

Bo istotnie – tu nieznajomy zwrócił się do Berlioza – proszę sobie wyobrazić, że zaczyna pan rządzić, sobą i innymi, że tak powiem – dopiero zaczyna się pan rozsmakowywać i nagle okazuje

się, że ma pan... kche... kche... sarkomę płuc... – I cudzoziemiec uśmiechnął się słodko, jak gdyby myśl o sarkomie płuc sprawiła mu przyjemność. – Tak, sarkoma – po kociemu mrużąc oczy powtórzył dźwięczne słowo – i pańskie rządy się skończyły! Interesuje pana już tylko los własny, niczyj więcej! Krewni zaczynają pana okłamywać. Pan czuje, że coś jest nie w porządku, pędzi pan do uczonych lekarzy, potem do szarlatanów, a w końcu, być może, idzie pan nawet do wróżki. Zarówno to pierwsze, jak to drugie i to trzecie nie ma żadnego sensu, sam pan to rozumie. I cała historia kończy się tragicznie – ten, który jeszcze niedawno sądził, że o czymś tam decyduje, spoczywa sobie w drewnianej skrzynce, a otoczenie, zdając sobie sprawę, że z leżącego żadnego pożytku mieć już nie będzie, spala go w specjalnym piecu.

A bywa i gorzej – człowiek dopiero co wybierał się do Kisłowodzka – tu cudzoziemiec zmrużonymi oczyma popatrzył na Berlioza – zdawałoby się głupstwo, ale nawet tego nie może dokonać, bo nagle, nie wiedząc czemu, poślizgnie się i wpadnie pod tramwaj! Czy naprawdę uważa pan, że ten człowiek sam tak sobą pokierował? Czy nie słuszniej byłoby uznać, że pokierował nim ktoś zupełnie inny? – tu nieznajomy zaśmiał się dziwnie.

Berlioz z wielką uwagą słuchał nieprzyjemnego opowiadania o sarkomie i tramwaju i zaczęły go dręczyć jakieś trwożne myśli. “Nie, to nie cudzoziemiec... to nie cudzoziemiec... – myślał – to jakiś przedziwny facet... ale kim on w takim razie jest?”

– Ma pan, jak widzę, ochotę zapalić? – nieznajomy zwrócił się niespodziewanie do Bezdonnego. – Jakie pan pali?

– A co, ma pan do wyboru? – ponuro zapytał poeta, któremu skończyły się papierosy.

– Jakie pan pali? – powtórzył nieznajomy.

– “Naszą markę” – z nienawiścią odpowiedział Bezdenny.

Nieznajomy niezwłocznie wyciągnął z kieszeni papierośnicę i podał ją Bezdonnemu:

– “Nasza marka”...

I redaktorem, i poetą wstrząsnął nie tyle fakt, że w papierośnicy znalazła się właśnie “Nasza marka”, ile sama papierośnica. Była olbrzymia, z dukatowego złota, a kiedy się otworzyła, na jej wieczku zaiskrzył błękitnymi i białymi ogniami trójkąt z brylantów.

Każdy z literatów pomyślał co innego: Berlioz – “nie, to jednak cudzoziemiec!”, a Bezdenny: “O, cholera!”...

Poeta i właściciel papierośnicy zapalili, a niepalący Berlioz podziękował.

“Trzeba mu będzie odpowiedzieć tak – zdecydował Berlioz. – Tak, człowiek jest śmiertelny,

nikt temu nie przeczy. Ale rzecz w tym...”

Jednak nie zdążył nawet zacząć, kiedy cudzoziemiec powiedział:

– Tak, człowiek jest śmiertelny, ale to jeszcze pół biedy. Najgorsze, że to, iż jest śmiertelny, okazuje się niespodziewanie, w tym właśnie sęk! Nikt nie może przewidzieć, co będzie robił dzisiaj wieczora.

“Jakieś głupie podejście do zagadnienia...” – pomyślał Berlioz i zaprotestował:

– No, to to już przesada. Wiem mniej więcej dokładnie, co będę robił dziś wieczór. Oczywiście, jeśli na Bronnej nie spadnie mi cegła na głowę...

– Cegła – z przekonaniem przerwał mu nieznajomy – nigdy nikomu nie spada na głowę ni z tego, ni z owego. W każdym razie panu, niech mi pan wierzy, cegła nie zagraża. Pan umrze inną śmiercią.

– A może wie pan, jaką? – ze zrozumiałą ironią w głosie zasięgnął informacji Berlioz, dając się wciągnąć w tę rzeczywiście dość idiotyczną rozmowę. – I może mi pan to powie?

– Chętnie – przystał na to nieznajomy. Zmierzył Berlioza spojrzeniem, jakby zamierzał uszyć mu garnitur, wymruczał przez zęby coś w rodzaju: “raz, dwa, ...Merkury w drugim domu... księżyc wzeszedł... sześć – nieszczęście... wieczór – siedem...” – i głośno, radośnie oznajmił: – Utną panu głowę!

Bezdomny dziko wytrzeszczył oczy na bezczelnego cudzoziemca, a Berlioz zapytał z kwaśnym uśmiechem:

– A któż to zrobi? Wrogowie? Interwenci?

– Nie – odpowiedział cudzoziemiec. – Rosjanka, komsomołka.

– Hm... – zamruczał zde gustowany żartem nieznajomego Berlioz. – No, pan daruje, ale to mało prawdopodobne.

– I ja proszę o wybaczenie – odpowiedział cudzoziemiec – ale tak właśnie będzie. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jeśli to oczywiście nie tajemnica, co pan będzie robił dziś wieczorem?

– To żadna tajemnica. Teraz wpadnę do siebie, na Sadową, a potem o dziesiątej wieczorem w Massolicie odbędzie się zebranie, któremu będę przewodniczył.

– To się nie da zrobić – stanowczo zaprzeczył obcokrajowiec.

– A to dlaczego?

– Dlatego – odpowiedział cudzoziemiec i zmrużonymi oczyma zapatrzył się w niebo, po

którym w przeczuciu wieczornego chłodu bezgłośnie śmigaly czarne ptaki – że Annuszka już kupiła olej słonecznikowy, i nie dość, że kupiła, ale już go nawet rozlała. Tak więc zebranie się nie odbędzie.

Pod lipami zapanowało zrozumiałe milczenie.

– Przepraszam – odezwał się Berlioz po chwili, spoglądając na cudzoziemca, który najwyraźniej gadał od rzeczy – co ma do tego olej słonecznikowy... i jakaś Annuszka?

– Olej słonecznikowy tyle ma do tego... – nagle odezwał się Bezdomny, który najwyraźniej postanowił wypowiedzieć nieproszonemu cudzoziemcowi wojnę. – Czy nie byliście kiedyś, obywatelu, na leczeniu w szpitalu dla umysłowo chorych?

– Iwan! – cichutko zawołał Berlioz. Ale cudzoziemiec, ani trochę nie urażony, roześmiał się wesolutko.

– Byłem, byłem i to nie raz! – wykrzyknął ze śmiechem, ale wpatrzone w poetę oko nie śmiało się. – Gdzież to ja nie bywałem! Szkoda tylko, że nie zdążyłem zapytać profesora, co to takiego schizofrenia. Więc niech już go pan sam o to zapyta, Iwanie Nikołajewiczu.

– Skąd pan wie, jak ja się nazywam?

– No, wie pan, któż by pana nie znał – nieznajomy wyciągnął z kieszeni wczorajszy numer „Litieraturnej Gaziety” i Bezdomny zobaczył na pierwszej od razu kolumnie swoją podobiznę, a pod nią własne wiersze. Ale ten dowód sławy i popularności, który jeszcze wczoraj tak go cieszył, tym razem jakoś ani trochę nie uradował poety.

– Przepraszam – powiedział, a twarz mu spochmurniała. – Czy mógłby pan chwilę poczekać? Chciałem powiedzieć koledze kilka słów.

– O, z przyjemnością! – zawołał nieznajomy. – Tu jest tak miło pod tymi lipami, a mnie się nigdzie nie śpieszy.

– Słuchaj, Misza – szeptał poeta, odciągając Berlioza na bok – to nie żaden turysta, tylko szpieg. To rosyjski emigrant, któremu udało się do nas przedostać. Wylegitymuj go natychmiast, bo zwieje.

– Tak myślisz? – szepnął z niepokojem Berlioz i pomyślał: „Przecież on ma rację...”

– Możesz mi wierzyć – zachrypiał mu do ucha poeta. – Udaje głupiego, żeby wypytać o to i owo. Słyszałeś, jak on gada po rosyjsku – poeta mówił i zarazem zezował pilnując, żeby nieznajomy nie uciekł. – Chodź, zatrzymamy go, bo da nogę...

I poeta pociągnął Berlioza za rękę w stronę ławki.

Nieznajomy już nie siedział, ale stał obok niej trzymając w ręku jakąś książeczkę w ciemnoszarej oprawie, sztywną kopertkę w dobrym gatunku i bilet wizytowy.

– Zechcą mi chyba panowie wybaczyć, że w ferworze dyskusji zapomniałem się przedstawić. Oto moja wizytówka, oto paszport i zaproszenie do Moskwy na konsultację – z naciskiem powiedział nieznajomy patrząc przenikliwie na obu literatów.

Ci się zmieszali. “Do diabła, on wszystko słyszał...” – pomyślał Berlioz i uprzejmym gestem dał do zrozumienia, że nie ma potrzeby okazywania dokumentów. Kiedy cudzoziemiec podsunął je redaktorowi, poeta zdążył spostrzec wydrukowane na wizytówce zagranicznymi literami słowo “profesor” i pierwszą literę nazwiska – W.

– Bardzo mi przyjemnie – niewyraźnie mruzczał tymczasem skonfundowany redaktor i cudzoziemiec schował dokumenty do kieszeni.

W ten sposób stosunki dyplomatyczne zostały znów nawiązane i cała trójka usiadła na ławce.

– Więc zaproszono pana do Moskwy w charakterze konsultanta, profesorze? – zapytał Berlioz.

– Tak, mam być konsultantem.

– Pan jest Niemcem? – zainteresował się Bezdomny.

– Ja? – profesor odpowiedział pytaniem na pytanie i nagle popadł w zadumę. – Tak, chyba jestem Niemcem.

– Pan świetnie mówi po rosyjsku – stwierdził Bezdomny.

– O, jestem w ogóle poliglotą. Znam bardzo wiele języków – odparł profesor.

– A jaka jest pańska specjalność? – zapytał Berlioz.

– Jestem specjalistą od czarnej magii. “Masz tobie!” – coś załomotało w głowie Berlioza.

– I... zaproszono pana do nas jako specjalistę? – lekko zająknąwszy się zapytał redaktor.

– Tak, jako specjalistę – potwierdził profesor i wyjaśnił: – W waszej bibliotece narodowej znaleziono oryginalne rękopisy Herberta z Aurillac, z dziesiątego wieku. Poproszono mnie, żebym je odcyfrował. Jestem w tej dziedzinie jedynym specjalistą na świecie.

– A! Więc jest pan historykiem? – z szacunkiem i z ogromną ulgą zapytał Berlioz.

– Jestem historykiem – potwierdził uczonego i dodał ni w pięć, ni w dziewięć: – Dziś wieczorem na Patriarszych Prudach wydarzy się nadzwyczaj interesująca historia.

I znów poeta i redaktor ogromnie się zdziwili, profesor zaś pokiwał palcem, przywołując ich bliżej, a kiedy obaj nachylili się do niego, wyszeptał:

– Nie zapominajcie, że Jezus istniał naprawdę.

– Widzi pan, profesorze – powiedział Berlioz z wymuszonym uśmiechem – szanujemy, oczywiście, pańską ogromną wiedzę, ale na tę sprawę mamy zupełnie odmienny pogląd.

– A tu nie trzeba mieć żadnych poglądów – odparł dziwny profesor. – Jezus po prostu istniał i tyle.

– Ale potrzebne są jakieś na to świadectwa... – zaczął Berlioz.

– Nie trzeba żadnych świadectw – odpowiedział konsultant i jął mówić niezbyt głośno, przy czym jego cudzoziemski akcent nie wiadomo dlaczego znikł: – Wszystko jest bardzo proste – w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika, posuwistym krokiem kawalerzysty, wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan...

2. Poncjusz Piłat

W białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika, posuwistym krokiem kawalerzysty, wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan pod krytą kolumnadę łączącą oba skrzydła pałacu Heroda Wielkiego wyszedł procurator Judei Poncjusz Piłat.

Procurator ponad wszystko nienawidził zapachu olejku różanego, a dziś wszystko zapowiadało niedobry dzień, ponieważ woń róż prześladowała procuratora od samego rana.

Miał wrażenie, że różany aromat sączy się z rosnących w ogrodzie palm i cyprysów, że z wydzielanym przez eskortę odorem potu i skórzanego rynsztunku miesza się zapach znieawidzonych kwiatów.

Z zabudowań na tyłach pałacu, gdzie kwaterowała przybyła do Jeruzalaim wraz z procuratorem pierwsza kohorta dwunastego legionu Błyskawic, aż tu, pod kolumnadę, napływał poprzez górną kondygnację ogrodu gorzkawy dymek świadczący, że kucharze w centuriach zaczęli już gotować obiad, i w tym dymku także była domieszka oleistych różanych aromatów.

“Za cóż mnie tak karzecie, o bogowie?... Tak, to bez wątpienia znowu ta niezwycięzona, straszliwa choroba... hemicrania, przy której boli pół głowy... choroba, na którą nie ma lekarstwa, przed którą nie ma ratunku... Spróbuję nie poruszać głową...”

Na mozaikowej posadzce przy fontannie był już przygotowany tron i procurator nie spojrzawszy na nikogo zasiadł na nim i wyciągnął rękę w bok. Sekretarz z uszanowaniem złożył w jego dłoni kawałek pergaminu. Procurator, nie zdolawszy opanować bolesnego grymasu, kątem oka pobieżnie przejrzał tekst, zwrócił sekretarzowi pergamin, powiedział z trudem:

– Podsądny z Galilei? Przesłaliście sprawę tetrarsze?

– Tak, procuratorze – odparł sekretarz.

– A on?

– Odmówił rozstrzygnięcia tej sprawy i wydany przez Sanhedryn wyrok śmierci przesłał do twojej dyspozycji – wyjaśnił sekretarz.

Procuratorowi skurcz wykrzywił policzek. Powiedział cicho:

– Wprowadźcie oskarżonego.

Natychmiast dwóch legionistów wprowadziło między kolumny z ogrodowego placyku dwudziestosiedmioletniego człowieka i przywiodło go przed tron procuratora. Człowiek ów

odziany był w stary, rozdarty, błękitny chiton. Na głowie miał biały zawój przewiązany wokół rzemykiem, ręce związane mu z tyłu. Pod jego lewym okiem widniał wielki siniak, w kącie ust miał zdartą skórę i zaschlą krew. Patrzył na procuratora z lękliwą ciekawością.

Tamten milczał przez chwilę, potem cicho zapytał po aramejsku:

– Więc to ty namawiałeś lud do zburzenia jerozolimskiej świątyni?

Procurator siedział niczym wykuty z kamienia i tylko jego wargi poruszały się ledwie zauważalnie, kiedy wymawiał te słowa. Był jak z kamienia, bał się bowiem poruszyć głową płonąca z piekielnego bólu.

Człowiek ze związanymi rękami postąpił nieco ku przodowi i począł mówić:

– Człowieku dobry. Uwierz mi... Ale procurator, nadal znieruchomiały, natychmiast przerwał mu, ani o włos nie podnosząc głosu:

– Czy to mnie nazwałeś dobrym człowiekiem? Jesteś w błędzie. Każdy w Jerozolimie powie ci, że jestem okrutnym potworem, i to jest święta prawda. – Po czym równie beznamyślnie dodał: – Centurion Szczurza Śmierć, do mnie!

Wszystkim się wydało, że zapada mrok, kiedy centurion pierwszej centurii Marek, zwany także Szczurzą Śmiercią, wszedł na taras i stanął przed procuratorem. Był o głowę wyższy od najwyższego żołnierza legionu i tak szeroki w barach, że przesłonił sobą niewysokie jeszcze słońce.

Procurator zwrócił się do centuriona po łacinie:

– Przestępca nazwał mnie człowiekiem dobrym. Wyprowadź go stąd na chwilę i wyjaśnij mu, jak należy się do mnie zwracać. Ale nie kalecz go.

Wszyscy prócz nieruchomego procuratora odprowadzali spojrzeniami Marka Szczurzą Śmierć, który skinął na aresztanta, każąc mu iść za sobą. Szczurzą Śmierć w ogóle zawsze wszyscy odprowadzali spojrzeniami, gdziekolwiek się pojawiał, tak niecodziennego był wzrostu, a ci, którzy widzieli go po raz pierwszy, patrzyli nań z tego także powodu, że twarz centuriona była potwornie zeszpecona – nos jego strzaskało niegdyś uderzenie germańskiej maczugi.

Ciężkie buciory Marka załomotały po mozaice, związane poszedł za nim bezgłośnie, pod kolumnadą zapanowało milczenie, słychać było gruchanie gołębi na ogrodowym placu nieopodal balkonu, a także wodę śpiewającą w fontannie dziwaczną i miłą piosenkę.

Procurator nagle zapragnął wstać, podstawić skroń pod strugę wody i pozostać już w tej pozycji. Wiedział jednak, że i to nie przyniesie mu ulgi.

Szczurza Śmierć spod kolumnady wyprowadził aresztowanego do ogrodu, wziął bicz z rąk legionisty, który stał u stóp brązowego posągu, zamachnął się od niechcienia i uderzył aresztowanego po ramionach. Ruch centuriona był lekki i niedbały, ale związany człowiek natychmiast zwałił się na ziemię, jakby mu ktoś podciął nogi, zachłysnął się powietrzem, krew uciekła mu z twarzy, a jego oczy stały się puste.

Marek lewą ręką lekko poderwał leżącego w powietrze, jakby to był pusty worek, postawił go na nogi, powiedział przez nos, kalecząc aramejskie słowa:

– Do procuratora rzymskiego zwracać się: hegemon. Innych słów nie mówić. Stać spokojnie. Zrozumiałeś czy uderzyć?

Aresztowany zachwiał się, ale przemógł słabość, krew znów krążyła, odetchnął głęboko i ochryple powiedział:

– Zrozumiałem cię. Nie bij mnie.

Po chwili znowu stał przed procuratorem.

Rozległ się matowy, zbolący głos:

– Imię?

– Moje? – pośpiesznie zapytał aresztowany, całym swoim jestestwem wyrażając gotowość do szybkich i rzeczowych odpowiedzi, postanowienie, że nie da więcej powodu do gniewu.

Procurator powiedział cicho:

– Moje znam. Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Twoje.

– Jezua – spiesznie odpowiedział aresztowany.

– Masz przezwisko?

– Ha–Nocri.

– Skąd jesteś?

– Z miasta Gamala – odpowiedział aresztant, zarazem wskazując głową, że gdzieś tam daleko, na prawo od niego, na północy, jest miasto Gamala.

– Z jakiej krwi?

– Dokładnie tego nie wiem – z ożywieniem odpowiedział aresztowany. – Nie pamiętam moich rodziców. Powiadają, że ojciec był Syryjczykiem...

– Gdzie stale mieszkasz?

– Nigdzie nie mam domu – nieśmiało odpowiedział aresztant. – Wędruję od miasta do miasta.

– Można to nazwać krócej, jednym słowem. Włóczęgostwo – powiedział procurator i zapytał:

- Masz rodzinę?
- Nie mam nikogo. Sam jestem na świecie.
- Umiesz czytać, pisać?
- Umiem.
- Znasz jakiś język prócz aramejskiego?
- Znam. Grecki.

Uniosła się opuchnięta powieka, zasnute mgiełką cierpienia oko wpatrzyło się w aresztowanego. Drugie nadal było zamknięte.

Piłat odezwał się po grecku:

- Więc to ty zamierzałeś zburzyć świątynię i nawoływałeś do tego lud?

Aresztowany znowu się ożywił, jego oczy nie wyrażały już strachu, zaczął mówić po grecku:

– Czło... – przerażenie błysnęło w jego oczach, zrozumiał, że omal się nie przejęzyczył. – Ja, hegemonie, nigdy w życiu nie miałem zamiaru burzyć świątyni i nikogo nie namawiałem do tak nonsensownego uczynku.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy sekretarza, który pochylony nad niziutkim stołem spisywał zeznania. Uniósł głowę, ale natychmiast znów ją pochylił nad pergaminem.

– Wielka ilość rozmaitych ludzi schodzi się do tego miasta na święto. Są wśród nich magowie, astrologowie, wróżbici i mordercy – monotonna mówił procurator – niekiedy zdarzają się także kłamcy. Ty, na przykład, jesteś kłamcą. Zapisano tu wyraźnie – podburzałeś do zniszczenia świątyni. Tak zaświadczyli ludzie.

– Ci dobrzy ludzie – zaczął mówić więzień i spiesznie dodawszy: – hegemonie – ciągnął: – niczego nie studiowali i wszystko, co mówiłem, poprzekreśli. W ogóle zaczynam się obawiać, że te nieporozumienia będą trwały jeszcze bardzo, bardzo długo. A wszystko dlatego, że on niedokładnie zapisuje to, co mówię.

Zapadło milczenie. Teraz już oboje zboliałych oczu patrzyło ociężale na aresztowanego.

– Powtarzam ci, ale już po raz ostatni, abyś przestał udawać wariata, zbrodniarzu – łagodnie, monotonna powiedział Piłat. – Niewiele zapisano z tego, coś mówił, ale tego, co zapisano, jest w każdym razie dość, aby cię powiesić.

– O, nie, o, nie, hegemonie! – w żarliwym pragnieniu przekonania rozmówcy mówił aresztant – chodzi za mną taki jeden z kozim pergaminem i bez przerwy pisze. Ale kiedyś zajrzałem mu do tego pergaminu i strach mnie zdjął. Nie mówiłem dosłownie nic z tego, co tam zostało zapisane.

Błagałem go: spal, proszę cię, ten pergamin! Ale on mi go wyrwał i uciekł.

– Któż to taki? – opryskliwie zapytał Piłat i dotknął dłonią skroni.

– Mateusz Lewita – skwapliwie powiedział więzień. – Był poborcą podatkowym i spotkałem go po raz pierwszy na drodze do Bettagium, w tym miejscu, gdzie do drogi przytyka ogród figowy, i rozmawiałem z nim. Na początku potraktował mnie nieprzyjaźnie, a nawet mnie obrażał, to znaczy wydawało mu się, że mnie obraża, ponieważ nazywał mnie psem. – Aresztowany uśmiechnął się. – Co do mnie, nie widzę w tym zwierzęciu nic złego, nic takiego, żeby się obrażać za to słowo...

Sekretarz przestał notować i ukradkiem spojrzął zdziwiony, nie na aresztowanego jednak, tylko na procuratora.

– ...lecz wysłuchawszy mnie, złagodniał – ciągnął Jezua – a w końcu cisnął pieniądze na drogę i oświadczył, że pójdzie ze mną na wędrowną...

Piłat uśmiechnął się połową twarzy, wyszczerzając poźółkle zęby i przemówił, całym ciałem zwracając się ku sekretarzowi:

– O, miasto Jeruzalaim! Czegóż tu nie można usłyszeć?! Poborca podatków, słyszycie, cisnął pieniądze na drogę!

Sekretarz, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, uznał za wskazane uśmiechnąć się tak jak Piłat.

– Powiedział, że od tej chwili nienawidzi pieniędzy – objaśnił Jezua dziwne zachowanie Mateusza Lewity i dodał: – Odtąd wędrował wraz ze mną.

Procurator, ciągle jeszcze szczerząc zęby, przyjrzał się więźniowi, potem spojrzął na słońce, które nieubłaganie wznosiło się coraz wyżej i wyżej nad posągami jeźdźców na leżącym z prawej strony, w dali, w dolinie, hipodromie, i znienacka, w jakiejś męczącej udreće, pomyślał, że najprościej byłoby pozbyć się z balkonu tego dziwnego rozbójnika, wyrzekłszy dwa tylko słowa: “powiesić go!” Pozbyć się także eskorty, przejść spod kolumnady do wnętrza pałacu, polecieć, by zaciemniono okna komnaty, zwalić się na łożo, zażądać zimnej wody, umęczonym głosem przywołać psa Bangę, uzalić się przed nim na tę hemicranię... W obolałej głowie procuratora błysnęła nagle kusząca myśl o truciznie.

Patrzył na więźnia zmętniałymi oczyma i przez czas jakiś milczał, z trudem usiłując sobie przypomnieć, czemu to na tym niemiłosiernym porannym skwarze stoi przed nim więzień o twarzy zniekształconej razami, uświadomić sobie, jakie jeszcze niepotrzebne nikomu pytania

będzie tu musiał zadawać.

– Mateusz Lewita? – zapytał ochryple chory i zamknął oczy.

– Tak, Mateusz Lewita – dotarł doń wysoki, zadręczający go głos.

– W takim razie, co mówiłeś o świątyni tłumowi na targowisku?

Wydawało się Piłatowi, że głos odpowiadającego kłuje go w skroń, ten głos męczył go niewypowiedzianie, ten głos mówił:

– Mówiłem, hegemonie, o tym, że runie świątynia starej wiary i powstanie nowa świątynia prawdy. Powiedziałem tak, żeby mnie łatwiej zrozumieli.

– – Czemuś, włóczęgo, wzburzał umysły ludu na targowisku opowieściami o prawdzie, o której ty sam nie masz pojęcia? Cóż więc jest prawdą?

I pomyślał sobie procurator: “Bogowie! Pytam go na sądzie o takie rzeczy, o które pytać nie powinienem... Mój umysł mnie zawodzi...” I znów zamajaczył mu przed oczyma puchar ciemnego płynu. “Trucizny mi dajcie, trucizny...”

I znów usłyszał głos:

– Prawdą jest to przede wszystkim, że boli cię głowa i to tak bardzo cię boli, że małodusznie rozmyślasz o śmierci. Nie dość, że nie starcza ci sił, by ze mną mówić, ale trudno ci nawet na mnie patrzeć. Mimo woli staję się teraz twoim katem, co zasmuca mnie ogromnie. Nie możesz nawet o niczym myśleć i tylko marzysz o tym, by nadszedł twój pies, jedyne zapewne stworzenie, do którego jesteś przywiązany. Ale twoje męczarnie zaraz się skończą, ból głowy ustąpi.

Sekretarz wytrzeszczył oczy na więźnia, nie dopisał słowa do końca.

Piłat podniósł na aresztanta umęczone spojrzenie i zobaczył, że słońce stoi już dość wysoko nad hipodromem, że promień słoneczny przeniknął pod kolumnadę, podpełza ku znoszonym sandałom Jezui, i że ten stara się usunąć od słońca.

Wówczas procurator wstał z tronu, ścisnął dłońmi głowę, na jego wygolonej żółtawej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Ale Piłat natychmiast opanował go wysiłkiem woli i znowu opadł na tron.

Więzień natomiast kontynuował tymczasem swoją przemowę, sekretarz niczego już jednak nie notował, tylko wyciągnął szyję jak gąsior i starał się nie uronić ani słowa.

– I oto wszystko się już skończyło – zyczliwie spoglądając na Piłata mówił aresztowany – i niezmiernie się z tego cieszę. Radziłbym ci, hegemonie, abyś na czas jakiś opuścił pałac i odbył

małą przechadzkę po okolicy, chociażby po ogrodach na stoku eleońskiej góry. Burza nadciągnie... – więzień odwrócił się i popatrzył zmrużonymi oczyma w słońce – ...później, pod wieczór. Przechadzka dobrze ci zrobi, a ja ci chętnie będę towarzyszył. Przyszło mi do głowy kilka nowych myśli, które, jak sądzę, mogłyby ci się wydać interesującymi, i z przyjemnością bym się nimi z tobą podzielił, tym bardziej że sprawiasz na mnie wrażenie bardzo mądrego człowieka. – Sekretarz zbladł śmiertelnie, pergamin spadł mu na posadzkę. – Szkoda tylko – ciągnął związany Ha-Nocri i nikt mu nie przerywał – że zbytnio jesteś zamknięty w sobie i zupełnie opuściła cię wiara w ludzi. Przyznasz przecież, że nie można wszystkich swoich uczuć przelewać na psa. Smutne jest twoje życie, hegemonie – w tym miejscu mówiący pozwolił sobie na uśmiech.

Sekretarz myślał teraz już tylko o jednym – wierzyć czy nie wierzyć własnym uszom. Musiał im wierzyć. Postarał się zatem wyobrazić sobie, jaką też wymyślną formę przybierze gniew zapalczego procuratora wobec tej niesłychanej śmiałości aresztowanego. Ale nie mógł sobie tego wyobrazić, choć nieźle znał procuratora.

Wówczas dał się słyszeć zdarty, nieco zachrypnięty głos procuratora mówiącego po łacinie:

– Rozwiążcie mu ręce.

Jeden z konwojujących legionistów stuknął kopią o posadzkę, podał ją sąsiadowi, zbliżył się i zdjął więźniowi pęta. Sekretarz podniósł z ziemi pergamin, postanowił, że niczego na razie nie będzie notował i że niczemu nie będzie się dziwił.

– Przyznaj się – spokojnie zapytał po grecku Piłat – jesteś wielkim lekarzem?

– Nie, procuratorze, nie jestem lekarzem – odpowiedział aresztowany, rozcierając z ulgą zniekształcone i opuchnięte, purpurowe przeguby dłoni.

Piłat surowo przyglądał się aresztowanemu spode łba, w jego oczach nie było już mgiełki, pojawiły się w nich dobrze wszystkim znane iskry.

– Nie pytałem cię o to – powiedział – ale czy znasz może również łacinę?

– Znam – odpowiedział aresztowany. Rumieniec wystąpił na zżółkłe policzki Piłata i procurator zapytał po łacinie:

– Skąd wiedziałeś, że chciałem przywołać psa?

– To zupełnie proste – odpowiedział po łacinie aresztowany. – Wodziłeś w powietrzu dłonią – tu więzień powtórzył gest Piłata – tak, jakbyś chciał go pogłaskać, a twoje wargi...

– Tak... – powiedział Piłat.

Milczeli przez chwilę. A potem Piłat zapytał po grecku:

– A zatem jesteś lekarzem?

– Nie, nie – żywo odpowiedział więzień. – Wierz mi, nie jestem lekarzem.

– No cóż, jeśli chcesz to zachować w tajemnicy, zachowaj. Bezpośrednio ze sprawą to się nie wiąże. Utrzymujesz zatem, że nie nawoływałeś do zburzenia świątyni... czy też jej podpalenia, czy zniszczenia jej w jakiś inny sposób?

– Nikogo, hegemonie, nie nawoływałem do niczego takiego, powtarzam. Czy wyglądam na człowieka niespełna rozumu?

– O, nie, nie wyglądasz na człowieka niespełna rozumu – cicho odpowiedział procurator z jakimś strasznym uśmiechem. – Przysięgnij zatem, że nic takiego nie miało miejsca.

– Na co chcesz, abym przysięgł? – zapytał z ożywieniem uwolniony z więzów.

– Choćby na własne życie – odpowiedział procurator. – Najwyższy czas, abyś na nie przysięgł, bo wiedz o tym, że wisi ono na włosku.

– Czy sądzisz, hegemonie, że to tyś je zawiesił na włosku? – zapytał więzień. – Jeśli sądzisz tak, bardzo się mylisz.

Piłat drgnął i odparł przez zęby:

– Mogę przeciąć ten włoszek.

– Co do tego także się mylisz – powiedział z powątpiewaniem aresztowany, uśmiechając się dobrodusznie i zasłaniając dłonią przed słońcem. – Przyznasz, że przeciąć ten włoszek może chyba tylko ten, kto zawiesił na nim moje życie.

– Tak, tak – powiedział Piłat i uśmiechnął się. – Nie wątpię już teraz, że jersuzalaimscy próżniacy włóczyli się za tobą. Nie wiem, gdzieś się ćwiczył w wymowie, ale języka w gębie nie zapominasz. Nawiasem mówiąc, powiedz mi, czy to prawda, że przybyłeś do Jeruzalaim przez Suzską Bramę, jadąc oklep na osłe, i że towarzyszyły ci tłumy motłochu wiwatującego na twoją cześć, jakbyś był jakim prorokiem? – i procurator wskazał zwój pergaminu.

Więzień popatrzył na procuratora z niedowierzaniem.

– Nie mam żadnego osła, hegemonie – powiedział. – Rzeczywiście wszedłem do Jeruzalaim przez Suzską Bramę, ale przyszedłem pieszo, a towarzyszył mi tylko Mateusz Lewita i nikt mnie wiwatował ani niczego nie krzyczał, bo nikt mnie wtedy w Jeruzalaim nie znał.

– Czy znany ci jest – ciągnął Piłat nie spuszczać wzroku z więźnia – niejaki Dismos albo Gestas, albo może Bar Rawan?

– Nie znam tych dobrych ludzi – odpowiedział aresztowany.

– Czy to prawda?

– To prawda.

– Powiedz mi zatem, czemu nieustannie mówisz o dobrych ludziach? Czy nazywasz tak wszystkich ludzi?

– Wszystkich – odpowiedział więzień. – Na świecie nie ma złych ludzi.

– Pierwszy raz spotykam się z takim poglądem – powiedział Piłat i uśmiechnął się. – Ale, być może, za mało znam życie!... Teraz możesz już nie notować – zwrócił się do sekretarza, chociaż sekretarz i tak niczego nie notował, a potem znowu zwrócił się do więźnia: – Czy wyczytałeś to w którejś z greckich ksiąg?

– Nie, sam do tego doszedłem.

– I tego nauczasz?

– Tak.

– A na przykład centurion Marek, którego nazywają Szczurzą Śmiercią, czy on także jest dobrym człowiekiem?

– Tak – odparł więzień. – Co prawda, jest to człowiek nieszczęśliwy. Od czasu, kiedy dobrzy ludzie go okaleczyli, stał się okrutny i nieczuły. Ciekawe, kto też tak go zespecził?

– Chętnie cię o tym poinformuję – powiedział Piłat – ponieważ byłem przy tym obecny. Dobrzy ludzie rzucili się na niego jak gończe na niedźwiedzia. Germanie wpili mu się w kark, w rękę, w nogi. Manipuł piechoty wpadł w zasadzkę i gdyby nie to, że turma jazdy, która dowodziłem, przedarła się ze skrzydła, nie miałbyś, filozofie, okazji do rozmowy ze Szczurzą Śmiercią. To było w czasie bitwy pod Idistawiso, w Dolinie Dziewic.

– Jestem pewien – zamyśliwszy się powiedział więzień – że gdyby ktoś z nim porozmawiał, zmieniłby się z pewnością.

– Sądzę – powiedział Piłat – że legat legionu nie byłby rad, gdyby ci wpadło do głowy porozmawiać z którymś z jego oficerów czy żołnierzy. Zresztą nie dojdzie do tego, na szczęście, i już ja będę pierwszym, który się o to zatroszczy.

Wpadła pod kolumnadę jaskółka, zatoczyła krąg pod złotym jej pułapem, obniżyła lot, nieomal musnęła ostrym skrzydłem twarz stojącego we wnęce miedzianego posągu i zniknęła za kapitelem kolumny. Być może zamierzała uwić tam gniazdo.

Procurator śledził jej lot, myśl miał teraz jasną i lotną, sentencja wyroku dojrzała. Była taka:

hegemon rozpatrzył sprawę wędrownego filozofa Jezui, którego zwą także Ha–Nocri, i w jego działalności nie dopatrywał się cech przestępstwa. Nie dopatrywał się zwłaszcza żadnego związku między działalnością Jezui a niepokojami, które niedawno miały miejsce w Jeruzalaim. Wędrowny filozof okazał się być obłąkany, w związku z czym procurator nie zatwierdza wyroku śmierci wydanego na Ha–Nocri przez Mały Sanhedryn. Biorąc jednak pod uwagę to, że utopijne mowy szaleńca Ha–Nocri mogą stać się przyczyną rozruchów, procurator poleca wydalić Jezue z Jeruzalaim i uwięzić go w Caesarea Stratonica nad Morzem Śródziemnym, tam gdzie znajduje się rezydencja procuratora.

Pozostawało podyktować tę sentencję sekretarzowi.

Skrzydła jaskółki zafurkotały tuż nad głową hegemonu, ptak przemknął nad basenem fontanny, wyleciał spod kolumnady na otwartą przestrzeń. Procurator podniósł wzrok na więźnia i spostrzegł obok niego gorejący słup pyłu.

– To już wszystko? – zapytał sekretarza.

– Niestety, nie – nieoczekiwanie odpowiedział tamten i podał Piłatowi następny kawałek pergaminu.

– Cóż więc jeszcze? – zapytał Piłat i zasępił się.

Kiedy przeczytał podany mu pergamin, jego twarz zmieniła się jeszcze bardziej. Czy to ciemna krew napłynęła do szyi i twarzy, czy też stało się coś jeszcze innego, dość że skóra na twarzy procuratora z żółtej stała się ziemista, a oczy jak gdyby się zapadły w głąb czaszki.

Powodem tego była z pewnością jak zwykle krew, która napłynęła do skroni i łomotała w nich teraz, ale coś jednocześnie stało się ze wzrokiem procuratora. Przywidziało mu się, że głowa więźnia odpłynęła kędyś w bok, a na jej miejscu pojawiła się inna. Ta druga głowa, łysiejąca, okolona była wieńcem z niewielu złotych listków. Na czole widniał okrągły wrzód, wyżartą skórę posmarowano maścią. Bezzębne usta były zapadnięte, dolna warga obwisła i kapryśna. Wydawało się Piłatowi, że znikły gdzieś różowawe kolumny tarasu i dalekie dachy Jeruzalaim., widniejące zwykle w dole za ogrodami, że wszystko dokoła zatoneło w gęstej zieleni ogrodów Caprejów. Ze słuchem także stało się coś dziwnego – jakby gdzieś w dali cicho, ale groźnie zagrały trąby i dobiegł wyraźny nosowy głos znacząco podkreślający słowa: “Ustawa o obrazie majestatu...”.

Pobiegły urywane, chaotyczne, niezwykle myśli: “Zginął!...”, a potem – “Zginęliśmy!...” I błysnęła wśród tych myśli jakaś zupełnie głupia, o jakiejś tam nieśmiertelności, przy czym ta

nieśmiertelność, nie wiedzieć czemu, była przyczyną niezwykłego smutku.

Piłat skupił wolę, odpędził widziadła, spojrzeniem powrócił na taras i znowu zobaczył przed sobą oczy więźnia.

– Słuchaj, Ha–Nocri – powiedział dziwnie jakoś spoglądając na Jezusę; twarz prokuratora była surowa, ale w oczach czaiła się trwoga. – Czy kiedykolwiek mówiłeś coś o wielkim Cezarze? Odpowiadaj! Mówiłeś?... Czy też... nie... mówiłeś. – Słowo “nie” Piłat podkreślił nieco bardziej, niżby to wypadało na sądzie, a jego spojrzenie przekazywało więźniowi jakąś myśl, jakby chciał coś aresztowanemu zasugerować.

– Łatwo i miło jest mówić prawdę – zauważył Jezua.

– Nie muszę wiedzieć – powiedział Piłat głosem gniewnym i przytłumionym – czy miło ci, czy nie miło mówić prawdę. Będziesz musiał ją powiedzieć. Mów, rozważ każde słowo, jeśli nie pragniesz śmierci nie tylko niechybnej, ale i okrutnej.

Nikt nie wie, co się stało prokuratorowi Judei, dość że pozwolił sobie na to, by podnieść rękę, jak gdyby osłaniając się przed palącym słońcem, i spod osłony dłoni, jak zza tarczy, przesłał więźniowi porozumiewawcze spojrzenie.

– A więc – mówił – czy znasz niejakiego Judę z Kiriatu i co mianowicie mówiłeś temu człowiekowi o Cezarze, jeśliś mówił?

– To było tak – skwapliwie zaczął opowiadać aresztowany. – Przedwczoraj wieczorem w pobliżu świątyni poznałem pewnego młodego człowieka, który przedstawił mi się jako Juda z Kiriatu. Zaprosił mnie do swojego domu w Dolnym Mieście i podejmował mnie tam...

– Czy to dobry człowiek? – zapytał Piłat i w jego oczach zabłysnął diabelski płomień.

– Bardzo dobry i bardzo żądny wiedzy – przytaknął więzień. – Zainteresowały go bardzo moje przemyślenia, podjął mnie nader gościnnie...

– Zapalił świeczniki... – wtrącił przez zęby Piłat takim samym tonem, a jego oczy połyskiwały.

– Tak – ciągnął Jezua, nieco zdziwiony, że prokurator wiedział o tym. – Poprosił mnie, abym zapoznał go z moimi poglądami na władzę państwową. Te sprawy ogromnie go ciekawiły.

– Cóż więc mu powiedziałeś? – zapytał Piłat. – Odpowiesz mi może, że nie pamiętasz, co mówiłeś? – ale w głosie Piłata nie było już nadziei.

– Mówiłem o wielu sprawach – opowiadał więzień – także i o tym, że wszelka władza jest gwałtem, zadawanym ludziom, i że nadejdzie czas, kiedy nie będzie władzy ani cesarskiej, ani

żadnej innej. Człowiek wejdzie do królestwa prawdy i sprawiedliwości, w którym niepotrzebna już będzie żadna władza.

– Mów dalej! Co było potem?

– Nic już potem nie było – powiedział aresztowany. – Nagle wbiegli ludzie, związali mnie i poprowadzili do więzienia.

Sekretarz szybko kreślił, starając się nie uronić ani słowa.

– Nie było na świecie, nie ma i nie będzie żadnej władzy wspanialszej i lepszej dla ludzi niż władanie Cezara Tyberiusza! – zdarty i zbolący głos Piłata spotężniał. Procurator, nie wiedząc czemu, patrzył z nienawiścią na sekretarza i na eskortę.

– I nie tobie o tym sądzić, szalony przestępco! – I Piłat nagle krzyknął: – Wyprowadzić żołnierzy z tarasu! – I dodał zwracając się do sekretarza: – Zostawcie mnie samego z oskarżonym, to sprawy wagi państwowej!

Eskorta wzniosła włócznie i miarowo łomocąc podkutymi skórczami zeszła z tarasu do ogrodu, a za eskortą podążył sekretarz.

Przez chwilę ciszę panującą na tarasie zakłócał tylko śpiew wody w fontannie. Piłat patrzył, jak nad rzygaczem fontanny wydyma się miseczek uczyniona z wody, jak odłamują się jej krawędzie i strumykami spadają w dół.

Pierwszy zaczął mówić więzień:

– Widzę, że to, o czym mówiłem z tym młodzieńcem z Kiriatu, stało się przyczyną jakiegoś nieszczęścia. Mam takie przeczucie, hegemonie, że temu młodzieńcowi stanie się coś złego, i bardzo mi go żal.

– Myślę – odpowiedział procurator z dziwnym uśmiechem – że istnieje ktoś jeszcze, nad kim mógłbyś się bardziej uzalić niż nad Juda z Kiriatu, ktoś, czyj los będzie znacznie gorszy niż los Judy! ...A więc Marek Szczurza Śmierć, zimny i pozbawiony skrupułów kat, i ci ludzie, którzy, jak widzę – tu procurator wskazał zmasakrowaną twarz Jezui – bili cię za twoje prorocтва, i rozbójnicy Dismos i Gestas, którzy wraz ze swoimi kamratami zabili czterech moich żołnierzy, i ten brudny zdrajca Juda wreszcie – wszystko to są więc ludzie dobrzy?

– Tak – odpowiedział więzień.

– I nastanie królestwo prawdy?

– Nastanie, hegemonie – z przekonaniem odparł Jezua.

– Ono nigdy nie nastanie – nieoczekiwanie zaczął krzyczeć Piłat, a krzyczał głosem tak

straszny, że Jezua aż się cofnął. Takim głosem przed wieloma laty w Dolinie Dziewic wołał Piłat do swoich jezdnych: “Rąb ich! Rąb ich! Olbrzym Szczurza Śmierć jest otoczony!” Jeszcze podniósł zdarty od wyrzaskiwania komend głos, wykrzykiwał słowa tak, aby usłyszano je w ogrodzie: – Łotrze! Łotrze! Łotrze! – A potem ściszył głos i zapytał: – Jezua Ha–Nocri, czy wierzysz w jakichkolwiek bogów?

– Jest jeden Bóg – odpowiedział Jezua – i w niego wierzę.

– Więc się do niego pomódl! Módl się najgoręcej, jak umiesz! A zresztą... – głos Piłata pękł nagle – nic ci to nie pomoże. Masz żonę? – zapytał ze smutkiem, sam nie rozumiał, co się z nim dzieje.

– Nie, jestem samotny.

– Przekłete miasto... – nie wiadomo dlaczego mruknął nagle procurator i wstrząsnął się, jakby go przeszedł ziąb, potarł dłonie, jakby je umywał. – Zaprawdę, byłoby to znacznie dla ciebie lepiej, gdyby ci ktoś poderznął gardło, zanim spotkałeś Judę z Kiriatu.

– A może byś mnie wypuścił, hegemonie – poprosił nagle więzień i w jego głosie zabrzmiał strach. – Widzę, że chcą mnie zabić.

Przez twarz Piłata przebiegł skurcz, zwrócił na Jeszue przekrwione białka oczu i powiedział:

– Czy doprawdy sadzisz, nieszczęsny, że procurator rzymski puści wolno człowieka, który powiedział to, co ty mówiłeś? O, bogowie! Przypuszczasz może, że mam ochotę zająć twoje miejsce? Ja twoich poglądów nie podzielam! I zapamiętaj sobie, że jeśli powiesz od tej chwili choćby jedno słowo, jeśli będziesz z kimkolwiek rozmawiał – to strzeż się mnie! Powtarzam – strzeż się!

– Hegemonie...

– Zamilcz! – krzyknął Piłat i powiódł wściekłym spojrzeniem za jaskółką, która znowu wpadła pod kolumnadę. – Do mnie! – zawołał.

Kiedy sekretarz i żołnierze eskorty powrócili na swoje miejsca, Piłat oznajmił, że zatwierdza wyrok śmierci wydany na przestępcę Jeszue Ha–Nocri przez zgromadzenie Małego Sanhedrynu, a sekretarz zapisał to, co Piłat powiedział.

W chwilę później stanął przed procuratorem Marek Szczurza Śmierć. Procurator polecił mu przekazać więźnia komendantowi tajnej służby, a zarazem powtórzyć komendantowi polecenie procuratora, by Jezua Ha–Nocri nie kontaktował się z innymi skazanymi, a także, by ludziom z tajnej służby wydać obwarowany surowymi karami zakaz rozmawiania o czymkolwiek z Jeszua i

udzielania odpowiedzi na jakiegokolwiek jego pytania.

Marek dał znak, eskorta otoczyła Jeszucę i wyprowadziła go z tarasu.

Po czym stanął przed procuratorem urodziwy jasnobrody młodzieniec. W grzebieniu hełmu miał orle pióra, na jego piersiach połyskiwały złote pyski lwów, pochwa jego miecza okuta była złotymi blaszkami, miał sznurowane aż po kolana buty na potrójnej podeszwie, na lewe ramię narzucił purpurowy płaszcz. Był to legat, dowódca legionu.

Procurator zapytał go, gdzie się obecnie znajduje kohorta z Sebaste. Legat oznajmił, że sebastycjacy tworzą kordon na placu przed hipodromem, tam gdzie zostanie zakomunikowany ludowi wyrok na oskarżonych.

Wówczas procurator polecił legatowi wydzielić dwie centurie z rzymskiej kohorty. Jedna z nich pod dowództwem Szczurzej Śmierci będzie eskortowała skazanych, wozy ze sprzętem potrzebnym do kaźni i oprawców w drodze na Nagą Górę, a kiedy już tam przybędzie, ma się przyłączyć do kordonu ochraniającego jej szczyt. Drugą nie zwlekając należy posłać na Nagą Górę, niech utworzy kordon już teraz. Procurator poprosił również legata, aby z tym samym zadaniem, to znaczy z zadaniem osłaniania szczytu, wysłać tam pomocniczy korpus jazdy, ale syryjską.

Kiedy legat opuścił taras, procurator polecił sekretarzowi zaprosić do pałacu przewodniczącego i dwu członków Sanhedrynu, a także przełożonego kapłanów jerozolimskiej świątyni, ale dodał jeszcze, że pragnie, by wszystko tak zostało urządzone, żeby zanim spotka się z nimi wszystkimi, mógł pomówić na osobności z przewodniczącym.

Polecenia procuratora wykonane zostały szybko i dokładnie i słońce, które w owe dni paliło Jerozolimę z tak niezwykłym okrucieństwem, nie zdążyło się jeszcze zbliżyć do zenitu, kiedy już koło dwu białych lwów z marmuru, strzegących schodów na górnym tarasie ogrodu, procurator spotkał się z pełniącym obowiązki przewodniczącym Sanhedrynu, arcykapłanem judejskim, Józefem Kajfaszem.

W ogrodzie panowała cisza. Ale kiedy procurator wyszedł spod kolumnady na zalany słońcem górny plac ogrodu, pomiędzy cudaczne słoniowe nogi palm, na placu, z którego otwierał się widok na znienawidzone przez procuratora Jerozolimę, na wiszące mosty miasta, na jego mury obronne, na, co najważniejsze, nie dającą się opisać bryłę marmuru zwieńczona zamiast dachu złotą smoczą łuską, na jerozolimską świątynię – wtedy wyostrzony słuch Piłata uchwycił dobiegający z dala, z dołu, stamtąd gdzie mur odgradzał najniższe tarasy pałacowego ogrodu od

placu miejskiego, głuchy pomruk, ponad który od czasu do czasu wybijały się ledwie dosłyszalne, cienkie ni to krzyki, ni to jęki.

Procurator zrozumiał, że tam, na placu, zgromadziły się już nieprzeliczone tłumy mieszkańców Jeruzalaim wzburzonych niedawnymi zamieszkami w mieście, i wiedział, że te tłumy oczekują z niecierpliwością na ogłoszenie wyroku, wiedział, że krzyczą w ciżbie ruchliwi sprzedawcy wody.

Procurator rozpoczął od tego, że zaproponował arcykapłanowi, by schronić się przed bezlitosnym skwarem pod dach tarasu, ale Kajfasz, podziękowawszy uprzejmie, wyjaśnił, że w przededniu święta nie może tego uczynić. Piłat osłonił więc kapturem swoją nieco już łysiejącą głowę i rozpoczął rozmowę. Rozmawiali po grecku.

Piłat powiedział, że rozpatrzył sprawę Jezuï Ha–Nocri i że zatwierdził wyrok śmierci.

A zatem na karę śmierci, która powinna zostać wymierzona dziś jeszcze, skazani są trzej rozbójnicy. Dismos, Gestas i Bar Rawan, a oprócz nich jeszcze i ten Jezuï Ha–Nocri. Dwaj pierwsi, jako ci, którzy podburzali lud do buntu przeciwko Cezarowi i ujęci zostali z bronią w ręku przez władze rzymskie, należą do procuratora i o nich nie mówimy. Natomiast dwaj pozostali, Bar Rawan i Ha–Nocri, zostali zatrzymani przez władze miejscowe i sądził ich Sanhedryn. Zgodnie z prawem i obyczajem jeden z nich powinien zostać ułaskawiony i zwolniony w związku z rozpoczynającym się dziś wielkim świętem Paschy. Procurator chciałby zatem wiedzieć, którego z nich Sanhedryn zamierza obdarzyć wolnością – Bar Rawana czy Ha–Nocri?

Kajfasz pochylił głowę na znak, że rozumie prokuratora, i odparł:

– Sanhedryn prosi, by ułaskawić Bar Rawana.

Procurator był pewien, że arcykapłan tak właśnie mu odpowie, ale teraz chodziło o to, by udać, że taka odpowiedź ogromnie go zadziwia.

Piłat zrobił to znakomicie. Uniósł brwi i ze zdumieniem spojrzał arcykapłanowi prosto w oczy.

– Przyznaję, że ta odpowiedź mnie zaskoczyła – powiedział łagodnie. – To chyba jakieś nieporozumienie.

Wyjaśnił to dokładniej. Władze rzymskie nie zamierzają w niczym uszczuplać praw miejscowych władz duchownych, arcykapłan wie o tym najlepiej, ale w tym wypadku najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka. I władze rzymskie są, oczywiście, zainteresowane w

naprawieniu tej pomyłki.

Doprawdy, ciężar przewin Bar Rawana i Ha–Nocri. nie daje się ze sobą porównać. O ile ten drugi, człowiek najwyraźniej niespełna rozumu, winien jest wygłaszania głupich mów w samym Jeruzalaim i w niektórych innych miejscowościach, o tyle ten pierwszy ma na sumieniu znacznie cięższe sprawy. Nie dość, że pozwalał sobie na otwarte nawoływania do powstania, to jeszcze zabił żołnierza, kiedy próbowano go aresztować. Bar Rawan jest bez porównania bardziej niebezpieczny niż Ha–Nocri.

Z związku z tym wszystkim procurator prosi arcykapłana o ponowne rozważenie sprawy i uwolnienie mniej niebezpiecznego z dwu skazanych, a mniej niebezpieczny jest bez wątpienia Ha–Nocri. A więc?...

Kajfasz cichym, ale stanowczym głosem powiedział, że Sanhedryn dokładnie zbadał tę sprawę i raz jeszcze oświadcza, że jest jego zamiarem uwolnienie Bar Rawana.

– Co słyszę? Nawet po moim wstawiennictwie? Po wstawiennictwie tego, przez którego usta przemawia władza rzymska? Arcykapłanie, powtórz to po raz trzeci.

– Także i po oraz trzeci oświadczam, że uwalniamy Bar Rawana – cicho powiedział Kajfasz.

Sprawa została zakończona, nie było już o czym rozmawiać. Ha–Nocri odchodził na zawsze i nikt nie wyleczy procuratora z tych straszliwych, nieznośnych bólów głowy, oprócz śmierci nie ma na nie lekarstwa. Ale nie ta myśl niepokoiła teraz Piłata. Przenikał go ten sam niepojęty smutek, który ogarnął go już wcześniej, na tarasie. Procurator usiłował zrozumieć powód tego smutku. Powód był dziwny – procurator miał niejasne wrażenie, że nie dokończył rozmowy ze skazanym, a może nie dosłuchał czegoś do końca.

Piłat odpędził tę myśl, odleciała natychmiast, tak jak przyszła. Odleciała, pozostał niepojęty smutek, niepojęty, bo przecież niczego nie mogła tu wyjaśnić inna myśl, która przebiegła jak błyskawica i natychmiast zagasła, krótka myśl: “Nieśmiertelność... nadeszła nieśmiertelność...” Kto ma zostać nieśmiertelnym? Tego procurator nie zrozumiał, ale myśl o owej zagadkowej nieśmiertelności sprawiła, że mimo upału zrobiło mu się zimno.

– Dobrze – powiedział Piłat. – Niech więc tak będzie.

Obejrzał się, rozejrzał się dokoła i zdziwiła go nagła przemiana otoczenia. Zniknęły ocieślały od kwiatów krzak róży, zniknęły okalające górny taras cyprysy i drzewo granatu, i biała statua stojąca pośród zieleni, nawet sama zieleń. Napłynął na to miejsce jakiś purpurowy gąszcz, w którym chwiały się i rozpełzały wodorosty, a wraz z wodorostami kołysał się i on sam, Piłat.

Uniósł się gniewem, palącym, duszącym, najstraszliwszym, gniewem bezsilności.

– Duszno mi! – wyszeptał. – Duszę się! Wilgotną zimną dłonią targnął zapinkę na kołnierzu płaszcza, upadła na piasek.

– Dziś jest duszno, na pewno nadciąga burza – powiedział Kajfasz, nie spuszczać oczu z poczerwieniałej twarzy prokuratora i domyślając się wszystkich cierpień, które tamtego jeszcze czekają: – O, jakież straszny jest w tym roku miesiąc nisan!

– Nie – powiedział Piłat – to nie dlatego, że jest duszno, ale dlatego, Kaifo, że świat stał się dla nas atoli za ciasny – zmrużył oczy, uśmiechnął się i dorzucił: – Strzeż się, arcykapłanie!

Ciemne oczy arcykapłana zabłyśły, udał zdumienie nie gorzej, niż to przedtem uczynił prokurator.

– Co słyszę, prokuratorze? – odpowiedział wyniośle i spokojnie. – Grozisz mi, kiedy został wydany wyrok, który ty sam zatwierdziłeś? Czy być może? Przyzwyczailiśmy się do tego, że prokurator rzymski waży słowa, zanim cokolwiek powie. Czy nikt nas nie słyszy, hegemonie?

Piłat popatrzył na arcykapłana martwymi oczyma i wyszczerzył zęby udając uśmiech.

– Co mówisz, arcykapłanie? Któż by nas tu teraz mógł usłyszeć? Nie jestem dzieckiem, Kajfaszu. Wiem, co mówię, i wiem, gdzie mówię. Straże wokół ogrodu, straż wokół pałacu, nawet mysz się tu nie prześlizgnie. Nie tylko mysz, nie prześlizgnie się nawet ten, jakże mu tam... ten, z miasta Kiriat. Nawiasem mówiąc, czy znasz go, arcykapłanie? Tak... gdyby zdołał się tu dostać ktoś taki, gorzko by pożałował, wierzysz mi, oczywiście, że miałby czego żałować? A więc wiedz, arcykapłanie, że nie zaznasz odtąd spokoju! Ani ty, ani twój lud! – i Piłat wskazał w dal, w prawo, tam gdzie jaśniała na wzgórzu świątynia. – To ci powiadam ja, Piłat z Fontu, Jeździec Złotej Włóczni!

– Wiem, wiem! – nieulekłe odpowiedział czarnobrody Kajfasz, oczy mu zabłyśły, wznosił rękę ku niebu, ciągnął: – Lud judejski wie dobrze, że nienawidzisz go okrutną nienawiścią, będziesz przyczyna wielu udręczeń tego ludu, ale zgubić go nie zdołasz! Bóg go obroni! Usłyszy nas i wysłucha wszechpotężny Cezar i osłoni nas, obroni przed prześladowcą Piłatem!

– O, nie! – krzyknął Piłat. Z każdym słowem czuł się coraz lepiej, nie musiał już niczego udawać, nie musiał dobierać słów. – Zbyt często skarżyłeś się na mnie Caesarowi, Kajfo, teraz nadeszła moja godzina! Polecą teraz ode mnie, ale nie do namiestnika w Antiochii i nie do Rzymu, tylko wprost na Capreje, do samego imperatora, wiadomość o tym, jak tu, w Jeruzalaim, bronicie przed śmiercią zatwardziały buntowników. I wtedy ja napoję Jeruzalaim nie wodą ze

źródeł Salomona, jak to chciałem uczynić dla waszego dobra, o, nie, nie wodą! Przypomnij sobie, że to z waszego powodu musiałem zdjąć ze ściany tarcze z imperatorskimi buńczukami, wysłać wojska, musiałem, jak widzisz, sam przyjechać, by zobaczyć, co się tu u was wyprawia! Zapamiętaj sobie moje słowa, arcykapłanie – nie jedna kohortę zobaczysz w Jeruzalaim, o, nie jedną! Przyjdzie pod mury miasta cała legia Fulminata, przyjdzie arabska konnica, a wtedy usłyszysz gorzki płacz i narzekania! Przypomnisz sobie wtedy, jak to uratowaliście Bar Rawana!

Arcykapłanowi plamy wystąpiły na twarz, jego oczy płonęły. Uśmiechał się szczerząc zęby, podobnie jak to przedtem uczynił procurator, i odpowiedział:

– Czy ty sam, procuratorze, wierzysz w to, co teraz mówisz? Nie, ty w to nie wierzysz. Tyś go chciał wypuścić po to, by podburzał lud, by natrząsał się z religii i przywiódł lud pod rzymskie miecze! Ale ja, arcykapłan judejski, póki życia mego, religii naszej hańbić nie pozwolę i lud mój osłonię! Słyszysz mnie, Piłacie? – Kajfasz nagle podniósł gniewnie ramię. – Posłuchaj, procuratorze!

Zamilkł i procurator usłyszał znowu coś jak gdyby szum morza, napływający aż pod mury ogrodów Heroda Wielkiego. Szum ów dobiegał z dołu, wznosił się ku stropom, ku twarzy procuratora. A za plecami Piłata, za skrzydłem pałacu grały larum trąbki, słychać było stamtąd ociężały chrzęst setek nóg i pobrzękiwanie żelastwa. Procurator zrozumiał, że to już wymarsz piechoty rzymskiej, która spełniając jego rozkaz, udaje się na straszną dla buntowników i zbójców przedśmiertelną defiladę.

– Słyszysz, procuratorze? – cicho powtórzył arcykapłan.

Procurator otarł wierzchem dłoni mokre, zimne czoło, popatrzył w ziemię, potem zmrużywszy oczy spojrział w niebo, zobaczył rozpalona kulę już niemal dokładnie nad głową, zobaczył cień Kajfasza, krótki, leżący tuż przy ogonie lwa, powiedział spokojnie i obojętnie:

– Zbliża się południe. Rozmowa nasza przeciągnęła się, a tam na nas czekają.

W najwyszukańszych słowach przeprosiwszy arcykapłana, zaproponował mu, aby zechciał usiąść na ławeczce w cieniu magnolii i zaczekać, póki procurator nie przywoła pozostałych osób, których obecność na ostatnim krótkim posiedzeniu jest nieodzowna, i póki nie wyda jeszcze jednego polecenia pozostającego w związku z rychłą kaźnią.

Kajfasz skłonił się uprzejmie, przykładając dłoń do serca, i pozostał w ogrodzie, a Piłat wrócił na taras. Sekretarzowi, który tam nań oczekiwał, polecił sprowadzić do ogrodu legata legionu, trybuna kohorty oraz dwu członków Sanhedrynu i przełożonego świątynnej służby. Oczekiwali

już na dolnym tarasie w krągłej altance, w której była fontanna. Piłat dodał jeszcze, że sam przyjdzie do ogrodu za chwilę i wszedł do pałacu.

Podczas kiedy sekretarz sprowadzał zainteresowanych, procurator spotkał się w mrocznej, osłoniętej ciemnymi zasłonami komnacie z jakimś człowiekiem, który połowę twarzy przesłonił sobie kapturem, choć do komnaty nie wpadał ani jeden promień słońca. Spotkanie ich trwało niezmiernie krótko. Procurator wyrzekł po cichu kilka słów i człowiek ów odszedł, a Piłat przez kolumnadę udał się do ogrodu.

Tam, w obecności wszystkich, których kazał zaprosić, powtórzył oschle, lecz uroczyście, że zatwierdza wydany na Jezusie Ha–Nocri wyrok śmierci i oficjalnie zapytał członków Sanhedrynu, którego ze skazanych chcieliby oszczędzić. Usłyszawszy, że Bar Rawana, powiedział:

– Bardzo dobrze – polecił sekretarzowi wprowadzić to natychmiast do protokołu, zacisnął w dłoni zapinkę, którą sekretarz podjął z piasku, i powiedział uroczyście: – Już czas!

I wszyscy obecni poszli w dół szerokimi marmurowymi schodami, między dwiema ścianami róż, które wydzielaly odurzający zapach, i zeszli aż pod mur pałacowy, ku bramie prowadzącej na wielki, starannie wybrukowany plac, po drugiej stronie którego widać było kolumny i posągi jerozolimskiego gimnazjonu.

Skoro tylko cała grupa, wyszedłszy z ogrodów na plac, weszła na rozległy, górujący nad placem kamienny pomost, Piłat zmrużył oczy i rozejrzał się badając sytuację.

Przestrzeń, którą przed chwilą przemierzył, przestrzeń dzieląca pomost od pałacowego muru, była pusta, ale za to przed sobą Piłat nie zobaczył już placu – plac pokrywały tłumy. Tłum zalałby także pomost i ową pustą przestrzeń, gdyby nie powstrzymywał go potrójny kordon sebastijskich żołnierzy na lewo od Piłata i potrójny kordon żołnierzy iturejskiej kohorty sojuszniczej na prawo odeń.

A zatem Piłat wstąpił na pomost, zaciskając odruchowo w dłoni niepotrzebną mu teraz zapinkę i mrużąc oczy. Procurator mrużył je bynajmniej nie dlatego, że raziło go słońce, nie, nie dlatego. Po prostu, nie wiadomo dlaczego, nie chciał widzieć skazanych, a wiedział, że w ślad za nim wprowadzają ich już na pomost.

Skoro tylko wysoko nad blokami kamienia, nad brzegiem ludzkiego morza pojawił się biały, podszyty purpurą płaszcz, o uszy nie patrzącego Piłata uderzyła fala krzyku: “Ha–a–a...” Zrodzona gdzieś daleko, aż koło hipodromu, słaba z początku, nabrała siły grzmotu, trwała tak przez kilka sekund, a potem zaczęła zacichać. “Dostrzegli mnie” – pomyślał procurator. Krzyk

nie ucichł całkiem, ale nieoczekiwanie zaczął znowu narastać, rozhuśtał się, stał się jeszcze głośniejszy niż przedtem i na tej drugiej jego fali, jak piana na fali morskiej, zawrzały gwizdy i pojedyncze, dające się rozróżnić wśród tego grzmotu jęki kobiet. “To już ich wprowadzono – pomyślał Piłat – a te jęki, to jęki kilku kobiet, które tłum stratował, kiedy runął naprzód”.

Odczekał chwilę wiedząc, że nie ma takiej siły, która kazałaby tłumowi zamilknąć, zanim nie wyrzuci z siebie wszystkiego, co ma na sercu, i nie zamilknie sam.

A kiedy nadszedł ów moment, procurator wznosił prawą dłoń i w tłumie urwały się ostatnie pomruki.

Wtedy Piłat nabrał w piersi, ile tylko mógł, rozpalonego powietrza i jego schryply od komend głos podniósł się ponad tysiącami głów:

– W imieniu Caesara Imperatora!...

Procurator usłyszał powtórzony po kilkakroć, skandowany żelazny krzyk – to żołnierze obu kohort wznosząc w górę włócznie i orły zawrzaskały straszliwie:

– Niech żyje Caesar!!!

Piłat uniósł głowę ku słońcu. Zapłonął pod jego powiekami zielony ogień, mózg zajął się od tego płomienną i poszybowały ponad tłumem ochryple aramejskie słowa:

– Czterech przestępców zatrzymanych w Jerozolimie za morderstwa, podburzanie do buntu, obrazę praw i religii skazanych zostało na hańbiącą śmierć przez rozpięcie na słupach. Wyrok zostanie niebawem wykonany na Nagiej Górze. Imiona tych przestępców – Dismos, Gestas, Bar Rawan i Ha-Nocri. Oto stoją przed wami.

Piłat wskazał dłonią na prawo. Nie widział skazanych, ale wiedział, że są tam, gdzie być powinni.

Tłum odpowiedział przeciągłym pomrukiem, jakby zdumienia, a może ulgi. Kiedy pomruk ten umilkł, Piłat wołał dalej:

– Ale straceni zostaną tylko trzej spośród nich, albowiem zgodnie z prawem i obyczajem na cześć święta Paschy wspaniałomyślny Caesar Imperator jednemu z nich, wybranemu za zgodą władz rzymskich przez Mały Sanhedryn, darowuje jego godne pogardy życie.

Piłat wykrzykiwał te słowa, a zarazem słuchał, jak zamierają ostatnie pomruki tłumy, jak zapada wielka cisza. Żaden szept ani westchnienie nie dobiegały teraz do jego uszu, była nawet taka chwila, w której Piłatowi zaczęło się wydawać, że wszystko dokoła niego zniknęło. Znienawidzone miasto umarło i tylko on jeden stoi w palących promieniach wysokiego słońca z

twarzą zanurzoną w niebie. Piłat jeszcze przez chwilę przedłużał tę ciszę, a potem znowu zaczął krzyczeć:

– Imię tego, który za chwilę w waszej przytomności odzyska wolność...

Zrobił jeszcze jedną pauzę, zanim wypowie to imię, zastanowił się, czy powiedział wszystko, co należało, wiedział bowiem, że martwe miasto zmartwychwstanie, skoro tylko padnie imię wybrańca, a wtedy nic z tego, co powie, nie będzie już usłyszane.

“Czy to wszystko? – bezgłośnie szepnął do siebie Piłat. – Tak, to wszystko. – Zatem – imię!”

I rozpościerając nad milczącym miastem głoskę “r” zawołał:

– Bar Rawan!

I wydało mu się nagle, że słońce dźwięcznie pękło nad jego głową i zalało mu uszy ogniem. Hasało w tym ogniu wycie, piski, jęki, śmiechy i gwizdy.

Piłat odwrócił się i przeszedł przez pomost w stronę schodów, nie patrzył na nic, śledził tylko, by się nie potknąć, różnobarwną szachownicę kamyków pod nogami. Wiedział, że jak grad lecą teraz na pomost za jego plecami brązowe monety i orzeszki palmowe, że w wyjącej ciżbie ludzie tratują się i włączają sobie wzajem na ramiona, byle tylko zobaczyć na własne oczy ów cud – człowieka, który był już we władaniu śmierci i który wyrwał się z jej rak. Byle tylko zobaczyć, jak legionieści zdejmują zeń więzy, sprawiając mu tym mimo woli dokuczliwy ból w wywichniętych w czasie śledztwa rękach, jak człowiek ten, krzywiąc się i pojękując, uśmiecha się zarazem nieprzytomnym, bezmyślnym uśmiechem.

Wiedział, że jednocześnie eskorta prowadzi ku bocznym schodkom trzech związanych więźniów, że wyprowadzi ich za chwilę na drogę wiodącą ku zachodowi, za miasto, na Nagą Górę. Podniósł oczy dopiero wtedy, kiedy znalazł się poza pomostem i wiedział, że nic mu już nie grozi, że nie może już zobaczyć skazańców.

Do pomruków tłumu, który już się zaczął uciszać, dołączyły się przenikliwe krzyki heroldów, powtarzających po aramejsku i po grecku to wszystko, co wykrzyczał z pomostu procurator. Piłat usłyszał również przybliżający się rozdygotany tupot końskich kopyt i wesoły, urywany głos trąbki. A potem usłyszał jeszcze przenikliwe gwizdy chłopców, którzy obsiedli dachy domów przy ulicy, prowadzącej od targowiska do placu przy hipodromie, i okrzyki “Uwaga...”

Samotny żołnierz, który stał pośrodku pustej części placu, ostrzegawczo pomachał trzymanym w rękę znakiem. Procurator, legat legionu, sekretarz i żołnierze eskorty przystanęli.

Ala jezdnych wypadła cwałem na plac, przecięła go na ukos, omijając bokiem zgromadzone

tłumy, by przez zaułek obok obrośniętych winem murów obronnych najkrótszą drogą popędzić na Nagą Górę.

Cwałujący na czele mały jak wyrostek i ciemny jak Mulał Syryjczyk, dowódca ali, zrównawszy się z Piłatem krzyknął coś przenikliwie i wyszarpnął miecz z pochwy. Jego dziki, spieniony kary koń uskoczył i stanął dęba. Dowódca wcisnął miecz do pochwy, krótkim biczem smagnął konia po karku, wyrównał do szeregu, dopadł zaułka, przeszedł w galop. Za nim trójkami przemknęli w chmurach kurzu jeźdźcy, podskakiwały groty lekkich bambusowych dzid, przelatywały obok procuratora twarze o białych, połyskliwych, wesoło wyszczerzonych zębach, twarze, które pod białymi zawojami wydawały się być jeszcze smaglejsze.

Wzbijając kurz aż pod niebo, ala wpadła w zaułek, koło Piłata przemknął ostatni żołnierz, jarzyła się w słońcu trąbka, którą miał przewieszoną przez ramię.

Piłat dłonią osłonił twarz od kurzu i krzywiąc się z niezadowoleniem ruszył dalej, kierując się ku bramie ogrodów pałacowych, a legat, sekretarz i żołnierze eskorty szli za nim.

Była mniej więcej dziesiąta rano.

3. Dowód siódmy

Tak, była mniej więcej dziesiąta rano, wielce szanowny Iwanie Nikołajewiczu – powiedział profesor.

Poeta, jak człowiek, który dopiero co się obudził, przesunął dłonią po twarzy i spostrzegł, że na Patriarszych Prudach zapadł już wieczór. Po czarnej wodzie stawu ślizgała się lekka łódka, słychać było plusk wiosel i śmieszek znajdującej się w łódce obywatelki. Na ławkach w alejkach pojawiła się publiczność, ale tylko na trzech bokach kwadratu, na czwartym, gdzie siedzieli nasi znajomi, było nadal pusto.

Niebo nad Moskwą jakby wypłowiło i zupełnie wyraźnie widać było księżyc w pełni, jeszcze nie złoty, tylko biały. Powietrze stało się chłodniejsze i głosy pod lipami brzmiały teraz łagodniej, po wieczornemu.

“Jak mogłem nawet nie zauważyć, kiedy on nam tu opowiedział całą tę bzdurną bajdę? – ze zdumieniem pomyślał Bezdomny. – Przecież już wieczór. A może on nic nie mówił, może po prostu zasnąłem i to wszystko mi się przyśniło?”

Należy jednak sądzić, iż to profesor opowiadał, inaczej bowiem musielibyśmy przyjąć, że dokładnie to samo przyśniło się Berliozowi, ponieważ powiedział wpatrując się uważnie w twarz cudzoziemca:

– Pańskie opowiadanie, profesorze, jest nadzwyczaj interesujące, aczkolwiek całkowicie sprzeczne z Ewangelią.

– Na litość – uśmiechnął się z pobłażliwą ironią profesor – kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że nic z tego, co zostało opisane w Ewangelii, nie miało miejsca naprawdę i jeżeli zaczniemy powoływać się na Ewangelię jako na źródło historyczne... – Profesor znów się uśmiechnął, a Berlioz zająknął się; bo dosłownie to samo mówił Bezdomnemu, idąc z nim Bronną w stronę Patriarszych Prudów.

– Ma pan rację – powiedział Berlioz – ale obawiam się, że nikt nie może potwierdzić, iż to, co pan nam opowiedział, zdarzyło się istotnie.

– E, nie. Jest ktoś, kto to może potwierdzić – łamanym rosyjskim językiem, z ogromną pewnością siebie oświadczył profesor i niespodziewanie tajemniczym gestem zachęcił przyjaciół, aby przysunęli się bliżej.

A kiedy pochyłili się ku niemu z obu stron, powiedział już bez cienia obcego akcentu, który diabli wiedzą czemu to się u niego pojawiał, to znikał:

– Rzecz w tym – tu profesor rozejrzał się lękliwie i zaczął szeptać – że sam przy tym byłem. Byłem i na tarasie u Poncjusza Piłata i w ogrodzie, kiedy rozmawiał z Kajfaszem, i na pomoście, oczywiście potajemnie, incognito, jeśli tak można powiedzieć, więc bardzo proszę – nikomu ani słowa, całkowita dyskrecja, tśśś...

Zapadło milczenie, Berlioz zbladł.

– A pan... od jak dawna jest pan w Moskwie? – zapytał drżącym głosem.

– Właśnie przyjechałem – niepewnie odpowiedział profesor. Dopiero teraz literatom przyszło do głowy, aby uważnie popatrzeć mu w oczy, i przekonali się, że w lewym, zielonym, płonie obłąd, prawe zaś – jest czarne, martwe i puste.

“No, wszystko jest jasne – panicznie pomyślał Berlioz – Ten Niemiec albo już przyjechał obłąkany, albo dopiero co zwariował akurat na Patriarszych Prudach. Ładna historia!”

Tak, rzeczywiście, wszystko stawało się zrozumiałe – i to co najmniej dziwne śniadanie u nieboszczyka filozofa Kanta, i idiotyczna gadanina o Annuszce i oleju słonecznikowym, i przepowiednie o odciętej głowie, i wszystko inne – profesor był obłąkany.

Berlioz natychmiast zorientował się, co należy robić. Osunął się na oparcie ławki i za plecami profesora mrugnął do Bezdomnego: nie spieraj się z nim. Ale wytrącony z równowagi poeta nie zrozumiał.

– Tak, tak, tak – z podnieceniem mówił Berlioz. – Cóż, to wszystko jest dość prawdopodobne... i Poncjusz Piłat, i taras, i tak dalej... nawet bardzo prawdopodobne... A pan przyjechał sam czy może z małżonką?

– Sam, sam, ja zawsze jestem sam – gorzko odparł profesor.

– A gdzie są pańskie rzeczy, profesorze? – przymilnie wypytywał Berlioz. – W “Metropolu”? Gdzie się pan zatrzymał?

– Ja? Nigdzie – odpowiedział obłąkany Niemiec, a jego zielone oko dziko i smętnie błędziło po stawie.

– Co?... A... gdzie pan ma zamiar mieszkać?

– W pana mieszkaniu – bezczelnie odpowiedział wariat i przymrużył oko.

– Ja... byłbym szalenie rad... – wybełkotał Berlioz – ale proszę mi wierzyć, że u mnie będzie panu niewygodnie... a w “Metropolu” są znakomite apartamenty, to naprawdę świetny hotel.

– A diabła też nie ma? – nagle wesoło zapytał Iwana Nikołajewicza chory.

– Diabła też...

– Nie sprzeciwiaj mu się – samymi wargami szepnął Berlioz przechylając się za plecami profesora i robiąc miny do poety.

– Nie ma żadnego diabła! – Iwan Nikołajewicz doprowadzony do ostateczności całym tym cyrkiem wykrzyknął zupełnie nie to, co trzeba. – Co to za obłąd! Czyście poszaleli?

Obłąkany wybuchnął takim śmiechem, że z lipy, pod która stała ławka, wyfrunął wróbel.

– To naprawdę zaczyna być ciekawe – powiedział trzęsąc się ze śmiechu – co to się u was dzieje? Czego byś nie tknął, tego nie ma – nagle przestał się śmiać i, co przy chorobie umysłowej zupełnie zrozumiałe, po nadmiernej wesołości wpadł w drugą skrajność i zirytowany zakrzyknął surowo: – Więc to znaczy, że go nie ma, tak?

– Proszę się uspokoić, proszę się uspokoić, profesorze – nie chcąc denerwować chorego mamrotał Berlioz. – Niech pan tu chwileczkę posiedzi z towarzyszem Bezdomnym, a ja tylko skoczę na róg do telefonu, a potem zaraz pana odprowadzimy, dokąd pan tylko będzie sobie życzył. Pan przecież nie zna miasta...

Plan Berlioza należy uznać za jedynie słuszny – należało pobiec do najbliższego automatu i zawiadomić biuro turystyki zagranicznej, że przybyły właśnie z zagranicy konsultant znajduje się na Patriarszych Prudach w stanie najwyraźniej odbiegającym od normy. Trzeba z nim koniecznie coś zrobić, bo sprawa przybiera zdecydowanie nieprzyjemny obrót.

– Zadzwoń! No cóż, niech pan dzwoni – ze smutkiem wyraził zgodę chory i nagle poprosił żarliwie – ale na pożegnanie błagam pana, niech pan uwierzy chociaż w to, że istnieje diabeł. O nic więcej nie proszę. Niech mi pan wierzy, że na to istnieje siódmy dowód, nie do obalenia, i dowód ten niebawem zostanie panu przedstawiony,

– Dobrze, dobrze – powiedział z udaną serdecznością Berlioz mrugając do zdenerwowanego poety, któremu wcale nie uśmiechała się rola strażnika przy obłąkanym Niemcu, i ruszył w stronę tego wyjścia, które znajdowało się na rogu Bronnej i Jermołajewskiej.

Profesor natychmiast rozpozgodził się i jakby ozdrowiał.

– Michale Aleksandrowiczu! – zawołał za Berliozem.

Redaktor drgnął, odwrócił głowę, ale sam siebie uspokoił, że najpewniej jego imię również jest profesorowi znane z gazet.

A profesor wołał przez zwinięte w trąbkę dłonie:

– Jeśli pan sobie życzy, to natychmiast każę wysłać depezę do pańskiego wujka do Kijowa!

Berlioza znów przeszedł dreszcz. Skąd wariat wie o wujku z Kijowa? Przecież o tym na pewno nie pisała żadna gazeta. Ee... Czy Bezdomny nie ma jednak racji? A jeśli te dokumenty są lipne? Co za przedziwny facet... Trzeba zadzwonić, natychmiast trzeba zadzwonić! Faceta szybko wyjaśnią.

I nie słuchając dłużej, Berlioz pobiegł dalej.

Tuż przy wyjściu na Bronną podniósł się z ławki na spotkanie redaktora obywatel identycznie taki sam, jak ten, który przedtem w świetle słońca utkał się z tłustego upału. Tylko że teraz nie był już ulepiony z powietrza, był normalny, z krwi i kości. W zapadającym zmierzchu Berlioz wyraźnie zobaczył, że facet ma wąsiki jak kurze piórka, maleńkie ironiczne i na wpół pijane oczka, a kraciaste porcięta podciągnięte są tak wysoko, że widać brudne białe skarpetki.

Berlioz aż się cofnął, ale uspokoiła go myśl, że jest to po prostu głupi zbieg okoliczności i że w ogóle nie pora się nad tym zastanawiać.

– Szukacie wyjścia, obywatelu? – zardzewiałym tenorem zasięgnął informacji kraciasty typ. – Tędy, proszę. Prosto, a traficie, gdzie należy. Dalibyście za dobrą radę na ćwiartkę na wzmocnienie zdrowia byłego regenta chóru cerkiewnego – i, zgrywając się, facet zdjął zamasyście swoją dżokejską czapeczkę.

Berlioz nie miał zamiaru dłużej słuchać żebrzącego zgrywusa–dyrygenta, podbiegł do wyjścia i położył rękę na turnikiecie. Przekręcił go i już zamierzał postawić stopę na szynach, kiedy w twarz bryznęło mu białe i czerwone światło – na szklanej skrzynce zapłonął napis: „Strzeż się tramwaju”.

I tramwaj ten natychmiast nadleciał skracając w nową trasę, z Jermołajewskiej na Bronną. Kiedy zakręcił i wyszedł na prostą, niespodziewanie rozbłysnął wewnątrz elektrycznym światłem, zawył i dodał gazu.

Ostrożny Berlioz, choć stał w bezpiecznym miejscu, postanowił zawrócić, przesunął rękę na turnikiecie i zrobił krok do tyłu. I wtedy jego ręka ześlizgnęła się i spadła, noga niepowstrzymanie, jak po lodzie, pojechała po kocich łbach schodzących ukośnie w dół ku szynom tramwajowym, drugą jego nogę poderwało i Berlioza wyrzuciło na torowisko.

Starając się złapać za cokolwiek upadł na wznak, tyłem głowy niezbyt mocno uderzył o bruk i zdążył jeszcze zobaczyć wysoko nad sobą poźlocisty księżyc, ale czy był on po prawej, czy po lewej – tego już nie wiedział. Michał Aleksandrowicz zdążył przekręcić się na bok, wściekłym

ruchem, w tejże sekundzie podciągnął nogi pod brzuch, odwrócił się i zobaczył niepowstrzymanie pędzącą na niego zbiełałą ze zgrozy twarz prowadzącej tramwaj kobiety i jej czerwoną opaskę. Nie krzyknął, ale cała ulica wokół niego zaskowyczała rozpaczliwymi kobiecymi głosami.

Kobieta–motorniczy szarpnęła elektryczny hamulec, wagon osiadł z nosem przy ziemi, potem błyskawicznie podskoczył, z brzękiem i łoskotem posypały się z okien szyby. I wtedy w mózgu Berlioza ktoś rozpaczliwie krzyknął: “A jednak!”

Raz jeszcze, ostatni raz, mignął księżyc, ale rozlatujący się na kawałki, potem zapanowała ciemność.

Tramwaj najechał na Berlioza i na bruk pod sztachety Patriarszej alei wypadł okrągły ciemny przedmiot. Przedmiot ten stoczył się na dół i podskoczył na kocich łbach jezdni.

Była to odcięta głowa Berlioza.

4. Pogoń

Ucichły histeryczne krzyki kobiet, milicyjne gwizdki odgwiżdżały swoje, jedna karetka pogotowia zabrała do kostnicy bezgłowe ciało i osobno głowę, druga zaś – poranioną odłamkami szkła ślicznotkę, która prowadziła tramwaj, dozorczy w białych fartuchach zmiotli rozbite szkło, posypali piaskiem kałużę krwi, poeta zaś jak upadł na ławkę, nie zdążywszy dobiec do wyjścia, tak na niej pozostał. Kilkakrotnie próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa – Bezdomnemu przydarzyło się coś, co można porównać jedynie do paraliżu.

Pobiegł do wyjścia, skoro tylko usłyszał pierwszy krzyk, widział podskakującą po kamieniach jezdni głowę. Widok ten niemal przyprawił go o szaleństwo. Upadł na ławkę i aż do krwi ugryzł się w rękę. Zapomniał oczywiście o zwariowanym Niemcu i tylko jedno starał się teraz zrozumieć; jak to może być – dopiero co rozmawiał z Berliozem, a teraz, dosłownie w minutę później – ta głowa...

Przejęci ludzie biegli alejką obok poety, wołali coś, ale do Iwana ich słowa nie docierały. Nagle niespodziewanie tuż przed nim wpadły na siebie dwie kobiety. Jedna z nich ostronosza i rozczochrana, tuż nad uchem poety krzyknęła do drugiej, co następuje:

– Annuszka, to nasza Annuszka! Ta z Sadowej! To wszystko przez nią... Kupiła w spożywczym olej słonecznikowy i trzask litrówką o turnikiet. Oj, wyklinała, na czym świat stoi, cała spódnice sobie uświniła! A on, biedak, pewnikiem poślizgnął się, no i pojechał na szyny...

Ze wszystkiego, co krzyczała kobieta, dotarło do nieprzytomnego mózgu poety jedno tylko słowo – “Annuszka”...

– Annuszka... Annuszka? – zamamrotał rozglądając się trwożnie. – Zaraz, zaraz...

Do słowa “Annuszka” dołączyły słowa “olej słonecznikowy”, a następnie, nie wiadomo dlaczego, “Poncjusz Piłat”. Piłata poeta odrzucił i zaczął łączyć ogniwa łańcucha poczynając od słowa “Annuszka”. Ogniwa te połączyły się nader szybko i zaprowadziły natychmiast do zwariowanego profesora.

“No, tak! Przecież to właśnie ten wariat powiedział, że zebranie się nie odbędzie, ponieważ Annuszka rozlała olej. I proszę – rzeczywiście się nie odbędzie. Nie dość tego, przecież tamten powiedział wprost, że Berliozowi utnie głowę kobieta? Tak, tak, tak! A tramwaj prowadziła kobieta! Co to wszystko ma znaczyć?”

Nie pozostawał nawet cień wątpliwości, że tajemniczy konsultant z góry dokładnie wszystko wiedział o straszliwej śmierci Berlioza. Tu dwie myśli przeszły mózg poety. Pierwsza: “Zawracanie głowy, to nie żaden wariat”. I druga: “Czy przypadkiem ten profesor tego wszystkiego sam nie zorganizował?”

“No dobrze, ale w jaki sposób?! Ee, tego to my się raz–dwa dowiemy!”

Iwan Bezdomy ogromnym wysiłkiem woli zmusił się do powstania z ławki i pobiegł tam, gdzie przed chwilą rozmawiał z profesorem. Okazało się, że cudzoziemiec na szczęście jeszcze nie odszedł.

Na Bronnej zapalono już latarnie, a nad Patriarszymi Prudami płonął złoty księżyc i w jego nieodmiennie oszukańczym świetle wydało się poecie, że profesor stoi obok ławki, ale trzyma pod pachą nie laskę, lecz szpadę.

Natrętny zdymisjonowany regent cerkiewnego chóru siedział na miejscu, które jeszcze niedawno zajmował Bezdomy. Obecnie dawny dyrygent cerkiewny wcisnął sobie na nos najoczywiściej zbędne binokle, w których jedno szkło było pęknięte, drugiego zaś brakowało w ogóle... Dzięki temu kraciasty obywatel stał się jeszcze paskudniejszy, niż był wówczas, gdy wskazywał Berliozowi drogę prowadzącą na szyny.

Iwan ze zmartwiałym sercem zbliżył się do profesora, spojrzął mu w twarz i upewnił się, że żadnych oznak obłądu na tej twarzy nie ma i nie było.

– Niech się pan przyzna, kim pan jest? – głucho zapytał Iwan.

Cudzoziemiec nachmurzył się, spojrzął na poetę, jakby go widział pierwszy raz w życiu, i odpowiedział nieprzyjaźnie:

– Nie rozumieć... mówić ruski...

– Ten pan nie rozumie – wmieszał się siedzący na ławce regent, choć nikt go nie prosił o tłumaczenie słów cudzoziemca.

– Niech pan nie udaje! – groźnie powiedział Iwan i uczuł, że mróz mu przeszedł po skórze. – Jeszcze przed chwilą świetnie pan mówił po rosyjsku. Pan nie jest żadnym Niemcem ani żadnym profesorem! Jest pan szpiegiem i mordercą! Pańskie dokumenty! – wrzasnął z wściekłością.

Zagadkowy profesor skrzywił swoje i tak już krzywe usta, wzruszył ramionami.

– Obywatelu – znowu włączył się do rozmowy ohydny regent. – Jakim prawem denerwujecie zagranicznego turystę? Drogo za to zapłacicie!

Zaś podejrzany konsultant przybrał wyniosły wyraz twarzy, odwrócił się i poszedł sobie. Iwan

poczuł, że jest bezradny. Z trudem łapiąc oddech zwrócił się do regenta:

– Ej, obywatelu, pomóżcie zatrzymać przestępcę! To wasz obowiązek!

Regent niezmiernie się ożywił, zerwał się, wrzasnął:

– Który to? Gdzie on jest? Zagraniczny przestępca? – oczka mu radośnie zaigrały. – Ten? Przestępca? Pierwsza rzecz – trzeba krzyczeć: „Na pomoc!” Inaczej zwieje. Wołajmy razem, no! – i regent rozwarł paszczę.

Stropiony Iwan usłuchał dowcipnisia i zawołał „Na pomoc!”, regent zaś zrobił z niego balona i nic nie zawołał.

Samotny, ochrypliły krzyk Iwana nie przyniósł dobrych rezultatów. Jakież dwie pannice odskoczyły od niego i Iwan usłyszał: “pijany”.

– A, to ty jesteś z tej samej bandy? – wpadając w gniew krzyknął Iwan. – Chcesz mnie nabrać? Puszczaj!

Iwan rzucił się na prawo i regent też na prawo. Iwan – na lewo i tamten drań też na lewo.

– Specjalnie płaczesz mi się pod nogami? – w furii wrzasnął Iwan. – Ja i ciebie oddam w ręce milicji!

Spróbował złapać łajdaka za rękaw, ale chybił i nie złapał nic, regent jakby się pod ziemię zapadł.

Iwan jęknął, spojrzął w dal i przy samym wyjściu zobaczył znieawidzonego nieznajomego, który już nie był sam. Ten co najmniej podejrzany regent zdążył się przyłączyć do profesora. Trzecim w tej kompanii był kocur, który nie wiadomo skąd się wziął, wyposażony w zawadiackie wąsy kawalerzysty, olbrzymi jak wieprz, czarny jak sadza lub gawron. Cała trójka ruszyła w ulicę Patriarszą, przy czym kocur szedł na tylnych łapach.

Iwan pobiegł za łajdakami i od razu przekonał się, że dogonić ich będzie bardzo trudno.

Trójka błyskawicznie przemknęła przez ulicę i znalazła się na Spiridonowce. Choć Iwan nieustannie przyspieszał kroku, odległość między nim a ściganymi nie zmniejszała się. Poeta ani się obejrzał, jak przemierzył Spiridonówkę i znalazł się przy Bramie Nikickiej, a tam jego sytuacja znacznie się pogorszyła. Tu już było tłoczno. W dodatku szajka złoczyńców właśnie postanowiła zastosować wypróbowany bandycki fortel i uciekać w rozsypce.

Regent nader zręcznie wprasował się do autobusu, który na pełnym gazie pędził w kierunku placu Arbackiego, i umknął. Iwan, zgubiwszy jednego ze ściganych, całą uwagę skoncentrował na kocurze i zobaczył, że dziwny ów kot podszedł do drzwi wagonu motorowego linii “A”, który

stał na przystanku, bezczelnie odepchnął wrzeszczącą kobietę, chwycił za poręcz i nawet wykonał próbę wręczenia konduktorze dziesiątaka przez otwarte z powodu upału okno.

Zachowanie się kota wstrząsnęło Iwanem do tego stopnia, że zastygł nieruchomo obok sklepu kolonialnego na rogu i wtedy zdumiał się po raz drugi, i to znacznie silniej, tym razem za przyczyną konduktorki. Ta, skoro tylko zobaczyła wążącego do tramwaju kota, wrzasnęła dygocąc z wściekłości:

– Kotom nie wolno! Z kotami nie wolno! Psik! Wyłaż, bo zawołam milicjanta!

Ani konduktorki, ani pasażerów nie zdziwiło to, co było najdziwniejsze – nie to więc, że kot pakuje się do tramwaju, to byłoby jeszcze pół biedy, ale to, że zamierza zapłacić za bilet!

Kot okazał się zwierzakiem nie tylko wypłacalnym, ale także zdyscyplinowanym. Na pierwszy okrzyk konduktorki przerwał natarcie, opuścił stopień i pocierając monetą wąsy usiadł na przystanku. Ale gdy tylko konduktorka szarpnęła dzwonek i tramwaj ruszył, kocur postąpił tak, jak postąpiłby każdy, kogo wyrzucają z tramwaju, a kto mimo to jechać musi. Przeczekał, aż miną go wszystkie trzy wagony, po czym wskoczył na tylny zderzak ostatniego, łapą objął sterzącą nad zderzakiem gumową rurę i pojechał, Zaoszczędziwszy w ten sposób dziesięć kopiejek.

Iwan zajęty paskudnym kotem o mało nie stracił z oczu najważniejszego z całej trójki – profesora. Ale, na szczęście, przynajmniej ten nie zdążył mu umknąć. Iwan zobaczył szary beret w tłumie, przy samym rogu Wielkiej Nikickiej, czyli ulicy Hercena. Po sekundzie już tam był. Nic mu to jednak nie dało. Poeta przyspieszył kroku, zaczął nawet, roztrącając przechodniów, biec truchtem, ale ani o centymetr nie zbliżył się do profesora.

Choć był ogromnie wzburzony, to przecież zdumiewała go ta niesamowita szybkość pościgu. Nie upłynęło nawet dwadzieścia sekund, od kiedy minął Bramę Nikicką, a już oślepiły go światła placu Arbackiego. Jeszcze kilka sekund i oto jakiś ciemny zaułek z zapadniętym trotuarem – tu właśnie Iwan przewrócił się i stłukł sobie kolano. Znowu oświetlona arteria – ulica Kropotkina, potem znów zaułek, potem Ostożenka, jeszcze jakiś zaułek, ponury, wstrętny, marnie oświetlony. I właśnie tutaj poeta ostatecznie stracił z oczu tego, którego tak bardzo chciał dogonić. Profesor znikł.

Poeta stropił się, ale nie na długo, nagle doszedł bowiem do przekonania, że profesor niezawodnie musi znajdować się w domu numer trzynaście, i to niewątpliwie w mieszkaniu pod czterdziestym siódmym.

Wpadł do bramy, lotem błyskawicy wbiegł na pierwsze piętro, odnalazł właściwe drzwi i niecierpliwie zadzwonił. Oczekiwanie nie trwało długo. Otworzyła mu jakaś pięcioletnia dziewczynka i o nic nie pytając natychmiast dokądś sobie poszła.

Wielki, zapuszczony do ostatnich granic przedpokój słabo oświetlała maleńka żarówka zawieszona w kącie, tuż pod wysokim, czarnym z brudu sufitem. Na ścianie wisiał rower bez opon, pod nim stał wielki, obity żelazem kufer, a na półce wieszaka leżała zimowa czapka-uszanka. Jej uszy zwisały z półki. Za jakimiś drzwiami donośny męski głos w radio gniewnie krzyczał do wiersza.

Iwan Nikołajewicz ani trochę nie stracił pewności siebie, choć znalazł się w nieznanym miejscu. Ruszył prosto korytarzem, rozumując następująco: “Oczywiście profesor ukrył się w łazience”. W korytarzu było ciemno. Wpadając na ściany Iwan zauważył cieniutką smużkę światła pod drzwiami. Zmacał klamkę i niezbyt mocno szarpnął. Haczyk wyskoczył, Iwan rzeczywiście znalazł się w łazience i pomyślał, że jednak ma szczęście.

Miał szczęście, ale nie takie, jakiego by sobie życzył. Tchnęło nań wilgotne ciepło i przy świetle żarzącego się w piecyku węgla dojrzał wielkie, wiszące na ścianie koryta i wannę pokrytą strasznymi czarnymi lizajami podbijanej emalii. A w tej wannie stała goła obywatelka, dokładnie namydlona, z gąbką w dłoni. Zmrużyła krótkowzroczne oczy, spojrzała na Iwana i, najwidoczniej na skutek piekielnego oświetlenia biorąc go za kogoś innego, powiedziała cicho i wesoło:

– Kiriuszka! Proszę się nie wygłupiać! Czy pan zwariował... Zaraz wróci Fiodor Iwanowicz. Niech pan się stad wynosi i to już! – i zamierzyła się na Iwana gąbką.

Nieporozumienie było niewątpliwe i winien wszystkiemu był oczywiście poeta. Ale przyznać się do tego nie zamierzał, zawołał z wyrzutem: „Ach, rozpustnico!...” – i niezwłocznie, nie wiadomo po co, znalazł się w kuchni. Nie było tam nikogo, tylko w półmroku na blasze stało około tuzina milczących, zimnych prymusów. Samotny promień księżyca przedarł się przez zakurzone, od lat nie myte okno i skąpo oświetlał kąt, w którym wisiała pokryta kurzem i osnuta pajęczyną zapomniana ikona. Zza jej obramowania Sterczały dwie ślubne świece. Pod wielką ikoną wisiał przyszpilony maleńki papierowy święty obrazek. Nikt nie wie, co opętało Iwana, ale nim wybiegł przez kuchenne drzwi, przywłaszczył sobie jedną świecę i święty obrazek. Z tymi to przedmiotami mamrocząc coś, zażenowany tym, co przed chwilą przeżył w łazience, opuścił nieznanie mieszkanie. Mimo woli starał się odgadnąć, kim też mógł być ów bezczelny Kiriuszka i

czy to nie do niego przypadkiem należy wstrętna uszanka.

W pustej, beznadziejnej uliczce poeta rozejrzał się szukając zbiega – nigdzie go nie było widać. Wtedy powiedział stanowczo sam do siebie:

– To jasne, że jest nad rzeką, nad Moskwą! Naprzód!

Należałoby chyba zapytać Iwana, czemu to przypuszcza, że znajdzie profesora akurat nad rzeką, a nie w jakimkolwiek innym miejscu. Ale z tym właśnie bieda, że nie miał go kto o to zapytać. Obrzydliwa uliczka była zupełnie pusta.

Niebawem można było zobaczyć Iwana na granitowych stopniach nabrzeża rzeki Moskwy.

Iwan zrzucił z siebie odzienie, opiekę nad nim poruczył jakiemuś sympatycznemu brodacowi, który palił skręta siedząc obok podartej białej tołstojowskiej koszuli i rozsznurowanych zdeptanych butów. Iwan pomachał rękami, by ochłonać, i skoczył strzałką do wody. Aż dech mu zaparło, taka zimna była ta woda, pomyślał nawet, że chyba mu się nie uda wypłynąć na powierzchnię. Jednak wypłynął i z okrągłymi ze zgrozy oczyma, parskając i łapiąc powietrze, zaczął pływać w czarnej cuchnącej ropą naftową wodzie, pomiędzy zygzakowatymi światłami nadbrzeżnych latarni.

Kiedy mokry poeta przyskakał po stopniach do tego miejsca, gdzie zostawił pod opieką brodacza swoje ubranie, okazało się, że zginęło nie tylko ono, ale i sam brodac. Dokładnie tam, gdzie leżało rzucone na kupę ubranie poety, spoczywały teraz pasiaste kalesony, podarta koszula, świeca, święty obrazek i pudełko zapalek. W bezsilnej wściekłości Iwan pogroził nie wiadomo komu pięścią i przyobłókl się w to, co zostało.

Teraz zaczęły go niepokoić dwie sprawy. Po pierwsze to, że zginęła legitymacja Massolitu, z którą się nigdy nie rozstawał, po drugie – pytanie, czy uda mu się w tym stanie przejść przez miasto bez przeszkód? W samych kalesonach?... Niby co komu do tego, ale lepiej przecież, żeby nikt się nie przyczepił i nie zatrzymał go.

Iwan oberwał guziki od kalesonów w tych miejscach, gdzie zapinały się przy kostce, licząc na to, że w tej wersji kalesony będą mogły uchodzić za letnie spodnie, wziął obrazek, świecę i zapalki i ruszył powiedziawszy sobie:

– Do Gribojedowa! On niewątpliwie jest tam!

Miasto żyło już wieczornym życiem. Wzbijając kurz przelatywały szczękające łańcuchami ciężarówkami. Na platformach ciężarówek, na workach leżeli do góry brzuchami jacyś mężczyźni. Wszystkie okna były szeroko pootwierane. W każdym płonęło pod pomarańczowym abażurem

światło, ze wszystkich okien, ze wszystkich drzwi, ze wszystkich bram, z dachów i ze strychów, z piwnic i z podwórek buchał ochryply ryk poloneza z “Eugeniusza Oniegina”.

Obawy Iwana w całej pełni się potwierdziły – przechodnie zwracali nań uwagę, oglądali się za nim. Z tej przyczyny poeta postanowił nie korzystać z głównych ulic i iść dalej zaułkami, gdzie ludzie nie są tak natrętni i gdzie są mniejsze szansę na to, że będą się czepiać bosego człowieka zameczając go pytaniami o kalesony, które uparcie nie chciały się upodobnić do spodni.

Iwan tak właśnie zrobił, zagłębił się w tajemniczą sieć arbackich zaułków, przekradał się pod ścianami, straszliwie zezował na boki, co chwila oglądał się, Czasami chował się do bram, unikał skrzyżowań ze światłami i eleganckich podjazdów przed willami dyplomatów.

I przez całą tę trudną drogę, nie wiedzieć czemu, niewypowiedzianie dręczyła Iwana wszechobecna orkiestra, przy akompaniamencie której ociężały bas śpiewał o swej miłości do Tatiany.

5. Co się zdarzyło w Gribojedowie

Kremowy, staroświecki piętrowy dom stał przy okrężnych bulwarach w głębi wąskiego ogrodu, który oddzielało od trotuaru ozdobne żelazne ogrodzenie. Niewielki placyk przed domem był wyasfaltowany, zimą wznosiła się tam uwieńczona łopata zaspą, latem placyk przekształcał się w uroczy ogródek letniej restauracji ocieniony wielką markizą z żaglowego płótna.

Dom ów nazywano “Domem Gribojedowa”, ponieważ jego właścicielką była niegdyś jakoby ciotka pisarza Aleksandra Gribojedowa. Była jego właścicielką czy też nie była – tego dokładnie nie wiemy, zdaje się nawet, że Gribojedow nie miał chyba żadnej takiej ciotki–posesjonatki... Dom ów wszakże takie nosił miano. Co więcej, pewien blagier moskiewski opowiadał, że jakoby na pierwszym piętrze tego domu, w okrągłej sali kolumnowej, znakomity pisarz miał czytać tej właśnie rozpartej na kanapie ciotce fragmenty “Mądremu biada”. A zresztą diabli to wiedzą, może i czytał, nie jest to takie ważne!

Ważne, że obecnie dom ten należał do Massolitu, na którego czele stał do momentu, w którym znalazł się na Patriarszych Prudach, nieszczęsny Michał Berlioz.

Za przykładem członków Massolitu nikt nie mówił “Dom Gribojedowa”, wszyscy natomiast mówili po prostu “Gribojedow”: “Przesiedziałem wczoraj dwie godziny u Gribojedowa”. – “No i co?” – “Załatwiłem sobie Jaltę na miesiąc”. – “Brawo!” Albo: “Idź z tym do Berlioza, on dziś od czwartej do piątej przyjmuje u Gribojedowa”... I tak dalej w tym rodzaju.

Massolit rozlokował się w Gribojedowie tak, że trudno sobie wyobrazić, jak by to można było zrobić lepiej i wygodniej. Każdy wchodzący do Gribojedowa po niewoli zapoznawał się przede wszystkim z komunikatami najprzeróżniejszych klubów sportowych, a także z grupowymi oraz indywidualnymi zdjęciami członków Massolitu, którymi (zdjęciami, nie członkami) obwieszone były ściany klatki schodowej prowadzącej na pierwsze piętro.

Na drzwiach najbliższego pokoju na piętrze widniał wielki napis: “Sekcja wędkarsko–urlopową”, a obok umieszczono podobiznę złapanego na wędkę karasia.

Na drzwiach pokoju numer dwa napisano coś, co nie było tak zupełnie zrozumiałe: “Jednodniowe delegacje twórcze. Proszę się zwracać do M. Podłożnej”.

Następne drzwi dźwigały tekst lakoniczny, ale za to zupełnie już niepojęty: “Pierielygino”. Następnie komuś, kto przypadkiem odwiedził Gribojedowa, zaczynało migać w oczach na widok

pstrzących się na orzechowych ciotczyńskich drzwiach napisów: “Do kolejki po papier można się zapisywać u Poklewkiń”, “Kasa”, “Repartycje i rozliczenia tekściarzy estradowych”...

Przecisnąwszy się przez długą, zaczynającą się już w portierni na dole, kolejkę można było dostrzec napis na drzwiach, w które nieustannie wdzierał się tłum: “Problemy mieszkaniowe”.

Za problemami mieszkaniowymi rozpościerał się widok na wspaniały plakat, na którym wyobrażona była skała, a na niej jeździec w burce, z przewieszonym przez plecy karabinem. Poniżej były palmy oraz taras, a na tarasie siedział młody człowiek z czubem nastroszonych włosów, siedział i patrzył ku górze niezmiernie bystrzymi oczyma, a w dłoni trzymał wieczne pióro. Podpis: “Pełnoterminowe urlopy twórcze od dwu tygodni (opowiadanie–nowela) do jednego roku (powieść, trylogia) Jałta, Suuksu, Borowoje, Cidudziri, Machinżauri, Leningrad (Pałac Zimowy)”. Przed tymi drzwiami także była kolejka, ale nie przesadna, najwyżej sto pięćdziesiąt osób.

Dalej następowały podporządkowane zawilej architekturze gribojedowskiego labiryntu “Zarząd Massolitu”, “Kasy numer 2, 3, 4 i 5”, “Kolegium redakcyjne”, “Przewodniczący Massolitu”, “Sala bilardowa”, rozmaite mniej ważne agendy Massolitu i wreszcie owa sala kolumnowa, w której ciocia zachwycała się komedią genialnego siostrzeńca.

Każdy, kto trafił do tego domu, jeśli, czytelniku, nie był zupełnym tępakiem, od razu widział, jak dobrze się żyje wybrańcom losu – członkom Massolitu, i z miejsca opanowywała go czarna zawiść. Natychmiast zaczynał czynić niebu gorzkie wyrzuty za to, że nie obdarzyło go w kołyse talentem literackim, bez którego, czytelniku, nie można było nawet marzyć o uzyskaniu legitymacji członkowskiej Massolitu, brązowej, pachnącej kosztowną skórą, z szeroką złotą obwódką, legitymacji, którą znała cała Moskwa.

Któż powie choć słowo w obronie zawiści? To uczucie najniższej kategorii, mimo wszystko należy jednak postawić się na miejscu kogoś, kto trafił do tego domu. Przecież to, co zobaczył na piętrze, to jeszcze nie było wszystko, o, bynajmniej nie wszystko. Cały parter ciotczyńskiego domu zajmowała restauracja, i to jaka restauracja! Słusznie słynęła ona jako najlepszy lokal w Moskwie. Nie tylko dlatego, że zajmowała dwie ogromne sale o sklepionych pułapach, na których wymalowane były fioletowe konie o assyryjskich grzywach, nie tylko dlatego, że na każdym stoliku stała lampa z abażurem, nie tylko dlatego, że nie mógł tam wtargnąć pierwszy lepszy z ulicy, ale również dlatego, że w dziedzinie jakości wyżywienia Gribojedow bił na głowę wszystkie pozostałe moskiewskie restauracje a także dlatego, że wszystko, co mogła zaoferować

tutejsza kuchnia, sprzedawano po nader przystępnych, bynajmniej nie wygórowanych cenach.

Nie ma zatem nic dziwnego chociażby w takiej rozmowie, którą pewnego razu autor tej najprawdziwszej w świecie opowieści usłyszał koło żelaznego ogrodzenia Gribojedowa.

– Gdzie dziś jesz kolację, Ambrosij?

– Cóż za pytanie, oczywista że tutaj, drogi Foko! Archibald Archibaldowicz zdradził mi, że dziś będzie w karcie sandacz au naturel. Palce lizać!

– Ty to umiesz się urządzać, Ambrosij! – odpowiedział z westchnieniem wychudły, zaniedbany, z karbunkulem na karku Foka rumianogębemu, złocistowłosemu, czerwouustemu poecie Ambrosijowi.

– To żadna umiejętność – protestował Ambrosij. – Chcę po prostu żyć jak człowiek. Chciałeś powiedzieć, drogi Foko, że sandacz bywa także w “Colosseum”? Ale w “Colosseum” za porcję sandacza biorą trzynaście rubli piętnaście kopiejek, a u nas pięć pięćdziesiąt! Poza tym sandacz w “Colosseum” ma zawsze przynajmniej ze trzy dni, a poza tym nikt ci nie zagwarantuje, że nie dostaniesz w “Colosseum” kiścią winogron po mordzie od jakiegoś młodego człowieka, przecież może tam wejść każdy, kto przechodzi akurat pasażem Teatralnym. O nie, jestem zdecydowanym przeciwnikiem “Colosseum” – grzmiał na cały bulwar smakosz Ambrosij. – Nawet nie próbuj mnie namawiać, Foko!

– Ja cię nie namawiam – pisał Foka. – Można zjeść kolację w domu.

– No wiecie państwo – basował Ambrosij – wyobrażam sobie twoją żonę przyrządzającą w rondelku we wspólnej kuchni sandacza au naturel! Chi–chi–chi!... Au revoir! – i Ambrosij podśpiewując ruszył ku werandzie pod markizą.

Ech, ho–ho! Stare dzieje! Pamiętają znakomitego Gribojedowa co starsi mieszkańcy Moskwy! Co tam sandacz au naturel z wody?! Sandacz to jeszcze nic, mój miły Ambrosij! A sterlet, sterlet w srebrzystym naczynku, filet sterleta z szyjkami rakowymi i ze świeżym kawiozem? A jajka de cocotte w pieczarkowym sosie w kokilce? A może mielibyście coś przeciwko filecikom z drożdżów? Z truflami? Albo przeciwko przepiórcze po genueńsku? Dziewięć pięćdziesiąt, jak barszcz! A jazz, a uprzejmość personelu? A w lipcu, kiedy cała rodzina jest na letniku, ciebie zaś nie cierpiące zwłoki zajęcia literackie zatrzymują w mieście – na ocienionej przez pnące się wino werandzie chłodnik printanier w złocie kontrastującym ze świeżutkim obrusem? Pamiętasz, Ambrosij? Zresztą nie warto nawet pytać! Po twoich wargach widzę, że pamiętasz. Ale cóż te łososie, te sandacze?! A bekasy, a dubelty, a kszyki, a baranki w sezonie, a przepiórki, a kuliki?

A narzan szczypiący w gardle?! Ale dość tego, wracajmy do tematu, zaczynasz się nudzić, czytelniku! Za mną!...

O wpół do jedenastej wieczorem, tego dnia, kiedy Berlioz zginął na Patriarszych Prudach, na górze u Gribojedowa światło paliło się tylko w jednym pokoju, w którym dwunastu przybyłych na posiedzenie literatów oczekiwało z niecierpliwością na Michała Aleksandrowicza.

Siedzący na krzesłach i stołach, a nawet na dwu parapetach okiennych w pokoju Zarządu Massolitu okropnie cierpieli z powodu upału. Przez otwarte okna nie napływała ani odrobina świeżego powietrza. Moskwa oddawała nagromadzone przez cały dzień w asfaltach gorąco i było oczywiste, że noc również nie przyniesie ulgi. Z sutereny ciotczynego domu, w której mieściła się kuchnia restauracji, dobiegała woń cebuli, wszystkim chciało się pić, wszyscy byli zniecierpliwieni i zirytowani.

Beletrysta Bieskudnikow, cichy, starannie ubrany człowiek, o uważnym i zarazem nieuchwytnym spojrzeniu, wyjął zegarek. Wskazówka zbliżała się do jedenastki. Bieskudnikow przytknął palcem w cyferblat i pokazał go sąsiadowi, poecie Dwubratskiemu, który siedział na stole i z nudów majtał nogami obutymi w żółte półbuty na gumie.

– To przesada – mruknął Dwubratski.

– Chłopiec zapewne zasiedział się nad Kłaźmą – powiedziała głębokim głosem Anastazja Łukiniżna Niepriemienowa, sierota po kupcu moskiewskim, która została pisarka i pisywała batalistyczne opowiadania marynistyczne pod pseudonimem “Bosman Żorż”.

– Za pozwoleniem! – powiedział odważnie autor popularnych skeczów Zagriwow. – Sam wolałbym pić teraz herbatkę na tarasie, zamiast zdychać tu z gorąca. Jeśli się nie mylę, posiedzenie wyznaczone zostało na dziesiątą?

– A nad Kłaźmą teraz jest przyjemnie – podbechtywała obecnych Bosman Żorż dobrze wiedząc, że Pieriełygino, letniskowe osiedle literatów nad Kłaźmą, to czuły punkt wszystkich. – Teraz już na pewno śpiewają słowiki. Zawsze jakoś lepiej mi się pracuje za miastem, zwłaszcza na wiosnę.

– Trzeci rok wpłacam pieniążki, żeby chorą na Basedowa żonę wysłać do tego rajcu, ale jakoś się na to nie zanosi – jadowicie, z goryczą powiedział nowelista Hieronim Poprichin.

– To zależy od szczęścia – zahuczał z parapetu krytyk Ababkow.

Radość zapłonęła w maleńkich oczkach – Bosman Żorż powiedziała łagodząc swój kontrakt:

– Nie trzeba zazdrościć, towarzysze. Są tylko dwadzieścia dwie wille i raptem siedem w

budowie, a w Massolicie jest nas trzy tysiące.

– Trzy tysiące stu jedenastu – wtrącił ktoś z kąta.

– No, widzicie – ciągnęła Bosman. – Więc cóż począć? To zrozumiałe, że przyznano wille najbardziej utalentowanym...

– Generalicja! – z otwartą przyłbicą ruszył do boju Głuchariow, scenarzysta. Bieskudnikow udał, że ziewa, i wyszedł z pokoju.

– Sam w pięciu pokojach w Pieriełyginie – powiedział po jego wyjściu Głuchariow.

– Laurowicz w pojedynkę zajmuje sześć – zawrzęsnał Deniskin – i w jadalni ma dębową boazerię!

– E, teraz nie o to chodzi – zahuczał Ababkow – tylko o to, że jest w pół do dwunastej.

Wszczął się tumult, dojrzewało coś w rodzaju buntu. Zaczęli telefonować do znienawidzonego Pieriełygina, ale dodzwonili się do innej willei, do Laurowicza, dowiedzieli się, że Laurowicz poszedł nad rzekę i to ich zupełnie wyprowadziło z równowagi. Zadzwonili na chybił trafił do komisji literatury pięknej, na wewnętrzny dziewięćset trzydzieści, i, oczywiście, nikogo tam nie zastali.

– Mógłby chociaż zadzwonić! – krzyczeli Deniskin, Głuchariow i Kwant.

Ach, daremne były to krzyki – Michał Aleksandrowicz donikąd nie mógł zadzwonić. Daleko, daleko od Gribojedowa, w wielkiej, oświetlonej tysiącświecowymi żarówkami sali, na trzech obitych blachą cynkową stołach leżało to, co jeszcze niedawno było Michałem Aleksandrowiczem Berliozem.

Na pierwszym stole leżał nagi, pokryty zaschniętą krwią tułów ze zmiażdżoną klatką piersiową i zmasakrowaną ręką, na drugim – głowa z wybitymi przednimi zębami, z otwartymi, zmętniałymi oczyma, których nie raziło już nawet tak jaskrawe światło, a na trzecim – kupa zeszywniałych szmat.

Przy zdekapitowanym stał profesor medycyny sądowej, anatomopatolog i jego prosektor, przedstawiciele organów śledczych oraz wezwany telefonicznie, oderwany od chorej żony zastępca Berlioza w Massolicie, literat Żełybin.

Po Żełybina posłano wóz, który przede wszystkim zawiózł go wraz z przedstawicielami organów śledczych (było to około północy) do mieszkania denata, gdzie dokonano opieczętowania papierów zmarłego, a potem już wszyscy pojechali do kostnicy.

I oto teraz stojący przy zwłokach nieboszczyka dyskutowali, jak będzie dalej – czy przyszyć

do karku odciętą głowę, czy też wystawić zwłoki w sali u Gribojedowa po prostu zakrywwszy zmarłego aż po podbródek czarną materią?

Tak, Berlioz nie mógł zadzwonić donikąd i doprawdy niepotrzebnie złościł się i krzyczeli Deniskin, Głuchariow, Kwant i Bieskudnikow. Dokładnie o północy cała dwunastka literatów opuściła pierwsze piętro i zeszła do restauracji. Tu raz jeszcze brzydko pomyśleli o Berliozie, ponieważ na werandzie wszystkie stoliki były już oczywiście pozajmowane i musieli zasiąść do kolacji w jednej z owych pięknych, lecz dusznych sal.

Również dokładnie o północy w pierwszej z owych sal coś gruchnęło, zadzwoniło, potoczyło się, zadygotało. I zaraz cienki męski głos przekrzykując muzykę desperacko zawołał: “Alleluja!” Tak zagrzmiął słynny jazzband Gribojedowa. Pokryte kropelkami potu twarze zajaśniały, wydawało się, jak gdyby ożyły wymalowane na suficie konie, lampy jak gdyby zaświeciły jaśniej i nagle obie sale poszły w tany, jakby się zerwały z łańcucha, a za nimi poszła w tany i weranda.

Ruszył w tany z poetką Tamarą Połumiesiac Głuchariow, ruszył do tańca Kwant z jakąś aktorką filmową w żółtej sukni, poszedł w tany powieściopisarz Żukopow. Tańczył Draguński i Czerdaczkin, maleńki Deniskin z olbrzymią Bosman Żorż, tańczyła piękna Siemiejkina–Gall, architekt, w mocnym uścisku anonima w spodniach z białego żaglowego płótna. Tańczyli stali bywalcy i wprowadzeni goście, moskwiczanie i przyjezdni, pisarz Johann z Kronsztadtu, jakiś Witia Kuftik z Rostowa, bodaj że reżyser, z fioletowym liszajem przez cały policzek, tańczyli najwybitniejsi przedstawiciele sekcji poetyckiej Massolitu, a więc: Pawianów, Bogochulski, Sładkij, Szpiczkin i Adelfina Buzdiak, tańczyli młodzi ludzie o niewyjaśnionym zawodzie, ostrzyżeni na bokserów, wywatowani w ramionach, tańczył jakiś wiekowy staruszek z brodą, w którą wplątało się źdźbło szczypiorku, tańczyła z nim chuderława, zżerana przez anemię dziewczynina w wygniecionej sukieneczce z pomarańczowego jedwabiu.

Zlani potem kelnerzy nieśli ponad głowami spotniałe kufle piwa, krzyczeli ochryple, z nienawiścią: “Najmocniej przepraszam, obywatelu!” Głos skądś z głośnika komenderował: “Szaszłyk karski raz! Dwie igicze! Flaki po polsku!!” Cienki głos nie śpiewał już, ale porykiwał: “Alleluja!” Łoskot złotych talerzy jazabandu zagłuszało od czasu do czasu szczękaniem naczyń, które pomywaczki zsuwały po równi pochyłej do kuchni. Jednym słowem – piekło.

A o północy ukazała się w piekle zjawia. Wszedł na werandę piękny czarnooki mężczyzna ze spiczastą bródką, we fraku i ogarnął władcym spojrzeniem swoje włości. A mówili, a mówili mistycy, że był czas, kiedy mężczyzna ten nie chodził we fraku, tylko przepasywał się szerokim

pasem skórzanym, zza którego sterczały rękojeści pistoletów, a jego włosy jak krucze skrzydło przewiązywał szkarłatny jedwab i po Morzu Karaibskim płynął pod jego dowództwem bryg pod czarną trumienną banderą z trupią czaszką.

Ale nie, o, nie! Łżą kusiciele–mistycy, nie ma na świecie żadnych karaibskich mórz i nie pływają po nich odważni do szaleństwa flibustierowie ani korweta nie rusza za nimi w pościg, nie ściele się ponad falami dym z dział. Niczego takiego nie ma i nigdy nie było! Owszem jest przywiedła lipa, są żelazne sztachety i bulwar za nimi... Łód pływa w kompotierce, przy sąsiednim stoliku widać czyjeś przekrwione bycze oczy i jest strasznie, jest strasznie... O, bogowie, o, moi bogowie, trucizny, trucizny!..

I nagle przy stoliku eksplodowało słowo “Berlioz!!!” Jazz nagle rozpadł się i uciszył, jak gdyby ktoś go zdzielił pięścią. “Co, co, co, co?!” – “Berlioz!!!” – I dalejże zrywać się, dalejże krzyczeć...

Tak, na straszną wiadomość o Michale Aleksandrowiczu dźwignęła się fala zgrozy. Ktoś zakrzętał się, wołał, że należy niezwłocznie, natychmiast, nie rozchodząc się wystosować jakąś wspólną depeszę i wysłać ją zaraz.

Ale jaką depeszę, zapytajmy, i do kogo? I po co ją wysłać? W rzeczy samej – do kogo? I jakież pożytek może mieć z jakiegokolwiek depeszy ten, którego ciemność ściskają teraz gumowe ręce prosektora, którego kark profesor przekłuwa właśnie zakrzywionymi igłami? Ten człowiek nie żyje i nic mu po depeszach. Wszystko się skończyło, nie zwracajmy głowy telefonistkom.

Tak, nie żyje, nie żyje... Ale my przecież żyjemy!

Tak, wydzwignęła się fala grozy, ale chwilę potrwała i już zaczęła opadać, już ten i ów wrócił do swego stolika, i, najpierw ukradkiem, a potem zgoła bez żenady, wypił swoją wódeczkę, zakąsił. No bo rzeczywiście, po co ma się marnować de volatile? Czyż możemy pomóc Michałowi Aleksandrowiczowi? Czyż mu będzie lżej od tego, że będziemy głodni? My przecież żyjemy!

Oczywiście, fortepian zamknięto na klucz, jazzband się rozszedł, dziennikarze rozjechali się do swoich redakcji, aby pisać nekrologi. Z kostnicy sądówki przyjechał Żelżybin. Ulokował się na górze, w gabinecie nieboszczyka, i zaraz zaczęto mówić, że to właśnie on będzie następcą Berlioza. Żelżybin wezwał do siebie z restauracji wszystkich dwanaścioro członków zarządu i na niezwłocznie rozpoczętym w gabinecie Berlioza posiedzeniu omówiono pilne sprawy dekoracji sali kolumnowej Gribojedowa, przewiezienia ciała z kostnicy do tej sali, wystawienia zwłok na

widok publiczny i inne związane z tym smutnym wydarzeniem problemy.

Restauracja zaś zaczęła swoje zwykle nocne życie i kontynuowała by je aż do zaniknięcia, to znaczy do czwartej rano, gdyby nie zaszło coś zupełnie już niezwykłego, coś, co na gościach restauracji zrobiło znacznie większe wrażenie niż wieść o śmierci Berlioza.

Poruszenie ogarnęło najpierw dyżurujących przed podjazdem domu Gribojedowa dorożkarzy. Jeden z nich wstał na koźle i zawołał:

– Fiu! Popatrzcie no tylko!

Następnie przy żelaznych sztachetkach zapłonął ognek, który wziął się nie wiedzieć skąd, i ognek ten zaczął się zbliżać do werandy. Zaczęto wstawać od stolików i przyglądać mu się i zobaczono, że wraz z owym ognikiem podąża w stronę restauracji biała zjawa. Kiedy podeszła aż do ustawionych wokół werandy krutek, wszyscy zastygli przy swoich stolikach z kawałkami sterleta na widelcach, z powyrzuszczanymi oczyma. Portier, który właśnie wyszedł na papierosa przed drzwi restauracyjnej szatni, zdeptał niedopałek i ruszył w kierunku zjawy, najwyraźniej chcąc jej zagrozić drogę do restauracji, ale z jakichś nieznanych powodów odstąpił od tego zamiaru i stanął uśmiechając się głupekowato.

Zjawa zaś minęła sztachetki i bez przeszkód wkroczyła na werandę. Wtedy wszyscy zobaczyli, że nie jest to żadna zjawa, tylko słynny poeta Iwan Bezdomy.

Poeta był bosy, miał na sobie białe pasiaste kalessony i rozdartą białawą tołstojowską koszulę, do której przypięty był na piersi agrafką papierowy święty obrazek przedstawiający niezidentyfikowanego świętego. Iwan trzymał w dłoni zapaloną świeczkę, a na jego prawym policzku widniało świeże zadrapanie. Wprost trudno zmierzyć głębię ciszy, która zaległa na werandzie. Jednemu z kelnerów przechylił się kufel i widać było, jak piwo leje się na podłogę.

Poeta wznosił świecę nad głowę i powiedział głośno: – Czołem, przyjaciele! – po czym zajrzał pod najbliższy stolik i zawołał smutno: – Nie, tu go nie ma!

Dały się słyszeć dwa głosy. Bas powiedział bezlitośnie:

– No i macie. Delirium.

Zaś głos drugi, kobiecy, wylękniony, wypowiedział następujące słowa:

– Że też milicja pozwoliła mu iść przez miasto w takim stanie! Iwan usłyszał i odparł:

– Dwa razy chcieli mnie zatrzymać, raz na Skatiernym i drugi raz tutaj, na Bronnej, ale dałem nogę przez płot, i widzicie, policzek sobie rozwaliłem! – Po czym poeta wznosił świecę i wrzasnął: – Bracia w literaturze! (Jego naderwany głos okrzepł i nabrał ognia.) Słuchajcie mnie

wszyscy! On się pojawił! Łapcie go zaraz, bo inaczej narozrabia tak, że się nie pozbieramy!

– Co, co? Co on mówi? Kto się ukazał? – rozległy się ze wszystkich stron głosy.

– Konsultant! – odparł Iwan: – Konsultant dopiero co zabił, na Patriarszych Prudach Misze Berlioza.

Teraz z dalszej sali runął na werandę tłum, ciżba zgromadziła się wokół Iwanowego ogieńka.

– Przepraszam, przepraszam, proszę wyrażać się jaśniej – rozległ się nad uchem Iwana spokojny i uprzejmy głos. – Co to znaczy – zabił? Proszę powiedzieć, kto zabił.

– Zagraniczny konsultant, profesor i szpieg – rozglądając się odpowiedział Iwan.

– A jak on się nazywa? – zapytano go cicho, na ucho.

– Właśnie, jak się nazywa! – krzyknął zrozpaczony Iwan. – Żebym to ja wiedział, jak on się nazywa! Nazwisko było na wizytówce, ale się nie przyjrzałem... Pamiętam tylko pierwszą literę “W”, na “W” się nazywa! Co to było za nazwisko na “W”? – schwyciwszy się za głowę Iwan zapytał sarn siebie i nagle zaczął mamrotać: – We, we, we, wa... Wo... Waszner? Wagner? Weiner? Wegner? Winter? – Rozmyślał w takim napięciu, że poruszały mu się włosy na głowie.

– Wulf! – podrzuciła litościwie jakaś kobieta.

Iwan się wściekł.

– Idiotka! – wrzasnął, szukając oczyma tej, która się odezwała. – Co tu ma do rzeczy Wulf? Wulf nic tu nie zawinił! Wo, wa... Nie, nie pamiętam! Wiecie co, obywatele – zadzwońcie co prędzej na milicję, niech wyślą w pościg za konsultantem pięć motocykli z karabinami maszynowymi. Ale nie zapomnijcie powiedzieć, że jest z nim jeszcze dwóch, jakiś taki kraciasty dryblas, pęknięte szkło w binoklach, i czarny kot, taki tłusty... A ja póki co przeszukam Gribojedowa, coś mi mówi, że jest tutaj!

Iwan w podnieceniu rozepchnął otaczający go tłum, zaczął wymachiwać świeczką polewając się woskiem i zaglądać pod stoliki. Wtedy ktoś zawołał: “Gdzie lekarz?” i pojawiła się przed Iwanem czyjaś jowialna, mięsista, wygolona i dobrze odżywiona twarz w rogowych okularach.

– Towarzyszu Bezdomny – powiedziała ta twarz jubileuszowym głosem – uspokójcie się! Wyprowadziła was z równowagi śmierć tego, którego wszyscy tak kochaliśmy, śmierć Michała Aleksandrowicza... nie, po prostu Miszy Berlioza. Wszyscy świetnie to rozumiemy. Potrzebny jest wam spokój. Towarzysze zaraz was odprowadzą do łóżka, prześpicie się...

– Czy ty – szczerząc zęby przerwał mu Iwan – rozumiesz, że trzeba złapać profesora? Co mi tu głowę zawracasz jakimiś bzdurami? Kretyn!

– Towarzyszu Bezdomny, jak tak można?! – odpowiedziała twarz czerwieniąc się, wycofując i żalując już, że się w to wszystko wdała.

– O, nie, dla kogo jak dla kogo, ale dla ciebie nie będę miał litości – z cichą nienawiścią powiedział Iwan.

Skurcz zeszpecił jego twarz, pośpiesznie przełożył świeczkę z prawej ręki do lewej, zamachnął się szeroko i dał w ucho współczującej twarzy.

Wtedy wreszcie zrozumiano, że należy się rzucić na Iwana, i rzucono się na niego. Świeczka zgasła, okulary, które zeskoczyły z twarzy, w mgnieniu oka zostały rozdeptane. Iwan wydał z siebie straszliwy okrzyk bojowy, który ku powszechnemu podziwowi dał się słyszeć nawet na bulwarze, i zaczął się bronić. Rozległ się brzęk spadających ze stolików naczyń i krzyki kobiet.

Podczas kiedy kelnerzy wiązali poetę serwetami, w szatni kapitan brygu rozmawiał z portierem.

– Nie widziałeś, że jest w samych kalesonach? – zimno zapytywał pirat.

– Ale przecież, Archibaldzie Archibaldowiczu – odpowiedział przerażony portier – jakże mogłem ich nie wpuścić, skoro oni są członkiem Massolitu?

– Nie widziałeś, że jest w samych kalesonach? – powtórzył pirat.

– Ulitujcie się, Archibaldzie Archibaldowiczu – mówił purpurowiejąc portier – co ja miałem zrobić? Sam rozumiem, na werandzie siedzą damy...

– Damy nic tu nie mają do rzeczy, damom jest to obojętne – odpowiadał pirat dosłownie spopielając portiera oczyma. – Ale milicji to nie jest obojętne! Człowiek w bieliźnie może kroczyć ulicami Moskwy tylko w jednym wypadku, w tym mianowicie, kiedy towarzyszą mu milicjanci, i tylko w jednym kierunku – na komisariat! A tyś powinien wiedzieć, skoro jesteś portierem, że masz obowiązek gwizdać nie zwlekając ani przez sekundę. Słyszysz? Słyszysz, co się dzieje na werandzie?

Wtedy na wpół oszalały portier usłyszał jakoweś jęki dobiegające z werandy, szcęk tłuczonych naczyń, krzyki kobiet.

– No i co mam teraz z tobą zrobić? – zapytał flibustier.

Skóra na twarzy portiera przybrała tyfusowy odcień, jego oczy zmartwiały. Wydało mu się, że czarna fryzurę z przedziałkiem okrył ognisty jedwab. Znikł śnieżny gors, znikł frak, a za skórzanym pasem zjawiała się głownia pistoletu. Portier widział już oczyma wyobraźni, jak wisi na marsarei fokmasztu. Na własne oczy oglądał swój własny wywalony język i znieruchomiałą,

opadła na ramię głowę, usłyszał nawet plusk fali za burtą. Kolana się pod nim ugięły. Ale wtedy flibustier użalił się nad nim i zagasił swe palące spojrzenie.

– Uważaj, Mikołaju, żeby mi to było ostatni raz! Takich portierów to nam tu nie potrzeba. Idź lepiej za stróża do cerkwi. – Powiedziawszy to kapitan brygu szybko, wyraźnie i precyzyjnie zakomenderował: – Bufetowy Pantielej. Milicja. Protokół. Wóz. Do czubków. – I dorzucił: – Gwiżdź!

W kwadrans potem niezmiernie podniecona publiczność nie tylko w restauracji, ale także na bulwarze i w oknach sąsiadujących z ogrodem restauracji domów, patrzyła, jak Pantielej, portier, milicjant, kelner oraz poeta Riuchin wynoszą z bramy Gribojedowa spowitego jak niemowlę młodego człowieka, który zalewał się łzami, pluł, szczególnie starając się trafić w Riuchina, i krzyczał na cały bulwar:

– Dranie!... Dranie!...

Kierowca ciężarówki z gniewnym obliczem zapuszczał silnik. Obok dorożkarz zacinał szkapę, chłostał ją po kłębach lejcami barwy bzu, krzyczał:

– Tutaj, tutaj, to wyścigowa klacz! Ja już wozilem do wariatów!

Dokoła huczał tłum, omawiał niezwykle wydarzenie. Był to, jednym słowem, obrzydliwy, niegodny, gorszący, świński skandal w złym guście, skandal, który skończył się wtedy dopiero, kiedy ciężarówka odjechała wreszcie sprzed bramy Gribojedowa uwożąc nieszczęsnego Iwana Nikołajewicza, milicjanta, Pantieleja i Riuchina.

6. Schizofrenia, zgodnie z zapowiedzią

Kiedy do izby przyjęć słynnej kliniki psychiatrycznej, niedawno wybudowanej na brzegu podmoskiewskiej rzeki, wszedł przyobleczony w biały fartuch człowiek ze spiczasta bródka, było wpół do drugiej w nocy. Trzej pielęgniarze nie spuszczała z oczu siedzącego na kanapie Iwana. Na posterunku znajdował się również okropnie przejęty poeta Riuchin. Obrusy, którymi związano Iwana, leżały zwalone na kupę na tejże kanapie. Ręce i nogi Iwana były już wolne.

Kiedy Riuchin spostrzegł wchodzącego, zbladł, odkaszlnął i nieśmiało powiedział:

– Dzień dobry, doktorze.

Doktor uklonił się poecie, ale nie patrzył na niego, tylko na Iwana. Ten zaś zmarszczywszy brwi siedział nieruchomo, ze złą twarzą, i na widok lekarza nawet nie drgnął.

– Panie doktorze – nie wiedzieć czemu tajemniczo zaszeptał Riuchin, lękliwie zerkając na Iwana – to jest znany poeta, Iwan Bezdomny... i, widzi pan... obawiamy się, czy to przypadkiem nie delirium...

– Dużo pił?

– Nie bardzo, trochę, nie tak znowu, żeby...

– Nie próbował łapać karaluchów, myszy, krasnoludków albo uciekających psów?

– Nie – odpowiedział z westchnieniem Riuchin – widziałem go wczoraj i dzisiaj rano... Był zupełnie zdrow.

– A dlaczego w kałesonach? Zabrano go z łóżka?

– Panie doktorze, on w takim stanie przyszedł do restauracji...

– Tak, tak – powiedział ogromnie zadowolony lekarz – a siniaki? Bił się z kimś?

– Spadł z ogrodzenia, a potem w restauracji uderzył jednego kolegę... i jeszcze parę osób...

– Tak, tak – powiedział doktor, odwrócił się do Iwana i dodał: – Dzień dobry!

– Serwus, draniu! – głośno, z nienawiścią odpowiedział Iwan.

Riuchin zmieszał się do tego stopnia, że nie ośmielił się nawet podnieść oczu na uprzejmego lekarza. Ale tamten ani trochę się nie obraził, tylko wprawnym ruchem zdjął okulary, rozchylił fartuch, włożył je do tylnej kieszeni spodni, a następnie zapytał Iwana:

– Ile pan ma lat?

– Idźciez wy wreszcie do wszystkich diabłów! – ordynarnie wrzasnął Iwan i odwrócił się.

– Czemu pan się złości? Czy powiedziałem coś niegrzecznego?

– Mam dwadzieścia trzy lata – powiedział ze wzburzeniem Iwan – i złożę na was wszystkich zażalenie. A już zwłaszcza na ciebie, ty gnido! – Riuchinem zajął się oddzielnie.

– A z jakiego powodu chce pan składać zażalenie?

– A z takiego, że mnie, zdrowego i normalnego człowieka, związano i przemocą przywieziono do domu wariatów! – gniewnie odpowiedział Iwan.

W tym momencie Riuchin spojrzał na Iwana i zmartwił – w oczach poety nie było ani cienia obłądu. Nie były już zamacone, jak w Gribojedowie, ale znowu normalne, jasne i czyste.

“O rany! – pomyślał Riuchin z przerażeniem. – Przecież on jest rzeczywiście zdrowy! A to ci historia! I po cośmy go tu przywlekli? Normalny, zupełnie normalny, tylko morda podrapana...”

– Znajduje się pan – spokojnie powiedział lekarz przysiadając na jednonogim białym taborecie – bynajmniej nie w domu wariatów, ale w klinice. I nikt pana nie zamierza tu zatrzymać, jeżeli nie będzie to konieczne.

Iwan spojrzał z niedowierzaniem, ale jednak wymruczał:

– Dzięki ci, Boże! Nareszcie znalazł się wśród tych idiotów jeden normalny! A największym idiotą jest oczywiście to skretyniałe beztalencie – Saszka!

– A kto to taki, ten Saszka–beztalencie? – zainteresował się lekarz.

– A ten tam, Riuchin – odpowiedział Iwan i wystawił brudny palec w kierunku Riuchina.

Riuchina z oburzenia omal krew nie zalała. “Tak mi się odwdzięcza – pomyślał z goryczą – za to, że się nim zająłem! Niespotykany łajdak!”

– Typowo kułacka psychologia – powiedział następnie Iwan, który najwidoczniej odczuwał nieprzepartą potrzebę natychmiastowego zdemaskowania Riuchina – ale stara się ucharakteryzować na proletariusza. Spójrzcie na jego obłądną fizys i porównajcie ją z jego nadętymi wierszydłami. He–he–he... Zajrzyjcie mu do środka, a zobaczycie, co on sobie myśli, i wtedy oko wam zbieleje! – tu Iwan zaśmiał się złowieszczo.

Riuchin sapał ciężko, czerwony był jak burak i myślał tylko o jednym – że oto wyhodował zmięję na własnym łonie, zajął się serdecznie człowiekiem, który zdemaskował się jako podstępny wróg. A co najgorsze, Riuchin był teraz całkowicie bezradny – nie będzie się przecież wyklócał z wariatem!

Lekarz uważnie wysłuchał oskarżeń Bezdomego, a potem zapytał:

– A dlaczego właściwie przywieziono pana do nas?

– Cholera ich tam wie, idiotów! Złapali, związali jakimiś szmatami i przywieźli ciężarówką!
– A czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego przyszedł pan do restauracji w samej bieliźnie?
– Nie ma w tym nic dziwnego – odpowiedział Iwan – poszedłem się wykąpać nad Moskwę, no i gwizdnęli mi ubranie, a zostawili te szmaty! Nie mogłem przecież iść goły przez miasto! Ubrałem się w to, co było akurat pod ręką, bo bardzo się śpieszyłem do Gribojedowa.

Lekarz pytająco spojrział na Riuchina, który ponuro powiedział:

– Tak się nazywa nasza restauracja.
– Aha – powiedział lekarz – a dlaczego pan się tak śpieszył? Był pan z kimś umówiony?
– Łapię konsultanta – odpowiedział Iwan i niespokojnie rozejrzał się dookoła.
– Jakiego konsultanta?
– Berlioza pan zna? – zapytał Iwan znacząco.
– Tego... kompozytora? – Iwan zaniepokoił się.
– Jakiego znowu kompozytora? Ach, tego... Ależ skąd! Ten kompozytor nosi to samo nazwisko, co Misza Berlioz.

Riuchin nie miał najmniejszej ochoty zabierać głosu, ale musiał wyjaśnić.

– Sekretarza Massolitu, Berlioza, dzisiaj wieczorem na Patriarszych Prudach przejechał tramwaj.

– Nie gadaj, jak nie wiesz! – rozgniewał się na Riuchina Iwan. – Ja byłem przy tym, nie ty! On na niego specjalnie ten tramwaj napuścił.

– Pchnął go na szyny?

– Kto tu mówi o pchaniu? – krzyknął rozwścieczony na powszechną tępotę Iwan. – Taki to nie musi nikogo nigdzie wpychać! On takie numery potrafi odstawiać, że bywaj zdrow! Z góry wiedział, że Berlioz wpadnie pod tramwaj!

– A kto jeszcze widział tego konsultanta?

– W tym cała bieda, że tylko ja i Berlioz.

– Tak. A co pan zrobił, aby schwytać tego mordercę? – w tym momencie lekarz odwrócił się i spojrział na siedzącą przy stoliku pod ścianą kobietę w białym fartuchu. Kobieta wyjęła arkusz papieru i zaczęła wypełniać kolejne rubryki.

– Co zrobiłem? Zabrałem z kuchni świeczkę...

– Tę? – zapytał lekarz wskazując połamaną świeczkę, która razem ze świętym obrazkiem leżała na stole przed białą ubraną kobietą.

– Tak, tę, i...

– A święty obrazek po co?

– Ach tak, obrazek... – Iwan zaczerwienił się. – Ten obrazek najbardziej ich wystraszył – znowu pokazał palcem na Riuchina – ale chodzi o to, że ten konsultant, że on... cóż, spójrzmy prawdzie w oczy... zadał się z nieczystą siłą... i tak zwyczajnie to się go nie da złapać.

Pielęgniarze nie wiadomo dlaczego przybrali postawę zasadniczą i nie spuszczaali oczu z Iwana.

– Otóż to! – mówił dalej Iwan – nieczysta siła! To niezaprzeczalny fakt. Osobiście rozmawiał z Poncjuszem Piłatem. Nie ma co tak się na mnie gapić, prawdę mówię! Widział wszystko – i taras, i palmy. Jednym słowem, był wtedy u Poncjusza Piłata, mogę za to zaręczyć.

– No, no, no.

– No, to przyczepiłem obrazek do koszuli i pobiegłem...

I wtedy właśnie zegar uderzył dwa razy.

– Oho–ho! – zawołał Iwan i wstał z kanapy. – Już druga, a ja tu z wami tylko niepotrzebnie czas tracę! Gdzie tu jest telefon?

– Przepuście go do telefonu – polecił lekarz sanitariuszom.

Iwan złapał za słuchawkę, a tymczasem kobieta cicho zapytała Riuchina:

– Czy on jest żonaty?

– Kawaler – ze strachem odpowiedział Riuchin.

– Należy do Związku Zawodowego?

– Tak.

– Milicja? – wrzasnął Iwan do słuchawki. – Milicja? Towarzyszu dyżurny, natychmiast każcie wysłać pięć motocykli uzbrojonych w karabiny maszynowe w celu ujęcia zagranicznego konsultanta. Co? Przyjedźcie po mnie, pojedę razem z wami... Mówi poeta Bezdomny z domu wariatów... Jaki jest wasz adres? – zapytał szeptem Bezdomny doktora, i znowu krzyknął do słuchawki: – Słyszycie mnie? Halo!... To skandal! – zawył nagle Iwan i rzucił słuchawką o ścianę. Następnie odwrócił się do lekarza, podał mu rękę, sucho oświadczył „do widzenia” i skierował się do wyjścia.

– Na litość, dokąd pan chce iść? – powiedział lekarz wpatrując się w oczy Iwana. – Późną nocą, w samej bieliźnie... Pan się przecież źle czuje, niech pan zostanie u nas.

– Przepuścić – powiedział Iwan do pielęgniarzy, którzy zagrozdziili mu dostęp do drzwi. –

Puszczacie czy nie! – zawołał strasznym głosem.

Riuchin zadrżał, a kobieta przycisnęła zainstalowany w stoliku guziczek. Na szklanym blacie pojawiło się lśniąca pudełko i ampułka.

– Ach, tak?! – tocząc dookoła dzikim, zaszczutym wzrokiem powiedział Iwan. – No to poczekajcie... Żegnam!! – głową naprzód rzucił się w zasłonięte okno.

Łupnęło dość mocno, ale szkło za zasłoną nawet się nie zarysowało i po sekundzie poeta miotał się w rękach pielęgniarzy. Charczał, próbował gryźć i krzyczał:

– Ach, więc takie szyby założyliście tutaj! Puszczaj! Puszczaj! W dłoni lekarza błysnęła strzykawka, kobieta jednym ruchem rozdarła rękaw koszuli i z niekobiecą siłą unieruchomiła rękę Iwana. Zapachniało eterem, Iwan osłabł w rękach czworga ludzi, a zręczny lekarz wykorzystał ten moment i wbił mu igłę w ramię. Poetę potrzymano jeszcze przez kilka sekund, a potem posadzono na kanapie.

– Bandyci! – wrzasnął Iwan i zerwał się z kanapy, ale natychmiast został na niej umieszczony z powrotem. Poderwał się znowu, ale zaraz usiadł, już z własnej woli. Przez chwilę milczał, patrząc dziko, potem nagle ziewnął, potem uśmiechnął się nienawistnie.

– A jednak mnie przymknęli – powiedział, po czym jeszcze raz ziewnął, niespodziewanie wyciągnął się, położył głowę na poduszce, policzek po dziecinnemu oparł na dłoni i zamruczał sennym głosem, już bez złości: – No i dobrze... jeszcze za to zapłacicie... ja was uprzedziłem, a teraz to już jak tam sami sobie chcecie... Teraz interesuje mnie wyłącznie Poncjusz Piłat... Piłat... – w tym momencie zamknął oczy.

– Kąpiel, separatka sto siedemnaście, pielęgniarz przy drzwiach – wkładając okulary zarządził lekarz. Riuchin znowu się wzdrygnął: białe drzwi otworzyły się bezszelestnie, za nimi ciągnął się oświetlony niebieskimi nocnymi lampkami korytarz. Z korytarza wyjechał wózek szpitalny na ogumionych kółkach, śpiącego Iwana przeniesiono z kanapy na wózek, poeta odjechał w głąb korytarza i drzwi się za nim zamknęły.

– Doktorze – zapytał szeptem wstrząśnięty Riuchin – czy to znaczy, że on jest naprawdę chory?

– O tak – odpowiedział lekarz.

– A co mu właściwie jest? – nieśmiało zapytał Riuchin.

Zmęczony lekarz spojrzał na Riuchina i apatycznie odpowiedział:

– Pobudzenie ośrodków mowy i ruchu... halucynacje... Skomplikowany przypadek, jak

przypuszczam. Najprawdopodobniej schizofrenia. A do tego jeszcze alkoholizm...

Riuchin nie zrozumiał nic z tego, co mówił lekarz, poza tym, że z Iwanem jest niedobrze. Westchnął i zapytał:

– A dlaczego on bez przerwy opowiada o jakimś konsultancie?

– Pewnie widział kogoś, kto wstrząsnął jego chorą wyobraźnią. A może po prostu halucynacja...

Po kilku minutach ciężarówka uwoziła Riuchina w kierunku Moskwy. Dniało, blask nie zgaszonych jeszcze latarni przy szosie był niepotrzebny już i niemiły. Kierowca, wściekły, że zmarnował noc, gnał samochód ze wszystkich sił, aż zarzucało na zakrętach.

Oto i las już się skończył, pozostał za nimi, i rzeka umknęła gdzieś w bok, na spotkanie ciężarówki wybiegły różne różności – jakieś parkany, budki dla strażników, przy nich sagi drzewa, wieże wysokiego napięcia i jakieś maszty, a na nich szpule, usypiska gruzu, poprzecinane kanałami skrawki ziemi – jednym słowem, czuło się, że za moment ukaże się Moskwa, że jest tuż tuż, za najbliższym zakrętem, że zaraz runie na ciebie zniecka i od razu pochłonie.

Trzęsło i rzucało Riuchina na wszystkie strony. Jakiś pień, na którym starał się usiedzieć, co chwila usiłował wymknąć się spod niego. Po całej skrzyni ciężarówki suwały się restauracyjne serwety porzucone tu przez milicjanta i Pantielejmona, którzy już wcześniej pojechali do miasta trolejbusem. Riuchin myślał nawet przez chwilę, żeby je pozbierać, ale nie wiedzieć czemu zasyczał z wściekłością: “Niech je szlag trafi! Po kiego licha zawracam sobie nimi głowę jak idiota?...” – kopnął serwety i w ogóle przestał na nie patrzeć.

Był w okropnym stanie ducha. Stawało się jasne, że po pobycie w domu udręki pozostał mu ciężki uraz. Starał się zrozumieć, co go właściwie tak gnębi. Korytarz z niebieskimi żarówkami, który tak wrył mu się w pamięć? Myśl o tym, że nie ma na świecie straszliwszego nieszczęścia niż obłąd? Tak, tak, oczywiście to też. Ale to przecież banał. Jest coś jeszcze. Ale co? Poczucie krzywdy, tak, właśnie to. I te krzywdzące słowa, które rzucił mu w twarz Bezdomny. Nieszczęście polegało nie na tym, że były one obraźliwe, ale na tym, że zawierały prawdę.

Poeta już się nie rozglądał, siedział wpatrzony w brudną podłogę, mrużąc coś, wyrzekając, jątrząc swoje rany.

Cóż, wiersze... On, Riuchin, ma już trzydzieści dwa lata! Rzeczywiście, co będzie dalej? – Dalej będzie pisał po kilka wierszy rocznie? – I tak do późnej starości? – Tak, do starości. – Co

mu przyniosą te wiersze? Sławę? “Co za bzdura! Przynajmniej sam siebie nie próbuj oszukiwać. Sława nigdy nie stanie się udziałem tego, kto pisze niedobre wiersze. Ale dlaczego one są niedobre? Iwan powiedział prawdę, szczerą prawdę!” – bez litości dla siebie skonstatował Riuchin.

Zatruty neurastenią poeta zachwiał się, podłoga przestała się pod nim kołysać. Uniósł głowę i spostrzegł, że już od dawna jest w Moskwie, co więcej, że nad miastem jest już świt, że obłoki przeświecają złotawo, że jego ciężarówka stoi, ponieważ utknęła w potoku innych samochodów przy zakręcie na bulwary, i że tuż obok niego, Riuchina, bliźniutko, stoi na cokole człowiek z żeliwa z lekko pochyloną głową i obojętnie spogląda na bulwar.

Jakieś dziwaczne myśli napłynęły nagle do głowy cierpiącego poety: “Oto przykład prawdziwej kariery... – w tym momencie Riuchin wstał w całej okazałości i nawet rękę wznosił, nie wiadomo dlaczego nacierając na człowieka z żeliwa, który nic mu nie zawinił – a przecież wszystko, co robił w życiu, cokolwiek się z nim działo, wszystko to obracało się na jego korzyść, wszystko to przyczyniało mu sławy. Ale co on właściwie takiego zrobił? Nie pojmuję... Czy coś naprawdę niezwykłego jest w tych słowach: “Zamieć mgłami niebo kryje...”? Nie rozumiem!... Miał szczęście, miał po prostu szczęście! – nagle jadownicie stwierdził Riuchin i poczuł, że ciężarówka drgnęła – strzelał do niego ten białowardzista, strzelał, zgruchotał mu biodro i w ten sposób zapewnił nieśmiertelność...”

Kolumna samochodów ruszyła. Kompletnie chory, a nawet nagle postarzały, poeta w dwie minuty później wchodził na werandę Gribojedowa. Na werandzie było już prawie pusto. W kącie piło jakieś towarzystwo, a na środku kręcił się znajomy konferansjer w tiubietiejce i z kielichem “Abrau” w dłoni. Archibald Archibaldowicz serdecznie powitał obładowanego serwetami Riuchina i niezwłocznie uwolnił poetę od przeklętych szmat. Gdyby Riuchin nie był tak wymęczony pobytem w klinice i jazdą na ciężarówce, z pewnością sprawiłaby mu wiele satysfakcji upiększona zmyślnymi szczegółami opowieść o wydarzeniach w klinice. Ale teraz nie miał do tego głowy, zresztą nawet człowiek tak mało spostrzegawczy jak Riuchin teraz, po torturach, jakie przeżył w ciężarówce, po raz pierwszy przenikliwie popatrzył na pirata i zrozumiał, że ten, chociaż zadaje pytania i nawet wykrzykuje “ajajaj!”, nie jest bynajmniej ciekaw losu Bezdomnego i nawet ani trochę mu nie współczuje. “Brawo! Ma rację!” – z cyniczną, samounicestwiająca złośliwością pomyślał Riuchin, przerwał swoją opowieść o schizofrenii i poprosił:

– Szefie, niech mi pan da małą wódkę...

Korsarz przybrał współczujący wyraz twarzy i szepnął:

– Rozumiem... chwileczkę... – i dał znak kelnerowi.

W kwadrans później zgarbiony nad certą Riuchin wychylał samotnie kieliszek za kieliszkiem całkowicie przekonany, że w jego życiu nic już się nie da naprawić, że pozostaje mu tylko zapomnienie. Pogodził się z tym nawet.

Poeta zmarnował swą noc, podczas kiedy inni ucztowali, i teraz już wiedział, że stracił ją raz na zawsze. Wystarczyło unieść głowę, spojrzeć ponad lampą w niebo, by zrozumieć, że noc minęła bezpowrotnie. Kelnerzy pośpiesznie zrywali obrusy ze stolików. Przemykające się obok werandy koty przybrały już poranny wygląd. Na poetę nieubłaganie zwał się dzień.

7. Fatalne mieszkanie

Gdyby następnego dnia rano ktoś powiedział tak: “Stiopa! Jeżeli natychmiast nie wstaniesz, zostaniesz rozstrzelany!” – Stiopa odpowiedziałby słabym, ledwie dosłyszalnym głosem: “Rozstrzeliwujcie mnie, róbcie ze mną, co chcecie, za nic nie wstanę”.

Cóż tu mówić o wstawaniu – Stiope wydawało się, że nawet oczu nie zdoła otworzyć, a jeżeli tylko spróbuje zrobić coś podobnego, potworna błyskawica rozwali mu głowę na kawałki. W głowie tej kołysał się olbrzymi dzwon, pod powiekami przepływały brązowe plamy z ognistozieloną obwódka. Na domiar wszystkiego Stiope mdliło, przy czym wydawało mu się, że mdłości te wiążą się w jakiś sposób z natrętnymi dźwiękami patefonu.

Starął się coś sobie przypomnieć, ale przypomniał sobie tylko jedno, że to było chyba wczoraj, że stał gdzieś, nie wiadomo gdzie, z serwetką w ręku i usiłował pocałować jakąś nieznaną damę, przy czym zapowiadał, że następnego dnia, dokładnie o dwunastej w południe, złoży jej wizytę. Dama wymawiała się, mówiła: “Nie, nie, jutro nie będzie mnie w domu!”, a Stiopa upierał się: “Ale ja i tak przyjdę!”

Co to jednak była za dama, która jest teraz godzina jaki to dzień tygodnia, którego dziś – o tym Stiopa nie miał bladego wyobrażenia i, co najgorsze, nie miał również najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje. Postanowił wyjaśnić przynajmniej ten ostatni problem i w tym celu rozkleił zlepione powieki lewego oka. W półmroku coś mętnie połyskiwało. Stiopa rozpoznał wreszcie tremo i zrozumiał, że leży na wznak we własnym łóżku, to znaczy w byłym łóżku wdowy po jubilerze, w swojej sypialni. W tym momencie coś w jego głowie eksplodowało z taką siłą, że jęknął i zamknął oczy.

Wyjaśniamy – Stiopa Lichodiejew, dyrektor teatru Varietes, ocknął się rano w swoim mieszkaniu, które dzielił z nieboszczykiem Berliozem, w wielkim, mającym kształt podkowy, pięciopiętrowym domu na ulicy Sadowej.

Stwierdzić tu należy, że mieszkanie to – numer pięćdziesiąt – od dawna cieszyło się, jeśli nie złą, to w każdym razie wątpliwą sławą. Jeszcze dwa lata temu właścicielką jego była wdowa po jubilerze, Anna de Fougerais, pięćdziesięcioletnia szanowana przez wszystkich i nader zapobiegliwa matrona, która trzy ze swoich pięciu pokoi odnajmowała sublokatorom. Jeden z nich nazywał się, bodajże, Bielomut, drugi – zaprzepaścił gdzieś swoje nazwisko.

I nagle, przed dwoma laty, w mieszkaniu zaczęły się dziać rzeczy niepojęte – jego mieszkańcy jeden po drugim znikali bez wieści.

O zaginionych i o przeklętym mieszkaniu w całym domu długo opowiadano najróżniejsze legendy, a następnie zamieszkał tu nieboszczyk Berlioz z małżonką oraz wyżej wymieniony Stiopa, również z żoną. Jasne, że skoro tylko zadomowili się w fatalnym mieszkaniu, zaczęło się diabli wiedzą co! Przede wszystkim w ciągu miesiąca przepadły obie żony, co prawda nie bez wieści. O żonie Berlioza opowiadano, że ktoś widział ją podobno w Charkowie z jakimś baletmistrzem, żona Stiopy natomiast znajdowała się jakoby na Bożedomce, gdzie, jak plotkowano, dyrektor Varietes, wykorzystując swoje nadzwyczajne stosunki, załatwił dla niej pokój, pod tym wszakże warunkiem, że jej noga nie postanie więcej na Sadowej...

A więc Stiopa jęknął. Chciał zawołać służącą Grunię i polecić jej, żeby mu przyniosła piramidon, lecz pomimo wszystko zdał sobie sprawę, że żadnego piramidonu Grunia mieć nie może. Próbował wezwać na pomoc Berlioza, dwukrotnie zajęczał: “Misza... Misza...”, ale jak się sami domyślicie, odpowiedzi nie otrzymał. W mieszkaniu panowała niczym nie zmacona cisza.

Poruszył palcami nóg i zrozumiał, że leży w skarpetkach. Drżącą dłonią przesunął po biodrze, żeby stwierdzić, czy ma na sobie spodnie, czy nie, lecz nie stwierdził tego. Wreszcie widząc jasno, że jest samotny i porzucony przez wszystkich, że nikt mu nie chce pomóc, postanowił wstać, choćby miało to być ponad ludzkie siły.

Rozkleił zlepione powieki i ujrzał w lustrze człowieka ze sterczącymi na wszystkie strony włosami, z opuchniętą, pokrytą czarna szczeciną fizjonomią, z zapłniętymi oczyma. Człowiek ów miał na sobie brudną koszulę, krawat, kalesony i skarpetki.

Takim Stiopa zobaczył siebie w lustrze, a obok lustra zauważył nie znanego sobie człowieka, ubranego na czarno i w czarnym berecie.

Usiadł na łóżku i, na ile był w stanie, wytrzeszczył na nieznanego przekrwione oczy. Milczenie naruszył gość wypowiadając niskim, ciężkim głosem z cudzoziemskim akcentem następujące słowa:

– Dzień dobry, najmilszy dyrektorze!

Nastąpiła pauza, po której nadludzkim wysiłkiem przemówił Stiopa:

– Czego pan sobie życzy? – i sam zdumiał się nie poznając własnego głosu. Słowo “czego” zostało wypowiedziane falsetem, “pan” – basem, a “życzy” – w ogóle nie wydostało się na świat boży.

Nieznajomy uśmiechnął się życzliwie, wyjął duży złoty zegarek z brylantowym trójkątem na kopercie, zegarek zadzwonił jedenaście razy, a gość powiedział:

– Jedenasta. Dokładnie od godziny oczekuję na pańskie przebudzenie, ponieważ wyznaczył mi pan spotkanie na dziesiątą. Więc jestem!

Stiopa namacał spodnie leżące na krześle, wyszeptał:

– Przepraszam... – włożył je i ochrypłym głosem zapytał: – czy może mi pan podać swoje nazwisko?

Mówienie przychodziło mu z trudem. Przy każdym wypowiedzianym słowie ktoś wtykał mu igłę w mózg, co powodowało piekielny ból.

– Jak to? Mojego nazwiska też pan nie pamięta? – tu nieznajomy znowu się uśmiechnął.

– Przykro mi... – zachrypiał Stiopa czując, że kac obdarzył go właśnie nowym upominkiem. Podłoga przed łóżkiem gdzieś uniknęła i wydało się Stiopie, że za sekundę polecą głową na dół do wszystkich diabłów, w otchłań bez dna.

– Drogi dyrektorze – powiedział z przenikliwym uśmiechem gość – nie pomoże panu żaden piramidon. Niech się pan zastosuje do starej, mądrej zasady. Klin należy wybijać klinem. Jedyne, co może przywrócić panu życie, to dwie wódki pod pikantną, gorącą zakąskę.

Stiopa był człowiekiem sprytnym i mimo swego tragicznego stanu zrozumiał, że skoro już ktoś go zastał w takim położeniu, to najlepiej będzie przyznać się do wszystkiego.

– Szczerze mówiąc – zaczął ledwie obracając językiem – to wczoraj troszeczkę...

– Ani słowa więcej! – zawołał gość i odjechał z fotelem na bok.

Stiopa wybałuszając oczy zobaczył, że na malutkim stoliku stoi taca, na której leży pokrojony biały chleb, prasowany kawior w salaterce, marynowane borowiki na talerzyku, przykryty pokrywką ronderek i wreszcie wódka w pojemnej karafce pozostałej w spadku po jubilerowej. Szczególnie wstrząsające wrażenie na Stiopie wywarło to, że karafka spotniała z zimna. Było to zresztą całkowicie zrozumiałe – spoczywała bowiem w wiaderku napełnionym lodem. Jednym słowem stół był nakryty fachowo, ze znajomością rzeczy.

Nieznajomy nie pozwolił na to, by zdumienie Stiopy narosło aż do chorobliwych granic, i zręcznie nalał mu z pół szklanki wódki.

– A pan? – pisnął Stiopa.

– Z przyjemnością!

Drżącą ręką Stiopa podniósł kieliszek do ust, zaś nieznajomy jednym haustem przełknął

zawartość swojego. Żując kawior Stiopa wykrztusił:

– A pan... niczym pan nie przegryzie?

– Proszę mi wybaczyć, ale ja zwykłem pijać bez zakąski – odparł nieznajomy i nalał następną kolejkę. Zdjął z rondelka pokrywkę – okazało się, że są tam parówki w sosie pomidorowym.

I oto sprzed oczu Stiopy znikła paskudna zieloność, słowa dały się już wymawiać, a co najważniejsze, Stiopa zaczął sobie coś niecoś przypominać. To mianowicie, że wczoraj był w Schodni, w podmiejskiej willi autora skeczów Chustowa, i że pojechali tam razem z Chustowem taksówką. Przypomniał sobie nawet, że złapali tę taksówkę pod “Metropolem” i że był jeszcze z nimi jakiś aktor, nie aktor... z walizkowym patefonem. Tak, tak, tak, to było w tej willi! I jeszcze – teraz to sobie przypomniał – psy wyły, kiedy puszczała ten patefon. Tylko dama, którą Stiopa chciał pocałować, pozostawała w dalszym ciągu niewyjaśniona... diabli wiedzą, co za jedna... zdaje się, że pracuje w radio, a zresztą może i nie...

Tym sposobem dzień wczorajszy powolutku się przejaśniał, ale Stiopę obecnie bardziej interesował dzień dzisiejszy, a w szczególności fakt pojawienia się w sypialni nieznajomego, w dodatku z wódką i zakąską. Oto jest coś, co dobrze byłoby wyjaśnić!

– No cóż, teraz mam nadzieję, przypomniał pan sobie moje nazwisko?

Ale Stiopa tylko wstydliwie uśmiechnął się i rozłożył ręce.

– A jednak! Czuję, że po wódce pił pan portwajn. Na litość, któż tak postępuje!

– Chciałbym, żeby to zostało między nami – przymilnie poprosił Stiopa.

– Ależ naturalnie! Ale za Chustowa, rozumie się, nie mogę zaręczyć!

– To pan zna Chustowa?

– Wczoraj widziałem przelotnie tego typu w pana gabinecie, ale wystarczy jeden rzut oka na tę twarz, żeby stwierdzić, że to drań, plotkarz, karierowicz i wazeliniarz.

“Szczera prawda” – pomyślał Stiopa zdumiony tak trafną, dokładną i zwięzłą charakterystyką Chustowa.

Tak więc dzień wczorajszy powoli układał się z kawałków, ale mimo to trwoga nie opuszczała dyrektora Varietes. Rzecz w tym, że w owym wczorajszym dniu ziała przeogromna czarna dziura. Niech mówią, co chcą, ale tego czarnego gościa razem z jego beretem Stiopa w swoim gabinecie wczoraj z pewnością nie oglądał.

– Profesor czarnej magii Woland – dostojnie powiedział gość, a widząc zakłopotanie Stiopy opowiedział mu wszystko od początku.

Wczoraj profesor przyjechał z zagranicy do Moskwy, niezwłocznie stawił się u Stiopy i zaproponował, że wystąpi w Varietes. Stiopa zadzwonił do Stołecznej Komisji Nadzoru Widowisk, uzgodnił sprawę (Stiopa na to zbladł i zamrugał powiekami), a następnie podpisał z profesorem Wolandem kontrakt na siedem koncertów (Stiopa otworzył usta) oraz umówił się, że Woland wpadnie do niego dzisiaj o dziesiątej rano, by uzgodnić szczegóły... Więc przyszedł. Powitała go służąca Grunia, wyjaśniła, że sama dopiero co weszła, że jest tu na przychodne, że Berlioza nie ma w domu, jeżeli natomiast gość pragnie widzieć dyrektora, to niech idzie sam do sypialni. Stiepan Bogdanowicz sypia tak mocno, że ona, Grunia, nie podejmuje się go obudzić. Kiedy artysta zobaczył, w jakim stanie znajduje się dyrektor, posłał Grunię do pobliskiego sklepu po wódkę i zakąskę oraz do apteki po lód i...

– Pozwoli pan... – zaskomlał przybity Stiopa i zaczął szukać portfela.

– Ależ co znowu! – zawołał profesor i o niczym podobnym nie chciał nawet słyszeć.

Tak więc wódka i zakąska stały się zrozumiałe, a mimo to przykro było patrzeć na Stiopę – absolutnie nie przypominał sobie żadnego kontraktu i głowę dałby, że nie widział wczoraj tego Wolanda. Owszem, Chustow tak, ale żadnego Wolanda nie było.

– Pan pozwoli, że obejrzę nasz kontrakt – cicho poprosił Stiopa.

– Ależ oczywiście... oczywiście...

Stiopa spojrzał na dokument i zmartwiał. Wszystko było jak należy. Po pierwsze, jego, Stiopy, własnoręczny zamaszysty podpis... ukośna adnotacja na boku sporządzona ręką dyrektora finansowego Rimskiego zezwalająca na wypłacenie artyście Wolandowi dziesięciu tysięcy rubli a conto należnych mu za siedem koncertów trzydziestu pięciu tysięcy. Co więcej, do kontraktu załączone było pokwitowanie Wolanda na owe otrzymane już dziesięć tysięcy!

“Co się dzieje?!” – pomyślał nieszczęsny Stiopa i w głowie mu się zakręciło. Zaczynają się złowróżbne zaburzenia pamięci? No, oczywiście, rozumie się samo przez się, że po okazaniu kontraktu dalsze wyrażanie zdziwienia byłoby po prostu nieprzyzwoitością. Stiopa przeprosił gościa, że musi na chwilę go opuścić, i tak jak był, w skarpetkach, pobiegł do przedpokoju do telefonu. Po drodze krzyknął w kierunku kuchni:

– Grunia!

Ale nikt się nie odezwał. Stiopa spojrzał na drzwi sąsiadującego z przedpokojem gabinetu Berlioza, jak to się mówi, osłupiał. Zobaczył na klamce olbrzymią, lakową pieczęć na sznurku.

“Moje uszanowanie! – zaryczał ktoś w głowie Stiopy. – Tego jeszcze brakowało!” – i od tej

chwili myśli Stiopy pobiegły już nie dwutorowo, ale, jak to się zwykle dzieje w chwili katastrofy, w jednym kierunku i w ogóle diabli wiedzą dokąd. Trudno sobie nawet wyobrazić kaszę, jaka powstała w głowie Stiopy. Było tam i to diabelstwo z czarnym beretem, zimną wódką i nieprawdopodobnym kontraktem... A do tego wszystkiego, jak na zamówienie, jeszcze ta pieczęć na drzwiach! Powiedźcie, komu chcecie, że Berlioz coś przeszkrobał – nikt nie uwierzy, no dosłownie nikt nie uwierzy! A jednak pieczęć wisi, wisi jak byk! Ta–ak...

I tu zakipsiały w mózgu Stiopy jakieś wyjątkowo nieprzyjemne myśli, o artykule dla pisma, który, jak na złość, niedawno wepchnął Berliozowi... Artykuł, mówiąc między nami, idiotyczny i za marne pieniądze...

Natychmiast w ślad za wspomnieniem o artykule nadbiegło inne, o jakiejś podejranej rozmowie, która, o ile pamięta, miała miejsce dwudziestego czwartego kwietnia wieczorem, tu, w stołowym, kiedy Stiopa jadł kolację z Berliozem. To znaczy, oczywiście, w pełnym znaczeniu tego słowa rozmowy tej nie można nazwać podejrzaną (Stiopa nigdy by sobie na coś podobnego nie pozwolił), ale jednak była to rozmowa na jakiś zbędny temat. Zupełnie dobrze, obywatele, mogłoby się obejść bez tej rozmowy. Przed pieczęcią bez wątpienia można by tę rozmowę uznać za zupełne głupstwo, ale teraz, kiedy wisi ta pieczęć...

“Ach, Berlioz, Berlioz! – bulgotało w mózgu Stiopy – Przecież to się po prostu nie mieści w głowie!”

Ale nie mógł zbyt długo zamartwiać się tym niepokojącym wydarzeniem – nakręcił numer gabinetu dyrektora finansowego Varietes, Rimskiego. Sytuacja Stiopy była wyjątkowo niezręczna – po pierwsze cudzoziemiec mógł się obrazić, że Stiopa sprawdza jego słowa nawet po okazaniu kontraktu, a po drugie nie miał pojęcia, jak zacząć rozmowę z dyrektorem. Bo rzeczywiście, przecież nie sposób go zapytać: “Nie wie pan przypadkiem, czy zawierałem wczoraj z profesorem czarnej magii kontrakt na trzydzieści pięć tysięcy rubli?” Przecież tak rozmawiać nie może!

– Halo! – rozległ się w słuchawce ostry, nieprzyjemny głos Rimskiego.

– Dzień dobry panu – cicho powiedział Stiopa – mówi Lichodiejew. Chodzi o to, że... hm... hm... siedzi u mnie teraz ten... e... Woland... Więc ja... chciałem się dowiedzieć, co tam słyhać z dzisiejszym koncertem?

– A, ten mag? – odezwał się w słuchawce Rimski. – Zaraz będą afisze.

– Aha... – słabym głosem powiedział Stiopa – to do widzenia...

– A kiedy pan przyjdzie do teatru? – zapytał Rimski.

– Za pół godziny – odpowiedział Stioipa, odwiesił słuchawkę i ścisnął rękami płonąca głowę. Ach, co za paskudna historia! Cóż to się dzieje z tą pamięcią, obywatelu?

Jednak niepodobna było dłużej siedzieć w przedpokoju, więc Stioipa z miejsca ułożył sobie plan – za żadną cenę nie dać poznać, że ma tak niewiarygodną lukę w pamięci, oraz natychmiast sprytnie i ostrożnie wywiedzieć się od cudzoziemca, co on właściwie ma zamiar zademonstrować dziś wieczór w powierzonym Stioipie Varietes.

Stioipa odwrócił się plecami do aparatu telefonicznego i w wiszącym w przedpokoju lustrze, o którym dawno już zapomniała leniwa Grunia, wyraźnie zobaczył jakiegoś dziwnego, długiego jak żerdź osobnika w binoklach. (Ach, gdybyż tu był Iwan Nikołajewicz! Z miejsca by go poznał!) Osobnik ten ukazał się w lustrze i przepadł. Przerażony Stioipa uważnie spojrzął w głąb przedpokoju i znów się zachwiał, zobaczył bowiem w lustrze ogromnego czarnego kocura, który przeszedł przez przedpokój i także znikł.

Stioipa zatoczył się, serce w nim zamarło.

“Co się ze mną dzieje? – pomyślał. – Czy ja aby nie oszalałem? Skąd te odbicia?!” – zajrzał do przedpokoju i z przerażeniem zawołał:

– Grunia! Co to za kot pęta się u nas?! Skąd on się wziął? I jeszcze jacyś się tu kręcą!

– Proszę się nie obawiać, dyrektorze – odezwał się jakiś głos, ale nie był to głos Gruni, tylko gościa z sypialni. – To mój kot. Niech pan się nie denerwuje. A Gruni nie ma, wysłałem ją do Woroneża. Skarżyła się, żeście jej urlop zarwali.

Słowa gościa były tak nieoczekiwane i pozbawione wszelkiego sensu, iż Stioipa uznał, że się przesłyszał. Kompletnie oszołomiony, truchtem pobiegł do sypialni i – osłupiał. Włos mu się zjeżył, a czoło pokryły drobne kropelki potu.

Gość nadal przebywał w sypialni, ale już nie sam, tylko w towarzystwie – w drugim fotelu siedział typ, który przywidział się Stioipie w przedpokoju. Teraz było widać wyraźnie – pierzaste wąsiki, jedno szkło binokli połyskuje, a drugiego brak. Ale w sypialni działały się poza tym rzeczy znacznie okropniejsze: na pufie po jubilerowej rozwalił się w nonszalanckiej pozie trzeci kompan, przerażających rozmiarów czarny kocur z kieliszkiem wódki w jednej łapie i z widelcem – na który zdążył już nadziać marynowany grzyb – w drugiej.

Światło w sypialni, i tak słabe, zaczęło do reszty przygasać w oczach Stioipy. “A więc tak właśnie zaczyna się obłąd...” – pomyślał i złapał się za futrynę.

– Jak widzę, jest pan nieco zdziwiony, najdroższy dyrektorze? – zapytał Woland szcękającego zębami Stiopę. – A tymczasem nie ma się czemu dziwić. To po prostu moja świta.

Kocur akurat wypił wódkę i dłoń Stiopy zsunęła się po futrynie.

– A dla mojej świty potrzebne mi jest miejsce – mówił dalej Woland – tak że o kogoś z nas jest w tym mieszkaniu za dużo. Wydaje mi się, że tym kimś jest właśnie pan.

– Oni, oni! – koźlim głosem zabeczał długi kraciasty, używając w stosunku do Stiopy liczby mnogiej. – W ogóle oni w ostatnim czasie paskudnie się świnia. Piją, wykorzystując swoje stanowisko śpią z kobietami, ni cholery nie robią, zresztą nawet nie mogą nic zrobić, bo nie mają zielonego pojęcia o tym, czym się zajmują! Mydlą tylko oczy zwierzchnikom!

– Służbowym samochodem rozjeżdża bez skrępowań! – naskarżył zagryzając grzybkiem kot.

Stiopa już prawie zupełnie osunął się na podłogę i słabnącą dłonią drapał futrynę, kiedy stał się świadkiem jeszcze jednego, czwartego już nadprzyrodzonego zjawiska we własnym mieszkaniu – wprost z trema, z tafli lustra wszedł do pokoju mały, o nieprawdopodobnie szerokich barach osobnik w meloniku na głowie. Z ust sterczał mu kiel zniekształcający jego i tak niezwyczajnie szpetną fizys. W dodatku był płomiennie rudy.

– Ja – włączył się do rozmowy nowo przybyły – w ogóle nie rozumiem, jak to się stało, że on został dyrektorem – rudy mówił coraz bardziej nosowym głosem. – Z niego przecież taki dyrektor, jak ze mnie arcybiskup.

– Ty nie przypominasz arcybiskupa, Asasello – zauważył kot nakładając sobie parówki na talerz.

– Przecież o tym właśnie mówię – oświadczył przez nos rudy i zwracając się do Wolanda zapytał z szacunkiem: – Czy można, messer, przepędzić go z Moskwy do wszystkich diabłów?

– Won! – jeżąc sierść ryknął nagle kot.

W tym momencie sypialnia zawirowała, Stiopa uderzył głową o framugę i tracąc przytomność pomyślał: “Umieram...”

Ale nie umarł. Kiedy ostrożnie otworzył oczy, poczuł, że siedzi na czymś kamiennym. Dookoła coś szumiało. Kiedy otworzył oczy szerzej, zrozumiał, że słyszy szum morza, co więcej – fale kołyszają się tuż u jego stóp, a on sam, krótko mówiąc, siedzi na końcu mola, ma nad głową błękitne połyskujące niebo, za plecami zaś białe, rozrzucone na wzgórzach miasto.

Nie mając pojęcia, jak się postępuje w takich wypadkach, Stiopa wstał i na dygocących nogach pomaszerował mołem ku brzegowi.

Na molo stał jakiś człowiek, palił papierosa i spluwał na fale. Popatrzył dziko na Stiope i przestał pluć.

Wtedy Stiopa wykonał następujący numer: upadł na kolana przed nieznanym nałogowcem i zapytał:

– Błagam, niech mi pan powie, co to za miasto?

– Gotów! – powiedział bezduszny palacz.

– Nie jestem pijany – ochryple powiedział Stiopa – coś się ze mną stało... jestem chory...

Gdzie ja jestem? Co to za miasto?

– No, Jałta...

Stiopa cicho westchnął, upadł bokiem na ziemię uderzając głową o nagrzane kamienie mola. Świadomość opuściła go.

8. Pojedynek profesora z poetą

Właśnie wtedy, kiedy Stiopa stracił przytomność w Jałcie, to znaczy koło wpół do dwunastej, odzyskał ją i obudził się z długotrwałego, głębokiego snu Iwan Bezdomny. Przez czas pewien usiłował sobie uzmysłwić, jakim to sposobem znalazł się w nieznanym białym pokoju, w którym był przedziwny stolik nocny z jakiegoś jasnego metalu i białe zasłony, przez które prześwitywało słońce.

Potrząsnął głową, przekonał się, że go nie boli, i przypomniał sobie, że jest w lecznicy. Ta myśl pociągnęła za sobą wspomnienie o śmierci Berlioza, ale dziś wspomnienie to nie wywarło już na Iwanie takiego wrażenia. Wyspał się i był teraz znacznie spokojniejszy, umysł miał jaśniejszy. Przez czas pewien leżał nieruchomo w czyściutkim, wygodnym łóżku na sprężynach, potem spostrzegł obok siebie przycisk dzwonka. Ponieważ zwykł dotykać różnych przedmiotów bez potrzeby, nacisnął go. Oczekiwał, że naciśnięcie guziczka wywoła jakiś dźwięk, że ktoś nadejdzie, ale stało się coś zupełnie innego.

W nogach łóżka Iwana zapalił się matowy cylinder z napisem “Pić”. Napis trwał przez chwilę, a potem cylinder zaczął się obracać, dopóki nie ukazał się na nim napis “Salowa”. To zrozumiałe, że pomysłowy cylinder zaszokował Iwana. Napis “Salowa” zastąpiony został przez napis “Proszę wezwać lekarza”.

– Hmm... – powiedział Iwan nie wiedząc, co teraz z tym cylindrem począć. Ale dopomógł mu przypadek. Przy słowie “Pielęgniarka” Iwan nacisnął przycisk po raz drugi. Cylinder w odpowiedzi zadzwonił cichutko, zatrzymał się, zagasł, a do pokoju weszła pulchna sympatyczna kobieta w czystym białym fartuchu i powiedziała do Iwana:

– Dzień dobry!

Iwan nic nie odpowiedział, uznał bowiem, że takie powitanie w danych warunkach jest co najmniej niestosowne. Bo rzeczywiście, wpakowali zdrowego człowieka do szpitala i jeszcze udają, że wszystko jest w porządku!

Tymczasem kobieta, nadal z tym samym dobrodusznym wyrazem twarzy, jednym przyciśnięciem guziczka podciągnęła zasłony i przez sięgającą aż do podłogi cienką kratę o szeroko rozstawionych prętach chlusnęło do pokoju słońce. Okazało się, że za kratą jest taras, dalej – brzeg wijącej się zakolami rzeczki, zaś na drugim brzegu tej rzeczki – wesolutki sosnowy

bór.

– Proszę do kąpieli – zaprosiła kobieta i pod jej dotknięciem rozsunęła się wewnętrzna ściana, za którą ukazała się łazienka i znakomicie wyposażona toaleta.

Chociaż Iwan postanowił sobie, że nie odezwie się do tej kobiety, to przecież nie wytrzymał i obserwując wodę szeroką strugą lejącą się z błyszczącego kranu do wanny, powiedział ironicznie:

– Patrzcie no! Całkiem jak w „Metropolu”!...

– O, nie! – odpowiedziała z dumą kobieta – znacznie lepiej niż tam. Takiego wyposażenia nie ma nigdzie, nawet za granicą. Uczni i lekarze specjalnie przyjeżdżają, żeby zwiedzić naszą klinikę. Codziennie nas odwiedzają zagraniczni turyści.

Kiedy powiedziała „zagraniczni turyści”, Iwan natychmiast przypomniał sobie o wczorajszym konsultancie. Zachmurzył się, spojrzął spode łba i powiedział:

– Turyści... Ależ wy wszyscy uwielbiacie tych cudzoziemców! Tymczasem, nawiasem mówiąc, różni się wśród nich zdarzają. Wczoraj na przykład spotkałem takiego, że niech ręka boska broni!

I o mało nie zaczął opowiadać o Poncjuszu Piłacie, ale pohamował się, rozumiejąc, że kobiecie nic po tej opowieści, że tak czy owak pomóc mu ona nie może.

Wykąpanemu Iwanowi wręczono natychmiast dosłownie wszystko, czego potrzeba mężczyźnie, który wyszedł z wanny – wyprasowaną koszulę, kalesony, skarpetki. Ale nie dość tego – kobieta otworzyła drzwiczki szafki, wskazała jej wnętrze i zapytała:

– Co byś chciał włożyć, gołębiczku? Szlafrok czy piżamkę?

Po niewoli skazany na nowe miejsce pobytu Iwan o mało nie klasnął w ręce na taką poufałość i w milczeniu wskazał palcem piżamę z pąsowego barchanu.

Potem poprowadzono go pustym, wytłumiającym wszelkie odgłosy korytarzem, wprowadzono do olbrzymiego gabinetu. Iwan, który postanowił ironicznie traktować wszystko, co się znajduje w tym fantastycznie wyposażonym budynku, natychmiast w myśli nazwał ten gabinet „kuchnią – laboratorium”.

Miał powody, by tak go nazwać. Stały tu szafy i przeszklone szafki pełne błyszczących niklowanych narzędzi. Stały tu fotele o niesłychanie skomplikowanej konstrukcji, jakieś pękate lampy o lśniących kloszach, mnóstwo szklanych naczyń, były tam palniki gazowe i przewody elektryczne i jakaś nikomu nie znana aparatura.

W gabinecie zabrały się do Iwana trzy osoby – dwie kobiety i mężczyzna, wszyscy w bieli. Przede wszystkim posadzono go przy stoliku w kącie, najoczywiściej zamierzając przeprowadzić wywiad.

Iwan zaczął rozmyślać nad swoją sytuacją. Miał tu wyboru trzy możliwości. Niezmiernie nęcąca była pierwsza – rzucić się na te lampy, na te wymyślne cudeńka, wytłuc je wszystkie, rozpieprzyć w drobny mak i w ten sposób wyrazić swój protest przeciwko temu, że siedzi tu za niewinność. Ale dzisiejszy Iwan bardzo już się różnił od Iwana wczorajszego, uznał więc, że to pierwsze wyjście nie jest najlepsze – jeszcze tego brakowało, żeby się utwierdzili w przekonaniu, że jest furiatem. Dlatego zrezygnował z pierwszej możliwości. Istniała również druga – z miejsca zacząć opowiadać o konsultancie i Poncjuszu Piłacie. Ale wczorajsze doświadczenia wykazały, że ludzie w tę opowieść nie wierzą albo rozumieją ją jakoś opacznie. Wic Iwan zrezygnował także i z tej możliwości, postanowił wybrać trzecie wyjście – wyniosłe milczenie.

Nie udało mu się w pełni zrealizować swych zamierzeń i chcąc nie chcąc, musiał udzielać odpowiedzi na cały szereg pytań, choć co prawda były to odpowiedzi opryskliwe i skąpe. Wypytywano Iwana dosłownie o wszystko, co dotyczyło jego dotychczasowego życia, włącznie z tym, jaki był przebieg szkarlatyny, na którą chorował przed piętnastoma laty. Opisano Iwana na całą stronicę, przewrócono arkusz na drugą stronę i kobieta w bieli przeszła do pytań o jego krewnych. Można było dostać kręćka – kto umarł, kiedy i na co, czy nie pił, czy nie chorował na choroby weneryczne i tak dalej w tym stylu. Wreszcie poprosili, by opowiedział, co zaszło wczoraj na Patriarszych Prudach, ale nie czepiali się zanadto, komunikat o Poncjuszu Piłacie przyjęli bez zdziwienia.

Potem kobieta przekazała Iwana mężczyźnie, ten zaś zabrał się do niego zupełnie inaczej i o nic już nie pytał. Przy pomocy termometru sprawdził temperaturę Iwanowego ciała, zmierzył tętno, przyświecając sobie jakąś lampą zajrzał Iwanowi w oczy. Potem pośpieszyła mu z pomocą druga kobieta i kłuli Iwana czymś w plecy, ale nie bardzo boleśnie, trzonkiem młoteczka rysowali mu na piersiach jakieś znaki na skórze, stukali młoteczkami w kolana, co powodowało, że nogi Iwana podrygiwały, kłuli go w palec pobierając krew, kłuli go w zgięciu ręki, zakładali mu na ramię jakieś gumowe opaski...

Iwan tylko gorzko uśmiechał się pod nosem i myślał, jak to wszystko głupio i dziwacznie wyszło. Pomyśleć tylko! Chciał wszystkich uprzedzić o niebezpieczeństwie, jakie stanowi nieznany konsultant, zamierzał go schwytać, a osiągnął tylko tyle, że trafił do jakiegoś

tajemniczego gabinetu, po to, żeby opowiadać jakieś bzdury o wujku Fiodorze, który pił na umór w Wołodzie. Strasznie to głupio wypadło!

Wreszcie dano Iwanowi spokój. Został odtransportowany z powrotem do swego pokoju, gdzie dostał filiżankę kawy, dwa jajka ma miękko i biały chleb z masłem. Zjadłszy i wypiwszy to wszystko Iwan postanowił, że będzie czekał na kogoś, kto jest najważniejszy w tej instytucji, a z tego kogoś z pewnością uda mu się wydusić zainteresowanie swoją osobą i sprawiedliwość.

Doczekał się kogoś takiego, i to bardzo szybko, zaraz po śniadaniu. W pokoju Iwana nagle otworzyły się drzwi i weszło mnóstwo ludzi w białych fartuchach. Na czele szedł czterdziestopięcioletni wygolony starannie jak aktor mężczyzna o miłych, ale bardzo przenikliwych oczach, o nienaganych manierach. Cała świta manifestowała swój dla niego szacunek i uwagę, w związku z czym wejście jego wypadło bardzo uroczyście. “Zupełnie jak Poncejusz Piłat!” – mimo woli pomyślał Iwan.

Tak, ten człowiek był tu niewątpliwie najważniejszy. Usiadł na taborecie, podczas kiedy reszta stała nadal.

Usiadł i przedstawił się Iwanowi: – Doktor Strawiński. – I popatrzył nań życzliwie.

– Proszę, Aleksandrze Nikołajewiczu – cicho powiedział jakiś człowiek ze schludną bródką i podał Strawińskiemu zapisany po brzegi arkusz Iwana.

“Wysmażyli całą rozprawę” – pomyślał Iwan, siedzący zaś wprawnie przejrzał arkusz, mruknął: “Yhmm, yhmm...” i zamienił z otoczeniem kilka zdań w mało znanym języku. “I po łacinie mówi zupełnie jak Piłat” – ze smutkiem pomyślał Iwan. Nagle usłyszał słowo, które sprawiło, że drgnął, a było to słowo „schizofrenia” – niestety, już wczoraj na Patriarszych Prudach to samo słowo padło z ust przeklętego cudzoziemca, a dziś powtórzył je tutaj profesor Strawiński. “I o tym też wiedział!” – pomyślał z przerażeniem Iwan.

Strawiński miał widocznie taką zasadę, że zgadzał się ze wszystkim, cokolwiek mówiło jego otoczenie, i przyjmował to z entuzjazmem, który wyrażał w słowach: “Wyśmienicie, wyśmienicie”...

– Wyśmienicie! – powiedział zwracając komuś arkusz, po czym zwrócił się do Iwana:

– Pan jest poetą?

– Jestem poetą – posępnie odparł Iwan i po raz pierwszy w życiu poczuł nagle jakiś niewytłumaczalny wstręt do poezji, a jego własne wiersze, o których zaraz pomyślał, z niewiadomych powodów wydały mu się czymś niesympatycznym.

Zmarszczył czoło i z kolei zapytał Strawińskiego:

– Pan jest profesorem?

Na co Strawiński z uprzedzającą grzecznością skłonił głowę.

– Pan tu jest najważniejszy? – ciągnął Iwan. W odpowiedzi Strawiński znowu skłonił głowę.

– Chciałbym z panem pomówić – powiedział znacząco Iwan Nikołajewicz.

– Po to właśnie przyszedłem – odparł Strawiński.

– Chodzi o to – zaczął Iwan czując, że wybiła jego godzina – że zrobili ze mnie wariata i nikt nie chce słuchać tego, co mówię!...

– O, przeciwnie, wysłuchamy pana z wielką uwagą – poważnie, uspokajająco powiedział Strawiński. – I w żadnym razie nie pozwolimy robić z pana wariata.

– To niech pan słucha: wczoraj wieczorem na Patriarszych Prudach spotkałem jakąś tajemniczą osobistość, jakiegoś chyba cudzoziemca, który z góry wiedział, że Berlioz zginie, i widywał osobiście Poncjusza Piłata.

Świta słuchała poety w milczeniu, zamarła bez ruchu.

– Piłata? Tego Piłata, który żył za czasów Jezusa Chrystusa? – patrząc na Iwana zmrużonymi oczyma zapytał Strawiński.

– Właśnie, tego.

– Aha – powiedział Strawiński – a Berlioz to ten, który wpadł pod tramwaj?

– Właśnie na moich oczach wczoraj go przejechało na Patriarszych Prudach, a ten zagadkowy obywatel...

– Ten znajomy Poncjusza Piłata? – zapytał Strawiński, który najwidoczniej umiał bystro kojarzyć fakty.

– Właśnie on – uważnie przyglądając się Strawińskiemu przytaknął Iwan. – Więc on już przedtem powiedział, że Annuszka rozlała olej słonecznikowy... A on się akurat w tym miejscu poślizgnął! No i jak to się panu podoba? – znacząco zagadnął Iwan, pewien, że jego słowa wywierają ogromne wrażenie.

Ale nie wywarły takiego wrażenia, tylko Strawiński najzwyczajniej zadał następujące pytanie:

– A któż to taki, ta Annuszka?

To pytanie nieco wytrąciło Iwana z równowagi, skurcz wykrzywił mu twarz.

– Annuszka nic tu nie ma do rzeczy – powiedział denerwując się. – Diabli wiedzą, co to za jedna. Po prostu jakaś idiotka z Sadowej. Chodzi o to, że on z góry, rozumie pan, z góry wiedział

o tym oleju słonecznikowym! Pan mnie rozumie?

– Doskonale rozumiem – poważnie odpowiedział Strawiński i dotknąwszy kolana poety dodał: – Proszę się uspokoić i proszę opowiadać dalej.

– Więc dalej – powiedział Iwan starając się utrafić w ton Strawińskiego i wiedząc już z własnych gorzkich doświadczeń, że tylko spokój może mu pomóc – więc ten straszny typ (on zresztą kłamie, że jest konsultantem) ma jakąś niezwykłą moc. Na przykład gonisz go pan, ale nie ma na to siły, żeby dogonić... Jest z nim jeszcze taka parka, też dobra, ale to już inna para kaloszy – taki wysoki, w stłuczonych szklach i jeszcze niewiarygodnie wielki kot, który sam jeździ tramwajem. Poza tym – Iwan, któremu nikt nie przerywał, mówił z coraz większym zapalem i z coraz większym przekonaniem – on był osobiście na tarasie Poncjusza Piłata, co do tego nie ma dwóch zdań. No, więc co się dzieje, ludzie? Trzeba go natychmiast aresztować, bo inaczej zdarzy się jakieś straszliwe nieszczęście.

– Zatem domaga się pan, aby go aresztowano? Czy dobrze pana zrozumiałem? – zapytał Strawiński.

“To mądry człowiek – pomyślał Iwan. – Trzeba przyznać, że wśród inteligentów także trafiają się wyjątkowo mądry ludzie, nie da się temu zaprzeczyć” – i odparł:

– Pewnie! Jak mam się tego nie domagać, niech pan sam pomyśli! A tymczasem trzymają mnie tu siłą, świecą mi w oczy lampą, wsadzają do wanny, pytają o wujka Fiedię. Wujek już dawno ziemię gryzie. Żądam, żeby mnie natychmiast wypuszczono!

– No, cóż, wyśmienicie, wyśmienicie! – powiedział Strawiński. – A zatem wszystko się wyjaśniło. Rzeczywiście, po cóż mielibyśmy trzymać w lecznicy człowieka, który jest zdrow? Dobrze więc, natychmiast pana stąd wypuszczę, jeśli mi pan tylko powie, że jest pan normalny. Nie musi pan tego udowadniać, wystarczy, że pan to powie. A więc – czy jest pan normalny?

Zapadła absolutna cisza, otyła kobieta, która rankiem krzątała się przy Iwanie, popatrzyła na profesora z szacunkiem i z zachwytem. Iwan zaś raz jeszcze pomyślał: “To stanowczo mądry człowiek!”

Propozycja profesora bardzo mu się spodobała, ale zanim odpowiedział, namarszczył czoło i zastanowił się bardzo, bardzo głęboko, wreszcie oświadczył stanowczo:

– Jestem normalny.

– To wyśmienicie – z ulgą zawołał Strawiński – a skoro tak, porozmawiajmy logicznie. Choćby o tym, co pan robił wczoraj. – Tu odwrócił się i natychmiast podano mu arkusz Iwana. –

W poszukiwaniu kogoś, kto przedstawił się panu jako znajomy Poncjusza Piłata, zrobił pan wczoraj, co następuje. – I Strawiński zaginając szczupłe palce, patrząc to w arkusz, to na Iwana, zaczął wyliczać: – Zawiesił pan sobie na piersiach święty obrazek. Tak?

– Tak – posępnie przytaknął Iwan.

– Spadł pan ze sztachet i pokaleczył sobie twarz. Tak? Przyszedł pan do restauracji trzymając zapaloną świeczkę, w samej bieliźnie i pobił pan kogoś w tej restauracji. Do nas przywieziono pana związanego. Od nas dzwonił pan na milicję i prosił, żeby przysłano karabiny maszynowe. Potem usiłował pan wyskoczyć przez okno. Tak? Proszę mi powiedzieć, czy to są działania mające na celu schwytanie lub aresztowanie kogokolwiek? Jeżeli jest pan człowiekiem normalnym, to sam pan przyzna, że nie. Chce się pan stąd wydostać? Proszę bardzo. Ale pozwoli pan, że zapytam, dokąd chce się pan stąd udać?

– Na milicję, oczywiście – odpowiedział Iwan już mniej stanowczo, nieco zmieszany spojrzeniem profesora.

– Prosto stąd?

– Mhm...

– Nie wstąpi pan po drodze do swojego mieszkania? – szybko zapytał Strawiński.

– Przecież szkoda czasu! Ja będę sobie jeździł po mieszkaniach, a on tymczasem da nogę!

– Tak. A co pan przede wszystkim powie na milicji?

– Powiem o Poncjuszu Piłacie – odparł Iwan, a jego oczy zasnęła mroczna mgiełka.

– No, tak, wyśmienie! – wykrzyknął pokonany Strawiński, zwrócił się do brodacza i polecił: – Fiodorze Wasiliewiczu, proszę, wypiszcie, z łaski swojej, obywatela Bezdomnego z kliniki. Ale tego pokoju proszę nie zwalniać, bielizny pościelowej można nie zmieniać. Za dwie godziny obywatel Bezdomny będzie tu znowu. No, cóż – zwrócił się do poety – nie będę panu życzył powodzenia, bo nie wierzę, żeby się panu powiodło. Do rychłego zobaczenia! – I wstał, a jego świta poruszyła się również.

– Dlaczego miałbym trafić tu znowu? – z niepokojem zapytał Iwan.

Strawiński jak gdyby tylko czekał na to pytanie, od razu usiadł znowu i zaczął mówić:

– Dlatego, że skoro tylko przyjdzie pan w kalesonach na milicję i powie tam, że się pan widział z osobistym znajomym Poncjusza Piłata, natychmiast przywiozą pana tutaj i znajdzie się pan znowu w tym samym pokoju.

– Co tu mają do rzeczy kalesony? – zapytał Iwan rozglądając się niepewnie.

– Chodzi przede wszystkim o Poncjusza Piłata. Ale o kalesony także. Jasne, że zabierzemy panu szpitalne ubranie i wydamy panu to, w czym pan był. A przywieziono pana do nas w kalesonach. A przecież nie zamierzał pan wstąpić do swojego mieszkania, chociaż podsuwałem panu tę myśl. Do tego jeszcze dojdzie Piłat... i to już wystarczy.

Wówczas z Iwanem stało się coś dziwnego. Jego woła pękła, jak gdyby zrozumiał, że braknie mu sił, że potrzebna mu jest czyjaś rada.

– Więc co mam robić? – zapytał, tym razem nieśmiało.

– No, proszę, wysmienicie! – powiedział Strawiński. – To rozsądne pytanie. Teraz powiem panu, co się mianowicie panu zdarzyło. Wczoraj ktoś bardzo pana przestraszył i podniecił opowieścią o Poncjuszu Piłacie, a także innymi rzeczami. I oto pan, wyczerpany nerwowo i doprowadzony do ostateczności, wyruszył na miasto opowiadając wszystkim o Poncjuszu Piłacie. Jest zupełnie zrozumiałe, że biorą pana za obłąkanego. Tylko jedno może pana teraz uratować – absolutny spokój. Jest absolutnie konieczne, aby pan został tu u nas.

– Ale trzeba złapać tamtego! – błagalnie wykrzyknął Iwan.

– Dobrze, ale po co ma go pan ścigać osobiście? Niech pan wyłoży na piśmie wszystkie swoje podejrzenia i zarzuty pod adresem tego człowieka. Nic prostszego niż przesłać pana notatkę, gdzie należy, a jeżeli, tak jak pan przypuszcza, mamy do czynienia z przestępcą, to sprawa zostanie bardzo szybko wyjaśniona. Jest wszakże jeden warunek – niech się pan nie przemęcza myśleniem i niech pan jak najmniej myśli o Poncjuszu Piłacie. Albo to mało rzeczy można opowiadać? Nie we wszystko trzeba od razu wierzyć.

– Rozumiem! – stanowczo oświadczył Iwan. – Proszę mi dać papier i pióro.

– Proszę przynieść papier i króciutki ołówek – polecił Strawiński otyłej kobiecie, a do Iwana powiedział tak: – Ale dziś radziłbym nie pisać.

– Nie, nie, oczywiście, że dziś, koniecznie dziś! – zawołał z lękiem Iwan.

– No, dobrze. Tylko niech pan nie wysila umysłu. Jeśli dziś się panu nie uda, to uda się jutro.

– On ucieknie!

– O, nie – powiedział Strawiński z przekonaniem – zaręczam panu, że nigdzie nie ucieknie. I proszę pamiętać, że tutaj pomożemy panu, jak tylko będziemy mogli, a bez tego będzie z panem źle. Słyszysz mnie pan? – nagle znacząco zapytał Strawiński i ujął obie ręce Iwana. Ujął jego dłonie i z bliska patrząc w oczy długo powtarzał: – Pomożemy tu panu... Słyszysz mnie pan?... Pomożemy tu panu... Poczuj się pan lepiej... Tu jest cisza, spokój... Pomożemy tu panu...

Iwan Nikołajewicz ziewnął nagle, twarz mu złagodniała.

– Tak, tak – powiedział cicho.

– No, to wyśmienie! – Strawiński zakończył rozmowę swoim porzekadłem i wstał. – Do widzenia! – Ścisnął dłoń Iwana, a już od drzwi odwrócił się do brodacza i powiedział: – Tak, spróbujcie dać tlen... no i kąpiele.

Po małej chwileczce przy Iwanie nie było już ani Strawińskiego, ani jego świty. Za okienną siatką pysznił się w południowym słońcu wesoły wiosenny las na drugim brzegu rzeki, a jeszcze bliżej migotała sama rzeka.

9. Głupie dowcipy Korowiowa

Nikanor Iwanowicz Bosa, prezes spółdzielni mieszkaniowej, do której należał dom numer 302–A na ulicy Sadowej, gdzie mieszkał nieboszczyk Berlioz, miał obecnie okropne kłopoty – zaczęły się one poprzedniej nocy, ze środy na czwartek.

Jak już wiemy, o północy przyjechała komisja, w skład której wchodził Żełdybin, zawezwała przed swoje oblicze prezesa, zawiadomiła go o śmierci Berlioza, po czym wszyscy udali się do mieszkania numer pięćdziesiąt.

Dokonano tam opieczętowania rękopisów i innych rzeczy zmarłego. Ani Gruni, służącej na przychodne, ani lekkomyślnego Stiepana Bogdanowicza w tym czasie w mieszkaniu nie było. Komisja zawiadomiła prezesa, że rękopisy zmarłego zabiera, aby je przejrzeć i uporządkować, że część mieszkania należąca do nieboszczyka, to znaczy trzy pokoje (były gabinet jubilerowej, salon i stołowy) zostaje oddana do dyspozycji spółdzielni, rzeczy zaś należy zgromadzić w jednym miejscu i zabezpieczyć aż do momentu znalezienia spadkobierców.

Wiść o śmierci Berlioza rozniosła się po domu z nadnaturalną szybkością i poczynając od siódmej rano w czwartek w mieszkaniu Bosego rozdzwoniły się telefony, a następnie reflektanci na opróżnione mieszkanie zaczęli się pojawiać osobiście wraz z podaniami. W ciągu dwóch godzin Nikanor Iwanowicz przyjął coś trzydzieści dwa takie podania.

Zawierały one błagania, groźby, skargi, donosy, obietnice przeprowadzenia remontu na własny koszt, powoływano się na nieznośną ciasnotę, na całkowitą niemożność przebywania dłużej w jednym mieszkaniu z bandytami. Między innymi znajdował się tam wstrząsający pod względem siły artystycznego wyrazu opis porwania pierożków zapakowanych bezpośrednio do kieszeni marynarki w mieszkaniu pod trzydziestym pierwszym, dwie obietnice popełnienia samobójstwa i jedno wyznanie dotyczące potajemnej ciąży.

Prezesa wywoływano do jego własnego przedpokoju, łapano za guzik, coś naszeptywano, mrugano, zapewniano, że przysługa nie pójdzie w niepamięć.

Ta udręka trwała do pierwszej, kiedy prezes po prostu uciekł ze swojego mieszkania do mieszczącego się tuż przy bramie biura, ale kiedy zobaczył, że i tam na niego czatują, uciekł i stamtąd. Pozbywszy się jakoś tych, którzy deptali mu po piętach, Bosa przebiegł wyasfaltowane podwórko, wszedł na szóstą klatkę i udał się na czwarte piętro, na którym znajdowało się owo

przekłete mieszkanie numer pięćdziesiąt.

Kiedy tęgi prezes trochę już odsapnął na podeście, przycisnął dzwonek, ale nikt mu nie otwierał. Zadzwoił znowu, potem jeszcze i jeszcze raz, po czym zamruczał coś i nawet zaczął cichutko kłąć. Ale nawet i wtedy nikt mu nie otworzył. Cierpliwość prezesa wyczerpała się, wyjął z kieszeni wiązkę należących do zarządu zapasowych kluczy, władczą dłonią otworzył drzwi i wszedł do środka.

– Ej! – zawołał w półmrocznym przedpokoju. – Ty, jak cię tam zwa, Grunia! Nie ma cię?

Nikt nie odpowiadał.

Wtedy Bosy wyjął z teczki calówkę, następnie zerwał pieczęć z drzwi gabinetu i wkroczył do środka. Wkroczyć wprawdzie wkroczył, ale zdumiony zatrzymał się w progu i nawet z lekka się zachwiał.

Przy biurku nieboszczyka siedział niezidentyfikowany długi i chudy obywatel w kraciastej marynareczce, w dżokejce i w binoklach... no, słowem, ten sam!

– Kim pan jest, obywatelu? – ze strachem zapytał Bosy.

– Ba! Prezesie! – wrzasnął skrzekliwym tenorem zagadkowy obywatel, zerwał się i powitał Bosego przymusowym i raptownym uściskiem dłoni. To powitanie bynajmniej prezesa nie uradowało.

– Przepraszam najmocniej – powiedział podejrzliwie. – Ale kim pan właściwie jest? Czy pan tu urzędowo?

– Eh, prezesie! – serdecznie zawołał nieznajomy. – Cóż to właściwie znaczy – urzędowo czy nieurzędowo? To zależy od punktu widzenia. Wszystko, mój drogi, jest chwiejne i umowne. Dziś, na przykład, jestem osobą nieurzędową, a jutro, patrzcie no tylko, już urzędową! A bywa i na odwrót, oj i to jeszcze jak!

Te rozważania ani trochę nie usatysfakcjonowały prezesa. Będąc z natury człowiekiem podejrzliwym, doszedł do wniosku, że gadatliwy ów obywatel jest osobą zgoła nieurzędową, a nawet, być może, wątpliwej konduity.

– Ale kim pan właściwie jest? Nazwisko pana? – coraz surowiej wypytywał prezes i nawet zaczął napierać na zagadkowego osobnika.

– Moje nazwisko... – powiedział ani trochę nie zmieszany srogością prezesa obywatel – powiedzmy, że moje nazwisko – Korowiow. Ale może by pan coś przegryzł, prezesie? Proszę się nie krępować.

– Przepraszam, co to za przegryzanie – Bosego ogarniał już gniew (musimy tu wyznać, aczkolwiek z przykrością, że Nikanor Bosy z natury był nieco gburowaty). – Przebywanie na metrażu nieboszczyka jest zabronione! Co pan tu robi?

– Ależ niech pan siada – wrzeszczał ani trochę nie zdetonowany obywatel i nawet kręcąc się jak fryga zaczął podsuwać prezesowi fotel.

Rozwścieczony do ostateczności Bosy wzgardził fotelem i wrzasnął:

– Kim pan jest?

– Ja, szanowny panie, zajmuję stanowisko tłumacza przy osobie cudzoziemca, który rezyduje w tym właśnie mieszkaniu – przedstawił się ten, który nazwał się Korowiowem, i trzasnął obcasami żółtych nie wyczyszczonych butów.

Bosy ze zdziwienia otworzył usta. Obecność w tym mieszkaniu jakiegoś cudzoziemca, na dodatek jeszcze z tłumaczem, była dla niego zupełną niespodzianką, w związku z czym zażądał wyjaśnień.

Tłumacz chętnie mu ich udzielił. Zagraniczny artysta, pan Woland, został zaproszony przez uprzejmego dyrektora Varietes, Stiepana Lichodiejewa, aby w czasie, kiedy będzie występował, co potrwa mniej więcej tydzień, skorzystał z jego gościny. Dyrektor jeszcze wczoraj zawiadomił o tym pisemnie prezesa prosząc o zameldowanie cudzoziemca na pobyt czasowy, dopóki Lichodiejew nie wróci z Jałty.

– Lichodiejew niczego takiego do mnie nie pisał – powiedział zdumiony prezes.

– Niech pan może jednak dobrze poszuka w swojej teczce – zaproponował słodko Korowiow. Wzruszając ramionami prezes otworzył teczkę – znalazł w niej list od Lichodiejewa.

– Jak to się stało, że o tym zapomniałem? – patrząc na otwartą kopertę tępo wymruczał Bosy.

– Nie takie rzeczy się zdarzają, niech mi pan wierzy, nie takie! – zatrzeszczał Korowiow. – Roztargnienie, roztargnienie, przemęczenie i podwyższone ciśnienie, drogi przyjacielu! Sam jestem roztargniony do niemożliwości! Kiedyś przy kieliszku opowiem panu kilka faktów z mojego życia, daję słowo – nie powstrzyma się pan od śmiechu!

– A kiedy Lichodiejew jedzie do Jałty?

– Ależ on już pojechał, pojechał! – krzyczał tłumacz. – On, wie pan, jest już w podróży! Jest już diabli wiedzą gdzie! – w tym momencie tłumacz zamachał rękoma jak wiatrak.

Bosy oświadczył, że musi osobiście zobaczyć się z cudzoziemcem, tłumacz jednak stanowczo odmówił: Niemożliwe. Zajęty. Tresuje kota.

– Kota, jeżeli pan sobie życzy, mogę pokazać – zaproponował.

Z tego z kolei zrezygnował prezes, tłumacz zaś z miejsca złożył mu nieoczekiwaną, ale nader interesującą propozycję – ponieważ pan Woland za żadną cenę nie życzy sobie mieszkać w hotelu, a przywykł do życia na szerokiej stopie, czy więc w takim razie spółdzielnia nie zgodzi się na wynajęcie na tydzień, dopóki będą trwały jego występy w Moskwie, całego mieszkania, to znaczy również tej jego części, w której mieszkał nieboszczyk Berlioz?

– Przecież dla niego to jest zupełnie obojętne, dla nieboszczyka, znaczy się – szeptem chrypiał Korowiow. – Zgodzi się pan chyba ze mną, prezesie, że to mieszkanie nie jest mu już teraz do niczego potrzebne?

Prezes z niejakim zdziwieniem powiedział, że przecież cudzoziemcy zwykli mieszkać w “Metropolu”, a nie w prywatnych mieszkaniach...

– Mówię panu, ten jest grymaśny, jak sam diabeł – szeptał Korowiow. – Nie ma życzenia! Nie znosi hoteli! Mam już ich potąd, tych zagranicznych turystów! – intymnie uzalił się wskazując palcem swoją żylastą szyję. – Proszę mi wierzyć, już w piątkę gonię! Przyjdzie taki jeden z drugim i albo naszpieguje jak ostatni sukinsyn, albo grymasami zamęczy człowieka – i tak mu źle, i tak niedobrze!... A dla waszej spółdzielni, szanowny prezesie, to wielka wygoda i znaczny profit. Na pieniądzach mu nie zależy. – Korowiow rozejrzał się dookoła, a potem szepnął Bosemu na ucho: – Milioner!

Propozycja tłumacza zawierała wyraźny praktyczny sens, propozycja to była solidna, ale coś nad wyraz niesolidnego było w jego sposobie mówienia, w jego ubiorze i w tych wstrętnych, pozbawionych wszelkiego sensu binoklach. Wszystko to sprawiało, że jakieś niejasne uczucie trapiło duszę prezesa, mimo wszystko postanowił jednak przyjąć propozycję. Rzecz w tym, że spółdzielnia miała, niestety, nader znaczny deficyt. Przed zimą należało zakupić ropę naftową dla potrzeb centralnego ogrzewania, nie wiadomo tylko, za jakie kapitały. A z pieniędzmi cudzoziemca można by chyba wyjść na swoje. Ale praktyczny i ostrożny prezes oświadczył, że przede wszystkim musi uzgodnić sprawę z biurem turystyki zagranicznej.

– Rozumiem! – zawołał Korowiow. – Jakże można bez uzgodnienia? Oczywiście! Oto telefon, prezesie, i proszę niezwłocznie uzgadniać! A co do pieniędzy – niech się pan nie krępuje – dodał szeptem Korowiow, ciągnąc prezesa do przedpokoju, gdzie stał telefon – od kogo brać, jeśli nie od niego! Gdyby pan zobaczył jego willę w Nicei! Kiedy pan w przyszłym roku wybierze się latem za granicę, niech pan specjalnie przyjedzie popatrzeć – oko panu zbieleje!

Bosy załatwił sprawę w biurze turystyki zagranicznej z niesłychaną, wprost wstrząsającą szybkością. Okazało się, że w biurze wiedzą już o tym, że pan Woland pragnie zatrzymać się w prywatnym mieszkaniu Lichodiejewa, i że nie mają co do tego żadnych zastrzeżeń.

– No to cudownie! – wydierał się Korowiow.

Nieco oszołomiony jego trajkotaniem prezes oświadczył, że spółdzielnia zgadza się wynająć na tydzień mieszkanie numer pięćdziesiąt artyście Wolandowi po... – prezes lekko się zająknął i wypalił:

– Po pięćset rubli dziennie!

Wtedy Korowiow wprowadził prezesa w ostateczne zdziwienie. Po złodziejsku mrugnął w stronę sypialni, skąd dobiegały odgłosy miękkich skoków olbrzymiego kota, i zachrypiął:

– To znaczy za tydzień – trzy i pół tysiąca?

Bosy pomyślał, że Korowiow powie teraz: “Ma pan niezły apetycik, prezesie!”, ale Korowiow powiedział coś zupełnie innego:

– I to mają być pieniądze? Niech pan zażąda pięć, on da!

Nikanor Bosy nawet nie zauważył, kiedy ze zmieszonym uśmiechem na twarzy znalazł się przy biurku zmarłego, przy którym to biurku Korowiow błyskawicznie i z niezwykłą zręcznością napisał tekst umowy w dwu egzemplarzach. Następnie pomknął do sypialni, powrócił i oba egzemplarze były już opatrzone zamaszystym podpisem cudzoziemca. Podpisał umowę również i prezes. Wtedy Korowiow poprosił o pokwitowanie na pięć...

– Słownie, słownie, prezesie... tysiący rubli... – i ze słowami jakoś nie licującymi z powagą chwili: – Eins, zwei, drei! – wyłożył Bosemu na biurko pięć nowiutkich paczek, prosto z banku.

Odbyło się przeliczenie, obficie okraszone porzekadłami i żarcikami Korowiowa, w rodzaju “pieniądz lubi być liczony”, “pańskie oko konia tuczy” i innymi tej samej klasy.

Przeliczywszy pieniądze Bosy wziął od Korowiowa paszport cudzoziemca, aby zameldować artystę na pobyt tymczasowy, włożył ten paszport wraz z umową i pieniędzmi do teczki, i, jakoś nie mogąc się powstrzymać, wstydliwie poprosił o bilecik...

– Ach, nie ma o czym mówić! – ryknął Korowiow. – Ile pan sobie życzy bilecików, dwanaście, piętnaście?

Oszołomiony prezes wyjaśnił, że bileciki są mu potrzebne w liczbie dwóch, dla niego samego mianowicie i dla Pelagii Antonowny, jego żony.

Korowiow natychmiast wyrwał z kieszeni notes i zamaszysto wypisał prezesowi kartkę na

dwa bilety w pierwszym rzędzie. Tę karteczkę tłumacz lewą ręką zwinnie wręczył prezesowi, a prawą włożył w drugą dłoń prezesa grubą szeleszczącą paczkę. Bosy rzucił na nią okiem, zapłonął się po uszy i zaczął odpychać paczkę od siebie.

– Nie uchodzi – wymamrotał.

– Nie chcę o tym nawet słyszeć – szepnął wprost w prezesowe ucho Korowiow. – U nas nie uchodzi, a u cudzoziemców wręcz przeciwnie. Pan go obrazi, a to po prostu nie wypada. Pan się przecież fatygował...

– Najsurowiej wzbronione – cichuteńko zaszemrał prezes i rozejrzał się wokół.

– A gdzie są świadkowie? – szeptał mu w drugie ucho Korowiow. – Gdzie świadkowie, pytam? Co też pan...

I w tym momencie stał się, jak później twierdził prezes, cud – paczka sama wśliznęła mu się do teczki. A następnie Bosy z poczuciem dziwnej słabości, jak po ciężkiej chorobie, znalazł się na schodach. Wicher myśli szalał w jego głowie. Była tam i willa w Nicei, i tresowany kot, i myśl o tym, że świadków istotnie nie było oraz że Pelagia Antonowna ucieszy się z biletów. Myśli te, aczkolwiek bez żadnego związku ze sobą, były na ogół przyjemne. Niemniej jednak jakiś cień w najgłębszych czeluściach prezesowej duszy uwierał Bosego. Był to cień niepokoju. Poza tym, tu, na schodach, nagle poczuł się tak, jakby dostał obuchem w łeb: “A w jaki sposób tłumacz dostał się do gabinetu, skoro na drzwiach znajdowała się nienaruszona pieczęć? I jak to się stało, że on, Nikanor Bosy, nie zapytał o to?” Przez jakiś czas prezes jak baran wpatrywał się w stopnie schodów, ale w końcu postanowił machnąć na to wszystko ręką i nie zamęczać się rozważaniami na zbyt skomplikowane tematy.

Skoro tylko prezes opuścił mieszkanie, z sypialni dobiegł niski głos:

– Nie spodobał mi się ten prezes. To szubrawiec i krętacz. Czy nie można zrobić tak, żeby on tu się więcej nie pojawiał?

– Wystarczy, że wydasz polecenie, messer – odezwał się Korowiow, a głos jego nie był już skrzekliwy, ale dźwięczny i bardzo czysty.

I momentalnie przekłety tłumacz znalazł się w przedpokoju, nakręcił numer i powiedział do słuchawki głosem nie wiedzieć czemu nad wyraz płaczącym:

– Halo! Uważam za swój obowiązek zawiadomić, że prezes spółdzielni, do której należy dom pod numerem 302–A na ulicy Sadowej, Nikanor Iwanowicz Bosy, spekuluje walutą. W obecnej chwili w jego mieszkaniu pod numerem trzydzieści pięć w przewodzie wentylacyjnym w

ubikacji znajduje się zawinięte w papier gazetowy czterysta dolarów. Mówi Timofiej Kwascow, lokator inkryminowanego domu z mieszkania numer jedenaście. Zaklinam na wszystko o utrzymanie mego nazwiska w tajemnicy, ponieważ obawiam się zemsty przytoczonego wyżej prezesa!

I odwiesił słuchawkę, drań!

Co dalej działo się w mieszkaniu pod pięćdziesiątym – nie wiadomo, ale za to dokładnie wiadomo, co robił Nikanor Bosy. Prezes mianowicie zamknął się na haczyk w ubikacji, wyjął z kieszeni paczkę, która w niego wmusił tłumacz, i upewnił się, że zawiera ona czterysta rubli. Paczkę tę Bosy zawinął w kawałek gazety i wepchnął w przewód wentylacyjny.

W pięć minut później siedział już przy stole w swojej maleńkiej jadalni. Małżonka jego przyniosła z kuchni starannie pokrojonego, suto posypanego szczypiorkiem śledzia. Nikanor Bosy napełnił wódką kieliszek, wypił, nalał znowu, wypił, nadział na widelec trzy dzwonka śledzia... i w tym właśnie momencie ktoś zadzwonił do drzwi. A właśnie żona wniosła wazę, z której buchała para. Wystarczyło raz tylko spojrzeć na tę wazę, by wiedzieć, że wewnątrz niej w gęstwinie płomiennego barszczu znajduje się to, co najsmaczniejsze na świecie – kość szpikowa. Bosy przełknął ślinę i zawarczał jak pies:

– Żeby ich ziemia pochłonęła! Nawet zjeść nie dadzą!... Nie wpuszczaj nikogo, nie ma mnie, nie ma... W sprawie mieszkania powiedz, żeby przestali tu latać, za tydzień będzie zebranie zarządu.

Małżonka pobiegła do przedpokoju, a prezes łyżką wazową wyłowił z zięjącego płomieniem jeziora ją, kość, pękniętą wzdłuż. W tym momencie do stołowego weszło dwóch obywateli, a z nimi nie wiedzieć czemu śmiertelnie pobladła żona prezesa. Bosy na widok owych obywateli również zbieleł i wstał.

– Gdzie tu jest toaleta? – z troską w głosie zapytał pierwszy, ten w białej koszuli.

Coś stuknęło o nakryty do obiadu stół (to Nikanor Bosy upuścił łyżkę na ceratę).

– Tutaj, tutaj – szybciutko odpowiedziała Pelagia Antonowna.

Przybysze niezwłocznie udali się na korytarz.

– A o co chodzi? – cicho zapytał Bosy podążając za gośćmi. – U nas w mieszkaniu nie może się znajdować nic takiego... Może bym tak mógł zobaczyć dokumenty... proszę o wybaczenie...

Pierwszy w przelocie pokazał prezesowi stosowny dokument, a drugi w tej samej sekundzie stał już na taborecie w ubikacji z ręką w przewodzie wentylacyjnym. Bosemu pociemniało w

oczach. Rozwinięto gazetę, ale w paczce nie było rubli, tylko dziwne nieznane banknoty – ni to niebieskie, ni to zielone – z podobizną jakiegoś starca. Zresztą wszystko to Bosa widział niezbyt wyraźnie – przed oczami latały mu jakieś plamy.

– Dolary w wentylacji... – z zadumą powiedział pierwszy i miękkiem, uprzejmym głosem zapytał Bosego: – To wasza paczuszka?

– Nie! – odpowiedział strasznym głosem prezes. – Podrzucili wrogowie!

– To się zdarza – zgodził się ten pierwszy i dodał znowu bardzo serdecznie: – No cóż, trzeba oddać resztę.

– Nie mam nic więcej! Nie mam, przysięgam na Boga! Nigdy niczego podobnego nawet w ręku nie miałem! – rozpaczliwie krzyczał prezes.

Rzucił się w stronę komody, z łoskotem wyciągnął szufladę, a z niej teczkę, wykrzykując przy tym bez związku:

– Oto umowa... tłumacz–bandyta podrzucił... Korowio... w binoklach!...

Bosa otworzył teczkę, wsadził rękę do środka, zsiniał na twarzy i upuścił teczkę w barszcz. Teczka była pusta – ani listu od Stiopy, ani umowy, ani paszportu cudzoziemca, ani pieniędzy, ani kartki w sprawie biletów. Jednym słowem, w teczce nie było nic oprócz całówki.

– Towarzysze! – nieludzkim głosem wrzasnął prezes. – Trzymajcie ich! W naszym domu jest nieczysta siła!

W tym momencie nie wiadomo co zwidziało się jego żonie, ponieważ załamała ręce i zawołała:

– Przyznaj się, Iwanycz! Krócej będziesz siedział!

Bosa z oczyma nalanymi krwią potrząsał pięściami nad głową żony i chrypiał:

– Uuu, krowa przeklęta!

Potem osłabł, opadł na krzesło, najwidoczniej postanawiając poddać się temu, co nieuniknione.

W tym czasie Timofiej Kondratiewicz Kwascow płonąc z ciekawości stał na podeście, przypadając na zmianę raz okiem, raz uchem do dziurki od klucza w drzwiach prezesowego mieszkania.

Po pięciu minutach wszyscy mieszkańcy domu, którzy w tym czasie znajdowali się na podwórku, mogli widzieć swego prezesa, jak w towarzystwie dwóch mężczyzn przemaszerował wprost do bramy domu. Opowiadano, że Nikanor Iwanowicz wyglądał jak cień, że idąc chwiał

się, jakby był pijany, i że mamrotał coś pod nosem.

A po godzinie nieznanego obywatela pojawił się w mieszkaniu numer jedenaście, właśnie wtedy, kiedy Timofiej Kwasow, zachłystując się ze szczęścia, opowiadał innym lokatorom, jak nakryto prezesa – skinieniem palca wywołał Kwasowa z kuchni do przedpokoju, coś mu powiedział, po czym Kwasow przepadł wraz z nim.

10. Wieści z Jałty

W tym samym czasie, kiedy nieszczęście spadło na Nikanora Iwanowicza, nie opodał domu numer 302–A na Sadowej w gabinecie dyrektora finansowego teatru Varietes, Rimskiego, znajdowało się dwóch ludzi – sam dyrektor Rimski i administrator Warionucha.

Dwa okna wielkiego gabinetu na pierwszym piętrze budynku teatru wychodziły na Sadową, trzecie zaś – znajdujące się dokładnie za plecami siedzącego przy biurku dyrektora – wychodziło na letni ogródek Varietes. Mieściły się tam bufety z napojami chłodzącymi, strzelnica i estrada pod gołym niebem. W gabinecie tym oprócz biurka znajdowało się jeszcze mnóstwo starych, rozwieszonych na ścianach afiszów, maleńki stolik z karafką wody, cztery fotele oraz stojący w kącie stelaż, na którym stała zakurzona, stara makieta dekoracji do jakiejś rewii. No i rozumie się samo przez się, że poza tym wszystkim rezydowała w gabinecie niewielka, wyliniała i sfatygowana kasa pancerna – stała ona po lewej ręce Rimskiego, obok biurka.

Siedzący za biurkiem Rimski od samego rana był w fatalnym nastroju, natomiast Warionucha, przeciwnie, był niezmiernie ożywiony i jakoś szczególnie, niespokojnie aktywny. A tymczasem nie mógł znaleźć ujścia dla swej energii.

Obecnie Warionucha ukrywał się w gabinecie dyrektora przed amatorami wejściówek, którzy zatruwali mu życie, szczególnie w dniach zmiany programu, a dzisiaj właśnie był taki dzień. Skoro tylko telefon zaczynał dzwonić, Warionucha podnosił słuchawkę i łągał:

- Z kim? Z Warionucha? Nie ma go. Wyszedł z teatru.
- Proszę cię, zadzwoń ty jeszcze raz do Lichodiejewa – z rozdrażnieniem powiedział Rimski.
- Ależ nie ma go w domu. Już nawet Karpowa posyłałem, nikogo nie ma w mieszkaniu.
- Diabli wiedza, co to ma znaczyć! – syczał Rimski, stukając na arytmometrze.

Otworzyły się drzwi, bileter przydźwigał grubą paczkę świeżo wydrukowanych sztrajf – na zielonym papierze wielkimi czerwonymi literami widniało:

DZIŚ I CODZIENNIE W TEATRZE VARIETES

NADPROGRAM

PROFESOR WOLAND

SEANSE CZARNEJ MAGII

ORAZ MAGII OWEJ CAŁKOWITE ZDEMASKOWANIE

Warionucha narzucił sztrajfę na makietę, odszedł na parę kroków, ponapawał się i polecił bileterowi, aby niezwłocznie kazał rozkleić wszystkie egzemplarze.

– Dobrze! Zwraca uwagę! – zauważył po odejściu biletera.

– A mnie się ta cała afera wyjątkowo nie podoba – z nienawiścią patrząc na afisz przez okulary w rogowej oprawie warczał Rimski – i w ogóle bardzo się dziwię, że mu pozwolili na wystawienie czegoś podobnego.

– Nie, Grisza, nie mów! To bardzo subtelne posunięcie. Cały dowcip polega na demaskowaniu.

– Nie wiem, nie wiem, moim zdaniem to kiepski dowcip... ten Stiopa zawsze wymyśli coś takiego!... Gdyby chociaż pokazał tego maga! Ty go przynajmniej widziałeś? Diabli wiedzą, skąd on go wytrzasnął!

Okazało się, że Warionucha, podobnie jak Rimski, maga nie widział na oczy. Wczoraj Stiopa (“jak oszalały”, według określenia Rimskiego) przybiegł do dyrektora z napisaną już na brudno umową, natychmiast polecił ją przepisać i wypłacić Wolandowi pieniądze. Potem mag ulotnił się i nikt prócz Stiopy więcej go nie widział.

Rimski wyjął zegarek, zobaczył, że wskazówki wskazują pięć minut po godzinie drugiej i rozwścieczył się na dobre. Bo rzeczywiście! Lichodiejew dzwonił mniej więcej o jedenastej, powiedział, że przyjdzie za pół godziny, tymczasem nie tylko nie przyszedł, ale gdzieś zniknął z mieszkania.

– Przez niego cała robota stoi! – ryczał już Rimski pokazując palcem na stos nie podpisanych papierków.

– A może wpadł pod tramwaj jak Berlioz? – wyraził przypuszczenie Warionucha trzymając przy uchu słuchawkę, z której dobiegały głębokie, długie i całkowicie beznadziejne sygnały.

– To byłoby wcale nie najgorzej... – ledwie dosłyszalnie, przez zęby, powiedział Rimski.

W tym momencie do gabinetu weszła kobieta w mundurowej kurtce, czarnej spódnicy, pantoflach na płaskim obcasie i w furażerze. Kobieta ta wyjęła z niewielkiej, zawieszanej na pasku torby biały kwadracik oraz zeszyt i zapytała:

– Gdzie tu jest Varietes? Mam pilną depezę. Proszę podpisać.

Warionucha nabazgrał w zeszycie jakiś zakrętas i jak tylko za kobietą zamknęły się drzwi, otworzył telegram. Zapoznawszy się z jego treścią zamrugał oczami i podał blankiet Rimskiemu.

Depesza brzmiała jak następuje: “Jałty moskwy varietes dzisiaj pół dwunastej komisariacie

zjawił się szatyn nocnej koszuli spodniach bez butów obłąkany zeznał nazwisko lichodiejew jest dyrektorem varieties depeszujcie milicja Jałta gdzie dyrektor lichodiejew”.

– Moje uszanowanie! – zawołał Rimski i dodał – jeszcze jedna niespodzianka!

– Samozwaniec! – oświadczył Warionucha i powiedział do słuchawki telefonicznej: – Przyjmowanie telegramów? Na rachunek Varietes. Pilna depesza. Słyszysz mnie pani? “Jałta, milicja... dyrektor lichodiejew moskwie dyrektor finansowy rimski”.

Niezależnie od wiadomości o samozwańcu z Jałty Warionucha znowu rozpoczął wszechstronne telefoniczne poszukiwania Stiopy, ale nigdzie naturalnie go nie znalazł.

Właśnie kiedy Warionucha trzymając w ręku słuchawkę zastanawiał się, dokąd by jeszcze zadzwonić, weszła ta sama kobieta, która przyniosła pierwszą depeszę, i wręczyła mu nowy blankiet. Warionucha pospiesznie rozerwał go, przeczytał i gwizdnął.

– Go tam znowu? – z nerwowym grymasem zapytał Rimski.

Warionucha w milczeniu podał mu blankiet i dyrektor ujrzał wystukane na nim słowa: “błagam dać wiarę przeniesiony Jałty hipnoza wolanda depeszujcie milicję potwierdzenie tożsamości lichodiejew”.

Rimski i Warionucha głowa przy głowie studiowali depeszę, a przestudiowawszy ją w milczeniu popatrzyli na siebie.

– Obywatele! – rozgniewała się kobieta. – Najpierw podpiszcie, a potem będziecie sobie milczeć, ile dusza zapagnie! Przecież ja roznoszę pilne telegramy.

Nie spuszczać oczu z blankietu Warionucha krzywo coś nakreślił w zeszycie, kobieta zniknęła.

– Przecież rozmawiałeś z nim przez telefon po jedenastej? – zapytał całkowicie zdezorientowany administrator.

– Głupie gadanie! – przeraźliwie wrzasnął Rimski. – Rozmawiałem czy nie rozmawiałem, Lichodiejew nie może być teraz w Jałcie! To śmieszne!

– On jest pijany... – powiedział Warionucha.

– Kto jest pijany? – zapytał Rimski i znowu obaj wytrzeszczyli na siebie oczy.

Że z Jałty depeszował samozwaniec albo uzurpator, to nie ulegało wątpliwości. Lecz oto co było dziwne – skąd ów krymski mistyfikator znał Wolanda, który dopiero wczoraj przyjechał do Moskwy? W jaki sposób dowiedział się o kontaktach Lichodiejewa z Wolandem?

– Hipnoza... – powtarzał Warionucha słowo z depeszy. – Skąd on może wiedzieć o

Wolandzie? – zamrugnął powiekami i nagle zawołał zdecydowanie. – Ale skądże! Bzdura! Bzdura! Bzdura!

– Gdzie się zatrzymał ten Woland, a niech go diabli porwą?! – zapytał Rimski.

Warionucha natychmiast połączył się z biurem turystyki zagranicznej i ku olbrzymiemu zdumieniu Rimskiego zawiadomił go, że Woland mieszka u Lichodiejewa. Następnie Warionucha nakręcił numer mieszkania Lichodiejewa i długo wsłuchiwał się w głębokie, buczące sygnały. Wśród tych sygnałów skądś z dala dobiegł ciężki, posępny głos, który śpiewał: “Skały, moja przystań...” – Warionucha doszedł do wniosku, że do sieci telefonicznej włączył się głos ze studia radiowego.

– Mieszkanie nie odpowiada – powiedział Warionucha odkładając słuchawkę na widełki. – Może by spróbować zadzwonić jeszcze...

Nie skończył. W drzwiach znów pojawiła się ta sama kobieta i obaj wstali na jej spotkanie, a kobieta wyjęła z torby już nie biały papierek, ale jakiś ciemny.

– To zaczyna być ciekawe – odprowadzając wzrokiem oddalającą się pośpiesznie kobietę wycodził przez zęby Warionucha. Pierwszy zawładnął arkusikiem Rimski.

Na ciemnym tle fotograficznego papieru wyraźnie odcinały się czarne pisane litery:

“Dowodem mój charakter pisma, mój podpis, proszę potwierdzić telegraficznie, zarządźcie obserwację Wolanda. Lichodiejew”.

W ciągu dwudziestu lat swojej pracy w teatrach Warionucha widywał już różne rzeczy, ale tym razem poczuł, że jego umysł ulega jakiemś zaćmieniu, i nie był w stanie wydobyć z siebie niczego poza trzeźwym, a jednocześnie całkowicie pozbawionym sensu zdaniem:

– To jest niemożliwe!

Rimski natomiast postąpił inaczej. Wstał, otworzył drzwi i wrzasnął do siedzącej na taborecie gończyni:

– Nie wpuszczać nikogo poza listonoszem! – i zamknął drzwi na klucz.

Następnie wyjął z biurka kupę papierów i zaczął uważnie porównywać grube, pochylone w lewo litery na fotogramie z literami adnotacji sporządzonych przez Stiope, z jego zaopatrzonymi w śrubowaty zakrętas podpisami. Warionucha nieomal leżąc na biurku ział gorącym oddechem w policzek Rimskiego.

– To jego charakter pisma – stanowczo powiedział wreszcie dyrektor, a Warionucha zawtórował jak echo:

– Jego.

Administrator uważnie przyjrzał się twarzy Rimskiego i zdziwił się zmianie, jaka w niej zaszła. I tak chudy dyrektor jak gdyby jeszcze schudł i nawet zestarzał się, a jego oczy w rogowej oprawie straciły swój zwykły ostry wyraz, pojawił się w nich lęk, a nawet smutek.

Warionucha wykonał wszystko, co człowiek powinien wykonać w chwili niesłychanego zdumienia. I po gabinecie pobiegał, i dwukrotnie rozrzucił ręce, jakby go kto ukrzyżował, i wypił całą szklankę żółtawej wody z karafki, a nawet wydawał z siebie następujące okrzyki:

– Nie rozumiem! Nie rozumiem! Nie-ro-zu-miem!

Rimski zaś patrzył w okno i głęboko nad czymś medytował. Sytuacja dyrektora była nad wyraz kłopotliwa. Należało niezwłocznie, nie ruszając się z miejsca, wytłumaczyć rzeczy niewytłumaczalne.

Przymrużając oczy dyrektor wyobraził sobie Stiope, jak w nocnej koszuli i bez butów wsiada dzisiaj około wpół do dwunastej do jakiegoś niesłychanego superszybkiego samolotu, a następnie tego samego Stiope, który również o wpół do dwunastej stoi w skarpetkach na lotnisku w Jałcie... czort wie, co to wszystko znaczy!

A może to nie Stiope rozmawiał dziś z nim przez telefon ze swojego własnego mieszkania? Nie, to na pewno był Stiope! Kto jak kto, ale on, Rimski, dobrze zna głos Stiope. Ale nawet gdyby to nie Stiope dzwonił dziś do niego, to przecież nie dalej jak wczoraj pod wieczór Stiope prosto ze swojego gabinetu przyszedł tu, do gabinetu Rimskiego, z tą idiotyczną umową i denerwował dyrektora swoją lekkomyślnością. Jak mógł gdzieś pojechać czy polecieć, nie zawiadamiając nikogo w teatrze? A nawet jeśliby wyleciał wczoraj wieczorem, to nie mógł dolecieć do Jałty dziś w południe. A może mógł?

– Ile jest kilometrów do Jałty? – zapytał Rimski.

Warionucha zaprzestał swojej bieganiny i wrzasnął:

– Już myślałem o tym! Myślałem! Koleją do Sewastopola około półtora tysiąca kilometrów, a do Jałty trzeba jeszcze dorzucić z osiemdziesiąt! W linii prostej oczywiście mniej.

Hm... Tak... O żadnych pociągach nie może tu być nawet mowy. Ale co w takim razie pozostaje? Myśliwiec? Ale kto i do jakiego myśliwskiego samolotu wpuści Stiope bez butów? Po co? A może Stiope zdjął buty, kiedy przyleciał do Jałty? Znowu to samo – po co? Zresztą nawet w butach nikt nie wpuści Stiope do wojskowego samolotu. Zresztą pomysł z myśliwcem jest bez sensu. Przecież napisane było w depeszy, że Lichodiejew pojawił się na milicji o pół do

dwunastej, a tymczasem rozmawiał przez telefon w Moskwie... chwileczkę... (przed oczami Rimskiego pojawił się cyferblat jego zegarka).

Rimski przypominał sobie położenie wskazówek... To przerażające! Było wówczas dwadzieścia po jedenastej!

Więc co z tego wynika? Jeżeli założyć, że Stiopa natychmiast po rozmowie popędził na lotnisko i że znalazł się tam, powiedzmy, po pięciu minutach (co, nawiasem mówiąc, jest również nie do pomyślenia), to wynika z tego, że samolot, niezwłocznie startując, w ciągu pięciu minut pokonał ponad tysiąc kilometrów. To znaczy, że osiąga szybkość dwunastu tysięcy kilometrów na godzinę! To jest zupełnie wykluczone, z czego wniosek, że Stiopy nie ma w Jałcie!

Więc co pozostaje? Hipnoza? Nie ma na świecie takiej hipnozy, żeby przerzucić człowieka o tysiąc kilometrów! A zatem Stiopie tylko się majaczy, że jest w Jałcie? Jemu może się oczywiście tak wydawać, ale czy milicji w Jałcie też się to tylko przywidziało?! O, nie, wybaczcie, takie rzeczy się nie zdarzają!... No dobrze, ale przecież oni stamtąd telegrafują.

Twarz dyrektora finansowego była dosłownie straszna. Tymczasem ktoś z tamtej strony dobijał się i szarpał za klamkę, słychać też było, jak gończyni rozpaczliwie krzyczy.

– Nie wolno! Nie puszczę! Choćbyście zamordowali! Posiedzenie!

Rimski opanował się, na ile go było stać, podniósł słuchawkę telefonu i powiedział:

– Poproszę rozmowę błyskawiczną z Jałtą. “Mądrze!” – zawołał w myśli Warionucha. Ale rozmowa z Jałtą nie doszła do skutku. Rimski odłożył słuchawkę i powiedział:

– Jak na złość linia jest uszkodzona.

Widać było, że uszkodzenie linii, nie wiedzieć czemu, szczególnie zdenerwowało dyrektora, a nawet skłoniło go do nowych rozmyślań. Po chwili zadumy Rimski znowu jedną ręką ujął słuchawkę, a drugą notował to, co sam mówił przez telefon.

– Proszę przyjąć depeszę. Pilną. Varietes. Tak. Jałta. Komenda milicji. Tak. “dzisiaj około wpół do dwunastej lichodiejew rozmawiał ze mną telefon moskwie kropka po rozmowie nie przyszedł do pracy telefonicznie znaleźć nie możemy kropka charakter pisma potwierdzam kropka kroki celu wzięcia pod obserwację wymienionego artysty poczyniłem dyrektor finansowy rimski”

“Bardzo mądrze!” – pomyślał Warionucha, ale jeszcze nie zdążył na dobre tego pomyśleć, kiedy przez głowę przeleciała mu myśl: “Głupio! Stiopa nie może być w Jałcie!”

Rimski tymczasem zrobił, co następuje – starannie złożył wszystkie otrzymane depesze wraz z kopią swojej, wszystko to włożył do koperty, zakleił ją, napisał na wierzchu kilka słów i wręczył kopertę Warionusze, mówiąc:

– Odwieź to sam, nie zwlekając. Niech tam się martwią.

“A to już naprawdę mądrze!” – pomyślał Warionucha i schował kopertę do teczki. Następnie jeszcze raz na wszelki wypadek wykręcił numer mieszkania Lichodiejewa, wsłuchał się uważnie, zamrugął radośnie i tajemniczo wykrzywił twarz. Rimski wyciągnął szyję.

– Czy mogę prosić pana Wolanda? – słodko zapytał Warionucha.

– Oni są zajęci – odpowiedziała skrzekliwym głosem słuchawka. – A kto prosi?

– Administrator Varietes Warionucha.

– Iwan Sawieliewicz? – radośnie zawołała słuchawka. – Jestem szalenie rad, że pana słyszę! Jak pańskie zdrowie?

– Merci – ze zdumieniem odpowiedział Warionucha – ale kto przy telefonie?

– Jego pomocnik, pomocnik i tłumacz, Korowio! – trzeszczała słuchawka. – Jestem do pańskich usług, najmilszy Iwanie Sawieliewiczu! Niech pan dysponuje moją osobą wedle pańskich życzeń. A więc?

– Przepraszam... czy Stiepana Lichodiejewa nie ma w tej chwili w domu?

– Niestety! Nie ma! – krzyczała słuchawka. – Wyjechał!

– Dokąd?

– Na przejażdżkę samochodową za miasto.

– C...CO? Na p...przejażdżkę? ...A kiedy wróci?

– A, powiedział, odetchnę świeżym powietrzem i wrócę.

– Tak... – powiedział stropiony Warionucha – merci... Niech pan będzie uprzejmy przekazać panu Wolandowi, że jego dzisiejszy występ odbędzie się w trzeciej części programu.

– Słucham. Oczywiście. Jakże inaczej. Natychmiast. Bez wątpienia. Przekażę – urywanie stuknęła słuchawka.

– Wszystkiego dobrego – powiedział zdziwiony Warionucha.

– Proszę przyjąć – mówiła słuchawka – moje najlepsze, najgorętsze gratulacje i życzenia! Powodzenia! Sukcesów! Pełnego szczęścia! Wszystkiego!

– No, oczywiście! Przecież mówiłem! – ze wzburzeniem krzyczał administrator. – Nie pojechał do żadnej Jałty, tylko za miasto!

– No, jeżeli to tak – blednąc ze wściekłości powiedział dyrektor – to jest to rzeczywiście świństwo nie z tej ziemi.

W tym momencie administrator podskoczył i wrzasnął tak, że Rimski aż się wzdrygnął.

– Przypomniałem sobie! Przypomniałem! W Puszkino otworzyli niedawno wschodnią restaurację! Nazywa się “Jałta”! Wszystko jest jasne! Pojechał tam, schlał się i stamtąd depeszuje!

– No, tego to już za wiele – policzek Rimskiego zniekształcał nerwowy tik, a w oczach płonęła ciężka prawdziwa nienawiść. – No cóż, drogo zapłaci za ten spacer! – Rimski nagle zaciął się i niezdecydowanie dodał: – Ale jakże to, przecież milicja...

– To głupstwo! Głupie kawały Lichodiejewa – przerwał mu ekspansywny administrator i zapytał:

– A kopertę jednak zawieźć?

– Bezwzględnie – odpowiedział Rimski.

I znowu otworzyły się drzwi i weszła ta sama... “Ona!” – nie wiadomo dlaczego z udręką pomyślał Rimski. I obaj wstali na spotkanie doręczycielki.

Tym razem depesza zawierała następujące słowa:

“dziękuję potwierdzenie natychmiast pięćset komenda milicji moje nazwisko jutro wylatuję moskwy lichodiejew”.

– On zwariował... – słabo powiedział Warionucha.

Rimski zaś brzęknął kluczem, wyjął pieniądze z kasy ogniotrwałej, odliczył pięćset rubli, zadzwonił na gońca, dał mu pieniądze i polecił nadać je na poczcie.

– Na miłość boską, Grisza – nie wierząc swoim oczom powiedział Warionucha – według mnie niesłusznie robisz wysyłając te pieniądze.

– Wróć z powrotem – cicho odparł Rimski – ale Lichodiejew ciężko odpokutuje ten piknik.

– I dodał wskazując teczkę Warionuchy: – Jedź jak najszybciej, śpiesz się.

Warionucha wybiegł z teczką z gabinetu.

Zszedł na parter, zobaczył olbrzymią kolejkę przy kasie, dowiedział się od kasjerki, że za godzinę będzie komplet, ponieważ gdy tylko rozlepiono sztraify, publiczność zaczęła walić jak nieprzytomna, polecił kasjerce zakreślić trzydzieści najlepszych miejsc w łóżach i na parterze i nie sprzedawać ich, wybiegł z kasy, po drodze pozbył się paru zabiegających o wejściówki natrętów i wpadł na chwilę do swojego gabinetu, żeby zabrać czapkę. W tym momencie

zaterkotał telefon.

– Halo! – krzyknął Warionucha.

– Iwan Sawieliewicz? – wstrętym nosowym głosem zasięgnęła informacji słuchawka.

– Wyszedł z teatru – zdążył krzyknąć Warionucha, ale słuchawka z miejsca mu przerwała:

– Niech pan lepiej słucha, zamiast strugać wariata. Niech pan tych depesz nigdzie nie nosi i nikomu nie pokazuje.

– Kto mówi? – zaryczał Warionucha. – Proszę natychmiast przestać się wygłupiać! My pana znajdziemy! Pański numer?

– Warionucha – odezwał się ciągle ten sam paskudny głos. – Czy ty rozumiesz po rosyjsku? Nie noś nigdzie tych depesz.

– Przystanie pan czy nie!?! – krzyknął rozwścieczony administrator. – No, poczekaj! Zapłacisz ty mi za to! – Iwan Sawieliewicz wyrzasnął jeszcze jakąś pogroźkę, ale zaraz zamilkł, ponieważ wyczuł, że po tamtej stronie nikt go już nie słucha.

Wtedy w gabinecie jakoś szybko zaczęło się ściemniać. Warionucha wybiegł, zatrzasnął za sobą drzwi i bocznym wyjściem wymknął się do letniego ogródka.

Był wzburzony i pełen energii. Po tej niesłychanej rozmowie nie wątpił już, że banda chuliganów pozwala sobie na obrzydliwe kawały i że te kawały są w jakiś sposób związane ze zniknięciem Lichodiejewa. Nieomal dusił się, tak pragnął wykryć złoczyńców i, co dziwniejsze, uczył przedsmak czegoś przyjemnego. Tak bywa, kiedy człowiek stara się znaleźć w centrum uwagi albo przynosi gdzieś sensacyjną wiadomość.

W ogródku wiatr uderzył administratora w twarz, zasypał mu oczy piaskiem, jak gdyby zagradzał mu drogę, jak gdyby przestrzegał. Rama okienna na pierwszym piętrze trzasnęła tak, że omal nie wyleciały szyby, a wierzchołki lip i klonów trwożnie zaszumiały. Ściemniło się i ochłodziło. Administrator przetarł oczy i zobaczył, że nad Moskwę nadpełza niska żółto brzucha chmura burzowa. W oddali ciężko zagrzmiało. Choć śpieszył się ogromnie, nie potrafił się opanować, żeby nie wpaść na sekundę do letniego szaletu i nie sprawdzić, czy monter założył na lampę koszulkę siatkową.

Warionucha przebiegł obok strzelnicy i znalazł się w gęstych krzakach bzu, wśród których stał niebieskawy domek – letni szalet. Monter okazał się człowiekiem słownym, lampa pod daszkiem w męskiej ubikacji była już osłonięta metalową siatką, ale zmartwił bardzo administratora fakt, że nawet w przedburzowym słabym świetle można było zauważyć, iż na ścianach już się

pojawiły wykonane węglem i ołówkiem napisy.

– Co to za... – zaczął administrator i nagle usłyszał za sobą głos, który wymruczał:

– To pan, Iwanie Sawieliewiczu?

Warionucha drgnął, odwrócił się i zobaczył przed sobą niedużego grubasa, jak mu się wydało, z kocią fizjonomią.

– Powiedzmy, że ja – odpowiedział nieprzyjaźnie.

– Miło mi, naprawdę bardzo mi miło – piskliwym głosem powiedział kotopodobny grubas i nagle zamachnął się i zasunął go w ucho tak, że czapka spadła administratorowi z głowy i na wieki zniknęła w otworze klozetu.

Od uderzenia grubasa cały szalet rozjarzył się na sekundę migotliwym światłem, a w niebie rozległ się grzmot. Potem błysnęło jeszcze raz i przed administratorem pojawił się jeszcze jeden – malutki, ale z barami atlety, rudy jak ogień, na jednym oku bielmo, w ustach kieł... Ten drugi, będąc najwidoczniej mańkutem, przygrzał administratorowi w drugie ucho. W odpowiedzi znów zagrzmiało w niebie i na drewniany dach szaletu runęła ulewa.

– Co wy robicie, towarzyszy... – wyszeptał oszalały administrator i z miejsca zdał sobie sprawę, że słowo “towarzysze” ani rusz nie pasuje do bandytów, którzy napadają na człowieka w szalecie stanowiącym własność społeczną, zachrypiał więc: – obywatel... – połapał się, że i na ten tytuł również nie zasługują i, tym razem nie wiadomo od którego otrzymał trzeci straszny cios, krew z nosa chlusnęła mu na koszulę.

– Co masz w teczce, gnido? – przenikliwym głosem wrzasnął podobny do kota. – Depesze? A uprzedzono cię przez telefon, żebyś ich nigdzie nie nosił? Uprzedzono czy nie, pytam ciebie?

– Uprzedza... dzano... dzano... – łapiąc oddech odpowiedział administrator.

– A ty musiałeś polecieć? Dawaj teczkę, pasażerze! – krzyknął drugi bandyta tym samym nosowym głosem, który administrator słyszał już w telefonie, i wyrwał teczkę z trzęsących się rąk Warionuchy.

Obaj ujęli administratora pod ramiona, wywlekli go z ogródka i pomknęli wraz z nim po Sadowej. Burza szalała na całego, woda z szumem i wyciem zapadała się pod ziemię, w studzienki kanalizacyjne, wszędzie piętrzyły się pienne fale, z dachów chlustały strumienie, z bram i z rynien płynęły rwące potoki. Wszystko, co żyło, zniknęło z Sadowej i Iwanowi Sawieliewiczowi nikt nie mógł przyjść z pomocą. Skacząc w mętnych rzeczках oświetlani błyskawicami bandyci w mgnieniu oka dowlekli na wpół żywego administratora do domu numer

302–A, wskoczyli z nim do bramy, w której trzymając w rękach pantofle i pończochy tuliły się do ściany dwie bosonogie kobiety. Następnie wpadli na szóstą klatkę i bliski obłędu Warionucha został wniesiony na czwarte piętro i rzucony na podłogę w dobrze znanym mu półmroku przedpokoju w mieszkaniu Stiopy Lichodiejewa.

Wówczas obaj rozbójnicy zniknęli, a na ich miejsce zjawiała się w przedpokoju zupełnie naga dziewczyna – ruda, z oczyma płonącymi fosforycznym blaskiem.

Warionucha zrozumiał, że to jest właśnie to najstraszniejsze ze wszystkiego, co go spotkało, i z jękiem przywarł do ściany. A dziewczyna podeszła bardzo blisko do administratora i położyła mu dłonie na ramionach. Włosy na głowie Warionuchy uniosły się i stanęły dęba, ponieważ nawet przez zimną, zupełnie przemokniętą tkaninę koszuli poczuł, że dłonie te są jeszcze zimniejsze, że są one zimne jak lód.

– Pozwól, że cię ucałuję – czule powiedziała dziewczyna i błyszczące jej oczy znalazły się tuż przy oczach administratora. Wtedy Warionucha zemdlął i pocałunku już nie czuł.

11. Rozdwojenie Iwana

Las na przeciwległym brzegu rzeki, jeszcze przed godziną rozświetlony majowym słońcem, zmroczniał, zmętniał i rozplynał się.

Za oknem wisiała gęsta zasłona wody. Na niebie co chwila pojawiały się gorejące nici, niebo pękało i migotliwe przerażające światło zalewało pokój chorego.

Iwan siedział na łóżku i patrząc na mętną kipiącą rzekę cicho płakał. Przy każdym uderzeniu pioruna wydawał żaloszny okrzyk i zasłaniał rękami twarz. Na podłodze poniewierały się zapisane kartki papieru – zdmuchnął je wiatr, który tuż przed burzą wdarł się do pokoju.

Podejmowane przez poetę próby napisania meldunku o straszliwym konsultancie do niczego nie doprowadziły. Otrzymałszy od grubej pielęgniarki Praskowii Fiodorowny ogryzek ołówka i papier poeta wesóło zatarł dłonie i spiesźnie zasiadł przy stoliku. Początek wyszedł mu nawet zupełnie nieźle.

“Do milicji. Doniesienie członka Massolitu Iwana Bezdomego. Wczoraj wieczorem przyszedłem z nieboszczykiem M. Berlioziem na Patriarsze Prudy...”

I natychmiast poeta zaplątał się, głównie z powodu tego “nieboszczyka”. Z miejsca zaczynało to wyglądać dość idiotycznie. Jakże to tak – przyszedłem z nieboszczykiem. Nieboszczycy nie chadzają na spacer. Doprawdy, uznają go za wariata, jeszcze tylko tego brakowało!

Doszedłszy do takiego wniosku, Iwan zaczął poprawiać tekst. Wyszło tak: “...z M. Berlioziem, obecnym nieboszczykiem...” To również nie usatysfakcjonowało autora. Trzeci wariant okazał się gorszy od obu poprzednich: “Berlioziem, który wpadł pod tramwaj...”, a tu jeszcze przyplątał się ten nikomu nie znany kompozytor o tym samym nazwisku i trzeba było dopisać: „nie z kompozytorem...”

Namęczony się z dwoma Berlioziemami, Iwan przekreślił wszystko i postanowił zacząć od czegoś bardzo mocnego, co natychmiast przykuje uwagę czytającego, napisał więc, że kot wsiadał do tramwaju, potem znowu wrócił do historii z odcięta głową. Głowa i przepowiednia konsultanta skojarzyły mu się z Poncjuszem Piłatem i, by całość wypadła bardziej przekonująco, postanowił w całości przytoczyć opowiadanie o rzymskim procuratorze zaczynając od chwili, kiedy ten pojawił się w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika pod kolumnadą pałacu Heroda.

Iwan pracował z zapalem, kreślił, wpisywał nowe słowa, spróbował nawet narysować Poncjusza Piłata, a potem stojącego na tylnych łapach kota. Ale rysunki niewiele pomogły, im dalej, tym bardziej niezrozumiały i zawiły stawał się raport poety.

Kiedy daleko na niebie ukazała się przerażająca chmura o dymiących brzegach i spowiła las, kiedy zerwał się wicher, Iwan poczuł, że opadł z sił, że nie poradzi sobie z raportem, nawet nie podniósł z podłogi zapisanych kartek i cicho, gorzko zapłakał. Dobroduszna Praskowia Fiodorowna odwiedziła poetę w czasie burzy, zobaczyła, że płacze, przestraszyła się, zaciągnęła story, żeby błyskawice nie przerażały chorego, podniosła z podłogi kartki i pobiegła po lekarza.

Lekarz przyszedł, zrobił Iwanowi zastrzyk w ramię, zapewnił go, że więcej płakać nie będzie, że teraz wszystko przejdzie, wszystko się odmieni na lepsze i wszystko ulegnie zapomnieniu.

Okazało się, że lekarz miał rację. Po pewnym czasie las za rzeką odzyskał dawny wygląd. Każde drzewo rysowało się dokładnie na błękitnie wyczyszczonym do poprzedniej niebieskości, a i rzeka płynęła sobie spokojnie. Chandra zaczęła opuszczać Iwana zaraz po zastrzyku, poeta leżał teraz spokojnie, wpatrzony w rozpiętą na niebie tęczę. Tak trwało do wieczora i chory nawet nie zauważył, kiedy roztajała tęcza, kiedy posmutniało wypłowiałe niebo i szerniał las.

Wypił gorące mleko, potem znów się położył i sam się zdziwił, jak bardzo odmieniły się jego myśli. Zatarł się nieco w pamięci przekłety diabelski kot, nie straszyla już odcięta głowa, a Iwan, zarzuciwszy rozważania o niej, rozmyślał o tym, że w klinice jest w gruncie rzeczy zupełnie nieźle, że Strawiński to bardzo mądry człowiek i w ogóle sława, że mieć z nim do czynienia to wielka przyjemność. A powietrze wieczorem po burzy jest chłodne i wonne.

Dom udręki zasypiał. Na cichych korytarzach pogasły białe matowe lampy, natomiast – zgodnie z regulaminem zapaliły się słabe błękitne żarówki, coraz rzadziej słychać było za drzwiami ciche stąpania pielęgniarek po gumowych chodnikach korytarza.

Iwan leżał teraz zmożony słodką niemocą, patrzył to na lampę z abażurem, która świeciła pod sufitem łagodnym rozproszonym światłem, to znów na księżyc wschodzący nad ciemnym lasem, i sam ze sobą rozmawiał.

– Właściwie dlaczego tak się zdenerwowałem, kiedy Berlioz wpadł pod tramwaj – rozważał.
– Ostatecznie, co mi do tego? Co to, mój brat albo swat? Jeśli przeanalizować to zagadnienie jak należy, to właściwie nawet nie znałem dobrze nieboszczyka. Bo co ja, prawdę mówiąc, o nim wiedziałem? Tyle tylko, że był łysy i przerażająco gadatliwy. A poza tym, obywatele – dalej Iwan przemawiał do kogoś – spróbujmy wyjaśnić rzecz następującą – proszę mi wytłumaczyć,

dla czego wściekłem się na tego zagadkowego konsultanta, maga i profesora z pustym i czarnym okiem? Po co mi była ta cała idiotyczna pogoń za nim, w kalesonach, ze świeczką w ręku, a potem jeszcze ta dzika draka w restauracji?

– No–no–no! – nowy Iwan usłyszał nagle surowy głos dawnego Iwana – nie wiedział, czy był to głos wewnętrzny, czy też dobiegał z zewnątrz. – Przecież o tym, że Berliozowi obetnie głowę, profesor wiedział jednak z góry? Jakże się tu nie zdenerwować.

– O co właściwie chodzi, towarzysze? – nowy Iwan nie zgodził się z Iwanem zamierzczłym.
– Że sprawa jest nieczysta, to jasne nawet dla dziecka. Profesor to człowiek niezwykły i tajemniczy na sto procent! Ale przecież właśnie to jest najciekawsze! Facet znał osobiście Poncjusza Piłata! Jeszcze wam mało? Czego chcecie ciekawszego? Czy nie rozsądniej byłoby zamiast robić tę wyjątkowo głupią chryję na Patriarszych Prudach, wypytać go uprzejmie, co się dalej działo z Piłatem i z tym aresztowanym Ha–Nocri? A ja zajmowałem się cholera wie czym! Rzeczywiście, jest o czym mówić – redaktor miesięcznika literackiego wpadł pod tramwaj! No i co, może miesięcznik przez to przestanie wychodzić? Zresztą, co tu poradzisz? Człowiek jest śmiertelny i, jak to ktoś słusznie powiedział, to, iż jest śmiertelny, okazuje się niespodziewanie. No, więc niech mu ziemia lekką będzie! No, to będzie inny redaktor, może nawet jeszcze wymowniejszy od poprzednika!

Po krótkiej drzemce nowy Iwan zjadliwie zapytał dawnego Iwana:

– Więc na kogo wyszedłem w takim razie?

– Na durnia! – wyraźnie powiedział jakiś bas nie należący do żadnego z Iwanów, za to nadzwyczaj podobny do basu konsultanta.

Iwan jakoś się nie obraził na epitet “dureń” i nawet przyjemnie nim zdziwiony uśmiechnął się i zacichł w półśnie. Do Iwana skradał się sen i już zamajaczyła poecie palma na słoniowej nodze, przeszedł obok kot, nie, bynajmniej nie straszny, przeciwnie, wesoły, słowem – jeszcze chwilka i Iwan zapadnie w sen, kiedy nagle krata bezszelestnie odsunęła się na bok, na balkonie pojawiła się tajemnicza, kryjąca się przed poświatą księżycy sylwetka i pogroziła Iwanowi palcem.

Iwan bez lęku uniósł się na łóżku i zobaczył, że na balkonie stoi jakiś mężczyzna. Mężczyzna ten położył palec na ustach i wyszeptał:

– Cśśś!...

12. Czarna magia oraz jak ją zdemaskowano

Niewysoki człowiek o malinowym nosie przypominającym kształtem gruszkę, w dziurawym żółtym meloniku, w kraciastych spodniach i w lakierkach z cholewką wjechał na scenę Varietes na najzwyczajszym dwukołowym rowerze. Przy dźwiękach fokstrota zatoczył krąg, a potem wydał zwyczajski okrzyk, co spowodowało, że rower stanął dęba. Człowieczek przejechał kawałek tylko na tylnym kole, potem stanął na głowie, w biegu odkręcił przednie koło i odturlał je za kulisy, po czym kontynuował podróż na jednym kole, obracając pedały rękami.

Na wysokim metalowym maszcie, u szczytu którego było siodełko, wjechała na jednym kole pulchna blondyna w trykocie, w krótkiej, usianej srebrnymi gwiazdami spódniczce, i zaczęła jeździć w koło. Człowieczek mijając ją wydawał okrzyki powitalne i nogą zdejmował z głowy melonik.

Wreszcie na malutkim, dzieciennym, dwukołowym rowerku, do którego kierownicy przymocowano olbrzymi klakson samochodowy, wjechał ośmioletni chłopczyk o twarzy staruszka i zaczął przemykać się między dorosłymi.

Zrobiwszy kilka okrążeń cała trupa, przy nerwowym warkocie bębna z orkiestry, podjechała do samej rampy i widzowie z pierwszych rzędów odchyliłi się z okrzykami lęku, wydało się bowiem publiczności, że cała trójka wraz ze swymi pojazdami spadnie na orkiestrę. Ale rowery zatrzymały się w ostatniej chwili, wtedy kiedy przednie koła już–już miały się ześlizgnąć w otchłań ponad głowy członków orkiestry. Rowerzyści z gromkim okrzykiem “Up!” zeskoczyli ze swych pojazdów i skłonili się publiczności, przy czym blondyna posyłała widowni napowietrzne całusy, a chłopaczek odtrąbił na swoim klaksonie pocieszny sygnał.

Oklaski wstrząsnęły budynkiem, z prawej i z lewej ruszyła błękitna kurtyna, która zasłoniła rowerzystów, zielone światelka z napisami “Wyjście” zagasty nad drzwiami i w pajęczynie trapezów pod kopułą zapłonęły białe jak słońce kule. Zaczął się ostatni antrakt.

Jedynym człowiekiem, którego ani trochę nie interesowały owe dziwne techniki rowerowej tria Giugli był Grigorij Daniłowicz Rimski. Siedział w całkowitej samotności w swoim gabinecie, zagryzał wąskie wargi, a po jego twarzy co chwila przebiegał skurcz. Do niezwykłego zniknięcia Lichodiejewa doszło na dobitkę jak najzupełniej nieprzewidziane zniknięcie Warionuchy.

Rimski dobrze wiedział, dokąd poszedł Warionucha, ale Warionucha poszedł... i nie wrócił!

Rimski wzruszał ramionami i szeptał sam do siebie:

– Ale za co?!

I dziwna sprawa – człowiek tak rzeczowy jak dyrektor finansów mógł oczywiście, i to by było najprostsze, zadzwonić tam, dokąd się udał Warionucha, i dowiedzieć się, co się z nim stało, wszakoż była już dziesiąta, a Rimski wciąż jeszcze siedział beczynnie.

A o dziesiątej, przymusiwszy się do tego dosłownie gwałtem, podniósł słuchawkę i natychmiast stwierdził, że jego aparat ogłuchł. Gонец zameldował, że zepsuły się także pozostałe telefony w teatrze. Ten nieprzyjemny oczywiście, ale nie nadprzyrodzony przecież fakt, nie wiedzieć czemu, ostatecznie wytrącił dyrektora z równowagi, ale i ucieszył go zarazem – Rimski nie musiał dzwonić.

Kiedy nad głową dyrektora na znak, że rozpoczął się antrakt, zapaliła się i zamigotała czerwona żaróweczka, wszedł gонец i zameldował, że przyjechał zagraniczny artysta. Dyrektor wzdrygnął się z nieznanых powodów i, posępny jak gradowa chmura, ruszył za kulisy, aby powitać maga – nie było bowiem nikogo innego, kto by mógł to zrobić.

Z korytarza, na którym terkotały już dzwonki, do wielkiej garderoby zaglądali pod różnymi pretekstami ciekawi. Byli tu sztukmistrze w krzykliwych kostiumach i w turbanach, mistrz jazdy figurowej na łyżwach w białym, rozpinanym swetrze, biały od pudru wykonawca monologów i charakteryzator.

Przybyła znakomitość oszołomiła wszystkich frakiem niespotykanej długości i przedziwnego kroju oraz tym, że miała na twarzy małą czarną maseczkę. Ale najdziwniejsza była para, która towarzyszyła magowi – chudy kraciasty osobnik w pękniętych binoklach i tłusty czarny kocur, który wszedł do garderoby na tylnych łapach, beztrąsko zasiadł na kanapie i mrużył ślepią, bo go raziły nagie żarówki przy służących do charakteryzacji lustrach.

Rimski postarał się przywołać na twarz uśmiech, skutkiem czego twarz ta stała się jakaś skwaszona i zła, wymienił ukłony z milczącym magiem, który siedział obok kota na kanapie. Obyło się bez uścisku dłoni. Za to nonszalancki kraciasty sam się dyrektorowi przedstawił jako „ichni asystent”. Zdziwiło to dyrektora finansowego, i to zdziwiło niemile – kontrakt ani słowem nie napomykał o żadnym asystencie.

Grigorij Daniłowicz oschle i wymuszenie zapytał zwałającego mu się nagle na głowę kraciastego, gdzie są rekwizyty artysty.

– Brylancie ty nasz niebieski, dyrektorze najśłodszy – odparł skrzeczącym głosem asystent

maga – nasze rekwizyty zawsze mamy ze sobą, oto one! Eins, zwei, drei!

Pokręcił wężlastymi palcami przed oczyma Rimskiego i znienacka wyciągnął kotu zza ucha złoty zegarek z dewizką, własność dyrektora, zegarek, który Rimski miał dotąd w kieszonce kamizelki pod zapięta marynarką – w dodatku dewizka zaciągała się pętlą w dziurce od guzika.

Rimski mimo woli chwycił się za brzuch, obecni przy tym jęknęli, a zaglądagący przez drzwi charakteryzator chrząknął z aprobatą.

– To pański zegareczek? Proszę, oto on – uśmiechając się beczelnie powiedział kraciasty i na brudnej dłoni podał osłupiałemu Rimskiemu jego własność.

– Z takim do tramwaju nie wsiadaj – cicho i wesoło szepnął charakteryzatorowi do ucha wykonawca monologów.

Ale kocur odstawił numer lepszy niż ta sztuczka z zegarkiem. Znienacka wstał z kanapy, podszedł na tylnych łapach do stolika pod lustrem, przednią łapą wyjął korek z karafki, nalał sobie wody do szklanki, wypił, korek wcisnął na miejsce i otarł sobie wąsy ściereczką do charakteryzacji.

Teraz nikt już nawet nie jęknął, tylko wszyscy pootwierali usta, a charakteryzator szepnął w zachwyceniu:

– To jest klasa...

Tymczasem dzwonki po raz trzeci zagrzmiały niespokojnie i wszyscy podnieceni w przewidywaniu interesującego popisu wysypali się z garderoby.

W minutę później zagasły na widowni kule, rzucające czerwony odbłask na dolne partie kurtyny, zapaliła się rampa, kurtyna nieco się rozsunęła i w oświetlonej szparze stanął przed widownią tęgi, wesoły jak dziecko, gładko wygolony mężczyzna w wymiętym fraku z nieświeżym gorse. Był to doskonale znany całej Moskwie konferansjer Żorż Bengalski.

– A więc, obywatele – rozpoczął z dziecinnym uśmiechem Bengalski – wystąpi teraz przed wami... – Tu Bengalski sam sobie przerwał i zaczął w innej tonacji: – Widzę, że po drugim antrakcie mamy jeszcze więcej publiczności. Zwaliło się dziś do nas pół miasta! Parę dni temu spotykam przyjaciela i pytam: “Dlaczego do nas nie zajrzysz? Wczoraj było u nas pół miasta”. A on mi na to: “Bo ja mieszkam w tej drugiej połowie!” – Bengalski zrobił pauzę czekając na salwę śmiechu, ale ponieważ nikt się nie roześmiał, ciągnął dalej: – ...A więc wystąpi teraz z seansem czarnej magii znakomity artysta zagraniczny monsieur Woland. Oczywiście, i ja wiem, i państwo wiecie – tu Bengalski uśmiechnął się arcymądrym uśmiechem – że czarna magia w ogóle nie

istnieje i że nie jest to nic innego jak tylko przesąd, zaś maestro Woland po prostu mistrzowsko opanował techniką tricków, o czym się zresztą dowiecie w najciekawszej części jego występu, to znaczy w części demaskującej całą tę technikę, no, a ponieważ wszyscy jesteśmy entuzjastami techniki i jej demaskowania, to poprosimy teraz pana Wolanda!...

Wygłosiwszy wszystkie te nedorzecznosci, Bengalski wznosił ręce, splótł dłonie i potrząsnął nimi powitalnie w kierunku szpary w kurtynie, co sprawiło, że ta ostatnia z cichym szelestem rozjechała się na obie strony.

Entree maga, któremu towarzyszył długi asystent i kot, wchodzący na scenę na tylnych łapach, ogromnie spodobało się publiczności.

– Fotel – rzucił niezbyt głośno Woland i w tejże chwili, nie wiadomo skąd ani jak, pojawił się na scenie fotel, po czym mag w nim zasiadł. – Drogi Fagocie, bądź tak uprzejmy i pokaż nam na początek coś prościutkiego.

Sala poruszyła się. Fagot i kocur rozeszli się wzdłuż rampy w różne strony. Fagot przytknął palcami, krzyknął dziarsko: “Trzy, cztery!”, chwycił z powietrza talię kart, potasował ją, rzucił – karty jak wstęga poleciały w stronę kota. Kot złapał tę wstęgę i odrzucił ją z powrotem. Zafurkotał atlasowy wąż, Fagot rozdziawił się jak pisklak i połknął całą tę wstęgę, karta po karcie. Po czym kot uklonił się szurając prawą tylną łapą, co wywołało niewiarygodną owację.

– Klasa! Klasa! – krzyczano z zachwytem za kulisami.

Fagot zaś tknął palcem w parter i oświadczył:

– Talia ta, szanowne obywatele, znajduje się tera w siódmym rzędzie u obywatela Parczewskiego, jak raz między banknotem trzyrublowym a wezwaniem do sądu w sprawie o zaległe alimenty dla obywatelki Zielkowej.

Na parterze zapanowało poruszenie, zaczęto wstawać z miejsc, aż wreszcie jakiś obywatel, który widocznie nazywał się Parczewski, purpurowy ze zdumienia wyjął talię z pugilaresu i zaczął wymachiwać nią w powietrzu nie wiedząc, co ma z nią dalej począć.

– Proszę ją zachować na pamiątkę! – zawołał doń Fagot. – Nie na darmo mówił pan wczoraj przy kolacji, że gdyby nie poker, to pana życie w Moskwie byłoby zupełnie nie do zniesienia.

– Stary kawał! – krzyknął ktoś z balkonu. – Ten na parterze jest z tej samej paczki!

– Tak pan sądzi? – zawrzasnął Fagot przymrużonymi oczyma patrząc na balkon. – W takim razie pan też do niej należy, ponieważ talia znajduje się w pańskiej kieszeni!

Na jaskółce powstało niewielkie zamieszanie, odezwał się uradowany głos:

– Rzeczywiście! Ma! Są, są!... Poczekaj! Przecież to czerwonce!

Ci z parteru podwracali głowy. Na balkonie jakiś wstrząśnięty obywatel znalazł paczkę banknotów w bankowej banderoli z napisem: “Jeden tysiąc rubli”. Sąsiedzi tłoczyli się wokół niego, on zaś ze zdumieniem skrobał paznokciem banderolę, usiłując rozeznąć, czy to prawdziwe ruble, czy też jakieś zaczarowane.

– Jak Boga kocham, prawdziwe! Czerwonce, same dychy – radośnie krzyczano z jaskółki.

– Zagraj pan i ze mną takimi kartami! – zaproponował wesoło jakiś tłusciuch w środku parteru.

– Avec plaisir! – odpowiedział Fagot. – Ale dlaczego tylko z panem? Wszyscy chętnie wezmą w tym udział! – I zakomenderował: – Proszę popatrzeć w górę! Raz! – W jego dłoni znalazł się pistolet. Fagot zawołał: – Dwa! – Lufa pistoletu podskoczyła do góry. Fagot zawołał: – Trzy! – Błysnęło, buchnęło i zaraz spod kopuły, nurkując pomiędzy podwieszonymi trapezami, zaczęły spadać na widownię białe papierki.

Wirowały, opór powietrza znosił je na boki, spadały na balkon, do orkiestry i na scenę. Po kilku sekundach coraz rzęsiwszy deszcz pieniędzy dosięgnął parteru i widzowie zaczęli wyłapywać papierki.

Wznosiły się setki rąk, widzowie patrzyli poprzez papierki na oświetloną scenę i widzieli jak najprawdziwsze, jak najautentyczniejsze znaki wodne. Zapach także nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości – był to ów niezrównany, najmiłszy na świecie zapach świeżo wydrukowanych banknotów. Cały teatr ogarnęła najpierw radość, a potem – osłupienie. Zewsząd huczało słowo “czerwonce”, “czerwonce”, dobiegały okrzyki “ach, ach!” i radosne śmiechy.

Na twarzach milicjantów zaczęło się pomaleńku malować zdziwienie, artyści zaś bezceremonialnie wysuwali się zza kulis.

W ogóle narastało podniecenie i nie wiadomo, czym by się, to wszystko mogło skończyć, gdyby nie Fagot, który zniemacka dmuchnął w powietrze i powstrzymał ową ulewę pieniędzy.

Dwaj młodzi ludzie zamieniwszy ze sobą znaczące i rozbawione spojrzenia wstali ze swoich miejsc i udali się prościuteńko do bufetu. W teatrze panował hałas, wszystkim widzom oczy błyszczały z podniecenia.

Tak, tak, nie wiadomo, czym by się to wszystko mogło skończyć, gdyby Bengalski nie znalazł w sobie dość siły i nie ruszył do akcji. Starając się jak najlepiej zapanować nad sobą, zatarł z przyzwyczajenia ręce i zaczął najdźwięczniejszym swoim głosem:

– Tak więc, obywatele, byliśmy oto świadkami tak zwanej masowej hipnozy. Jest to ściśle naukowe doświadczenie, które najlepiej dowodzi, że nie ma w magii żadnych cudów. Poprosimy teraz maestro Wolanda, żeby zechciał nam objaśnić to doświadczenie. Obecnie, obywatele, zobaczycie, że te rzekome banknoty znikną równie szybko, jak się zjawily.

I zaczął klaskać, ale klaskał w zupełnym osamotnieniu, jego uśmiech wyrażał pewność siebie, ale w oczach nie miał tej pewności za grosz, patrzyły one raczej błagalnie.

Przedmowa Bengalskiego nie przypadła publiczności do gustu. Zapadła zupełna cisza, którą przerwał kraciasty Fagot.

– A oto przypadek tak zwanego łgarstwa – gromko oświadczył koźlim tenorem – te pieniądze są prawdziwe, obywatele.

– Brawo! – wrzasnął krótko bas kędyś z wyżyn.

– Nawiasem mówiąc, obrzydł mi ten facet – tu Fagot wskazał Bengalskiego. – Pcha się ciągle tam, gdzie go nie proszą, psuje cały seans kłamiwymi komentarzami! Co z nim zrobimy?

– Głowę mu urwać! – surowo powiedział ktoś na jaskółce.

– He, co pan radzi? – Fagot natychmiast zareagował na tę niegodziwą propozycję. – Urwać głowę? To jest myśl! Behemot! – zawołał kota. – Do roboty! Eins, zwei, drei!

I stała się rzecz niesłychana. Czarny kot zjeżył się i miauknął rozdzierająco. Potem sprężył się i jak pantera dał susa prosto na pierś Bengalskiego, a stamtąd przeskoczył mu na głowę. Z pomrukiem wbił napuszone łapy w wątlą fryzurę konferansjera, dziko zawył, przekręcił tę głowę raz, przekręcił drugi i oderwał ją od pulchnego karku.

Dwa i pół tysiąca ludzi na widowni krzyknęło jak jeden mąż. Krew z rozdartych tętnic chlusnęła fontannami, załała półkoszulek i frak. Ciało bez głowy bezsensownie poruszyło nogami i usiadło na podłodze. Na sali rozległy się histeryczne krzyki kobiet. Kot podał głowę Fagotowi, ten podniósł ją za włosy i ukazał publiczności, a głowa krzyknęła rozpaczliwie na cały teatr:

– Lekarza!

– Będziesz jeszcze plótl smalone duby? – groźnie zapytał płacząca głowę Fagot.

– Już nie będę! – wychrypiała głowa.

– Na litość boską, przestańcie go męczyć! – nagle przekrzykując hałas, dobiegł z loży kobiecy głos i mag odwrócił się na ów głos.

– Więc jak, obywatele, darować mu czy nie? – zwracając się do widowni zapytał Fagot.

– Darować, darować! – rozległy się najpierw pojedyncze, przeważnie kobiece głosy, które zwały się następnie w jeden chór z głosami mężczyźni.

– Co rozkażesz, messer? – zapytał Fagot tego, który był w masce.

– No cóż – odparł w zadumie tamten. – Ludzie są tylko ludźmi... Prawda, są lekkomyślni... No, cóż... I miłosierdzie zapuka niekiedy do ich serc... Ludzie jak ludzie... – I rozkazał dobitnie: – Włóżcie głowę.

Kot starannie się przymierzywszy nasadził głowę na kark – trafiła precyzyjnie na właściwe miejsce, jakby się nigdzie nie oddalała. I, co najważniejsza, na szyi nie było nawet blizny. Kot strzepnął łapami frak i gors Bengalskiego i zniknęły z nich ślady krwi. Fagot podniósł siedzącego Bengalskiego, postawił go na nogi, wsunął mu do kieszeni fraka plik czerwońców i ze słowami: – Zjeżdżaj stąd, bez ciebie będzie weselej! – przepędził go ze sceny.

Konferansjer potykając się i rozglądając bezmyślnie dojrzał tylko do krzeselka strażaka, tam zaczęło z nim być źle. Zawołał żałośnie:

– Och, moja głowa, moja głowa!...

Wśród innych rzucił się ku niemu Rimski. Konferansjer płakał, chwycił rękami powietrze, mamrotał:

– Oddajcie mi moją głowę, głowę mi oddajcie... Zabierzcie mieszkanie, zabierzcie obrazy, ale oddajcie głowę!...

Goniec popędził po lekarza. Bengalskiego próbowano położyć na kanapce w garderobie, ale zaczął się wrywać, wpadł w szal. Trzeba było wezwać karetkę. Kiedy zabrano nieszczęśliwego konferansjera, Rimski pobiegł z powrotem na scenę i zobaczył, że dzieją się tam nowe cuda. Nawiasem mówiąc w tej właśnie chwili, czy może nieco wcześniej, mag zniknął ze sceny wraz ze swym wyleniałym fotelem i trzeba tu dodać, że publiczność w ogóle tego nie zauważyła, tak była zaabsorbowana tym, co wyczarował na scenie Fagot.

Fagot, odprowadziwszy uszkodzonego konferansjera, oświadczył publiczności, co następuje:

– A teraz, skorośmy spławili już tego nudziarza, otworzymy magazyn dla pań!

I natychmiast deski sceny pokryły perskie dywany, pojawiły się olbrzymie lustra oświetlone po bokach zielonkawymi rurkami, między lustrami zaś witryny, w których mile oszołomieni widzowie zobaczyli paryskie sukienki najróżniejszych kolorów i fasonów.

Zajmowały one część witryn. W innych pojawiły się setki damskich kapeluszy z piórkami i

bez piórek, z klamerkami i bez klamerek, a także setki par bucików – czarnych, białych, beżowych, skórzanych, atlasowych, zamszowych, z rzemyczkami i z kamuszkami. Pomiędzy pantofelkami pojawiły się perfumy w etui, zwały torebek ze skóry antylopy, zamszu, z jedwabiu, a między nimi całe sterty szminek w ozdobnych podłużnych złotych oprawkach.

Ruda pannica w czarnej wieczorowej toalecie, pannica, która diabli wiedzą skąd się wzięła i która byłaby bardzo przystojna, gdyby nie szpeciła jej dziwaczna blizna na szyi, uśmiechała się obok tych witryn zachęcającym uśmiechem właścicielki.

Fagot, słodko szczerząc zęby, oświadczył, że firma całkowicie bezpłatnie wymienia stare sukienki i obuwie na paryskie toalety i równie paryskie pantofelki. Dotyczy to, dodał, również torebek i całej reszty.

Kocur szurnał zadnią łapą, przednią wykonując zarazem jakieś gesty właściwe otwierającym drzwi portierom. Pannica grasejując odśpiewała słodko, aczkolwiek z chrypką w głosie, coś niezupełnie zrozumiałego, ale sądząc po twarzach kobiet na widowni musiało to być coś nader nęcącego:

– Guerlain, Chanel, Mitsuko, Narcisse Noir, Chanel numer pięć, suknie wieczorowe, sukienki cocktailowe...

Fagot wyginał się, kocur się kłaniał, pannica otwierała przeszklone witryny.

– Proszę! – darł się Fagot. – Bez żadnych ceremonii! Proszę się nie krępować!

Publiczność była podniecona, ale na razie nikt się nie kwapił z wejściem na scenę. Wreszcie w dziesiątym rzędzie wstała jakaś brunetka i uśmiechając się na znak, że niby jest jej naprawdę wszystko jedno i w ogóle ma to w nosie, podeszła i po bocznych schodkach wspięła się na proscenium.

– Brawo! – zawołał Fagot. – Witam pierwszą klientkę! Behemot, fotel dla pani! Zaczniemy od bucików, madame!

Brunetka zasiadła na fotelu, a Fagot natychmiast wysypał przed nią na dywan cały stos pantofli. Brunetka zdjęła z nogi swój prawy but, przymierzyła liliowy pantofel, postawiła nogę na dywanie i po kilkakroć poruszyła stopą, obejrzała obcas.

– A nie będą cisnęły? – zapytała z zadumą. Fagot na to zakrzyknął z oburzeniem:

– Co też pani mówi! – Kot zaś tak się obraził, że aż miauknął.

– Wezmę tę parę, monsieur – powiedziała z godnością brunetka wkładając także drugi pantofel.

Stare jej pantofle zostały wyrzucone za zasłonę, powędrowała tam również i sama brunetka w asyście rudej pannicy i Fagota, który dźwigał na ramieniu pewną ilość sukienek. Kot krzątał się, pomagał, a żeby przydać sobie powagi, zawiesił na szyi centymetr.

Po chwili brunetka wyszła zza zasłonki w takiej sukience, że aż przez cały parter przetoczyło się westchnienie. Dzielna kobieta, która teraz zadziwiająco wyładniała, poprawiła sobie włosy na karku i przegięła się, usiłując obejrzeć się od tyłu.

– Firma prosi, żeby zechciała pani przyjąć to na pamiątkę – powiedział Fagot i podał brunetce otwarte etui z flakonem perfum.

– Merci – wyniośle odpowiedziała brunetka i zeszła po schodkach na widownię. Kiedy szła wzdłuż rzędów, widzowie zrywali się z miejsc, dotykali etui.

I właśnie wtedy tamy runęły i kobiety ze wszech stron wdarły się na scenę. W ogólnym rozgwarze, wśród powszechnego podniecenia, wśród chichotów i westchnień rozległ się nagle męski głos: “Stanowczo ci zabraniam!” – i głos kobiecy: “Jesteś filister i tyran, puść, złamiesz mi rękę!” Kobiety zniknęły za zasłonką, pozostawiały tam swoje sukienki i ukazywały się widzom w nowych strojach. Na taborecikach o pozłacanych nóżkach zasiadło mnóstwo pań energicznie tupiących w dywan świeżo obutymi stopkami. Fagot klękał, manewrował srebrzystą łyżką do butów, omdlewał pod zwałami pantofli i torebek, miotał się od taborecików do witryn i od witryn do taborecików, pannica o zeszpeconej szyi zjawiała się, znowu zniknęła, wreszcie upadła tak nisko, że trajkotała używając już wyłącznie francuszczyzny, przy czym najbardziej zadziwiające było to, że rozumiały ją w pół słowa wszystkie kobiety, te nawet, które po francusku ani be, ani me.

Powszechny podziw wywołał mężczyzna, który wdarł się na scenę. Oświadczył on, że jego małżonka cierpi na grypę i że w związku z tym zmuszony jest prosić, aby przekazano jej to i owo za jego pośrednictwem. Obywatel ów, by dowieść, że rzeczywiście jest żonaty, gotów był okazać swój dowód osobisty. Oświadczenie zapobiegliwego męża przyjęte zostało chichotami. Fagot zaś wrzasnął, że ufa mu jak samemu sobie nawet bez okazywania dowodu, i wręczył owemu obywatelowi dwie pary jedwabnych pończoch, a kocur dodał od siebie paryską szminkę.

Wdzierały się na scenę spóźnione panie, spływały ze sceny uszczęśliwione, w balowych sukniach, w piżamach haftowanych w smoki, w dyskretnych kostiumach wizytowych, w przekrzywionych na bakier kapelusikach.

Wówczas Fagot oświadczył, że z powodu spóźnionej pory magazyn zostanie zamknięty aż do

jutrzejszego wieczora.

Dokładnie w minutę później gruchnął wystrzał pistoletowy, zniknęły lustra, zapadły się pod ziemię witryny i taboreciki, dywan rozpląnął się w powietrzu podobnie jak zasłonka. Jako ostatnia zniknęła wielgachna góra starych sukien i obuwia, scena była znów surowa, naga i pusta.

Raptem włączyła się do akcji nowa osoba dramatu. Z łoży numer dwa dobiegł miły, dźwięczny i bardzo kateryczny baryton:

– Mimo wszystko, pożądane by było, obywatelu artysto, by zechciał pan bez zwłoki zdemaskować wobec publiczności technikę swoich tricków, a zwłaszcza tego tricku z banknotami. Pożądany byłby także powrót konferansjera na scenę. Los jego niepokoi widzów.

Właścicielem barytonu był honorowy gość dzisiejszego koncertu, przewodniczący komisji akustycznej teatrów moskiewskich, Arkadiusz Apołłonowicz Siempletarow we własnej osobie.

Siempletarow przebywał w łoży wraz z dwiema damami – jedna z nich była leciwa, drogo i modnie ubrana, druga, młodziutka i bardzo ładna, ubrana była skromniej. Ta pierwsza, jak się niebawem przy spisywaniu protokołu wyjaśniło, była małżonką Siempletarowa, druga zaś – jego daleką krewną, początkującą, acz rokującą wielkie nadzieje aktorką, która przyjechała z Saratowa i zatrzymała się w mieszkaniu przewodniczącego i jego połowicy.

– Pardon! – odpowiedział na to Fagot. – Przepraszam, tu nic nie trzeba demaskować, wszystko jest jasne.

– O, nie, proszę mi wybaczyć, ale nie mogę się z tym zgodzić! Zdemaskowanie jest niezbędne. Jeśli nie nastąpi, pański znakomity występ pozostawi przygnębiające wrażenie. Masowy odbiorca domaga się wyjaśnień.

– Wydaje mi się – przerwał Siempletarowowi bezczelny bufon – że masowy odbiorca nie wyrażał takich życzeń. Ale, Arkadiuszu Apołłonowiczu, przychylając się do pańskiego wielce szanownego życzenia dokonam, oczywiście, demaskacji. Pozwoli pan wszakże, że w tym celu zademonstrujemy jeszcze jeden króciutki numerek?

– Proszę uprzejmie – protekcyjnie odpowiedział Siempletarow. – Ale koniecznie wraz ze zdemaskowaniem.

– Tak jest, tak jest, zrobi się. A zatem pozwoli pan, Arkadiuszu Apołłonowiczu, że zapytam, gdzie pan spędził wczorajszy wieczór?

Po tym z pewnością nietaktownym, a nawet chyba chamskim pytaniu Siempletarow zmienił się na twarzy, i to nawet bardzo się zmienił.

– Wczoraj wieczorem Arkadiusz Apołłowicz był na posiedzeniu komisji akustycznej – niezmiernie wyniośle oświadczyła małżonka przewodniczącego. – Nie rozumiem jednak, jaki to ma związek z magią.

– Oui, madame! – przytaknął Fagot. – Oczywiście że pani nie rozumie. Co zaś do posiedzenia, to jest pani w błędzie. Wyjechawszy na wyżej wzmiankowane posiedzenie, które, nawiasem mówiąc, wcale nie było na wczoraj wyznaczone, małżonek pani zwolnił kierowcę przed gmachem komisji akustycznej na Czystych Prudach (cały teatr zamarł), sam zaś pojechał autobusem na ulicę Jełochowską, by złożyć wizytę artystce rejonowego teatru objazdowego Milicy Andrejewnie Pokobatko, i bawił u niej mniej więcej przez cztery godziny.

– Och! – zakrzyknął w zupełnej ciszy jakiś zbolący głos.

Młoda zaś kuzyneczka Arkadiusza Apołłowicza roześmiała się nagle niskim i straszliwym śmiechem.

– Teraz wszystko rozumiem! – krzyknęła. – Już od dawna to podejrzewałam. Teraz rozumiem, dlaczego to beztalencie dostało rolę Luizy!

I, zamachnąwszy się znieńacka, krótką i grubą parasolką uderzyła przewodniczącego komisji akustycznej po głowie.

Podły zaś Fagot, czyli Korowiow, wołał:

– Oto, szanowni obywatele, typowy przykład zdemaskowania, którego tak usilnie domagał się Arkadiusz Apołłowicz!

– Jakżeś ty śmiała, szelmo jedna, dotknąć Arkadiusza Apołłowicza? – groźnie zapytała małżonka Siemplejarowa powstając w loży w całej swej olbrzymiej okazałości.

Młodziutką kuzyneczkę po raz drugi ogarnął napad urywanego satanicznego śmiechu.

– Kto jak kto – powiedziała chichocząc – ale ja mam odwagę go dotknąć! – I rozległ się po raz drugi suchy trzask parasolki odskakującej od głowy przewodniczącego.

– Milicja! Aresztować ją! – zawołała małżonka Siemplejarowa głosem tak strasznym, że niejednemu zrobiło się zimno.

W dodatku kocur właśnie wtedy rzucił się był ku rampie i ludzkim głosem wrzasnął znieńacka na cały teatr:

– Koniec seansu! Maestro! Zasuwasz pan marsza! Ogłupiały dyrygent nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, machnął batutą i orkiestra nie zagrała, nie zagrzmiała ani nawet nie łupnęła, ale właśnie – dokładnie tak, jak to ohydnie określił kot – zasunęła jakiegoś nieprawdopodobnego i z

niczym co do swego wyuzdania nie dającego się porównać marsza. Przez moment wydawało się, że kiedyś, pod gwiazdami Południa, w jakimś cafe chantant rozbrzmiewały już trudne do zrozumienia, na wpół oślepe. a przecież chwackie słowa tego marsza:

Słabość miał taką Jego Wysokość: lubił domowe ptactwo – gdy hoże dziewczę wpadło mu w oko, w opiekę brał biedactwo!

A może nie było żadnych takich słów, może były jakieś inne, napisane do tejże muzyki, już zupełnie nieprzyzwoite. To nieważne. Ważne, że w Varietes zaczęło się po tym wszystkim coś w rodzaju istnej wieży Babel. Milicjanci biegli w kierunku łoży Siemplejarowa, gapie włązili na poręcz krzesła, słycać było wybuchy piekielnego śmiechu, oszalałe krzyki, które zagłuszał złoty brzęk talerzy orkiestry.

I można było zobaczyć, że scena nieoczekiwanie opustoszała, że i Fagot–nabieracz, i to bezczelne kocisko, Behemot, rozplynęli się w powietrzu, zniknęli, tak jak zniknął przedtem mag, który siedział w fotelu z wyleniałym obiciem.

13. Pojawia się bohater

Tak więc nieznamy pogroził Iwanowi palcem i szepnął: – “Ćśśś!...”

Iwan usiadł na łóżku i rozejrzał się. Do pokoju ostrożnie zaglądał mniej więcej trzydziestoosmioletni człowiek, ciemnowłosy, starannie wygolony, o ostrym nosie i przerażonych oczach. Człowiek ten stał na balkonie, kosmyk włosów opadał mu na czoło.

Upewniwszy się, że Iwan jest sam, tajemniczy ów gość nasłuchiwał jeszcze przez chwilę, a potem nabrał odwagi i wszedł do pokoju. Iwan zobaczył wtedy, że przybysz ma na sobie szpitalną odzież. Przybyły był w białym, na ramiona narzucił szary szlafrok, a bosa jego stopy tkwiły w rannych pantoflach.

Przybysz zrobił oko do Iwana, schował do kieszeni wiązkę kluczy, upewnił się szeptem, czy może usiąść, a kiedy Iwan w odpowiedzi na to skinął mu potwierdzająco głową, usadowił się wygodnie w fotelu.

– Jak pan się tu dostał? – zapytał szeptem Iwan czując respekt przed groźącym mu, szczupłym palcem. – Przecież kraty balkonów zamykane są na klucz?

– Kraty zamyka się na klucz – przytaknął gość – ale Praskowia Fiodorowna to osoba wprawdzie niezmiernie sympatyczna, lecz, niestety, roztargniona. Już przed miesiącem ściągnąłem jej cały pęk kluczy, uzyskując w ten sposób możliwość przedostawania się na wspólny nasz balkon, a balkon ten ciągnie się, jak wiadomo, wzdłuż całego piętra i nic łatwiejszego niż odwiedzić tą drogą sąsiada.

– Skoro może pan wyjść na balkon, może pan również stąd uciec. A może to za wysoko? – zainteresował się Iwan.

– O, nie – odparł z naciskiem gość – nie mogę stąd uciec, nie dlatego, że za wysoko, tylko dlatego, że nie mam dokąd uciekać. – A po chwili dodał: – A więc siedzimy?

– Siedzimy – odpowiedział mu Iwan wpatrując się w piwne, nader niespokojne oczy przybysza.

– Ta-ak... – gość zaniepokoił się nagle. – Mam nadzieję, że jest pan spokojnym pacjentem? Bo, wie pan, nie znoszę hałasów, awantur, przemocy ani niczego w tym guście. Zwłaszcza nienawidzę, kiedy ludzie krzyczą – wszystko jedno, czy krzyczą z bólu, czy z gniewu, czy z jakiegokolwiek innego powodu. Proszę mi powiedzieć dla mojego świętego spokoju, czy nie

miewa pan ataków szału?

– Wczoraj w knajpie przysunąłem w mordę jednemu facetowi – mężnie przyznał się przeobrażony poeta.

– Powody? – surowo zapytał gość.

– Prawdę mówiąc to bez powodu – odpowiedział skonfundowany Iwan.

– Przerażające! – skarcił Iwana gość i dorzucił: – A poza tym cóż to za wyrażenia – przysunąłem w mordę?... Przecież nie wiadomo właściwie, czy człowiek ma mordę, czy twarz. Myślę zresztą, że mimo wszystko ma twarz. Więc, wie pan, tak, pięściami... Lepiej niech pan skończy z tym raz na zawsze.

Zbesztawszy w ten sposób gospodarza gość zapytał:

– Zawód?

– Poeta – jakoś niechętnie przyznał się Iwan. Przybysz był niepocieszony.

– Ależ mi się nie wiedzie! – zawołał, ale opanował się natychmiast, przeprosił Iwana i zapytał: – A pana nazwisko?

– Bezdomny.

– Ech, ech... – powiedział gość i skrzywił się.

– Nie podobają się panu moje wiersze? – zapytał zaciekawiony Iwan.

– Strasznie mi się nie podobają.

– A które z nich pan czytał?

– Nie czytałem żadnych pańskich wierszy! – nerwowo wykrzyknął przybysz.

– Więc dlaczego pan tak mówi?

– Cóż w tym dziwnego? – odpowiedział gość. – Albo to nie czytałem innych wierszy? Zresztą, różnie to bywa... Dobrze, gotów jestem uwierzyć na słowo. Proszę mi powiedzieć, czy te pana wiersze są dobre?

– Potworne! – śmiało i szczerze powiedział nagle Iwan.

– Proszę ich więcej nie pisać! – błagalnie poprosił przybysz.

– Przyrzekam to i przysięgam – uroczyście oświadczył Iwan.

Przypieczętowali tę przysięgę uściskiem dłoni, ale z korytarza dobiegły nagle czyjeś miękkie kroki, jakieś głosy.

– Ćśśś! – szepnął gość, wyskoczył na balkon i przymknął za sobą kratę.

Zajrzała Praskowia Fiodorowna, zapytała, jak się Iwan czuje, czy woli spać po ciemku, czy

przy zapalonym świetle. Iwan poprosił, by zostawiono światło, i Praskowia Fiodorowna wyszła życząc choremu dobrej nocy. A kiedy wszystko już ucichło, wrócił gość.

Szeptem zakomunikował Iwanowi, że do sto dziewiętnastki przywieziono nowego, jakiegoś grubasa o purpurowej twarzy, który nieustannie mamrocze o jakichś dolarach w przewodzie wentylacyjnym i przysięga, że w jego mieszkaniu na Sadowej zagnieździła się siła nieczysta.

– Wymyśla Puszkiniowi na czym świat stoi i ciągle krzyczy: “Kurolesow, bis, bis!” – drżąc z trwogi mówił gość. Potem się uspokoił, usiadł, powiedział: – A zresztą Bóg z nim... – i wrócił do przerwanej rozmowy. – A więc jak to się stało, że się tu pan znalazł?

– Poncjusz Piłat – odparł Iwan posepnie patrząc w podłogę.

– Co?! – wrzasnął gość zapominając o ostrożności i zaraz zasłonił sobie usta dłonią. – Cóż za zbieg okoliczności! Błagam, błagam, niech pan o tym opowie.

Iwan sam nie wiedział, czemu przybysz wzbudził w nim zaufanie. Początkowo czerwienił się i jękał, ale potem nabrał śmiałości i zaczął opowiadać, co się wczoraj zdarzyło na Patriarszych Prudach. O, w osobie tajemniczego zdobywcy kluczy Iwan zyskał sobie wdzięcznego słuchacza! Gość najwyraźniej nie uważał go za wariata, zdradzał ogromne zainteresowanie tym, co Iwan miał do opowiedzenia, a w miarę snutej opowieści popadał w coraz większy zachwyt. Co chwila przerywał Iwanowi okrzykami:

– No, no, niech pan mówi dalej, niech pan mówi dalej, błagam! Tylko, na wszystkie świętości, proszę nie zapominać o żadnym szczególe!

Iwan nie zapominał o żadnym szczególe, łatwiej mu było powiedzieć wszystko po kolei, powoli dotarł do tego miejsca, kiedy Poncjusz Piłat w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika wyszedł na taras.

Wtedy gość modlitewnie złożył dłonie i wyszeptał:

– O, ja to przewidywałem! Jak ja to wszystko dokładnie przewidziałem!

Przy opisie żalosego zgonu Berlioza słuchacz zagadkowo zauważył, przy czym jego oczy błysnęły gniewnie:

– Jednego tylko nie mogę przeboleć, tego, że na miejscu Berlioza nie znalazł się krytyk Łatuński albo literat Mścisław Laurowicz! – i zajadle, choć bardzo cicho, wrzasnął: – Niech pan mówi dalej!

Ogromnie rozbawił gościa kot, który płacił za bilet, gość krztusił się od tłumionego śmiechu patrząc, jak Iwan, podniecony wrażeniem wywieranym przez jego opowieść, kica na piętach

udając kota z monetą pod wąsem.

– I tak oto – zakończył Iwan, opowiedziawszy o tym, co się stało w Gribojedowie, posmutniały i przygaszony – znalazłem się tutaj.

Przybysz ze współczuciem ujął biednego poetę za ramię i powiedział tak:

– Nieszczęsny poeto! Niestety, sam sobie jesteś winien, kochaneczku. Nie trzeba było się przy nim zachowywać tak bezceremonialnie, a nawet, rzekłbym, arogancko. Oto skutki. Dziękuj losowi, żeś się z tego wywinął tak małym kosztem.

– Ale kimże on w końcu jest? – potrząsając we wzburzeniu zaciśniętymi pięściami pytał Iwan.

Gość przyjrzał się Iwanowi i odpowiedział pytaniem na pytanie:

– Ale czy zachowa pan spokój, kiedy to panu powiem? Wszyscy jesteśmy dość nieźrównoważeni... Nie trzeba będzie wzywać lekarza, robić zastrzyku, nie będzie kłopotu?

– Nie, nie! – krzyknął Iwan. – Proszę powiedzieć, kim on jest?

– Dobrze – odparł gość i z naciskiem, starannie akcentując słowa powiedział: – Wczoraj na Patriarszych Prudach spotkał pan szatana.

Iwan zgodnie z obietnicą zachował spokój, był jednak wstrząśnięty i oszołomiony.

– To niemożliwe! Nie ma żadnego szatana!

– Bardzo przepraszam! Kto jak kto, ale pan nie powinien mówić takich rzeczy. Jest pan przecież jedną z pierwszych jego ofiar. Siedzi pan, jak sam pan o tym dobrze wie, w szpitalu psychiatrycznym, a ciągle jeszcze pan się upiera, że szatan nie istnieje. To doprawdy dziwne!

Iwan, zbity z pantałyku, zamilkł.

– Skoro tylko zaczął go pan opisywać – ciągnął gość – od razu się domyśliłem, z kim pan miał wczoraj przyjemność. I, słowo daję, dziwię się Berliozowi! Pański umysł to puszcza dziewicza – tu gość znowu poprosił o wybaczenie – ale Berlioz, sądząc z tego, co o nim słyszałem, coś niecoś przecie czytał! Już pierwsze zdania tego profesora rozwiały wszystkie moje wątpliwości. Trudno go nie rozpoznać, przyjacielu! Zresztą, pan... raz jeszcze proszę o wybaczenie, ale chyba się nie mylę, sądząc, że jest pan nieukiem?

– Niewątpliwie! – przytaknął zmieniony nie do poznania Iwan.

– Właśnie... A przecież nawet ta twarz, którą mi pan opisał, te oczy, z których każde jest inne, te brwi! Proszę mi wybaczyć, ale może nawet nie zna pan opery “Faust”?

Iwan nie wiedzieć czemu zmieszał się okropnie, zaczerwienił i zaczął coś mamrotać o jakimś

wyjeździe do sanatorium... do Jałty...

– No, właśnie... No, właśnie... Nic zatem dziwnego... Ale Berlioz, powtarzam, zaskoczył mnie... To był człowiek nie tylko odczytany, ale również bardzo sprytny. Choć muszę powiedzieć na jego obronę, że Woland potrafi zamydlić oczy nawet sprytniejszym od Berlioza.

– Kto?! – krzyknął z kolei Iwan.

– Ciszej!

Iwan palnął się po głowie i wychrypiął:

– Rozumiem, rozumiem. Miał literę “W” na wizytówce. Aj–aj–aj, to ci dopiero! – Przez chwilę milczał wzburzony, wpatrywał się w przepływający za kratami księżyc, potem znów zaczął mówić: – Więc on naprawdę mógł być u Poncjusza Piłata? Przecież był już wtedy na świecie! A mówią, że jestem wariat! – dodał wskazując z oburzeniem drzwi.

Na ustach gościa pojawił się gorzki grymas.

– Musimy spojrzeć prawdzie w oczy – gość zwrócił twarz w kierunku wędrującego przez chmurę bladego planety. – Cóż tu ukrywać, obaj jesteśmy obłąkani. Widzi pan, to jest tak – on wywarł na panu wstrząsające wrażenie i postradał pan zmysły, bo widocznie miał pan do tego predyspozycję. Ale to, o czym pan opowiada, niewątpliwie rzeczywiście miało miejsce. Jest to jednak coś tak niezwykłego, że nawet genialny psychiatra Strawiński nie mógł, oczywiście, uwierzyć panu. Strawiński pana badał? (Iwan przytaknął)... Pański rozmówca był u Piłata, jadł śniadanie z Kantem, a teraz odwiedził Moskwę.

– Ale przecież on tu diabli wiedzą jak narozrabia! Trzeba go jakoś złapać! – W nowym Iwanie powoli acz niepewnie dochodził do głosu Iwan dawny, najwidoczniej jeszcze nie dobity.

– Już pan próbował, a więcej próbować bym nie radził – powiedział gość ironicznie. – Nie radziłbym ani panu, ani innym. A że narozrabia, o to może pan być spokojny. Ach! Ach! Nie mogę odżałować, że to pan go spotkał, a nie ja. Choć już wszystko spłonęło do cna i popiół przysypał węgle, to jednak przysięgam, że za to spotkanie oddałbym wszystkie klucze Praskowii Fiodorowny, bo niczego prócz nich nie mam do oddania. Jestem nędzarzem.

– Po cóż on panu?

Gość długo wzdychał z żalością, aż wreszcie zaczął mówić:

– Tak się, widzi pan, dziwnie składa, że siedzę tu z tego samego powodu, co pan, to znaczy z powodu Piłata. – Tu rozejrzał się z lękiem i powiedział: – Rzecz w tym, że przed rokiem napisałem powieść o Piłacie z Pontu.

– Jest pan pisarzem? – zapytał z zainteresowaniem poeta.

Twarz gościa pociemniała, pogroził Iwanowi pięścią, a potem powiedział:

– Jestem mistrzem. – Gość przybrał surowy wygląd i wyciągnął z kieszeni szlafroka nieopisanie brudną czarną czapkę, na której wyszyta była żółtym jedwabiem litera “M”. Włożył tę czapkę, zademonstrował się Iwanowi en face i z profilu, by dowieść, że rzeczywiście jest mistrzem. – Uszyła mi ją własnoręcznie – dodał tajemniczo.

– A jak pana nazwisko?

– Nie mam już nazwiska – odparł z posępną pogardą dziwny gość. – Wyrzekłem się go, jak zresztą wszystkiego w tym życiu. Puśćmy to w niepamięć.

– W takim razie niech pan przynajmniej coś opowie o tej powieści – nieśmiało poprosił Iwan.

– Proszę uprzejmie. Trzeba przyznać, że moje życie układało się dość niezwykle – zaczął mówić gość.

...Z wykształcenia historyk, jeszcze przed dwoma laty pracował w jednym z moskiewskich muzeów, a poza tym zajmował się przekładami.

– Z jakiego języka? – przerwał mu zaciekawiony Iwan.

– Prócz rosyjskiego znam pięć języków – odparł gość – angielski, francuski, niemiecki, łacinę i grekę. Czytam także trochę po włosku.

– O, cholera! – szepnął z zazdrością Iwan.

...Historyk był samotny, nie miał żadnych krewnych, niemal nie miał nawet znajomych w Moskwie. I proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia wygrał sto tysięcy rubli.

– Niech pan sobie wyobrazi moje zdumienie – szeptał właściciel czarnej czapki – kiedy sięgnąłem do kosza z brudną bielizną i zobaczyłem, że mam ten właśnie numer, który został podany w gazecie! Obligację – wyjaśnił – dostałem w muzeum.

...Po wygraniu tych stu tysięcy tajemniczy gość Iwana kupił mnóstwo książek, wyniósł się ze swego pokoiku na Miasnickiej...

– Och, co za przekłeta nora! – zaryczał.

..I w jednym z zaułków w pobliżu Arbatu odnajął od przedsiębiorcy budowlanego dwa pokoje w suterenie niewielkiego, stojącego w ogrodzie domku. Rzucił muzeum i rozpoczął pracę nad powieścią o Piłacie Ponckim.

– Ach, to były złote czasy! – oczy opowiadającego błyszcząły, kiedy to szeptał. – Własne, oddzielne mieszkanko, do tego jeszcze przedpokój, a w przedpokoju zlew – nie wiedzieć czemu

podkreślił to ze szczególną dumą – maleńkie okienka tuż nad trotuarem, który prowadził od domku do furtki. A pod płotem, o cztery kroki, przed samymi oknami – bez, lipa i klon. Ach, ach, ach! W zimie bardzo rzadko widywałem w okienku czyjeś czarne nogi i słyszałem chrzęst śniegu pod czyimiś butami. A w moim piecu wiecznie płonął ogień! Ale raptem nastąpiła wiosna i przez zmętniałe szybki zobaczyłem krzaki bzu, najpierw nagie, a później odziewające się w zieleń. I właśnie wtedy, minionej wiosny, zdarzyło się coś znacznie bardziej zdumiewającego niż stutysięczna wygrana. Były to, przyzna pan, olbrzymie pieniądze.

– Jasne – przytaknął słuchający z uwagą Iwan.

– Otworzyłem okna i siedziałem w drugim pokoju, zupełnie maleńkim – gość zaczął odmierzać ruchami rąk. – Kanapa jakby w tym miejscu, naprzeciwko druga kanapa, między nimi stolik, a na stoliku piękna lampa, tu, bliżej okna, książki, tu znów malutkie biurczko, a w pierwszym pokoju – to był ogromny pokój, czternaście metrów – same książki, nic, tylko książki i piec. Ach, jak znakomicie sobie urządziłem to mieszkanie! Bzy niezwykle pachniały! Moja głowa ze zmęczenia stawała się nieważka, a Piłat zbliżał się do końca...

– Białe płaszcz, czerwone podbicie? Rozumiem! – wołał Iwan.

– Właśnie! Piłat zbliżał się do końca, wiedziałem już, że ostatnie słowa powieści będą brzmiały tak: “...piąty procurator Judei, eques Romanus Poncjusz Piłat”. Oczywiście, wychodziłem na spacer. Sto tysięcy to mnóstwo pieniędzy, miałem więc bardzo dobre ubranie. Albo też szedłem na obiad do jakiejś niedrogiej restauracji. Była taka świetna knajpka na Arbacie, nie wiem, czy jeszcze istnieje. – Oczy gościa rozszerzyły się, szeptał dalej patrząc na księżyc. – Niosła obrzydliwe, niepokojąco żółte kwiaty. Diabli wiedzą, jak się te kwiaty nazywają, ale są to pierwsze kwiaty, jakie się wiosną pokazują w Moskwie. Te kwiaty rysowały się bardzo wyraźnie na tle jej czarnego płaszcza. Niosła żółte kwiaty! To niedobry kolor! Skręciła z Twerskiej w zaułek i wtedy się obejrzała. No, Twerską chyba pan zna? Szły Twerską tysiące ludzi, ale zaręczam panu, że ona zobaczyła tylko mnie jednego i popatrzyła na mnie nie to, żeby z lękiem, ale jakoś tak boleśnie. Wstrząsnęła mną nie tyle jej uroda, ile niezwykle, niesłychana samotność malująca się w tych oczach. Posłuszny owemu żółtemu znakowi losu ja również skręciłem w zaułek i ruszyłem jej śladem. Szliśmy bez słowa tym smutnym, krzywym zaułkiem, ja po jednej jego stronie, ona po drugiej. I proszę sobie wyobrazić, że prócz nas nie było w zaułku żywej duszy. Męczyłem się, ponieważ wydało mi się, że muszę z nią pomówić, i bałem się, że nie powiem ani słowa, a ona tymczasem odejdzie i nigdy już jej więcej nie zobaczę.

I proszę sobie wyobrazić, że to właśnie ona, odezwała się nieoczekiwanie:

– Podobają się panu moje kwiaty?

Dokładnie pamiętam dźwięk jej głosu, taki dosyć niski, ale załamujący się niekiedy, i chociaż to głupie, wydało mi się, że żółte, brudne mury uliczki powtarzają echem jej słowa. Spiesznie przeszedłem na tę stronę, po której szła ona, podszedłem do niej i odpowiedziałem:

– Nie.

Popatrzyła na mnie zdziwiona, a ja nagle i najzupełniej nieoczekiwanie zrozumiałem, że przez całe życie kochałem tę właśnie kobietę! To ci dopiero, co? Na pewno powie pan, że jestem niespełna rozumu?

– Niczego takiego nie mówię i nie powiem – gorąco sprzeciwił się Iwan i dodał: – Błagam, niech pan mówi dalej!

Gość ciągnął:

– Tak, popatrzyła na mnie zdziwiona, a potem zapytała:

– Czy pan w ogóle nie lubi kwiatów?

Wydało mi się, że w jej głosie była jakaś wrogość. Szedłem obok niej, starałem się iść w nogę i, ku memu zdziwieniu, zgoła nie czułem zmieszania.

– Lubię kwiaty, ale nie takie – powiedziałem.

– A jakie?

– Lubię róże.

Natychmiast pożałowałem swoich słów, bo ona uśmiechnęła się przepraszająco i cisnęła swoje kwiaty do rynsztoka. Zmieszałem się nieco, ale jednak je podniosłem i podałem jej, ale ona z uśmiechem odsunęła kwiaty, więc musiałem nieść je sam.

Szliśmy tak w milczeniu przez czas pewien, dopóki nie wzięła kwiatów z moich rąk i nie rzuciła ich na jezdnię. Potem wsunęła w moją dłoń swoją dłoń w czarnej rękawiczce z szerokim mankietem i poszliśmy dalej razem.

– Niech pan mówi dalej – powiedział Iwan – i proszę, niech pan nie pomija żadnych szczegółów!

– Dalej? – zapytał gość. – No cóż, tego, co było potem, mógłby się pan sam domyślić. – Prawym rękawem wytarł nagle nieoczekiwaną łzę i mówił dalej: – Miłość napadła na nas tak, jak napada w zaułku wyrastający spod ziemi morderca, i poraziła nas oboje od razu. Tak właśnie razi grom albo nóż bandyty! Ona zresztą utrzymywała później, że to nie było tak, że musieliśmy się

kochać już od dawna, jeszcze się nie znając i zanim się jeszcze spotkaliśmy, i że ona żyła z innym mężczyzną... a ja, tam, wtedy... z tą, no, jakże jej...

– Z kim? – zapytał Bezdomny.

– Z tą, no... z tą, no... – odparł gość i pstryknął palcami.

– To pan był żonaty?

– No tak, przecież właśnie w tej sprawie pstrykam... Z tą... Z Warią... Z Manią... nie, z Warią... taka sukienka w paski, muzeum... Zresztą nie pamiętam.

No więc ona mówiła, że wyszła tego dnia z bukietem żółtych kwiatów właśnie po to, bym ją wreszcie odnalazł, i gdyby tak się nie stało, otrułaby się, bo jej życie było pozbawione sensu.

Tak, miłość poraziła nas w jednej chwili. Wiedziałem o tym jeszcze tego samego dnia, po godzinie, gdyśmy znaleźli się, sami nie wiedząc jak i kiedy, na nadrzecznym bulwarze pod murami Kremla.

Rozmawialiśmy ze sobą, tak jakbyśmy się rozstali dopiero wczoraj, jakbyśmy się znali od wielu lat. Umówiliśmy się, że się spotkamy nazajutrz w tym samym miejscu, nad brzegiem Moskwy, i spotkaliśmy się tam. Przyświecało nam majowe słońce. I niebawem ta kobieta potajemnie stała się moją żoną.

Przychodziła do mnie co dzień w południe, ale czekać na nią zaczynałem już od rana. Oczekiwanie to wyrażało się w ten sposób, że przestawiałem przedmioty na biurku. Na dziesięć minut przed jej przyjściem siadałem przy okienku i nasłuchiwałem, kiedy stuknie rachityczna furtka. I jak to się dziwnie składa – zanim ją spotkałem, bardzo niewiele osób przychodziło na nasze podwórko, można powiedzieć, że nikt tam nie przychodził, teraz zaś wydawało mi się, że całe miasto podąża na nasze podwórze.

Ona przechodziła przez furtkę tylko raz, ale nie skłamię, jeśli powiem, że zanim weszła, serce zaczynało mi walić przynajmniej z dziesięć razy. A potem, kiedy zbliżała się godzina, o której ona miała przyjść, kiedy wskazówki zegara zbiegały się na dwunastej, serce w ogóle już nie przestawało łomotać, dopóki ona, nawet nie stuknąwszy furtką, niemal bezgłośnie, nie zjawiała się, dopóki nie zobaczyłem za okienkiem jej pantofli z czarnymi kokardkami z zamszu, ściągniętymi przy pomocy stalowych sprzączek.

Niekiedy swawoliła zatrzymując się koło drugiego okienka i stukając w szybę czubkiem bucika. W tejsze chwili dopadałem okna, ale pantofelek zniknął, zniknął czarny jedwab przesłaniający światło, i biegłem, by jej otworzyć drzwi.

Nikt nie wiedział o naszym związku, ręczę panu za to, chociaż to się nigdy nie zdarza. Nie wiedział o nim jej mąż, nie wiedzieli także znajomi. W starym domku, w którym wynajmowałem moją suterенę, wiedziano, oczywiście, że przychodzi do mnie jakaś kobieta, ale nikt nie znał jej imienia.

– A kim ona była? – zapytał Iwan, niezmiernie zaciekawiony tą romansową historią.

Gość uczynił gest, który miał znaczyć, że nie wyjawি tego nikomu, i kontynuował swoją opowieść.

Iwan dowiedział się więc, że mistrz i nieznajoma tak się pokochali, że stali się nierozłączni. Iwan dokładnie już sobie wyobrażał owe dwa pokoje w suterенie domku, w których z powodu płotu i bżów zawsze panował półmrok. Widział podniszczone, niegdyś wykwintne niskie, biurko, na biurku dzwoniący co pół godziny zegar i książki, książki od malowanej podłogi aż po zakopcony sufit i piec.

Iwan dowiedział się, że przybysz i jego potajemna żona już w pierwszych dniach trwania ich związku doszli do wniosku, że wtedy na rogu Twerskiej i owego zaułka, zetknął ich ze sobą sam los i że są stworzeni dla siebie.

Iwan dowiedział się także, jak spędzali dnie zakochani. Ona przychodziła, natychmiast wkładała fartuch i w wąskim korytarzyku, gdzie był zlew, którego obecność tam z taką dumą podkreślał nieszczęsny chory, zapalała na drewnianym stole prymus i przygotowywała śniadanie, które zjadali następnie przy nakrytym owalnym stole w pierwszym pokoju. Kiedy zrywały się majowe burze, a tuż za oślepyłymi okienkami z szumem płynęła ku ściekowi woda, grożąc zalaniem ich ostatniej przystani, zakochani rozpalali w piecu i piekli sobie w popielniku kartofle. Z kartofli buchała para, czarne łupiny ziemniaczane brudziły palce. W suterенie rozlegały się śmiechy, a drzewa w ogródku po przejściu ulewy gubiły złamane przez wiatr gałązki i białe kiście.

Kiedy skończył się okres burz i nadeszło skwarne lato, w wazonie pojawiły się od dawna wyczekiwane i ulubione przez nich oboje róże. Ten, który nazwał się mistrzem, gorączkowo pracował nad swą powieścią i owa powieść pochłonęła również nieznajomą.

– Przyznam, że chwilami zaczynałem już być o to zazdrosny – szeptał do Iwana nocny gość, przybyły z zalanego księżycowym światłem balkonu.

Zanurzywszy we włosach szczupłe palce o ostrych paznokciach, czytała w nieskończoność to, co już napisał, a przeczytawszy zaczynała szyc tę właśnie czapeczkę. Niekiedy siedziała w kucki

obok najniższych półek albo stała obok najwyższych i wycierała ściereczką setki zakurzonych grzbietów. Wróżyła mu sławę, ponaglała go i właśnie wtedy zaczęła go nazywać mistrzem. Nie mogła się doczekać przyobiecanych ostatnich słów o piątym procuratorze Judei, śpiewnie, głośno powtarzała poszczególne zdania, które jej się spodobały, i mówiła, że w tej powieści jest całe jej życie.

Powieść została ukończona w sierpniu, przekazana jakiejś nieznajomej maszynistce, a ta przepisała książkę w pięciu egzemplarzach. I oto nadeszła wreszcie chwila, kiedy trzeba było porzucić cichą przystań i powrócić do życia.

– Powróciłem do życia, trzymając oburącz moją powieść, i wtedy moje życie się skończyło – wyszeptał mistrz i zwiesił głowę, długo chwiała się żałobna czarna czapeczka z żółtą literą “M”. Ciągnął dalej swoją opowieść, ale opowieść ta stała się nieco chaotyczna, jedno tylko można było z niej zrozumieć – gościowi Iwana przydarzyło się wówczas jakieś nieszczęście,

– Po raz pierwszy wkroczyłem do świata literatury, ale teraz, kiedy już jest po wszystkim i kiedy moja zagłada jest oczywista, wspominam to z przerażeniem! – uroczyście wyszeptał mistrz i uniósł rękę: – Tak, mi mną nadzwyczaj wstrząsnął, jak on mną wstrząsnął!

– Kto? – szepnął Iwan ledwie dosłyszalnie, nie chcąc przerywać zdenerwowanemu narratorowi.

– No, redaktor, mówię przecież, że redaktor! Tak, przeczytał książkę. Tak na mnie patrzył, jakbym miał fluksję, patrzył w kąt i nawet chichotał ze zmieszania. Bez żadnej potrzeby miał maszynopis w palcach i chrząkał. Pytania, które mi zadawał, były, moim zdaniem, zupełnie obłąkańcze. Nie wspominając o treści książki pytał, kim jestem i skąd się właściwie wziąłem, czy od dawna piszę i dlaczego dotąd o mnie nie słyszał, zadał nawet moim zdaniem zupełnie idiotyczne pytanie: – kto mi podsunął pomysł napisania książki na tak niedorzeczny temat? W końcu miałem tego dość i zapytałem go wprost, czy wydrukuje moją książkę. On się na to zmieszał, zaczął coś mamrotać i oznajmił mi, że nie może rozstrzygnąć tej kwestii sam, że muszą się zapoznać z moim utworem także inni członkowie kolegium redakcyjnego, a zwłaszcza krytycy Łatuński i Aryman oraz literat Mścisław Laurowicz. Prosił, żebym przyszedł za dwa tygodnie. Kiedy przyszedłem po dwóch tygodniach, przyjęła mnie jakaś pannica, która od nieustannego łgania dostała już zeza.

– To Łapszennikowa, sekretarz redakcji – z uśmiechem powiedział Iwan, który dobrze znał światek opisywany z takim gniewem przez jego gościa.

– Możliwe – uciał tamten – zatem to ona wręczyła mi moją powieść, dość już sponiewieraną i podniszczoną. Łapszennikowa, starając się nie patrzeć mi w oczy, zakomunikowała, że redakcja ma dosyć materiału na najbliższe dwa lata i że w związku z tym problem druku mojej powieści, jak się wyraziła, upada.

– Cóż jeszcze pamiętam? – mruzczał mistrz pocierając skroń. – Aha, czerwone płatki na karcie tytułowej i oczy mojej najdroższej. Tak, te oczy pamiętam.

Opowieść gościa Iwanowego stawała się coraz zawilsza, coraz więcej w niej było jakichś niedomówień. Mówił coś o zacinającym deszczu i o rozpacy panującej w cichej piwnicznej przystani, o tym, że dokądś jeszcze chodził z rękopisem. Wykrzykiwał szeptem, że bynajmniej nie wini tej, która zagrzewała go do walki, o nie, nie wini jej!

Potem, jak się Iwan dowiedział, zaszło coś nieoczekiwanego, coś strasznego. Któregoś dnia nasz bohater otworzył gazetę i zobaczył wydrukowany w niej artykuł krytyka Arymana, artykuł, w którym Aryman przestrzegał wszystkich razem i każdego z osobna przed naszym bohaterem, jako przed tym, który usiłował przemycić na łamy prasy apologię Jezusa Chrystusa.

– Pamiętam, pamiętam! – zawołał Iwan. – Tylko zapomniałem, jakie pan nosi nazwisko!

– Powtarzam, puśćmy w niepamięć moje nazwisko, ono już nie istnieje – odparł gość. – Nie o nie chodzi. Następnego dnia w innej gazecie ukazał się inny artykuł, podpisany przez Mścislawa Laurowicza. Autor domagał się bezlitosnej rozprawy z piłatyżmem i z tym religianckim tandeciarzem, który umyślił sobie, że przemyci (znów to przeklęte słowo!) piłatyżm na łamy czasopism.

Oślupiały na widok tego niesłychanego słowa “piłatyżm” otworzyłem następny dziennik. Ten zamieszczał dwa artykuły, jeden z nich napisał Łatuński, drugi natomiast sygnowany był literkami “N.E”. Zapewniam pana, że utwory Arymana i Laurowicza to było jeszcze nic w porównaniu z tym, co napisał Łatuński. Wystarczy, jeśli powiem, że tytuł artykułu Łatuńskiego brzmiał: “Starowie wojujący”. Byłem tak pogrążony w lekturze traktujących o mnie artykułów, że nie zauważyłem, kiedy ona (zapomniałem zamknąć drzwi!) stanęła przede mną z mokrą parasolką w jednym ręku i mokrymi dziennikami w drugim. Jej oczy miotaly iskry, dłonie miała zimne, drżące. Najpierw zaczęła mnie całować, a potem ochryłym głosem, bijąc przy tym pięścią w stół, powiedziała, że otruje Łatuńskiego.

Iwan chrząknął, nie wiedzieć czemu zmieszany, ale nic nie powiedział.

– Nadeszły dni jesiennej beznadziei – ciągnął gość – potworne niepowodzenie tej powieści

jak gdyby okaleczyło moją duszę. Prawdę mówiąc przestałem mieć cel w życiu i żyłem już tylko od jednego spotkania z nią do drugiego. I właśnie wtedy coś się ze mną stało. Diabli wiedzą co, Strawiński zresztą na pewno dawno się już w tym połapał. Tak więc ogarnął mnie smutek, zaczęły się jakieś złe przeczucia. Na przykład zacząłem się obawiać ciemności. Jednym słowem, zaczęła się choroba psychiczna. Wydawało mi się, zwłaszcza kiedy zasypiałem, że macki jakiejś zwinnej i zimnej ośmiornicy skradają się wprost ku mojemu sercu. Musiałem sypiać przy zapalonym świetle.

Moja ukochana zmieniła się bardzo (o ośmiornicy nic jej, oczywista, nie wspominałem, widziała jednak, że dzieje się ze mną coś niedobrego), schudła, wybladła, przestała się śmiać i tylko nieustannie mnie prosiła, bym jej wybaczył to, że radziła mi dać do druku fragment powieści. Mówiła, żebym rzucił to wszystko i wyjechał na Południe, nad Morze Czarne, wydając na to wszystko, co mi jeszcze pozostało z owych stu tysięcy.

Bardzo na to nalegała i ja, by uniknąć dyskusji (coś mi mówiło, że ten mój wyjazd nad Morze Czarne nie dojdzie do skutku) obiecałem jej, że lada dzień to zrobię. Ale ona powiedziała, że sama kupi mi bilet. Wyjąłem wtedy wszystkie moje pieniądze, to znaczy około dziesięciu tysięcy rubli, i oddałem jej.

– Czemu tak dużo? – zdziwiła się.

Powiedziałem coś w tym rodzaju, że niby boję się złodziei i proszę ją o przechowanie tych pieniędzy aż do dnia mego wyjazdu. Wzięła je, włożyła do torebki, zaczęła mnie całować i mówić, że łatwiej by jej było umrzeć niż porzucić mnie samego w takim stanie, ale że czekają na nią, że zatem ustępuje wobec konieczności, że przyjdzie nazajutrz. Zaklinała mnie, bym się niczego nie obawiał.

Było to o zmierzchu, w połowie października. Ona odeszła. Położyłem się na kanapie i zasnąłem nie zapalając światła. Obudziło mnie uczucie, że ośmiornica jest tuż. Błądząc dłońią w ciemności z trudem zdołałem zapalić lampę. Zegarek kieszonkowy wskazywał drugą w nocy. Kiedy się kładłem, po prostu czułem się źle, obudziłem się natomiast jako człowiek chory. Wydało mi się nagle, że jesienna ciemność wygniecie szyby, wleje się do pokoju i zadławi mnie jak atrament. Kiedy wstałem, absolutnie już nie mogłem się opanować. Wrzasnąłem, przyszło mi do głowy, żeby do kogoś pobiec, choćby na górę, do przedsiębiorcy budowlanego. Walczyłem z sobą samym jak szalony. Wystarczyło mi sił, by dotrzeć do pieca i rozpalic ogień. Kiedy zaczęły trzaskać drwa, kiedy drzwiczki pieca zaczęły pojękiwać, poczułem się jakby trochę lepiej.

Poszedłem do przedpokoju, zapaliłem tam światło, odnalazłem butelkę białego wina, odkorkowałem ją i zacząłem pić wprost z butelki. Moje lęki zmniejszyły się nieco, w każdym razie na tyle, że nie pobiegłem do gospodarza, tylko wróciłem do pieca. Otworzyłem drzwiczki tak, że żar palił mi twarz i ręce, i szeptałem:

– Domyśl się, że ze mną jest źle... Przyjdź, przyjdź, przyjdź!...

Nikt jednak nie nadchodził. W piecu huczał ogień, o szyby bił deszcz. Wtedy stało się to nieodwracalne. Wyjąłem z szuflady biurka ciężkie egzemplarze maszynopisu powieści i bruliony brudnopisów i zacząłem wszystko to palić. Było to bardzo trudne, ponieważ zapisany papier nie chce się palić. Łamiąc sobie paznokcie darłem zeszyty, stojąc wciskałem je między polana, poruszałem pogrzebaczem ich karty. Od czasu do czasu popiół okazywał się silniejszy ode mnie, tłumiał płomienie, ale walczyłem z nim i powieść ginęła, chociaż stawiała zaciekły opór. Migwały dobrze mi znane słowa, stronicie żółkły powoli, lecz niepowstrzymanie, ale nawet na pożółkłych nadal można było odczytać słowa. Słowa ginęły wtedy dopiero, kiedy papier czerniał, w zapamiętaniu dobijałem je pogrzebaczem.

Tymczasem ktoś zaczął cicho skrobać w szybę. Serce skoczyło mi do gardła, cisnąłem w płomienie ostatni zeszyt i pośpieszyłem, by otworzyć drzwi. Z sutereny do drzwi na podwórkę prowadziły ceglane schodki. Potykając się podbiegłem do drzwi i cicho zapytałem:

– Kto tam?

Głos, jej głos, odpowiedział mi:

– To ja...

Nie pamiętam, jak sobie poradziłem z zamkiem i z łańcuchem. Kiedy tylko weszła do środka, przytuliła się do mnie, drżąca, cała mokra, miała mokre policzki i potargane włosy. Mogłem wymówić tylko jedno słowo:

– To ty... to ty?... – i głos mi się załamał, zbiegliśmy na dół.

Zdjęła w przedpokoju palto, szybko weszliśmy do pierwszego pokoju. Krzyknęła cicho, wyciągnęła z pieca gołymi rękami ostatni jeszcze nie spalony, zaledwie tłący się na krawędziach plik papierów i rzuciła go na podłogę. Dym natychmiast wypełnił pokój. Zadeptałem ogień, a ona opadła na kanapę i zaczęła płakać, niepoohamowanie, spazmatycznie.

Kiedy się uspokoiła, powiedziałem:

– Znienawidziłem tę książkę i boję się. Jestem chory. Bardzo się boję.

Wstała i powiedziała:

– Boże, jakiś ty chory. I za co to, za co? Ale ja cię uratuję, ja cię uratuję. Co to się dzieje?

Widziałem jej oczy opuchnięte od dymu i płaczu, czułem jej zimne dłonie przesuwające się po moim czole.

– Wyleczę cię, wyleczę – mamrotała ściskając moje ramiona. – Napiszesz powieść od nowa. Jak mogłam, jak mogłam nie zostawić sobie choćby jednej kopii?

Zaciskała zęby z wściekłości, mówiła coś jeszcze, czego nie zrozumiałem. A potem zacisnęła wargi i zaczęła zbierać i rozprostowywać nadpalone kartki. Był to któryś rozdział ze środka powieści, nie pamiętam już który. Starannie złożyła kartki, owinęła je w papier, przewiązała wstążką. Wszystko, co robiła, świadczyło o jej zdecydowaniu i o tym, że zdołała się opanować. Poprosiła, żebym dał jej wina, a kiedy wypła, powiedziała już spokojniej:

– Oto jak trzeba płacić za kłamstwo – mówiła – nie chcę już dłużej kłamać. Zostałabym z tobą nawet teraz, od razu, ale nie chcę tego załatwiać w taki sposób. Nie chcę, żeby do końca życia pamiętał, że uciekłam od niego w środku nocy. Nigdy nie zrobił mi najmniejszej krzywdy... Wezwano go nagle, w fabryce, w której pracuje, wybuchł pożar. Ale niedługo wróci. Wytlumaczę mu wszystko jutro rano, powiem, że kocham innego, i wrócę do ciebie już na zawsze. Ale odpowiedz mi, może ty tego wcale nie chcesz?

– Moja biedna, moja biedna – powiedziałem do niej. – Jednak nie dopuszczę do tego. Ze mną będzie źle i nie chcę, żebyś ginęła wraz ze mną.

– Tylko o to ci chodzi? – zapytała i zajrzała mi z bliska w oczy.

– Tylko o to.

Ożywiła się ogromnie, przytuliła do mnie, objęła mnie za szyję i powiedziała:

– Zamierzam zginąć wraz z tobą. Rano tutaj przyjdę.

I oto ostatnią rzeczą, którą pamiętam z mego życia, jest smuga światła padającego z przedpokoju, a w tej smudze jej potargane włosy, jej beret i jej oczy pełne zdecydowania. Pamiętam dotąd czarną sylwetkę w progu drzwi prowadzących na podwórze i ten biały rulon.

– Odprowadziłbym cię, ale nie mam już siły, by wracać samotnie, boję się.

– Nie bój się. Wytrwaj jeszcze te kilka godzin. Jutro rano tu przyjdę.

– To były ostatnie jej słowa, jakie usłyszałem w życiu...

– Cśśś! – chory nagle sam sobie przerwał i uniósł palec do góry. – Taka dziś niespokojna, księżycowa noc.

Zniknął na balkonie. Iwan usłyszał, że korytarzem przejeżdża wózek, ktoś chlipnął czy też

jęknął cichutko.

Kiedy wszystko to ucichło, gość wrócił i oznajmił, że do stodwudziestki przybył nowy mieszkaniec. Przywieziono kogoś, kto nieustannie błaga, by mu oddano jego głowę. Obaj rozmówcy przez chwilę milczeli zaleknieni, ale potem odzyskali spokój i powrócili do przerwanej opowieści. Gość już otworzył usta, ale noc rzeczywiście była niespokojna. Na korytarzu stale słychać było jakieś głosy, więc gość zaczął mówić Iwanowi do ucha tak cicho, że to, co opowiedział, znane jest tylko poecie, wyjąwszy pierwsze zdanie:

– W kwadrans po jej wyjściu zapukali do mojego okna...

To, o czym chory szeptał Iwanowi na ucho, bardzo go najwidoczniej wzburzyło. Twarz mu drgała. W oczach trzepotał strach i gniew. Opowiadający wskazywał dłonią kędyś w stronę księżycy, który dawno już zniknął znad balkonu. Dopiero gdy ucichły wszelkie dobiegające z zewnątrz odgłosy, gość odsunął się od Iwana i zaczął mówić nieco głośniej:

– Tak więc późnym wieczorem w połowie stycznia, w tym samym paletku, ale z poobrywanymi guzikami, drzałem z zimna na moim podwórku. Za plecami miałem zaspy, w których zniknęły krzaki bzu, a przed sobą, w dole, moje okienka, w których spoza zasłon słabo przebijało światło. Przypadłem do pierwszego okienka, nasłuchiwałem – w moim pokoju grał patefon. To wszystko, co zdołałem usłyszeć, zobaczyć nie mogłem nic. Postąłem tak przez chwilę, a potem zawróciłem do furtki i w zaułek. W zaułku hulała zamieć. Przestraszyłem się psa, który wpadł mi pod nogi, i uciekłem przed nim na drugą stronę ulicy. Zimno i strach, który teraz już mi zawsze towarzyszył, sprawiły, że popadłem w otępienie. Nie miałem dokąd pójść, najprościej, oczywista, byłoby rzucić się pod tramwaj na tej ulicy, którą przecinał mój zaułek. Widziałem w dali te oblodzone pudełka pełne światła, słyszałem ich obmierzły zgrzyt na mrozie. Ale, drogi mój sąsiedzie, cała rzecz polegała na tym, że strach owładnął każdą komórką mego ciała. Bałem się tramwaju zupełnie tak samo, jak przedtem tego psa. Tak, zapewniam pana, że nie ma w tym pawilonie cięższego przypadku niż mój!

– Ależ mógł pan przecież zawiadomić ją – powiedział Iwan, pełen współczucia dla nieszczęsnego chorego. – Poza tym ona przecież miała pańskie pieniądze. Przecież z pewnością je przechowała?

– Z pewnością je przechowała, w to nie wątpię. Ale pan mnie najwyraźniej nie rozumie. Lub też, mówiąc ściślej, nie mam już dawnego daru opowiadania. Zresztą nie bardzo mi go żal, bo nigdy mi już nie będzie potrzebny. Leżałby przed nią – gość popatrzył z przejściem w ciemność

– list z domu obłąkanych. A czyż na taki adres można pisywać listy?... Chory umysłowo!... Pan żartuje, mój przyjacielu! Miałbym ją unieszczęśliwić? Nie, do tego nie jestem zdolny.

Iwan nie znalazł na to odpowiedzi, ale milcząco współczuł swojemu gościowi i cierpiał wraz z nim. A on, umęczony tymi wspomnieniami, kiwał odzianą w czarną czapeczkę głową i mówił tak:

– Biedna kobieta... A zresztą mam nadzieję, że zapomniała o mnie...

– Może pan przecież wyzdrowieć... – nieśmiało powiedział Iwan.

– Mój przypadek jest nieuleczalny – spokojnie odpowiedział mu gość. – Kiedy Strawiński obiecuje mi, że przywróci mnie życiu, nie wierzę mu. To człowiek ludzki i po prostu chce mnie pocieszyć. Nie przeczę zresztą, że czuję się teraz znacznie lepiej. Tak, a więc na czym to stanęliśmy? Mróz, te pędzące tramwaje... Wiedziałem, że właśnie otwarto te klinikę, i poszedłem do niej pieszo przez całe miasto. To było szaleństwo! W polu z pewnością bym zamarznął, ale ocalił mnie przypadek. Zepsuła się ciężarówka, podszedłem do kierowcy, to było ze cztery kilometry za miastem, i kierowca, ku memu najwyższemu zdumieniu, użalił się nade mną. Wóz jechał w tym kierunku. Kierowca zabrał mnie. Szczęśliwie skończyło się na tym, że odmroziłem sobie palce lewej stopy. Wyleczono mi je zresztą. I oto jestem tutaj już czwarty miesiąc. I wie pan co, uważam, że tu jest zupełnie nieźle. Tylko nie trzeba sobie, drogi sąsiedzie, zaprzętać głowy wielkimi planami, niech mi pan wierzy! Ja, na przykład, chciałem przewędrować cały świat. Ale cóż, okazało się, że wypadło inaczej. Widzę stąd tylko bardzo nieznacznym kawałek tego świata. Myślę zresztą, że nie najlepszy jego kawałek, ale, powtarzam, to nie jest takie straszne. Teraz zbliża się lato, Praskowia Fiodorowna mówi, że balkon obrośnie bluszczem. Te klucze bardzo zwiększyły moją swobodę ruchów. Nocami będzie świecił księżyc. Ach, księżyc już zaszedł! Robi się chłodno. Już po północy. Czas na mnie.

– Proszę, niech mi pan powie, jak to było dalej z Jezusą i Piłatem – poprosił Iwan. – Błagam pana, tak bym chciał się tego dowiedzieć.

– O, nie, o, nie – wzdrygając się boleśnie odpowiedział gość. – Nie mogę myśleć spokojnie o mojej powieści. Natomiast pana znajomy z Patriarszych Prudów zrobiłby to znacznie lepiej niż ja. Dziękuję za rozmowę. Do widzenia.

Nim się Iwan opamiętał, cichutko zadzwieczała zamykana krata i gość zniknął.

14. Chwała kogutowi!

Rimski, jak to się mówi, nie wytrzymał nerwowo i nie doczekawszy się, aż skończą spisywanie protokołu, uciekł do swojego gabinetu. Siedział za biurkiem i patrzył zaczerwienionymi oczyma na leżące przed nim magiczne czerwonce. Dyrektor finansowy miał już zupełną sieczkę w głowie. Z budynku Varietes publika hurmem waliła na ulicę. Nadzwyczaj wyostrzony słuch Rimskiego wyłowił nagle wyrazisty trzask milicyjnego gwizdka. Taki gwizd nigdy nie zapowiada niczego dobrego. A kiedy gwizd ów powtórzył się po kilkakroć, kiedy pośpieszył mu w sukurs drugi gwizdek, jeszcze bardziej przeciągły, jeszcze bardziej władczy, kiedy potem dołączyły się do nich głośne śmiechy, a nawet jakieś obelżywe wrzaski, dyrektor zrozumiał od razu, że na ulicy odbywa się jakaś awantura, jakiś skandal, jakaś sprośność. Zrozumiał też, że, ku najwyższemu jego niezadowoleniu, to, co się teraz dzieje, pozostaje w najściślejszym związku z obrzydliwym występem czarnego maga i jego asystentów.

Przewidujący dyrektor bynajmniej się nie mylił. Skoro tylko wyjrzał przez okno, które wychodziło na Sadową, twarz mu się wykrzywiła i nie tyle wyszeptał, ile syknął:

– Wiedziałem, że tak się to skończy!

W silnym świetle jasnych ulicznych latarni zobaczył w dole na trotuarze damę w samej halce i we fioletowych reformach. Co prawda, dama miała jeszcze kapelusz na głowie i parasolkę w dłoni. Wokół owej nieopisanie zażenowanej damy, która na przemian to kuciała, to znów usiłowała dokąś bieć, kłębił się i chichotał tłum. Chichot tłumu sprawił, że dyrektorowi finansowemu ciarki przebiegły po grzbiecie. Nie opodał damy podrygiwał jakiś obywatel, usiłując zedrzeć z siebie letni paltocik, ale ze zdenerwowania nie mógł sobie poradzić z ręką, która uwięzła w rękawie.

Krzyki i gromkie śmiechy dobiegały także z innego miejsca, mianowicie od lewego podjazdu, i dyrektor zwróciwszy głowę w tę stronę zobaczył inną damę, w różowej kombinacji. Dama owa uciekła z jezdni na chodnik, usiłując ukryć się pod arkadami, ale wysypująca się z teatru publiczność przegradzała jej drogę i nieszczęsna ofiara własnej lekkomyślności oraz umiłowania strojów, wyprowadzona w pole przez firmę bezwstydnego Fagota, marzyła tylko o jednym – żeby zapaść się pod ziemię. Świdrując gwizdem powietrze ruszył ku nieszczęsnej milicjant, a za nim śpieszyli jacyś rozradowani młodzi ludzie w cyklistówkach. To właśnie oni zarykiwali się ze

śmiechu i obelżywie pokrzykiwali.

Chudy wąsaty dorożkarz pędem podjechał do pierwszej rozebranej i ściągnął lejce kościstej dychawicznej chabety. Twarz wąsacza uśmiechała się radośnie.

Rimski rąbnął się pięścią w głowę, splunął i odskoczył od okna. Przez czas jakiś siedział przy stole, nasłuchiwał, co się dzieje na ulicy. Gwizdki w różnych miejscach osiągnęły apogeum, potem zaczęły słabnąć. Ku zdumieniu Rimskiego skandal likwidowano zadziwiająco szybko.

Trzeba było coś robić, trzeba było wypić do dna gorzki kielich odpowiedzialności. Telefony w czasie ostatniej części koncertu zaczęły działać, trzeba było dzwonić, zawiadamiać o tym, co zaszło, prosić o pomoc, wykręcać się, zwać wszystko na Lichodiejewa, wybraniać siebie i tak dalej. Tfu, diabli nadali!...

Zdenerwowany dyrektor po dwakroć kładł dłoń na słuchawce i po dwakroć ją cofał. I nagle w martwej ciszy gabinetu sam telefon się rozdzwonił prosto w nos dyrektorowi finansowemu, który zadrżał – zrobiło mu się zimno. “Jednak nieźle zszarpałem sobie nerwy” – pomyślał i podniósł słuchawkę. Ale zaraz odskoczył od niej jak oparzony i zrobił się bielszy niż papier. Spokojny, przymilny, a zarazem sprośny głos kobiecy szeptał w słuchawce:

– Rimski, lepiej nigdzie nie dzwoń, bo będzie źle...

I już w słuchawce nie było nikogo. Czując, że przechodzi go mrowie, dyrektor odłożył słuchawkę i nie wiedząc czemu spojrzął w znajdujące się za jego plecami okno. Przez rzadkie, pokryte wątlą jeszcze zielenią gałęzie klonu zobaczył w przejrzystym obłoku biegnący księżyc. Coś przykuło wzrok Rimskiego do tych gałęzi, patrzył na nie, a im dłużej patrzył, tym większy ogarniał go strach.

W końcu dyrektor z trudem zmusił się do tego, żeby się odwrócić od księżycowego okna, i wstał. O tym, żeby dzwonić gdziekolwiek, nie było już teraz mowy, dyrektor myślał tylko o jednym – jak by tu czym prędzej wyjść z teatru.

Nasłuchiwał – w budynku panowała cisza. Zrozumiał, że już od dawna na całym pierwszym piętrze jest tylko on jeden, i kiedy to sobie uświadomił, owładnął nim nieprzezwyjęzony, dziecinny strach. Nie mógł bez drżenia myśleć o tym, że będzie oto musiał iść samotnie przez puste korytarze i schodzić po schodach. Gorączkowo chwycił leżące na stole czerwonce hipnotyzerów, schował je do teczki i odkaslnął, żeby choć odrobinę dodać sobie odwagi. Kaszel wypadł ochryple i cicho.

I wtedy wydało mu się, że spod drzwi gabinetu wionęło wilgotną zgnilizną. Dreszcz przeszedł

dyrektorowi finansowemu po krzyżu. W dodatku znieca zaczął bić zegar – wybijał północ. I nawet to bicie zegara przyprawiało dyrektora o dreszcze. Ale definitywnie zmarło mu serce, kiedy usłyszał, że w zamku yale powolutku obraca się klucz. Kurczowo wczepił w teczkę zimne, zwilgotniałe dłonie, czuł, że jeżeli jaszce przez chwilą potrwa ten szmer w dziurce od klucza, to nie wytrzyma i przeraźliwie wrzaśnie.

Wreszcie drzwi poddały się czyimś wysiłkom, otworzyły się i bezszelestnie wszedł do gabinetu Warionucha. Rimski opadł na fotel, bowiem ugięły się pod nim nogi. Nabrawszy do płuc powietrza uśmiechnął się, jak gdyby przymilnie, i cicho powiedział:

– Boże, jakżeś ty mnie przestraszył...

Tak, to nieoczekiwane pojawienie się Warionuchy każdego mogło przestraszyć, ale jednocześnie sprawiło ono dyrektorowi wielką radość – w tej zawikłanej sprawie odnalazł się koniec jednej przynajmniej nitki.

– No, mówże prędzej! No! no! – czepiając się tej nitki wychrypiał Rimski. – Co to wszystko ma znaczyć?!

– Przepraszam cię bardzo – zamykając drzwi głucho odpowiedział przybysz. – Myślałem, że już cię nie ma.

I Warionucha nie zdejmując kaszkietu podszedł do fotela i zasiadł po drugiej stronie biurka.

Trzeba tu zaznaczyć, że w odpowiedzi Warionuchy dało się wyczuć coś nieuchwytnego, lecz dziwnego. Coś, co od razu wychwycił dyrektor, którego wrażliwość śmiało mogła konkurować z najczulszymi sejsmografami. Jakże to tak? Więc po co Warionucha szedł do gabinetu dyrektora finansowego, skoro sądził, że go tam nie ma? Przecież, po pierwsze, ma własny gabinet. A po drugie – którymkolwiek wejściem wszedł Warionucha do budynku, nieuniknianie musiał spotkać jednego ze stróżów nocnych, a wszystkim im zostało zapowiedziane, że dyrektor zostanie nieco dłużej w swoim gabinecie. Ale dyrektor nie zastanawiał się długo nad tą dziwną okolicznością – nie to mu było w głowie.

– Dlaczegoś nie zadzwonił? Co ma znaczyć ta cała heca z Jałtą?

– No, to, co mówiłem – cmoknąwszy, jakby mu doskwierał bolący ząb, odpowiedział administrator. – Znaleźli go w knajpie w Puszkino.

– Jak to w Puszkino?! To przecież pod Moskwą?! A depesza z Jałty?!

– Jaka tam, u diabła, Jałta! Spił puszkińskiego telegrafistę i obaj zaczęli rozrabiać, a między innymi wysyłali telegramy z adnotacją “Jałta”.

– Aha... Aha... No, dobrze, dobrze... – raczej zaśpiewał, niż powiedział Rimski. Jego oczy rozjarzyły się żółtawym blaskiem. Oczyma duszy widział już z radością triumfalną scenę zdejmowania okrytego hańbą Stiopy ze stanowiska. Wyzwolenie! Tak długo oczekiwane wyzwolenie dyrektora finansowego od tej żywiołowej klęski, od Stiopy. Lichodiejewa! A może uda się podszykować mu nawet coś gorszego niż wylanie z pracy... – Szczegóły! – powiedział Rimski i stuknął w biurko suszką.

Więc Warionucha zaczął opowiadać o szczegółach. Kiedy przyszedł tam, dokąd go posłał dyrektor, został natychmiast przyjęty i wysłuchany z wielką uwagą. Nikt, oczywiście, nie sądził nawet przez chwilę, że Stiopa może być w Jałcie. Wszyscy od razu zgodzili się z przypuszczeniem Warionuchy, że Stiopa siedzi z pewnością w “Jałcie”, w Puszkino.

– Gdzie on teraz jest? – przerwał administratorowi zdenerwowany dyrektor finansowy.

– A gdzie ma być? – odpowiedział ze złośliwym uśmiechem administrator. – Jasne, że w izbie wytrzeźwień.

– No, no! Moje uszanowanie!

Warionucha tymczasem ciągnął swoją opowieść i im dłużej opowiadał, tym wyraziściej rysował się dyrektorowi długi łańcuch wyskoków i bezceństw Lichodiejewa, a każde kolejne ogniwo tego łańcucha gorsze było od poprzedniego. Ileż był wart choćby ów pijacki taniec w objęciach telegrafisty na polance przed pocztą w Puszkino, przy dźwiękach katarynki jakiegoś włóczykija! Albo gonitwa za jakimiś obywatelkami, które uciekały piszcząc ze strachu! Albo próba wszczęcia bójki z bufetowym w samej “Jałcie”! Rozrzucanie szczypiorku po podłodze w tejże “Jałcie”! Rozbicie ośmiu butelek białego wytrawnego “Aj–Danila”. Zdemolowanie licznika szoferowi taksówki, który nie chciał oddać Stiopie kierownicy. Pogrożki Stiopy, że przymknie obywateli, którzy usiłowali położyć kres jego chuligańskim numerom... Jednym słowem – ponura zgroza!

Stiopa był znany w kołach teatralnych Moskwy i każdy wiedział, że człowiek ten to nie bukiecik fiołków. Ale, mimo wszystko, tego, co teraz opowiadał o nim administrator, nawet jak na Stiopę było nadto. O, tak, tego było zbyt wiele, doprawdy zbyt wiele. Kłujące spojrzenie Rimskiego wbijało się nad białym biurkiem w twarz administratora i im dłużej ten mówił, tym mroczniejsze stawało się to spojrzenie. Im bardziej malownicze były te wszystkie plugawe szczegóły, w które administrator wyposażał swoją opowieść, im bardziej były prawdopodobne, tym mniej dyrektor finansowy wierzył opowiadającemu. Kiedy zaś Warionucha oświadczył, że

Stiopa rozhulał się do tego stopnia, iż usiłował stawiać opór tym, którzy przyjechali po niego z Moskwy, dyrektor był już zupełnie pewien, że wszystko, co mu opowiedział przybyły o północy administrator, to łgarstwo. Łgarstwo od pierwszego do ostatniego słowa!

Warionucha nie jeździł do Puszkino, Stiopa także w Puszkino nie był. Nie było pijanego telegrafisty, nikt nie tłukł szkła w knajpie, nikt nie wiązał Stiopy sznurkami – wszystko to lipa.

Skoro tylko dyrektor finansowy utwierdził się w przekonaniu, że administrator łże, strach popęztał po jego ciele, od nóg poczynając, i znowu wydało się dyrektorowi, że spod drzwi gabinetu wionęło zgniłą malaryczną wilgocią. Ani na moment nie spuszczał z oczu administratora – który jakoś dziwnie w się w fotelu, przez cały czas starał się nie wychylać z niebieskiego cienia stojącej na biurku lampy, przedziwnie osłaniał się gazetą, niby to przed raziącym go światłem żarówki – dyrektor finansowy myślał tylko o jednym – co to wszystko ma znaczyć. Dlaczego w opustoszałym, milczącym budynku Iwan Sawieliewicz, który wrócił tak bardzo późno, tak bezczelnie kłamał mu w żywe oczy. I zaczęło nękać Rimskiego poczucie niebezpieczeństwa, niebezpieczeństwa nieznanego, ale groźnego. Udając, że nie zauważa dziwnego zachowania Warionuchy i jego sztuczek z gazetą, dyrektor przyglądał się jego twarzy prawie już nie słuchając tego, co Warionucha plecie. Było coś jeszcze bardziej niepojętego niż ta nie wiadomo po co wymyślona opowieść o wydarzeniach w Puszkino, a mianowicie zmiany, które zaszły w wyglądzie i zachowaniu administratora.

Choć ten jak mógł tak nasuwał na oczy kaczkowaty daszek kaszkietu, żeby zacienić twarz, choć jak mógł wykręcał gazetę, dyrektorowi udało się dostrzec potężny siniak pod prawym okiem, tuż koło nosa. Poza tym rumiany zazwyczaj administrator był teraz blady niezdrową kredową bladością, a szyję, choć noc była parna, okutaną miał, nie wiadomo dlaczego, starym pasiastym szalikiem. Jeśli jeszcze dodać do tego, że administrator popadł w czasie swojej nieobecności w obrzydliwy nałóg cmoktania i pomlaskiwania, że głos wyraźnie mu się zmienił, zgrubiał i zmatowiał, że spojrzenie jego stało się niespokojne i tchórzliwe, to śmiało można było powiedzieć, że Iwan Warionucha zmienił się nie do poznania.

I jeszcze coś gwałtownie niepokoiło dyrektora, ale co – tego nie mógł zrozumieć, choć z całej mocy wytężył rozgorączkowany umysł, choć wpatrywał się uparcie w Warionuchę. Jedno mógłby z całą pewnością powiedzieć – było coś niespotykanego, coś nienaturalnego w tym zestawieniu administratora z tak dobrze mu znanym fotelem.

– No, w końcu daliśmy mu radę, no, załadowaliśmy go do samochodu – huczał Warionucha

wyzierając zza gazety i przysłaniając dłonią siniak.

Rimski nagle wyciągnął rękę i niby to machinalnie, postukując palcami po biurku, jednocześnie nacisnął dłonią przycisk elektrycznego dzwonka i – zamarł. W pustym budynku niewątpliwie byłoby słychać przenikliwy dzwonek. Ale dzwonek ów się nie odezwał, guzik przycisku martwo zapadł w blat biurka. Guzik był martwy, dzwonek nie działał.

Manewr dyrektora nie uszedł uwadze Warionuchy, który wykrzywił się i zapytał, przy czym w jego oczach błysnęło wyraźnie złowrogie światelko:

– Po co dzwonisz?

– Machinalnie – cofnąwszy rękę odparł głucho dyrektor finansowy i niepewnym głosem zapytał z kolei: – Co tam masz na twarzy?

– Zarzuciło wóz, uderzyłem się o klamkę – spoglądając w bok odpowiedział Warionucha.

“Kłamie!” – zawołał w duchu dyrektor finansowy. I wtedy nagle oczy mu się wyokrągliły, pojawił się w nich oblęd, nie mógł oderwać oczu od oparcia fotela.

Na podłodze za fotelem leżały dwa skrzyżowane cienie, jeden gęstszy, ciemniejszy, drugi szary, ledwie widoczny. Wyraźnie widać było na podłodze cień oparcia fotela i cień jego zwięzających się nóg, ale nad oparciem na podłodze nie było cienia głowy Warionuchy, podobnie jak między nogami fotela nie widać było cienia nóg administratora.

“On nie rzuca cienia!” – desperacko wrzasnął w duchu Rimski. I zadygotał.

Warionucha niespokojnie, bojaźliwie obejrzał się, podążając za oszalałym spojrzeniem Rimskiego, spojrzął za oparcie fotela i zrozumiał, że został zdemaskowany. Wstał z fotela (to samo zrobił także dyrektor) i ściskając w dłoniach teczkę odszedł na krok od biurka.

– Domyślił się, przeklęty! Zawsze był sprytny – powiedział Warionucha gniewnie, uśmiechając się prosto w nos dyrektorowi, znienacka skoczył od fotela ku drzwiom i szybko przesunął w dół rygiel zatrasku. Dyrektor rozejrzał się rozpaczliwie, cofnął się. w stronę wychodzącego na ogród okna i w tym zalanym księżycową poświatą oknie zobaczył przywierającą do szyby twarz nagiej dziewczyny i obnażoną, przesuniętą przez lufcik rękę, która starała się odsunąć dolną zasuwkę ramy. Górna była już odsunięta.

Wydało mu się, że światło lampy na biurku przygasa, że biurko się przechyla. Ogarnęła Rimskiego lodowata fala, ale na szczęście dla siebie – przemógł się i nie upadł. Resztek jego sił wystarczyło na to, żeby nie krzyknąć już, ale szepnąć:

– Na pomoc...

Warionucha, który pilnował drzwi, podskakiwał przy nich i za każdym podskokiem przez dłuższą chwilę zawisał w powietrzu chwiejąc się nad podłogą. Machał w stronę Rimskiego rozcapierzonymi dłońmi, syczał i cmoktał, i mrugał do dziewczyny w oknie.

Dziewczyna zaczęła się spieszyć, wsunęła w lufcik rudą głowę, rękę wyciągnęła jak mogła najdalej, zaczęła drapać paznokciami dolny baskwil i potrząsać ramą. Dłoń jej wydłużyła się, jak gdyby była z gumy, i przybrała trupiozielonkawą barwę. Wreszcie zielone palce trupa uchwyciły rączkę baskwila, przekręciły ją i okno zaczęło się otwierać. Rimski krzyknął cicho, przywarł do ściany i niczym tarczą zasłonił się teczką. Wiedział, że nadeszła jego ostatnia chwila.

Okno otworzyło się na oścież, ale zamiast nocnego chłodku i aromatu lip wtargnęła do pokoju piwniczna woń. Nieboszczka weszła na parapet. Rimski wyraźnie widział ciemne plamy rozkładu na jej piersiach.

I właśnie wtedy dobiegło radosne, nieoczekiwane pianie koguta z ogrodu, z tego niskiego budyneczku za strzelnicą, w którym trzymano biorące udział w programie ptaki. Tresowany kogut grzmiał gromko, donośnie, obwieszczał, że od wschodu nadciąga nad Moskwę świt.

Dzika wściekłość wykrzywiła twarz dziewczyny, nieboszczka bluznęła ochryplym przekleństwem, a Warionucha przy drzwiach zaskowyczał i spadł spod sufitu na podłogę.

Kogut zapiał po raz wtóry, dziewczyna zgrzytnęła zębami, zjeżyły jej się na głowie rude włosy. Za trzecim pianiem odwróciła się i wyleciała z pokoju. Warionucha podskoczył, wyciągnął się w powietrzu poziomo, co go upodobniło do fruującego Kupidyna, przeleciał ponad biurkiem i powoli wypłynął przez okno.

Siwy jak śnieg, bez jednego ciemnego włoska na głowie starzec, który jeszcze niedawno był Rimskim, podbiegł do drzwi, odciągnął rygiel, otworzył drzwi i rzucił się do ucieczki ciemnym korytarzem. Przy zakręcie na klatkę schodową, jęcząc i chlipiąc ze strachu, namacał wyłącznik i światło zalało schody. Na schodach trzęsący się i drżący starzec upadł, wydało mu się bowiem, że z góry miękko spadł na niego Warionucha.

Zbiegłszy na dół Rimski zobaczył śpiącego na krześle koło kasy w westybulu stróża. Przekradł się koło niego na palcach i prześlizgnął się frontowymi drzwiami na dwór. Na ulicy poczuł się nieco raźniej. Oprzytomniał na tyle, żeby schwyciwszy się za głowę zorientować się, że jego kapelusz został w gabinecie.

Oczywiście nie wrócił po kapelusz, tylko z trudem łapiąc oddech przebiegł przez szeroką jezdnię na przeciwległy róg, przed kino, gdzie majaczyło mętne czerwone światelko. W

minutę był przy nim. Nikt nie zdążył zająć mu taksówki.

– Na leningradzki ekspres, dołożę na setkę – ciężko dysząc i trzymając się za serce powiedział starzec.

– Zjeżdżam do garażu – odpowiedział z nienawiścią kierowca i odwrócił się.

Wtedy Rimski otworzył teczkę, wyciągnął z niej pięćdziesiąt rubli i przez opuszczoną szybę przednich drzwi podał je kierowcy.

W chwilę potem rozklekotany wóz gruchocząc mknął jak wichur po łuku Sadowej. Pasażera podrzucało na siedzeniu i w wiszącym przed kierowcą kawałku lusterka Rimski widział to rozradowane oczy kierowcy, to swoje, oszalałe.

Wyskoczył z taksówki przed budynkiem dworca, krzyknął do pierwszego napotkanego człowieka w białym fartuchu i z blachą na piersi:

– Pierwsza klasa, jeden, dam trzydzieści – gniótł wyciągnięte z teczki czerwonce. – Jak nie będzie pierwszej – bierz drugą... Jak nie będzie – to bierz trójkę!

Człowiek z blachą oglądając się na oświetlony zegar wyrwał Rimskiemu czerwonce.

W pięć minut później pod przeszkloną kopułą dworca już nie było ekspresu – znikł bez śladu w ciemnościach. Wraz z nim zniknął i Rimski.

15. Nikanor Iwanowicz Bosy

Nietrudno się domyślić, że grubasem z purpurową twarzą, którego umieszczono w klinice w pokoju numer sto dziewiętnaście, był Nikanor Iwanowicz Bosy.

Do profesora Strawińskiego trafił on jednak nie od razu, przedtem czas jakiś przebywał w zupełnie innym miejscu. O tym innym miejscu Bosy niewiele zachował wspomnień. Pamiętał tylko biurko, szafę i kanapę.

Rozpoczęto tam rozmowę z Nikanorem Iwanowiczem, któremu ćmiło się w oczach od uderzeń krwi do głowy, a także na skutek zdenerwowania, ale rozmowa wyszła dziwna, zawiślana, a prawdę mówiąc w ogóle nie wyszła.

Pierwsze od razu pytanie, jakie Nikanorowi Iwanowiczowi zadano, brzmiało:

– Wasze nazwisko Nikanor Iwanowicz Bosy? Jesteście prezesem komitetu blokowego numer 302–A z ulicy Sadowej?

Na to Nikanor Iwanowicz roześmiał się straszliwym śmiechem i odpowiedział dosłownie tak:

– Jestem Nikanor, Nikanor, oczywiście! Ale jaki tam ze mnie, u diabła, prezes?

– Co to ma znaczyć? – mrużąc oczy zapytano Nikanora Iwanowicza.

– Ma to znaczyć – odpowiedział – że skoro jestem prezesem, to powinienem być od razu ustalić, że on jest siłą nieczystą! Bo i jakże? Binokle pęknięte, chodzi w łachach i to ma być tłumacz cudzoziemca?

– O kim mówicie? – zapytano Nikanora Iwanowicza.

– Korowiow! – wrzasnął Bosy – siedzi u nas pod pięćdziesiątym! Piszcie – Korowiow! Trzeba go natychmiast złapać. Piszcie – szósta klatka. Tam go znajdziecie.

– Kto wam dał walutę? – zapytano serdecznie Nikanoira Iwanowicza.

– Boże Wielki, Boże Wszechmogący! – zaczął mówić Bosy – ty wszystko widzisz, dobrze mi tak! Żadnej waluty na oczy nie widziałem, nie mam zielonego pojęcia, o jakiej walucie mowa! Pan Bóg mnie pokarał za grzechy – ciągnął z uczuciem na przemian to zapinając, to rozpinając koszulę, to znów żegnając się znakiem krzyża. – Brałem! Brałem, ale brałem nasze, radzieckie! Meldowałem za pieniądze, nie przeczę, zdarzało się. I nasz sekretarz Proleźniew też jest dobry, też dobry! Prawdę mówiąc, w naszej administracji złodziej na złodzieju i złodziejem pogania... Ale waluty nie brałem!

Poproszony, żeby nie udawał durnia, tylko opowiedział, skąd się wzięły dolary w przewodzie wentylacyjnym, Bosa padł na kolana, zachwiał się i rozwarł usta, jak gdyby zamierzał połknąć klepki parkietu.

– Jeśli chcecie – beknął – ziemię będę jadł na dowód, że nie brałem! A Korowiow to diabeł!

Wszelka cierpliwość ma swoje granice, więc za biurkiem podniesiono głos dając Bosemu do zrozumienia, że pora już by zacząć mówić po ludzku.

Wówczas pokój, w którym stała owa kanapka, zadygotał od dzikiego wrzasku Nikanora Iwanowicza, który zerwał się z klęczek:

– To on! To on, tam, za szafą! O, jak zęby szczyrzy! I binokle te same... Łapcie go! Gdzie kropidło? Wyświęcić lokal!

Krew odpłynęła z twarzy Nikanora Iwanowicza. Dygocąc czynił w powietrzu znak krzyża, rzucał się ku drzwiom i znów zawracał, zaintonował jakąś modlitwę, a wreszcie zaczął mówić zupełnie od rzeczy.

Stało się oczywiste, że prezes komitetu blokowego nie nadaje się do żadnych rozmów. Wyprowadzono go, umieszczono w osobnym pokoju, gdzie nieco się uspokoił – modlił się tylko i łkał.

Ci, do których to należało, pojechali oczywiście na Sadową, zwiedzili mieszkanie numer pięćdziesiąt. Ale nie znaleźli tam żadnego Korowiowa, nikt z lokatorów kamienicy żadnego Korowiowa nie znał ani nie widział na oczy. Mieszkanie zajmowane przez nieboszczyka Berlioza oraz przez Lichodiejewa, który wyjechał był do Jałty, świeciło pustkami, w gabinecie spokojnie wisiały sobie na szafach nienaruszone pieczęcie łąkowe. Tyle wskórawszy wrócili z Sadowej i możemy tu dodać, że w drodze powrotnej towarzyszył im stropiony i przygnębiony sekretarz zarządu spółdzielni Proleźniew.

Wieczorem Bosego przywieziono do kliniki Strawińskiego. Zachowywał się tam tak niespokojnie, że trzeba mu było zrobić przepisany przez profesora zastrzyk i dopiero po północy Nikanor Iwanowicz zasnął w pokoju numer sto dziewiętnaście i tylko z rzadka wydawał ciężkie, umęczone pobekiwanie.

Ale jego niepokój udzielił się sto dwudziestce, której chory lokator wyrwany ze snu zaczął szukać swojej głowy, a także sto osiemnastce, w której nieznanymi mistrz zatrwożył się i z udręką załamał ręce patrząc na księżyc i wspominając ową gorzką, ostatnią w jego życiu noc jesienną, owo pasmo światła pod drzwiami w suterenie i tamte rozwiane włosy.

Ze sto osiemnastki niepokój dotarł przez balkon do Iwana – Iwan obudził się i zapłakał.

Ale lekarz szybko uspokoił całą strwożoną i cierpiącą trójkę – zaczęli zasypiać. Najpóźniej usnął Iwan, nad rzeką wstawał już świt. Po wypiciu lekarstwa, które przeпоiło całe ciało, ogarnęła go fala uspokojenia. Ciało jego stało się lekkie, jego głowę owiewał ciepły wietrzyk półsnu. Zasnął, a ostatnią rzeczą, którą jeszcze usłyszał na jawie, był świergot ptaków. W lesie w godzinie przedświtu. Ale ptaki wkrótce zamilkły i Iwanowi śniło się, że słońce już się zniża ponad Nagą Górą, a góra ta otoczona jest podwójnym łańcuchem straży...

16. Kaźń

Słońce już się zniżało ponad Nagą Górą, a góra ta otoczona była podwójnym łańcuchem straży. Owa ala jazdy, która około południa przecięła drogę procuratorowi, docwałowała do bramy Hebrońskiej. Przygotowano już dla niej przejście. Piechurzy z kohorty kapadocyjskiej odepchnęli na boki gromady ludzi, muły i wielbłądy i ala, wzbijając pod niebo białe słupy kurzu, dotarła cwałem do skrzyżowania dwu traktów – południowego, na Bettagium, i północno-zachodniego, wiodącego do Jafy. Ala pocwałowała drogą na północny zachód. Tu także kapadocyjczycy rozsypali się po obu stronach drogi i zawczasu spędzili z niej na boki wszystkie karawany zdążające na święto do Jeruzalaim. Tłumy pątników stały za kapadocyjczykami, porzucone przenośne pasiaste ich namioty rozbite były wprost na trawie. Po przebyciu mniej więcej kilometra ala wyprzedziła drugą kohortę legionu Błyskawic, przebyła jeszcze kilometr i pierwsza zbliżyła się do podnóża Nagiej Góry. Tu zsiadła z koni. Dowódca podzielił ale na drużyny i drużyny te ze wszystkich stron otoczyły podnóże niewysokiego wzgórza pozostawiając tylko jedno wolne przejście od strony drogi do Jafy.

Po pewnym czasie w ślad za alą dotarła do wzgórza druga kohorta, wspięła się nieco wyżej i opasała górę łańcuchem.

Wreszcie nadeszła centuria dowodzona przez Marka Szczurzą Śmierć. Szła rozciągnięta w dwa rzędy po obu stronach drogi, a między tymi dwoma rzędami konwojowani przez ludzi z tajnej służby jechali na wózku trzej skazańcy, każdy z nich miał na szyi białą deskę, a na deskach tych w dwóch językach – po aramejsku i po grecku – napisane było: “zbójca i wichrzyciel”.

Za wózkiem skazańców toczyły się inne wozy, wyładowane świeżo ociosanymi belkami zaopatrzonymi w poprzeczki, sznurami, łopatami, wiadrami i siekierami. Na wozach tych jechało sześciu oprawców. Za nimi, wierzchem, centurion Marek, przełożony służby świątynnej z Jeruzalaim oraz ów zakapturzony człowiek, z którym Piłat widział się przelotnie w zaciemnionym pokoju w pałacu.

Łańcuch żołnierzy zamykał tę procesję, a potem szło ze dwa tysiące gapiów, którzy nie zlekli się piekielnego upału i chcieli zobaczyć ciekawe widowisko. Do tych gapiów z miasta przyłączali się teraz ciekawi spośród pątników – nie czyniono im trudności, kiedy dołączali na koniec kolumny. Wśród przenikliwych okrzyków heroldów, którzy towarzyszyli kolumnie i krzyczeli to

samo, co około południa wykrzyczał Piłat, procesja weszła na Nagą Górę.

Ala przepuściła wszystkich między pierwszy i drugi kordon, a druga centuria pozwoliła przejść tym tylko, którzy niezbędni byli przy kaźni, po czym spiesznymi manewrami rozproszyła tłum wokół całego wzgórza tak, że ciżba znalazła się pomiędzy kordonem piechurów na górze a kordonem spiesznej jazdy na dole. Teraz wszyscy mogli przyglądać się kaźni spoza dość rzadkiego łańcucha pieszych żołnierzy.

Tak więc minęły już przeszło trzy godziny od chwili, kiedy procesja wspięła się na górę, i słońce już się zniżało ponad Nagą Górą, ale skwar był jeszcze nieznośny i udręczeni nim żołnierze w obu kordonach męczyli się, nudzili i w duchu przeklinali trzech zbójców, szczerze im życząc jak najrychlejszej śmierci. Maleńki dowódca ali miał mokre czoło, jego biała koszula pociemniała na plecach od potu, znajdował się u stóp wzgórza, tam gdzie pozostawiono wolne przejście na szczyt, co chwila podchodził do skórzanego wiadra, które było w pierwszym plutonie, złożonymi dłońmi czerpał zeń wodę, pił i zwilżał swój zawój. To sprawiało mu niejaką ulgę, odchodził i znowu zaczynał tam i z powrotem przemierzać pełną kurzu drogę wiodącą na szczyt. Jego długi miecz postukiwał o skórzany sznurowany but. Dowódca chciał dać swym podkomendnym przykład wytrzymałości, ale żał mu było żołnierzy, więc pozwolił im z wbitych w ziemię dzid wznieść piramidy i narzucić na nie białe płaszcze. Syryjczycy chronili się do tych szałasów uciekając przed bezlitosnym słońcem. Wiadro szybko pokazywało dno i żołnierze z różnych drużyn po kolei chodzili po wodą do niedalekiego wąwozu, gdzie w wątłym migotliwym cieniu mizernych drzew morwowych w tej piekielnej spiekocie dożywał swych dni z lekka zmętniały strumyk. Stali tutaj również znudzeni luzacy, trzymali otępiałe konie wędrując za przesuwanym się cieniem.

Znużenie żołnierzy i ich przekleństwa pod adresem zbójców były zrozumiałe. Obawy prokuratora przed zamieszkami, które mogłyby się były wydarzyć w zniechęconym przezeń mieście Jeruzalaim, były na szczęście nieuzasadnione. I kiedy zaczęła się czwarta godzina kaźni, wbrew wszelkim oczekiwaniom pomiędzy dwoma kordonami, między piechotą na górze a jazdą u stóp wzgórza, nie było już ani jednego człowieka. Słońce przepaliło tłum i popędziło go z powrotem do Jeruzalaim. Za łańcuchem dwu centurii rzymskich zostały tylko dwa nie wiedzieć czyje psy, które przybłąkały się na wzgórze. Ale i te, znużone upałem, położyły się, wywiesiły ozory, ciężko ziajały nie zwracając najmniejszej uwagi na zielonogrzbite jaszczurki, jedyne żywe stworzenia, które nie bały się słońca i śmigwały pomiędzy rozpalonymi kamieniami i jakimiś

wijącymi się po ziemi roślinami o wielkich kolcach.

Nikt nie próbował odbić skazanych ani w samym Jeruzalaim, gdzie pełno było wojska, ani tu, na otoczonym kordonami wzgórzu, a tłum wrócił do miasta, ponieważ doprawdy nie było w tej kaźni niczego interesującego, natomiast tam, w mieście, trwały już przygotowania do rozpoczynającego się wieczorem wielkiego święta Paschy.

Piechota rzymska w drugim kordonie cierpiała bardziej jeszcze niż Syryjczycy. Centurion Szczurza Śmierć pozwolił żołnierzom na to jedynie, by zdjęli hełmy i nakryli głowy białymi, zmoczonymi w wodzie chustami, żołnierze musieli jednak stać nie wypuszczając włóczni z rąk. On sam, z taką samą, nie zmoczoną jednak, lecz suchą chustą na głowie, przechadzał się nie opodal grupki oprawców nie zdjawszy nawet ze swej tuniki przypinanych srebrnych lwich pysków, nie odpiąwszy nagolenników, nie odpasawszy miecza ani krótkiego sztyletu. Słońce było wprost w centuriona, nie przyczyniając mu najmniejszej krzywdy, na lwie pyski zaś nie sposób było spojrzeć – palił oczy oślepiający blask srebra, które jak gdyby kipiało na słońcu.

Na pokiereszowanej twarzy Szczurzej Śmierci nie widać było ani znużenia, ani niezadowolenia i wydawało się, że olbrzymi centurion może tak chodzić przez cały dzień, przez całą noc i przez jeszcze jeden dzień, tak długo, słowem, jak długo będzie to potrzebne. Może chodzić ciągle tak samo, wsparłszy dłonie na ciężkim, nabijanym miedzianymi blachami pasie, nieodmiennie surowo spoglądając to na słupy z traconymi, to na legionistów w kordonie, nieodmiennie obojętnie odrzucając szpicem kosmatej skórni wybielone przez czas ludzkie kości albo małe kamienie, które znalazły się na jego drodze.

Zakapturzony człowiek zasiadł w pobliżu słupów na trójnożnym składanym stołku obozowym i siedział dobrodusznie nieruchomy, a niekiedy z nudów dłuwał kijaszkiem w piasku.

Powiedziane już zostało, że za łańcuchem legionistów nie było nikogo – niezupełnie odpowiada to prawdzie. Był tam pewien człowiek, ale po prostu nie wszyscy go widzieli. Ulokował się on nie z tej strony, z której pozostawiono przejście na górę i z której najwygodniej było przyglądać się kaźni, ale od strony północnej. Zbocze nie było tam łagodne i łatwe do podejścia, ale nierówne, pełne urwisk i rozpadlin – tam to w szczelinie, uczepliwszy się przekłętej przez niebo, wysuszonej jałowej ziemi, walczyło o życie chore drzewko figowe.

Właśnie pod tym nie dającym żadnego cienia drzewkiem ulokował się ów jedyny człowiek, który był widzem, a nie uczestnikiem kaźni, i siedział tam na kamieniu od samego początku, to znaczy czwartą już godzinę. Tak, wybrał nie najlepsze, lecz najgorsze stanowisko, by przyglądać

się kaźni. Ale także i stamtąd widać było słupy, widać było dwa połyskujące punkty na piersi centuriona za kordonem, a to najwyraźniej całkiem wystarczało człowiekowi, który najwidoczniej chciał pozostać nie zauważony i przez nikogo nie niepokojony.

Ale przed czterema godzinami, na początku kaźni, człowiek ten zachowywał się zupełnie inaczej; jak najbardziej mógł zostać dostrzeżony i właśnie w związku z tym zapewne teraz inaczej się zachowywał i odosobnił się tutaj.

Wtedy, skoro tylko procesja weszła za kordon, na sam szczyt wzgórza, człowiek ten pojawił się po raz pierwszy, był przy tym najwyraźniej spóźniony. Dyszał ciężko i nie wszedł, lecz wbiegł na wzgórze, przepychał się, a kiedy łańcuch zamknął się przed nim jak i przed wszystkimi innymi, udając, że nie rozumie gniewnych okrzyków, podjął naiwną próbę przedarcia się między żołnierzami aż na samo miejsce kaźni, tam gdzie skazanych ściągano już z wózka. Boleśnie uderzony w pierś drzewcem włóczni, krzyknął i odskoczył od żołnierzy, był to jednak okrzyk nie bólu, ale rozpacz. Legionistę, który go uderzył, obrzucił nie widzącym i zubożniałym na wszystko spojrzeniem człowieka, który nie czuje bólu fizycznego.

Trzymając się za pierś, kaszląc i tracąc oddech obiegnął wzgórze dokoła, próbując na północnym stoku znaleźć w łańcuchu jakąś lukę, przez którą można by się prześlizgnąć. Ale było już za późno, krąg się zamknął. Więc człowiek o wykrzywionej bólem twarzy musiał zaniechać prób przedarcia się ku wozom, z których wyładowano już belki. Próby takie doprowadziłyby tylko do tego, że zostałby schwytany, a owego dnia w żadnym razie nie mógł sobie na to pozwolić.

I oto człowiek ów odszedł na bok, ku rozpadlinie, gdzie było spokojniej i gdzie nikt mu nie przeszkadzał.

Teraz czarnobrody ów mężczyzna o ropiejących od blasku słońca i bezsenności oczach siedział na kamieniu i rozpaczał. To wzdychał – rozchyłając swój podniszczony w czasie długich wędrówek, niegdyś błękitny, teraz brudnoszary tallif i odsłaniając uderzoną drzewcem włóczni pierś, po której spływał brudny pot – to w nieznośnej męce wznosił oczy ku niebu i śledził trzy sępy, które już od dawna szybowały na wysokości zataczając wielkie kręgi, pewne niedalekiej uczy, to znów wbijał zagasłe spojrzenie w żółtą ziemię i widział na tej ziemi na wpół spróchniałą psią czaszkę i biegające wokół niej jaszczurki.

Męka owego człowieka była tak wielka, że chwilami rozmawiał sam ze sobą.

– O, cóż ze mnie za głupiec... – mruzczał kiwając się na kamieniu w strasznej udręce i drapiąc

paznokciami smagła pierś. – Głupiec, głupia baba, tchórz! Psem plugawym jestem, a nie człowiekiem!

Milkł, zwieszał głowę, a potem pił ciepłą wodę z drewnianej flaszki, znowu się ożywił i chwycił to za ukryty na piersiach pod tallifem nóż, to za kawałek pergaminu, który leżał przed nim na kamieniu obok trzcinki i kałamarza z tuszem.

Na pergaminie owym było już zapisane:

“Minuty płyną i ja, Mateusz Lewita, jestem na Nagiej Górze, a śmierć nie nadchodzi!”

Potem:

“Słońce schyla się ku zachodowi, a śmierć nie nadchodzi!”

Teraz Mateusz Lewita bez nadziei napisał ostrą trzcinką co następuje:

“Boże, czemuś obrócił na niego twój gniew?! Ześlij mu śmierć.”

Zapisawszy to załkał bez łez i znowu rozdrapał paznokciami pierś.

Powodem rozpaczki Lewity była ta straszliwa kieska, która spotkała Jezusę i jego samego, a także ów niewybaczalny błąd, który on, Mateusz Lewita, jak mniemał, popełnił. Przedwczoraj rano Jezua i Lewita byli w Bettagium pod Jeruzalaim, gdzie gościli u pewnego ogrodnika, któremu nadzwyczaj się spodobały prorocтва Jezui. Cały ranek obaj goście przepracowali w ogrodzie, pomagając gospodarzowi, a pod wieczór, kiedy się ochłodzi, zamierzali iść do Jeruzalaim. Ale Jezua, z niewiadomej przyczyny, zaczął się śpieszyć, powiedział, że ma w mieście pilną sprawę do załatwienia, i około południa odszedł samotnie. Na tym to właśnie poległ pierwszy błąd Mateusza Lewity. Czemu, och, czemu puścił go samego!

Wieczorem Mateusz nie poszedł do Jeruzalaim. Dopadła go jakaś nagła i dokuczliwa boleść. Trzęsło go, jego ciało wypełnił ogień, szczykał zębami i co chwila prosił o wodę.

Iść nigdzie nie mógł. Zwalił się na derę w szopie ogrodnika i przeleżał tam aż do piątkowego świtu, kiedy choroba minęła równie nieoczekiwanie, jak nadeszła. Chociaż był jeszcze słaby i choć nogi pod nim drżały, pożegnał się z gospodarzem i ruszył do Jeruzalaim, męczyło go bowiem przeczucie jakiegoś nieszczęścia. W Jeruzalaim dowiedział się, że przeczucie go nie zawiodło, że stało się nieszczęście. Lewita był w tłumie i słyszał ogłaszającego wyrok procuratora.

Kiedy poprowadzono skazańców na górę, Mateusz Lewita biegł obok szeregu żołnierzy w tłumie ciekawych, starając się jakoś niezauważalnie dać znać Jezui choćby tylko o tym, że on, Lewita, jest tu, obok niego, że nie porzucił go w tej ostatniej drodze i że modli się o to, by śmierć

zabrała Jezusę jak najszybciej. Ale Jezua patrzył w dal, tam, dokąd go wieziono i, oczywista, nie widział Mateusza.

I oto, kiedy procesja przeszła już drogą z pół wiorsty, popychanego w tłumie tuż obok szeregu żołnierzy Mateusza olśniła myśl prosta i genialna i natychmiast, zapalczywy jak zawsze, obrzucił siebie obelgami za to, że myśl ta nie przyszła mu do głowy wcześniej. Żołnierze nie szli zwartym szeregiem, były między nimi odstępy. Przy dużej zręczności i trafnym wyliczeniu można było skulić się, przeskoczyć między dwoma legionistami, dopaść wózka i wskoczyć nań. Wtedy Jezua będzie wybawiony od męczarni.

Wystarczy jedna chwila, by uderzyć Jezusę nożem w plecy i krzyknąć mu: “Jezua! Ocaliłem cię i odchodzę wraz z tobą! To ja, Mateusz, twój wierny i jedyny uczeń!”

A gdyby Bóg zechciał sprzyjać i zesłał jeszcze jedną chwilę wolności, to można byłoby zdążyć zabić i siebie samego, uniknąwszy w ten sposób śmierci na słupie. To zresztą mało już obchodziło Mateusza Lewitę, byłego poborcę podatkowego. Obojętne mu było, jak zginie. Chciał tylko jednego – by Jezua, który nigdy w życiu nie zrobił nikomu najmniejszej krzywdy, mógł uniknąć męki.

Plan był bardzo dobry, ale sęk w tym, że Lewita nie miał przy sobie noża. Nie miał także ani grosza.

Wścikły na siebie wy dostał się z tłumy i pobiegł z powrotem do miasta. W jego płonącej głowie dygotała tylko jedna gorączkowa myśl – jak natychmiast, w jakikolwiek sposób, zdobyć w mieście nóż i jak potem dopędzić procesję.

Dobiegł do miejskiej bramy, lawirując w natłoku wsysanych przez miasto karawan, i po lewej stronie zobaczył otwarte drzwi sklepika, w którym sprzedawano chleb. Dysząc ciężko, po biegu rozpaloną drogą, Lewita opanował się, statecznie wszedł do sklepika, dostojnie pozdrowił stojącą za ladą właścicielkę, poprosił ją, by zdjęła z półki leżący u samej góry bochen, który z niewiadomego powodu spodobał mu się bardziej niż inne, a kiedy ta się obróciła, w milczeniu szybko chwycił z lady coś, od czego nie mogło być nic lepszego – długi, wyostrzony jak brzytew nóż chlebowy, i natychmiast wybiegł ze sklepika.

W kilka minut później był znowu na drodze do Jafy. Ale procesji już nie było widać. Pobiegł. Niekiedy padał i łapiąc oddech leżał przez chwilę w bezruchu. Leżał tak, zadziwiając ludzi, którzy jechali na mułach i szli pieszo ku Jeruzalaim. Leżał, nasłuchiwał, jak jego serce łomocze nie tylko w piersiach, ale także pod czaszką i w uszach. Wychnąwszy nieco zrywał się i biegł

dalej, coraz wolniej jednak i wolniej. Kiedy wreszcie zobaczył w dali długą, wzbijającą kurz procesję, dochodziła już ona do stóp wzgórza.

– O, Boże!... – jęknął Lewita widząc, że nie zdąży. I nie zdążył.

Kiedy minęła czwarta godzina kaźni, udreka Lewity osiągnęła szczyt i Mateusz wpadł we wściekłość. Wstał z kamienia, cisnął na ziemię niepotrzebnie, jak teraz myślał, ukradziony nóż, rozdeptał flaszę pozbawiając się w ten sposób wody, zdarł z głowy kefi, chwycił się za swoje rzadkie włosy i zaczął sam siebie przeklinać.

Przeklinał siebie wykrzykując bezsensowne słowa, ryczał i pluł, znieważał swych rodziców za to, że wydali na świat głupca. Widząc, że klątwy i wyzwiska nie działają, że nic się nie zmienia na spalonym przez słońce wzgórzu, zacisnął wyschłe pięści, oczy, wznosił ramiona ku niebu, ku słońcu, które zniżało się, coraz bardziej wydłużając cienie, i odchodziło, aby zapaść w Morze Śródziemne, i zażądał od Boga natychmiastowego cudu. Domagał się, by Bóg niezwłocznie zesłał Jezui śmierć.

Otworzył oczy, przekonał się, że na wzgórzu wszystko pozostało, jak było, tyle tylko, że przygasty punkty płonące na piersiach centuriona. Słońce świeciło w grzbiety skazańców, których twarze skierowane były ku Jeruzalaim. Wtedy Lewita zawołał:

– Przeklinam ciebie, Boże!

Naderwanym głosem krzyczał, że przekonał się o niesprawiedliwości boskiej i nie ma zamiaru wierzyć Bogu dłużej.

– Jesteś głuchy! – ryczał Mateusz. – Gdybyś nie był głuchy, usłyszałbyś mnie i zabiłbyś go w tejże chwili!

Mrużąc oczy Lewita czekał na ogień, który spadnie z nieba i porazi go. Nic takiego się nie stało, więc Lewita z zaciśniętymi powiekami nadal wykrzykiwał uwłaczającą i szyderczą przemowę do niebios. Krzyczał, że jest najzupełniej zawiedziony, krzyczał także, że są jeszcze inni bogowie i inne religie. Tak. Inny bóg nie dopuściłby do tego, nigdy by nie dopuścił do tego, by takiego człowieka jak Jezua spalało na słupie słońce.

– Byłem w błędzie! – krzyczał zupełnie zachrypnięty Lewita. – Ty jesteś Bogiem zła! A może twoje oczy całkiem już przesłonił dym z ofiarnych ołtarzy świątyni, a twoje uszy nie słyszą już niczego prócz dźwięku trąb kapłanów? Nie jesteś wszechmogący! Jesteś Bogiem nieprawości! Przeklinam cię, Boże łotrów, opiekunie zbójców, natchnienie zbrodniarzy!

Wtedy coś wionęło w twarz byłego poborcy, coś zaszeleściło u jego stóp. Powiało raz jeszcze

i Lewita otworzył oczy i zobaczył, że czy to pod wpływem jego klątw, czy też z jakiegoś innego powodu cały świat się zmienił. Słońce zniknęło nie doszedłszy do morza, w którym tonęło co wieczora. Pochłonęła je groźna i nieodparta chmura burzowa nadciągająca niebem od zachodu. Na jej krawędziach kipiała już biała piana, czarny i dymny jej brzuch przeświecał żółto. Chmura warczała i od czasu do czasu wysypywały się z niej ogniste nici. Przez drogę do Jafy i przez nędzną dolinę Gehinom nad namiotami wiernych przetaczały się wzbite nagłym uderzeniem wiatru słupy kurzu.

Lewita zamilkł, zastanawiał się, czy burza, która zwali się za chwilę na Jeruzalaim, odmieni cokolwiek w losach nieszczęsnego Jezui. I natychmiast, patrząc na nici ognia przekrawające chmury, zaczął prosić o to, by grom uderzył w słup Jezui. Patrząc ze skruchą w czyste, nie pochłonięte jeszcze przez chmurę niebo, w którym sępy kładły się na skrzydło, aby uciec przed burzą, Lewita pomyślał, że nierozumnie pospieszył się ze swymi klątwami – teraz Bóg go nie wysłucha.

Spojrząwszy na podnóże góry Lewita wpatrzył się w miejsce, gdzie stał rozsypany oddział jazdy i zobaczył, że zaszły tam znaczne zmiany. Patrząc z góry, widział jak na dłoni bieganinę żołnierzy wyciągających dzidy z ziemi i narzucających na ramiona płaszcze, widział luzaków, którzy cwałowali ku drodze prowadząc za cugle kare wierzchowce. Jazda odchodziła, to było oczywiste. Lewita osłaniał się ramieniem przed bijącym w twarz kurzem, s pluwał i starał się wyobrazić sobie, co też to może znaczyć, że konnica zamierza odejść. Spojrzał wyżej i zobaczył wspinającą się ku miejscu straceń postać w purpurowej mundurowej chlamidzie. Wtedy były poborca poczuł chłód w sercu, przeczuł bowiem coś radosnego.

Tym, który w piątej godzinie męczarni zbójców wspinał się na szczyt, był dowódca kohorty – wraz z ordynansem przygalopował z Jeruzalaim. Na skinienie Szczurzej Śmierci rozstąpił się łańcuch żołnierzy i centurion oddał honory trybunowi. Ten odprowadził Szczurzą Śmierć na bok i coś mu szepnął. Centurion zasalutował po raz drugi i poszedł w kierunku grupki oprawców, którzy rozsiedli się na kamieniach u podnóża słupów. Trybun zaś skierował swoje kroki ku temu, który siedział na trójnożnym stołku, a siedzący powstał uprzejmie na jego powitanie. Jemu również trybun coś cicho powiedział, po czym obaj poszli w stronę słupów. Przyłączył się do nich przełożony służby świątynnej.

Szczurza Śmierć spojrział z obrzydzeniem na brudne szmaty leżące na ziemi koło słupów, łachmany, które do niedawna stanowiły odzież przestępców, a którymi wzgardzili oprawcy,

odwołał dwu oprawców i rzucił im rozkaz:

– Za mną!

Od najbliższego słupa dobiegała ochrypla bezsensowna piosenka. Muchy i słońce sprawiły, że wiszący na nim Gestas pod koniec trzeciej godziny kaźni zwariował, a teraz śpiewał cicho coś o winoroślach, a okręcona zawojem głowa kiwała mu się z rzadka, a wtedy muchy leniwie podrywały się z jego twarzy, by niebawem powrócić.

Dismos na drugim słupie cierpiał bardziej niż dwaj pozostali, ponieważ nie tracił przytomności i często, miarowo rzucał głową to w lewo, to w prawo, tak by uchem uderzać o ramię.

Jeszua miał więcej szczęścia niż tamci dwaj. Już w pierwszej godzinie popadał w omdlenie, a potem stracił przytomność, zwiesił głowę w zawoju, który się rozwinął. Przeto muchy i ślepaki zupełnie go oblepiły, tak że twarz jego znikła pod rojącą się czarną masą. W pachwinie, na brzuchu i pod pachami zasiadły tłuste ślepaki i ssały żółte obnażone ciało.

Jeden z oprawców posłuszny skinieniom człowieka w kapturze wziął włócznię, a drugi przyniósł pod słup wiadro i gąbkę. Pierwszy z nich wzniosł włócznię i postukał nią po wyciągniętych i przywiązanych sznurami do poprzecznej belki rękach Jezui, najpierw po jednej, potem po drugiej. Ciało, na którym wystąpiły wszystkie żebra, drgnęło. Oprawca powiódł końcem włóczni po brzuchu. Wówczas Jeszua podniósł głowę, muchy poderwały się z brzęczeniem, odsłoniła się zapuchnięta od ich ugryzień twarz powieszzonego, twarz o obrzękłych powiekach, twarz nie do poznania.

Ha–Nocri rozkleił powieki i popatrzył na dół. Jego oczy, jasne zazwyczaj, były teraz zmętniałe.

– Ha–Nocri! – powiedział oprawca.

Ha–Nocri poruszył opuchniętymi wargami i odezwał się ochryłym głosem zbójcy:

– Czego chcesz? Po coś do mnie podszedł?

– Pij! – powiedział oprawca – i nasycona wodą gąbka zatknięta na ostrzu włóczni wzniosła się ku wargom Jezui. W oczach skazańca rozbłysła radość, przypadł do gąbki i chciwie zaczął wysysać wilgoć. Od sąsiedniego słupa dał się słyszeć głos Dismosa:

– Niesprawiedliwość! Jestem takim samym zbójcą jak on!

Dismos wyprężył się, ale nie zdołał się poruszyć, jego ręce w trzech miejscach przywiązane były do poprzecznej belki pierścieniami powrozów. Wciągnął brzuch, wpił się paznokciami w

końce belki, głowę miał zwróconą w stronę słupa Jezui, w oczach Dismosa płonęła wściekłość.

Chmura kurzu okryła szczyt wzgórza, zrobiło się znacznie ciemniej. Kiedy kurz się uniosł, centurion krzyknął:

– Milczeć tam na drugim słupie!

Dismos zamilkł. Jezua oderwał się od gąbki i starając się, by jego głos zabrzmiał łagodnie i przekonywająco, co mu się nie udało, poprosił oprawcę ochryple:

– Pozwól mu się napić!

Robiło się coraz mroczniej. Chmura sunąc ku Jeruzalaim zalała już połowę nieba, kipiela białych obłoków poprzedzała tamtą, pełną czarnej wody i ognia chmurę. Błysnęło, grom uderzył nad samym wzgórzem. Oprawca zdjął gąbkę z ostrza włóczni.

– Sław wielkodusznego hegemon! – szepnął uroczyście i lekkim ruchem dźgnął Jezue w serce. Ów drgnął, szepnął:

– Hegemon...

Krew pociekła mu po brzuchu, dolna szczeka zadrżała nerwowo, głowa opadła.

Kiedy uderzył drugi piorun, oprawca poił już Dismosa i z tymiż słowami:

– Sław hegemon! – zabił i jego także.

Gestas, który postradał zmysły, krzyknął z przerażenia, skoro tylko ujrzał koło siebie oprawcę, ale kiedy gąbka dotknęła jego warg, zaryczał i wbił w nią zęby. W kilka sekund później i jego ciało zwisło, na ile pozwalały na to sznury.

Człowiek w kapturze szedł w ślad za oprawcą i centurionem, za nim podążał przełożony służby świątynnej. Stanąwszy przy pierwszym słupie człowiek w kapturze uważnie przyjrzał się zakrwawionemu Jezui, trącił białą dłonią jego stopę i powiedział do tych, którzy mu towarzyszyli:

– Nie żyje.

To samo powtórzyło się również przy dwu pozostałych słupach.

Następnie trybun dał znak centurionowi, zawrócił i zaczął schodzić ze szczytu wraz z dowódcą straży świątynnej i człowiekiem w kapturze. Zapadł półmrok, błyskawice bruździły czarne niebo. Nagle bryznął z niego ogień i krzyk centuriona: “Zwijać kordon!” – zagłuszył grzmot. Szczęśliwi żołnierze zbiegali ze wzgórza wkładając hełmy w biegu.

Ciemność okryła Jeruzalaim.

Ulewa lunęła nagle, zastała centurie w połowie zbocza. Woda runęła tak straszliwa, że gdy

żołnierze zbiegali na dół, już pędziły za nimi w pogoń rozpasane strumienie. Żołnierze ślizgali się i przewracali na rozmięklej glinie śpiesząc ku równej drodze, którą – ledwie już widoczna za przesłoną wody – odjeżdżała do Jeruzalaim przemoczona do suchej nitki konnica. Po kilku minutach w dymnej kipieli burzy, wody i ognia na wzgórzu pozostał jeden tylko człowiek.

Potrząsając nie na darmo ukradzionym nożem, osuwając się z oślizgłych uskoków, czepiając się, czego się dało, niekiedy pełznąć na kolanach wspinał się ku słupom. To zniknął w nieprzeniknionej mgle, to nagle oświecił go migotliwy błysk.

Dotarłszy do słupów, już po kostki w wodzie, zdarł z siebie ciężki teraz, bo przemoczony tallif, pozostał w samej koszuli i przypadł do nóg Jezui. Przeciął sznury na goleniach, wspiął się na dolną belkę poprzeczną, objął Jezue i wyzwolił jego ramiona z górnych pęt. Nagie mokre ciało Jezui zwały się na Mateusza i przewróciło go na ziemię. Lewita chciał je natychmiast zarzucić sobie na ramię, ale pomyślał o czymś i to go powstrzymało. Pozostawił w wodzie na ziemi ciało z odrzuconą do tyłu głową i rozrzuconymi ramionami i pobiegł do pozostałych słupów, nogi rozjeżdżały mu się w gliniastej mazi. Przeciął więzy także na tamtych słupach i jeszcze dwa ciała zwały się na ziemię.

Minęło kilka minut i na wierzchołku wzgórza zostały tylko te dwa ciała i trzy puste słupy. Woda lała się z nieba i przekręcała te ciała.

Ani Lewity, ani ciała Jezui na szczycie wzgórza wówczas już nie było.

17. Niespokojny dzień

W piątek rano, to znaczy nazajutrz po przekłętym seansie, cały personel Varietes – główny księgowy Wasilij Stiepanowicz Łastoczkin, dwóch innych księgowych, trzy maszynistki, obie kasjerki, gońcy, bileterzy i sprzątaczkę – słowem wszyscy, którzy znajdowali się w teatrze, nie pracowali, lecz siedząc na parapetach wychodzących na Sadową okien przyglądali się temu, co się dzieje pod murem Varietes. Pod murem tym ustawiała się w dwóch rzędach wielotysięczna kolejka, której koniec znajdował się na placu Kudrińskim. W początku tej kolejki stało ze dwudziestu dobrze znanych w teatralnej Moskwie koników.

Kolejka była bardzo wzburzona, zwracała na siebie uwagę obywateli przechodniów i zajmowała się roztrząsaniem pasjonujących opowieści o wczorajszym niebywałym seansie czarnej magii. Opowieści te niezmiernie zdetonowały głównego księgowego Wasilija Stiepanowicza, który wczoraj nie był na spektaklu. Bileterzy opowiadali niestworzone rzeczy. Opowiadali między innymi, że po zakończeniu niezwykłego seansu niektóre obywatelki biegały po ulicy nieprzyzwoicie porozbierane, i różne inne historie w tym guście.

Skromny i spokojny Łastoczkin słuchając gadaniny o wszystkich tych cudach mrugał tylko oczyma i zupełnie nie wiedział, co ma począć, a powinien był coś zrobić, właśnie on, a nie kto inny, ponieważ był teraz najstarszy stanowiskiem wśród personelu Varietes.

O dziesiątej rano złaźniona biletów kolejka tak napęczniała, że wieść o niej dotarła do milicji i z zadziwiającą szybkością zostały przysłane patrole, zarówno piesze, jak konne, które zaprowadziły w kolejce niejaki porządek. Jednak długi na kilometr ogonek sam przez się był rzeczą ogromnie gorszą i wprawiał w osłupienie przechodniów na Sadowej, nawet kiedy stał spokojnie.

Wszystko to działo się na zewnątrz, wewnątrz zaś budynku Varietes również panował nieopisany rozgardiasz. Od wczesnego rana w gabinecie Lichodiejewa, w gabinecie Rimskiego, w księgowości, w kasie i w gabinecie Warionuchy rozzwoniły się telefony i dzwoniły już bez ustanku. Najpierw Łastoczkin coś odpowiadał, odpowiadała także kasjerka, coś tam mamrotali do słuchawek bileterzy, a potem w ogóle wszyscy przestali podnosić słuchawki, doprawdy bowiem nie mieli co odpowiadać na pytania, gdzie jest Lichodiejew, Warionucha, Rimski. Próbowali z początku spławiać rozmówcę mówiąc: “Lichodiejew jest w domu”, ale wtedy po

tamtej stronie słuchawki mówiono, że do domu już dzwonili i że w domu twierdzą; że Lichodiejew jest w Varietes.

Zadzwoiła wzburzona dama domagająca się rozmowy z Rimskim, poradzono jej, żeby zadzwoniła do jego żony, na co słuchawka odrzekła wśród szlochu, że ona właśnie jest żoną Rimskiego i że Rimskiego nigdzie nie ma. Działo się coś niepojętego. Sprzątaczką zdążyła już opowiedzieć wszystkim, że kiedy przyszła do gabinetu dyrektora finansowego, żeby posprzątać, zobaczyła drzwi otwarte na oścież, pałace się lampy, wybite szyby w oknie wychodzącym na ogród, na podłodze sponiewierany fotel, ale nikogo w gabinecie nie było.

O jedenastej wdarła się do Varietes madame Rimska. Szlochała i załamywała ręce. Główny księgowy zupełnie stracił głowę i nie wiedział, co ma jej poradzić. A o wpół do jedenastej zjawiła się milicja. Jej pierwsze pytanie, zupełnie zresztą słuszne, brzmiało:

– Co się tu u was dzieje, obywatele? O co chodzi?

Personel podał tyły, na placu pozostał blady, zdenerwowany Wasilij Stiepanowicz. Trzeba było wreszcie zacząć nazywać rzeczy po imieniu i przyznać, że administracja Varietes w osobach dyrektora, dyrektora finansowego i administratora zaginęła i nie wiadomo, gdzie się znajduje, że konferansjera po wczorajszym seansie odwieziono do szpitala psychiatrycznego i że, krótko mówiąc, ten wczorajszy spektakl był po prostu skandaliczny.

Uspokoiwszy, na ile się dało, szlochającą madame Rimską wyprawiono do domu i zainteresowano się przede wszystkim opowieścią sprzątaczką o tym, w jakim to stanie zastała ona gabinet dyrektora finansowego. Poproszono pracowników, aby zechcieli powrócić do swoich zajęć, a w budynku Varietes zjawiły się niebawem organa śledcze, którym towarzyszył jasnopopielaty, spiczastouchy, muskularny pies o zdumiewająco mądrych ślepiach. Pracownicy Varietes od razu zaczęli szeptać po kątach, że ten pies to niezrównany Askaro we własnej osobie. I tak też było. Poczynania psa wprawiły wszystkich w podziw. Askaro, skoro tylko wbiegł do gabinetu dyrektora finansowego, warknął, wyszczerzył potworne żółtawe kły, przywarował i, z jakimś smutkiem, a zarazem wściekłością w ślepiach, poczołgał się w kierunku rozbitego okna. Nagle, przewyciężając strach, zerwał się, wskoczył na parapet i dziko, złowrogo zawył zadzierając ku górze swój spiczasty pysk. Nie dawał się spędzić z parapetu, warczał, wzdrygał się i usiłował wyskoczyć przez okno.

Wyprawiono psa z gabinetu, zaprowadzono go do westybulu, stamtąd przez drzwi frontowe wbiegł na ulicę i przyprowadził idących za nim na postój taksówek. Na postoju zgubił ślad,

którym dotąd szedł. W związku z czym Askara odwieziono.

Organa śledcze ulokowały się w gabinecie Warionuchy, tam też po kolei zaczęły wzywać tych wszystkich pracowników Varietes, którzy byli świadkami wczorajszych zajęć na seansie. Trzeba tu dodać, że śledztwo na każdym kroku musiało przewyżczać nieprzewidziane trudności. Nic co chwila rwała się w ręku.

Afiszę na przykład... Były? Były. Ale w nocy zaklejono je nowymi i teraz nie ma ani jednego, choć się powieś! Skąd się wziął ten cały mag? A kto go tam wie. Zapewne jednak zawarto z nim jakąś umowę?

– Pewnie zawarto – odpowiadał przejęty główny księgowy.

– Wiec skoro ją zawarto, to musiała przejść przez księgowość?

– Bez wątpienia – odpowiadał zdenerwowany Wasilij Stiepanowicz.

– Więc gdzież ona jest?

– Nie ma – blednąc coraz bardziej i rozkładając ręce odpowiadał księgowy.

I rzeczywiście, ani w skoroszytach księgowości, ani u dyrektora finansowego, ani u Lichodiejewa, ani u Warionuchy nie było nawet śladu umowy.

Jak brzmi nazwisko tego maga? Łastoczkin nie wie, nie było go wczoraj na seansie. Bileterzy nie wiedzą, kasjerka z kasy biletowej marszczyła czoło, marszczyła, medytowała, wreszcie powiedziała:

– Wo... Zdaje się – Woland...

A może nie Woland? Może i nie Woland. Może Faland.

Stwierdzono, że w biurze turystyki zagranicznej o żadnym Wolandzie ani też Falandzie, magu, w ogóle nie słyszano.

Goniec Karpow zeznał, jakoby ten mag miał się zatrzymać u Lichodiejewa w domu. Oczywiście, pojechano tam natychmiast, ale żadnego maga tam nie było. Nie było również Lichodiejewa. Nie były także służącej Gruni i nikt nie wiedział, gdzie się podziała. Nikanora Iwanowicza, przewodniczącego zarządu, nie ma. Proleźniewa też nie ma!

Słowem – jakaś historia nie z tej ziemi: zniknęło całe kierownictwo administracji teatru, wczoraj odbył się straszny, skandaliczny seans, a kto go przeprowadził i z czyjej inicjatywy – nie wiadomo.

Tymczasem zbliżało się południe, a o dwunastej powinno się otworzyć kasę. Ale o tym, oczywiście, nawet mowy być nie mogło! Na drzwiach Varietes zaraz wywieszono wielki arkusz

kartonu z napisem: "Odwołuje się dzisiejszy spektakl". W kolejce, poczynając od jej czoła, zapanowało podniecenie, ale podenerwowawszy się trochę ogonek zaczął się jednak z wolna rozchodzić i mniej więcej po godzinie na Sadowej nie było po nim ani śladu. Organa śledcze opuściły Varietes, aby kontynuować swoje prace w innym miejscu, pracowników zwolniono do domów zatrzymując tylko dyżurnych i Varietes zamknęło swe podwoje.

Księgowy Łastoczkin miał przed sobą dwa niecierpiące zwłoki zadania. Po pierwsze – pojechać do Komisji Nadzoru Widowisk i Rozrywek Lżejszego Gatunku i złożyć raport o wczorajszych zajęciach, a po drugie – wpaść do wydziału finansowo-widowiskowego, żeby wpłacić wczorajsze wpływy z kasy – dwadzieścia jeden tysięcy siedemset jedenaście rubli.

Pedantyczny i obowiązkowy Wasilij Stiepanowicz opakował pieniądze w gazetę, przewiązał paczkę szpagatem, włożył ją do teczki i, świetnie znając instrukcję, poszedł oczywiście nie do autobusu ani nie do tramwaju, tylko na postój taksówek.

Skoro tylko kierowcy trzech taksówek zobaczyli zmierzającego w kierunku postoju pasażera z wypchaną teczką, natychmiast pustymi taksówkami odjechali mu sprzed nosa, nie wiedząc czemu oglądając się przy tym z wściekłością.

Zdumiony tym księgowy przez dłuższą chwilę stał w osłupieniu, nie mogąc dociec, co też by to miało znaczyć.

Po trzech minutach podjechała pusta taksówka, kierowca skrzywił się na widok pasażera.

– Wolny? – zapytał Łastoczkin odkaszlnąwszy ze zdumieniem.

– Pokaż pan pieniądze – nie patrząc na pasażera ze złością odpowiedział kierowca.

Coraz bardziej oszołomiony księgowy ścisnął pod pachą drogocenną teczkę, wyciągnął z portfela czerwonońca i pokazał go szoferowi.

– Nie pojedę! – krótko oświadczył kierowca.

– Przepraszam bardzo... – zaczął księgowy, ale kierowca przerwał mu:

– Trójek pan nie ma?

Zupełnie już zbity z tropu księgowy wyjął z portfela dwa trzyrublowe banknoty i pokazał je kierowcy.

– Wsiadaj pan! – krzyknął taksówkarz i tak trzepnął w chorągiewkę taksometru, że o mało jej nie złamał. – Jedziemy.

– Zabrakło panu drobnych? – nieśmiało zapytał księgowy.

– Drobnych pełna kieszeń! – zaryczał szofer i w lusterku ukazały się jego przekrwione oczy.

– Już trzeci raz dziś mi się to zdarza. Innym też się zdarzało. Daje taki sukinsyn czerwonońca, ja mu cztery pięćdziesiąt reszty. Wysiada, łobuz. Za pięć minut patrzę – zamiast czerwonońca etykieta z butelki mineralnej! – W tym miejscu kierowca wypowiedział kilka nie nadających się do druku uwag. – Drugi jechał na Zubowski. Czerwoniec. Daję trzy ruble reszty. Wsiadł. Sięgam do portmonetki, a tam – pszczoła. W palec mnie rąbnęła! Ach, ty!... – Szofer znów wmontował nie nadające się do druku wyrazy. – A czerwonońca nie ma. Wczoraj w tym Varietes (nie do druku) jakiś cholerny magik odstawił numer z czerwonońcami (słowa nie do druku)...

Księgowy oniemiał, nastroszył się, zrobił taką minę jakby nawet samą nazwę “Varietes” słyszał po raz pierwszy w życiu, i pomyślał sobie: “Patrzcie, patrzcie...”

Przyjechawszy, gdzie należy, i szczęśliwie zapłaciwszy za kurs, księgowy wszedł do budynku, ruszył korytarzem w stronę gabinetu kierownika i już po drodze zorientował się, że przychodzi nie w porę. W kancelarii komisji widowisk panowało zamieszanie. Przebiegła koło księgowego gończym z wybałuszonymi oczyma, w chusteczce zsuniętej na tył głowy.

– Nie ma, nie ma, nie ma! Nie ma, kochani! – krzyczała nie wiadomo do kogo. – Marynarka jest i spodnie są, ale w marynarce nic nie ma!

Zniknęła w jakichś drzwiach, zza których zaraz dobiegły brzęki tłuczonych naczyń. Z sekretariatu wybiegł znajomy buchaltera, kierownik pierwszego wydziału komisji, ale był w takim stanie, że nie poznał księgowego, i zaraz znikł gdzieś bez śladu.

Wstrząśnięty tym wszystkim Łastoczkin wszedł do sekretariatu, przez który wchodziło się do gabinetu przewodniczącego komisji, i tu popadł w ostateczne przerażenie.

Zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegał gromki głos, niewątpliwie należący do Prochora Piotrowicza, przewodniczącego. “Ruga kogoś czy co?” – pomyślał stropiony buchalter, obejrzał się i zobaczył taki obrazek – w skórzanym fotelu, odrzuciwszy głowę na oparcie, szlochając niepowstrzymanie leżała z mokrą chusteczką w dłoni, wyciągnąwszy nogi prawie na środek pokoju, sekretarka osobista przewodniczącego, piękna Anna Ryszardowna.

Anna Ryszardowna całą brodę miała umazaną a po jej brzoskwiniowych policzkach spływały z rzęs czarne strugi rozwodnionego tuszu. Widząc, że ktoś wszedł, Anna Ryszardowna zerwała się, rzuciła się do księgowego, chwyciła go za klapy i zaczęła nim potrząsać wołając jednocześnie:

– Chwała Bogu, znalazł się przynajmniej jeden odważny! Wszyscy pouciekali, wszyscy zdradzili! Chodźmy, chodźmy do niego, ja już nie wiem, co robić! – I, nadal szlochając,

pociągnęła księgowego do gabinetu.

Wszedłszy tam Wasilij Stiepanowicz przede wszystkim upuścił teczkę, a wszystkie myśli w jego głowie stanęły dęba. Trzeba przyznać, że powody były dostateczne.

Za ogromnym biurkiem, na którym stał masywny kałamarz, siedział pusty garnitur i nie umoczoną w atramencie piórem wodził po papierze. Garnitur był w krawacie, z butonierki sterczało mu wieczne pióro, ale ponad kołnierzykiem nie było ani szyi, ani głowy, z mankietów nie wychylały się dłonie. Ubranie pogrążone było w pracy i w ogóle nie zauważało panującego wokół zamętu. Słyszając, że ktoś wszedł, odchyliło się w fotelu i sponad kołnierzyka rozbrzmiał dobrze księgowemu znany głos Prochora Piotrowicza:

– O co chodzi? Przecież na drzwiach jest napisane, że nie przyjmuję.

Piękna sekretarka wrzasnęła i załamując dłonie zawołała:

– Widzi pan? Widzi pan? Nie ma go! Nie ma! Oddajcie go, oddajcie!

Ktoś właśnie stanął w drzwiach gabinetu, jęknął i wybiegł. Księgowy poczuł, że ugięły się pod nim nogi, i przysiadł na brzeжку krzesła, nie zapominając wszakże o podniesieniu teczki. Urodziwa sekretarka skakała wokół buchaltera, szarpała go za marynarkę i wołała:

– Ja zawsze, zawsze go ostrzegałam, kiedy się pieklił! No i dopieklił się! – Ślicznotka podbiegła do biurka i tkliwym, melodyjnym głosem, trochę przez nos, bo była zapłakana, zawołała:

– Proszę! Gdzie jesteś?

– Kto tu dla pani jest “Proszę”? – jeszcze głębiej zapadając w fotel wyniosłe zasięgnął informacji garnitur.

– Nie poznaje! Mnie nie poznaje! Coś takiego!... – załkała sekretarka.

– Proszę nie szlochać w moim gabinecie! – gniewnie powiedział zapalczywy garnitur w prążki i rękawem przyciągnął do siebie kolejny plik papierów, najwyraźniej zamierzając napisać na każdym z nich swoją decyzję.

– Nie, nie mogę na to patrzeć, nie, nie mogę! – krzyknęła Anna Ryszardowna i wybiegła do sekretariatu, a za nią jak z procy wypadł księgowy.

– Siedzę, niech pan sobie wyobrazi – opowiadała sekretarka znowu wczepiając się w rękaw księgowego – a tu wchodzi kot. Czarny, wielki jak hipopotam. Ja, oczywiście, krzyczę na niego: “A psik!” Uciekł, a zamiast niego wchodzi tłusciuch, też ma jakiś taki koci pysk, i powiada: “Co to, obywatelko, krzyczycie “a psik!” na interesantów?” – iż miejsca szast do Prochora

Piotrowicza. Ja, oczywiście, za nim, krzyczę: “Czy pan zwariował?” A on jak ostatni cham – prosto do Prochora Piotrowicza i siada w fotelu, naprzeciwko niego. No, i... Prochor Piotrowicz to dusza człowiek, ale nerwowy. Uniósł się, to prawda. Nerwy ma stargane, haruje jak wół – no, cóż, wybuchnął: “Co to za wchodzenie bez zameldowania?” A ten bezczelny typ, niech pan sobie wyobrazi, rozwalil się w fotelu i mówi z uśmiechem: “Przyszedłem, powiada, obgadać interes”. Prochor Piotrowicz znowu się uniósł: “Jestem zajęty”. A ten, niech pan sobie wyobrazi, na to: “Nieprawda, wcale pan nie jest zajęty”... Co? Wtedy, oczywiście, skończyła się cierpliwość Prochora Piotrowicza, wrzasnął: “Co to ma znaczyć? Wyrzucić go stąd natychmiast, niech mnie diabli porwą!” A ten, niech pan sobie wyobrazi, uśmiechnął się i powiada: “Niech diabli porwą? To się da zrobić!” I – trach! Nie zdążyłam nawet krzyknąć, patrzę, nie ma tego z kocim pyskiem, i sie... siedzi... garnitur... Eeeee! – zawyła rozwarłszy usta, które zupełnie już zatraciły jakikolwiek kontur.

Zakrztusiła się szlochem, nabrała tchu i bluznęła zupełnie już od rzeczy:

– I pisze, pisze, pisze! Zwariować można! Rozmawia przez telefon! Garnitur! Wszyscy pouciekali jak zające!

Buchalter stał i dygotał. Ale los przyszedł mu z pomocą. Spokojnym, rzeczowym krokiem wchodziła do sekretariatu milicja w sile dwóch funkcjonariuszy. Na ich widok ślicznotka jęła szlochać jeszcze gorliwiej, dłonią zaś wskazywała drzwi gabinetu.

– Wiecie co, obywatelko, przestańcie szlochać – spokojnie powiedział jeden z milicjantów, księgowy zaś czując, że jego obecność jest tutaj najzupełniej zbyteczna, wyskoczył z sekretariatu i po minucie był już na świeżym powietrzu. W głowie miał przeciąg, huczało w niej jak w kominie, a w tym huku można było usłyszeć strzępki bileterskich opowieści o wczorajszym kocie, który uczestniczył w seansie. “Ehe! Czy to aby nie będzie nasze kociątko?”

Nic nie wskórawszy w komisji Łastoczkin postanowił udać się do jej oddziału, który mieścił się w zaułku Wagańkowskim, i żeby trochę się uspokoić, drogę do oddziału odbył piechotą.

Miejski zarząd widowisk, filia komisji, mieścił się w nadgryzionej zębem czasu willi w głębi podwórza i wyróżniał się porfirowymi kolumnami w westybulu. Nie owe kolumny wszakże, ale to, co się wśród nich działo, robiło owego dnia niesamowite wrażenie na interesantach.

Kilku zagapionych petentów stało i patrzyło na płaczącą panienkę, która siedziała przy stoliku zawalonym specjalistycznymi dziełkami o tematyce widowiskowej. W tej chwili panienka ta nikogo nie zachęcała do nabywania tej literatury, na współczujące zaś pytania machała tylko

ręką, podczas gdy z góry, z dołu i z boków, ze wszystkich stron urywały się dzwonki co najmniej dwudziestu zachłystujących się telefonów.

Popłakawszy sobie nieco sprzedawczynie nagle drgnęła, krzyknęła histerycznie:

– O, znowu!

I nieoczekiwanie zaśpiewała drżącym dyszkantem:

Morze przesławne, Bajkale ty nasz!...

Na schodach zjawił się goniec, pogroził komuś pięścią i głuchym, bezbarwnym barytonem ciągnął W duecie z dziewczyną:

Łajbo dziurawa, płyn burzy na przekór!...

Do głosu gońca przyłączyły się dalsze głosy, chór rozrastał się, aż wreszcie pieśń zagrzmiała we wszystkich pomieszczeniach oddziału. W najbliższym pokoju, pod szóstką, gdzie mieściła się rachuba, dominował czyjś potężny, zachrypnięty basso profundo.

Żagle podarte wciągnijcie na maszt!... – darł się goniec na schodach.

Łzy płynęły dziewczynie po twarzy, próbowała zacisnąć zęby, ale usta same się jej otwierały i śpiewała o oktawę wyżej niż goniec:

Już niedaleko do brzegu...

Oniemiałych interesantów oddziału zadziwiło to, że chórzyci rozsiani przecież po różnych zakątkach budynku, śpiewali zadziwiająco zgodnie, zupełnie jak gdyby cały chór stał i wpatrywał się w niewidzialnego dyrygenta.

Przechodnie na Wagańkowskim zatrzymywali się koło sztachet ogrodzenia, dziwiła ich panująca w oddziale wesołość.

Skoro tylko odśpiewano pierwszą zwrotkę, śpiew urwał się nagle, jakby na skinienie dyrygenta. Goniec zaklął cicho i uciekł.

Wtedy otworzyły się drzwi frontowe i stanął w nich obywatel w letnim płaszczu, spod którego wyzierał biały fartuch. Towarzyszył mu milicjant.

– Błagam pana, doktorze, niech pan coś zrobi! – histerycznie krzyknęła dziewczyna.

Sekretarz oddziału wybiegł na schody i najwyraźniej zapłoniony ze wstydu, zażenowany, zacinając się zaczął mówić:

– Widzi pan, doktorze, zdarzył się tu przypadek jakiejś masowej hipnozy i trzeba koniecznie... – Nie dokończył zdania, zaczął się krztusić własnymi słowami i nagle zaśpiewał tenorem:

Szyłka i Nerczyńsk nie straszne nam dziś...

– Dureń – krzyknęła dziewczyna, ale nie wyjaśniła, kogo za durnia uważa, tylko wykonała wysiloną ruladę i sama również zaśpiewała o Szyłce i Nerczyńsku.

– Proszę się wziąć w garść! Proszę przestać śpiewać! – zwrócił się do sekretarza doktor.

Wszystko wskazywało na to, że sekretarz sam wiele by dał za to, żeby przestać śpiewać, ale właśnie nie mógł przestać i wraz z całym chórem zakomunikował przechodniom w zaułku, że w “górach nie pożarł żarłoczny go zwierz i kule strażników chybiły”.

Skoro tylko zwrotka dobiegła końca, dziewczyna pierwsza otrzymała od lekarza swoją porcję waleriany, po czym doktor popędził za sekretarzem do innych, żeby ich również napoić.

– Przepraszam, obywatelko – zwrócił się nagle do dziewczyny Łastoczkin. – Czy nie odwiedził was czarny kot?

– Jaki znów kot! – gniewnie zawołała dziewczyna. – Osioł siedzi w naszej filii, osioł! – i dodała: – No to co, że usłyszysz, wszystko zaraz opowiem! – I rzeczywiście opowiedziała, co zaszło.

Okazało się, że kierownik oddziału miejskiego, który (zdaniem dziewczyny) “ostatecznie rozłożył rozrywki lżejszego gatunku”, miał manię organizowania najrozmaitszych kółek.

– Mydlił oczy kierownictwu! – darła się dziewczyna.

W ciągu roku kierownik zdołał zorganizować kółko miłośników Lermontowa, kółko szachowo-warcabowe, kółko ping-ponga i kółko jazdy konnej. Odgrzązał się, że do lata zorganizuje jeszcze kółko słodkowodnych wiosłarzy oraz kółko alpinistów. I oto dzisiaj, w czasie przerwy obiadowej kierownik wchodzi...

– ...i prowadzi pod rękę jakiegoś sukinsyna – opowiadała dziewczynę – którego nie wiadomo skąd wytrzasnął, w kraciastych spodenkach, w pękniętych binoklach i... morda zupełnie nie do przyjęcia!...

Dziewczyna opowiedziała, że kierownik z miejsca przedstawił gościa wszystkim, którzy akurat byli na obiedzie w stołówce, jako wybitnego specjalistę w dziedzinie organizowania chórów amatorskich.

Twarze niedoszłych alpinistów posmutniały, ale kierownik zaraz zaapelował do wszystkich, by nie upadali na duchu, specjalista zaś żartował, dowcipkował i uroczyście zapewnił, iż śpiew zajmuje bardzo niewiele czasu, natomiast pożytków ze śpiewania płynących jest, mówiąc między nami, cała fura.

I oczywiście – opowiadała dziewczyna – Fanow i Kosarczuk, znane w całym oddziale lizusy,

wyrwali się pierwsi i zgłosili się do chóru. Wtedy i reszta pracowników zrozumiała, że śpiewu nie da się uniknąć, i też zapisała się do kółka. Śpiewać postanowiono w czasie przerw obiadowych, ponieważ resztę czasu zajmował Lermontow i warcaby. Kierownik, chcąc świecić przykładem, oświadczył, że dysponuje tenorem, a dalej wszystko potoczyło się jak w koszmarnym śnie. Kraciasty specjalista–dyrygent rozwrzeszczał się:

– Do–mi–sol–do! – Powyciągał co bardziej nieśmiałych zza szaf, za którymi usiłowali się ukryć przed śpiewaniem, u Kosarczuka doszukał się absolutnego słuchu, postękiwał i kwilił, prosił, by uszanować w nim starego cerkiewnego regenta i solistę, stukał kamertonem o palec, błagał, by zaintonować “Morze przesławne...”.

Więc zagrzmiała pieśń. Nawet ładnie im to wyszło. Kraciasty rzeczywiście znał się na rzeczy. Prześpiewali pierwszą zwrotkę. Wtedy były dyrygent cerkiewny przeprosił, powiedział: “Ja tylko na minutkę...” – i zniknął. Myśleli, że naprawdę wróci po minucie. Ale minęło dziesięć minut, a jego jak nie ma, tak nie ma. Pracowników oddziału ogarnęła radość – uciekł!

Ale nagle jakoś tak odruchowo zaśpiewali drugą zwrotkę. Zaczął Kosarczuk, który w gruncie rzeczy nie miał może absolutnego słuchu, ale dysponował dość miłym wysokim tenorem. Prześpiewali. Dyrygenta jak nie ma, tak nie ma! Rozeszli się do swoich zajęć, ale nikt nie zdążył nawet usiąść, kiedy – mimo woli – zaśpiewali znowu. Próbowali przestać – guzik! Ze trzy minuty posiedzą cicho i znowu zaczynają! Posiedzą cicho – i znów. Połapali się wreszcie, że nieszczęście. Kierownik ze wstydu zamknął się w swoim gabinecie!

W tym momencie opowieść dziewczoi została przerwana – Waleriana nic nie pomogła.

W kwadrans później za sztachety na Wagańkowskim wjechały trzy ciężarówki. Załadował się na nie cały personel oddziału z kierownikiem na czele.

Skoro tylko pierwsza ciężarówka podskoczywszy w bramie wjechała w zaułek, stojący w skrzyni wozu i trzymający się wzajem za ramiona pracownicy otworzyli usta i w całym zaułku rozległa się popularna pieśń. Podjęła ją druga ciężarówka, za nią trzecia. Z tą pieśnią odjechali. Spieszący do swoich spraw przechodnie tylko pobieżnie rzucali okiem na ciężarówki i bynajmniej się nie dziwili, sądzili bowiem, że to wycieczka wyjeżdża za miasto. A oni rzeczywiście jechali za miasto, tyle że nie na wycieczkę, ale do kliniki profesora Strawińskiego.

W pół godziny później księgowy, który zupełnie stracił głowę, dotarł w końcu do wydziału finansowego z nadzieją, że pozbędzie się wreszcie państwowych pieniędzy. Nauczony doświadczeniem przede wszystkim zajrzał ostrożnie do długiej sali, w której za matowymi

szybami ze złożonymi napisami siedzieli urzędnicy. Nie zauważył żadnych oznak paniki ani skandalu. Panował spokój, jak przystało na szanujący się urząd.

Łastoczkin wsunął głowę w okienko, nad którym widniał napis “Przyjmowanie wpłat”, przywitał jakiegoś nie znanego sobie urzędnika i uprzejmie poprosił o blankiet wpłaty.

– Po co to panu? – zapytał urzędnik w okienku.

Buchalter zdumiał się.

– Chcę wpłacić pieniądze. Jestem z Varietes.

– Chwileczkę – odparł urzędnik i błyskawicznie zastawił siatką otwór w szybie.

“Dziwne!”... – pomyślał księgowy. Miał powody do zdziwienia. Coś takiego spotykało go po raz pierwszy w życiu. Każdy wie, jak trudno jest podjąć pieniądze, wtedy zawsze mogą się wyłonić jakieś trudności. Ale księgowemu w jego trzydziestoletniej praktyce ani razu nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś, wszystko jedno czy to osoba prywatna, czy prawna, stwarzał kłopoty, kiedy mu się daje pieniądze.

Ale siateczka odsunęła się wreszcie i buchalter znowu przywarł do okienka.

– Dużo pan tego ma? – zapytał urzędnik.

– Dwadzieścia jeden tysięcy siedemset jedenaście rubli.

– Ho–ho! – Nie wiedzieć czemu ironicznie odparł urzędnik i podał księgowemu zielony arkusik.

Buchalter wprawnie wypełnił dobrze sobie znany blankiet i zaczął rozwiązywać sznurek na paczce.

Kiedy rozpakował swój bagaż, pociemniało mu w oczach, zaskowyczał boleśnie.

Zawirowały mu przed oczyma zagraniczne banknoty – były tam paczki kanadyjskich dolarów, angielskich funtów szterlingów, holenderskich guldenów, łotewskich łatów, koron estońskich...

– To jeden z tych sztukmistrzów z Varietes! – rozległ się nad oniemiałym księgowym groźny głos. I Wasilij Stiepanowicz natychmiast został aresztowany.

18. Pechowi goście

Kiedy pedantyczny buchalter mknął taksówką, aby u celu swej podróży zobaczyć urzędujący garnitur, z wagonu numer dziewięć pierwszej klasy (z miejscówkami) kijowskiego pociągu, który właśnie przyjechał do Moskwy, wysiadł wraz z innymi dostojnie wyglądający pasażer z fibrową walizeczką w ręku. Pasażerem tym był wujek nieboszczyka Berlioza we własnej osobie, Maksymilian Andriejewicz Popławski, ekonomista–planista, mieszkający w Kijowie, na byłej ulicy Instytuckiej. Przyczyną przyjazdu Popławskiego do Moskwy była otrzymana przezeń przedwczoraj wieczorem depesza następującej treści:

“przed chwilą na patriarszych przejechał mnie tramwaj pogrzeb piątek godzina trzecia przyjeżdżaj berlioz”.

Popławski był uważany – i słusznie – za jednego z najmądrzejszych ludzi w Kijowie. Ale nawet najmądrzejszy człowiek otrzymawszy tego rodzaju depeszę znalazłby się w kropce. Skoro ktoś telegrafuje, że został przejechany, to chyba jasne, że nie został przejechany na śmierć. Ale w takim razie, dlaczego mowa o pogrzebie? Może jest w tak ciężkim stanie, że przewiduje nieuniknioną śmierć? To oczywiście jest możliwe, ale nawet wtedy co najmniej dziwne jest to dokładne oznaczenie terminu – skąd Berlioz może wiedzieć, że pochowają go akurat w piątek i to akurat o trzeciej? Zdumiewająca depesza!

Jednakże mądrzy ludzie w tym właśnie celu mają rozum, żeby się nim posługiwać w podobnie skomplikowanych przypadkach. Wszystko jest proste. Skutkiem niedopatrzenia treść depeszy została zniekształcona. Słowo “mnie” niewątpliwie trafiło do niej z innego telegramu zamiast słowa “Berlioza”, a to z kolei zamieniono na “Berlioz” i przesunięto na koniec depeszy. Z taką poprawką sens depeszy stawał się jasny, chociaż naturalnie tragiczny.

Kiedy osłabła rozpacz, której wybuch zdumiał małżonkę Popławskiego, wujek Berlioza niezwłocznie zaczął się zbierać do wyjazdu.

Musimy tu ujawnić pewną tajemnicę wuja Maksymiliana. Bez wątpienia przykro mu było, że siostrzeniec żony poległ w kwiecie wieku. Jako człowiek trzeźwy rozumiał jednak, że jego obecność na pogrzebie Berlioza nie jest konieczna. Niemniej wuj Maksymilian bardzo się spieszył do Moskwy. O co więc chodziło? Chodziło o mieszkanie. Mieszkanie w Moskwie – to nie byle co! Nie wiadomo dlaczego, Kijów nie podobał się Popławskiemu, i myśl o tym, żeby

przenieść się do Moskwy, nękała go ostatnimi czasy tak uparcie, że zaczął źle sypiać po nocach.

Nie cieszyły go wiosenne rozlewiska Dniepru, kiedy wody zatapiając łąchy na niskim brzegu zlewały się z horyzontem. Nie cieszył go z niczym nieporównywalny przepiękny widok, jaki roztaczał się u podnóża pomnika kniazia Włodzimierza. Nie sprawiały mu radości słoneczne plamy tańczące wiosną na wyłożonych cegłą alejkach Włodimirskiej Górki. Chciał tylko jednego – przenieść się do Moskwy.

Ogłoszenia w gazetach o zamianie mieszkania na Instytuckiej na mniejsze w Moskwie nie dawały rezultatu. Chętnych nie było, a jeśli nawet z rzadka się pojawiali, to ich propozycje były niesolidne i podejrzone.

Depesza wstrząsnęła Popławskim. Taką okazję grzech byłoby pominąć. Rozsądni ludzie wiedzą, że taka okazja się nie powtarza.

Jednym słowem, nie bacząc na trudności należało odziedziczyć mieszkanie siostrzeńca na Sadowej. Tak, było to przedsięwzięcie trudne, nawet bardzo trudne, ale trudności te należało za wszelką cenę przezwyciężyć. Doświadczony wuj Maksymilian wiedział, że pierwszym krokiem do tego celu powinno być następujące posunięcie – należało zameldować się przynajmniej na pobyt czasowy w trzech pokojach zmarłego krewniaka.

Tak więc w piątek wuj Maksymilian wszedł do lokalu, w którym mieściła się administracja domu numer 302–A na ulicy Sadowej w Moskwie.

W wąskim pokoju, w którym na ścianie wisiał plakat w obrazowej formie pouczający, jak należy ratować życie tonących w rzece, przy stole siedział w całkowitym osamotnieniu nieogolony człowiek w średnim wieku, a w jego oczach czaił się strach.

– Czy mogę się widzieć z prezesem spółdzielni? – uprzejmie poinformował się ekonomista–planista uchylając kapelusza i stawiając walizeczkę na wolnym krześle.

To najzwyczajniejsze wydawałoby się pytanie nie wiedzieć czemu tak wytrąciło siedzącego z równowagi, że aż zmienił się na twarzy. Zezując ze strachu niewyraźnie wymamrotał, że prezesa nie ma.

– A może jest u siebie w mieszkaniu? – zapytał Popławski. – Mam do niego wyjątkowo pilną sprawę.

Siedzący znów bardzo niejasno powiedział coś, z czego wszakże można było zrozumieć, że w mieszkaniu prezesa również nie ma.

– A kiedy będzie?

Na to pytanie siedzący przy stole w ogóle nie odpowiedział, tylko z udręką popatrzył w okno.

– Aha!... – mruknął do siebie mądry Popławski i zapytał o sekretarza.

Dziwny człowiek przy stole aż zaczerwienił się z wysiłku i znowu powiedział niewyraźnie, że sekretarza także brak... że nie wiadomo kiedy przyjdzie i że... sekretarz jest chory...

– Aha!... – mruknął znów do siebie Popławski. – Ale przecież ktoś musi być w zarządzie?

– Ja jestem – słabym głosem odparł nieogolony.

– Widzi pan – stanowczo zaczął Popławski – jestem jedynym spadkobiercą mego zmarłego siostrzeńca Berlioza, którego, jak panu wiadomo, przejechał na Patriarszych Prudach tramwaj, i prawo zobowiązuje mnie do objęcia spadku znajdującego się w naszym mieszkaniu...

– O niczym nie wiem... – smętnie przerwał Popławskiemu nieogolony.

– Bardzo przepraszam – dźwięcznym głosem powiedział Popławski – pan jest członkiem zarządu i jest pan zobowiązany...

W tym momencie do pokoju wszedł jakiś obywatel. Siedzący na jego widok zbladł.

– Członek zarządu Piatnażko? – zapytał siedzącego przybyły.

– Tak jest – ledwie dosłyszalnie odpowiedział Piatnażko.

Przybysz szepnął coś siedzącemu, kompletnie załamany Piatnażko wstał z krzesła i za chwilę Popławski został sam w pustym pokoju zarządu.

“A to komplikacja! Trzeba było trafu, że ich wszystkich od razu...” – myślał niezadowolony Popławski idąc przez asfaltowe podwórko do mieszkania numer pięćdziesiąt.

Skoro tylko ekonomista-planista zadzwonił co drzwi, otworzono mu i wszedł do mrocznego przedpokoju. Zdziwiła go nieco okoliczność, że nie wiadomo było, kto mu właściwie otworzył – w przedpokoju nie było nikogo poza siedzącym na krześle olbrzymim czarnym kotem.

Popławski odkaszlnął, poszurał nogami, a wówczas otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł do przedpokoju Korowiow. Wuj Maksymilian skłonił się uprzejmie acz z godnością i powiedział:

– Moje nazwisko Popławski. Jestem wujkiem...

Ale nie zdążył skończyć, kiedy Korowiow wyszarpnął z kieszeni brudną chustkę, wtulił w nią nos i zapłakał.

– ...nieboszczyka Berlioza...

– A jakże, a jakże! – przerwał mu Korowiow odejmując chustkę od twarzy. – Jak tylko na pana spojrzałem, od razu domyśliłem się, że to pan! – przy tych słowach zatrzęsł się od szlochów i zaczął wykrzykiwać:

– Cóż za nieszczęście, nieprawdaż? Co to się na tym świecie wyprawia!

– Tramwaj? – szeptem zapytał Popławski.

– Na amen! – krzyknął Korowiow i potoki łez popłynęły mu spod binokli. – Na amen! Widziałem na własne oczy! Może mi pan wierzyć – raz – i leci głowa! Prawa noga – chrust, i na pół! Lewa – chrust, i na pół! Oto do czego doprowadziły te tramwaje! – i nie mogąc się najwidoczniej opanować wstrząsany łkaniem Korowiow wparł nos w ścianę obok lustra.

Wujaszek Berlioza był szczerze wzruszony zachowaniem nieznajomego. „A mówią, że w naszych czasach nikt się już niczym nie przejmuje!” – pomyślał Popławski czując, że jemu samemu również zbiera się na płacz. Ale jednocześnie nieprzyjemna chmurka osnuła mu duszę i natychmiast przez głowę prześlizgnęła się jak żmijka myśl – czy też ten tak serdeczny człowiek nie zameldował się już aby w mieszkaniu nieboszczyka? Zdarzały się podobne wypadki...

– Przepraszam, czy pan był przyjacielem mego niezapomnianego Miszy? – zapytał Popławski ocierając rękawem lewe suche oko, prawym zaś obserwując zrozpaczonego Korowiowa. Ale ten tak się rozszlochał, że z jego słów nie sposób było nic zrozumieć, oprócz “chrust i na pół!” Napłakawszy się do woli Korowiow odkleił się wreszcie od ściany i powiedział:

– Nie, nie mogę już dłużej! Pójdę i zażyję trzysta kropeł waleriany na eterze... – tu zwrócił w stronę Popławskiego kompletnie zalaną łzami twarz i dodał: – Ach, te tramwaje!

– Przepraszam, czy to pan do mnie depeszował? – zapytał wuj Maksymilian zachodząc w głowę, kim też może być ten zdumiewająco płaczliwy facet.

– On depeszował – odpowiedział Korowiow wskazując palcem na kota.

Popławski wytrzeszczył oczy sądząc, że się przesłyszał.

– Nie, siły mnie już opuszczają, tracę zmysły – pociągając nosem mówił dalej Korowiow – jak tylko sobie przypomnę: noga pod kołem... takie koło waży z dziesięć pudów... Chrust!... Pójdę, położę się, może sen mi ześle zapomnienie. – I momentalnie zniknął z przedpokoju.

Kot zaś poruszył się, zeskoczył z krzesła, stanął na tylnych łapach, podparł się pod boki, otworzył paszczę i powiedział:

– No, więc to ja wysłałem depeszę. I co dalej?

Popławskiemu zawirowało w głowie, stracił władzę w rękach i nogach, wypuścił z ręki walizkę i opadł na krzesło naprzeciw kota.

– Zdaje się, że zapytałem wyraźnie i po rosyjsku – surowo powiedział kot: – Co dalej? Ale Popławski nie udzielił żadnej odpowiedzi.

– Dowód osobisty! – wrzasnął kot wyciągając puchatą łapę.

Niczego nie pojmując i nie widząc niczego, prócz dwu iskier płonących w kocich ślepiach, Popławski wyrwał z kieszeni dowód osobisty niczym sztylet z pochwy. Kot wziął ze stolika pod lustrem okulary w grubej czarnej oprawie, włożył je na mordę, co sprawiło, że wyglądał jeszcze godniej, po czym wyjął dowód z drżącej dłoni Popławskiego.

“Ciekawe – zemdleje czy nie?...” – pomyślał Popławski. Z oddali dobiegało pochlipywanie Korowiowa, przedpokój wypełnił zapach waleriany, eteru i jeszcze jakiegoś mdlącego paskudztwa.

– Który komisariat wydał ten dowód? – zapytał kot wpatrując się w otwarty dokument. Odpowiedź nie nastąpiła.

– Czteryśta dwunasty – powiedział kot sam do siebie, przesuając łapą po trzymanym do góry nogami dowodzie. – No, tak, oczywiście! Znam ten komisariat, tam wydają dowody, komu popadło. A ja bym, na przykład, nie wydał dowodu takiemu jak pan. Za nic bym nie wydał! Tylko raz bym spojrział na pańską twarz i momentalnie bym odmówił! – kot tak się rozgniewał, że cisnął dowodem o podłogę. – Pańska obecność na pogrzebie zostaje odwołana – oficjalnym głosem mówił dalej kot. – Będzie pan łaskaw powrócić do miejsca stałego zamieszkania – i wrzasnął w drzwi – Asasello!

Na to wezwanie do przedpokoju wbiegł niski kulawiec w obcisłym czarnym trykocie, z nożem za pasem, rudy, z złotym kłem, z bielmem na lewym oku.

Popławski poczuł, że brak mu powietrza, wstał z krzesła i trzymając rękę na sercu zaczął się cofać.

– Asasello, wyprowadź pana! – polecił kot i wyszedł z przedpokoju.

– Popławski – cicho i przez nos powiedział rudy – mam nadzieję, że już wszystko jest jasne?

Popławski kiwnął głową.

– Natychmiast wracaj do Kijowa – mówił dalej Asasello – siedź tam cicho jak mysz pod miotłą i niech ci się nawet nie śni o żadnych mieszkaniach w Moskwie. Jasne?

Ten niski, który swoim kłem, nożem i białym okiem wprawiał Popławskiego w śmiertelne przerażenie, sięgał ekonomicznie zaledwie do pasa, ale działał energicznie, sprawnie i w sposób zorganizowany.

Przede wszystkim podniósł dowód osobisty i podał go Maksymilianowi Andriejewiczowi, który przyjął dokument zamarłą ręką. Następnie ten, którego nazwano Asasellem, jedną ręką

wziął walizkę, drugą otworzył drzwi, ujął pod ramię wujaszka Berlioza i wyprowadził go na schody. Popławski oparł się o ścianę. Asasello zaś bez żadnego klucza otworzył walizkę, wyjął z niej zawiniętą w przetłuszczoną gazetę olbrzymią pieczoną kurę bez jednej nogi i ułożył ją na podłodze. Następnie wyjął dwie zmiany bielizny, pasek służący do ostrzenia brzytwy, jakąś książkę, jakiś futerał i wszystko to – oprócz kury – strącił nogą w czeluść klatki schodowej. W ślad za tym poleciała opróżniona walizka. Słychać było, jak wylądowała na dole – sądząc po odgłosie, który stamtąd dobiegł, odleciało od niej wieko.

Następnie rudy opryszek ujął kurę za udko i całym ptakiem tak mocno i tak straszliwie uderzył Popławskiego na płask w ucho, że tułów kury oderwał się, udko zaś pozostało w dłoni Asasella. “W domu Obłońskich zapanował kompletny zamęt” – jak to sprawiedliwie zdefiniował znakomity pisarz Lew Tołstoj. Z pewnością nie inaczej wyraziłby się i w tym przypadku. W głowie Popławskiego zapanował właśnie kompletny zamęt. Najpierw przebiegła mu przed oczyma długa iskra, potem jej miejsce zajął jakiś żalobny wąż, który na moment przyćmił majowy dzień, i Popławski zleciał ze schodów trzymając w rękach swój dowód osobisty.

Dotarłszy do półpiętra wybił nogą szybę i usiadł na stopniu. Pędząca w podskokach beznoga kura wyprzedziła go i spadła na parter. Asasello, który pozostał na górze, w mig ogryzł kurzą nogę, kość wsadził do bocznej kieszonki trykotu, zawrócił do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi.

Tymczasem na dole rozległy się ostrożne kroki wchodzącego na górę człowieka.

Popławski zbiegł jeszcze pół piętra w dół i, aby nabrać tchu, usiadł na drewnianej ławce na podeście. Jakiś malutki, niemłody już człowieczek o niezwykle smutnej twarzy, w staromodnym garniturze z czesuczy, w słomkowym kapeluszu z zieloną wstążką, idąc na górę zatrzymał się obok Popławskiego.

– Najmocniej przepraszam – smutno zapytał człowieczek w czesuczy – gdzie tu będzie mieszkanie numer pięćdziesiąt?

– Wyżej – krótko odparł Popławski.

– Najuprzejmiej dziękuję, obywatelu – równie smutno powiedział człowieczek i poszedł na górę. Popławski zaś wstał i zbiegł na dół.

Mógłby ktoś zapytać, czy to aby nie na milicję spieszył wuj Maksymilian chcąc poskarżyć się na rozbójników, którzy w biały dzień obeszlą się z nim tak bezceremonialnie? Nie, skądże, bynajmniej, to można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość. Pójść na milicję i powiedzieć, że

oto, kochani moi, przed chwilą kot w okularach studiował mój dowód osobisty, a potem facet w trykocie i z nożem... – o, nie, obywatele, wuj Maksymilian był naprawdę mądrym człowiekiem.

Był już na dole, kiedy tuż obok drzwi wejściowych zobaczył, drzwi jakiejś komórki. Szyba w tych drzwiach była wybita. Popławski schował dowód osobisty do kieszeni i rozejrzał się w nadziei, że zobaczy wyrzucone rzeczy. Ale nie było po nich nawet śladu. Popławski nawet sam się zdziwił, jak mało go to obeszło. Opanowała go teraz interesująca myśl – zobaczyć, co się stanie z tym człowieczkiem, i w ten sposób raz jeszcze sprawdzić, co się dzieje w owym przeklętym mieszkaniu. Bo istotnie, jeżeli tamten pytał o mieszkanie numer pięćdziesiąt, to znaczy, że wybierał się tam po raz pierwszy. A zatem zmierzał teraz wprost w łapy szajki, która rozgościła się pod pięćdziesiątką. Coś podpowiadało Popławskimu, że człowieczek ów bardzo szybko opuści to mieszkanie. Na żaden pogrzeb żadnego siostrzeńca Maksymilian Andriejewicz oczywiście już się nie wybierał, a do kijowskiego pociągu miał jeszcze sporo czasu. Ekonomista rozejrzał się i dał nura do komórki.

Właśnie wtedy na górze stuknęły drzwi. „To tamten wszedł...” – pomyślał Popławski i serce mu zamarło. W komórce było chłodno, śmierdziało myszami i obuwiem. Wuj Maksymilian usiadł na jakimś pieńku i postanowił, że zaczeka. Pozycja była wygodna, z komórki było widać wyjściowe drzwi klatki schodowej numer sześć.

Oczekiwanie trwało jednak dłużej, niż przypuszczał ekonomista. Przez cały ten czas na klatce schodowej, nie wiedzieć czemu, nie było żywego ducha. Słyszał każdy dźwięk. Wreszcie na czwartym piętrze stuknęły drzwi. Popławski zamarł. Tak, to jego kroczi. „Schodzi...” Otworzyły się drzwi piętro niżej. Kroczi ucichły. Kobięcy głos. Głos smutnego człowieczka, tak, to jego głos... Powiedział coś w rodzaju: “Odczep się, na miłość boską...” Ucho Popławskiego sterczało w rozbitej szybie. Dobiegł do tego ucha kobiety śmiech. Żwawe, szybkie kroki kogoś, kto schodzi. Mignęły kobiece plecy. Kobieta z zieloną ceratową torbą wyszła z klatki schodowej na podwórko. Znowu słyszał kroki tamtego człowieczka. “Dziwne! Wraca do mieszkania? Może też należy do gangu? Tak, wraca. Znowu otworzyły się drzwi na górze. No cóż, poczekajmy jeszcze chwilę...”

Ale niedługo trzeba było czekać. Trzasnęły drzwi. Kroczi. Kroki umilkły. Rozpaczliwy krzyk. Miauczenie kota. Szybkie, drobniutkie kroczi na dół, na dół, na dół!

Popławski doczekał się. Żegnając się znakiem krzyża i mamrocząc coś pod nosem przemknął obok niego ów smutny człowieczek w zupełnie mokrych spodniach, bez kapelusza, z obłędem w

oczach i ze śladami pazurów na łysinie. Szarpnął klamkę drzwi wejściowych, był tak przerażony, że nie mógł się zorientować, jak też się one otwierają – na zewnątrz czy do środka. Wreszcie pokonał je i wyskoczył na dwór, na słońce.

Mieszkanie zostało sprawdzone. Nie myśląc dłużej ani o zmarłym siostrzeńcu, ani o mieszkaniu, wzdrygając się na samą myśl o niebezpieczeństwie, na które się naraził, wuj Maksymilian szepcząc tylko dwa słowa: “Wszystko jasne, wszystko jasne!” wybiegł na podwórze. W parę minut później trolejbus unosił ekonomistę–planistę w kierunku dworca Kijowskiego.

Tymczasem, kiedy ekonomista siedział w komórce na dole, małemu człowieczkowi przydarzyła się wyjątkowo nieprzyjemna historia. Człowieczek ten był bufetowym w Varietes i nazywał się Andrzej Fokicz Soków. Dopóki w Varietes trwało śledztwo, Andrzej Fokicz trzymał się na uboczu i zauważono tylko, że był jeszcze smutniejszy niż zwykle, zauważono także, że wypytywał gońca Karpowa o adres maga.

A więc bufetowy, minąwszy na schodach ekonomistę, wszedł na czwarte piętro i zadzwonił do mieszkania numer pięćdziesiąt.

Otworzono mu natychmiast, ale Andrzej Fokicz wzdrygnął się, cofnął i nie od razu wszedł do środka. Było to zrozumiałe. Otworzyła drzwi dziewczyna, która nie miała na sobie nic oprócz kokieteryjnego koronkowego fartuszka i białego czepeczka. Gwoli prawdy dodać tu trzeba, że na nogach miała złote pantofelki. Dziewczyna zbudowana była bez zarzutu, a za jedyny defekt jej urody można było uznać purpurową bliznę na szyi.

– No, cóż, skoro pan dzwonił, to niech pan wchodzi – powiedziała dziewczyna wlepiając w bufetowego rozpustne zielone oczy.

Andrzej Fokicz jęknął, zamrugał oczami, zdjął kapelusz i wszedł do przedpokoju. W tejże chwili zadzwonił w przedpokoju telefon. Bezwstydną pokojówką oparła nogę na krześle, podniosła słuchawkę i powiedziała:

– Halo!

Bufetowy nie wiedział, gdzie ma oczy podziąć, przestępował z nogi na nogę i myślał: “Patrzcie no, jaką pokojówkę ma ten cudzoziemiec! Tfu, co za ohyda!” I odwrócił oczy, aby nie oglądać tych obrzydliwości.

Wielki, mroczny przedpokój był całkowicie zavalony dziwnymi przedmiotami i ubiorami. Z oparcia krzesła zwisał na przykład czarny płaszcz na płomieniście czerwonej podszewce, na stoliku przed lustrem leżała długa szpada o lśniącej rękojeści ze złota. Trzy szpady o srebrnych

rękojeściach stały w szaragach, zupełnie jakby to były jakieś parasole czy laski. Zaś na jelenich rogach wisały berety z orlimi piórami.

– Tak – mówiła do słuchawki pokojówka. – Kto? Baron Meigel? Słucham pana. Tak. Pan artysta będzie dziś w domu. Tak, będzie mu bardzo miło powitać pana. Tak, goście... Frak albo czarny żakiet. Co? O dwunastej w nocy. – Pokojówka skończyła rozmowę, odłożyła słuchawkę i zwróciła się do bufetowego: – Czym mogę panu służyć?

– Muszę się koniecznie zobaczyć z obywatelem artystą.

– Tak? Koniecznie właśnie z nim?

– Z nim osobiście – smutnie odpowiedział bufetowy.

– Zapytam – powiedziała z widocznym wahaniem pokojówka, uchyliła drzwi do gabinetu nieboszczyka Berlioza i zameldowała: – Rycerzu, przybył tu jakiś malutki człowieczek, który mówi, że musi się zobaczyć z messerem.

– A niech wejdzie – dobiegł z gabinetu skrzekliwy głos Korowiowa.

– Proszę wejść do salonu – powiedziała dziewczyna tak zwyczajnie, jak gdyby była ubrana po ludzku, uchyliła drzwi do salonu, sama zaś wyszła z przedpokoju.

Kiedy bufetowy wszedł tam, dokąd go zaproszono, zapomniał nawet o sprawie, z którą przyszedł, tak bardzo zadziwiło go urządzenie pokoju. Przez witrażowe szyby wielkich okien (kaprys zaginionej bez śladu wdowy po jubilerze) wpadało niezwykle, jakby cerkiewne, światło. Mimo że dzień był ciepły i wiosenny, w wielkim staroświeckim kominku płonęły polana. Ale w pokoju bynajmniej nie było gorąco, przeciwnie, owionęła wchodzącego jakaś piwniczna wilgoć. Na tygryziej skórze przed kominkiem, dobrodusznie mrużąc oczy w blasku ognia, siedział czarny kot. Był tu także stół, na widok którego bogobojny bufetowy wzdrygnął się – stół nakryto cerkiewnym złotogłowiem. Na obrusie ze złotogłowiu stało mnóstwo pękających, omszałych, zakurzonych butelek. Pomiędzy butelkami lśniło naczynie, od razu było widać, że naczynie to jest ze szczerego złota. Przed kominkiem niski, rudy, z nożem za pasem przypiekał na długiej stalowej szpadzie kawałki mięsa, krople soku spadały w ogień i dym buchał w przewód kominowy. Pachniało nie tylko pieczenią, ale również jakimiś wyjątkowo mocnymi perfumami i kadzidłem, na skutek czego bufetowemu, który wiedział już z gazet o śmierci Berlioza – z nich to dowiedział się adresu nieboszczyka – przyszło nagle do głowy, że być może odprawiano tutaj mszę żałobną za duszę Berlioza, ale Andrzej Fokicz z miejsca odpędził od siebie tę myśl jako całkowicie idiotyczna.

Oszołomiony bufetowy niespodziewanie usłyszał niski bas:

– Czym zatem mogę panu służyć?

I wówczas ujrzał w półmroku tego, którego szukał.

Profesor czarnej magii spoczywał na niezwykle rozległym tapczanie pełnym porozrzucanych poduszek. Bufetowemu wydawało się, że artysta był tylko w czarnej bieliźnie i w równie czarnych pantoflach o spiczastych nosach.

– Jestem – znękany głosem zaczął bufetowy – kierownikiem bufetu w teatrze Varietes...

Artysta jakby zatykając usta bufetowemu wyciągnął upierścienioną, połyskującą szlachetnymi kamieniami rękę i przemówił z wielkim zapałem:

– Nie, nie, nie! Ani słowa więcej! Nigdy, w żadnym wypadku! Niczego do ust nie wezmę w pańskim bufecie! Przechodziłem wczoraj, szanowny panie, obok pańskiego bufetu i do tej chwili nie mogę zapomnieć ani jesiotra, ani bryndzy! Łaskawco! Zielona bryndza nie istnieje, ktoś musiał pana oszukać. Bryndza powinna być biała. A herbata? Przecież to pomyje! Widziałem na własne oczy, jak jakaś niechlujna dziewczyna wlewała z wiadra surową wodę do waszego wielkiego samowara, a herbatę tymczasem nalewano w dalszym ciągu. Nie, mój drogi, tak być nie może!

– Przepraszam – przemówił oszołomiony tą niespodziewaną napaścią Andrzej Fokicz – przyszedłem w innej sprawie i jesiotr nic tu nie ma do rzeczy...

– Jakże to, jesiotr nie ma nic do rzeczy, skoro jest zepsuty?

– Przysłano nam jesiotra drugiej świeżości – oznajmił bufetowy.

– Kochaneczku, to nonsens!

– Co nonsens?

– Druga świeżość to nonsens! Świeżość bywa tylko jedna – pierwsza i tym samym ostatnia. A skoro jesiotr jest drugiej świeżości, to oznacza to po prostu, że jest zepsuty.

– Proszę mi wybaczyć, ale... – zaczął znów bufetowy, nie wiedząc, jak się odczepić od napastliwego artysty.

– Wybaczyć nie mogę – stanowczo odparł tamten.

– Przyszedłem w innej sprawie – powiedział kompletnie skołowany bufetowy.

– W innej sprawie? – zdziwił się zagraniczny mag. – A jakież to inne sprawy mogły pana do mnie sprowadzić? Jeśli mnie pamięć nie myli, to z osób zbliżonych profesją do pana znałem tylko pewną markietankę, a i to było dawno, kiedy pana jeszcze nie było na świecie. No cóż, rad

jestem panu. Asasello! Taboret dla pana kierownika bufetu!

Ten, który piekł mięso, odwrócił się, przeraził bufetowego swym kłębem i zręcznie podsunął mu jeden z ciemnych dębowych zydlów. Innych służących do siedzenia sprzętów w pokoju tym nie było.

Bufetowy wykrztusił:

– Dziękuję najuprzejmiej – i opadł na stołek. Tylna nóżka mebla natychmiast złamała się z trzaskiem i bufetowy z lekkim okrzykiem boleśnie uderzył siedzeniem o podłogę. Padając zaczepił o sąsiedni taboret i wylał sobie na spodnie stojący na tym taborecie puchar pełen czerwonego wina. Artysta wykrzyknął:

– Och! Czy pan się nie potłukł?

Asasello pomógł bufetowemu wstać i podał mu inny taboret. Pełnym żałości głosem bufetowy nie zgodził się na propozycję gospodarza, aby zdjąć spodnie i wysuszyć je przed kominkiem i, bezgranicznie zmieszany, w mokrych spodniach i mokrej bieliźnie nieufnie przysiadł na nowym taborecie.

– Lubię siedzieć nisko – powiedział artysta – upadek nie jest wówczas tak niebezpieczny. Tak, stanęliśmy zatem na jesiotrze. Kochaneczku, świeżość, świeżość, świeżość! – oto co powinno stanowić dewizę każdego bufetowego. Ale a propos, czy nie byłby pan łaskaw poczęstować się...

W purpurowym świetle kominka błysnęła przed bufetowym szpada i Asasello położył na złotym talerzu syczący kawałek mięsa, skropił je sokiem z cytryny i podał bufetowemu złoty dwuzębny widelec.

– Ja... najuprzejmiej...

– Nie, nie, proszę spróbować!

Bufetowy przez uprzejmość włożył kawałeczek do ust i od razu zrozumiał, że mięso, które je, jest naprawdę bardzo świeże i, co najważniejsze, niezwykle smaczne. Ale zając wonne, smakowite, soczyste mięso, omal się nie udławił i nie spadł po raz drugi z taboretu. Z sąsiedniego pokoju wleciał wielki ciemny ptak i leciutko musnął skrzydłem łysiną bufetowego. Kiedy usiadł na gzymsie kominka obok zegara, okazało się, że to sowa. “Boże wszechmogący!... – pomyślał nerwowo jak wszyscy bufetowi Andrzej Fokicz. – To dopiero mieszkanko!”

– Pucharek wina? Białe, czerwone? Wina jakich krain zwykł pan pijać o tej porze?

– Najuprzejmiej... jestem niepijący...

– Szkoda! Zatem ma pan może ochotę na partyjkę kości? Czy też woli pan jakąś inną grę? Karty, domino?

– Nie gram – odrzekł umęczony już bufetowy.

– To bardzo źle – stwierdził gospodarz. – Cóż, jeśli wolno, przyzna pan, że kryje się coś niedobrego w mężczyznach, którzy unikają wina, gier, towarzystwa pięknych kobiet i ucztowania. Tacy ludzie albo są ciężko chorzy, albo w głębi duszy nienawidzą otoczenia. Co prawda zdarzają się wyjątki. Wśród tych, z którymi wypadało mi ucztować, zdarzali się od czasu do czasu niewiarygodni szubrawcy!... Słucham więc, co pana sprowadza?

– Wczoraj był pan łaskaw pokazywać sztuki...

– Ja? – zawołał zdumiony mag. – Pan daruje! Raczy pan chyba żartować! Mnie to przecież nawet nie przystoi!

– Proszę mi wybaczyć – powiedział speszony bufetowy. – Ale przecież... seans czarnej magii...

– Ach, no tak, no tak! Cóż więc sprowadza pana do mnie w związku z tym seansem?

– Przepraszam najuprzejmiej, ale ośmielam się przypomnieć, że między innymi poleciały tam z sufitu papierki... – Bufetowy zniżył głos i obejrzał się z zażenowaniem. – No i wszyscy je łapali. Przychodzi więc do mnie do bufetu młody człowiek, daje czerwońca, ja mu wydaję osiem pięćdziesiąt reszty... Potem drugi...

– Też młody?

– Nie, starszy. Przychodzi potem trzeci, czwarty... A ja wszystkim wydaję resztę. A dzisiaj sprawdzam kasę – a w kasie zamiast pieniędzy kawałki papieru. Na sto dziewięć rubli nacięli bufet.

– Aj–ja–jaj! – zawołał artysta. – Czyżby oni naprawdę sądzili, że to są prawdziwe pieniądze? Nawet nie dopuszczam do siebie myśli, że mogli to zrobić świadomie.

Znękany bufetowy spojrzał zezem, ale nic nie powiedział.

– Czyżby kanciarze? – zapytał gościa zaniepokojony mag. – Czyżby wśród mieszkańców Moskwy mogli się znaleźć kanciarze?

W odpowiedzi bufetowy uśmiechnął się tak gorzko, że wszelkie wątpliwości zostały rozwiane – tak, niewątpliwie, w Moskwie zdarzają się kanciarze.

– To podłość! – oburzył się Woland. – Pan jest człowiekiem ubogim. Prawda? Pan jest ubogi?

Bufetowy wciągnął głowę w ramiona i od razu stało się jasne, że jest on ubogim człowiekiem.

– Ile wynoszą pańskie oszczędności?

Pytanie zadane było życzliwym tonem, niemniej jednak pytania takiego nie można uznać za taktowne. Bufetowy zmieszał się.

– Dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy rubli w pięciu oddziałach kasy oszczędności – rozległ się z sąsiedniego pokoju pęknięty głos – a w domu pod podłogą dwieście złotych dziesiątek.

Bufetowego jakby przylutowało do taboretu.

– No, to rzeczywiście nie są pieniądze – lekceważąco powiedział do swego gościa Woland – chociaż szczerze mówiąc nawet tyle nie jest panu potrzebne. Kiedy ma pan zamiar umrzeć?

Tego bufetowy już nie zniósł.

– Nikt tego wiedzieć nie może i nikogo nie powinno to obchodzić – powiedział.

– Powiedzmy, że nikt nie wie – rozległ się z gabinetu ten sam wstrętny głos. – Dwumian Newtona, nie wiesz czasem! Umrze on za dziewięć miesięcy, w przyszłym roku, w lutym, na raka wątroby w klinice Pierwszego Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego na sali numer cztery.

Bufetowy zżółkł na twarzy.

– Dziewięć miesięcy... – w zadumie liczył Woland. – Dwieście czterdzieści dziewięć tysięcy... Po zaokrągleniu wypada dwadzieścia siedem tysięcy na miesiąc... niewiele, ale na skromne utrzymanie wystarczy... Do tego jeszcze te dziesiątki...

– Dziesiątek nie da się upłynnić – wtrącił się znowu ten sam głos mrozący krew w sercu bufetowego. – Po śmierci Andrzeja Fokicza dom natychmiast zostanie zburzony, a monety zostaną przekazane do Banku Narodowego.

– Zresztą nie radziłbym panu kłaść się do kliniki – mówił dalej artysta. – Co za sens umierać na szpitalnej sali, gdzie słychać tylko jęki i rżenie śmiertelnie chorych? Czy nie lepiej wydać ucztę za te dwadzieścia siedem tysięcy, a potem zażyć trucizną i przenieść się na tamten świat przy dźwiękach strun, wśród oszołomionych winem pięknych kobiet i wesołych przyjaciół?

Bufetowy siedział nieruchomo, bardzo się postarzał. Ciemne kręgi otoczyły jego oczy, policzki mu obwisły, a dolna szczęka opadła.

– Zresztą, dość tych marzeń! – zawołał gospodarz. – Do rzeczy! Niech pan pokaże te kawałki papieru.

Zdenerwowany bufetowy wyciągnął z kieszeni paczkę, wyciągnął ją i osłupiał – zawinięte w

gazetę leżały czerwonce...

– Mój drogi, jest pan istotnie niezdrów – wzruszając ramionami powiedział Woland. Bufetowy uśmiechając się dziko wstał z taboretu.

– Aa... – powiedział jękając się – a jeżeli one znowuż... tego...

– Hm... – zamyślił się artysta – wtedy niech pan znowu do nas przyjdzie. Serdecznie prosimy, jestem niezmiernie rad, że pana poznałem...

W tym momencie wyskoczył z gabinetu Korowiow, wczepił się w dłoń bufetowego, pocałował ją potrząsając błagając przy tym Andrzeja Fokicza, aby wszystkim, ale to wszystkim przekazał jego najserdeczniejsze pozdrowienia.

Z trudem zbierając myśli bufetowy ruszył do przedpokoju.

– Helia, odprowadź pana! – krzyczał Korowiow.

Znowu ta ruda i goła w przedpokoju! Bufetowy wślizgnął się w drzwi, pisnął “Do widzenia!” – i poszedł jak pijany. Zszedł trochę niżej, usiadł na stopniu, wyjął paczkę, sprawdził – czerwonce były na miejscu.

Wtedy z mieszkania na tym piętrze, na którym przysiadł, wyszła kobieta z zieloną torbą. Kiedy zobaczyła człowieka siedzącego na schodach i tępo wpatzonego w czerwonce, uśmiechnęła się i powiedziała z zadumą:

– Co za dom! Ten też od samego rana pijany... Znowu wybili szybę na schodach!

Przyjrzała się bufetowemu uważniej i dodała:

– E, niektórzy, jak widzę, to siedzą na pieniądzach! Podzieliłbyś się ze mną, co?

– Odczep się, na miłość boską! – przeraził się bufetowy i raz–dwa schował banknoty. Kobieta roześmiała się.

– Całuj psa w nos, liczykrupo! Zażartowałam... – i poszła na dół.

Bufetowy powoli wstał, podniósł rękę, żeby poprawić kapelusz, i przekonał się, że na głowie go nie ma. Okropnie mu się nie chciało wracać, ale żal mu było kapelusza. Wahał się przez moment, zawrócił jednak i zadzwonił.

– Czego pan jeszcze chce? – zapytała przekłeta Helia.

– Zostawiłem kapelusz... – wyszeptał bufetowy wskazując swoją łysinę. Helia odwróciła się. Bufetowy splunął w myśli i zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Helia podawała mu kapelusz i szpadę z ciemną rękojeścią.

– To nie moje... – szepnął bufetowy odpychając szpadę i pośpiesznie wkładając kapelusz.

– Czyżby pan przyszedł bez szpady? – zdziwiła się Helia.

Bufetowy coś odburknął i szybko poszedł na dół. W tym kapeluszu było mu, nie wiedzieć czemu, niewygodnie, za gorąco w głowę. Andrzej Fokicz zdjął kapelusz, podskoczył ze strachu i wydał cichy okrzyk – trzymał w ręku aksamitny beret z wyleniałym kogucim piórem. Bufetowy przeżegnał się.

W tejże sekundzie beret zamiauczał, przemienił się w czarnego kociaka, wskoczył z powrotem na głowę Andrzeja Fokicza i wszystkimi pazurami wpił się w jego łysinę. Bufetowy wydał histeryczny okrzyk zgrozy i popędził na dół, kociak zaś spadł mu z głowy i prysnął po schodach na górę.

Kiedy bufetowy znalazł się pod gołym niebem, pobiegł truchtem do bramy i na zawsze opuścił piekielny dom numer 302–A.

Dokładnie wiadomo, co się dalej działo z bufetowym. Kiedy wydostał się na ulicę, dziko rozejrzał się dokoła jak gdyby czegoś szukając. Po chwili był już po drugiej stronie ulicy, w aptece. Skoro tylko wyrzekł:

– Proszę mi powiedzieć...

Kobieta za ladą zawołała:

– Przecież pan ma całą głowę we krwi!

W pięć minut później bufetowy był już zabandażowany, wiedział już, że za najlepszych specjalistów od chorób wątroby uważa się profesorów Bernadskiego i Kuźmina, zapytał, do którego z nich bliżej, oczy zapłonęły mu radością, kiedy dowiedział się, że Kuźmin mieszka w sąsiednim podwórku, w małej białej willi, i w dwie minuty później znalazł się w owej willi.

Domek to był staroświecki, ale bardzo, bardzo sympatyczny. Bufetowy pamiętał, że pierwszą spotkaną tam osobą była zgrzybiała niania, która chciała zaopiekować się jego kapeluszem, ponieważ jednak Andrzej Fokicz takowego nie posiadał, niania poruszając bezzębnymi szczękami gdzieś sobie poszła.

Zamiast niej, pod lustrem, zdaje się że w łukowato sklepionym przejściu, objawiła się kobieta w średnim wieku i z miejsca oświadczyła, że zapisać do profesora może dopiero na dziewiętnastego, nie wcześniej. Bufetowy błyskawicznie znalazł jedyne wyjście. Spojrzał gasnącym wzrokiem gdzieś poza przejście, tam gdzie w niewątpliwej poczekalni siedziały trzy osoby, i wyszeptał:

– Jestem śmiertelnie chory...

Kobieta ze zdumieniem popatrzyła na zabandażowaną głowę bufetowego, zawahała się i powiedziała:

– Skoro tak... – i wpuściła bufetowego do poczekalni.

W tejże chwili otworzyły się drzwi naprzeciwko i zabłyśły w nich czyjeś złote binokle. Kobieta w fartuchu powiedziała:

– Obywatele, ten chory zostanie przyjęty poza kolejką.

Bufetowy nawet nie zdążył mrugnąć, jak znalazł się w gabinecie profesora Kuźmina. Podłużny pokój nie miał w sobie nic lekarskiego, uroczystego ani straszego.

– Co się panu stało? – przyjemnym głosem zapytał profesor Kuźmin, z niejakim niepokojem patrząc na zabandażowaną głowę Sokowa.

– Przed chwilą dowiedziałem się z wiarygodnego źródła – odpowiedział bufetowy, zdziaczałym wzrokiem wpatrując się w oszklone zdjęcie jakiejś grupy – że w lutym przyszłego roku umrę na raka wątroby. Błagam, niech pan powstrzyma tego raka.

Profesor Kuźmin opadł na wysokie gotyckie oparcie skórzanego fotela.

– Pan daruje, ale nie rozumiem... Czy pan... był u lekarza? Dlaczego ma pan zabandażowaną głowę?

– U jakiego lekarza?... Zobaczyłby pan tego lekarza... – odpowiedział bufetowy i zaczął nagle szczerkać zębami. – A na głowę proszę nie zwracać uwagi, głowa nic do tego nie ma... Niech pan plunie na głowę, ona nie ma z tym nic wspólnego... Rak wątroby – proszę go powstrzymać...

– Pan wybaczy, ale kto to panu powiedział!?

– Niech mu pan wierzy! – płomiennie poprosił bufetowy. – Już on dobrze wie, co mówi!

– Nic nie rozumiem! – wzruszając ramionami i odjeżdżając z fotelem od biurka mówił profesor. – Skądże ktoś może wiedzieć, kiedy pan umrze? Tym bardziej że, jak rozumiem, to nie jest lekarz!

– Na sali numer cztery – odpowiedział Andrzej Fokicz.

Wtedy profesor popatrzył na swego pacjenta, na jego głowę, na wilgotne spodnie i pomyślał: “Wariat, no, tego mi tu jeszcze brakowało...” Zapytał:

– Pije pan wódką?

– Nigdy do ust nie wziętem – odpowiedział bufetowy.

W chwilę później leżał rozebrany na ceratowej kozetce, a profesor ugniatał mu brzuch. Należy tu dodać, że Andrzej Fokicz znacznie poweselał. Profesor zapewnił go kategorycznie, że teraz, a

w każdym razie w obecnej chwili, nie ma żadnych objawów nowotworu, ale jeżeli... jeżeli nastraszony przez jakiegoś szarlatana pacjent tak bardzo się obawia raka, to trzeba zrobić wszystkie analizy...

Profesor pisał coś, wyjaśniał, dokąd należy pójść i co tam należy zanieść... Poza tym dał Andrzejowi Fokiczowi karteczkę do neurologa, profesora Bourre'a, twierdził bowiem, że system nerwowy bufetowego jest w fatalnym stanie.

– Ile jestem panu winien, profesorze? – subtelnym, drżącym głosem zapytał bufetowy wyciągając gruby portfel.

– Ile pan uważa – oschle odpowiedział profesor.

Bufetowy wyjął trzydzieści rubli, wyłożył je na stół, a następnie nieoczekiwanym miękkim ruchem, jak gdyby posługiwał się kocią łapką, postawił na czerwonych pobrzękujący słupek owinięty w starą gazetę.

– A to co takiego? – zapytał Kuźmin i podkreślił wąsa.

– Niech pan nie wzgardzi, panie profesorze – wyszeptał bufetowy. – Błagam, niech pan zatrzyma raka!

– Proszę natychmiast zabrać to złoto – powiedział dumny z siebie profesor. – Niech pan lepiej leczy nerwy. Proszę od razu jutro oddać mocz do analizy, proszę nie pić zbyt wiele herbaty i jeść zupełnie bez soli.

– Nawet zupy nie solić? – zapytał bufetowy.

– Niczego nie solić – polecił profesor.

– Ech! – czule patrząc na profesora, zabierając dziesiątki i sunąc tyłem w kierunku drzwi smętnie wykrzyknął bufetowy.

Pacjentów profesor tego wieczora miał niewielu, z nadejściem zmierzchu wyszedł ostatni z nich. Zdejmując fartuch profesor spojrział na to miejsce, na którym bufetowy zostawił czerwonce, i zobaczył, że nie ma tam żadnych banknotów, leżą natomiast na biurku trzy etykiety z butelek "Abrau –Durso".

– Diabli wiedzą, co to takiego! – zamruczał Kuźmin ciągnąc za sobą po podłodze fartuch i studiując papierki. – Okazuje się, że to był nie tylko schizofrenik, ale także oszust! Ale nie mogę zrozumieć, czego on mógł chcieć ode mnie? Czyżby przyszedł po skierowanie na analizę moczu? Oo! Na pewno ukradł palta! – i profesor rzucił się do przedpokoju zapominając włożyć w rękaw fartucha drugą rękę. – Pani Kseniu! – przenikliwym głosem krzyknął w drzwiach przedpokoju. –

Niech pani sprawdzi, czy są palta?

Okazało się, że palta są. Ale za to, kiedy profesor zrzuciwszy nareszcie z siebie fartuch wrócił do biurka, stanął jak wryty nie mogąc oderwać oczu od biurka. Tam, gdzie przed chwilą leżały etykiety, siedział teraz czarny kociak–sierotka, pyszczek miał nieszczęśliwy i miauczał nad spodeczkiem mleka.

– Co to takiego, o Boże?! To przecież... – i Kuźmin poczuł chłód na karku.

Na cichy i żalorny okrzyk profesora przybiegła Ksenia Nikitizna i z miejsca uspokoiła go zapewniając, że to któryś z pacjentów musiał podrzucić kotka, co się często przydarza profesorom.

– Powodzi się im na pewno nie najlepiej – wyjaśniła Ksenia Nikitizna – no, a u nas, oczywiście...

Zaczęli się zastanawiać, kto by to mógł zrobić. Podejrzanie padło na starszkę z wrzodem żołądka.

– Ona, oczywiście – mówiła Ksenia Nikitizna – myśli: tak czy owak śmierć mi pisana, a kociaka szkoda.

– Przepraszam! – krzyknął Kuźmin. – A co z mlekiem?... Też starszka przyniosła? Razem ze spodeczkiem, tak?

Przyniosła w buteleczce, a tu wylała na spodek – wytłumaczyła Ksenia Nikitizna.

– W każdym razie proszę zabrać i kociaka, i spodek – powiedział Kuźmin i odprowadził Ksenię Nikitizną do drzwi. Kiedy wrócił, sytuacja uległa już zmianie.

Wieszając fartuch na gwoździu profesor usłyszał śmiech na podwórku. Wyjrzał i oczywiście osłupiał. Przez podwórko biegła w stronę oficyny dama w samej tylko koszuli. Profesor wiedział nawet, jak się owa dama nazywa – Maria Aleksandrowna. Jakiś chłopiec śmiał się.

– Co to ma być? – powiedział z dezaprobatą Kuźmin.

W tym momencie za ścianą w pokoju jego córki patefon zagrał fokstrota “Alleluja” i w tejże chwili za profesorskimi plecami rozległo się ćwierkanie wróbla. Kuźmin odwrócił się i zobaczył, że po jego biurku skacze sobie ogromny wróbel.

“Hm... tylko spokojnie! – pomyślał profesor – ptak wleciał, kiedy odchodziłem od okna. Wszystko w porządku!” – zalecił sobie czując, że wszystko jest w najzupełniejszym nieporządku, i to głównie z powodu tego wróbla. Kiedy profesor przyjrzał mu się, od razu spostrzegł, że wróbel ten to nie jest zwyczajny wróbel. Obmierzły ptak chromał na lewą łapkę, najwyraźniej

wymalpiał się, powlóczył nogą, wybijał synkopy, jednym słowem, tańczył fokstrota przy dźwiękach patefonu niczym pijany przy barze, zachowywał się tak po chamsku, jak tylko potrafił, i obelżywie patrzył na profesora.

Dłoń Kuźmina spoczęła na aparacie telefonicznym, profesor miał zamiar zadzwonić do swego kolegi Bourre'a, chciał go zapytać, co by też mogły oznaczać tego rodzaju wróbelki w wieku lat sześćdziesięciu i co to znaczy, jeżeli do tego nagle człowiekowi zaczyna się kręcić w głowie?

Tymczasem wróbel usiadł na ofiarowanym niegdyś profesorowi kałamarzu, napaskudził do niego (ja nie żartuję!), następnie wzbił się w górę, zawisł w powietrzu, po czym z rozpędu, dziobem niczym ze stali, uderzył w szkło fotografii przedstawiającej grono absolwentów uniwersytetu z roku 1894, rozbił to szkło na drobne kawałki i wyfrunął przez okno.

Profesor zmienił decyzję i zamiast zadzwonić do profesora Bourre'a zadzwonił do wypożyczalni pijawek, powiedział, że mówi profesor Kuźmin, i poprosił, by mu niezwłocznie przysłano pijawki do domu, Odłożył słuchawkę, znów odwrócił się do biurka i wrzasnął. Za biurkiem w czepku siostry miłosierdzia siedziała kobieta z torbą, a na torbie napisane było: "pijawki". Krzyk wyrwał się profesorowi, kiedy spojrzał na usta kobiety – były to męskie usta, wykrzywione od ucha do ucha i sterczały z nich kieł. Oczy siostry były martwe.

– Pieniążki się schowa – męskim basem powiedziała siostra. – Po co mają się tu poniewierać – ptasią łapą zgarnęła etykietki i powoli rozplynęła się w powietrzu.

Minęły dwie godziny. Profesor Kuźmin siedział na swoim łóżku w sypialni, pijawki wisały mu na skroniach, za uszami i na szyi. W nogach łóżka siedział na jedwabnej kołdrze siwowąsy profesor Bourre, patrzył na Kuźmina ze współczuciem i pocieszał go, że wszystko to głupstwo. W oknie była już noc.

Nie wiemy, jakie jeszcze przedziwne rzeczy działy się w Moskwie tej nocy, i oczywiście nie zamierzamy tego dociekać, tym bardziej że czas już, abyśmy przeszli do drugiej części tej jakże prawdziwej opowieści. Za mną, czytelniku!

Część druga

19. Małgorzata

Za mną, czytelniku! Któż to ci powiedział, że nie ma już na świecie prawdziwej, wiernej, wiecznej miłości? A niechże wyrwą temu kłamcy jego plugawy język!

Za mną, czytelniku mój, podążaj za mną, a ja ci ukazę taką miłość!

O, nie! Mistrz był w błędzie, kiedy w lecznicy, gdy przemijała północna godzina, mówił Iwanowi z goryczą, że ona zapomniała go już. Tak stać się nie mogło. Oczywiście, że nie zapomniała o nim.

Zdradźmy przede wszystkim tajemnicę, której mistrz nie zechciał zdradzić Iwanowi. Ukochana mistrza miała na imię Małgorzata. Wszystko, co opowiadał o niej nieszczęsnemu poecie, było szczerą prawdą. Opisał swą ukochaną wiernie. Małgorzata była piękna i mądra. I jeszcze jedno trzeba tutaj dodać – można stwierdzić z całym przekonaniem, że jest wiele kobiet, które nie wiem co dałyby za to, aby zamienić się z Małgorzatą. Trzydziestoletnia bezdzietna Małgorzata była żoną wybitnego specjalisty, który w dodatku dokonał pewnego odkrycia o ogólnopaństwowym znaczeniu. Jej mąż był młody, przystojny, dobry, uczciwy i uwielbiał żonę. Małgorzata zajmowała z mężem całe piętro pięknej willi stojącej w ogrodzie przy jednej z uliczek w pobliżu Arbatu. Uroczy zakątek! Każdy może się o tym sam przekonać, jeśli tylko zechce się udać do owego ogrodu. Niechże się zwróci do mnie, ja mu podam adres, wskażę drogę, willa stoi do dziś.

Małgorzacie nigdy nie brakowało pieniędzy. Mogła kupić wszystko, na co miała ochotę. Wśród znajomych jej męża było wielu interesujących ludzi. Małgorzata nigdy nie dotknęła prymusa, nie zaznała udręk wspólnego mieszkania. Słowem... czy była szczęśliwa? Ani przez chwilę! Odkąd mając lat dziewiętnaście wyszła za mąż i trafiła do tej willi, nie zaznała szczęścia. O bogowie, o bogowie moi! Czegóż jeszcze brakowało tej kobiecie, w której oczach jarzyły się nieustannie jakieś niepojęte ogniki? Czegóż jeszcze trzeba było tej leciutko zezującej wiedźmie,

która wtedy, na wiosnę, niosła bukiet mimozy? Nie wiem, nie mam pojęcia. Mówiła zapewne prawdę – potrzebny był jej on, mistrz, a wcale nie żadna gotycka willa ani własny ogródek, ani pieniądze. Mówiła prawdę – ona go kochała.

Nawet mnie, rzetelnemu sprawozdawcy, ale przecież człowiekowi postronnemu, serce się ściska, kiedy pomyślę, co czuła Małgorzata, kiedy następnego dnia przysłała do domku mistrza (na szczęście nie zdążywszy się rozmówić z mężem, który nie wrócił w zapowiedzianym terminie) i dowiedziała się, że mistrza już nie ma. Zrobiła wszystko, żeby czegokolwiek się o nim dowiedzieć, i, rzecz jasna, nie dowiedziała się niczego. Wróciła więc do willi i mieszkała tam nadal. Ale skoro tylko z trotuarów i z jezdni zniknął brudny śnieg, skoro tylko zadął w lufciki niespokojny, niosący lekki zapach zgnilizny, wiosenny wiatr, Małgorzata zatęskniła silniej niż w zimie. Często długo i gorzko płakała potajemnie. Nie wiedziała, kogo kocha – żywego czy zmarłego? A im więcej mijało rozpaczliwych dni, tym częściej, zwłaszcza o zmierzchu, powracała myśl, że jest związana z kimś, kto nie żyje.

Musiała albo zapomnieć o nim, albo umrzeć sama. Przecież tak nie sposób żyć! Tak nie można! Zapomnieć o nim, za wszelką cenę zapomnieć! Ale nieszczęście na tym właśnie polega, że zapomnieć o nim nie umie.

– Tak, tak, tak, popełniłam ten sam błąd – mówiła Małgorzata siedząc przy piecu i patrząc w ogień rozpalony na pamiątkę owego ognia, który płonął wówczas, gdy mistrz pisał Poncjusza Piłata – dlaczego wtedy w nocy zostawiłam go samego? Dlaczego? Przecież to było szaleństwo! Wróciłam nazajutrz, uczciwie, tak jak obiecałam, ale było już za późno. Tak, wróciłam za późno, jak ten nieszczęsny Mateusz Lewita!

Wszystkie te słowa były oczywiście niedorzeczne, bo i cóż, prawdę mówiąc, by się zmieniło, gdyby została tamtej nocy u mistrza? Czyby go ocaliła? To śmieszne! – moglibyśmy zawołać, ale przecież nie uczynimy tego w obecności doprowadzonej do ostatecznej rozpaczki kobiety.

Tego samego dnia, kiedy powstał cały ów niedorzeczny zamęt spowodowany zjawieniem się w Moskwie czarnego maga, w piątek, kiedy przepędzono i wysłano z powrotem do Kijowa wujaszka Berlioza, kiedy aresztowano księgowego i kiedy wydarzyło się jeszcze mnóstwo nonsensownych i niepojętych rzeczy, Małgorzata obudziła się około południa w swojej sypialni, której półokrągłe, trzyskrzydłowe okno znajdowało się w wieżycze willi.

Obudziwszy się nie zapłakała, jak to się często zdarzało, obudziła się bowiem z przeczuciem, że dziś wreszcie coś się wydarzy. Złapawszy się na tym przeczuciu zaczęła je w sobie podsycać i

piastować bojąc się, by jej nie opuściło.

– Wierzę! – szeptała uroczyście. – Wierzę! Coś się wydarzy! Nie może się nie wydarzyć, bo i za jakie to przewiny, prawdę mówiąc, miałabym cierpieć dożywotnią mękę? Przyznaję, kłamałam, oszukiwałam, żyłam potajemnym życiem, które ukrywałam przed ludźmi, ale przecież nie można karać za to aż tak okrutnie!... Niewątpliwie coś się wydarzy, ponieważ nic nie może trwać wiecznie. A poza tym mój sen był proroczy, dam za to głowę...

Tak szeptała Małgorzata patrząc na wypełniające się słońcem pąsowe zasłony, ubierając się pośpiesznie, rozczesując przed potrójnym lustrem krótkie kręcone włosy.

Sen, który się tej nocy przyśnił Małgorzacie, był rzeczywiście niezwykle. Rzecz w tym, że w okresie jej zimowej udręki ani razu nie przyśnił jej się mistrz. W nocy zostawiał ją w spokoju, męczyła się tylko we dnie. A dziś nagle się przyśnił.

Przyśniła się Małgorzacie jakaś okolica, której nie знаła – beznadziejna, posępna, pod pochmurnym niebem wczesnej wiosny. Przyśniło jej się strzępiaste, rozpędzone, szarusieńkie niebo, a pod tym niebem niema chmara gawronów. Jakiś koślawy mostek, pod mostkiem mętna wiosenna rzeczulka. Smętne, nędzarskie, na wpół nagie drzewa. Samotna osika, a dalej – wśród drzew za jakimś warzywnikiem – domek z bierwion: ni to kuchnia w ogrodzie, ni to łaźnia, ni to diabli wiedzą co!

I oto, wyobraźcie sobie, otwierają się drzwi tego domku z bierwion i staje w nich on. To dość daleko, ale widać go wyraźnie. Jest obdarty, trudno się zorientować, co właściwie ma na sobie. Potargany, nie ogolony. Oczy smutne, pełne lęku. Przywołuje ją ruchem ręki, wzywa do siebie. Małgorzata zachłystując się martwym powietrzem pobiegła ku niemu skacząc z kępy na kępę i wtedy się obudziła. “Sen ten może oznaczać tylko jedno z dwojga – rozmyślała – jeżeli nie żyje, a wzywał mnie do siebie, to znaczy, że przyszedł po mnie i że niebawem umrę. Ale jeżeli żyje, to sen może znaczyć tylko jedno – że chciał mi o sobie przypomnieć! Chce powiedzieć, że się jeszcze zobaczymy... Tak, zobaczymy się bardzo niedługo!”

Małgorzata, ciągle jeszcze w stanie podniecenia, ubrała się i zaczęła wmawiać sobie, że w gruncie rzeczy wszystko bierze bardzo dobry obrót, a takie momenty trzeba umieć uchwycić i wykorzystać. Mąż wyjechał na delegację na całe trzy dni. Przez całe trzy doby będzie pozostawiona samej sobie, nikt nie przeszkodzi jej rozmyślać, o czym tylko będzie chciała, marzyć, o czym jej się żywnie podoba. Wszystkie pięć pokoi na pięttrze willi, całe to mieszkanie, którego pozazdrościłyby jej dziesiątki tysięcy ludzi w Moskwie, jest do jej wyłącznej dyspozycji.

Ale uzyskawszy na całe trzy dni wolność Małgorzata z całego tego wspaniałego mieszkania wybrała miejsce bynajmniej nie najwspanialsze. Napiwszy się herbaty przeszła do ciemnego pokoiku bez okien, w którym przechowywano walizki i gdzie stały dwie wielkie szafy pełne przeróżnych rupieci. Przykucnęła, wysunęła dolną szufladę pierwszej z tych szaf i spod sterty ścinków jedwabiu wyjęła tę jedyną cenną rzecz, jaka jej została w życiu. Małgorzata trzymała w ręku stary oprawny w brązową skórę album, w którym było zdjęcie mistrza, książeczkę oszczędnościową na jego imię, na której było dziesięć tysięcy, zaprasowane między kawałkami bibułki do papierosów płatki zaszuszonej róży i część dużego brulionu, zapisanego na maszynie i nadpalonego u dołu.

Wróciwszy z tymi skarbami do sypialni, Małgorzata zatknęła fotografię za trzyczęściowe lustro i mniej więcej przez godzinę siedziała trzymając na kolanach uszkodzony przez ogień brulion, kartkując go i czytając po wielekroć to, co po spaleniu nie miało już ani początku, ani końca: “...Ciemność, która nadciągnęła znad Morza Śródziemnego, okryła znienawidzone przez prokuratora miasto. Zniknęły wiszące mosty, łączące świątynię ze straszliwą wieżą Antoniusza, otchłań zwała się z niebios i pochłonęła skrzydlatych bogów ponad hipodromem, pałac Hasmonejski wraz z jego strzelnicami, bazary, karawanseraje, zaułki, stawy... Jeruzalaim, wielkie miasto, zniknęło, jak gdyby nigdy nie istniało...”

Małgorzata chciała czytać dalej, ale dalej oprócz nierówno wystrzępionego zwęglonego papieru nie było już nic. Ocierając łzy odłożyła brulion, wsparła łokcie na toalecie i długo tak siedziała naprzeciw swego lustrzanego odbicia nie spuszczać oczu ze zdjęcia. Potem łzy obeschły. Małgorzata starannie poskładała swój skarb i w ciemnym pokoju dźwięcznie szcęknięła zamek.

Małgorzata wkładała w przedpokoju palto, chciała wyjść na spacer. Śliczna Natasza, jej służąca, zapytała, co ma zrobić na drugie danie, a otrzymawszy odpowiedź, że jest to obojętne, ażeby się trochę rozerwać, zaczęła rozmowę ze swą chlebobawczynią opowiadając jej Bóg wie co, na przykład, że wczoraj w teatrze sztukmistrz wyczyniał takie sztuki, że wszystkim oko zbiegało, każdemu dawał za darmo po dwa flakony zagranicznych perfum i pończochy, a potem, jak seans się skończył, publika wyszła na ulicę i patrzeć, a tu wszyscy są golusieńcy! Małgorzata opadła na krzesło w przedpokoju pod lustrem i zaniosła się śmiechem.

– Natasza! Jak ci nie wstyd – mówiła – umiesz czytać i pisać, jesteś mądra dziewczyna... W kolejkach plotą diabli wiedzą co, a ty to powtarzasz!

Natasza oblała się rumieńcem i z wielkim żarem zaprotestowała, że to wcale nie żadne łgarstwo, że na własne oczy widziała dzisiaj w spożywczym na Arbacie jedną obywatelkę, która przysła do sklepu w pantoflach, a jak poszła do kasy płacić, to jej pantofle zniknęły z nóg i została w samych pończochach. Oczy wybałuszyła, a na pięcie dziura! A to były zaczarowane pantofle właśnie z tego seansu.

– I tak poszła?

– I tak poszła! – wołała Natasza czerwieniąc się coraz bardziej, że jej nie wierzą. – A wczoraj, Małgorzato Nikołajewna, to milicja ze stu ludzi wieczorem zabrała. Obywatelki z tego seansu biegały po Twerskiej w samych reformach.

Ta pocieszna rozmowa zakończyła się miłą dla Nataszy niespodzianką. Małgorzata poszła do sypialni i wróciła niosąc parę pończoch i flakon wody kolońskiej. Powiedziawszy Nataszy, że także chce pokazać sztukę, podarowała jej zarówno pończochy, jak wodę kolońską i powiedziała, że prosi tylko o jedno – żeby Natasza nie biegała w samych pończochach po Twerskiej i żeby nie słuchała tego, co wygaduje Daria. Pani i służąca ucałowały się i rozstały.

Osunąwszy się na wygodne miękkie oparcie fotela w trolejbusie Małgorzata jechała Arbatem i to rozmyślała o swoich sprawach, to przysłuchiwała się, o czym do siebie szepczą dwaj siedzący przed nią obywatele.

Ci zaś, oglądając się niekiedy w obawie, czy ktoś ich nie słyszy, szeptali o jakichś zupełnie niestworzonych rzeczach. Duży, tęgi, mięsisty, o żwawych świńskich oczkach, który siedział przy oknie, cicho komunikował swemu niziutkiemu sąsiadowi, że trumnę trzeba było nakryć czarną kapą...

– Niemożliwe! – szeptał wstrząśnięty niziutki. – Coś podobnego! To niesłychane!... A co zrobił Żełdybin?

Poprzez miarowy warkot silnika trolejbusu można było usłyszeć słowa spod okna:

– Milicja... skandal... no, po prostu mistyka!

Z tych strzępków Małgorzacie udało się zestawić coś, co miało jaki taki sens. Obywatele ci szeptali sobie, że jakiemuś nieboszczykowi (nie mówili jakiemu) skradziono dziś rano z trumny głowę...

Wreszcie znudziło się Małgorzacie słuchanie tej tajemniczej gadaniny o głowie ukradzonej z trumny i ucieszyła się, że już wysiada.

W kilka chwil później siedziała już na ławce pod murem Kremla, usiadła tak, że mogła

widzieć plac Maneżu.

Mrużyła oczy w ostrym słońcu, rozpamiętywała swój dzisiejszy sen, wspominała, jak to przez równiutko rok dzień w dzień o tej samej godzinie siadywała na tejże ławce z mistrzem. I zupełnie tak samo jak wtedy leżała na ławce obok niej czarna torebka. Mistrz nie siedział dziś obok niej, ale Małgorzata rozmawiała z nim w myślach: “Czemu nie dajesz o sobie znać? Przestałeś mnie kochać? Nie, jakoś nie mogę w to uwierzyć. A więc umarłeś... Jeśli tak, to proszę – zwolnij mnie, pozwól mi wreszcie żyć, oddychać!” Małgorzata sama sobie odpowiadała w zastępstwie mistrza: “Jesteś wolna... czyż ja cię trzymam w niewoli?” A potem znów protestowała: “O nie, cóż to za odpowiedź? Odejdź z mojej pamięci, dopiero wtedy będę wolna...”

Ludzie przechodzili obok Małgorzaty. Jakiś mężczyzna spojrzął spod oka na dobrze ubraną kobietę, zainteresowała go jej uroda i samotność. Odkasznął i usiadł na brzeжку tej samej ławki, na której siedziała Małgorzata. Zaczerpnął tchu i powiedział:

– Jednakowoż ładna mamy dziś pogodę...

Ale Małgorzata popatrzyła na niego tak posępnie, że mężczyzna wstał i odszedł.

“Oto masz przykład – mówiła w myśli Małgorzata do tego, do którego należała. – Dlaczego właściwie przepłoszyłam tego mężczyznę? Nudzi mi się, a ten lowelas w niczym nie jest gorszy od innych, no, może tylko to głupie “jednakowoż”... Dlaczego siedzę jak sowa, sama jedna pod murem? Dlaczego wyrwano mnie z życia?”

Zwiesiła głowę i pogrążyła się w smutku. Ale nagle ta sama co rano fala wzburzenia i oczekiwania uderzyła ją w pierś: “Tak, coś się dziś wydarzy!” Fala napłynęła po raz drugi i wtedy Małgorzata zrozumiała, że jest to fala dźwięków. Przez hałas miasta coraz wyraźniej przedzierał się głos bębna i dźwięki nieco fałszujących trąb.

Pierwszy ukazał się przejeżdżający stępą obok parkowego ogrodzenia konny milicjant, za nim maszerowali trzej piesi. Następnie ukazała się jadąca powoli ciężarówka z orkiestrą. Wreszcie wolno posuwający się otwarty nowy samochód–karawan, na nim trumna pokryta wieńcami, obok trumny w rogach platformy stało czworo ludzi – trzech mężczyzn i kobieta.

Małgorzata odprowadziła kondukt wzrokiem, wsłuchiwała się w zacichający w dali smętny głos wielkiego bębna, powtarzający ciągle jedno i to samo “bums, bums, bums” i myślała: “Jaki dziwny pogrzeb... i jaki smutek ogarnia od tego “bumsa”. Ach, doprawdy zaprzedałabym duszę diabłu, żeby się tylko dowiedzieć, czy on żyje?... Ciekawe, czyj to pogrzeb?”

– Michała Aleksandrowicza Berlioza – usłyszała obok siebie męski, nieco nosowy głos –

przewodniczącego Massolitu.

Małgorzata odwróciła się zdziwiona i zobaczyła na ławce obok siebie obywatela, który musiał przysiąc się bezszelestnie, kiedy Małgorzata – zapatrzywszy się na żalobną procesję – ostatnie swoje pytanie przez roztargnienie wypowiedziała widocznie na głos.

Tymczasem kondukt zwolnił, najwidoczniej wstrzymywały go światła na skrzyżowaniu.

– Tak – mówił dalej niewiadomy obywatel – panuje wśród nich doprawdy niespotykany nastrój. Wiozą nieboszczyka, a myślą o tym, gdzie też się mogła zapodziać jego głowa.

– Jaka głowa? – zapytała Małgorzata wpatrując się z uwagą w niespodziewanego rozmówcę. Sąsiad jej, jak się okazało, był niewielkiego wzrostu, płomiennie rudy, posiadał wielki kiel, zaś na sobie miał wykrochmaloną koszulę, pasiasty garnitur w dobrym gatunku, na nogach lakierki, a na głowie melonik. Krawat jaskrawy. Zdumiewające było to, że z kieszonki, w której zwykle mężczyźni noszą chusteczki lub wieczne pióra, wystawało mu ogryzione kurze udko.

– Proszę tylko pomyśleć – wyjaśniał rudy – dziś rano z sali u Gribojedowa ktoś gwizdnął z trumny głowę nieboszczyka.

– Jak to się mogło stać? – machinalnie zapytała Małgorzata wspominając jednocześnie szepty w trolejbusie.

– A diabli wiedzą jak! – nonszalancko odpowiedział rudy. – I co najważniejsze, to niepojęte, komu i do czego może być potrzebna taka głowa!

Chociaż Małgorzata była bardzo zajęta swoimi sprawami, to jednak zadziwiły ją dziwaczne łągarstwa nieznanego obywatela.

– Chwileczkę! – zawołała nagle. – Jakiego Berlioza? Tego, co to dzisiaj w gazetach...

– A tak, tak...

– To znaczy, że za trumną idą literaci? – zapytała Małgorzata.

– No jasne, że literaci!

– A pan ich zna?

– Wszystkich co do jednego – odpowiedział rudy.

– Proszę mi powiedzieć – wyrzekła Małgorzata, a głos jej stał się głuchy – czy nie ma wśród nich krytyka Łatuńskiego?

– Jakże go może nie być? – odpowiedział rudy. – Ten w czwartym rzędzie z samego brzegu to właśnie on.

– Ten blondyn? – mrużąc oczy zapytała Małgorzata.

– Z popielatymi włosami... o, wzniosł oczy do nieba!

– Podobny do pastora?

– O to, to!

O nic więcej Małgorzata nie spytała – zapatrzyła się na Łatuńskiego.

– Jak widzę – z uśmiechem powiedział rudy – nienawidzi pani tego Łatuńskiego, Małgorzato
Nikołajewna!

Małgorzata zdziwiła się.

– Pan mnie zna?

Zamiast odpowiedzi rudy zamasyście skłonił się melonikiem.

“Wypisz wymaluj – morda rozbójnika!” – pomyślała Małgorzata wpatrując się w ulicznego przybłędę.

– A ja pana nie znam – odpowiedziała oschle.

– Skąd mnie pani może znać? A nawiasem mówiąc, to przysłano mnie do pani z interesem.

Małgorzata odsunęła się gwałtownie i zbladła.

– Nic nie rozumiem, z jakim interesem?

Rudy obejrzał się i powiedział tajemniczo:

– Polecono mi, żebym na dziś wieczór panią zaprosił.

– Co pan bredzi? Do kogo?

– Do pewnego bardzo ważnego cudzoziemca – przymrużając oko znacząco powiedział rudy.

Małgorzata bardzo się rozgniewała.

– Jak widzę, rodzi się nowa profesja – uliczny stręczyciel! – powiedziała wstając z ławki, aby odejść, i usłyszała wtedy głos rudego:

– Ciemność, która nadciągnęła znad Morza Śródziemnego, okryła znenawidzone przez procuratora miasto. Zniknęły wiszące mosty, łączące świątynię ze straszliwą wieżą Antoniusza, otchłań zvaliła się z niebios i pochłonęła skrzydlatych bogów ponad hipodromem... Niech panią piekło pochłonie razem z tym nadpalonym brulionem i z zaszuszoną różą! Niech sobie pani siedzi samotnie na ławce i błaga go, żeby wypuścił panią na wolność, pozwolił poddychać powietrzem, zniknął z pamięci!

Małgorzata ze zbielełą twarzą wróciła na ławkę. Rudy popatrzył na nią spod przymrużonych powiek.

– Nic nie rozumiem – powiedziała cicho. – O bibułce to jeszcze można się dowiedzieć...

podejrzec, podpatrzeć... Ale jak pan poznał moje myśli? – cierpienie zbrzydziło jej czoło i dodała: – Niech mi pan powie, kim pan jest?

– To ci utrapienie... – wymruczał rudy. – Niech pani usiądzie.

Małgorzata usłuchała bez sprzeciwu, ale siadając zapytała jednak jeszcze raz:

– Kim pan jest?

– No, niech już będzie, nazywam się Asasello, ale przecież to i tak nic pani nie mówi.

– Ale pan coś o nim wie – błagalnie wyszeptała Małgorzata.

– Powiedzmy, że wiem.

– Błagam, niech mi pan powie tylko jedno... żyje? Niech mnie pan nie męczy!

– No żyje, żyje – niechętnie odrzekł Asasello.

– O Boże!

– Tylko proszę bez hysterii – nachmurzył się Asasello

– Przepraszam, przepraszam – szeptała pokorna teraz Małgorzata – Oczywiście, rozgniewałam się na pana. Ale, zgodzi się pan chyba, że kiedy na ulicy ktoś nagle zaprasza kobietę... nie mam przesądów, zapewniam pana – Małgorzata uśmiechnęła się niewesoło – ale ja nigdy nie widuję się z cudzoziemcami i nie mam ochoty nawiązywać z nimi stosunków towarzyskich... a przy tym mój mąż... na tym polega mój dramat, że żyję nie z tym, którego kocham... ale uważam, że byłoby podłością zmarnować mu karierę... Z jego strony spotkało mnie tylko dobro...

Asasello z widocznym znudzeniem wysłuchał tego niezbyt jasnego przemówienia i powiedział surowo:

– Poproszę, aby pani na chwilę przestała mówić.

Małgorzata pokornie zamilkła.

– Cudzoziemiec, do którego panią zapraszam, jest całkowicie niegroźny. I żywa dusza nie będzie wiedziała o pani wizycie. Za co jak za co, ale za to mogę pani ręczyć.

– Co to za cudzoziemiec?! – tak głośno zawołała poruszona do głębi Małgorzata, że zwróciła na siebie uwagę mijających ławkę przechodniów. – I po co miałabym iść do niego?

Asasello pochylił się ku niej i szepnął znacząco:

– No, powiedzmy, że ma pani w tym interes... skorzysta pani z okazji...

– Co? – zawołała Małgorzata i oczy jej zrobiły się okrągłe. – Jeśli pana dobrze rozumiem, oznacza to, że będę się tam mogła czegoś o nim dowiedzieć?

Asasello w milczeniu skinął głową.

– Jadę! – z mocą zawołała Małgorzata i chwyciła go za rękę. – Jadę, dokąd pan tylko chce!

Asasello posapując z ulgą opadł na oparcie ławki zakrywając plecami wyskrobane wielkimi literami słowo “Niura” i powiedział z ironią:

– Ciężka sprawa z tymi kobietami! – wepchnął ręce w kieszenie i wyciągnął nogi przed siebie. – Dlaczego akurat mnie do tego oddelegowali? Niechby jechał Behemot, Behemot ma wdzięk...

Małgorzata zaczęła mówić z ironicznym i gorzkim uśmiechem:

– Niech pan przestanie mnie mistyfikować i zamęczać zagadkami. Jestem przecież bardzo nieszczęśliwa i pan to wykorzystuje... Pakuję się w jakąś dziwną historię, ale przysięgam, robię to tylko dlatego, że pan o nim wspomniał! Kręci mi się w głowie od tych wszystkich niepojętych rzeczy...

– Tylko bez dramatów – wykrzywiając się powiedział Asasello. – Trzeba się też postawić i w mojej sytuacji. Dać administratorowi po mordzie albo wyrzucić z domu wujaszka, albo postrzelić kogoś, albo jakiś tam jeszcze drobiazg w tym stylu to moja właściwa specjalność. Ale rozmowy z zakochanymi kobietami – o, dziękuję, pokorny sługa!... Przecież już pół godziny panią namawiam... Więc jedzie pani?

– Jadę – prosto odpowiedziała Małgorzata.

– W takim razie zechce pani przyjąć to – powiedział Asasello, wyjął z kieszeni złote okrągłe puzderko i wręczył je Małgorzacie ze słowami: – Niechże je pani schowa, przecież ludzie patrzą. Ono się pani przyda, Małgorzato Nikołajewna, pani się solidnie zestarzała ze zmartwienia przez ostatnie pół roku. – Małgorzata zaczerwieniła się, ale nie odpowiedziała nic, a Asasello mówił dalej. – Dzisiaj wieczorem, punktualnie o wpół do dziesiątej, będzie pani uprzejma rozebrać się do naga i natrzeć tą maścią twarz i całe ciało. Potem może pani robić, co pani chce, ale proszę nie oddalać się od telefonu. O dziesiątej zadzwonię do pani i powiem wszystko, co trzeba. Zostanie pani dostarczona na miejsce bez żadnych kłopotów i o nic nie będzie się pani musiała troszczyć. Jasne?

Małgorzata milczała chwilę, potem odrzekła:

– Jasne. To pudełko jest ze szczerego złota, widać po wadze. No cóż, świetnie rozumiem, że mnie przekupują i wciągają w jakąś ciemną historię i że drogo za to zapłacę...

– Co to ma znaczyć? – nieomal zasyczał Asasello. – Znowu?...

– Nie, niech pan poczeka!

– Proszę mi zwrócić krem!

Małgorzata mocniej zacisnęła puzderko w dłoni.

– Niech pani odda! – ze złością krzyczał Asasello. – Proszę oddać i do diabła z tym wszystkim! Niech pošlą Behemota!

– O nie! – wprawiając w zdumienie przechodniów zawołała Małgorzata. – Zgadzam się na wszystko, zgadzam się na tę komedię z wcieraniem maści, zgadzam się jechać, gdzie diabeł mówi dobranoc! Nie oddam!

– Ba! – nagle wrzasnął Asasello i wytrzeszczając oczy na sztachety parku pokazał coś palcem.

Małgorzata spojrzała w stronę, w którą wskazywał Asasello, ale nic szczególnego tam nie zauważyła. Kiedy odwróciła się znowu do Asasella, chcąc otrzymać wyjaśnienie w sprawie tego idiotycznego „Ba!”, już nie miał kto udzielić jej owego wyjaśnienia – tajemniczy rozmówca Małgorzaty zniknął.

20. Krem Asasella

Poprzez gałęzie klonu widać było wiszący na wieczornym bezchmurnym niebie krągły księżyc. Lipy i akacje rozrysowały ziemię w ogrodzie w zawiły wzór plam światła i cieni. W otwartym, ale zasłoniętym storą półokrągłym oknie w wieżyczce paliło się wściekle światło elektryczne. W sypialni Małgorzaty paliły się wszystkie lampy oświetlając panujący w pokoju nieopisany bałagan.

Na przykrytym kocem łóżku leżały koszulki, pończochy i świeża bielizna, zmięta zaś bielizna ponieważ się wprost na podłodze obok rozdeptanego w pośpiechu pudełka papierosów. Pantofle stały na nocnym stoliku obok nie dopitej filiżanki kawy i popielniczki, w której dymił niedopałek. Na oparciu krzesła wisiała czarna wieczorowa suknia. W pokoju pachniały perfumy. Przywędrował tu także skądś zapach rozgrzanego żelazka.

Małgorzata siedziała przed lustrem w zamszowych czarnych pantoflach i w płaszczu kąpielowym narzuconym na nagie ciało. Zegarek na złotej bransoletce leżał przed nią obok otrzymanego od Asasella pudreczka i Małgorzata nie spuszczała oczu z cyferblatu.

Chwilami wydawało się jej, że zegarek się zepsuł i że jego wskazówki nie poruszają się. Poruszały się jednak, acz bardzo powoli, jak gdyby lepiąc się do tarczy, aż wreszcie dłuższa wskazówka osiągnęła dwudziestą dziewiątą minutę po dziewiątej. Serce Małgorzaty załomotało tak strasznie, że nie mogła nawet sięgnąć od razu po pudrko. Kiedy wzięła się w garść i otworzyła je, zobaczyła, że zawiera tłusty żółtawy krem. Wydało jej się, że krem ten ma zapach bagiennego szlamu. Końcem palca Małgorzata nabrała sobie na dłoń odrobinę kremu, a wtedy jeszcze wyraźniej zapachniało lasem i ziołami z bagnisk, po czym zaczęła dłonią wcierać sobie krem w policzki i w czoło.

Krem łatwo się rozsmarowywał i natychmiast się ulatniał, tak przynajmniej wydawało się Małgorzacie. Posmarowawszy się po kilkakroć, spojrzała w lustro i upuściła pudrko prosto na szkiełko zegarka, które promieniście pękło. Zasłoniła oczy dłonią, potem spojrzała raz jeszcze i roześmiała się niepohamowanie.

Brwi wyszczypane w sznureczki zagęściły się i równymi czarnymi łukami legły nad pozieleniałymi oczyma. Delikatna pionowa zmarszczka u nasady nosa, która pojawiła się wtedy, w październiku, kiedy mistrz zaginął, zniknęła bez śladu. Zniknęły także żółtawe cienie na

skroniach i ledwie zauważalne kurze łapki przy zewnętrznych kącikach oczu. Skóra na policzkach równomiernie poróżwiała, czoło stało się białe i jasne, a trwała ondulacja również zniknęła bez śladu.

Na trzydziestoletnią Małgorzatę patrzyła z lustra kędzierzawa kruczowłosa dwudziestoletnia dziewczyna.

Naśmiawszy się do woli Małgorzata jednym susem wyskoczyła ze szlafroka, zaczerpnęła więcej tłustego pianistego kremu i zaczęła mocno wcierać go sobie w skórę. Ciało jej natychmiast poróżwiała, rozgrzało się. Potem w jednej chwili, jak gdyby ktoś wyciągnął igłę z mózgu, znikł ból w skroni, doskwierający cały wieczór po spotkaniu w ogrodzie Aleksandrowskim, w mięśniach rąk i nóg wstąpiła siła, a potem ciało Małgorzaty stało się nieważkie.

Podsoczyła i zawisła w powietrzu nieco ponad dywanem, potem coś ją powolutku zaczęło ściągać na ziemię, opadła.

– To mi krem! To mi krem! – zawołała rzucając się na fotel.

Krem zmienił ją nie tylko zewnętrznie. Teraz w Małgorzacie, w każdej części jej ciała, kipiała radość, którą odczuwała tak, jak gdyby w całym jej ciele kipiały maleńkie pęcherzyki. Małgorzata poczuła się wolna, wyzwolona ze wszystkiego. Poza tym było teraz zupełnie jasne, że stało się to, o czym już z rana powiedziało jej przecucie, że opuszcza willę i porzuca swoje dotychczasowe życie na zawsze. Ale oto od tego dotychczasowego życia oddzieliła się myśl o tym, że zanim rozpocznie się to nowe, niezwykle, to, co pociąga ją ku górze, w powietrze, ma do spełnienia jeszcze jeden, ostatni obowiązek. I tak jak stała, naga, co chwila wzbijając się w powietrze pobiegła z sypialni do gabinetu męża, zapaliła tam światło, podbiegła do biurka. Na wyrwanej z notesu kartce napisała ołówkiem szybko, bez skreśleń, dużymi literami:

“Przebacz mi i zapomnij o mnie jak najszybciej. Opuszczam cię na zawsze. Nie szukaj mnie, to się na nic nie zda. Na skutek klęsk i nieszczęść, które na mnie spadły, zostałam wiedźmą. Czas na mnie. Żegnaj.”

Małgorzata poczuła ogromną ulgę, przeleciała do sypialni, a zaraz za nią wbiegła tam obładowana rzeczami Natasza. I wszystkie te rzeczy, drewniane ramiączko z suknią, koronkowe chusteczki, niebieskie jedwabne pantofelki na prawidłach i pasek, wszystko to natychmiast posypało się na podłogę, a Natasza plasnęła w wolne już teraz dłonie.

– Co, ładna jestem? – ochryłym głosem głośno krzyknęła Małgorzata.

– Jakże to tak? – szeptała cofając się Natasza. – Jak pani to robi, Małgorzato Nikołajewna?

– To krem! Krem, krem! – odpowiedziała Małgorzata wskazując błyszczące złote pudełeczko i okręcając się przed lustrem.

Ogłupiała Natasza przez chwilę stojąc nieruchomo patrzyła na Małgorzatę, potem rzuciła się jej na szyję i całując ją wołała:

– Jak atlas! Aż jaśnieje! Czysty atlas! A brwi! Jakie brwi!

– Weź sobie wszystkie szmatki, perfumy i schowaj do swojego kuferka – wołała Małgorzata – tylko nie bierz kosztowności, bo cię posądzą o kradzież!

Natasza zgarnęła w tobole wszystko, co jej wpadło w ręce – sukienki, pantofle, pończochy i bieliznę – i wybiegła z sypialni.

Tymczasem gdzieś po przeciwnej stronie zaułka wyrwał się z otwartego okna i wyleciał w świat huraganowy, wirtuozerski walc, do uszu Małgorzaty dobiegł także warkot podjeżdżającego przed bramę samochodu.

– Zaraz zadzwoni Asasello – zawołała słuchając napływającego w zaułek walca. – Zadzwoni! A cudzoziemiec jest niegroźny, tak, teraz rozumiem, że jest niegroźny!

Samochód zawarczał odjeżdżając spod bramy. Stuknęła furtka i na płytach prowadzącej do willi alejki zatupotały kroki.

“To Mikołaj Iwanowicz, poznaję go po krokach – pomyślała Małgorzata – trzeba będzie zrobić na pożegnanie coś ciekawego i zabawnego”.

Małgorzata odciągnęła z okna zasłonę i usiadła bokiem na parapecie, objęła ramionami kolano. Światło księżyca polizało jej prawy bok. Uniosła głowę do księżyca i przybrała poetyczny i zamyślony wyraz twarzy. Jeszcze dwukrotnie obcasy uderzyły o płyty, potem kroki nagle ucichły. Małgorzata chwilę jeszcze podziwiała księżyc, westchnęła, bo tak wypadało, a potem odwróciła głowę i w ogrodzie rzeczywiście zobaczyła Mikołaja Iwanowicza, który mieszkał na parterze w tej samej willi. Księżyc oświetlał go wyraźnie. Mikołaj Iwanowicz siedział na ławce i wszystko wskazywało na to, że usiadł na niej zupełnie nieoczekiwanie. Binokle na jego nosie przekrzywiły się dziwnie, teczkę ścisnął w dłoniach.

– A, dobry wieczór, Mikołaju Iwanowiczu – smutnym głosem powiedziała Małgorzata. – Jak się pan ma? Wraca pan z zebrania?

Mikołaj Iwanowicz nic na to nie odpowiedział.

– A ja – ciągnęła Małgorzata, jeszcze bardziej wychylając się z okna – siedzę, jak pan widzi,

sama, nudzę się, patrzę sobie na księżyc i słucham walca...

Lewą dłonią powiodła po skroni poprawiając kosmyk włosów, potem powiedziała gniewnie:

– To niegrzecznie, Mikołaju Iwanowiczu! Mimo wszystko jestem przecież kobietą! Przecież to chamstwo – nie odpowiadać, kiedy ktoś mówi do pana.

Mikołaj Iwanowicz, którego w świetle księżycy widać było aż do ostatniego guziczka na szarej kamizelce, aż do ostatniego włoska w jasnej, spiczastej bródce, nagle uśmiechnął się dzikim uśmiechem, wstał z ławki i najwyraźniej zupełnie oglupiał ze zmieszania, zamiast zdjąć kapelusz machnął w bok teczką i ugiął kolana, jak gdyby zamierzał ruszyć w prysiuady.

– Ach, jaki pan jest nudny, Mikołaju Iwanowiczu! – ciągnęła Małgorzata. – W ogóle tak żeście mi wszyscy obrzydli, że nie potrafię panu tego wyrazić i jestem ogromnie szczęśliwa, że się z wami rozstaję! A niech was diabli wezmą!

W tej chwili w pokoju, za plecami Małgorzaty, zadzwonił telefon. Małgorzata zerwała się z parapetu i, zapominając o Mikołaju Iwanowiczu, chwyciła słuchawkę:

– Mówi Asasello – odezwano się w słuchawce.

– Asasello, kochany! – zawołała Małgorzata.

– Już czas. Niech pani wylatuje – powiedział w słuchawce Asasello, a ton, którym mówił, świadczył, że szczerzy entuzjazm Małgorzaty sprawiał mu przyjemność. – Kiedy będzie pani przelatywała nad bramą, proszę krzyknąć: “Niewidzialna”. Potem niech pani sobie trochę polata nad miastem, żeby się przyzwyczaić, a następnie proszę lecieć na południe, za miasto i wprost nad rzekę. Tam już na panią czekają!

Małgorzata odwiesiła słuchawkę i jednocześnie w sąsiednim pokoju rozległo się drewniane kuśtykanie i coś zaczęło dobijać się do drzwi. Małgorzata otworzyła i szczotka do zmiatania, włosiem ku górze, tańcząc wleciała do pokoju. Końcem kija stepowała po podłodze, wierzgała i rwała się ku oknu. Małgorzata pisnęła z zachwyty i wskoczyła na oklep na szczotkę. Dopiero wtedy błysnęła jeźdźczyni myśl, że wśród całego tego zamieszania zapomniała się ubrać. Pogalopowała do łóżka, złapała pierwszą z brzegu rzecz, jakąś niebieską koszulkę. Wymachując nią niczym sztandarem wyleciała przez okno. Jeszcze głośniej buchnął ponad ogrodem walc.

Małgorzata z okna spłynęła ku ziemi i zobaczyła na ławce Mikołaja Iwanowicza. Zastygł na ławce kompletnie oszołomiony wsłuchując się w krzyki i hałasy dobiegające z oświetlonej sypialni lokatorów z góry.

– Żegnam pana, Mikołaju Iwanowiczu! – zawołała Małgorzata tańcząc przed nim na

szczotce.

Mikołaj Iwanowicz jęknął i przebierając dłońmi po ławce odsunął się jak mógł, tak że strącił nawet na ziemię teczkę.

– Żegnajcie na zawsze! Odlatuję! – zagłuszając dźwięki walca wołała Małgorzata. Zrozumiała teraz, że koszula nie jest jej do niczego potrzebna i, zachichotawszy złowieszczo, zarzuciła ją Mikołajowi Iwanowiczowi na głowę. Oślepiiony Mikołaj Iwanowicz zwałił się z ławki na cegły alejki.

Małgorzata obejrzała się, żeby po raz ostatni popatrzeć na willę, w której tak długo cierpiała, i w jaśniejącym oknie zobaczyła wykrzywioną ze zdumienia twarz Nataszy.

– Żegnaj, Natasza! – zawołała Małgorzata i poderwała szczotkę. – Niewidzialna! Niewidzialna! – krzyknęła jeszcze głośniejsze i pomiędzy gałęziami klonu, które smagnęły ją po twarzy, przeleciała nad bramą i wyleciała w zaułek. A w ślad za nią poleciał całkiem już oszalały walc.

21. Lot

Niewidzialna! Niewidzialna!... Małgorzata przeleciała nad swoim zaułkiem, znalazła się nad innymi, krzyżującymi się z tamtym pod kątem prostym. W jednej chwili pozostawiła za sobą tę wylataną, wycerowaną, krzywą i długą uliczkę, wypaczone drzwi sklepu z materiałami łatwopalnymi, gdzie sprzedają naftę na kubki i flakony płynu na pasożyty, i wtedy zrozumiała, że aczkolwiek jest zupełnie wolna i niewidzialna, to przecież nawet w upojeniu powinna zachować trochę rozsądku. Doprawdy tylko cudem zdołała przyhamować i uniknąć roztrzaskania się o starą narożną latarnię. Uchyliła się jednak, mocniej ścisnęła szczotkę i poleciała wolniej, wypatrując przewodów elektrycznych i umieszczonych w poprzek trotuaru sztyldów.

Trzecia z kolei uliczka prowadziła wprost na Arbat. Doleciawszy tam Małgorzata całkiem już się oswoiła z kierowaniem szczotką, zorientowała się, że szczotka posłusznie reaguje na najlżejsze dotknięcie dłoni czy nogi, zrozumiała, że kiedy leci nad miastem, musi być bardzo uważna i nie może szaleć. Poza tym już w zaułku stało się jasne, że przechodnie nie widzą latawicy. Nikt nie zadzierał głowy, nie wołał: “Popatrz, popatrz!”, nikt nie uskakiwał na bok, nie piszczał ani nie mdłał, nikt nie wybuchał obłąkańczym śmiechem.

Małgorzata leciała bezgłośnie, bardzo powoli, niezbyt wysoko, mniej więcej na poziomie pierwszego piętra. Ale nawet przy tak powolnym locie na rogu oślepiająco rozjarzonego Arbatu trochę źle obliczyła i uderzyła ramieniem o jakąś oświetloną tarczę, na której namalowana była strzałka. To rozgniewało Małgorzatę. Osadziła posłuszną szczotkę, odleciała na bok, a potem runęła na tarczę i kijem od szczotki rozbiła ją znienacka w drobny mak. Posypało się z brzękiem szkło, przechodnie odskoczyli, gdzieś rozległ się gwizdek, a Małgorzata po tym niepotrzebnym wyczynie roześmiała się.

“Na Arbacie muszę być jeszcze ostrożniejsza – pomyślała – tyle tu wszystkiego ponapychali, że trudno się połapać”. Zaczęła nurkować między przewodami elektrycznymi. Przepływały pod nią dachy trolejbusów, autobusów i samochodów osobowych, chodnikami zaś – tak się wydawało patrzącej z góry Małgorzacie – płynęły rzeki kaszkietów. Wypływały z tych rzek małe strumyczki, które wpadały w ogniste czeluści wieczornych sklepów.

Minęła Arbat, wzniosła się wyżej, na wysokość trzeciego piętra, i mijając jarzące się oślepiająco rurki na narożnym budynku teatru wpłynęła w wąski zaułek zabudowany wysokimi

kamienicami. Wszystkie okna w tych domach były pootwierane, ze wszystkich dobiegała muzyka z radia. Małgorzata z ciekawości zajrzała do któregoś okna. Zobaczyła kuchnię. Na blasze huczały dwa prymusy, obok nich stały i przemawiały się dwie kobiety.

– Jak się wychodzi z klozetu, to trzeba gasić po sobie światło, tyle pani powiem, Pelagio Piotrowna – mówiła ta, przed którą stał rondel z jakąś parującą potrawą – bo jak nie, to wystąpimy, żeby panią wykwaterowali.

– A pani to też dobra! – odpowiadała druga.

– Obieście dobre! – powiedziała dźwięcznie Małgorzata przesadzając parapet i wpływając do kuchni.

Obie zwaśnione odwróciły się na dźwięk głosu i zamarły z brudnymi łyżkami w dłoniach. Małgorzata ostrożnie wsunęła między nie rękę, zakręciła kurki obu prymusów, zgasiła je. Kobiety jęknęły i pootwierały usta. Ale Małgorzacie już się znudziło w kuchni i wyleciała z powrotem w zaułek.

Na końcu uliczki zwróciła jej uwagę wspaniała bryła siedmiopiętrowego, najwyraźniej dopiero co wybudowanego domu. Małgorzata obniżyła lot, wylądowała i zobaczyła, że fasada domu oblicowana jest czarnym marmurem, za szerokimi oszklonymi drzwiami widać czapkę ze złotym galonem i guziki portiera, a nad wejściem umieszczono złożone litery: “Dom Dramlitu”.

Małgorzata przyglądała się napisowi, zastanawiała się, co też by mogło znaczyć to słowo – “Dramlit”? Wzięła szczotkę pod pachę, weszła do sieni, potrącając drzwiami zdumionego portiera, i zobaczyła na ścianie obok windy wielką czarną tablicę, a na niej wypisane białymi literami numery mieszkań i nazwiska lokatorów. Wzniosła się nieco w powietrze i zaczęła pilnie czytać te nazwiska: Chustow, Dwubratski, Kwant, Bieskudnikow, Łatuński...

– Łatuński! – wrzasnęła przenikliwie. – Łatuński! To przecież on... przecież to on zgubił mistrza!

Portier przy drzwiach wytrzeszczając oczy, a nawet podskakując ze zdumienia patrzył na czarną tablicę nie mogąc zrozumieć, co to za dziwy – czemu mianowicie lista lokatorów zaczęła nagle krzyczeć.

Tymczasem Małgorzata spieszenie wznosiła się klatką schodową na górę i powtarzała w jakimś upojeniu:

– Łatuński osiemdziesiąt cztery... Łatuński osiemdziesiąt cztery...

I oto na lewo osiemdziesiąt dwa, na prawo osiemdziesiąt trzy, jeszcze wyżej, na lewo

osiemdziesiąt cztery! Tu! Otóż i wizytówka: “O. Łatuński”.

Zeskoczyła ze szczotki, kamienna podłoga podestu mile chłodziła jej rozpalone stopy. Zadzwoiła raz, zadzwoiła drugi. Nikt jednak nie otwierał. Mocniej nacisnęła guzik, usłyszała wściekły dzwonek w mieszkaniu Łatuńskiego. Tak, lokator spod osiemdziesiątego czwartego na siódmym piętrze do grobowej deski powinien być wdzięczny nieboszczykowi Berliozowi za to, że prezes Massolitu wpadł pod tramwaj i że zebranie poświęcone jego pamięci wyznaczone zostało akurat na ten wieczór. Pod szczęśliwą gwiazdą urodził się krytyk Łatuński – gwiazda ta ustrzegła go przed spotkaniem z Małgorzatą, która owego piątku została wiedźmą.

Nikt nie otwierał. Zatem Małgorzata co prędzej ruszyła na dół, odliczając piętra doleciała na parter, wymknęła się na ulicę, popatrzyła w górę, odliczyła piętra od zewnątrz, sprawdziła jeszcze raz – zastanawiała się, które okna mogą należeć do mieszkania Łatuńskiego. Tak, to musiało być tych pięć ciemnych narożnych okien na siódmym piętrze. Upewniwszy się co do tego Małgorzata uniosła się w powietrze i w kilka sekund później wchodziła przez otwarte okno do nie oświetlonego pokoju, w którym srebrzyło się tylko wąziutkie pasemko księżycowej poświaty na podłodze. Małgorzata pobiegła po tym pasemku, namacała wyłącznik.

Po chwili w całym mieszkaniu paliło się światło. Szczotka stała w kącie. Upewniwszy się, że nie ma w domu nikogo, Małgorzata otworzyła drzwi na klatkę schodową, sprawdziła, czy opatrzone są właściwą wizytówką. Wizytówka była na swoim miejscu, Małgorzata trafiła właściwie.

No cóż, krytyk Łatuński podobno jeszcze dziś blednie, kiedy sobie przypomni ów straszliwy wieczór, do dziś imię Berlioza wymawia ze czcią. Doprawdy nie wiadomo, jaka posępna i bezecna zbrodnia upamiętniłaby ten wieczór – Małgorzata wyszła z kuchni trzymając ciężki młotek. Niewidzialna latawica hamowała się jak mogła, starała się zachować spokój, ręce jej się trzęsły z niecierpliwości. Starannie wycelowawszy uderzyła w klawisze fortepianu i w całym mieszkaniu rozbrzmiał pierwszy żałobny akord. Bogu ducha winny gabinetowy beckerowski instrument krzyczał jak opętany. Wyłamywały się klawisze, kość słoniowa, którą były oklejone, pryskała na wszystkie strony. Instrument wył, chrypiał, podzwaniał.

W łazience straszliwie szumiała woda, w kuchni także. “Chyba już się przelewa na podłogę...” – pomyślała Małgorzata i dorzuciła na głos: – Ale nie ma się co zasiadywać.

Z kuchni do przedpokoju rwał już strumień. Chlupiąc po wodzie bosymi stopami Małgorzata wiadrami nosiła wodę z kuchni do gabinetu. Następnie w tymże gabinecie rozbiła młotkiem

drzwi szafy i pobiegła do sypialni. Rozbiła lustrzaną trzydrzwiową szafę, wyciągnęła z niej garnitur krytyka i utopiła go w wannie.

Zniszczenia, których dokonywała, sprawiały jej mnóstwo satysfakcji, ale jednocześnie wydawało jej się przez cały czas, że osiąga zbyt mizerne rezultaty.

Tymczasem pod osiemdziesiątym drugim, piętro niżej, gosposia dramatopisarza Kwanta siedziała w kuchni, popijała herbatę i zachodziła w głowę, co też to za hałasy, łomoty i bieganinę słychać na górze. Zadarła głowę i nagle zobaczyła, że sufit w oczach zmienia kolor, z białego staje się trupiosiny. Plama rosła w oczach, zaczęły nabrzmiwać na niej krople. Gosposia przez dwie minuty siedziała przyglądając się dziwnemu zjawisku, aż wreszcie rześisty deszcz lunął z sufitu i zabębnił po podłodze. Wtedy zerwała się, podstawiła miednicę, co niewiele pomogło, ponieważ deszcz padał na coraz większym obszarze, lało się już na kuchnię i na stół pełen naczyń. Krzyknęła więc, wybiegła na klatkę schodową i zaraz w mieszkaniu Łatuńskiego zaczął się urywać dzwonek.

– No, już dzwonią... Czas kończyć – powiedziała Małgorzata. Dosiadła szczotki nasłuchując kobiecego głosu drącego się w dziurkę od klucza:

– Otwórzcie! Otwórzcie! Dusia, otwórz! To od was woda się leje? Zalało nas!

Małgorzata uniosła się na metr ponad podłogę i uderzyła młotkiem w żyrandol. Dwie żarówki eksplodowały, na wszystkie strony posypały się kryształowe wisiorki. Przystano krzyżeć w dziurkę od klucza, ze schodów dobiegł tupot nóg. Małgorzata wypłynęła przez okno, znalazłszy się za oknem zamachnęła się z lekka i uderzyła młotkiem w szybę. Szkło załkało i po marmurowym frontonie sypnęła się na dół kaskada odłamków. Małgorzata podleciała do następnego okna. Daleko w dole na trotuarze rozbiegali się przechodnie, jeden z dwóch stojących przed bramą samochodów zatrąbił i odjechał.

Tłum biegł zaułkiem w stronę domu Dramlitu, a i w samym domu po wszystkich klatkach schodowych biegali miotający się bez celu i sensu ludzie. Gosposia Kwanta krzychała do tych, którzy biegli po schodach, że zalało ich mieszkanie, a wkrótce przyłączyła się do niej służąca Chustowa spod osiemdziesiątego, dwa piętra niżej. U Chustowów zaczęło się lać z sufitów, w kuchni i w łazience. W końcu w kuchni Kwantów oderwał się od sufitu olbrzymi kawał tynku, potłukł wszystkie brudne naczynia, a potem zaczęła się prawdziwa ulewa, ze szpar wybrzuszonej, namokniętej podsufitówki lunęło jak z cebra.

Przelatując obok przedostatniego okna na trzecim piętrze Małgorzata zajrzała doń i zobaczyła

człowieka, który w panice naciągał na twarz maskę gazową. Przeraził się i wypadł z pokoju, kiedy Małgorzata uderzyła młotkiem w szybę.

Straszliwy pogrom zakończył się zniecka. Obniżywszy się na wysokość drugiego piętra Małgorzata zajrzała do zaciągniętego cienką zasłoną okna przy ścianie szczytowej. W pokoju paliła się słaba nocna lampka z abażurem. W małym łóżeczku z siatką siedział czteroletni może chłopczyk i z przerażeniem nasłuchiwał, co się dzieje. Nikogo dorosłego nie było w pokoju, wszyscy wybiegli z mieszkania.

– Tłuką szyby – powiedział chłopczyk i zawołał: – Mamo!

Nikt mu nie odpowiedział, a wówczas chłopczyk oświadczył:

– Mamo, ja się boję.

Małgorzata uchyliła zasłony i wleciała do pokoju.

– Boję się – powtórzył chłopczyk i zacząć drżeć.

– Nie bój się, nie bój się, malutki – powiedziała Małgorzata starając się nadać swemu ochryplemu na wietrze, zbrodniczemu głosowi jak najłagodniejsze brzmienie – to chłopcy wybijali szyby.

– Z procy? – zapytał chłopczyk i przestał dygotać.

– Z procy, z procy – przytaknęła Małgorzata – śpij już.

– To Sitnik – powiedział chłopiec – on ma procę.

– Pewnie, że on!

Chłopczyk chytrze spojrział gdzieś w bok i zapytał:

– A gdzie ty jesteś, ciociu?

– Mnie nie ma – odpowiedziała mu Małgorzata – ja ci się śnię.

– Tak sobie myślałem – powiedział chłopczyk.

– Kładź się – poleciła Małgorzata – podłóż rękę pod policzek, a ja ci się będę śniła.

– No to się śnij – przystał na to mały, natychmiast się położył i podłożył dłoń pod policzek.

– Opowiem ci bajkę – zaczęła mówić Małgorzata i położyła rozpaloną dłoń na ostrzyżonej główce. – Była sobie razu pewnego ciocia... Nie miała dzieci i w ogóle nie była szczęśliwa. Więc ta ciocia najpierw długo płakała, a potem zrobiła się taka zła... – Małgorzata zamilkła, zabrała dłoń, chłopczyk spał.

Po cichutku odłożyła młotek na parapet i wyleciała za okno. Przed domem był sądny dzień. Ludzie krzycząc coś biegli wyasfaltowanym chodnikiem osypanym potłuczonym szkłem. Wśród

nich widać już było milicjantów. Nagle zagrział dzwon i od strony Arbaijij wpadł w zaułek czerwony samochód strażacki z drabiną.

Ale Małgorzata nie interesowała się tym, co będzie dalej. Uważając, żeby nie zaczepić o żaden przewód, ścisnęła mocniej szczotkę i w mgnieniu oka wzniosła się ponad dach pechowego domu. Zaułek pod nią przechylił się na bok i zapadł gdzieś w głąb. Pod stopami Małgorzaty miejsce jego zajęła cizba dachów pod różnymi kątami poprzecinana połyskliwymi ściekami. Wszystko to nagle odpłynęło w bok, łańcuszki świateł rozmasały się i zlały ze sobą.

Małgorzata wykonała jeszcze jeden zryw, wówczas ziemia pochłonęła całą tę cizbę dachów, a na ich miejscu pojawiło się na dole jezioro rozedrganych świateł elektrycznych i owo jezioro zniecka wzniosło się pionowo ku górze i znalazło się ponad głową Małgorzaty – pod jej stopami zabłysnął księżyc. Zrozumiała, że wywinęła koziołka, wróciła do normalnej pozycji, obejrzała się i zobaczyła, że jeziora już nie ma i że tam, za jej plecami, widać już tylko różowiejącą na horyzoncie lunę. W sekundę później zniknęła i ona, a Małgorzata zrozumiała, że jest sam na sam z lecącym nad jej głową, nieco w lewo od niej, księżycem. Włosy Małgorzaty już od dawna były zmierzwione, księżycowa poświata ze świstem opływała jej ciało. Widząc, jak dwa szeregi rzadkich światełek w dole zlewają się w dwie nieprzerwane ogniste kreski, widząc, jak szybko owe kreski pozostają w tyle i nikną, Małgorzata domyśliła się, że leci z niesamowitą szybkością, i zdumiało ją, że nie zapiera jej tchu.

Minęło jeszcze kilka sekund i daleko w dole nad czernizną ziemi rozjarzyła się nowa elektryczna luna, zwaliła się pod stopy lecącej, ale w tejże chwili zawirowała jak śmigło i zapadła się pod ziemię. Jeszcze kilka sekund – i powtórzyło się dokładnie takie samo zjawisko;

– Miasta! Miasta! – zawołała Małgorzata. Potem dwa czy trzy razy widziała pod sobą jakieś mętnie odbłyśkujące klingi spoczywające w otwartych czarnych futerałach, domyśliła się, że to rzeki.

Zadzierając głowę do góry i spoglądając w lewo, lecąca napawała się widokiem księżyca, który jak oszalały pędził nad nią, z powrotem ku Moskwie, a zarazem w jakiś niepojęty sposób stał nieporuszony, tak że widać było na nim wyraźnie coś ciemniejszego i tajemniczego, ni to smoka, ni to konika–garbuska, który zwracał w stronę porzuconego miasta swój spiczasty pysk.

Za plecami Małgorzaty dał się słyszeć basowy poszum rozcinanego powietrza, poszum ów zaczął dopędzać lecącą. Powoli do owego poszumu czegoś, co mknęło niczym pocisk, dołączył się słyszalny w promieniu wielu wiorst śmiech kobiety. Małgorzata obejrzała się i zobaczyła, że

dopędza ją jakiś frymuśny ciemny kształt. Kształt ów, w miarę jak doganiał Małgorzatę, stawał się coraz wyrazistszy, widać już było, że to jakiś jeździec. Wreszcie wszystko stało się jasne – zwalniając biegu dopędziła Małgorzatę Natasza.

Była zupełnie naga, jej potargane włosy rozwiewał wiatr, leciała na oklep na spaśnym wieprzu, który w przednich racicach ścisnął teczkę, zadnimi zaś wściekle młócił powietrze. Niekiedy połyskujące w świetle księżyca, a potem znów gasnące binokle zsunęły mu się z nosa i trzymając się na tasiemce leciały za nim, kapelusz zaś co chwila zsuwał się wieprzowi na oczy. Małgorzata przyjrzawszy się dokładniej rozpoznała w opasie Mikołaja Iwanowicza, a wówczas jej przemieszany ze śmiechem Nataszy śmiech zagrział ponad lasami.

– Nataszka! – przenikliwie zawołała Małgorzata. – Nasmarowałaś się kremem?

– Kochana! – odpowiedziała jej Natasza budząc swoimi wrzaskami drzemiące sosnowe bory.

– Królowo ty moja francuska! Przecież ja i jemu posmarowałam łysinę, jemu też!

– Księżniczko! – płaczkliwie zawył wieprz galopując z amazonką na grzbiecie.

Natasza leciała obok i wśród śmiechów opowiadała jej, co zaszło w willi po odlocie Małgorzaty.

Przyznała się, że nie tykając nawet żadnej z podarowanych jej rzeczy rozebrała się do naga, pobiegła po krem i niezwłocznie nasmarowała się nim. Po czym stało się z nią to samo, co przedtem stało się z jej chlebodawczynią. Podczas gdy Natasza śmiejąc się z radości zachwycała się przed lustrem swą czarodziejską urodą, otworzyły się drzwi i stanął przed nią Mikołaj Iwanowicz. Był niezmiernie podniecony, trzymał w rękach koszulkę Małgorzaty i swój własny kapelusz oraz teczkę. Zobaczywszy Nataszę Mikołaj Iwanowicz zaniemówił. A kiedy oprzytomniał, oświadczył, czerwony jak rak, że uważał, iż jest jego obowiązkiem podnieść koszulkę i przynieść ją osobiście...

– Czego on nie wygadywał, ten świntuch! – piszczała i siniała się Natasza. – Do czego nie namawiał! Jaką forszę obiecywał! Mówił, że Klaudia Piotrowna o niczym się nie dowie! Co, może powiesz, że kłamie? – wołała do wieprza Natasza, ten zaś, skonfundowany, tylko odwracał ryj.

Rozigrawszy się w sypialni, Natasza maznęła kremem Mikołaja Iwanowicza i osłupiała, zdumiona. Twarz wielce szanownego lokatora z parteru zwinęła się w ryj, jego dłonie i stopy przemieniły się w racice. Mikołaj Iwanowicz spojrział w lustro, dziko zawył w rozpacz, ale było już za późno. W kilka chwil później z Natasza na grzbiecie, szlochając rozpaczliwie, wylatywał z Moskwy gdzieś do diabła.

– Domagam się przywrócenia mi mojego normalnego wyglądu! – nagle ni to wściekle, ni to błagalnie wykwiczał ochryple tucznik. – Małgorzato Nikołajewna, pani jest obowiązana przywołać do porządku swoją pomoc domową!

– Ach, to ja teraz dla ciebie jestem pomoc domowa? Pomoc domowa? – wołała Natasza targając wieprza za ucho. – A byłam bogini? Jak ty do mnie mówiłeś?

– Wenero! – płaczkliwie odpowiedział wieprz przelatując nad szumiącym wśród głązów strumieniem i potrącając racicami gałęzie leszczyn.

– Wenero! Wenero! – triumfalnie zawołała Natasza, jedną rękę opierając na boku, drugą zaś wyciągając ku księżycowi.

Ścisnęła piętami zapadnięte od szaleńczego galopu boki wieprza i ten tak się poderwał do biegu, że znowu rozpruł powietrze i po chwili Natasza mignęła daleko na przedzie jako mały czarny punkcik, a potem całkiem zniknęła z oczu, zagaśł poszum jej lotu.

Małgorzata nadal leciała powoli przez nieznanne pustynne okolice, nad wzgórzami usianymi leżącymi wśród ogromnych samotnych sosen wielkimi otoczakami. Leciała nie ponad wierzchołkami sosen, ale niżej, pomiędzy ich pniami wysrebrzonymi z jednej strony przez księżyc. Lekki cień leżącej pełził przed nią po ziemi, księżyc był teraz za plecami Małgorzaty.

Wyczuwała bliskość wody, domyślała się, że cel musi być już niedaleko. Sosny rozstały się i Małgorzata poszybowała powoli nad kredowe urwisko. W dole, za owym urwiskiem, leżała w ciemnościach rzeka. Mgła czepiała się porastających zbocze krzaków, snuła się między nimi, a przeciwległy brzeg rzeki był równinny i płaski. Pod samotną kępą jakichś rozłożystych drzew chwiało się na nim światełko ogniska i widać było tam czyjeś poruszające się sylwetki. Wydało się Małgorzacie, że dobiega stamtąd jakaś wesolutka, wibrująca muzyka. Dalej, tak daleko jak tylko można było sięgnąć spojrzeniem, nie było widać na wysrebrzonej równinie żadnych ludzkich siedzib ani w ogóle żywego ducha.

Małgorzata ześlizgnęła się z urwiska i spieszenie opuściła się ponad wodę. Woda nęciła ją po napowietrznej jeździe. Odrzuciła szczotkę i z rozbiegu, głową w dół, dała nura w nurt. Jej lekkie ciało przecięło lustro jak strzała, bryzgi wody sięgnęły nieomal do parnego księżyca. Woda była ciepła niczym w łaźni i Małgorzata wychynawszy z głębin popływała sobie do woli w tej nocnej rzece, sama, samiuteńka jak palec.

Potem gwizdnęła przeraźliwie, wskoczyła na szczotkę, która posłusznie podleciała na ten gwizd, i przemknęła nad wodą na drugi brzeg. Rzucany przez kredową górę cień nie sięgał tutaj i

cały brzeg zalany był światłem księżyca.

Skoro tylko Małgorzata dotknęła wilgotnych traw, muzyka spod wierzb zagrziała donośniej, weselej strzelił z ogniska snop iskier. Gałęzie wierzb usiane były widocznymi w księżycowej poświacie delikatnymi puszystymi baziami, a pod tymi gałęziami siedziały w dwóch szeregach żaby o tłustych pyskach, nadymały się, jakby były z gumy, i przygrywały na fujarkach brawurowego marsza. Przed każdą muzykantką wisiał na wierzbowej nitce kawałek świecącego próchna, próchno oświetlało nuty, chybotliwy odbłask ognia pełgał po żabich pyskach.

Marsza tego grano na cześć Małgorzaty. Przyjęto ją nadzwyczaj uroczyście. Przejrzyste rusałki przerwały swój taniec ponad rzeką i machały do Małgorzaty wodorostami, nad zielonkawym pustynnym brzegiem popłynęły ich donośne jękliwe pozdrowienia. Spoza wierzb wyskoczyły nagie wiedźmy, ustawiły się w szereg, zaczęły przysiądać w dwornych ukłonach. Ktoś na kozłach nogach podbiegł i przypadł do dłoni Małgorzaty, rozesłał na trawie jedwab, zapytał, czy przyjemnie się królowej kąpało, zaproponował, by zechciała się położyć i odpocząć nieco.

Małgorzata tak też uczyniła. Kozłonogi podał jej kielich szampana, wychyliła go i od razu zrobiło jej się raźniej. Zapytała, gdzie jest Natasza. Odpowiedziano jej, że Natasza już się wykapała i poleciała na swoim wieprzu do Moskwy, by uprzedzić tam, że Małgorzata już wkrótce nadciągnie, i by pomóc przygotowywać dla niej szaty.

Potem wszyscy zaczęli się zbierać do drogi. Rusałki dokończyły swój taniec w księżycowej poświacie i rozpląnęły się. Kozłonogi z szacunkiem zapytał, na czym Małgorzata przyleciała nad rzekę. Dowiedziawszy się, że przybyła na oklep na szczotce, powiedział:

– Och, jakże można, to nie uchodzi! – migiem sporządził z dwu patyków jakiś podejrzany telefon i zażądał od kogoś, by w tej sekundzie przysłał samochód, co rzeczywiście w tej samej sekundzie zostało wykonane.

Spadł na ostrów bułany kabriolet, ale za kierownicą nie siedział zwyczajny szofer, tylko czarny długodzioby gawron w ceratowym kaszkiecie i w rękawicach z rozciętymi mankietami. Wysepka pustoszała. Rozpląnęły się w blasku księżyca odlatujące wiedźmy. Ognisko dogasało, węgle pokrywały się siwym popiołem.

Kozłonogi podsadził Małgorzatę, spoczęła na przestronnym tylnym siedzeniu bułanego samochodu. Samochód zawył, skoczył i wzniósł się nieomal do samego księżyca, ostrów zniknął, zniknęła rzeka, Małgorzata pomknęła do Moskwy.

22. Przy świecach

Miarowy warkot lecącego wysoko ponad ziemią samochodu kołysał Małgorzatę do snu, a światło księżyca rozgrzewało ją mile. Zamknęła oczy, wystawiła twarz na wiatr i z niejakim smutkiem myślała o brzegu nieznannej rzeki, który opuściła i którego – czuła to – już nigdy więcej nie zobaczy. Po wszystkich cudach i cudenkach dzisiejszego wieczoru domyślała się już, do kogo ją wiozą, ale to jej nie przerażało. Nadzieja, że uda jej się tam zdobyć na powrót swoje szczęście, uczyniła ją nieustraszoną. Zresztą niedługo miała marzyć w samochodzie o tym szczęściu. Czy to gawron był takim mistrzem w swoim rzemiośle, czy to samochód był tak doskonały, dość że wkrótce otworzywszy oczy zobaczyła pod sobą nie ciemność boru, lecz rozedrgane jezioro świateł Moskwy. Czarny ptak–kierowca odkręcił w locie prawe przednie koło, a potem wylądował na jakimś zupełnie bezludnym cmentarzu gdzieś w pobliżu Dorogomiłowa.

Wysadziwszy przy którymś grobowcu o nic nie pytającą Małgorzatę wraz z jej szczotką, gawron zapuścił silnik i skierował samochód wprost na wąwóz za cmentarzem. Samochód runął w ten wąwóz z łoskotem i roztrzaskał się. Gawron z szacunkiem zasalutował, usiadł oklep na kole i odleciał.

A wtedy zza jednego z pomników ukazał się czarny płaszcz. Błysnął w świetle księżyca kiel i Małgorzata poznała Asasella. Asasello gestem zachęcił ją, by dosiadła szczotki, sam wskoczył na długi rapier, oboje wzbili się w powietrze i w kilka sekund później, nie zauważeni przez nikogo, wylądowali na Sadowej przed domem numer 302–A.

Kiedy niosąc pod pachą szczotkę i rapier weszli do bramy, Małgorzata zauważyła w niej zniecierpliwionego człowieka w kaszkiecie i w butach z cholewami, który zapewne czekał na kogoś. Choć kroki Małgorzaty i Asasella były zupełnie lekkie, ów samotny człowiek usłyszał je i drgnął z niepokojem, nie rozumiejąc, skąd też one dobiegają.

Nie zadzwonili do drzwi mieszkania numer pięćdziesiąt. Asasello po cichutku otworzył je własnym kluczem.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła Małgorzatę, były ciemności, w jakich się znalazła. Ciemno było jak w lochu, więc mimo woli chwyciła płaszcz Asasella, bala się bowiem, że się potknie. Ale nagle, gdzieś daleko i wysoko, zamigotało światelko jakiejś lampki, zaczęło się przybliżać.

Asasello wyjął Małgorzacie spod ramienia szczotkę i szczotka bezgłośnie zniknęła w ciemnościach.

Zaczęli wchodzić po jakichś szerokich schodach, Małgorzacie wydawało się, że schody nigdy się nie skończą. Zdumiewała się, jak w przedpokoju zwykłego moskiewskiego mieszkania mogą się pomieścić takie niezwykle, niewidoczne, ale przecież dobrze wyczuwane schody. Ale stopnie skończyły się, Małgorzata zorientowała się, że stoi na podeście. Światelko zbliżyło się tuż-tuż i Małgorzata ujrzała oświetloną twarz wysokiego czarnego mężczyzny, który trzymał latarenkę w dłoni. Ci, którzy w owe dni mieli nieszczęście stanąć na jego drodze, rozpoznaliby go, oczywiście, natychmiast, nawet przy tym wąłym świetle kaganka. Był to Korowiow, alias Fagot.

Jego powierzchowność, co prawda, bardzo się zmieniła. Migotliwy płomyk odbijał się nie w pękniętych binoklach, które dawno już powinny były znaleźć się na śmietniku, tylko w monoklu, co prawda również pękniętym. Wąsiki na jego bezczelnej twarzy były podkreślone i wypomadowane, a czerń Korowiowa dawała się bardzo prosto wytłumaczyć – był we fraku. Tylko gors mu biał.

Mag, regent cerkiewny, czarodziej, tłumacz czy diabli tam wiedzą kto wreszcie, słowem – Korowiow, skłonił się i zatoczywszy latarenką łuk w powietrzu zaprosił Małgorzatę, by podążyła za nim. Asasello zniknął.

“Zadziwiająco niezwykle wieczór – myślała Małgorzata – wszystkiego mogłam się spodziewać, ale przecież nie tego. Światło im się zepsuło czy co? Ale najbardziej zdumiewające są rozmiary tego pomieszczenia... Jakim cudem wszystko to może się zmieścić w moskiewskim mieszkaniu? Przecież doprawdy w żaden sposób nie może!”

– Pani pozwoli, że się jej przedstawię – zaskrzyphiał regent – Korowiow. – Dziwi to panią, że nie ma światła? Myśli pani z pewnością, że chodzi o oszczędność? Skądże! Niech pierwszy lepszy kat, chociażby jeden z tych, którzy dziś, nieco później, będą mieli zaszczyt ucałować pani kolano, na tym oto postumencie odrąbie mi głowę, jeśli to o to chodzi! Po prostu messer nie lubi światła elektrycznego, więc włączymy je w ostatniej chwili. A wtedy, proszę mi wierzyć, będzie go dosyć. Możliwe nawet, że byłoby lepiej, gdyby go było mniej.

Korowiow spodobał się Małgorzacie i jego zgrzytliwa gadanina podziałała na nią uspokajająco.

– Nie – odpowiedziała mu Małgorzata – najbardziej mnie zdumiewa, gdzie się to wszystko mieści. – Powiodła dłonią podkreślając w ten sposób nieograniczony ogrom sali.

Korowiow uśmiechnął się słodko, co spowodowało, że poruszyły się cienie w zmarszczkach jego nosa.

– To zupełnie proste! – odparł. – Ci, którzy są otrzaskani z piątym wymiarem, bez trudu mogą powiększyć lokal do potrzebnych rozmiarów. Powiem więcej, łaskawa pani – do czort wie jakich rozmiarów! Zdarzało mi się zresztą – paplał dalej Korowiow – spotykać ludzi, którzy nie tylko nie mieli zielonego pojęcia o piątym wymiarze, ale w ogóle o niczym nie mieli zielonego pojęcia, niemniej dokonywali najprawdziwszych cudów, jeśli chodzi o powiększenie swoich mieszkań. Tak więc opowiadano mi na przykład, że pewien mieszkaniec stolicy, otrzymawszy trzy pokoje z kuchnią na Ziemiłanym Wale, bez żadnego tam piątego wymiaru i innych takich rzeczy, od których można dostać kołowacizny, w mgnieniu oka przerobił je na cztery pokoje z kuchnią – jeden pokój przedzielił przepierzeniem na pół. Następnie zamienił to mieszkanie na dwa oddzielne mieszkania w różnych dzielnicach Moskwy, jedno trzy, a drugie dwupokojowe. Przyzna pani sama, że to już czyni pięć pokoi. Trzypokojowe zamienił na dwa oddzielne po dwa pokoje z kuchnią i stał się posiadaczem, jak sama pani to widzi, sześciu pokoi, co prawda rozrzuconych chaotycznie po całej Moskwie. Zamierzał właśnie wykonać ostatnią i najbardziej popisową woltę i zamieścił w gazecie ogłoszenie, że chce zamienić sześć pokoi w różnych punktach Moskwy na jedno pięciopokojowe mieszkanie na Ziemiłanym Wale, kiedy jego działalność ustała z przyczyn całkowicie od niego niezależnych. Być może, że zajmuje i teraz jakiś pokój, mogę panią jednak zapewnić, że nie w Moskwie. Proszę, to się nazywa człowiek z głową na karku, a pani tu opowiada o piątym wymiarze!

Małgorzata, choć o piątym wymiarze nawet się nie zająknęła – mówił o nim tylko Korowiow – wysłuchawszy opowieści o przygodach kombinatora mieszkaniowego roześmiała się wesoło. Korowiow tymczasem ciągnął:

– Ale do rzeczy, do rzeczy, Małgorzato Nikołajewna. Jest pani bardzo mądrą kobietą i bez wątpienia domyśliła się już pani, kim jest nasz gospodarz?

Serce Małgorzaty załomotało, skinęła głową.

– No, więc tak, więc tak – mówił Korowiow. – Jesteśmy wrogami wszelkich niedomówień i tajemniczości. Raz do roku messer wydaje bal. Jest to wiosenny bal pełni księżyca, zwany też balem stu królów. Tłumy!... – w tym miejscu Korowiow złapał się za szczękę, jak gdyby nagle rozboleł go ząb. – Zresztą mam nadzieję, że sama się pani o tym przekona. Tak więc, jak sama pani zapewne się domyśla, messer jest kawalerem. Potrzebna jest jednak gospodyni – Korowiow

rozłożył ręce – chyba zgodzi się pani, że bez gospodyni...

Małgorzata słuchała starając się nie uronić ani słowa, uczuła chłód pod sercem, nadzieja szczęścia powodowała zawrót głowy.

– Utarła się tradycja – mówił dalej Korowiow – że gospodyni balu musi mieć na imię Małgorzata, to po pierwsze, a po drugie – powinna pochodzić z miejscowości, w której bal się odbywa. A my, jak pani zechciała zauważyć, podróżujemy i obecnie znajdujemy się w Moskwie. Odszukaliśmy w tym mieście sto dwadzieścia jedną Małgorzatę i czy pani uwierzy – Korowiow z rozpaczą klepnął się po udzie – żadna się nie nadaje! Aż wreszcie szczęśliwy traf...

Korowiow uśmiechnął się znacząco, przegiął się w talii i Małgorzata znowu poczuła chłód pod sercem.

– Krótko mówiąc – zawołał Korowiow – żeby się mię rozwodzić: czy zgadza się pani przyjąć na siebie te obowiązki?

– Zgadzam się! – zdecydowanie odpowiedziała Małgorzata.

– To wszystko – powiedział Korowiow i wzniosłszy latarmkę dodał: – Proszę za mną.

Poszli pomiędzy kolumny, wreszcie dotarli do jakiejś innej sali, w której, nie wiedzieć czemu, mocno pachniało cytrynami, słychać było jakieś szelesty i w której coś musnęło głowę Małgorzaty. Korowiow zdmuchnął swoją latarenkę i zniknęła ona z jego dłoni, a Małgorzata zobaczyła leżącą na posadzce smużkę światła spod jakichś ciemnych drzwi. Korowiow cicho zapukał do tych drzwi. Wtedy Małgorzata tak się zdenerwowała, że zęby jej zaszczekały, a przez ciało przebiegł dreszcz.

Drzwi otworzyły się. Pokój był to bardzo nieduży. Małgorzata zobaczyła szerokie dębowe łóże, na nim brudne, zmięte i skopane prześcieradła i poduszki. Przed łóżem stał dębowy stół na rzeźbionych nogach, a na stole – kandelabr z gniazdami na świece w kształcie szponiastych ptasich łap. W siedmiu takich złotych szponach płonęło siedem grubych woskowych świec. Prócz kandelabra znajdowała się na stole wielka szachownica z figurkami nader misternej roboty. Na malutkim wytartym dywaniku stała niska ławeczka. Był tam jeszcze jeden stół, stał na nim jakiś złoty puchar i drugi kandelabr, którego ramiona zrobione były na kształt węży. W pokoju trwał zapach siarki i smoły. Na posadzce krzyżowały się cienie obu świeczników.

Wśród obecnych Małgorzata od razu poznała Asasella, teraz ubranego już we frak i stojącego w głowach łoża. Wystrojony Asasello nie przypominał już owego rozbójnika, jakim wydał się wtedy Małgorzacie w parku Aleksandrowskim, uklonił się jej również z nieopisaną galanterią.

Naga wiedźma, ta sama Helia, która tak zgorszyła czcigodnego bufetowego Varietes, i ta sama, niestety, którą, na całe szczęście, kogut spłoszył owej nocy po osławionym seansie, siedziała na podłodze, na dywaniku przed łóżem, i mieszała w garnku coś, z czego buchały pary siarki.

Oprócz nich znajdowało się jeszcze w pokoju olbrzymie czarne kocisko, które siedziało na wysokim taborecie przy stoliku szachowym i trzymało w prawej łapie szachowego konia.

Helia wstała i pokłoniła się Małgorzacie. Kocur zeskoczył z taboretu i uczynił to samo. Szurgając prawą zadnią łapą upuścił konia i poszukując go wlaź pod łożę.

Umierająca ze strachu Małgorzata w zdradliwych cieniach świec zaledwie zdołała to wszystko zauważyć. Jej uwagę przykuwało posłanie – siedział na nim ten, którego jeszcze tak niedawno biedny Iwan przekonywał na Patriarszych Prudach, że księżę ciemności nie istnieje. Nieistniejący siedział na łożu.

Dwoje oczu wpiło się w twarz Małgorzaty. Prawe, ze złotą iskierką na dnie, prześwidrowywało każdego na wylot, lewe, puste i czarne, było jak wąskie ucho igielne, jak wylot bezdennej studni wszelakich ciemności i cieni. Twarz Wolanda była wykrzywiona, prawy kącik jego ust opadał ku dołowi, wysokie łysiejące czoło bruździły głębokie, równoległe do ostrych brwi zmarszczki. Skórę na jego twarzy jak gdyby na wiek wieków przepaliła opalenizna.

Woland leżał wyciągnięty na pościeli, ubrany tylko w długą nocną koszulę, brudną i zacerowaną na lewym ramieniu. Jedną gołą nogę podkulił pod siebie, drugą wyciągnął i wsparł na ławeczce. Helia nacierała właśnie kolano tej ciemnej nogi jakąś dymiącą maścią.

Małgorzata dostrzegła jeszcze na nieowłosionej piersi Wolanda misternej roboty skarabeusza z ciemnego kamienia na złotym łańcuszku, żuk miał na grzbiecie jakieś hieroglify. Na masywnym postumencie obok Wolanda stał dziwny, jak gdyby żywy globus oświetlony z jednej strony promieniami słońca.

Przez kilka sekund trwało milczenie. “Ocenia mnie” – pomyślała Małgorzata i wysiłkiem woli spróbowała opanować drżenie kolan.

Woland uśmiechnął się wreszcie i przemówił, jego roziskrzone oko zabłysło przy tym.

– Witam cię, królowo, i proszę, byś mi wybaczyła mój domowy strój.

Głos Wolanda był tak niski, że przy niektórych sylabach przechodził w chrypienie.

Woland podniósł z łoża długą szpadą, pochylił się, pogrzebał szpadą pod łożkiem i powiedział:

– Wylaż! Przerywamy partię. Mamy gościa.

– Ależ – niczym sufler lekliwie świsnął Małgorzacie nad uchem Korowiów.

– Ależ... – zaczęła Małgorzata.

– Messer – tchnął jej w ucho Korowiów.

– Ależ, messer – opanowawszy się, cicho, ale wyraźnie powiedziała Małgorzata, potem uśmiechnęła się i dodała: – bardzo proszę, niechże pan nie przerywa sobie partii. Jestem pewna, że każde pismo szachowe wiele by zapłaciło za to, by móc tę partię przedrukować.

Asasello cicho chrząknął z zadowoleniem, Woland zaś uważnie przyjrzał się Małgorzacie i przywołał ją skinieniem. Podeszła, nie wyczuwając bosymi stopami posadzki. Woland położył jej na ramieniu swoją ciężką, jak gdyby z kamienia wykuta, a zarazem gorącą jak płomień rękę, przyciągnął Małgorzatę ku sobie i posadził ją obok siebie na łożu.

– No, skoro jest pani tak ujmująco uprzejma – powiedział – czego się zresztą spodziewałem, to dajmy pokój ceremoniom – znów schylił się nad krawędź łóżka i krzyknął: – Długo jeszcze będzie trwał cyrk pod tym łóżkiem? Wyjdiesz ty stamtąd, Hansie przeklęty!

– Nie mogę znaleźć konia – przytłumionym, fałszywym głosem odezwał się spod łóżka kocur – pocwałował gdzieś, a zamiast niego skacze tu jakaś żaba.

– Czy nie wydaje ci się aby, że jesteś na jarmarku? – zapytał Woland udając zagniewanie. – Nie ma i nie było pod łóżkiem żadnej zaby! Zachowaj te tandetne sztuczki dla Varietes. Jeśli w tej chwili nie wyjdiesz, to będziemy uważali, że poddałeś partię, przeklęty dezernerze!

– Za nic, messer – wrzasnął kot i natychmiast wylażł spod łóżka z koniem w łapie.

– Pragnę polecić pani... – zaczął Woland, ale sam sobie przerwał: – Nie, nie mogę patrzeć na tego błazna. Proszę popatrzeć, co on z siebie zrobił pod tym łóżkiem!

Zakurzony, stojący na tylnych łapach kocur kłaniał się tymczasem Małgorzacie. Miał teraz pod szyją białą muszkę, a na piersiach dyndało mu na rzemyku oprawne w masę perłową damskie lorgnon. Poza tym pozłocił sobie wąsy.

– Co to ma znaczyć? – zawołał Woland. – Dlaczegoś sobie pozłocił wąsy? I po kiego diabła ci ta muszka, skoro nie masz nawet spodni?

– Spodnie nie dotyczą kota, messer – niezmiernie godnie odpowiedział kocur. – Może polecisz mi, messer, włożyć jeszcze buty? Koty w butach występują jedynie w bajkach, messer. Ale czy zdarzyło ci się kiedykolwiek widzieć na balu kogoś, kto by nie był w muszce? Nie chciałbym znaleźć się w ośmieszającej sytuacji ani ryzykować, że zostanę wyrzucony za drzwi.

Każdy przystraja się, jak może. Weź pod uwagę, messer, że to, co powiedziałem, odnosi się także do Iorgnon!

– Ale wąsy?...

– Nie rozumiem – oschle zaprotestował kocur – dlaczego Asasello i Korowioł goląc się dzisiaj mogli się posypać białym pudrem i w czym biały puder jest lepszy od złotego? Upudrowałem sobie wąsy i to wszystko! Co innego, gdybym się ogolił! Ogolony kot to rzeczywiście shocking, zgoda, zawsze to przyznam. Ale w ogóle – tu w głosie kota zadrżała obraza – widzę, że robi się tu jakieś wycieczki pod moim adresem, widzę też, że staje przede mną poważny problem – czy aby powinienem iść na bal? Cóż mi na to odpowiesz, messer?

I obrażony kocur tak się nadał, że zdawało się – jeszcze sekunda, a pęknie.

– Ach, cóż to za nicpoń – mówił Woland kiwając głową – ilekroć sytuacja na szachownicy staje się dla niego beznadziejna, zaczyna odwracać uwagę jak najostatniejszy szarlatan na moście. Siadaj natychmiast i skończ z tą chałturą.

– Tak więc – Woland zwrócił się do Małgorzaty – pragnę przedstawić pani, mia donna, moją świtę. Ten, który się tu wygłupia, to kot Behemot, Asasella i Korowiołowa już pani zna, a oto Helia, moja wierna sługa – jest roztropna, pojętna i we wszystkim potrafi usłużyć.

Piękna Helia uśmiechała się zwracając ku Małgorzacie pełne zieleni oczy i nadal czerpała dłonią maść i okładała nią kolano Wolanda.

– No, to by było wszystko – zakończył Woland i skrzywił się, bo Helia mocniej ścisnęła jego kolano – towarzystwo, jak pani widzi, nieduże, mieszane i prostoduszne. – Zamilkł i zaczął obracać stojący przed nim globus tak przemyślnie sporządzony, że błękitne oceany falowały na nim, a na biegunie zalegała czapa ze śniegu i lodu, zupełnie jak prawdziwa. – Widzę, że zainteresował panią mój globus?

– O, tak, nigdy jeszcze nie widziałam niczego podobnego.

– Niebrzydki drobiazg. Prawdę mówiąc, nie lubię słuchać dzienników radiowych. Zawsze czytają je jakieś dziewczątka, które niewyraźnie wymawiają nazwy miejscowości. W dodatku co trzecia sepleni jakby specjalnie tam takie dobierano. Mój globus jest znacznie wygodniejszy w użyciu, tym bardziej że muszę mieć ściśle informacje o tym, co się dzieje. Czy widzi pani ten, na przykład, skrawek omywanego przez ocean lądu? Proszę popatrzeć, jak się rozżarzył. Wybuchła tam wojna. Jeśli przyjrzy mu się pani z bliska, zobaczy pani wszystko dokładnie.

Małgorzata pochyliła się w stronę globusa i zobaczyła, że kwadracik ziemi powiększa się,

nabiera wyrazistych barw i przekształca się jak gdyby w mapę plastyczną. Potem zobaczyła także wstążeczkę rzeki i jakąś osadę nad tą rzeką. Dom wielkości ziarnka grochu rozrósł się, był teraz jak pudełko zapalek. Nagle dach owego domu bezgłośnie wzleciał w kłębach czarnego dymu ku górze, ściany domu runęły i z piętrowego pudełeczka nie pozostało nic oprócz garstki popiołu, z której walił czarny dym. Nachyliwszy się jeszcze bliżej Małgorzata zobaczyła maleńką figurkę leżącą na ziemi kobiety, a obok niej, w kałuży krwi, maleńkie dziecko z rozrzuconymi rączkami.

– I po wszystkim – powiedział z uśmiechem Woland – przynajmniej nie zdążyło nagrzeszyć. Abbadona pracuje bez zarzutu.

– Nie chciałabym znajdować się po tej stronie, przeciwko której jest ów Abbadona – powiedziała Małgorzata. – Po czyjej on jest stronie?

– Im dłużej z panią rozmawiam – uprzejmie powiedział Woland – tym dobitniej się przekonuję, jak bardzo jest pani mądra. Mogę panią uspokoić. Abbadona jest wyjątkowo obiektywny i jednakowo współczuje obydwom walczącym stronom. Dzięki temu obie strony osiągają zawsze jednakowe wyniki. Abbadona! – niezbyt głośno zawołał Woland i natychmiast ze ściany wyłoniła się jakaś chuda postać w ciemnych okularach. Okulary te zrobiły na Małgorzacie tak wielkie wrażenie, że krzyknęła cichutko i wtuliła twarz w nogę Wolanda. – Niechże pani da spokój! – zawołał Woland. – Ach, jacy nerwowi są dzisiaj ludzie! – Z rozmachem klepnął Małgorzatę po plecach, aż zadźwięczało. – Przecież widzi pani, że on jest w okularach. Poza tym nigdy jeszcze się nie zdarzyło, i zresztą nigdy się nie zdarzy, żeby Abbadona ukazał się komukolwiek przedwcześnie. W końcu i ja tu jestem. Jest pani moim gościem! Po prostu chciałem go pani pokazać.

Abbadona stał bez ruchu.

– Czy on mógłby zdjąć na chwilę te okulary? – zapytała Małgorzata tuląc się do Wolanda i drżąc. Teraz jednak drżała już z Ciekawości.

– Co to, to nie – z powagą odpowiedział Woland, skinął dłonią Abbadonie i ten zniknął. – Co chciałeś powiedzieć, Asasello?

– Messer – odparł Asasello – śpieszę donieść, że mamy dwoje obcych: jakąś piękną dziewczynę, która zanudza błaganiami, żeby ją pozostawiono przy jej pani, a wraz z nią, przepraszam za wyrażenie, przybył jej wieprz.

– Dziwnie się zachowują te piękne dziewczyny! – zauważył Woland.

– To Natasza, Natasza! – zawołała Małgorzata.

– No, to pozostawcie ją przy jej pani. A wieprza – do kuchni.

– Chcecie go zarznąć? – z przerażeniem krzyknęła Małgorzata. – Na litość, messer, przecież to Mikołaj Iwanowicz, lokator z parteru. To nieporozumienie, Natasza, widzi pan, maznęła go kremem, i...

– Ależ, proszę pani – powiedział Woland – po kiego diabła miałby go kto zarznąć? Niech sobie posiedzi z kucharzami i koniec. Przyzna pani przecież, że nie mogę go wpuścić do sali balowej.

– No, tego by jeszcze brakowało – dorzucił Asasello i zameldował: – Zbliża się północ, messer.

23. Wielki bal u szatana

Zbliżała się północ, trzeba się było śpieszyć. Małgorzata jak przez mgłę widziała komnatę. Zapamiętała świece i basen z malachitu. Kiedy stanęła na dnie owego basenu, Helia i Natasza, która Helii pomagała, oblały ją jakąś gęstą, ciepłą, czerwoną cieczą. Małgorzata poczuła słonawy smak na wargach i zrozumiała, że kąpią ją we krwi. Miejsce krwawego płaszcza zajął potem inny, gęsty, przejrzysty, różowawy i Małgorzacie zakręciło się w głowie od zapachu olejku różanego. Potem położono ją na kryształowym łożu i zaczęto wycierać do sucha jakimiś wielkimi zielonymi liśćmi.

Wtedy wdarł się tam kocur i zaczął pomagać. Przycupnął w nogach łoża i naśladując ulicznego pucybuta nacierał stopy Małgorzaty.

Małgorzata nie pamięta, kto uszył jej pantofle z płatków bladej róży, nie pamięta, w jaki sposób te pantofle same zapięły się na złote klamerki. Jakaś nieznana siła poderwała ją i postawiła przed lustrem – we włosach jej błysnął królewski brylantowy diadem. Nie wiedzieć skąd zjawił się Korowiow i zawiesił Małgorzacie na piersiach, na ciężkim łańcuchu, ciężki medalion w owalnej ramie, przedstawiający czarnego pudła. Ta ozdoba strasznie zaciężyla królowej. Łańcuch z miejsca zaczął ocierać jej kark, medalion przyginał ją ku ziemi. Było jednak coś, co wynagrodziło Małgorzacie kłopoty, jakie jej sprawiał łańcuch z czarnym pudłem – był to szacunek, jaki jej zaczęli okazywać Korowiow i Behemot.

– To nic, to nic, to nic – mamrotał Korowiow przed drzwiami komnaty, w której znajdował się basen. – Cóż robić, tak trzeba, tak trzeba... Ale niech pani pozwoli, królowo, że dam jej jeszcze tylko jedną radę. Pośród gości będą różni, o, bardzo różni, ale nikogo, królowo Margot, proszę nie wyróżniać! Jeśli nawet ktoś się pani nie spodoba... ja wiem, oczywiście, że nie da pani tego po sobie poznać, o tym nie ma mowy! Zauważy, natychmiast zauważy! Jedyne wyjście to polubić takiego kogoś, trzeba go polubić, królowo! Gospodyni balu zostanie za to po stokroć wynagrodzona. I jeszcze jedno – proszę nie zapomnieć o nikim! Chociaż uśmiech, jeżeli nie starczy czasu, żeby rzucić jakieś słówko, choćby najłżejsze skinienie głowy! Cokolwiek pani zechce, byle tylko nikt nie zastał pominięty. Inaczej uświerkną ze zgryzoty...

I oto eskortowana przez Korowiowa i Behemota Małgorzata przekroczyła próg komnaty, w której był basen, i znalazła się w zupełnych ciemnościach.

– Ja, ja – szeptał kot – ja dam sygnał!

– Dawaj! – odpowiedział z ciemności Korowiow.

– Bal!!! – przeraźliwie wrzasnął kot i w tejże chwili Małgorzata krzyknęła i na kilka sekund zamknęła oczy. Bal zwałił się na nią najpierw pod postacią jasności, a zarazem dźwięku i zapachu. Unoszona pod rękę przez Korowiowa zobaczyła, że znalazła się w tropikalnym lesie. Papugi o czerwonych piersiach i zielonych ogonach dały się: “Jestem zachwycona!” Ale las, w którym duszno było jak w łaźni, wkrótce się skończył, znaleźli się w przewiewnej balowej sali pełnej kolumn z jakiegoś roziskrzonego żółtawego kamienia. Sala ta, podobnie jak las, była zupełnie pusta, tylko pod każdą kolumną stali obnażeni Murzyni w srebrnych zawojach. Kiedy wleciała do sali Małgorzata ze swoją świtą, w której nie wiedzieć skąd znalazł się również Asasello, twarze Murzynów poszarzały z przejęcia. Wówczas Korowiow puścił rękę Małgorzaty i szepnął:

– Wprost na tulipany!

Przed Małgorzatą wyrosła niska ściana białych tulipanów, a za tą ścianą Małgorzata zobaczyła nieprzeliczone ognie w małych kłoszach, a pod nimi białe gorsy i czarne wyfraczone plecy. Zrozumiała teraz, skąd to dobiegały odgłosy balu. Zwałił się na nią ryk trąb, a przedzierający się poprzez ów ryk wzlot skrzypiec oblał ją całą niczym krwią. Stupięćdziesięcioosobowa orkiestra grała poloneza.

Górujący nad orkiestrą mężczyzna we fraku zobaczywszy Małgorzatę zbladł, zaczął się uśmiechać i nagle gestem obu rąk nakazał orkiestrze, by wstała. Ani przez moment nie przestając grać cała orkiestra, stojąc, spowijała Małgorzatę w dźwięki. Górujący nad muzykami mężczyzna odwrócił się od nich i szeroko rozrzucając ramiona skłonił się Małgorzacie, a ona uśmiechnęła się i pomachała mu dłonią.

– Nie, to za mało, za mało – spiesznie jął szeptać Korowiow – on przez całą noc nie będzie mógł spać. Proszę zawołać do niego: “Witam pana, królu walca!”

Małgorzata zawołała tak i zdumiało ją, że jej głos jest dźwięczny jak dzwon i że zagłuszył całą orkiestrą. Mężczyzna na podium zadrzał ze szczęścia i lewą dłoń przyłożył do piersi, prawą zaś, w której trzymał białą batutę, w dalszym ciągu wymachiwał.

– To za mało, za mało – znów wyszeptał Korowiow – proszę spojrzeć tam, w lewo, na pierwsze skrzypce, i proszę skinąć tak, aby każdy pomyślał, że właśnie jego pani dostrzegła. Tu są same światowe sławy. O, ten, za pierwszym pulpitem, to Vieux–temps!... Tak, świetnie... A

teraz dalej!

– Kto dyryguje? – zapytała Małgorzata odlatując.

– Johann Strauss! – wrzasnął kocur. – I niech mnie powieszą na lianie w tropikalnym lesie, jeśli kiedykolwiek na jakimkolwiek balu grała już taka orkiestra! Osobiście ich zapraszałem! I proszę zwrócić uwagę, że ani jeden nie zachorował, ani jeden nie odmówił!

W następnej sali nie było kolumn, zamiast nich po jednej stronie stała ściana czerwonych, różowych i mlecznobiałych róż, a po drugiej – ściana dubeltowych japońskich kamelii. Między tymi dwiema ścianami były już z pluskiem fontanny i szampan pienił się bąbelkami w trzech basenach, z których pierwszy był przezroczysty i fioletowy, drugi rubinowy, a trzeci z kryształu. Wśród tych basenów krzatali się Murzyni w jasnoczerwonych turbanach i srebrnymi czerpakami napelniali z basenów płaskie puchary. W ścianie z róż była mała nisza, w której gorączkował się na estradzie ktoś w czerwonym fraku z jaskółczymi połami. Przed nim przeraźliwie głośno dudnił jazz. Skoro tylko dyrygent ujrzał Małgorzatę, zgiął się przed nią w ukłonie tak, że dłońmi dotykał podłogi, po czym wyprostował się i krzyknął przenikliwie:

– Alleluja!

Klepnął się po kolanie raz, potem na krzyż po drugim – dwa, wyrwał z ręki siedzącego z brzegu muzyka talerz i trzasnął nim o kolumnę.

Małgorzata odlatując dostrzegła jeszcze, że jazzman–wirtuoz walcząc z polonezem, który dał Małgorzacie w plecy, bije swoich jazzbandzistów talerzem po głowach, a oni przysiadają z komicznym, udawanym przerażeniem.

Wylecieli wreszcie na podest, na którym, jak zorientowała się Małgorzata, spotykał ją w ciemnościach Korowiow z latarenką. Teraz na owym podeście oślepiało światło lejące się z kryształowych winnych gron. Świta zatrzymała tu Małgorzatę, pod lewym jej ramieniem znalazła się niska kolumnienka z ametystu.

– Jeśli będzie już bardzo ciężko, można oprzeć na niej rękę – szeptał Korowiow.

Jakiś czarnoskóry podłożył pod nogi Małgorzaty poduszkę, na której był wyhaftowany złoty pudel, i na poduszce tej posłuszna czymś dłoniom Małgorzata postawiła prawą nogę, zgiąwszy ją w kolanie. Spróbowała się rozejrzeć. Korowiow i Asasello stali przy niej w uroczystych pozach. Obok Asasella stali trzej młodzieńcy, którzy trochę przypominali Abbadonę. W plecy wiało zimnem. Małgorzata obejrzała się i zobaczyła, że z marmurowej ściany za jej plecami tryska i spływa do oblodzonego basenu wino. Przy lewej nodze wyczuwała coś ciepłego i

puszystego. Był to Behemot.

Małgorzata znajdowała się u szczytu ogromnych, zasłanych dywanem schodów. W dole, tak daleko, że zdawało się, iż patrzy przez odwróconą lornetkę, widziała olbrzymią kordegardę z gigantycznym kominkiem, w którego czarnej i zimnej czeluści bez trudu mogłaby się zmieścić pięcotonowa ciężarówka. Ani w kordegardzie, ani na rzęsiście oświetlonych schodach nie było nikogo. Dźwięk trąb dobiegał teraz do Małgorzaty z daleka. Stali tak w bezruchu mniej więcej przez minutę.

– A gdzie goście? – zapytała Korowiowa Małgorzata.

– Nadejdą, królowo, nadejdą, zaraz nadejdą. Nie będziesz się mogła uskarżać na ich brak. Słowo daję, wolałbym drwa rąbać niż witać ich tutaj, na tym podeście.

– Co? Rąbać drwa?! – podchwycił rozmowny kot – Ja bym wolał być konduktorem w tramwaju, a to doprawdy najpodlejsze–zajęcie na świecie!

– Do północy zostało najwyżej dziesięć sekund – powiedział Korowiow – zaraz się zacnie.

Małgorzacie wydało się, że te sekundy ciągną się niezwykle długo. Najwyraźniej minęły już i nic się w ogóle nie stało. Aliści nagle coś huknęło w przepastnym kominku i wyskoczyła stamtąd szubienica, na której dyndał rozsypujący się w proch wisielec. Wisielec ów urwał się ze stryczka, upadł na posadzkę i oto wyskoczył z niego piękny rudy młodzian we fraku i w lakierkach. Wybiegła z kominka mała, na wpół zetlała trumna, otworzyło się wieko i wypadły z niej inne zwłoki. Piękny młodzian poskoczył ku nim z galanterią i podał im ramię. Ze zwłok tych uformowała się ruchliwa kobieta w czarnych pantoflach i z czarnymi piórami na głowie, i oboje pośpiesznie zaczęli wstępować po schodach.

– Otóż i pierwsi! – zawołał Korowiow. – Monsieur Jacques z małżonką. Mam zaszczyt przedstawić pani, królowo, jednego z najbardziej interesujących mężczyzn. Z powołania fałszerz pieniędzy, zdrajca stanu, ale doprawdy zdolny alchemik. Wsławił się tym – szepnął na ucho Małgorzacie – że otruł kochankę króla. A to się przecież nie każdemu zdarza! Proszę popatrzeć, jaki przystojny!

Pobladła Małgorzata z otwartymi ustami patrzyła na dół i zobaczyła, że zarówno trumna, jak szubienica znikają w jakichś bocznych drzwiczkach kordegardy.

– Jakże się cieszę! – wrzasnął kot prosto w nos wspinającego się po schodach pana Jacques'a.

Tymczasem na dole wyłonił się z kominka bezgłowy szkielet z oderwaną ręką, zwałił się na ziemię i przemienił się w mężczyznę we fraku.

Małżonka pana Jacques'a już przyklękała przed Małgorzatą na jedno kolano i – pobladła z przejęcia – całowała jej stopę.

– Królowo... – bełkotała małżonka pana Jacques'a.

– Królowa jest zachwycona! – wrzeszczał Korowiow.

– Królowo... – cicho powiedział piękny pan Jacques.

– Jesteśmy zachwyceni! – zawodził kocur. Młodzi ludzie, towarzysze Asasella, uśmiechali się martwo acz uprzejmie i już odciągali pana Jacques'a i jego małżonkę na bok, do kielichów z szampanem, które trzymali w dłoniach Murzyni. Po schodach wbiegł samotny mężczyzna we fraku.

– Hrabia Robert – szepnął Małgorzacie Korowiow – także ciekawa postać. Proszę zwrócić uwagę, królowo, jak zabawnie się składa – to odwrotny przypadek. Hrabia Robert był kochankiem królowej i otruł swoją żoną.

– Bardzo nam miło, hrabio! – zawołał Behemot.

Z kominka po kolei jedna po drugiej wychynęły trzy trumny, roztrzaskały się i rozpadły, za nimi wyskoczył ktoś w czarnej pelerynie, a następny, który wybiegł z czarnej czeluści, uderzył tego w pelerynie nożem w plecy. Dobiegł z dołu przytłumiony okrzyk. Z kominka wypadł trup w stanie nieomal zupełnego rozkładu. Małgorzata zamknęła oczy, czyjaś ręka podsunęła jej pod nos flakon z solami trzeźwiącymi. Wydało się Małgorzacie, że była to ręka Nataszy.

Na schodach zrobiło się tłoczno. Na każdym ich stopniu znajdowali się teraz, z dala zupełnie identyczni, mężczyźni we frakach, którym towarzyszyły nagie kobiety, różniące się od siebie tylko kolorem pantofelków i piór na głowach.

Kulejąc zbliżała się do Małgorzaty dama w dziwnym drewnianym sabocie na lewej nodze. Oczy miała spuszczone jak mniszka, była chudziutka, niepokaźna, a na szyi, nie wiedzieć czemu, miała szeroką zieloną przepaską.

– Kto to jest, ta... zielona? – machinalnie spytała Małgorzata.

– Nader czarująca i ogromnie solidna dama – szeptał Korowiow – polecam ją twojej uwadze – to signora Tofana. Była niezmiernie popularna wśród młodych, uroczych neapolitanek, a także mieszkanek Palermo, zwłaszcza tych, którym znudzili się ich mężowie. Przecież zdarza się tak, królowo, że żona ma dość męża...

– Tak – głucho odparła Małgorzata, uśmiechając się jednocześnie do dwóch wyfraczonych, którzy skłonili się przed nią po kolei, całując jej kolano i dłoń.

– A zatem – Korowiow potrafił szeptać do Małgorzaty, zarazem głośno wykrzykując do kogoś: – Książę! Kieliszeczek szampana? Jestem zachwycony!... Tak więc signora Tofana wczuwała się w sytuację tych biednych kobiet i sprzedawała im jakowąś wodę we flaszczykach. Żona wlewała tę wodę mężowi do zupy, mąż to spożywał, pięknie dziękował i czuł się znakomicie. Co prawda po paru godzinach zaczynał mieć ogromne pragnienie, potem kładł się do łóżka i nie mijał dzień, a piękna neapolitamka, która podała swemu mężowi tak znakomitą zupę, była już wolna jak wiosenny wiatr.

– A cóż to ona ma na nodze? – pytała Małgorzata, nieustannie podając rękę gościom, którzy wyprzedzili kuśtykającą signorę Tofanę. – I do czego służy ta zieleń na szyi? Ma zwiędłą szyję?

– Jakże się cieszę, mon prince! – wołał Korowiow szepcząc jednocześnie do Małgorzaty: – Szyja jest w porządku, ale signorę spotkała w więzieniu pewna nieprzyjemność. Na nodze ma ona, królowo, bucik hiszpański, a ta szarfa pochodzi stąd, że strażnicy więzienni dowiedziawszy się, że około pięciuset zbyt pochopnie wybranych mężów opuściło na wieki Neapol i Palermo, tak się zdenerwowali, że udusili signorę Tofanę w jej celi.

– Jakże jestem szczęśliwa, o szlachetna królowo, że spotkał mnie ten wielki zaszczyt... – szeptała Tofana, jak to czynią mniszki, usiłując jednocześnie przyklęknąć, w czym przeszkadzał jej bucik hiszpański. Korowiow i Behemot pomogli signorze podnieść się.

– Bardzo mi miło – odpowiedziała jej Małgorzata jednocześnie podając dłoń innym.

Po schodach płynął na górę cały potok. Małgorzata nie mogła już widzieć, co się dzieje w kordegardzie. Machinalnie podnosiła i opuszczała rękę, monotonicznie uśmiechała się do gości. Na podeście panował już zgiełk, z opuszczonych przez Małgorzatę sal balowych jak szum morza napływała muzyka.

– A to nieciekawa postać – Korowiow nie szeptał już, mówił głośno wiedząc, że wśród zgiełku wielu głosów nikt go teraz nie usłyszy. – Uwielbia bale, stale marzy o tym, żeby się poskarżyć na swoją chusteczkę.

Spojrzenie Małgorzaty wyłowiło wśród wchodzących na górę tę, którą wskazywał jej Korowiow. Była to młoda, dwudziestoletnia kobieta, niezwykle pięknie zbudowana, ale oczy miała natarczywe i niespokojne.

– Co to za chusteczka? – zapytała Małgorzata.

– Przydzielono do niej pokojówkę – wyjaśniał Korowiow – i ta pokojówka od trzydziestu lat kładzie jej w nocy na stoliku koło łóżka chustkę do nosa. Kiedy się obudzi, chustka już tam leży.

Palila ją już w piecu, topila w rzece, ale to nic nie pomoglo.

– Co to za chusteczka? – szeptała Małgorzata podnosząc i opuszczając rękę.

– Z granatową obwódka. Rzecz w tym, że kiedy pracowała w kawiarni, właściciel pewnego razu zawołał ją do piwnicy, a w dziewięć miesięcy później urodziła chłopczyka, wyniosła go do lasu i wcisnęła mu do ust chusteczkę, a potem zakopała. Przed sądem mówiła, że nie miałyby mu co dać jeść.

– A gdzież ów właściciel kawiarni? – zapytała Małgorzata.

– Królowo – zaskrzypiał nagle z dołu kocur – pozwól, że cię zapytam, co tu ma do rzeczy właściciel kawiarni? Przecież to nie on dusił w lesie to niemowlę!

Natarczywe, posępne oczy znalazły się przed Małgorzatą.

– Jestem szczęśliwa, królowo i pani, że zostałam zaproszona na wielki bal pełni księżyca!

– A ja cieszę się, że panią widzę – odpowiedziała jej Małgorzata. – Bardzo się cieszę. Czy lubi pani szampana?

– Co pani robi, królowo? – rozpaczliwie, lecz bezgłośnie krzyknął do ucha Małgorzaty Korowiow. – Zrobi się zator.

– Lubię – błagalnie powiedziała kobieta i nagle zaczęła bezmyślnie powtarzać: – Frieda, Frieda, Frieda! O, królowo, ja jestem Frieda!

– Niech się więc pani dzisiaj upije, Friedo, i niech pani o niczym nie myśli – powiedziała Małgorzata.

Frieda wyciągnęła do niej obie ręce, ale Korowiow i Behemot nader zręcznie uchwycili ją pod ramiona i Frieda zgubiła się w tłumie.

Z dołu rwała rzeka. Jej źródło – ów ogromny kominiek – stale ją zasilalo. Minęła tak godzina, zaczęła się druga godzina. Małgorzata zauważyła, że jej łańcuch staje się cięższy niż dotychczas. Silny ból, jakby od ukłucia igłą, przeszył jej prawe ramię i Małgorzata zacisnąwszy zęby oparła łokieć o postument. Z sali za jej plecami dobiegały teraz jakieś szelesty, jak gdyby bicie skrzydeł o ścianę, było oczywiste, że tańczą tam nieprzeliczone zastępy gości, i wydawało się Małgorzacie, że rytmicznie pulsuje nawet masywna, marmurowa, mozaikowa i kryształowa posadzka owej przedziwnej sali.

Ani cesarz Gajus Kaligula, ani Messalina nie zainteresowali już Małgorzaty, podobnie jak nie wzbudził jej zainteresowania żaden z królów, książąt, kawalerów, samobójców, wisielców, dozorców więziennych i szulerów, katów, konfidentów i zdrajców, tajniaków, deprawatorów,

żadna z trucicielek ani rajfurek. Imiona ich wszystkich poplątały jej się w głowie, twarze ich zlały się w jedną olbrzymią masę i tylko jedna twarz uporczywie trwała w jej pamięci – okolona prawdziwie płomienną brodą twarz Maluty Skuratowa. Nogi uginały się pod Małgorzatą, nieustannie bała się, że się rozplacze. Najwięcej cierpień przyczyniało jej prawe kolano, w które ją całowano. Spuchło, skóra na nim posiniała, choć dłoń Nataszy kilkakrotnie pojawiała się przy nim z gąbka i przecierała je czymś pachnącym. Pod koniec trzeciej godziny Małgorzata spojrzała na dół oczyma, w których nie było już nadziei, i zadrżała z radości – tłum gości rzedł.

W sekundę później Małgorzata nie rozumiejąc, jak to się stało, znalazła się znowu w komnacie, w której był basen, zapłakała, tak bardzo bolała ją ręka i noga, i upadła wprost na posadzkę. Ale Helia i Natasza wśród pocieszeń znów ją zaciągnęły pod krwawy prysznic, znów wymasowały jej ciało i Małgorzata znowu ożyła.

– Jeszcze, jeszcze, królowo Margot – szeptał Korowiow, który znalazł się obok niej – trzeba oblecieć sale, aby czcigodni goście nie czuli się zaniedbywani.

I Małgorzata znowu wyleciała z komnaty, w której był basen. Na estradzie za tulipanami, tam gdzie grała orkiestra króla walca, biesił się teraz małpi jazzband. Wielki, o kosmatych bokobrodach goryl trzymał w ręku trąbkę i dyrygował, podtańcowując ociężałe. Orangutany zasiadły szeregiem, dęły w błyszczące trąbki. Na ich grzbietach zasiadły na oklep wesele szympany z harmoniami. Dwa pawiany płaszczowe o grzywach podobnych grzywom lwów grały na fortepianach, lecz fortepianów tych nie było słyhać wśród grzmotów, popiskiwań i uderzeń saksofonów, skrzypiec i bębnów w łapach gibbonów, mandryli i koczokodanów. Na zwierciadlanej posadzce nieprzebrane mnóstwo szepionych ze sobą par wirując w jednym kierunku, zadziwiając zręcznością i gracją ruchów sunęło jak mur, który zamierza zmieść wszystko, cokolwiek znajdzie się na jego drodze. Żywe atlasowe motyle nurkowały nad tańczącymi zastępami, z plafonów sypały się kwiaty. Kiedy przygasło światło elektryczne, w kapitelach kolumn rozjarzały się miriady robaczek świętojańskich, w powietrzu pływały błędne ogniki bagienne.

Potem Małgorzata znalazła się w okolonym kolumnadą basenie potwornych rozmiarów. Gigantyczny czarny Neptun wyrzucał z paszczy szeroki różowy strumień. Nad basenem unosiła się odurzająca woń szampana. Panowała tu niewymuszona wesołość. Damy wśród śmiechów oddawały torebki do potrzymania swoim kawalerom albo Murzynom biegającym z prześcieradłami w dłoniach i z krzykiem skakały strzałką do basenu. Pieniste słupy szampana

strzelały ku górze. Kryształowe dno basenu podświetlone od dołu jarzyło się przebijającym przez warstwy wina światłem i widać było w tym winie srebrzyste ciała pływających. Kobiety wyskakiwały z basenu pijaniuteńkie. Pod kolumnami dzwoniły śmiechy, huczały jak jazz.

W całym tym rozgardiaszu wryła się Małgorzacie w pamięć jedna pijaniusienka twarz kobieca o oczach bezmyślnych, ale nawet w tej bezmyślności błagalnych, i wypłynęło w pamięci jedno słowo: "Frieda".

– Ostatnie wyjście – szepnął zafrasowany Korowiow – i będziemy wolni!

Małgorzata z nieodstępnym Korowiowem u boku znowu znalazła się w sali balowej, ale teraz już tam nie tańczono – nieprzeliczone tłumy cisnęły się pod kolumnami, środek sali pozostawiając wolny. Małgorzata nie pamiętała, kto pomógł jej wstąpić na podwyższenie, które ukazało się na środku owej opróżnionej części sali. Kiedy wstąpiła na nie, usłyszała ku swemu zdziwieniu, że gdzieś bije północ, która według jej rachuby dawno już minęła. Z ostatnim uderzeniem nie wiedzieć gdzie bijącego zegara cisza opadła na tłumy gości.

I wtedy Małgorzata znowu zobaczyła Wolanda. Szedł w towarzystwie Abbadony, Asasella i jeszcze kilku podobnych do Abbadony, czarnowłosych i młodych. Zauważyła teraz, że naprzeciw jej podwyższenia przygotowano drugie, dla Wolanda. Ale Woland nie skorzystał z niego. Małgorzatę zdumiało to, że Woland przyszedł na to ostatnie wielkie wyjście na balu ubrany dokładnie tak samo, jak był ubrany w sypialni. Zwisła mu z ramion ta sama brudna, pocerowana nocna koszula, na nogach miał te same przydeptane ranne pantofle. Miał szpadę, ale posługiwał się tą obnażoną szpadą jak laską – wspierał się na niej.

Z lekka kulejący Woland stanął koło przygotowanego dlań podwyższenia i natychmiast znalazł się przed nim Asasello z tacą w dłoni – na tacy tej Małgorzata zobaczyła odciętą ludzką głowę z wybitymi przednimi zębami. Nadal trwała cisza jak makiem zasiał, tylko raz przerwał ją daleki i niepojęty w tych okolicznościach odgłos dzwonka, jakie bywają przy drzwiach frontowych.

– Michale Aleksandrowiczu – niezbyt głośno zwrócił się do głowy Woland, a wtedy powieki zabitego uniosły się i Małgorzata drgnęła – na martwej twarzy zobaczyła żywe, pełne myśli i cierpienia oczy.

– Wszystko się sprawdziło, prawda? – ciągnął Woland patrząc w oczy głowy. – Głowę odcięła kobieta, posiedzenie nie doszło do skutku, a ja mieszkam w pańskim mieszkaniu. To fakt. A fakty to najbardziej uparta rzecz pod słońcem. Nas jednak interesuje to, co będzie dalej, a nie

ów dokonany już fakt. Zawsze był pan zagorzałym głosicielem teorii, według której po odcięciu głowy życie człowieka się urywa, człowiek zamienia się w popiół i odchodzi w niebyt. Miło mi zakomunikować panu w obecności mych gości, aczkolwiek mogą oni posłużyć jako dowód prawdziwości zgoła innej teorii, że teoria pańska jest równie solidna jak błyskotliwa. Zresztą wszystkie teorie są sobie warte. Jest między nimi i taka, która głosi, że każdemu będzie dane to, w co wierzy. Niech się zatem tak stanie. Pan odchodzi w niebyt, a ja, wznosząc toast za istnienie, z radością spełnię ten kielich, w który pan się przekształci.

Woland wznosił szpadę. Natychmiast mięśnie okrywające czaszkę pociemniały i skurczyły się, a potem odpadły po kawałku, oczy zniknęły i wkrótce Małgorzata ujrzała na tacy żółtawą czaszkę na złotej nóżce, z oczyma ze szmaragdów i zębami z pereł.

Pokrywka czaszki odchyliła się na zawiasie.

– Za chwileczkę, messer – powiedział Korowioł zauważywszy pytające spojrzenie Wolanda – stanie on przed panem. W tej grobowej ciszy słyszę już skrzyp jego lakierków, słyszę, jak dźwięczy odstawiony na stół kielich, z którego po raz ostatni w tym życiu napił się szampana. Ale otóż i on.

Kierując się w stronę Wolanda wchodził do sali nowy samotny gość.

Spośród mnóstwa pozostałych gości–mężczyzn zewnątrznie nie wyróżniał się niczym, poza jedną rzeczą – dosłownie chwiał się z przerażenia, co było widać nawet iż daleka. Na policzkach płonęły mu krwawe plamy, oczy biegały w potwornym strachu. Był ledwie przytomny i było to jak najbardziej uzasadnione – oszołamiało go wszystko, a przede wszystkim, rzecz jasna, strój Wolanda.

Przyjęty został wszakże niezmiernie serdecznie.

– A–a–a, nasz drogi baron Meigel – z życzliwym uśmiechem zwrócił się Woland do gościa, którego oczy zrobiły się wielkie jak filizanki.

I w tym momencie Małgorzata zamarła, poznała bowiem owego Meigla. Widywała go niekiedy w moskiewskich teatrach i restauracjach. “Zaraz... – pomyślała Małgorzata – więc to chyba znaczy, że on także umarł?...”

Ale ta sprawa natychmiast została wyjaśniona.

– Drogi baron – ciągnął z radosnym uśmiechem Woland – był tak ujmująco uprzejmy, że dowiedziawszy się o moim przyjeździe do Moskwy natychmiast zadzwonił do mnie i zaofiarował mi swoje usługi w dziedzinie, w której osiągnął biegłość, to znaczy w sprawie pokazania mi tego,

co w Moskwie godne uwagi. Rozumie się samo przez się, że byłem szczęśliwy mogąc zaprosić go do siebie.

Małgorzata zobaczyła, że Asasello tymczasem przekazuje tacę i czaszkę Korowiowowi.

– Nawiasem mówiąc, baronie – nieoczekiwanie ścisząc konfidencjonalnie głos ciągnął Woland – rozeszły się słuchy o pańskiej nadzwyczajnej żądzy wiedzy. Powiadają, że wspólnie z pańską nie mniej wybujałą rozmownością zwraca ona na siebie powszechną uwagę. Co więcej, są pewne oznaki, świadczące o tym, że nie dalej niż za miesiąc doprowadzi to pana do bardzo żalosego końca. Tak więc, aby oszczędzić panu nużącego oczekiwania, postanowiliśmy przyjść mu z pomocą korzystając z tego, że pan sam się zaprosił do mnie z zamiarem podsłuchania i podpatrzenia wszystkiego, co się da podsłuchać i podpatrzyć.

Baron zrobił się bledszy niż Abbadona, który z natury był wyjątkowo blady, a potem zaszło coś strasznego. Abbadona stanął przed baronem i zdjął na sekundę swoje okulary. W tejże chwili w dłoniach Asasella coś bluznęło ogniem, coś niezbyt głośno trzasnęło, jak gdyby ktoś klasnął w dłonie, baron zaczął się przewracać na wznak, szkarłatna krew buchnęła z jego piersi, zalała wykrochmaloną koszulę i kamizelkę. Pod bijący jej strumień Korowiow podstawił czaszkę, po czym napełnioną podał Wolandowi. Martwe ciało barona leżało już bez życia na podłodze.

– Piję wasze zdrowie, panowie – niezbyt głośno powiedział Woland i wznosząc puchar dotknął go wargami.

Wówczas zaszła metamorfoza. Zniknęła pocerowana koszula i przydeptane kapcie. Woland miał teraz na sobie jakąś czarną chlamidę, a u biodra – stalową szpadę. Szybko podszedł do Małgorzaty, podał jej puchar i powiedział rozkazująco:

– Pij!

Małgorzacie zakręciło się w głowie, zachwiała się, ale puchar dotykał już jej warg, a czyjeś głosy – mię mogła się zorientować, czyje – szeptały jej do obu uszu:

– Proszę się nie bać, królowo... Proszę się nie bać, królowo, krew dawno już wsiąkła w ziemię. Tam, gdzie ją rozlano, dojrzewają już winne grona.

Małgorzata nie otwierając oczu wypięła łyk i słodki prąd przebiegł przez jej żyły, zaczęło jej dzwonić w uszach. Wydało jej się, że ogłuszająco pieją koguty, że gdzieś grają marsza. Tłumy gości zaczęły zatracać człowieczy wygląd – wyfraczeni mężczyźni i kobiety obrócili się w proch, w nicłość. Na oczach Małgorzaty rozpad ogarnął całą salę, napłynął zapach grobowca. Rozpadły się kolumny, pogasty światła, wszystko roztajało i nie było już żadnych fontann, kamelii ani

tulipanów. Było po prostu to, co było – skromny salonik jubilerowej i smużka światła wpadającego przez jego niedomknięte drzwi. I Małgorzata weszła w owe niedomknięte drzwi.

24. Wydobyć mistrza

W sypialni Wolanda wszystko było tak, jak przed balem. Woland siedział w nocnej koszuli na łóżku, tylko Helia nie nacierała mu już nogi, lecz nakrywała do kolacji stół, na którym przedtem grali w szachy. Korowiow i Asasello zdjąwszy fraki zasiedli za stołem, a obok nich ulokował się oczywiście kot, który nie zechciał się rozstać ze swoim krawatem, choć krawat ów zamienił się tymczasem w idealnie brudną szmatkę. Małgorzata chwiejąc się na nogach podeszła do nich i oparła się o stół. Wówczas Woland, jak wtedy, przywołał ją gestem i wskazał jej miejsce obok siebie.

– No co, bardzo panią wymęczyli? – zapytał.

– O nie, messer – odparła mu Małgorzata, ale powiedziała to tak cicho, że ledwo ją było słychać.

– Noblesse oblige – zauważył kocur i nalał Małgorzacie do smukłego kieliszka jakiegoś przejrzystego płynu.

– To wódka? – słabym głosem zapytała Małgorzata.

Kot poczuł się dotknięty i aż podskoczył na krześle.

– Na litość boską, królowo – zachrypiał – czyż ośmieliłbym się nalać damie wódki? To czysty spirytus!

Małgorzata uśmiechnęła się i spróbowała odsunąć kieliszek.

– Proszę pić śmiało – powiedział Woland i Małgorzata natychmiast wzięła kieliszek do ręki.

– Siadaj, Helia – powiedział Woland i wyjaśnił Małgorzacie: – Noc pełni księżyca to noc świąteczna i wieczoram w małym gronie przyjaciół i sług. A zatem – jak się pani czuje? Jak przeszedł ten męczący bal?

– Znakomicie! – zaterkotał Korowiow. – Wszyscy byli oczarowani, zakochani, zdruzgotani! Ileż taktu, jakaż dystynkcja, wdzięk i charme!

Woland w milczeniu wznosił kieliszek i tracił się z Małgorzatą. Małgorzata pokornie wypija przekonana, że ten spirytus ją dobije. Nic złego jednak się nie stało. Ożywcze ciepło rozgrzało jej wnętrzności, coś miękko uderzyło ją po karku, powróciły siły, poczuła się tak, jakby wstała po długim orzeźwiającym śnie, poczuła także wilczy apetyt. Kiedy uświadomiła sobie, że od wczoraj rano nic nie jadła, głód ów stał się jeszcze przeraźliwszy... Zaczęła chciwie jeść kawior.

Behemot ukroił sobie kawałek ananasa, posolił go, popieprzył, zjadł, a potem tak brawurowo chlupnął drugą setkę spirytusu, że wszyscy zaczęli mu bić brawo.

Kiedy Małgorzata wypila drugi kieliszek, świece w lichtarzach rozjarzyły się jaśniej, na kominku przybyło płomieni. Małgorzata wcale nie czuła rauszu. Gryząc białymi zębami mięso upajała się wyciekającym sokiem, a jednocześnie przyglądała się, jak Behemot smaruje musztardą ostrygę...

– Połóż jeszcze na to winogrono – trącając kocura w bok cicho powiedziała Helia.

– Proszę mnie nie pouczać – odparł Behemot – nie pierwszy raz siedzę przy stole, spokojna głowa!

– Ach, jak miło się je kolację tak właśnie, zwyczajnie, przy kominku – skrzeczał Korowiow – W szczupłym gronie...

– Nie, Fagocie – protestował kocur – bał ma także swoje uroki, ma rozmach...

– Nie ma w nim żadnych uroków ani żadnego rozmachu – powiedział Woland.

– A proszę mi powiedzieć – zwróciła się do Asasella ożywiona po wypitej wódce Margot – zastrzelił go pan, tego eksbarona?

– Naturalnie – odparł Asasello. – Jakże miałem go nie zastrzelić? Koniecznie trzeba go było zastrzelić.

– Ach, jak ja się zdenerwowałam, kiedy ten baron upadł! – mówiła Małgorzata, najwyraźniej dotąd jeszcze przeżywając pierwsze morderstwo, jakie zdarzyło się jej widzieć. – Pan z pewnością dobrze strzela?

– Nie narzekam – odpowiedział Asasello.

– Na ile kroków? – zadała mu Małgorzata niezupełnie jasne pytanie.

– To zależy do czego – roztropnie odparł Asasello – co innego trafić młotkiem w szybę krytyka Łatuńskiego, a zupełnie co innego – trafić go w serce.

– W serce! – zawołała Małgorzata, nie wiedzieć, czemu chwytając się za własne serce. – W serce! – powtórzyła głucho.

– Co to za krytyk Łatuński? – przyglądając się Małgorzacie zapytał Woland.

Asasello, Korowiow i Behemot jakoś wstydliwie pospuszczali oczy, Małgorzata zaś czerwieniąc się odpowiedziała:

– Taki jeden krytyk... Dziś wieczorem zdemolowałam mu całe mieszkanie.

– Proszę, proszę! A czemuż to?...

– Ten człowiek, messer – wyjaśniła Małgorzata – zgubił pewnego mistrza.
– Ale dlaczegoż się pani sama fatygowała? – zapytał Woland,
– Pozwól mi, messer – zrywając się z krzesła radośnie zawrzasnął kocur.
– Siedź! – burknął Asasello wstając. – Sam tam zaraz pojedę...
– Nie! – zawołała Małgorzata. – Nie, błagam, messer, nie trzeba!
– Jak pani woli, jak pani sobie życzy – odparł Woland, a Asasello usiadł na swoim miejscu.
– Więc na czym żeśmy to stanęli, nieoszacowana królowo Margot? – mówił Korowiow. –
Ach, tak, serce... W serce to on trafia – Korowiow wyciągnął długi swój palec w kierunku Asasella – jak chce. W dowolny przedsiemek albo w dowolną komorę – do wyboru.

Małgorzata nie od razu zrozumiała, a zrozumiawszy zawołała ze zdumieniem:

– Ale przecież ich nie widać!
– Złociutka – skrzeczał Korowiow – cała sztuka na tym polega, że są niewidoczne! Na tym właśnie polega cały dowcip! W przedmiot, który widać, każdy potrafi trafić!

Korowiow wyjął z szuflady stołu siódemkę pik, podał ją Małgorzacie i poprosił, by zechciała zaznaczyć paznokciem dowolne serduszko. Małgorzata zaznaczyła to w prawym górnym rogu. Helia schowała kartę pod poduszkę i zawołała:

– Gotowe!

Asasello, który siedział tyłem do poduszki, wyjął z kieszeni sztuczkowych spodni oksydowany samopowtarzalny pistolet, oparł sobie lufę na ramieniu i nie odwracając się w stronę łoża wystrzelił, wywołując zabawne przerażenie Małgorzaty. Spod przestrzelonej poduszki wyjęto siódemkę. Zaznaczone przez Małgorzatę serduszko było przedziurawione.

– Nie chciałabym się spotkać z panem, kiedy będzie pan miał w ręku rewolwer – spoglądając kokieteryjnie na Asasella powiedziała Małgorzata. Pasjami lubiła ludzi, którzy to, co robią, robią po mistrzowsku.

– Królowo bezcenna – pisał Korowiow – nikomu bym nie radził spotkać się z nim nawet wtedy, kiedy nie będzie miał w ręku żadnego rewolweru! Daję słowo honoru byłego dyrygenta chóru cerkiewnego, słowo honoru byłego zapiewajły, że nie ma czego zazdrościć człowiekowi, który na swej drodze spotka Asasella.

Wesoła kolacja trwała dalej. Świece opływały w kandelabrach, falami płynęło przez pokój suche, wonne ciepło kominka. Małgorzata najadła się, ogarnęło ją uczucie błogości. Patrzyła, jak szare kółka dymu znad cygara Asasella żeglują do kominka i jak kocur chwyta je na koniuszek

szpady. Nie chciało jej się nigdzie stąd odchodzić, choć odnosiła wrażenie, że jest już bardzo późno. Według wszelkich oznak dochodziła szósta rano. Wykorzystała więc chwilę milczenia, zwróciła się do Wolanda i nieśmiało, niepewnie powiedziała:

– Chyba czas już na mnie... Jest późno...

– Dokąd się pani śpieszy? – zapytał Woland uprzejmie, ale nieco oschle. Pozostali milczeli, udawali, że są pochłonięci kółeczkami dymu z cygara.

To do reszty zmieszało Małgorzatę.

– Tak, już czas – powtórzyła i odwróciła się, jak gdyby szukając narzutki czy płaszcza. Poczuli się nagle zażenowana swoją nagością. Wstała od stołu, Woland w milczeniu podniósł z łóżka swój brudny znoszony szlafrok, a Korowiow narzucił go Małgorzacie na ramiona.

– Dziękuję panu, messer – zaledwie dosłyszalnie powiedziała Małgorzata i pytająco popatrzyła na Wolanda. Uśmiechnął się w odpowiedzi tyleż uprzejmie, ile obojętnie. Czarna rozpacz z miejsca oblała jej serce. Małgorzata poczuła się oszukana. Nikt najwyraźniej nie zamierzał zaproponować żadnej nagrody za jej usługi na balu, nikt jej także nie zatrzymywał. Na domiar złego było dla niej zupełnie oczywiste, że nie ma dokąd iść. Przelotna myśl o tym, że trzeba będzie wrócić do willi, wywołała w niej wewnętrzny wybuch rozpacz. A może ma poprosić sama, jak to jej doradzał Asasello, kiedy ją wodził na pokuszenie W ogrodzie Aleksandrowskim? “Nie, za nic!” – powiedziała sobie.

– Wszystkiego dobrego, messer – powiedziała na głos, pomyślała zaś: “Byle się stąd wydostać, potem już jakoś dojdę do rzeki i utopię się”.

– Proszę usiąść – rozkazał nagle Woland. Małgorzata zmieniła się na twarzy i usiadła.

– Chce pani może powiedzieć coś na pożegnanie?

– Nie, messer, nie mam nic do powiedzenia – dumnie odparła Małgorzata – poza tym, że jeśli jestem jeszcze potrzebna, to jestem gotowa zrobić wszystko, czego będziesz sobie życzył. Nie jestem ani trochę zmęczona i bardzo dobrze bawiłam się na balu – Małgorzata patrzyła na Wolanda jak przez zasłonę, jej oczy napełniały się łzami.

– To była próba – powiedział Woland – niech pani nigdy nikogo i o nic nie prosi! Nigdy i o nic, tych zwłaszcza, którzy są od pani potężniejsi. Sami zaproponują, sami wszystko dadzą. Siadaj, dumna kobieto – Woland zdarł z Małgorzaty ciężki szlafrok i Małgorzata znowu siedziała na posłaniu obok Wolanda. – A więc, Margot – ciągnął Woland łagodniejszym już głosem – czego pani chce za to, że była dziś pani gospodynią mego balu? Proszę mówić! I proszę już teraz

mówić bez skrupowania, ponieważ propozycja wyszła ode mnie.

Serce Małgorzaty załomotało, westchnęła głęboko, zaczęła się zastanawiać.

– No, cóż to, śmielej! – zachęcał Woland. – Proszę rozbudzić swoją wyobraźnię, niechże jej pani da ostrogę! Już za samą obecność przy zamordowaniu tego, niech mu ziemia ciężką będzie, łotra barona należy się człowiekowi nagroda, zwłaszcza jeśli człowiek ten jest kobietą. A więc?

Małgorzacie zaparło dech, chciała już wypowiedzieć od dawna sformułowane w duchu najgorętsze życzenie, ale nagle pobladła, otworzyła usta, wytrzeszczyła oczy. “Frieda!... Frieda, Frieda!... – krzyczał jej w uszach czyjś natrętny, błagalny głos. – Ja jestem Frieda!” – i Małgorzata zacinając się co słowo zaczęła mówić:

– A zatem, jak rozumiem... mogę... wyrazić jedno życzenie?

– Zażądać, zażądać, mia donna – uśmiechając się porozumiewawczo odparł Woland. – Zażądać spełnienia jednego życzenia.

Ach, jak zręcznie, jak dobitnie Woland powtarzając słowa Małgorzaty podkreślił to “jedno życzenie!”

Małgorzata westchnęła raz jeszcze i powiedziała:

– Chcę, aby przestano podsuwać Friedzie tę chustkę, którą zadusiła swoje dziecko.

Kocur wzniosł ślepią ku niebu, westchnął donośnie, ale nic nie powiedział.

– Ponieważ – uśmiechnąwszy się zaczął mówić Woland – możliwość wzięcia przez panią łapówki od tej idiotki Friedy jest oczywiście najzupełniej wykluczona – nie dałoby się to przecież pogodzić z pani królewską godnością – doprawdy nie wiem, co mam począć. Mam chyba tylko jedno wyjście – zaopatrzyć się w szmaty i pozatykać nimi wszystkie szpary w ścianach mej sypialni.

– O czym pan mówi, messer? – zdumiała się Małgorzata usłyszawszy te doprawdy niepojęte słowa.

– Najzupełniej się z tobą zgadzam, messer – wmieszał się do rozmowy kocur – właśnie szmatami! – I rozdrażniony kot trzasnął łapą w stół.

– Mówię o miłosierdziu – wyjaśnił swoje słowa Woland nie spuszczać z Małgorzaty płomiennego oka – niekiedy najzupełniej nieoczekiwanie i zdradliwie wciska się ono w najmniejsze szczeliny. Dlatego właśnie mówiłem o szmatach...

– To samo miałem na myśli! – zawołało kocisko.

– Milcz! – przykazał kotu Woland i zwracając się do Małgorzaty zapytał: – O ile zdołałem się

zorientować, jest pani człowiekiem niespotykanej dobroci? Człowiekiem wyjątkowo moralnym?

– O, nie – odpowiedziała mu z naciskiem Małgorzata – wiem, że z panem można rozmawiać tylko szczerze, więc powiem panu z całą szczerością, na jaką mnie stać – jestem lekkomyślna. Wstawiam się za Friedą tylko dlatego, że byłam tak nierozważna i zrobiłam jej nadzieję. Ona czeka, messer, ona wierzy w moją potęgę. A jeśli zostanie zawiedziona, ja znajdę się w okropnej sytuacji. Przez całe życie nie zaznam spokoju. Cóż robić, tak się złożyło.

– Aa – powiedział Woland – rozumiem.

– Sprawi pan to? – zapytała cicho Małgorzata.

– W żadnym razie – odpowiedział Woland – zaszło tu, droga królowo, małe nieporozumienie. Każdy resort powinien się zajmować własnymi sprawami. Nie przeczę, mamy dość duże możliwości, znacznie większe, niż sądzą niektórzy, niezbyt dalekowzroczni ludzie...

– Ach, bez porównania większe – nie wytrzymał i wtrącił się kocur, najwyraźniej niezmiernie z tych możliwości dumny.

– Zamilcz wreszcie u diabła! – powiedział doń Woland i zwracając się do Małgorzaty kontynuował: – Ale jakież jest sens zajmować się tym, czym, jak już powiedziałem, zająć się powinien inny resort? A zatem ja tego nie zrobię, pani to załatwi sama.

– A czy na moje życzenie zostanie to załatwione?

Asasello ironicznie wybałuszył na Małgorzatę pokrytą bielmem źrenicę, ukradkiem pokręcił rudą głową i prychnął.

– Niech pani spróbuje, co za utrapienie – mruknął Woland, pokręcił globus i jął się wpatrywać w jakiś punkt na nim, najwyraźniej w czasie rozmowy z Małgorzatą zajmując się również innymi sprawami.

– No, Frieda... – odpowiedział Korowiow.

– Frieda! – przeraźliwie krzyknęła Małgorzata.

Drzwi otworzyły się na oścież i wbiegła do komnaty naga, potargana, ale zupełnie już trzeźwa kobieta o szalonych oczach. Wyciągnęła ręce do Małgorzaty, a Małgorzata majestatycznie oznajmiła:

– Wybaczone ci. Nie będą ci już więcej przynosić chustki.

Usłyszeli jęk Friedy, Frieda padła na twarz na podłogę, legła krzyżem przed Małgorzatą. Woland machnął ręką i Frieda zniknęła im sprzed oczu.

– Dziękuję, żegnam was – powiedziała Małgorzata i wstała.

– Jak sadzisz, Behemocie – rzekł Woland – nie będziemy chyba żerować w noc święta na uczynkach kogoś, kto jest tak dalece niepraktyczny – zwrócił się ku Małgorzacie. – A zatem to się nie liczy, ja przecież nic nie zrobiłem. Czego pani pragnie dla siebie?

Zapadło milczenie. Przerwał je Korowiow szepcząc Małgorzacie do ucha:

– Donno ty moja brylantowa, radzę, niech pani będzie tym razem rozsądniejsza! No, bo przecież fortuna może się pani wymknąć!

– Chcę, by mi natychmiast, w tej chwili zwrócono mego ukochanego mistrza – powiedziała Małgorzata i twarz jej zeszpecił skurcz.

Natenczas do komnaty wdarł się wicher, spłaszczyły się płomienie świec w lichtarzach, wydeła się ciężka zasłona na oknie, okno otworzyło się i w dali na wysokości ukazał się krągły, nie poranny jednak, tylko północny księżyc. Z parapetu okna spelzła na podłogę zielonkawa chusta nocnej poświaty i zjawił się na niej nocny gość Iwana, ten, który nazywał siebie mistrzem. Miał na sobie szpitalną odzież, był w szlafroku, w rannych pantoflach i w czarnej czapeczce, z którą się nie rozstawał. Nerwowy grymas zniekształcał jego nie ogoloną twarz, mistrz z obłąkańczym lękiem patrzył z ukosa na płomyki świec, księżycowy strumień wrzał wokół niego.

Małgorzata poznała go od razu, jęknęła, plasnęła w dłonie i podbiegła do mistrza. Całowała go w czoło, w usta, tuliła się do kłującego policzka, długo powstrzymywane łzy biegle teraz strumieniami po jej twarzy. Wymawiała jedno tylko słowo, powtarzała je bezmyślnie:

– Ty... ty... ty...

Mistrz odsunął ją od siebie i głuchym głosem powiedział:

– Nie płacz, Margot, nie dręcz mnie, jestem bardzo chory – chwycił za parapet, jak gdyby zamierzając wskoczyć nań i uciec, i, wpatrując się w siedzących za stołem, zawołał: – Boję się, Margot! Znowu zaczynają się halucynacje!

Małgorzata krztusiła się od szlochów, szeptała:

– Nie, nie, nie... Niczego się nie bój... jestem przy tobie... jestem przy tobie...

Korowiow, nie wiedzieć kiedy, zręcznie podsunął mistrzowi krzesło i mistrz usiadł, Małgorzata zaś padła na kolana, przytuliła się do boku chorego i tak zamarła. Była bardzo przejęta, nawet nie zauważyła, że jakoś nagle przestała już być naga, że ma teraz na sobie czarny jedwabny płaszcz. Chory spuścił głowę i wbił w ziemię posępny wzrok.

Woland zwrócił się do Korowiowa:

– Daj no, rycerzu, temu człowiekowi coś wypić.

Małgorzata drżącym głosem błagała mistrza:

– Wypij! Wypij! Boisz się? Oni ci pomogą, wierz mi!

Chory wziął kieliszek i wypił to, co w nim było, ale ręka mu zadrżała, kieliszek wypadł z niej i stłukł się u jego stóp.

– To na szczęście, na szczęście – szepnął do Małgorzaty Korowiow. – Proszę popatrzeć, przychodzi do siebie.

Rzeczywiście, spojrzenie chorego było już mniej dzikie, spokojniejsze.

– Ale to ty, Margot? – zapytał księżycowy gość.

– To ja, możesz być tego pewien – odpowiedziała Małgorzata.

– Jeszcze! – polecił Woland.

Kiedy mistrz osuszył drugi kieliszek, jego oczy ożywiły się oprzytomniały.

– Teraz to co innego – mrużąc oczy powiedział Woland – teraz możemy porozmawiać. Kim pan jest?

– Teraz jestem nikim – odparł mistrz i uśmiech wykrzywił mu usta.

– Skąd pan przybywa?

– Z domu udręki. Jestem chory umysłowo – odpowiedział przybysz.

Małgorzata nie mogła znieść tych słów, zapłakała znowu. Potem otarła oczy i powiedziała:

– Straszne słowa! Straszne! On jest mistrzem, messer, musisz o tym wiedzieć! Uzdrów go, on jest tego wart!

– Czy pan wie, z kim pan teraz rozmawia? – zapytał przybysza Woland. – U kogo się pan znajduje?

– Wiem – odpowiedział mistrz. – W domu wariatów moim sąsiadem był ten chłopiec, Iwan Bezdomy. Opowiedział mi o panu.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Woland – miałem przyjemność zetknąć się z tym młodym człowiekiem na Patriarszych Prudach. O mało co mnie samego nie doprowadził do obłądki dowodząc mi, że nie istnieję. Ale pan wierzy, że to rzeczywiście jestem ja?

– Cóż robić, muszę wierzyć – powiedział przybysz – ale, oczywiście, byłbym znacznie spokojniejszy, gdybym mógł uważać pana za wytwór halucynacji. – Tu spostrzegł się i dodał: – O, przepraszam!...

– No cóż, skoro sprawi to, że będzie pan spokojniejszy, to proszę tak uważać – uprzejmie odparł Woland.

– Nie, nie! – mówiła przestraszona Małgorzata i potrząsała mistrza za ramię. – Opamiętaj się! Stałeś naprawdę przed nim!

Kocur i teraz się wtrącił:

– Za to ja wyglądam, jak gdybym się przywidział. Proszę zwrócić uwagę na mój profil w świetle księżyca – wlaż w słup księżycowego światła i chciał coś jeszcze dodać, ale poproszono go, żeby się zamknął, więc odparł: – Dobrze, dobrze, mogę milczeć! Będę milczącą halucynacją – i zamilkł.

– Proszę powiedzieć, dlaczego Małgorzata nazywa pana mistrzem? – zapytał Woland. Mistrz uśmiechnął się i powiedział:

– To słabostka, którą należy jej wybaczyć. Małgorzata ma zbyt wysokie mniemanie o powieści, którą napisałem.

– O czym była ta powieść?

– O Poncjuszu Piłacie.

I oto znowu zachwiały się, rozedrgały jęczyci świec, zadzwoniła zastawa na stole – Woland roześmiał się grobowo, ale śmiech ten nikogo nie przestraszył ani nie zdumiał. Behemot nie wiadomo dlaczego zaczął bić brawo.

– O czym? O czym? O kim? – przestając się śmiać powiedział Woland. – To wstrząsające! To niesłychane! Proszę mi ją dać, chciałbym ją zobaczyć – i wyciągnął nadstawioną dłoń.

– Niestety, nie mogę tego zrobić – odparł mistrz – spaliłem ją w piecu.

– Przepraszam, nie mogę w to uwierzyć – odpowiedział Woland – to niemożliwe, rękopisy nie płoną – odwrócił się do Behemota i powiedział: – Ano, Behemocie, daj no tu tę powieść.

Kot momentalnie zerwał się z krzesła i wszyscy zobaczyli, że siedział na grubym pliku maszynopisów. Egzemplarz, który leżał na wierzchu, kocur z ukłonem podał Wolandowi. Małgorzata zadrżała, była znów zdenerwowana do łez, krzyknęła:

– To twój rękopis!

Woland wziął do ręki podany mu egzemplarz, odwrócił go, odłożył i w milczeniu, bez uśmiechu, zapatrzył się na mistrza. Ale mistrz, nie wiadomo dlaczego, posmutniał, zaczął się niepokoić, wstał z krzesła, załamał ręce i zwracając się do dalekiego księżyca zaczął mamrotać dygocząc:

– I w nocy, i przy księżycu nie zaznam spokoju!... Czemuż, nie pozostawiono mnie w spokoju? O, bogowie, o, bogowie moi!...

Małgorzata wczepiła się w szpitalny szlafrok, przytuliła się do mistrza i także zaczęła mamrotać, smutna, zalana łzami:

– Boże, dlaczego nie pomaga ci lekarstwo?

– To nic, to nic, to nic – szeptał Korowioł uwijając się wokół mistrza – to nic, to nic... Jeszcze kieliszeczek, a ja też dla towarzystwa...

I kieliszeczek zagrał, rozbłysnął w świetle księżycy i kieliszeczek ten pomógł. Posadzono mistrza z powrotem na krześle, twarz chorego uspokoiła się.

– No, Małgorzato – znowu włączył się do rozmowy Woland – niech więc pani powie, czego pani pragnie?

Oczy Małgorzaty rozbłysły, błagalnie zwróciła się do Wolanda:

– Pozwólcie mi szepnąć mu parę słów.

Woland skinął głową, a Małgorzata przypadła mistrzowi do ucha i coś szeptała. Usłyszano odpowiedź mistrza:

– Nie, za późno. Niczego już nie chcę od życia, prócz tego jednego – chcę widzieć ciebie. Ale radzę ci jeszcze raz – opuść mnie, ze mną zginiesz.

– Nie, nie zostawię cię – odparła Małgorzata i zwróciła się do Wolanda. – Proszę, żebyśmy znów się znaleźli w suterenie przy zaułku Arbackim, żeby znowu paliła się lampa i żeby wszystko było jak dawniej.

Tu mistrz się zaśmiał i ujmując od dawna już potarganą głowę Małgorzaty powiedział:

– Ach, messor, niech pan nie słucha tej biednej kobiety! W owej suterenie już od dawna mieszka kto inny, a w ogóle to się nie zdarza, żeby cokolwiek znowu było tak, jak już było. – Przytknął policzek do głowy swej ukochanej, objął Małgorzatę i zaczął mruczeć: – Biedna... biedna...

– Nie zdarza się, powiada pan? – powiedział Woland – To prawda. Ale my jednak spróbujemy. – I zawołał: – Asasello!

I zaraz zwałił się z sufitu na podłogę ogłupiały, bliski obłądu obywatel w samej bieliźnie, ale nie wiedzieć czemu z walizka w dłoni i w kaszkiecie. Trząśł się i kucał ze strachu.

– Mogarycz? – zapytał Asasello tego, który spadł im z nieba.

– Alojzy Mogarycz – drżąc odpowiedział mu tamten.

– To ty po przeczytaniu artykułu Łatuńskiego o powieści tego człowieka napisałeś na niego donos? – zapytał Asasello.

Świeżo przybyły obywatel zsiniał i zalał się łzami skruchy.

– Chciałeś zająć jego mieszkanie? – Najserdeczniej, jak umiał, powiedział przez nos Asasello.

– Wstawiłem wannę... – szcękając zębami darł się Mogarycz i z przerażenia zaczął bredzić od rzeczy: – Samo pobielenie... sam ton...

– To bardzo dobrze, że wstawiłeś wannę – powiedział z aprobatą Asasello – on powinien zażywać kąpieli. – I wrzasnął: – Won!

Mogarycza przekreśliło do góry nogami i wyniosło z sypialni Wolanda przez otwarte okno.

Mistrz wytrzeszczył oczy, szeptał:

– To jest chyba jeszcze lepsze od tego, o czym opowiadał Iwan! – Rozglądał się, głęboko wstrząśnięty, wreszcie zwrócił się do kota: – Przepraszam, czy to ty... Czy to pan... – zająknął się nie wiedząc, jak powinien się zwracać do kocura. – Czy to pan jest tym kotem, który wsiadał do tramwaju?

– Ja – przytaknął kot, który czuł się pochlebiony, i dodał: – Miło mi usłyszeć, że się pan tak uprzejmie zwraca do kota. Nie wiadomo dlaczego, wszyscy mówią do kotów “ty”, choć jako żywo żaden kot nigdy z nikim nie pił bruderszaftu.

– Wydaje mi się, że niezupełnie jest pan kotem – niepewnie odparł na to mistrz. – Tak czy owak zacznę mnie szukać w szpitalu – nieśmiało dodał zwracając się do Wolanda.

– Dlaczego mieliby szukać! – uspokoił go Korowioł i w rękach Korowioła znalazły się jakieś papiery, jakieś książki: – Pańska historia choroby?

– Tak...

Korowioł cisnął historię choroby do kominka.

– A to jest księga meldunkowa pańskiego przedsiębiorcy budowlanego?

– Ta-ak...

– Zobaczymy, kto tu jest zameldowany? Alojzy Mogarycz? – Korowioł dmuchnął na stronicę książki meldunkowej. – Raz-dwa i już go nie ma i nigdy, proszę zwrócić na to uwagę, nigdy nie było. A gdyby się ten pański przedsiębiorca zdziwił, to niech mu pan powie, że mu się ten Alojzy przyśnił. Mogarycz? Co znowu za Mogarycz? Żaden Mogarycz nigdy nie istniał! – I zasznurowana księga ulotniła się z rak Korowioła. – I księga jest już w biurku przedsiębiorcy budowlanego. A oto pani skarb, Małgorzato Nikołajewna. – I Korowioł wręczył Małgorzacie wielki brulion z nadpalonymi brzegami, zaszuszoną różę, zdjęcie i książeczkę oszczędnościową, tę ostatnią ze szczególną troskliwością. – Dziesięć tysięcy, które była pani uprzejma wpłacić,

Małgorzato Nikołajewna. Cudzego nam nie trzeba.

– Prędej mi łapy uschną, niż sięgnę po cudze – nadął się i wrzasnął kocur, który tańczył na walizce, starając się upchać w niej wszystkie egzemplarze nieszczęsnej powieści.

– A oto i pani dokumencik – ciągnął Korowiow podając Małgorzacie dokument, a potem zwracając się do Wolanda zameldował z szacunkiem: – Już wszystko, messer!

– Nie, to jeszcze nie wszystko – odparł odrywając się od globusa Woland – mia donna droga, dokąd pani rozkaże odesłać jej świtę? Mnie ona nie jest potrzebna.

I natychmiast przez otwarte drzwi wbiegła Natasza. Zawołała do Małgorzaty:

– Życzę pani dużo szczęścia, Małgorzato Nikołajewna! – Skinęła mistrzowi głową i znowu zwróciła się do Małgorzaty: – Ja przecież doskonale wiedziałam, dokąd pani chodzi.

– Służące wiedzą wszystko – znacząco wznosząc łapę zauważył kot. – Jest błędem sądzić, że są ślepe.

– Czego chcesz, Natasza? – zapytała Małgorzata. – Wracaj do willi.

– Małgorzato Nikołajewna, złociutka – błagalnie zaczęła Natasza i padła na kolana. – Niech pani ich uprosi – wskazała oczyma Wolanda – niech mnie zatrzymają jako wiedźmę. Monsieur Jacques oświadczył mi się wczoraj na balu. – Natasza rozwarła zaciśniętą pięść i pokazała jakieś złote monety.

Małgorzata spojrzała pytająco na Wolanda. Woland skinął głową. Wówczas Natasza rzuciła się Małgorzacie na szyję, głośno ją pocałowała i z okrzykiem triumfu wyleciała przez okno.

Zastąpił ją Mikołaj Iwanowicz. Przybrał znowu swoją ludzką postać, był jednak niezmiernie ponury, a nawet chyba zirytowany.

– O, tego to zwolnię ze szczególną przyjemnością – powiedział Woland patrząc z odrazą na lokatora z parteru – z wyjątkową przyjemnością, bo takich nam tu nie trzeba.

– Bardzo proszę o wydanie mi zaświadczenia – tocząc dzikim wzrokiem powiedział z wielkim naciskiem Mikołaj Iwanowicz – zaświadczenia, gdzie spędziłem dzisiejszą noc.

– W celu okazania komu? – surowo zapytał kocur.

– W celu okazania żonie – stanowczo powiedział Mikołaj Iwanowicz.

– Zazwyczaj nie wydajemy zaświadczeń – powiedział kot i nadął się – ale dla pana zrobimy chyba wyjątek.

I Mikołaj Iwanowicz ani się obejrzał, a już goła Helia siedziała przy maszynie, a kot dyktował jej:

– Zaświadcza się niniejszym, że okaziciel niniejszego zaświadczenia, Mikołaj Iwanowicz, spędził wyżej wymienioną noc na balu u szatana, gdzie został zaangażowany jako środek lokomocji... otwórz, Helia, nawias, a w nawiasie napisz “wieprz”. Podpisano – Behemot.

– A data? – pisnął były wieprz.

– Dat nie wpisujemy, z datą dokument byłby nieważny – powiedział kot składając niedbały podpis. Potem wyjął skądś pieczętkę, chuchnął na nią urzędowo, odbił na papierze słowo “zapłacono” i wręczył ów papier lokatorowi z parteru. Po czym lokator z parteru zniknął bez śladu, a na jego miejscu zjawił się nowy nieoczekiwany gość.

– A to znów kto? – z obrzydzeniem zapytał Woland, dłońią osłaniając się przed blaskiem świece.

Warionucha zwiesił głowę, westchnął i cicho powiedział:

– Zwolnijcie mnie, nie mogę być wampirem. Przecież myśmy z Helia wtedy o mało co nie wyprawili Rimskiego na tamten świat. A ja nie jestem krwiożerczy. Wypuście mnie!

– Co to znowu za brednie? – marszcząc czoło powiedział Woland. – Jaki Rimski? Co to znowu za bzdura?

– Proszę się nie denerwować, messer – odezwał się Asasello i zwrócił się do Warionuchy: – Przez telefon nie należy nikomu ubliżać. Przez telefon nie należy kłamać. Zrozumiano? Nie będziesz tego więcej robił?

Warionusze z radości zamąciło się w głowie, twarz mu się rozpromieniła i, ogłupiały, zaczął mamrotać:

– Jak Boga ko... to jest, chciałem powiedzieć... Wasza Wyso... zaraz po obiedzie... – Warionucha przyciskał dłonie do piersi i patrzył na Asasella błagalnie.

– Dobra. Do domu! – powiedział Asasello i Warionucha rozplątał się.

– Teraz zostawcie mnie z nimi samego – polecił Woland wskazując na mistrza i Małgorzatę.

Polecenie Wolanda zostało wykonane błyskawicznie. Po chwili milczenia Woland zwrócił się do mistrza:

– A zatem – do sutereny na Arbacie? A pańska powieść? A Piłat?

– Znienawidziłem tę powieść – odparł mistrz.

– Błagam cię – żałośnie prosiła Małgorzata – nie mów tak. Dlaczego się nade mną znęcasz? Przecież wiesz, że w tę książkę włożyłam całe swoje życie. – I zwracając się do Wolanda dodała:

– Niech pan go nie słucha, messer.

– Ale o czymś przecież trzeba pisać? – mówił Woland. – Jeśli pan skończył z tym procuratorem, to niech pan się zabierze chociażby do takiego Alojzego.

Mistrz uśmiechnął się.

– To niezbyt interesujące.

– Więc co panu wypełni życie?

Małgorzata oderwała się od mistrza i z wielkim żarem zaczęła mówić:

– Zrobiłam wszystko, co mogłam, podsuwałam mu najbardziej porywające projekty. Ale on na nic się nie zgadza.

– Ja wiem, o czym mu pani szeptala – zaprotestował Woland – ale to wcale nie jest najbardziej porywające. A ja panu powiem – z uśmiechem zwrócił się do mistrza – że pańska powieść jeszcze sprawi panu niejedną niespodziankę.

– To bardzo smutne – odpowiedział mistrz.

– Nie, to nie jest smutne – powiedział Woland – nie ma w tym niczego strasznego. No cóż, Małgorzato Nikołajewna, wszystko zostało wykonane. Czy może mi pani coś zarzucić?

– Ależ skądże, messer!

– Więc niechże to pani przyjmie ode mnie na pamiątkę – powiedział Woland i wyjął spod poduszki niewielką ozdobioną diamentami złotą podkówkę.

– Nie, nie, nie, z jakiej racji?

– Szuka pani zwady ze mną? – zapytał Woland i uśmiechnął się.

Ponieważ płaszcz nie miał kieszeni, Małgorzata położyła podkówkę na serwetce, którą następnie zawiązała w węzełek. I w tym momencie doznała olśnienia. Spojrzała w okno, za którym świecił księżyc, i po wiedziała:

– Czegoś tu nie rozumiem... co to właściwie jest – ciągle północ i północ, a przecież już dawno powinien nadejść świt?

– Świąteczną północ miło jest zatrzymać nieco dłużej – odpowiedział Woland. – No, to życzę szczęścia wam obojgu!

Małgorzata modlitewnie wyciągnęła obie dłonie do Wolanda, ale nie ośmieliła się doń zbliżyć i tylko zawołała cicho:

– Żegnaj! Żegnaj, messer!

– Do zobaczenia – powiedział Woland.

Małgorzata w czarnym płaszczu, a mistrz w szpitalnym szlafroku wyszli na korytarz

mieszkania po jubilerowej. W korytarzu paliła się świeca i oczekiwała ich tam świta Wolanda. Kiedy wyszli z korytarza, Helia niosła walizkę, w której była powieść i cały skarb Małgorzaty, kot zaś pomagał Helii.

Przy drzwiach wejściowych Korowioł skłonił się i zniknął, a reszta wyszła odprowadzać na schody. Klatka schodowa była pusta. Kiedy mijali podest drugiego piętra, coś miękko stuknęło o podłogę, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Przy samych drzwiach, już na dole, Asasello dmuchnął w górę i skoro tylko weszli na podwórze, na które nie zaglądał księżyc, zobaczyli stojący przy samym wyjściu z klatki schodowej czarny samochód z wygaszonymi światłami. Na przedniej szybie niewyraźnie rysowała się sylwetka gawrona.

Kiedy mieli już wsiadać do samochodu, przerażona Małgorzata krzyknęła cicho:

– O Boże, zgubiłam podkowę!

– Wsiadajcie do samochodu – powiedział Asasello – i poczekajcie na mnie. Zaraz wrócę, muszę tylko zobaczyć, co się właściwie stało. – I zawrócił.

A stało się, co następuje: na jakiś czas przed tym, nim mistrz i Małgorzata oraz całe towarzystwo wyszli z mieszkania numer pięćdziesiąt, z mieszkania pod czterdziestym ósmym, które znajdowało się piętro niżej w tym samym pionie, wyszła na schody wychudła kobieta z bańką i z torbą. Była to ta właśnie Annuszka, która w środę na nieszczęście Berlioza rozlała przy turnikiecie olej słonecznikowy.

Nikt nie wiedział i z pewnością nikt się nigdy nie dowie, czym się zajmowała w Moskwie ta kobieta i z czego żyła. Wiedzano o niej tyle tylko, że codziennie można ją było spotkać z bańką – albo i z bańką, i z torbą – albo w mydłami, albo na targu, albo pod bramą, albo na schodach, najczęściej jednak w kuchni mieszkania pod czterdziestym ósmym, w którym zamieszkiwała owa Annuszka. Poza tym wszyscy przede wszystkim wiedzieli, że gdziekolwiek się znajdowała, gdziekolwiek się pojawiała, tam natychmiast wybuchał dziki skandal; możemy jeszcze dodać, że była ona powszechnie znana również jako “Gangrena”.

Annuszka –Gangrena nie wiadomo dlaczego wstawała bardzo wcześnie, a dzisiaj coś wyrwało ją ze snu jeszcze przed pierwszym brzaskiem, zaraz po dwunastej. Przekręcił się klucz w drzwiach, wsunął się w nie nos, a następnie cała reszta Annuszki, drzwi zostały zatrzaśnięte i Annuszka zamierzała już gdzieś wyruszyć, kiedy piętro wyżej huknęły drzwi, ktoś popędził na dół po schodach, wpadł na Annuszkę i odepchnął na bok tak mocno, że kobieta uderzyła potylicą w ścianę.

– Gdzie cię diabeł nosi w samych kałesonach? – piskliwie wrzasnęła Annuszka łapiąc się za kark. Człowiek w samej bieliźnie, w kaszkiecie, z walizką w ręku, nie otwierając oczu powiedział Annuszce niesamowitym sennym głosem:

– Piecyk w łazience... ton... samo pobielenie ile kosztowało... – z płaczem zaryczał. – Won!

Zerwał się i pobiegł nie na dół, tylko z powrotem na górę, w kierunku okna z wybita szybą i przez to okno do góry nogami wyleciał na podwórze. Annuszka nawet o swoim karku zapomniała, jęknęła i też podbiegła do okna. Położyła się, przywarła brzuchem do podłogi i wystawiła głowę na zewnątrz, przekonana, że na oświetlonym latarnią asfalcie podwórka zobaczy roztrzaskane zwłoki człowieka z walizką... Ale asfalt podwórka był idealnie pusty.

Pozostawało więc uznać, że ów dziwny i senny osobnik wyleciał z domu jak ptak nie pozostawiając po sobie najmniejszych śladów. Annuszka przeżegnała się i pomyślała: “Wesołe mieszkanko ta pięćdziesiątka! Nie na darmo ludzie gadają! To ci mieszkanko!”

Nie zdążyła tego na dobre pomyśleć, a już drzwi na górze trzasnęły znowu i znowu ktoś zbiegał stamtąd. Annuszka przycisnęła się do ściany i zobaczyła jakiegoś dość dystyngowanego obywatela z bródką, ale z odrobinę – tak się przynajmniej Annuszce wydało – prosiakowatą twarzą. Obywatel ów śmignął koło niej, podobnie jak tamten pierwszy opuścił dom przez okno i również ani mu w głowie było roztrzaskiwać się o asfalt. Annuszka zapomniała już, jaki miał być cel jej wymarszu, i została na schodach – żegnała się znakiem krzyża, pojękiwała i sama ze sobą rozmawiała.

Trzeci nie miał bródki, tylko okrągłą, wygoloną twarz, był w tołstojowskiej koszuli, zbiegł z góry niebawem i również wyfrunął przez okno.

Oddając Annuszce sprawiedliwość musimy powiedzieć, że była kobietą żądną wiedzy i że postanowiła trochę poczekać – a nuż zdarzą się jeszcze jakieś nowe cuda? Drzwi na górze otworzyły się znowu, ale tym razem zaczęło schodzić całe towarzystwo, nie zbiegało, szło normalnie, jak ludzie. Annuszka odbiegła od okna, zeszła pół piętra do swoich drzwi, szybciućienko je otworzyła, schowała się do przedpokoju i w wąskiej szparze niedomkniętych drzwi zamigotało jej oszalałe z ciekawości oko.

Jakiś niby chory, niby nie chory, dziwny, blady, zarośnięty, w czarnej czapeczce i w jakimś szlafroku niepewnie szedł po schodach. Troskliwie podtrzymywała go pod ramię jakaś damulka w czymś, co w półmroku wydało się Annuszce habitem. Damulka była ni to bosa, ni to w jakichś przezroczyстых, z pewnością zagranicznych, podartych na strzępy pantofelkach. “Wesołe

mieszkanko!...” Wszystko w duszy Annuszki śpiewało, kiedy sobie wyobraziła, jak będzie rano opowiadać to wszystko sąsiadom.

Za dziwnie ubraną damulka podążała inna dama, zupełnie goła, niosąca walizeczkę, obok walizeczki zaś kręcił się ogromny czarny kocur. Annuszka przetarła oczy i mało brakowało, a zapiszczałyby na głos.

Zamykał pochód kulejący cudzoziemiec niskiego wzrostu, z bielmem na oku, bez marynarki, w białej frakowej kamizelce, w krawacie. Całe to towarzystwo przedefilowało obok Annuszki i poszło na dół. Coś stuknęło o podest.

Annuszka odczekała, aż kroki przycichły, jak wąż wyslizgnęła się zza drzwi, odstawiła bańkę pod ścianę, położyła się na podeście i zaczęła obmacywać podłogę. Po chwili miała w ręku serwetkę, a w niej coś ciężkiego. Oczy Annuszce wylazły na czoło, kiedy rozwinęła tę serwetkę. Podniosła klejnot ku samym oczom, a w oczach tych płonął wilczy zaiste ogień. W głowie Annuszki zerwała się zawierucha:

“Nic nie wiem, nic nie widziałam!... Do siostrzeńca? A może rozpiłować na kawałki?... Kamienie można wydłubać i po kamyku – jeden na Pietrowkę, drugi na Smoleński... Nic nie wiem, nic nie widziałam...”

Schowała więc znalezisko za pazuchę, chwyciła bańkę i odkładając wyprawę na miasto już zamierzała się wśliznąć z powrotem do swego mieszkania, kiedy diabli wiedza skąd wziął się przed nią ten z białą pierśią, bez marynarki, i cicho powiedział:

– Dawaj podkówkę i serwetkę!

– Jaką znowu podkówkę, jaką znowu serwetkę? – zdumiała się nader udatnie Annuszka. – Na oczy nie widziałam żadnej serwetki. Pijani jesteście, obywatelu, czy jak?

Białopierśny, nic już więcej nie mówiąc, twardymi jak poręcze w autobusie i jak one zimnymi palcami tak ścisnął gardło Annuszki, że całkowicie przerwał dopływ powietrza do jej płuc. Bańka wypadła Annuszce z ręki, upadła na podłogę. Potrzymawszy Annuszkę czas pewien bez powietrza, rozneglizowany cudzoziemiec rozluźnił uchwyt. Annuszka zaczerpnęła tchu i uśmiechnęła się.

– Ach, podkóweczkę? – przemówiła. – Już się robi! A więc to pańska podkóweczka? A ja patrzę: leży sobie w serwetce, to specjalnie wzięłam, żeby jej kto nie zabrał, bo potem to, wie pan, szukaj wiatru w polu!

Otrzymaawszy podkóweczkę i serwetkę cudzoziemiec jął uniżenie kłaniać się Annuszce,

mocno ściskać jej rękę i gorąco dziękować z bardzo wyraźnym zagranicznym akcentem, takimi słowy:

– Jestem pani niezmiernie zobowiązany, madame. Ta podkówka to droga mi pamiątka rodzinna. Pani będzie łaskawa za przechowanie tego drobiazgu przyjąć te dwieście rubli znaleźnego – wyjął pieniądze z kieszonki kamizelki i wręczył je Annuszcze.

Uśmiechając się rozpaczliwie Annuszka pokrzykiwała tylko:

– Ach, dziękuję panu najpokorniej! Merci! Merci!

Hojny cudzoziemiec jednym susem przesadził pół piętra, ale nim ostatecznie zniknął, krzyknął jeszcze z dołu, tylko już bez akcentu:

– Ty stara wiedzmo, jak jeszcze kiedy znajdziesz cudzą rzecz, to na milicję odnieś, a nie chowaj za pazuchę!

Annuszka, mając w rozdzwonionej głowie – wskutek wszystkich tych wydarzeń na klatce schodowej – zamęt, długo jeszcze z rozpędu powtarzała:

– Merci! Merci! Merci!... – ale cudzoziemca dawno już nie było.

Nie było także na podwórzu samochodu. Jego światła zniknęły wśród innych świateł na bezsennej, gwarnej Sadowej.

W godzinę później w suterenie maleńkiego domku przy jednym z zaułków w pobliżu Arbatu, w pierwszym pokoju, w którym wszystko było tak samo jak przed ową straszną zeszłoroczną nocą jesienną, przy nakrytym aksamitną serwetą stole, pod lampą z abażurem, koło której stały w wazoniku konwalie, siedziała Małgorzata i cicho płakała z wyczerpania przeżyтыми wstrząsami i ze szczęścia. Leżał przed nią nadpalony brulion, a obok niego piętrzyła się sarta innych, nienaruszonych. W domku panowała cisza. W maleńkim sąsiednim pokoiku leżał przykryty szpitalnym szlafrokiem, pogrążony w głębokim śnie, mistrz. Oddychał równo i cicho.

Małgorzata wyplakała się, sięgnęła po nienaruszone bruliony i odnalazła to miejsce, które czytała przed spotkaniem z Asasellem pod murem Kremla. Nie chciało jej się spać. Pieszczotliwie głaskała maszynopis, jak głaska się ulubionego kota, obracała go w dłoniach, oglądała ze wszystkich stron, to zatrzymując się na karcie tytułowej, to zaglądając na koniec. Wpadła jej nagle do głowy straszna myśl, że wszystko to są czary, że za chwilę bruliony znikną, że znajdzie się w swojej sypialni w willi, a kiedy się obudzi, będzie musiała iść się utopić. Ale była to ostatnia straszna myśl, pogłos długiej udręki, w jakiej żyła. Nic nie niknęło, wszechmocny Woland był rzeczywiście wszechmogący i Małgorzata mogła, ile tylko chciała,

choćby do samego świtu, szeleścić stronicami brulionów, przyglądać się im, całować je i czytać raz jeszcze słowa: Ciemność, która nadciągnęła z nad Morza Śródziemnego, okryła znienawidzone przez prokuratora miasto...

25. Jak procurator usiłował ocalić Judę z Kiriatu

Ciemność, która nadciągnęła znad Morza Śródziemnego, okryła znienawidzone przez procuratora miasto. Zniknęły wiszące mosty łączące świątynię ze straszliwą wieżą Antoniusza, otchłań zwała się z niebios i pochłonęła skrzydlatych bogów ponad hipodromem, pałac Hasmonejski wraz z jego strzelnicami, bazary, karawanseraje, zaułki, stawy... Jeruzalaim, wielkie miasto, zniknęło, jak gdyby nigdy nie istniało. Wszystko pożarła ciemność, która przeraziła wszystko, co żyło w samym Jeruzalaim i w jego okolicach. Dziwna chmura przygnana została znad morza przed wieczorem czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan.

Chmura ta zwała się już na nagie wzgórze zwane Trupią Czaszką, na którym oprawcy pośpiesznie dobijali skazańców, zwała się na świątynię jerszalaimeką, dymnymi potokami spęzła ze wzgórza, na którym stał Przybytek, i zalała Dolne Miasto. Wlewała się w okienka i spędzała ludzi z krętych uliczek do domów. Niespieszne jej było podzielić się z ziemią swą wodą, obdzielała ją tylko swą barwą. Skoro tylko dymną czarną kipieli rozłupywał ogień, wzbijała się ku górze z nieprzejrzanych ciemności ogromna bryła świątyni z połyskującą łuską dachu. Ale ogień gasł natychmiast i świątynia pogrążała się w ciemnej otchłani. Wyrastała z niej po kilkakroć i znowu się zanurzała, a za każdym razem towarzyszył takiemu zanurzeniu łoskot właściwy kataklizmom.

Inne migotliwe rozbłyski wydobywały z otchłani stojący naprzeciw świątyni na zachodnim wzgórzu pałac Heroda Wielkiego i straszliwe bezokie posągi ze złota wzlatywały ku czarnemu niebu i wyciągały ku niemu ręce. Ale ogień niebieski znowu zniknął i ciężkie uderzenia piorunów zapędzały złote idole w ciemność.

Ulewa lunęła nieoczekiwanie, a wtedy burza przemieniła się w huragan. W tym samym miejscu, gdzie około południa procurator rozmawiał z arcykapłanem, koło marmurowej ławy w ogrodzie, uderzenie podobne uderzeniu armatniego pocisku przełamało jak trzcinę cyprys. Wraz z pyłem wodnym i gradem wiatr wciskał pod kolumnadę tarasu zerwane róże, liście magnolii, kawałki strzaskanych gałęzi i piasek. Huragan szarpał ogrody.

W tym momencie znajdował się pod kolumnadą jeden tylko człowiek – procurator.

Nie siedział teraz na tronie, ale leżał na sofie przy niewielkim niskim stole zastawionym jadłem i dzbanami z winem. Po przeciwnej stronie stołu znajdowało się drugie łoże, puste. U stóp

procuratora ciemniała nie wytarta czerwona kałuża podobna kałuży krwi, poniewierały się skorupy rozbitego dzbana. Sługę, który przed burzą nakrywał stół dla procuratora, nie wiedzieć czemu zmieszało spojrzenie hegemonu, zdenerwował się myśląc, że zrobił coś nie tak, jak należało, a rozgniewany na niego procurator rozbił dzban o mozaikową posadzkę i powiedział:

– Czemu nie patrzysz w twarz, kiedy podajesz? Czy coś ukradłeś?

Czarna twarz Afrykanina poszarzała, w jego oczach widać było śmiertelną trwozę, zadygotał i o mało nie zbił drugiego dzbana, lecz gniew procuratora dla czegoś minął równie szybko, jak nim owładnął. Afrykanin poskoczył, by zebrać skorupy i wytrzeć kałużę, ale procurator skinął nań i niewolnik uciekł. Kałuża natomiast pozostała.

Teraz, podczas huraganu, Afrykanin krył się nie opodal niszy, w której stała biała statua przedstawiająca nagą kobietę z pochyloną głową, bał się nawinąć pod rękę nie w porę, a zarazem lękał się, że przegapi chwilę, kiedy procurator może go zawezwać do siebie.

Procurator leżąc na łożu w półmroku burzy sam nalewał sobie wino do pucharu, pił je długimi łykami, niekiedy brał do ręki chleb, kruszył go i przetykał maleńkie kawałeczki, od czasu do czasu wysysał ostrygi, żuł cytrynę i znowu popijał.

Gdyby nie łoskot wody, gdyby nie uderzenia piorunów, które, zdawało się, chciały rozplatać pałacowy dach, gdyby nie stukot gradu młócaącego stopnie tarasu, można by było usłyszeć, że procurator mruczy coś sam do siebie. I gdyby niepewne migoty ogni niebieskich przemieniły się w trwalsze światło, ktoś, kto by na to patrzył, mógłby zauważyć, że twarz procuratora o oczach rozpalonych przez bezsenność i przez wino wyraża zniecierpliwienie, że procurator patrzy nie tylko na dwie białe róże, które utonęły w czerwonej kałuży, ale co chwila zwraca twarz w stronę ogrodu, tam skąd wpada pył wodny i piasek, że oczekuje na kogoś, oczekuje niecierpliwie.

Minął czas pewien, zaczęła rzednąć przesłona wody przed oczyma proeuratora. Huragan, choć tak wściekły, słabł przecież. Nie trzeszczały już i nie spadały gałęzie. Pioruny i błyskawice były coraz rzadsze. Teraz przepływała nad Jeruzalaim już nie fioletowa o białych brzegach zasłona, ale zwykła szara chmura długotrwałej burzy. Burza przesuwiała się w stronę Morza Martwego.

Teraz można już było usłyszeć z osobna i szum deszczu, i szum wody spadającej ściekami i wprost ze stopni owych schodów, po których procurator szedł w dzień, by ogłosić na placu wyrok. Wreszcie można było usłyszeć także zagłuszaną dotychczas fontannę. Rozjaśniało się. W szarej, oddalającej się ku wschodowi przesłonie pojawiły się błękitne prześwity.

Wtedy z oddali, poprzez bębnienie drobnego już teraz deszczu, dobiegł do uszu procuratora

tupot kilkuset kopyt i słabe dźwięki trąb. Procurator poruszył się, kiedy to usłyszał, jego twarz ożywiła się. Ala powracała z Nagiej Góry. Sądząc po odgłosach mijala właśnie ów plac, na którym ogłoszono wyrok.

Wreszcie procurator usłyszał od dawna oczekiwane kroki i człapanie na schodach prowadzących na górny taras ogrodów, przed samą już kolumnadą. Wyciągnął szyję, jego oczy zabłyśły, wyrażały radość.

Pomiędzy dwoma marmurowymi lwami ukazała się najpierw zakapturzona głowa, a potem zupełnie przemoczony człowiek w płaszczu, który oblepiał mu ciało. Był to ten sam człowiek, który przed wyrokiem spotkał się z procuratorem w zaciemnionej komnacie pałacu, który w czasie karni siedział na trójnożnym taborecie i bawił się kijaszkiem.

Nie zwracając uwagi na kałuże zakapturzony gość przeszedł przez ogrodowy taras, wszedł na mozaikową posadzkę pod kolumnadą i wznosząc dłoń powiedział miłym wysokim głosem:

– Bądź pozdrowiony, procuratorze! – Mówił po łacinie.

– Bogowie! – zawołał Piłat. – Przecież nie ma na tobie suchej nitki! Co za huragan! Prawda? Proszę, przejdź do mnie. Zechciej mi wyświadczyć tę łaskę i przebierz się niezwłocznie.

Przybysz odrzucił kaptur, odsłonił zupełnie mokrą głowę, włosy przywarły mu do czoła. Na wygoloną twarz przywołał uprzejmy uśmiech, podziękował za propozycję zmiany ubrania i zapewnił, że deszczyk bynajmniej mu nie zaszkodzi.

– Nie chcę tego słuchać – powiedział Piłat i klasnął w dłonie. Wezwał w ten sposób chowające się przed nim sługi i polecił im zatroszczyć się o przybysza, a potem niezwłocznie podać coś gorącego do jedzenia.

Na to, by wysuszyć włosy, zmienić obuwie i odzież i w ogóle doprowadzić się do porządku, gość procuratora potrzebował bardzo niewiele czasu i niebawem zjawił się na tarasie w suchych sandałach, w suchym purpurowym wojskowym płaszczu, uczesany.

Słońce tymczasem powróciło nad Jerozolimę i zanim odeszło, by zatonać w Morzu Śródziemnym, posyłało pożegnalne promienie zniechęconemu przez procuratora miastu i wylaczało wiodące na taras schody. Fontanna odżyła już zupełnie i rozśpiewała się ze wszystkich sił, wyszły na piasek gołębie, gruchały, przeskakiwały przez połamane gałązki, wydziobywały coś z mokrego piasku. Wytarto czerwoną kałużę, sprzątnięto skorupy, na stole dymiło mięsiwo.

– Słucham rozkazów procuratora – podchodząc do stołu powiedział przybysz.

– Niczego nie usłyszysz, zanim nie usiądziesz i nie napijesz się wina – uprzejmie

odpowiedział Piłat i wskazał wolną sofę.

Przybysz legł, sługa nalał do jego pucharu gęstego czerwonego wina. Inny służący, przechylając się ostrożnie przez ramię Piłata, napełnił puchar procuratora. Następnie procurator skinieniem głowy oddalił obydwu.

Kiedy przybysz pił i jadł, Piłat, pociągając wino drobnymi łyżkami, patrzył zmrużonymi oczyma na swego gościa. Człowiek, który przyszedł do Piłata, był w średnim wieku, miał bardzo miłą, krągłą, czystą twarz, mięsisty nos i włosy jakiegoś nieokreślonego koloru. Pojaśniały teraz, wysychając. Trudno byłoby orzec, jaka jest narodowość gościa. Tym, co dominowało w jego twarzy, była chyba dobroduszość, z którą zresztą klóciły się oczy, a raczej nie tyle same oczy, ile sposób, w jaki miał zwyczaj patrzeć na swego rozmówcę. Zazwyczaj skrywał swoje małe źrenice pod opuszczonymi, nieco dziwnymi, jak gdyby opuchniętymi powiekami. Wtedy w szparkach tych oczu jaśniała dobroduszna chytryść. Należy sądzić, że gość procuratora był człowiekiem wesołym. Ale niekiedy ze szparek humor ów znikał bez śladu, człowiek, którego gościł teraz procurator, szeroko otwierał oczy i zniecka patrzył na swego rozmówcę tak badawczo, jak gdyby chciał się szybko i dokładnie przyjrzeć niezauważalnemu znamieniu na nosie rozmówcy. Trwało to przez oka мгnienie, po czym powieki znowu opadały, zwężyły się szparki i znów zaczynała w nich jaśnieć dobroduszość i figlarna bystrość umysłu.

Przybysz nie odmówił również drugiego pucharu wina, z widoczną rozkoszą przełknął kilka ostryg, spróbował gotowanych jarzyn, zjadł kawałek mięsa. Zaspokoiwszy głód pochwalił wino:

– Znakomity gatunek, procuratorze, ale to nie falern?

– Caecubum. Trzydziestoletnie – odpowiedział uprzejmie procurator.

Gość przyłożył dłoń do serca, odmówił zjedzenia jeszcze czegokolwiek, powiedział, że jest najedzony. Wówczas Piłat napełnił swój puchar, gość uczynił to samo. Obaj uczujący odlali nieco wina ze swoich pucharów do półmiska z mięsiwem i procurator wznosząc puchar powiedział głośno:

– Za nas, za ciebie, cesarze, ojczyźnie Rzymian!...

Następnie dopili wino, Afrykanie sprzątnęli ze stołu jadło, pozostawiając owoce i dzbany. Procurator znowu oddalił skinieniem usługujących i został pod kolumnadą sam na sam ze swoim gościem.

– A zatem – powiedział Piłat niezbyt głośno – co możesz mi powiedzieć o nastrojach panujących w tym mieście?

Mimo woli popatrzył w tę stronę, gdzie za tarasami ogrodów, w dole dopalały się kolumnady i płaskie dachy wyłożone ostatnimi promieniami.

– Sądzę, że kohorta Błyskawic może odejść – powiedział gość.

– To bardzo dobra myśl – zgodził się z nim procurator. – Odeślę ją pojutrze, sam także odjadę i, przysięgam na ucztę dwunastu bogów, przysięgam na lary, że wiele bym dał za to, aby móc to uczynić już dzisiaj!

– Nie lubisz jednak Jeruzalaim, procuratorze? – dobrodusznie zapytał gość.

– Na litość! – uśmiechając się zawołał procurator. – Nie ma bardziej beznadziejnego miejsca na ziemi. Nie mówię już o przyrodzie – jestem chory za każdym razem, ilekroć muszę tu przyjechać – to jeszcze pół biedy!... Ale te święta!... Magowie, czarodzieje, czarnoksiężnicy, te stada wiernych!... Fanatycy, fanatycy!... Ileż był wart ten jeden mesjasz, którego nagle zaczęli się spodziewać w tym roku! Człowiek jest przygotowany na to, że w każdej chwili może stać się świadkiem odrażającego przelewu krwi... Nieustannie trzeba przesuwać wojska, czytać donosy i skargi, a połowa z nich to donosy i skargi na mnie! Przyznasz, że to nudne. O, gdyby nie to, że jestem w służbie imperatora!...

– Tak, święta tu są ciężkie – przytaknął gość.

– Pragnę z całego serca, żeby się skończyły jak najrychlej – energicznie dorzucił Piłat. – Będę mógł wreszcie powrócić do Caesarei. Czy uwierzysz, że ta poroniona budowla Heroda – procurator machnął ręką w stronę kolumnad i stało się oczywiste, że ma na myśli pałac – po prostu doprowadza mnie do obłędu? Nie mogę tu sypiać. Świat nie widział dziwaczniejszej architektury!... Tak, ale wróćmy do rzeczy. Przede wszystkim – czy nie niepokoi cię ten przeklęty Bar Rawan?

W tym momencie gość wystrzelił swoje osobliwe spojrzenie w policzek procuratora. Ale zmrużone w obrzydzeniu, udręczone oczy Piłata patrzyły w dal, wpatrywały się w leżącą u jego stóp, dogasającą w zmierzchu część miasta. Zgasło także spojrzenie gościa, jego powieki opadły.

– Należy sądzić, że Bar Rawan będzie teraz niegroźny jak jagnię – przemówił gość i zmarszczki pojawiły się na krągłej jego twarzy.

– Ale w każdym razie – zauważył z niepokojem procurator i wznosił długi cienki palec z czarnym kamieniem pierścienia – trzeba będzie...

– O, procurator może być pewien, że dopóki ja jestem w Judei, Bar nie uczyni ani jednego kroku, by moi ludzie nie deptali mu po piętach.

- Teraz jestem spokojny, zresztą zawsze jestem spokojny, kiedy ty jesteś tutaj.
 - Jesteś dla mnie zbyt łaskaw, procuratorze!
 - A teraz, proszę, opowiedz mi o kaźni – powiedział procurator.
 - Co mianowicie interesuje procuratora?
 - Czy tłum nie próbował w jakiś sposób wyrazić oburzenia? To, oczywiście, najważniejsze.
 - Nie – odparł gość.
 - To bardzo dobrze. Stwierdziłeś zgon osobiście?
 - Procurator może być tego pewien.
 - A powiedz mi... czy przed powieszeniem na słupach podano im napój?
 - Tak. Ale – tu gość zamknął oczy – nie chciał go wypić.
 - Kto mianowicie? – zapytał Piłat.
 - Przepraszam, hegemonie! – zawołał gość. – Nie powiedziałem, kto? Ha–Nocri!
 - Szaleniec! – powiedział Piłat i wykrzywił się nie wiedzieć czemu. Zadygotała żyłka pod jego lewym okiem. – Umierać na udar słoneczny! Czemuż nie przyjąć tego, na co zezwała prawo? W jakich słowach odmówił?
 - Powiedział – odparł gość znowu zamykając oczy – że dziękuje i nie ma żalu o to, że pozbawia się go życia.
 - Do kogo nie ma żalu? – głucho zapytał Piłat.
 - Tego, hegemonie, nie powiedział...
 - Nic poza tym? – zapytał ochryply głos,
 - Poza tym nic.
- Procurator stuknął pucharem nalewając sobie jeszcze wina. Wysączywszy puchar do dna powiedział:
- Chodzi o to, że jakkolwiek nie możemy, przynajmniej w tej chwili, znaleźć żadnych jego wyznawców czy też naśladowców, to przecież nie sposób zaręczyć, że ich w ogóle nie ma.
- Gość słuchał uważnie, pochylił głowę.
- Zatem, aby ustrzec się jakichś niespodzianek – ciągnął procurator – bardzo proszę, aby jak najprędzej i nie nadając sprawie rozgłosu uprzątnąć ciała wszystkich trzech skazańców i pogrzebać je potajemnie, cichaczem, tak żeby nikt już o nich nigdy nie usłyszał.
 - Rozkaz, hegemonie – powiedział gość i wstał ze słowami: – Ponieważ sprawa jest skomplikowana i wielkiej wagi, proszę mi pozwolić odjechać natychmiast.

– Nie, usiądź jeszcze, proszę – powiedział Piłat, gestem powstrzymując swego gościa – są jeszcze dwie sprawy. Sprawa pierwsza – ogromne twoje zasługi w trudnej pracy komendanta tajnej służby przy procuratorze Judei pozwalają mi zameldować o nich Rzymowi, co z przyjemnością uczynię.

Wówczas zaróżowiła się twarz gościa, gość wstał, skłonił się procuratorowi i powiedział:

– Spełniam jedynie mój obowiązek w służbach imperatora.

– Chciałbym jednak prosić – ciągnął hegemon – o to, byś odrzucił propozycję awansu z przeniesieniem gdzie indziej, jeśli zostanie ci ona uczyniona, i abyś pozostał przy mnie. Za nic nie chciałbym rozstawać się z tobą. Niechaj cię wynagrodzą w jakiś inny sposób.

– Jestem szczęśliwy, że służę pod twymi rozkazami, hegemonie.

– Bardzo to dla mnie miłe. Zatem – sprawa druga. Chodzi o tego... jakże mu tam... Judę z Kiriatu.

Tu gość wystrzelił w procuratora swoje spojrzenie i, jak przystało, zaraz je zgasił.

– Powiadają, że – ciągnął procurator ściszywszy głos – otrzymał pieniądze za to jakoby, że tak serdecznie podjął tego szaleńca.

– Otrzyma je dopiero – sprostował cicho komendant tajnej służby.

– Czy to duża suma?

– Nikt tego wiedzieć nie może, hegemonie.

– Nawet ty? – powiedział hegemon i w jego zdziwieniu zabrzmiała pochwała.

– Nawet ja, niestety – spokojnie odpowiedział gość. – Ale wiem na pewno, że otrzyma te pieniądze dzisiejszego wieczora. Został na dzisiaj wezwany do pałacu Kajfasza.

– Ach, cóż to za chciwy starzec, ten kariatczyk! – zauważył z uśmiechem procurator. – Bo to przecież starzec, prawda?

– Procurator nigdy się nie myli, tym razem jednak się omylił – uprzejmie odparł gość – człowiek z Kiriatu jest młody.

– O! Czy mogę prosić o bliższą charakterystykę? Czy to fanatyk?

– O nie, procuratorze!

– Ta–ak... Cóż jeszcze?

– Jest bardzo przystojny.

– A oprócz tego? Ma może jakąś słabość?

– Trudno jest wiedzieć wszystko o każdym mieszkańca tak dużego miasta, procuratorze...

– O, nie, nie, Afraniu! Proszę, nie pomniejszaj swoich zasług.

– Ma on pewną słabość, procuratorze! – gość zrobił małą pauzę. – Ma słabość do pieniędzy.

– A czym się zajmuje?

Afraniusz wznosił oczy ku górze, zastanowił się i odpowiedział:

– Pracuje w kantorze wymiany, który należy do jednego z jego krewnych.

– Ach, tak, tak, tak, tak – procurator zamilkł, rozejrzał się, czy nikogo nie ma pod kolumnadą, a potem powiedział cicho: – A więc, chodzi o to, że doniesiono mi, iż zostanie on tej nocy zasztyletowany.

Usłyszawszy to, gość nie tylko obrzucił procuratora osobliwym swoim spojrzeniem, ale nawet zatrzymał je przez chwilę na rozmówcy, a potem powiedział:

– Zbyt pochlebny był twój sąd o mnie, procuratorze. Uważam, że nie zasługuję na to, abys donosił o mnie Rzymowi. Mnie nic o tym nie wiadomo.

– Zasługujesz na najwyższe nagrody – odparł procurator. – Wiem jednak, że ten młody człowiek ma być dzisiejszej nocy zasztyletowany.

– Ośmielam się zapytać, od kogo pochodzą te wiadomości.

– Wybacz, że tego na razie nie zdradzę, tym bardziej że to wiadomości przypadkowe, niepewne i niejasne. Mam jednak obowiązek przewidzieć wszystko. Tego wymaga ode mnie mój urząd, a ja wierzę przede wszystkim moim przeczuciom, bo one nigdy mnie jeszcze nie zawiodły. Z raportu zaś, który otrzymałem, wynika, że ktoś z potajemnych przyjaciół Ha-Nocri, oburzony potworną zdradą tego wekslarza, zmawia się ze swymi kompanami, zamierzając zabić go dzisiejszej nocy, a pieniądze, które otrzymał za to, że zaprzedał gamalijczyka, podrzucić arcykapłanowi z notatką: “Zwracam przeklęte pieniądze”.

Komendant tajnej służby nie rzucał już więcej na hegemonia swoich nieoczekiwanych spojrzeń, przymknawszy oczy słuchał jego słów, a Piłat ciągnął:

– Pomyśl, proszę, czy przyjemnie będzie arcykapłanowi, kiedy w świąteczną noc otrzyma taki prezent?

– Czy przyjemnie? – odpowiedział uśmiechając się gość. – Sądzę, procuratorze, że to wywoła ogromny skandal.

– Jestem tego samego zdania. Dlatego właśnie chciałbym, byś zajął się tą sprawą, to znaczy, byś uczynił wszystko, co leży w twojej mocy, by uchronić Judę z Kiriatu.

– Rozkaz twój zostanie spełniony – zaczął mówić Afraniusz – ale muszę cię, hegemonie,

uspokoić. Zamysł zbrodniarzy jest nader trudny do wykonania. Proszę tylko pomyśleć – gość obejrzał się mówiąc, po czym ciągnął dalej – muszą wysledzić człowieka, zabić go, w dodatku muszą się dowiedzieć, ile dostał i potem znaleźć sposób zwrócenia pieniędzy Kajfaszowi. I wszystko to w ciągu jednej nocy? Dzisiejszej nocy?

– A jednak zasztyletują go dzisiaj – powtórzył z uporem Piłat. – Mam takie przeczucie, powiadam ci! Nie zdarzyło się jeszcze, żeby przeczucie mnie zawiodło – i grymas wykrzywił twarz procuratora, hegemon ostro zatarł rękę.

– Rozkaz – służbiście powiedział gość, wstał, wyprostował się i nagle zapytał surowo: – A zatem zasztyletują go, hegemonie?

– Tak – odpowiedział mu Piłat. – Pokładam nadzieję jedynie w twojej zadziwiającej wszystkich sprawności.

Gość obciągnął ciężki pas pod płaszczem i powiedział:

– Bądź pozdrowiony!

– No, tak! – zawołał niezbyt głośno Piłat. – Na śmierć zapomniałem. Przecież jestem twoim dłużnikiem!...

Gość zdziwił się.

– Doprawdy, procuratorze, nic mi nie jesteś winien.

– Ależ jak to! W czasie mego wjazdu do Jeruzalaim, pamiętasz, ten tłum żebraków... chciałem jeszcze rzucić im trochę pieniędzy, ale już nie miałem i tyś mi ich użyczył!

– O, procuratorze, to drobiazg!

– Należy pamiętać także o drobiazgach. – Piłat odwrócił się, uniósł płaszcz, który leżał na tronie za jego plecami, wyjął spod niego skórzany woreczek i podał go gościowi. Ów skłonił się, kiedy go odbierał, i schował sakiewkę pod płaszczem.

– Czekam – powiedział Piłat – na raport o pogrzebaniu ciała, a także w sprawie tego Judy z Kiriatu, jeszcze dzisiejszej nocy, słyszysz, Afraniuszu – jeszcze dziś. Straży polecić, by mnie obudzono, skoro tylko nadejdiesz. Będę czekał.

– Vale, procurator! – powiedział komendant tajnej służby, odwrócił się i wyszedł spod kolumnady. Słychać było chrzęst mokrego piasku pod jego stopami, potem stukot jego butów po marmurze pomiędzy lwami, potem zniknęły jego nogi, potem tułów, wreszcie kaptur. Dopiero wtedy procurator zauważył, że słońce już zaszło i że zapadł mrok.

26. Złożenie do grobu

Może to właśnie ów mrok sprawił, że procurator tak bardzo się zmienił. Jak gdyby w oczach się postarzał, przygarbił, wydawać się mogło, że ogarnia go trwoga. W pewnej chwili rozejrzał się i drgnął, nie wiedzieć czemu, kiedy spojrzął na pusty tron, na którego oparciu leżał płaszcz. Nadeszła świąteczna noc, grały swój koncert wieczorne cienie i zmęczonemu procuratorowi przywidziało się zapewne, że ktoś siedzi na tym pustym tronie. Procurator nie oparł się małoduszności, obmacał płaszcz, odłożył go i zaczął spieszenie przechadzać się pod kolumnadą, to zacierał ręce, to podbiegał do stołu i chwycił puchar to znów zatrzymywał się i bezmyślnie wpatrywał w mozaikę posadzki, jak gdyby usiłował odczytać z niej jakieś inskrypcje...

Zawracając po raz któryś, zatrzymał się nagle i gwizdnął. Na ów gwizd rozległo się w mroku basowe naszczekiwanie i wbiegł z ogrodu pod kolumnadę ogromny szary pies o zaostzonych uszach, w obroży nabijanej złożonymi blaszkami.

– Banga, Banga – zawołał cicho procurator.

Pies stanął na dwóch łapach, przednie położył swemu panu na ramionach, o mało nie przewracając go na ziemię, i polizał go po policzku. Procurator usiadł na tronie. Banga wysunąwszy ozór ziając położył się u stóp swego pana, ślepia jego wyrażały radość z tego, że skończyła się burza, jedyna w świecie rzecz, której bał się ten nieustraszony pies, a także z tego, że pies jest znowu tutaj, obok człowieka, którego kocha, szanuje i uważa za najpotężniejszą istotę na świecie, za pogromcę wszystkich innych ludzi, obok człowieka, dzięki któremu pies także może czuć się stworzeniem uprzywilejowanym, wywyższonym i niezwykłym. Ale ległszy u jego stóp, i nawet nie patrząc na swego pana, tylko w wieczerniejący ogród, pies od razu pojął, że pana spotkało nieszczęście. Pokręcił się więc, wstał, zszedł z boku i położył pysk i przednie łapy na kolanach procuratora wilgotnym piaskiem brudząc poły jego płaszcza. Poczynania Bangi miały zapewne oznaczać, że pies chce pocieszyć swego pana i gotów jest wraz z nim stawić czoła przeciwnościom. Próbowaly to wyrazić i zezujące na pana ślepia, i postawione wyostrzone uszy. I tak razem, pies i człowiek kochający się nawzajem, witali pod kolumnadą noc świętą.

Tymczasem gość procuratora miał mnóstwo do zrobienia. Opuściwszy górny taras przed kolumnadą zszedł po schodach na następny taras ogrodów, skręcił w prawo i doszedł do mieszczących się na terenie pałacu koszar. To właśnie w tych koszarach kwaterowały owe dwie

centurie: manipuł, który przyszedł na święto do Jeruzalaim wraz z procuratorem, a także tajna straż procuratora, która znajdowała się pod rozkazami gościa. Gość niedługo zabawił w koszarach, nie dłużej niż dziesięć minut, ale po upływie tych dziesięciu minut wyjechały z koszarowego podwórza trzy wozy wyładowane łopatami i kilofami, na jednym z wozów stała także beczka z wodą. Wozom towarzyszyło piętnastu konnych w szarych płaszczach. Eskortowane przez nich wozy wyjechały z terenu pałacu przez tylną bramę, skierowały się na zachód, przejechały przez bramę w murze miejskim, dojechały ścieżką do traktu na Betlejem, pojechały tym traktem na północ, do skrzyżowania dróg przy bramie Hebronu, a stamtąd traktem na Jafę, tym samym, którym za dnia sunęła procesja ze skazańcami. Było już podówczas ciemno, a nad horyzontem wydzwignął się księżyc.

Wkrótce po odjeździe wozów i towarzyszącego im oddziałku wyjechał konno z pałacu także i gość procuratora przebrany w ciemny zniszczony chiton. Gość nie pojechał jednak za miasto, lecz do miasta. Po pewnym czasie można było zobaczyć, jak podjeżdżał do twierdzy Antoniusza w północnej części miasta, twierdza ta sąsiadowała z wielką świątynią. W twierdzy gość także nie zabawił długo, stamtąd zaś ślad jego prowadził do Dolnego Miasta, do jego krzywych, splątanych zaułków. Gość przyjechał tu oklep na mule.

Dobrze znał miasto i bez trudu odnalazł ulicę, której szukał. Nazywano tę ulicę Grecką, ponieważ znajdowało się przy niej kilka greckich sklepów, a wśród nich jeden, w którym sprzedawano dywany. Przed tym właśnie sklepem gość zatrzymał swego muła, zsiadł i przywiązał zwierzę do pierścienia przy drzwiach. Sklep był już zamknięty. Gość wszedł w znajdujące się obok wejścia do sklepu drzwiczki i znalazł się na niewielkim kwadratowym podwórzu obudowanym z trzech stron szopami. Na podwórzu skręcił za węgiel, znalazł się przed obrośniętym bluszczem tarasem domu mieszkalnego, rozejrzał się. Zarówno w domu, jak w szopach było ciemno, nie zapalono jeszcze światła. Gość zawołał cicho:

– Nisa!

Na to wołanie skrzyknęły drzwi i w półmroku wieczora ukazała się na tarasie młoda kobieta z odsłoniętą głową. Przechyliła się przez poręcz, lekko wpatrywała się w mrok, chciała zobaczyć, kto przyszedł. Poznawszy przybysza uśmiechnęła się doń na powitanie, skinęła głową, pomachała ręką.

– Jesteś sama? – cicho zapytał po grecku Afraniusz.

– Sama – szepnęła stojąca na tarasie – mąż pojechał rano do Caesarei – tu kobieta obejrzała

się na drzwi i dorzuciła szeptem – ale jest w domu służąca. – I zrobiła gest, który był zaproszeniem do wejścia.

Afraniusz rozejrzał się i wszedł na kamienne schodki. Potem oboje zniknęli wewnątrz domku. Afraniusz był u tej kobiety zupełnie krótko, z pewnością nie dłużej niż pięć minut. Potem opuścił dom, zszedłszy z tarasu nasunął kaptur na oczy i wyszedł na ulicę. Po domach zapalano właśnie szabańniki, przedświąteczny tłok na ulicach był już bardzo wielki i Afraniusz na swoim mule zginął w rzece przechodniów i jeźdźców. Nikt nie wie, dokąd pojechał stamtąd.

Natomiast kobieta, którą Afraniusz nazwał Nisą, zaczęła się przebierać, kiedy wyszedł, spieszyła się przy tym bardzo. Ale chociaż z trudem odnajdowała w ciemnym pokoju potrzebne jej rzeczy, nie zapalała świecznika ani nie wzywała służącej. Dopiero gdy była gotowa i miała już na głowie ciemny czepek, rozległ się w domku jej głos:

– Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, że poszłam do Enanty.

Dało się słyszeć w ciemności pomrukiwanie starej służącej:

– Do Enanty? Ciągle tylko ta Enanta! Przecież mąż zakazał do niej chodzić! To rajfurka, ta twoja Enanta! Powiem ja mężowi...

– No, no, no, milcz lepiej – powiedziała Nisa i wyśliznęła się z domu jak cień. Sandały jej zastukotały po kamiennych płytach podwórka. Służąca mamrocząc coś zamknęła drzwi od tarasu. Nisa opuściła dom.

W tym samym czasie w innym zaułku Dolnego Miasta, w krętym zaułku schodzącym stopniami ku jednemu ze stawów miejskich, z furtki niepokąźnego domku, którego okna wychodziły na podwórze, a ślepa tylna ściana na zaułek, wyszedł młody człowiek ze starannie przystrzyżoną bródką, w białym opadającym na ramiona kefi, w nowym, odświeżonym błękitnym tallifie obramowanym u dołu kutasikami, w nowiuteńkich poskrzypujących sandałach. Ów przystojny młodzieniec o orlim nosie, wystrojony jak na wielkie święto, szedł dziarsko, wyprzedzał przechodniów śpieszących do domów, by zasiąść do świątecznego stołu, patrzył, jak jedno po drugim zapalają się okna. Młody człowiek poszedł wiodącą wzdłuż targowiska ulicą w stronę pałacu arcykapłana Kajfasza położonego u stóp wzgórza, na którym stała świątynia.

Wkrótce potem można było zobaczyć, jak wchodził do bramy pałacu Kajfasza. A jeszcze nieco później – jak opuszczał ów pałac.

Odwiedziwszy pałac, w którym płonęły już świeczniki i pochodnie, gdzie trwała świąteczna krzątania, młody człowiek szedł jeszcze raźniej, jeszcze bardziej dziarsko, szedł z powrotem, w

stronę Dolnego Miasta. Na rogu, tam gdzie ulica wychodziła na plac targowy, wyprzedziła go w tłoku zwiewna kobieta idąca krokiem jak gdyby tanecznym, kobieta w nasuniętym na same oczy czarnym kekryphalos. Wyprzedzając przystojnego młodzieńca kobieta ta na sekundę zsunęła czepek nieco wyżej, rzuciła na młodego człowieka spojrzenie, ale nie zwolniła kroku, przeciwnie, przyspieszyła, jak gdyby chciała uciec przed tym, którego wyprzedziła.

Młody człowiek zauważył ją, co więcej – rozpoznał, a poznawszy drgnął, zatrzymał się, z niedowierzaniem popatrzył w jej ślad i natychmiast popędził za nią. O mało nie przewróciwszy jakiegoś niosącego dzban przechodnia dogonił kobietę i ciężko dysząc z podniecenia zawołał:

– Nisa!

Kobieta odwróciła się, zmrużyła oczy, jej twarz przybrała chłodny wyraz niezadowolenia, oschle odpowiedziała po grecku:

– Ach, to ty, Juda! Nie poznałam cię w pierwszej chwili. To zresztą lepiej. Mówi się u nas, że ten, którego nie poznano, będzie bogaty...

Tak podniecony, że serce tłukło mu się jak ptak okryty czarnym kekryphalos, Juda, lękając się, by nikt z przechodniów go nie dosłyszał, zapytał urywanym szeptem:

– Dokąd idziesz, Nisa?

– Po co miałbyś to wiedzieć? – odpowiedziała Nisa zwalniając kroku i patrząc na Judę wyniośle.

Wówczas w głosie Judy dała się słyszeć jakaś dziecinna nutka, szeptął zmieszany:

– Jakże to tak... Przecież umówiliśmy się.... Chciałem wstąpić do ciebie, mówiłaś przecież, że przez cały wieczór będziesz w domu...

– Ach, nie, nie – odpowiedziała Nisa i kapryśnie odęła dolną wargę, co sprawiło, że Judzie wydało się, iż jej twarz, najpiękniejsza twarz, jaką kiedykolwiek widział, stała się jeszcze piękniejsza – zaczęłam się nudzić. Wy macie święto, a ja co mam robić? Siedzieć i słuchać, jak wzdychasz na tarasie? I w dodatku lękać się, czy służąca nie powie mu o tym? O, nie, nie, postanowiłam pójść za miasto i posłuchać słowików.

– Jak to: za miasto? – zapytał zdetonowany Juda. – Sama?

– Oczywiście, że sama – odpowiedziała Nisa.

– Pozwól sobie towarzyszyć – poprosił Juda. Zapierało mu dech w piersiach. Myśli zmaciły mu się, zapomniał o bożym świecie, patrzył błagalnie w błękitne oczy Nisy, które teraz wydawały się czarne.

Nic na to nie odpowiedziała i przyspieszyła kroku.

– Czemu milczysz, Nisa? – żałośliwie zapytał Juda dostosowując się do jej kroku.

– A nie będę się z tobą nudziła? – zapytała nagle Nisa i stanęła. Wówczas myśli Judy zupełnie się już splątały.

– No, dobrze – uległa wreszcie Nisa. – Chodźmy.

– Ale dokąd, dokąd?

– Poczekaj... Wejdźmy na to podwórko, tam się zastanowimy, bo się boję, że zobaczy mnie ktoś ze znajomych, a potem powiedzą mężowi, że byłam na ulicy z kochankiem.

Nisa i Juda zniknęli z targowiska, szeptała do siebie w bramie jakiegoś podwórza:

– Idź na plantację oliwek – szeptała Nisa naciągając czepek na oczy i odwracając się plecami do jakiegoś człowieka, który wchodził właśnie do bramy niosąc wiadro – w Getsemani, za Kedronem, wiesz gdzie?

– Tak, tak, tak...

– Ja pójdę pierwsza – ciągnęła Nisa – ale nie depcz mi po piętach, idź osobno. Ja pójdę pierwsza... Kiedy przejdziesz przez potok... Wiesz, gdzie jest grota?

– Wiem, wiem...

– Miniesz wyłaczarnię oliwek, pójdziesz w górę i skręcisz do groty. Ja już tam będę. Ale nie waż się iść teraz za mną, miej cierpliwość, poczekaj tutaj – z tymi słowami Nisa wyszła z bramy, jakby w ogóle nie rozmawiała z Juda.

Juda postać samotnie przez czas pewien, usiłował zebrać rozbiegane myśli. Była wśród nich także myśl o tym, jak wytłumaczy wobec rodziny swoją nieobecność przy świątecznym stole. Stał i wymyślał jakieś łgarstwo, ale w zdenerwowaniu niczego nie obmyślił jak należy ani nie przygotował sobie żadnego wykrętu i wyszedł powoli z bramy.

Zmienił kierunek, nie szedł już ku Dolnemu Miastu, ale zawrócił w stronę pałacu Kajfasza. W mieście rozpoczęło się już święto. W oknach wokół Judy płonęły światła, słychać już było także modlitwy. Spóźnieni przechodnie pędzili po jezdni osiołki, popędzali je batem i okrzykami. Nogi same niosły Judę i nie zauważył nawet, kiedy przesunęły się obok niego straszliwe, omszałe wieże Antoniusza, nie słyszał dobiegającego z twierdzy dźwięku trąb, nie zwrócił uwagi na konny patrol rzymski z pochodnią, której niespokojny blask oświetlił jego pierś.

Minąwszy wieżę Juda odwrócił się i zobaczył, że niezmiernie wysoko nad świątynią zapłonęły dwa gigantyczne pięcioramienne świeczniki. Ale i to Juda ledwie zauważył. Wydało mu się, że

rozjarzyło się nad Jeruzalaim dziesięć niesłychanej wielkości zniczów, których blask konkurował ze światłem tego jednego jedyne, wznoszącego się coraz wyżej nad Jeruzalaim – miesiąca.

Nic go teraz nie interesowało, spieszył do bramy Getsemani, chciał jak najszybciej opuścić miasto. Niekiedy wydawało mu się, że dostrzega przed sobą wśród pleców i twarzy przechodniów taneczną figurkę, która go za sobą prowadzi. Ale było to złudzenie. Wiedział, że Nisa musiała go znacznie wyprzedzić. Przebiegł obok kantorów wymiany i znalazł się wreszcie przy bramie Getsemani. Choć płonął z niecierpliwości, musiał się jednak zatrzymać przed bramą. Do miasta wchodziły wielbłądy, za nimi wjeżdżał patrol syryjskich żołnierzy. Juda przeklął go w myśli...

Ale wszystko ma swój koniec. Niecierpliwy Juda był wreszcie za miejskimi murami. Na lewo od siebie zobaczył niewielki cmentarz, a przy nim kilka pasiastych namiotów pielgrzymów. Przeszedł zalaną księżycowym światłem, pełną kurzu drogę, skierował się w stronę potoku kedrońskiego, aby przejść na drugi jego brzeg. Woda bulgotała z cicha pod jego stopami. Przeskakując z kamienia na kamień znalazł się wreszcie na getsemańskim brzegu i zobaczył z radością, że prowadząca wzdłuż gajów droga jest pusta. Na w pół rozwalona brama plantacji oliwek była już niedaleko.

Judę, który wyszedł z dusznego miasta, odurzył zapach wiosennej nocy. Zza ogrodzenia gaju napływał od getsemańskich polan zapach mirtów i akacji.

Nikt nie strzegł bramy, nikogo w niej nie było i już w kilka minut później Juda biegł w tajemniczym cieniu wielkich rozłożystych drzew oliwnych. Droga wiodła pod górę. Wspinał się dysząc ciężko, od czasu do czasu wypadał z mroku na wzorzyste księżycowe dywany, które przypominały mu dywany widywane w sklepie zazdrosnego męża Nisy.

Jeszcze w chwilę później na polanie, na lewo od Judy, zamajaczyła wytlaczarnia oliwek z wielkim kamiennym kołem i sterta jakichś beczek. W gaju nie było nikogo, prace przerwano o zachodzie słońca, a teraz nad głową Judy grzmiały klaskające chóry słowicze.

Cel był już niedaleki. Juda wiedział, że w mroku po prawej ręce usłyszy lada chwila cichy szept spadającej w grocie wody. Tak się też stało, usłyszał go. Robiło się coraz chłodniej. Wtedy zwolnił kroku i cicho zawołał:

– Nisa!

Ale zamiast Nisy oderwała się od grubego pnia oliwki i wyskoczyła na drogę krępa męska

sylwetka, w ręku mężczyzny coś błysnęło i zaraz zgasło. Juda krzyknął cicho, zawrócił i rzucił się do ucieczki, ale inny człowiek odcinał mu odwrót.

Ten pierwszy, z przodu, zapytał:

– Ileś dziś dostał? Mów, jeśli ci życie miłe! Nadzieja zaświtała w sercu Judy i zawołał z rozpaczą:

– Trzydzieści tetradrachm! Trzydzieści tetradrachm! Wszystko, co dostałem, mam przy sobie! Oto pieniądze! Biercie, ale nie zabijajcie!

Człowiek, który stał z przodu, błyskawicznie wydarł Judzie z ręki sakiewkę. W tejże chwili za plecami Judy wzniosł się nóż i wbił się pod łopatkę zakochanego. Juda zatoczył się do przodu, wyrzucił w powietrze dłonie o zakrzywionych palcach. Człowiek, który stał z przodu, przejął Judę na swój nóż – wbił go w serce Judy aż po rękojeść.

– Ni...sa... – nie swoim, wysokim i czystym młodzieńczym głosem, ale pełnym wyrzutu basem wyrzekł Juda i nie wydał już żadnego dźwięku. Ciało jego uderzyło o ziemię tak mocno, że aż jęknęła.

Wtedy zjawiała się na drodze trzecia postać. Ten trzeci miał na sobie płaszcz z kapturem.

– Pośpieszcie się – rzucił. Mordercy pośpiesznie zawinęli w kawał skóry sakiewkę i karteczkę podaną im przez tego trzeciego, przewiązali zawiniątko sznurkiem. Potem jeden z nich wsunął je sobie w zanadrze i obaj mordercy uskoczyli z drogi, pochłonęła ich ciemność pod oliwkami. Trzeci zaś przykucnął przy zabitym i zajrzał mu w twarz. W cieniu twarz ta wydała się patrzącemu biała jak kreda, piękna i jakaś jakby natchniona.

W kilka sekund później nie było na drodze żywego ducha. Widać było tylko znieruchomiałe ciało leżące z rozrzuconymi rękami. Lewa stopa znalazła się w plamie księżycowego światła, widać było wyraźnie każdy rzemyk sandała. Tymczasem cały gaj Getsemani rozbrzmiewał śpiewem słowików.

Nikt nie wie, dokąd poszli ci dwaj, którzy zadźgali Judę, wiadomo jednak, co czynił następnie ów trzeci, człowiek w kapturze. Zszedł ze ścieżki, dał nura w gęstwinę drzew oliwkowych i ruszył na południe. Przelazł przez ogrodzenie plantacji w pobliżu głównej bramy, na południowym krańcu gaju, w miejscu gdzie wykruszyły się z muru górne kamienie. Wkrótce potem był na brzegu Kedronu. Wszedł wówczas do wody i przez czas jakiś szedł rzeka, dopóki nie zobaczył w oddali sylwetek dwu koni i pilnującego ich człowieka. Konie również stały w potoku. Woda bulgotała omywając im kopyta. Człowiek, który pilnował koni, dosiadł jednego z

nich, mężczyzna w kapturze wskoczył na drugiego, obaj pojechali potokiem, słychać było, jak zgrzytają pod kopytami wierzchowców kamienie. Potem jeźdźcy wyjechali z wody, wspięli się na jersuzalański brzeg i pojechali stępą wzdłuż miejskiego muru. Nagle luzak pocwałował do przodu i zniknął z oczu, mężczyzna zaś w kapturze zatrzymał konia, zsiadł na pustej drodze, zdjął płaszcz, przewrócił go na drugą stronę, wyjął spod płaszcza płytki hełm bez kity i włożył go na głowę. Teraz wskoczył na konia człowiek ubrany w żołnierską chlamidę, z krótkim mieczem na biodrze. Ściągnął uździenicę i ognisty koń kawaleryjski ruszył cwałem, podrzucając jeźdźca w siodle. Nie pojechali daleko – jeździec zbliżał się do południowej bramy Jeruzalaim.

Pod łukiem bramy tańczyły i podskakiwały niespokojne odblaski pochodni. Pełniący wartę żołnierze z drugiej centurii legionu Błyskawic siedzieli na kamiennych ławach i grali w kości. Zobaczywszy mundur wjeżdżającego zerwali się, jeździec skinął im dłonią i wjechał do miasta.

Miasto było świątecznie oświetlone. W każdym oknie pełgało światło szabaśników i zewsząd dobiegały modły zlewające się w nieskładny chór. Z rzadka zaglądając do wychodzących na ulicę okien, jeździec mógł zobaczyć ludzi siedzących za stołami, na których stało mięso jagnięcia i, wśród doprawionych gorzkimi ziołami potraw, puchary napelnione winem. Cicho pogwizdując jakąś piosenkę, jeździec niespiesznym cwałem przemierzył wyludnione ulice Dolnego Miasta kierując się ku wieży Antoniusza i spoglądając niekiedy na nie mające sobie równych na całym świecie pięcioramienne świeczniki gorejące nad świątynią albo na księżyc, który wisiał teraz jeszcze wyżej niż świeczniki.

Pałac Heroda Wielkiego nie uczestniczył w uroczystościach paschalnej nocy. W ostatnich, zwróconych ku południowi komnatach pałacu, w których zakwaterowano starszyzną kohorty rzymskiej oraz legata legionu, paliło się światło, panował tam jeszcze jakiś ruch. Natomiast część frontowa pałacu, jego część reprezentacyjna, w której spał tylko jeden jedyny, przymusowy zresztą jej mieszkaniec – procurator, cała ta część, wraz ze swymi kolumnadami i posągami ze złota, jak gdyby oślepla w blasku wyjątkowo jasnego księżyca. Tu, w pałacowych wnętrzach, panowała cisza i mrok.

Procurator, jak zresztą sam o tym powiedział Afraniuszowi, nie miał ochoty wchodzić do pałacu. Poleciał, aby mu przygotowano posłanie pod kolumnadą, tam gdzie ucztował, gdzie rankiem prowadził śledztwo. Legł na przygotowanym łożu, ale sen nie nadszedł. Nagi księżyc wisiał wysoko na czystym niebie i procurator patrzył weń przez kilka godzin.

Mniej więcej o północy sen użalił się wreszcie nad procuratorem. Ziewnąwszy spazmatycznie

rozpiął i zrzucił płaszcz, zdjął przepasujący tunikę rzemień ze stalowym krótkim sztyletem w pochwie, położył go na stojącym obok łoża tronie, zdjął sandały i wyciągnął się. Banga natychmiast wskoczył na pościel i położył się obok, jego pysk znalazł się przy głowie procuratora, który położył dłoń na karku psa i wreszcie zamknął oczy. Dopiero wtedy zasnął i pies.

Łoże znajdowało się w półmroku, kolumna osłaniała je przed księżycem, ale od wiodących na taras schodów do posłania ciągnęło się księżycowe pasmo, procurator, skoro tylko stracił kontakt z otaczającą go rzeczywistością, zaraz ruszył po owej jaśniejącej ścieżce i poszedł nią ku górze, wprost w księżyc. Aż się roześmiał przez sen, uszczęśliwiony, że tak piękne i niepowtarzalne było wszystko na tej przejrzystej niebieskiej drodze. Szedł, towarzyszył mu Banga, a obok kroczył wędrowny filozof. Dyskutowali o czymś nader ważnym i niezmiernie skomplikowanym i żaden z nich nie mógł przekonać drugiego. Nie mieli żadnych wspólnych poglądów, co czyniło ich dyskusję szczególnie interesującą i sprawiało, że mogła się ona ciągnąć w nieskończoność. Dzisiejsza kaźń, oczywista, okazała się być jedynie zwykłym nieporozumieniem; filozof, który wymyślił coś tak niepomiarne niedorzecznego jak to, że wszyscy ludzie są dobrzy, szedł tuż obok, a zatem żył.

Wolnego czasu mieli, ile dusza zapragnie, a burza miała nadciągnąć dopiero pod wieczór, tchórzostwo natomiast należy bez wątplenia do najstraszliwszych ułomności człowieka. Dowodził tego Jezua Ha-Nocri. O, nie, mój filozofie, nie zgodzę się z tobą – tchórzostwo nie jest jedna z najstraszliwszych ułomności, ono jest ułomnością najstraszliwszą!

Oto, na przykład, nie stchórzyłeś, obecny procuratorze prowincji Judea, a ówczesny trybunie legionu wtedy, tam, w Dolinie Dziewic, kiedy tak niewiele brakowało, żeby rozwścieczeni Germanie zagryźli olbrzymą Szczurzą Śmierć? Ale zechciej mi wybaczyć, filozofie! Czyżbyś ty, tak rozumny, mógł przypuścić, że z powodu człowieka, który popełnił przestępstwo przeciw cesarowi, procurator Judei zaprzepaści swoją karierę?

– Tak, tak... – jęczał i szlochał przez sen Piłat.

– Teraz zawsze będziemy razem – mówił doń we śnie obdarty filozof-włóczęga, który, nie wiedzieć w jaki sposób, stanął na drodze Jeźdźca Złotej Włóczni – gdzie jeden, tam i drugi! Kiedy wspomną mnie, równocześnie wspomną ciebie! Mnie, podrzutka, syna nieznanых rodziców, i ciebie, syna króla-astronoma i młynarzówny, pięknej Pilli.

– Tak, zechciej o mnie pamiętać, wspomnij o mnie, o synu astronoma – prosił we śnie Piłat. I

sposstrzegłszy we śnie skinienie idącego obok niego nędzarza z En Sarid, skinienie, które było zapewnieniem, surowy procurator Judei z radości śmiał się i płakał przez sen.

Wszystko to było bardzo piękne, ale tym żałośniejsze było przebudzenie hegemonu. Banga zawył do księżycy i urwała się przed procuratorem śliska, jak gdyby wymoszczona oliwą błękitna droga. Otworzył oczy i odruchowo chwycił obrożę Bangi, a potem jego zbolące źrenice zaczęły szukać księżycy i spostrzegł, że księżyc odpłynął nieco na bok i stał się srebrzysty. Blask miesiąca silniejszy był niż nieprzyjemne, niespokojne światło igrające na tarasie tuż przed oczyma. W dłoniach centuriona Szczurzej Śmierci pełgała i kociła pochodnia. Ten, który ją trzymał, spoglądał ze strachem i z nienawiścią na niebezpieczną bestię, gotującą się do skoku.

– Nie rusz, Banga – powiedział chorym głosem procurator i zakaszłał. Osłaniając się dłonią przed płomieniem, ciągnął: – I w nocy, i przy księżycu nie zaznam spokoju!... O, bogowie!... Ty, Marku, także masz podła służbę. Żołnierzy czynisz kalekami...

Marek patrzył na procuratora z nieopisanym zdumieniem i procurator opamiętał się. Aby zatrzeć wrażenie niepotrzebnych słów, słów, które wypowiedział budząc się, procurator rzekł:

– Nie gniewaj się, centurionie. Moja rola, powtarzam, jest jeszcze gorsza. Czego chcesz?

– Przyszedł komendant tajnej służby – spokojnie zakomunikował Marek.

– Proś, proś – powiedział procurator odkaszlnąwszy i jego bose stopy zaczęły szukać sandałów. Płomień zatańczył na kolumnach, caligae centuriona zastukotały po mozaice. Centurion wyszedł do ogrodu.

– Nawet przy księżycu nie zaznam spokoju – zgrzytnąwszy zębami powiedział procurator sam do siebie.

Pod kolumnadą miejsce centuriona zajął człowiek w kapturze.

– Banga, nie rusz – cicho powiedział procurator i przygiął do ziemi kark psa.

Afraniusz, zgodnie ze swoim zwyczajem, rozejrzał się, nim zaczął mówić, odszedł w cień i dopiero, kiedy się przekonał, że poza nimi dwoma nie ma pod kolumnadą nikogo prócz Bangi, powiedział cicho:

– Proszę oddać mnie pod sąd, procuratorze. Miałeś rację. Nie potrafiłem ustrzec Judy z Kiriatu, został zasztyletowany, jak to przeczuwałeś. Proszę o oddanie mnie pod sąd i o dymisję.

Wydało się Afraniuszowi, że patrzy na niego czworo oczu – dwoje psich i dwoje wilczych.

Afraniusz wyjął spod chlamidy sakiewkę, zapieczętowaną dwoma pieczęciami, całą w zakrzepłej krwi.

– Ten oto woreczek z pieniędzmi mordercy podrzucili w domu arcykapłana. Krew na tym woreczku – to krew Judy z Kiriatu.

– Ciekawe, ile tam jest? – pochylając się nad sakiewką zapytał Piłat.

– Trzydzieści tetradrachm.

Procurator uśmiechnął się i powiedział:

– Nie jest to wiele.

Afraniusz milczał.

– Gdzie jest zabity?

– Tego nie wiem – godnie i ze spokojem odpowiedział człowiek, który nigdy nie rozstawał się ze swoim kapturem. – Rano rozpoczniemy poszukiwania.

Procurator drgnął, puścił rzemień sandała, który ani rusz nie chciał się zadzierzgnąć.

– Ale wiesz na pewno, że on nie żyje?

Na to pytanie procurator otrzymał oschłą odpowiedź:

– Pracuję w Judei od piętnastu lat, procuratorze. Wstąpiłem do służby za czasów Waleriusza Gratusa. Nie muszę oglądać zwłok, żeby powiedzieć, czy ktoś został zabity, i oto melduję ci, że ten, którego nazywano Juda z Kiriatu, przed kilkoma godzinami został zasztyletowany.

– Proszę, wybacz mi, Afraniuszu – odparł Piłat – nie rozbudziłem się jeszcze jak należy i tylko dlatego to powiedziałem. Źle sypiam – procurator uśmiechnął się – i ciągle mi się śni promień księżyca. To zabawne, wyobraź sobie – jak gdybym spacerował po tym promieniu. A zatem chciałbym się dowiedzieć, jakie są twoje w tej sprawie przypuszczenia. Gdzie zamierzasz go szukać? Siadaj, komendancie tajnej służby.

Afraniusz skłonił się, przysunął tron bliżej łoża i usiadł podzwaniając mieczem.

– Zamierzam go szukać w pobliżu wytlaczarni oliwek, w ogrodach Getsemani.

– Tak, tak. A dlaczego właśnie tam?

– Hegemonie, według moich przypuszczeń Juda został zabity nie w samym Jeruzalaim, ale też nie gdzieś daleko stąd; zabito go pod Jeruzalaim.

– Uważam cię za jednego z najwybitniejszych specjalistów w twoim zawodzie. Nie wiem zresztą, jak sprawy wyglądają w Rzymie, ale w koloniach nie masz równego sobie... Tak! Zapomniałem zapytać – procurator potarł czoło – jaki wymyślono sposób, by podrzucić Kajfaszowi pieniądze?

– Widzisz, procuratorze... Nie było to zbyt skomplikowane. Mściciele poszli na tyły pałacu

Kajfasza, tam gdzie zaułek wznosi się nad pałacowym dziedzińcem. Przerzucili paczkę przez mur.

– Z notatką?

– Tak, dokładnie tak, jak to przewidziałeś, procuratorze.

– Wyobrażam sobie, co się działo u Kajfasza!

– Tak, procuratorze, wywołało to bardzo duże poruszenie. Zaprosili mnie natychmiast.

Nawet w półmroku widać było, jak goreją oczy Piłata.

– To ciekawe, to ciekawe...

– Ośmielam się sądzić inaczej, procuratorze, to nie było ciekawe. Nudna i żmudna sprawa.

Kiedy zapytałem, czy w pałacu Kajfasza nie wypłacono komuś pieniędzy, odpowiedziano mi kategorycznie, że nie.

– Ach tak? No cóż, nie wypłacono, to znaczy nie wypłacono. Tym trudniej będzie znaleźć morderców.

– Tak jest, procuratorze.

– A zatem, Afraniu, ta sprawa jest jasna. Przejdźmy do sprawy pogrzebu.

– Skazańcy zostali pogrzebani, procuratorze.

– O, Afraniu, oddanie ciebie pod sąd byłoby przestępstwem. Godzien jesteś najwyższej nagrody. Jak to się odbyło?

Afraniusz zaczął opowiadać. Podczas kiedy zajęty był sprawą Judy, drużyna tajnej służby pod dowództwem jego zastępcy dotarła na wzgórze już po zapadnięciu zmierzchu. Na szczycie brakowało jednego ciała. Piłat drgnął i powiedział ochryple:

– Ach, jakże mogłem nie przewidzieć tego!...

– Nie ma powodu do niepokoju, procuratorze – powiedział Afraniusz i ciągnął dalej swoją opowieść: – Zabrali ciała Dismosa i Gestasa, którym drapieżne ptaki zdążyły już wyłupić oczy, i natychmiast ruszyli na poszukiwanie trzecich zwłok. Znaleźli je bardzo szybko. Pewien człowiek...

– Mateusz Lewita – powiedział Piłat. Nie pytał, raczej stwierdził.

– Tak, procuratorze... Mateusz Lewita ukrywał się w pieczarze na północnym zboczu Łysej Czaszki, czekał, aż zapadnie ciemność. Obok niego leżało nagie ciało Jezui Ha-Nocriego. Kiedy strażnicy z pochodnią weszli do pieczary, Lewita wpadł w rozpacz i gniew. Krzyczał, że nie popełnił żadnego przestępstwa i że zgodnie z prawem każdemu człowiekowi wolno pochować

ciało skazańca, jeśli tylko ma na to ochotę. Mateusz Lewita mówił, że nie chce się rozstać z tym ciałem. Był bardzo podniecony, wykrzykiwał coś bez sensu, to prosił, to znów groził i lżył...

– Trzeba go było pojmać? – posępnie zapytał Piłat.

– Nie, procuratorze, nie – uspokajająco odpowiedział Afraniusz – udało się uspokoić tego szaleńca, wyjaśniliśmy mu, że ciało zostanie pogrzebane. Zrozumiawszy to Lewita uspokoił się, ale oświadczył, że nie ruszy się stamtąd i że chce uczestniczyć w pogrzebie. Powiedział, że nie odejdzie, nawet gdyby go miano zamordować, i nawet oferował w tym celu nóż chlebowy, który miał przy sobie.

– Przepędzono go? – zapytał stłumionym głosem Piłat.

– Nie, procuratorze, nie. Mój zastępca pozwolił mu wziąć udział w pogrzebie.

– Który z twoich zastępców kierował tym wszystkim? – zapytał Piłat.

– Tolmaj – odpowiedział Afraniusz i dodał z niepokojem: – Może popełnił jakiś błąd?

– Mów dalej – odparł Piłat. – Nie popełniono żadnego błędu. W ogóle jestem nieco zaniepokojony, Afraniuszu, najwyraźniej mam do czynienia z człowiekiem, który nigdy nie popełnia błędów. Człowiek ów to ty.

– Mateusza Lewitę zabrali na wóz wraz z ciałami skazańców i po dwóch godzinach przyjechali do pustynnego wąwozu na północ od Jeruzalaim. Tam drużyna pracując na zmianę w ciągu godziny wykopała głęboki dół i pogrzebała w nim wszystkich trzech skazańców.

– Nagich?

– Nie, procuratorze, drużyna specjalnie zabrała chitony. Na palce włożono trupom pierścienie. Jezui – z jednym nacięciem, Dismosowi – z dwoma, Gestasowi zaś z trzema. Dół zasypano, przywalono kamieniami. Tolmaj pamięta znak, który pozwoli nam trafić.

– Ach, gdybym mógł to przewidzieć! – krzywiąc się powiedział Piłat. – Powinienem był przecież zobaczyć tego Mateusza Lewitę...

– On jest tu, procuratorze.

Piłat szeroko otworzył oczy i patrzył przez czas pewien na Afraniusza, po czym powiedział:

– Dziękuję za wszystko, co zostało zrobione w tej sprawie. Proszę, abys jutro przysłał do mnie Tolmaja, powiedz mu przedtem, że jestem z niego zadowolony, a ciebie, Afraniuszu – procurator wyjął z kieszeni leżącego na stole pasa pierścien i podał go komendantowi tajnej służby – proszę, byś przyjął to na pamiątkę.

Afraniusz skłonił się ze słowami:

– Wielki to dla mnie honor, procuratorze.

– Drużynie, która zajmowała się pochówkiem, wypłać, proszę, nagrody. Wywiadowcom, którzy stracili z oczu Judę, dać nagany. A teraz przyślij mi Mateusza Lewitę. Potrzebne mi są teraz szczegółowe informacje o sprawie Jezui.

– Rozkaz, procuratorze – powiedział Afraniusz

zaczął się oddalać wśród ukłonów, procurator zaś klasnął w dłonie i zawołał:

– Do mnie! Świecznik pod kolumnadę!

Afraniusz odchodził już do ogrodu, a za plecami Piłata w rękach sług migotały już ogniki. Na stole przed procuratorem stały trzy świeczniki i księżycowa noc natychmiast cofnęła się do ogrodów, jak gdyby to Afraniusz zabrał ją ze sobą. Zamiast Afraniusza wszedł pod kolumnadę nieznany, niski i wychudzony człowiek – obok niego szedł olbrzym centurion. Centurion złowił spojrzenie procuratora, natychmiast odszedł do ogrodu i zniknął.

Przybysz dobiegał czterdziestki, był czarny, obdarty, pokryty zaschniętym błotem, patrzył spode łba jak wilk. Słowem – wyglądał bardzo nędznie, można o było wziąć za miejskiego żebraka, jakich mnóstwo snuje się po tarasach świątyni albo po targowiskach warnego i pełnego błota Dolnego Miasta.

Milczenie trwało długo, a przerwało je dziwne zachowanie tego, którego przyprawiono do Piłata. Jego twarz przybrała dziwny wyraz, zachwiał się upadłby, gdyby nie chwycił brudną dłonią skraju stołu.

– Co ci jest? – zapytał go Piłat.

– Nic – odpowiedział Mateusz Lewita i uczynił taki ruch, jak gdyby coś połykał. Naga, wychudła, szara jego szyja nabrzmiała i znowu zakłęsa.

– Co ci jest, odpowiadaj – powtórzył Piłat.

– Jestem zmęczony – odpowiedział Lewita i posepnie wpatrzył się w posadzkę.

– Usiądź – powiedział Piłat i wskazał mu tron. Lewita spojrział na procuratora z niedowierzaniem, odszedł do tronu, popatrzył z lękiem na złote poręcze usiadł nie na tronie, ale obok niego, na podłodze.

– Wyjaśnij mi, dlaczego nie usiadłeś na tronie? – zapytał Piłat.

– Jestem brudny, zabrudzę – powiedział patrząc na ziemię Lewita.

– Zaraz dadzą ci coś do jedzenia.

– Nie chcę jeść – odpowiedział Lewita.

– Po co kłamać? – cicho zapytał Piłat. – Nie jadłeś przecież przez cały dzień, a może nawet dłużej. Ale dobrze, nie jedz. Wezwałem cię, abyś mi pokazał nóż, który miałeś przy sobie.

– Żołnierze zabrali mi go, kiedy mnie tu wprowadzali – odpowiedział Lewita i pośpiesznie dodał: – Każ mi zwrócić ten nóż, hegemonie, muszę go oddać właścicielowi, ja go ukradłem.

– Po co?

– Żeby przeciąć sznury – odpowiedział Lewita.

– Marek! – krzyknął procurator i centurion wszedł pod kolumny. –Dajcie mi jego nóż.

Centurion z jednej z dwóch pochew u pasa wyjął brudny nóż piekarski i podał go procuratorowi, sam zaś się oddalił.

– Komu zabrałeś ten nóż?

– Ze sklepiku piekarza przy bramie Hebronu, jak się wchodzi do miasta to zaraz na lewo.

Piłat popatrzył na szeroką klingę, mimochodem spróbował palcem, czy nóż jest ostry, i powiedział:

– O nóż się nie niepokój, zostanie zwrócony do sklepiku. A teraz następna sprawa – pokaż mi tę kartkę, którą nosisz przy sobie i na której zapisane są słowa Jezui.

Lewita z nienawiścią popatrzył na Piłata i uśmiechnął się uśmiechem tak niedobrym, że jego twarz stała się zupełnie odrażająca.

– Chcecie ją zabrać? – zapytał.

– Nie powiedziałem ci: oddaj – odparł Piłat – powiedziałem: pokaż.

Lewita pogrzebał w zanadrzu i wyjął zwitek pergaminu. Piłat wziął go, rozwinął, rozpostarł na stole między światłami i mrużąc oczy zaczął odczytywać niewyraźne, nabazgrane tuszem znaczki. Trudno było zrozumieć te koślawe linijki, więc Piłat marszczył się i pochylał nad pergaminem, palcem wodząc po wierszach. Zdołał się w końcu zorientować, że ma przed sobą bezładny potok jakichś maksym, jakichś dat, gospodarskich notatek i fragmentów poetyckich. To i owo udało mu się odcyfrować: “...śmierci nie ma..., ...jedliśmy wczoraj słodki wiosenny chleb świętojański...”

Wykrzywiając się z napięcia Piłat mrużył oczy i czytał: “...zobaczymy czystą rzekę wody życia...”, “...ludzkość będzie patrzyła w słońce poprzez przezroczysty kryształ...”

Piłat zwinął pergamin i gwałtownym ruchem podał go Lewicie.

– Masz – powiedział, zamilkł, potem dodał: – Kochasz księgi, jak widzę, i nie powinieneś chodzić tak samopas w nędzarskim odzieniu, nie mając własnego kąta. Mam w Caesarei wielką

biblioteką, jestem bardzo bogaty i chcę wziąć cię na służbę. Będziesz porządkował papirusy i dbał o nie, będziesz syty i będziesz miał się w co ubrać.

Lewita wstał i odpowiedział:

– Nie, nie chcę.

– Dlaczego? – zapytał procurator i jego twarz pociemniała. – Nie jestem ci miły... obawiasz się mnie?

Ten sam niedobry uśmiech zeszpecił twarz Lewity, który powiedział:

– Nie, nie chcę, ponieważ to ty będziesz się mnie obawiał. Niełatwo ci będzie spojrzeć mi w twarz po tym, jak go zabiłeś.

– Milcz – odpowiedział Piłat. – Masz tu pieniądze.

Lewita odmownie pokręcił głową, procurator zaś ciągnął:

– Wiem, że uważasz się za ucznia Jezui, ale muszę ci powiedzieć, że nie rozumiałeś nic z tego, czego cię uczył. Albowiem gdybyś cokolwiek rozumiał, to z pewnością przyjąłbyś coś ode mnie. Weź pod uwagę, że on powiedział przed śmiercią, iż nikogo nie wini. – Piłat znacząco wznosił palec, twarz jego drgała. – On sam bez wątpienia przyjąłby coś ode mnie. Jesteś nieludzki, a on taki nie był. Dokąd pójdziesz?

Lewita zbliżył się nagle do stołu, wsparł na nim obie ręce i patrząc płonąco oczyma na procuratora zaczął szeptać:

– Wiedz o tym, hegemonie, że jest w Jeruzalaim człowiek, którego zabiję. Chcę ci o tym powiedzieć, żebyś wiedział, że krew jeszcze się poleje.

– Ja także wiem, że krew się jeszcze poleje – odparł Piłat. – Twoje słowa mnie nie zdziwiły. Oczywiście, zamierzasz zabić mnie?

– Ciebie zabić mi się nie uda – szczerząc zęby i uśmiechając się odpowiedział Lewita – nie jestem taki głupi, by na to liczyć. Ale poderżnę gardło Judzie z Kiriatu, poświęcę na to ostatek moich dni.

Wtedy w oczach procuratora odmalowała się rozkosz, skinieniem palca zachęcił Mateusza Lewitę, by się zbliżył, i powiedział:

– Tego ci się nie uda zrobić, nie kłopotz się o to. Juda został już zabity tej nocy.

Lewita odskoczył od stołu i rozejrzał się obłądnie i krzyknął:

– Kto to uczynił?

Piłat odpowiedział mu:

– Ja to uczyniłem.

Lewita otworzył usta, zagapił się na procuratora, ten zaś powiedział cicho:

– Uczyniłem, oczywiście, niewiele, ale bądź co bądź to uczyniłem ja. – I dodał: – No, a teraz – czy przyjmiesz coś ode mnie?

Lewita pomyślał, złagodniał, wreszcie powiedział:

– Rozkaż, ażeby mi dano kawałek czystego pergaminu.

Minęła godzina. Lewity nie było już w pałacu. Teraz ciszę świtu mącił tylko cichy szelest kroków wartowników w ogrodach. Księżyc szybko płowiał, na przeciwległym krańcu nieba widać było białą plamkę gwiazdy zarannej. Świeczniki dawno już pogasły. Procurator leżał na łożu. Spał podłożywszy dłoń pod policzek, oddychał bezgłośnie. Obok niego spał Banga.

Tak spotkał świt piętnastego nisanu piąty procurator Judei, Poncjusz Piłat.

27. Zagłada mieszkania numer pięćdziesiąt

Kiedy Małgorzata doczytała do końca ostatnie słowa rozdziału: “Tak spotkał świt piętnastego dnia piąty procurator Judei, Poncjusz Piłat”, wstał dzień. Z podwórka, z koron wierzby i lipy słychać było wesołe poranne rozmowy podnieconych wróbli.

Małgorzata wstała z fotela, przeciągnęła się i dopiero teraz poczuła, jak ogromnie jest znużona i jak bardzo chce jej się spać. Ciekawe, że Małgorzata znajdowała się w stanie całkowitej równowagi duchowej. Myślała sprawnie i precyzyjnie, nie była bynajmniej wstrząśnięta tym, że spędziła noc w sposób nadprzyrodzony. Nie niepokoiło jej wspomnienie pobytu na balu u szatana, że jakimś cudem mistrz został jej zwrócony, że powieść odrodziła się z popiołów, że wszystko w suterenie w zaułku, z której przepędzony został oszczerca Alojzy Mogarycz, znowu jest po staremu. Jednym słowem – znajomość z Wolandem nie przyczyniła jej żadnego uszczerbku psychicznego. Wyglądało na to, że wszystko jest tak, jak być powinno.

Poszła do sąsiedniego pokoju, upewniła się, że mistrz śpi snem mocnym i spokojnym, zgasła niepotrzebną już lampę na stole, sama również wyciągnęła się pod ścianą naprzeciwko niego, na kanapce zasłanej starym, podartym prześcieradłem. Zasnęła w ciągu minuty i nic jej się nie śniło tego ranka. Milczały pokoiki w suterenie, milczał cały małeńki domeczek przedsiębiorcy budowlanego, cisza panowała także w całym ustronnym zaułku.

Ale w tym czasie, to znaczy w sobotę o świcie, nie spało całe piętro w pewnej moskiewskiej instytucji.

Całe piętro zajęte było śledztwem w sprawie Wolanda i w dziesięciu gabinetach przez całą noc nie gasło światło.

Prawdę mówiąc cała sprawa stała się jasna już od wczoraj, to znaczy od piątku, kiedy to wypadło zamknąć Varietes z powodu zawieruszenia się całej administracji teatralnej oraz za przyczyną szeregu skandali, które miały miejsce w wigilię tego dnia, w czasie osławionego seansu czarnej magii. Rzecz w tym jednak, że nieustannie, bez najmniejszej przerwy, do czuwających gabinetów napływał wciąż nowy materiał.

Teraz ci, którzy prowadzili śledztwo w tej dziwnej sprawie – najwyraźniej zatrącającej diabelstwem i, jakby tego było nie dość, jakimiś hipnotycznymi sztuczkami i wyraźnym kryminałem – starali się te wszystkie różnorakie i splątane wydarzenia zlepić w jedną sensowną

całość.

Pierwszym, któremu wypadło odwiedzić rozjaśnione elektrycznym światłem bezsenne piętro, był Arkadiusz Apołłonowicz Siemplejarow, przewodniczący komisji akustycznej.

Rozmowa to była przygnębiająca, doprawdy wyjątkowo nieprzyjemna rozmowa, ponieważ wypadło szczerze i otwarcie opowiedzieć nie tylko o obrzydliwym seansie i o awanturze w łoży, ale też przy okazji – co było niestety naprawdę konieczne – również o Milicy Andriejewnie Pokobatko z ulicy Jełochowskiej i o siostrzenicy z Saratowa, i o wielu jeszcze rzeczach. Opowiadanie o tym sprawiało przewodniczącemu niewypowiedziane katusze.

Rozumie się samo przez się, że zeznania Siemplejarowa, człowieka inteligentnego i kulturalnego, który był świadkiem skandalicznego seansu, i to świadkiem rozumnym i wykwalifikowanym, który znakomicie opisał zarówno samego zamaskowanego maga, jak i dwu jego łajdackich pomocników, który bezbłędnie zapamiętał, że nazwisko maga brzmi Woland, znacznie posunęły śledztwo naprzód. Zaś porównanie zeznań Arkadiusza Apołłonowicza z zeznaniami innych, w liczbie których znajdowały się również pewne damy poszkodowane na skutek seansu (ta w fioletowej bieliźnie, która tak przeraziła Rimskiego, oraz, niestety, wiele innych dam) i goniec Karpow, którego posyłano do mieszkania numer pięćdziesiąt na Sadową – właściwie od razu pozwoliło ustalić miejsce, w którym należy poszukiwać winowajcy.

Owszem, ci, do których to należało, odwiedzili mieszkanie numer pięćdziesiąt, i to nie raz. I nie tylko przeszukali je nadzwyczaj starannie, ale opukali również ściany, sprawdzili przewody kominowe nad kominkiem, szukali tajnych skrytek. Jednak wszystko to nie dało najmniejszego rezultatu i ani razu w czasie kolejnych wizyt nikogo pod pięćdziesiątką nie wykryto, choć było oczywiste, że w mieszkaniu ktoś przebywa, niezależnie od faktu, że wszystkie osobistości, które w ten czy inny sposób zajmowały się przyjeżdżającymi do Moskwy artystami z zagranicy, stwierdzały stanowczo i kategorycznie, że żadnego maga Wolanda w Moskwie nie ma i być nie może.

Woland po przyjeździe absolutnie nigdzie się nie zarejestrował, nikomu nie okazywał swojego paszportu, podobnie jak żadnych innych dokumentów, kontraktów czy umów, i nikt nic o nim nie słyszał. Kierownik wydziału repertuarowego Komisji Nadzoru Widowisk, niejaki Kitajcew, przysięgał i zaklinał się na wszystkie świętości, że żadnego programu Wolanda zaginiony Stiopa Lichodiejew nie przysyłał mu do zatwierdzenia ani nie rozmawiał z nim o przyjeździe Wolanda przez telefon. Tak więc on, Kitajcew, nie wie i w ogóle nie rozumie, w jaki sposób Stiopa mógł

dopuszczyć do tego, aby podobny seans odbył się w Varietes. Kiedy zaś mówiono mu, że Arkadiusz Apołonowicz na własne oczy widział tego maga na seansie, Kitajcew tylko rozkładał ręce i wznosił oczy do nieba. I patrząc w te oczy można było śmiało stwierdzić, że Kitajcew jest w tej sprawie czysty jak kryształ.

A znowu przewodniczący Głównej Komisji Nadzoru Widowisk, ten sam właśnie Prochor Piotrowicz...

Nawiasem mówiąc, odnalazł się z powrotem w swoim garniturze natychmiast po wkroczeniu milicji do jego gabinetu, ku nieprzytomnej radości jego sekretarki i ku nieopisanemu zdumieniu niepotrzebnie wezwanej milicji.

Należy tu jeszcze dodać, że powróciwszy na swoje miejsce, w swój szary prążkowany garnitur, Prochor Piotrowicz całkowicie zaaprobował wszystkie decyzje, które podpisał garnitur w czasie krótkotrwałej nieobecności właściciela.

...A więc ten właśnie Prochor Piotrowicz zdecydowanie niczego nie wiedział o żadnym Wolandzie.

Należy oddać sprawiedliwość temu, który kierował śledztwem. Zaginionego Rimskiego odnaleziono ze zdumiewającą szybkością. Wystarczyło tylko przeanalizować zachowanie Askara na postoju taksówek obok kina oraz ustalić dokładnie godziny niektórych wydarzeń – jak na przykład godzinę zakończenia seansu i czas, w którym mógł zginąć Rimski – żeby niezwłocznie wysłać depezę do Leningradu. Po godzinie nadeszła odpowiedź (było to w piątek wieczorem), że Rimski został odnaleziony w hotelu “Astoria”, na trzecim piętrze, w pokoju czterysta dwanaście, w sąsiedztwie pokoju, w którym zatrzymał się kierownik artystyczny pewnego moskiewskiego teatru, przebywającego na gościnnych występach w Leningradzie. Rimski zatrzymał się w tym właśnie pokoju, w którym, jak wiadomo, jest znakomita łazienka i szaroniebieskie meble ze złoceniami.

Wydobytego z szafy w czterysta dwunastym pokoju hotelu “Astoria” Rimskiego przesłuchano od razu w Leningradzie. W wyniku tego do Moskwy została wysłana depeza informująca, że dyrektor finansowy Rimski postradał zmysły, że na zadawane mu pytania sensownych odpowiedzi nie umie udzielić albo też udzielić ich nie chce, i błaga tylko o jedno, aby go zamknąć w opancerzonej celi, a przy drzwiach postawić uzbrojonych strażników.

W piątek wieczorem natrafiono również na ślad Lichodiejewa. W poszukiwaniu Lichodiejewa do wszystkich miast rozesłano telegramy i z Jałty otrzymano odpowiedź, że Lichodiejew

znajdował się w Jałcie, obecnie zaś leci samolotem do Moskwy.

Jedynym człowiekiem, na którego ślad wpaść się nie udało, był Warionucha. Znany dosłownie całej Moskwie znamienity administrator teatralny przepadł jak kamień w wodę.

Tymczasem trzeba było się zająć wydarzeniami w innych miejscach Moskwy, poza teatrem Varietes. Należało wyjaśnić niezwykłą historię z urzędnikami śpiewającymi “Morze przesławne” (profesorowi Strawińskiemu w ciągu dwóch godzin udało się ich doprowadzić do normalnego stanu przy pomocy jakichś zaaplikowanych podskórnym zastrzyków), należało wyjaśnić afery z osobami wręczającymi innym osobom lub urzędowi pozornie pieniądze, a w istocie diabli wiedzą co, jak również kołomyjki z osobami, które ucierpiały na skutek tego rodzaju transakcji.

Jest samo przez się zrozumiałe, że najbardziej skandaliczny, najnieprzyjemniejszy i najbardziej niepojęty był fakt porwania głowy zmarłego literata Berlioza. Głowę ukradziono wprost z trumny, w biały dzień, z sali w Gribojedowie.

Dwunastu ludzi prowadziło śledztwo łapiąc jak na druty przekłete oczka tej skomplikowanej, rozproszonej po całej Moskwie sprawy.

Jeden ze śledczych przyjechał do kliniki profesora Strawińskiego i zaczął od tego, że poprosił, aby udostępniono mu spis osób, które przyjęto do lecznicy w ciągu ostatnich trzech dni. W ten sposób natrafiono na Nikanora Bosego i na nieszczęsnego konferansjera. Zresztą nimi akurat zajmowano się niewiele. Teraz już bez trudu można było ustalić, że obydwaj oni byli ofiarami tego samego gangu, na którego czele stał ów tajemniczy mag. Ale za to Iwan Bezdomny nadzwyczajnie zainteresował śledczego.

W piątek pod wieczór otworzyły się drzwi pokoju numer sto siedemnaście. Śledczy serdecznym głosem wymienił swoje nazwisko i powiedział, że wpadł do Iwana, aby pogadać z nim o przedwczorajszych wydarzeniach na Patriarszych Prudach.

O, jak by Iwan triumfował, gdyby śledczy zjawił się u niego nieco wcześniej, powiedzmy choćby w ową czwartkową noc, kiedy poeta tak zapalczywie i gwałtownie wojował o to, by wysłuchano jego opowieści o Patriarszych Prudach! Teraz jego marzenie o schwytaniu konsultanta przybrało realny kształt, nie musiał się już za nikim uganiać, przyszli do niego sami, i przyszli po to właśnie, aby wysłuchać jego relacji o tym, co wydarzyło się w środę wieczorem.

Lecz, niestety, Iwan całkowicie zmienił się w ciągu tego czasu, który upłynął od chwili śmierci Berlioza, był gotów uprzejmie i rzeczowo odpowiadać na wszystkie pytania śledczego, ale zarówno w spojrzeniu Iwana, jak i w intonacji jego głosu wyczuwało się obojętność. Poety

nie wzruszał już los Michała Aleksandrowicza.

Przed przyjsciem śledczego Iwan leżał, drzemał i zwidywały mu się różne majaki. Widział więc miasto, dziwne, niepojęte, nie istniejące miasto, bryły marmuru, zwietrzałe kolumnady, dachy błyszczące w słońcu, czarną posępną i bezlitosną wieżę Antoniusza, pałac na zachodnim wzgórzu, prawie po sam dach zatopiony w tropikalnej zieleni ogrodu, a nad tą zielenią płomieniejące w promieniach zachodu rzeźby, widział idące pod murami starożytnego miasta pancerne rzymskie centurie.

We śnie pojawiał się przed Iwanem nieruchomo siedzący na tronie ogolony człowiek o udręczonej, poźółkłej twarzy, człowiek w białym płaszczu z purpurowym podbiciem, patrzył z nienawiścią na wspaniały i obcy ogród. Widział też Iwan nagie żółte wzgórze i puste już słupy z poprzecznymi belkami.

A to, co się stało na Patriarszych Prudach, poety Iwana Bezdomnego już nie interesowało.

– Powiedźcie, towarzyszu Bezdomny, jak daleko byliście od turnikietu, kiedy Berlioz wpadł pod tramwaj?

Ledwie dostrzegalny obojętny uśmiech nie wiedzieć czemu musnął wargi Iwana, kiedy odpowiadał:

– Byłem daleko.

– A ten kraciasty był przy samym turnikiecie?

– Nie, siedział nieopodal niego, na ławce.

– Dobrze pamiętacie, że nie podchodził do turnikietu w tym momencie, kiedy Berlioz się przewrócił?

– Pamiętam. Nie podchodził. Rozparł się na ławce i siedział.

To były ostatnie pytania, jakie zadał Iwanowi śledczy. Otrzymawszy na nie odpowiedź wstał, wyciągnął do Iwana rękę, życzył mu szybkiego powrotu do zdrowia i wyraził nadzieję, że niebawem znów będzie mógł czytać jego wiersze.

– Nie – cicho odpowiedział Iwan – ja już nie będę więcej pisał wierszy.

Śledczy uśmiechnął się grzecznie i pozwolił sobie wyrazić przekonanie, że poeta znajduje się obecnie w stanie pewnej depresji, która niezawodnie szybko przeminie.

– Nie – odpowiedział Iwan patrząc nie na śledczego, ale gdzieś w dal, na gasnący nieboskłon – to mi już nigdy nie przejdzie. Wiersze, które pisałem, to były niedobre wiersze. Teraz to zrozumiałem.

Śledczy wyszedł od Iwana zebrawszy bardzo ważny materiał. Idąc po nitce od końca do początku wydarzeń wreszcie udało się dotrzeć do ich źródła. Śledczy nie miał wątpliwości co do tego, że wszystko wzięło początek od morderstwa na Patriarszych Prudach. Oczywiście ani Iwan, ani ten kraciasty nie wpychali pod tramwaj nieszczęsnego przewodniczącego Massolitu – w sensie fizycznym, jeśli można się tak wyrazić, nikt mu nie dopomógł w dostaniu się pod koła. Ale śledczy był przekonany, że Berlioz rzucił się pod tramwaj (lub też upadł na szyny), ponieważ go zahipnotyzowano.

Tak, zebrano już sporo materiału, było już wiadomo, kogo i gdzie należy łapać. Ale problem polegał na tym, że nie sposób było złapać podejrzanych. W po trzykroć przeklętym mieszkaniu numer pięćdziesiąt, trzeba to jeszcze raz powtórzyć, niewątpliwie ktoś był. Czasami mieszkanie odpowiadało na telefon, niekiedy skrzypiącym, innym zaś razem nosowym głosem, od czasu do czasu ktoś otwierał okno. więcej nawet, zdarzało się, że z mieszkania dobiegały dźwięki patefonu. A tymczasem za każdym razem, kiedy je odwiedzano, dokładnie nikogo tam nie było. Tak, mieszkanie numer pięćdziesiąt rozrabiało, i nic na to nie można było poradzić.

Tak sprawa ciągnęła się do północy z piątku na sobotę, kiedy to baron Meigel, w stroju wieczorowym i w lakierkach, uroczyście wkroczył do mieszkania numer pięćdziesiąt w charakterze proszonego gościa. Było słyhać, jak barona wpuszczono do mieszkania. Dokładnie w dziesięć minut później złożono w mieszkaniu wizytę, tym razem już bez żadnych dzwonek, jednak nie dość, że nie znaleziono w nim gospodarzy, ale, co było już zupełnie niepojęte, nie wykryto również żadnych oznak pobytu barona Meigla.

A więc, jak już mówiliśmy, sprawa ciągnęła się tak do soboty rano. Wówczas uzyskano nowe, nader interesujące dane. Na moskiewskim lotnisku wylądował sześćosobowy samolot pasażerski z Krymu. Prócz innych pasażerów wysiadł z niego również nadzwyczaj dziwny podróżny. Był to nie myty co najmniej od trzech dni młody, potwornie zarośnięty obywatel o zaczerwienionych powiekach i przerażonych oczach. Obywatel ów nie miał żadnego bagażu, ubrany był natomiast nieco ekscentrycznie. Na głowie miał papachę, burką narzucił na nocną koszulę, szedł w skórkowych, nowiutkich, prosto ze sklepu nocnych granatowych pantoflach. Kiedy tylko oderwał się od trapu, po którym wychodzono z kabiny samolotu, podeszli do niego. Oczekiwano już na tego obywatela i po niedługim czasie niezapomniany dyrektor Varietes, Stiepan Bogdanowicz Lichodiejew, stanął przed prowadzącymi śledztwo. Lichodiejew dostarczył nowych danych. Stało się teraz jasne, że Woland, uprzednio zahipnotyzowawszy Stiope, dostał

się do Varietes udając artystę, a następnie znalazł sposób, aby tegoż Stiope przenieść o bóg wie ile kilometrów od Moskwy. W ten sposób ilość materiału obciążającego zwiększyła się, ale wcale lżej od tego nie było, kto wie, może nawet nieco ciężiej, ponieważ stawało się już oczywiste, że pokonanie kogoś, kto umiał dokazać takiej sztuki, jak ta, której ofiarą padł Stioipa Lichodiejew, nie będzie takie proste. Nawiasem mówiąc, Lichodiejew na własną prośbę został zamknięty w bezpiecznej celi i przed śledczymi stanął Warionucha, świeżo aresztowany w swoim własnym mieszkaniu, do którego powrócił po tajemniczej dwudniowej nieobecności.

Nie bacząc na obietnicę, że nigdy więcej nie będzie kłamać, obietnicę, którą wymógł na nim Asasello, administrator zaczął właśnie od kłamstwa. Nie należy go wszakże osądzać za to zbyt surowo. Asasello przecież zabronił mu kłamać i urągać przez telefon, a w przypadku, o którym teraz mowa, administrator rozmawiał nie korzystając z pośrednictwa aparatu telefonicznego. Błądząc więc oczyma Iwan Sawieliewicz oświadczył, że w czwartek samotnie zalał się w trupa w swoim gabinecie w Varietes, że potem poszedł gdzieś, a gdzie – tego nie pamięta, potem gdzieś jeszcze pił starke, gdzie – nie pamięta, a jeszcze później leżał gdzieś pod płotem, a gdzie to było – tego również nie pamięta. Dopiero kiedy powiedziano mu, że swoim głupim i nierozsądnym zachowaniem utrudnia prowadzenie śledztwa w ważnej sprawie, w związku z czym, oczywiście, będzie musiał ponieść konsekwencje, Warionucha zaszlochał i rozglądając się dookoła wyszeptał drżącym głosem, że kłamie wyłącznie ze strachu przed zemstą szajki, która miała go już w swoich rękach, i że on, administrator Warionucha, pragnie, prosi, błaga, aby go zamknięto w opancerzonej celi.

– Tfu, do diabła! Poszaleli na punkcie tej opancerzonej celi! – mruknął jeden z prowadzących śledztwo.

– Ci bandyci ogromnie ich nastraszyli – powiedział ten, który był u Iwana.

Uspokoił Warionuchę, jak umieli, powiedzieli mu, że obronią go bez zamykania w celi, i od razu wyjaśniło się, że żadnej starki pod żadnym płotem nie pił, że biło go dwóch, jeden rudy, z kłębem, a drugi gruby.

– Ach, ten podobny do kota?

– Tak, tak, tak – szeptał oglądając się co sekundę i zamierając ze strachu administrator i dalej zeznawał szczegółowo o tym, jak około dwóch dni przebywał w mieszkaniu numer pięćdziesiąt w charakterze wampira–nawigatora, który omal nie stał się przyczyną śmierci dyrektora Rimskiego.

Tymczasem wprowadzono przywiezionego pociągiem z Leningradu Rimskiego. Ale ten trzęsący się ze strachu, posiwiasty i rozbity psychicznie starzec, w którym trudno było poznać dawnego dyrektora, za nic nie chciał mówić prawdy i wykazał w tej mierze niespotykany upór. Utrzymywał, że nie widział żadnej Helii za oknem nocą w swoim gabinecie, podobnie jak nie widział Warionuchy, tylko najzwyczajniej zrobiło mu się słabo i w zamroczeniu wyjechał do Leningradu. Nie trzeba chyba dodawać, że swoje zeznania chory dyrektor finansowy zakończył prośbą o zamknięcie go w opancerzonej celi.

Annuszkę aresztowano w chwili, kiedy usiłowała wręczyć kasjerce w domu towarowym na Arbacie dziesięciodolarowy banknot. Opowieść Annuszki o ludziach wylatujących przez okno z domu na Sadowej i o złotej podkówce, którą ona, Annuszka, jakoby podniosła z tym wyłącznie zamiarem, by okazać ją na milicji, wysłuchana została uważnie.

– Czy podkówka była rzeczywiście złota i wysadzana brylantami? – zapytywano Annuszkę.

– Co to, ja brylantów nie widziałam? – odpowiadała Annuszka.

– Ale przecież on dał wam, jak mówicie, czerwonce?

– Co to, ja czerwonce nie widziałam? – odpowiadała Annuszka.

– No, a kiedy te czerwonce zamieniły się w dolary?

– Nic nie wiem, jakie znowu dolary, żadnych tam dolarów nie widziałam! – wrzaskliwie odpowiadała Annuszka. – Jesteśmy w swoim prawie! Dali nam nagrodę, a my za nią kupujemy perkal. – I zaraz, już zupełnie od rzeczy, zaczęła gadać o tym, że ona nie odpowiada za administrację, która zapuściła na czwartym piętrze nieczystą siłę, że już wytrzymać nie można.

Tu śledczy machnął na Annuszkę obsadką, albowiem wszyscy już mieli tego dość, wypisał jej przepustkę na zielonym papierku, po czym ku ogólnemu zadowoleniu Annuszka zniknęła z budynku.

Następnie przedelfilowało całe mnóstwo innych ludzi. Wśród nich znajdował się również Mikołaj Iwanowicz, aresztowany wyłącznie z powodu głupoty swojej zazdrosnej małżonki, która nad ranem zawiadomiła milicję, że jej mąż zaginął. Mikołaj Iwanowicz niezbyt zadziwił śledczych, kiedy położył na biurku błazeńskie zaświadczenie stwierdzające, że spędził noc na balu u szatana. W swoich opowieściach o tym, jak w powietrzu wiózł na grzbiecie nagą służącą gdzieś nad rzekę, do kąpieli, gdzie diabeł mówi dobranoc, i o poprzedzającej to wszystko historii z pojawieniem się w oknie nagiej Małgorzaty, Mikołaj Iwanowicz nieco rozminął się z prawdą. Tak na przykład, nie uznał za stosowne wspomnieć o tym, jak to pojawił się w sypialni z

wyrzuconą przez okno koszulką. Z jego słów wynikało, że Natasza wyleciała przez okno, dosiadła go i wywlokła hen, daleko za Moskwę...

– Zmuszony byłem ustąpić przed przemocą i podporządkować się – zakończył swoje opowiadanie Mikołaj Iwanowicz, po czym poprosił, żeby ani jedno słowo z tego, co mówił, nie dotarło do jego małżonki. Przyobiecano mu to.

Zeżnanie Mikołaja Iwanowicza pozwoliło ustalić, że zarówno Małgorzata, jak jej służąca Natasza zniknęły bez najmniejszego śladu. Poczyniono odpowiednie kroki w celu odnalezienia obu kobiet.

Tak więc sobotni poranek powitało nie ustające ani na sekundę śledztwo. Tymczasem na mieście powstawały i rozprzestrzeniały się zupełnie nieprawdopodobne pogłoski, w których malutkie cząstki prawdy przyozdabiano najwspanialszymi łągarstwami. Opowiadano, że w Varietes odbył się seans, po którym dwa tysiące widzów wyskoczyło na ulicę jak ich pan Bóg stworzył, że wykryto na Sadowej drukarnię fałszywych, zaczarowanych banknotów, że jakaś szajka porwała pięciu naczelników z wydziału rozrywek, ale że milicja zaraz ich wszystkich odnalazła, a także wiele jeszcze innych rzeczy, których się nawet nie chce powtarzać.

Tymczasem zbliżała się pora obiadowa, kiedy tam, gdzie prowadzono śledztwo, zadzwonił telefon. Dzwoniono z Sadowej, że przeklęte mieszkanie znowu daje oznaki życia. Poinformowano, że w mieszkaniu ktoś otworzył okna, że dobiegają stamtąd dźwięki pianina oraz śpiewy i że widziano w oknie czarnego kota siedzącego na parapecie i wygrzewającego się w słońcu.

Około godziny czwartej owego gorącego popołudnia spora grupa ubranych po cywilnemu mężczyzn wysiadła z trzech samochodów, które zatrzymały się nieco przed domem 302–A na Sadowej. Ta duża grupa podzieliła się na dwie mniejsze, jedna z nich przez bramę i podwórko skierowała się prosto na szóstą klatkę, druga natomiast otworzyła zabite zwykle gwoździami malutkie drzwi na kuchenne schody, po czym obie grupy różnymi klatkami schodowymi podążyły do mieszkania numer pięćdziesiąt.

Korowio i Asasello – przy czym Korowio był w swoim zwykłym stroju, a bynajmniej nie w odświętnym fraku – siedzieli właśnie w jadalni kończąc śniadanie. Woland swoim zwyczajem znajdował się w sypialni, a gdzie był kocur – nie wiadomo. Ale sądząc po dobiegającym z kuchni brzęku garnków można było przypuszczać, że Behemot znajduje się właśnie tam, swoim zwyczajem udając głupiego.

– A co to za kroki na schodach? – zapytał Korowiow, zabawiając się łyżeczką zanurzoną w filiżance czarnej kawy.

– Idą nas zaaresztować – odpowiedział Asasello i wychylił stopkę koniaku.

– Aa... no–no... – odrzekł na to Korowiow.

Tymczasem ci, którzy szli od frontu, znaleźli się na podeście drugiego piętra. Tam jacyś dwaj hydraulicy majstrowali przy harmonijce kaloryfera. Idący zamienili z hydraulikami znaczące spojrzenia.

– Wszyscy w domu – szepnął jeden z hydraulików stukając młotkiem po rurze.

Wtedy ten, który szedł na czele grupy, niczego przed nikim nie ukrywając wyjął spod palta czarny mauzer, a drugi idący obok niego – wytrychy. W ogóle ci, którzy zmierzali pod pięćdziesiąty, byli wyposażeni jak należy. Dwaj mieli w kieszeniach cienkie, jedwabne, łatwo rozwijające się sieci, inny miał arkan, jeszcze inny – maski z gazy i ampułki z chloroformem.

Najwyżej sekundę trwało otwieranie drzwi mieszkania numer pięćdziesiąt i przybyli znaleźli się w przedpokoju, a w tej samej chwili trzasnęły drzwi w kuchni, co oznaczało, że druga grupa, zabezpieczająca tyły, również przybyła na czas.

Tym razem, jeżeli nie całkowicie, to pewien sukces był jednak oczywisty. Ludzie w mgnieniu oka rozbiegli się po wszystkich pokojach i nigdzie nikogo nie znaleźli, ale w jadalni na stole wykryto resztki – według wszelkich oznak przed chwilą przerwane – śniadania, a w salonie na gzymsie kominka obok kryształowej amfory siedział ogromny czarny kot. Trzymał w łapach prymus.

W kompletnym milczeniu przybyli dość długo kontemplowali tego kota.

– Ta–ak... rzeczywiście nieźle... – szepnął jeden z nich.

– Nikomu nie przeszkadzam, nikogo nie ruszam, reperuję prymus – niezycliwie powiedział kot i nastroszył się – poza tym uważam za swój obowiązek uprzedzić, że kot to zwierzę starożytne i nietykalne.

– Wyjątkowo czysta robota – szepnął jeden z przybyłych, a drugi powiedział głośno i wyraźnie:

– No to, nietykalny kocie–brzuchomówco, pozwól no tutaj!

Sieć rozwinęła się i śmignęła w powietrze, ale ku zdumieniu wszystkich chybiła i złowiła tylko dzban, który natychmiast rozbił się z brzękiem.

– Pudło! – wrzasnął kot. – Hurra! – i nagle, odstawivszy prymus, wyszarpnął z za pleców

brauning. Błyskawicznie wycelował w najbliższego stojącego, ale nim zdążył wystrzelić, z dłoni tamtego zionęło ogniem i wraz z hukiem wystrzału z mauzera kot, wypuszczając brauning i porzucając prymus, klapnął głową na dół z gzymsu na podłogę.

– Wszystko skończone – słabym głosem powiedział kot i malowniczo ułożył się w czerwonej kałuży – odsuńcie się ode mnie na chwilę, pozwólcie mi pożegnać ten padół. O przyjacielu mój, Asasello – wyjęczał kot ociekając krwią – gdzieżeś? – wykręcił gasnące oczy w kierunku drzwi do jadalni – nie przyszedłeś mi z pomocą w chwili nierównej walki, opuściłeś biednego Behemota, zamieniłeś go na setkę – co prawda bardzo dobrego – koniaku! Cóż, niech moja śmierć spadnie na twoje sumienie, zapisuję ci w testamencie mój brauning...

– Sieć, sieć, sieć... – niespokojnie zaczęto szeptać dookoła kota. Ale sieć, diabeł wie dlaczego, o coś się zaczepiła w kieszeni i za nic nie można jej było wyciągnąć.

– Jedyne, co może uratować śmiertelnie rannego kota – odezwał się kot – to maleńki łyżeczek benzyny – i, wykorzystując zamieszanie, przypiął się do okrągłego otworu w prymusie i napił się benzyny. Krew natychmiast przestała się sączyć spod jego lewej przedniej łapy... Kot poderwał się, żwawy i rześki, porwał prymus pod pachę, śmignął wraz z nim z powrotem na kominek, a stamtąd rozdzierając tapety wlaź na ścianę, mniej więcej po dwóch sekundach znalazł się wysoko nad wszystkimi i zasiadł na metalowym karniszu.

Natychmiast dłonie wczepiły się w zasłonę i zerwały ją razem z karniszem, na skutek czego słońce wpadło do mrocznego pokoju. Ale na ziemię nie spadł ani prymus, ani ozdrowiały nagle kot–przechera. Nie rozstając się z prymusem zdołał śmignąć w powietrzu i wskoczyć na wiszącą na środku pokoju żyrandol.

– Drabinę! – krzyknęli na dole.

– Wyzywam na pojedynek – wydierał się kot przelatując nad głowami ludzi na rozhuśtanym żyrandolu, brauning znowu znalazł się w jego łapach, prymus zaś kocur umieścił między ramionami żyrandola. Kot złożył się do strzału i latając jak wahadło nad głowami przybyłych otworzył do nich ogień. Huk zatrzęsł mieszkaniem. Na podłogę posypały się odpryski kryształu z żyrandola, pękło gwiaździcie lustro na kominku, wzbila się chmura tynkowego pyłu. po podłodze skakały wystrzelone łuski, szyby w oknach popękały, a z przestrzelonego prymusa trysnęła benzyna.

Ale strzelanina ta trwała niedługo i sama z siebie zaczęła przycichać. Rzecz w tym, że ani kotu, ani przybyłym nie wyrządziła ona najmniejszej krzywdy. Nikt nie został zabity, nikogo

nawet nie zraniono. Wszyscy, w tym również kot, byli cali i zdrowi... Któryś z przybyłych, aby ostatecznie rzecz wyjaśnić, pięć po kolei kul ulokował w głowie przekłętego zwierzaka, kot w odpowiedzi dziarsko wystrzelał cały magazynek i znowu to samo – żadnego efektu. Kot huśtał się na coraz słabiej się kołyszącym żyrandolu dmuchając, nie wiadomo po co, w lufę brauninga i spluwając na łapę.

Na twarzach tych, którzy w milczeniu stali na dole, pojawiło się niebywałe zdumienie. To był jedyny, czy też jeden z jedynych, przypadek, kiedy strzelanina zdawała się zupełnie nie mieć następstw. Można było oczywiście przypuścić, że brauning kota jest po prostu straszakiem, ale o mauzerach gości tego w żadnym już razie nie można było powiedzieć. Pierwsza zaś rana kota – teraz już, rzecz jasna, nie można było mieć co do tego najmniejszych wątpliwości – nie była niczym innym jak tylko wybiegiem, fortem, obłudnym świństwem, podobnie jak picie benzyny.

Podjęto jeszcze jedną próbę schwytania kota. Ale rzucony arkan zahaczył o jedną z żarówek i żyrandol się urwał. Wydawało się, że uderzenie wstrząsnęło murami całego domu, ale specjalnych korzyści to nie przyniosło. Na obecnych posypał się gruz, kot zaś dał olbrzymiego susa i wylądował wysoko pod sufitem na górnej krawędzi połączonej ramy wiszącego nad kominkiem lustra. Nie zamierzał nigdzie uciekać, a nawet przeciwnie, siedząc w miejscu względnie bezpiecznym, przystąpił do jeszcze jednego przemówienia.

– Nie potrafię sobie wytłumaczyć – mówił spod sufitu – dlaczego się mnie tak źle traktuje...

Ale orację kota już po pierwszych jego słowach przerwał niski, ciężki głos dobiegający nie wiadomo skąd:

– Co się w tym mieszkaniu dzieje? Przeszkadzają mi w pracy...

Drugi głos, nieprzyjemny, nosowy, odrzekł:

– A niech go diabli wezmą, to oczywiście Behemot!

Trzeci, skrzekliwy głos powiedział:

– Messer! Sobota. Słońce zachodzi. Czas na nas.

– Proszę mi wybaczyć, że nie mogę dłużej z wami gawędzić – powiedział kot z lustra. – Na mnie czas. – I cisnął swoim brauningiem w okno wybijając obie szyby. Następnie chlusnął benzyną i benzyna ta sama się zapaliła, wyrzucając falę płomieni aż pod sufit.

Zapaliło się jakoś niezwykajnie szybko i ostro, tak nie pali się nawet benzyna. Natychmiast zatliły się tapety, zapłonęła zerwana stora na podłodze, zadymiły futryny powybijanych okien.

Kot zwinął się jak sprężyna, miauknął, skoczył z lustra na parapet i zniknął za oknem razem ze swoim prymusem. Na zewnątrz rozległy się strzały. Człowiek siedzący na drabinie przeciwpożarowej, na wysokości okien jubilerowej, ostrzelał kota, kiedy ten przelatywał z parapetu na parapet w kierunku rynny w załomie domu zbudowanego, jak to już było powiedziane, w kształcie otwartego czworoboku. Po tej to rynnie kot wdrapał się na dach. Tam, niestety również bez rezultatu, ostrzelali go ci, którzy strzegli kominów, i kot przepadł w zalewającym miasto blasku zachodzącego słońca.

Tymczasem w mieszkaniu zapalił się parkiet pod nogami obecnych i w ogniu, w tym miejscu, gdzie z szalbierczą raną leżał kot, ukazał się z minuty na minutę coraz bardziej się materializujący trup byłego barona Meigla z wyostrzonym podbródkiem, ze szklistymi oczyma. Nie było już żadnego sposobu, żeby go wyciągnąć z płomieni.

Skacząc po płonących klepkach parkietu, uderzając rękami po dymiących się plecach i kłapach przybysze wycofywali się z salonu do gabinetu, do przedpokoju. Ci, którzy znajdowali się w sypialni i w stołowym, wybiegli przez korytarz. Ci, którzy byli w kuchni, również popędzili do przedpokoju, Salon był już pełen płomieni i dymu. Ktoś zdążył w biegu nakręcić numer straży ogniowej i krzyknął w słuchawkę:

– Sadowa 302–A!

Na dłużej nie było można się zatrzymać. Płomień wychlusnął do przedpokoju, nie było już czym oddychać.

Skoro tylko z wybitych okien przeklętego mieszkania wyskoczyły pierwsze smużki dymu, na podwórzu rozległy się rozpaczliwe okrzyki:

– Pali się! Pali się! Pożar!

W rozmaitych mieszkaniach w całym domu ludzie zaczęli krzyczeć do słuchawek:

– Sadowa! Sadowa 302–A!

W tym samym czasie, kiedy na Sadowej usłyszano mrożące krew bicie dzwonów na długich czerwonych samochodach, pędzących tam ze wszystkich oddziałów miejskich, miotający się po podwórzu ludzie widzieli, jak z okien na czwartym piętrze wyleciały wraz z dymem trzy ciemne, jak się wydawało, męskie sylwetki i jedna sylwetka nagiej kobiety.

28. Ostatnie przygody Korowiowa i Behemota

Czy sylwetki te naprawdę wyleciały przez okno, czy też tak się tylko wydawało sparaliżowanym ze strachu lokatorom nieszczęsnego domu na Sadowej – trudno stwierdzić z całkowitą pewnością. Jeżeli zaś były tam, to również nikt nie wie, dokąd się udały wprost z płonącego mieszkania. Nie możemy też stwierdzić, gdzie się rozdzieliły, wiemy natomiast, że mniej więcej po kwadransie Behemot i Korowiow znaleźli się już na bulwarze, akurat przed domem ciotki Gribojedowa. Korowiow zatrzymał się przy ogrodzeniu i powiedział:

– Ba! Przecież to dom pisarzy! Wiesz, Behemocie, słyszałem o tym domu bardzo wiele dobrego, bardzo wiele pochlebnych opinii. Zwróć na ten dom uwagę, mój przyjacielu. Aż przyjemnie pomyśleć, że pod tym dachem wzbiera i dojrzewa cały ocean talentów.

– Jak ananasy w oranżeriach! – powiedział Behemot i, aby dokładniej obejrzeć kremowy dom z kolumnkami, wlaź na betonową podmurówkę żelaznych sztachet.

– Masz całkowitą rację – zgodził się ze swoim nieodłącznym kolegą Korowiow – i słodka zgroza ściska serce, kiedy pomyślisz sobie, że w tym domu dojrzewa teraz przyszły autor “Don Kichota” albo “Fausta”, albo, niech mnie diabli wezmą, “Martwych dusz”! Co?

– Aż strach pomyśleć – potwierdził Behemot.

– Tak – mówił dalej Korowiow – zdumiewających rzeczy można oczekiwać z ciepłarni tego domu, jednoczącego pod swoim dachem kilka tysięcy pracowitych straceńców, którzy postanowili całe swoje życie poświęcić służbom Melpomeny, Polihymnii i Talii. Czy wyobrażasz sobie, jaki podniesie się rwetes, kiedy któryś z nich na początek ofiaruje czytelnikom “Rewizora” albo, w najgorszym razie, “Eugeniusza Oniegina”!

– Ale, ale – zasięgnął informacji Behemot przesuając swoją okrągłą głowę przez otwór w ogrodzeniu – co oni tam robią na werandzie?

– Jedzą obiad – wyjaśnił Korowiow – do wszystkiego, co już zostało powiedziane, dodam jeszcze, mój drogi, że mieści się tu zupełnie nie najgorsza i niedroga restauracja. A ja, jak każdy turysta przed daleką podróżą, odczuwam nieprzepartą ochotę, aby coś zjeść i wypić duże zimne piwo.

– I ja również – odpowiedział Behemot i obydwaj szubrawcy pomaszzerowali wyasfaltowaną ścieżką wprost na werandę nie przeczuwającej grożącego nieszczęścia restauracji.

Błada i znudzona obywatelka w białych skarpetkach i w równie białym bereciku z pomponem siedziała na giętym fotelu w kącie przy wejściu na werandę, w tym miejscu, gdzie w zieleni żywoplotu widniało wejście. Przed obywatelką na zwyczajnym kuchennym stole leżała gruba księga z gatunku kancelaryjnych, do której obywatelka owa z nieznanego powodu wpisywała wszystkich wchodzących do restauracji. Ta właśnie obywatelka stanęła na drodze Korowiowa i Behemota.

– Proszę okazać legitymacje! – powiedziała patrząc ze zdziwieniem na binokle Korowiowa jak również na prymus Behemota oraz na rozdarty rękaw tego ostatniego.

– Tysiącrotnie przepraszam, jakie legitymacje? – zapytał zdziwiony Korowiow.

– Panowie jesteście pisarzami? – teraz z kolei pytała obywatelka.

– Bez wątpienia – z godnością odpowiedział Korowiow.

– Proszą okazać legitymacje – powtórzyła obywatelka.

– Ślicznotko moja... – zaczął tkliwie Korowiow.

– Nie jestem ślicznotką – przerwała mu obywatelka.

– O, jakże tego żałuję – rozczarowanym głosem powiedział Korowiow, a następnie mówił dalej. – No cóż, jeśli pani sobie tego nie życzy, to nie musi pani być ślicznotką, chociaż byłoby to nader przyjemne. Więc, żeby upewnić się, że Dostojewski jest pisarzem, należy od niego żądać okazania legitymacji? Niechże pani weźmie dowolne pięć stron pierwszej lepszej jego powieści, a przekona się pani, że ma pani do czynienia z pisarzem. Zresztą przypuszczam, że Dostojewski w ogóle żadnej legitymacji nie miał! A ty jak myślisz? – Korowiow zwrócił się do Behemota.

– Założę się, że nie miał – odpowiedział tamten, postawił prymus na stole obok księgi i wytarł ręką pot z usmolonego czoła.

– Ale pan nie jest Dostojewskim – powiedziała zbijana z tropu przez Korowiowa obywatelka.

– Skąd to można wiedzieć, skąd to można wiedzieć – odrzekł Korowiow.

– Dostojewski umarł – powiedziała obywatelka, ale jakoś niezbyt pewnie.

– Protestuję! – gorąco zawołał Behemot. – Dostojewski jest nieśmiertelny!

– Proszę okazać legitymacje, obywatele – powiedziała obywatelka.

– Na litość, przecież to zaczyna być śmieszne, koniec końców! – nie poddawał się Korowiow.

– Pisarz jest pisarzem, ponieważ pisze, a bynajmniej nie dlatego, że ma legitymację. Skąd pani może wiedzieć, jakie wizje rodzą się w mojej głowie? Albo w tej oto głowie? – i wskazał na

głowę Behemota, który natychmiast zdjął czapkę, jakby po to, aby ułatwić obywatelce dokładniejsze obejrzenie jego łba!

– Proszę nie stać w przejściu, obywatele – powiedziała już trochę nerwowo.

Korowiow i Behemot odsunęli się i przepuścili jakiegoś pisarza w szarym garniturze i białej letniej koszuli, bez krawata, z gazetą pod pachą. Pisarz przyjaźnie skinął głową obywatelce, postawił w podsunętej mu księdze jakiś zakrętas i pomaszerował na werandę.

– Niestety, nie mam, nie mam – smutnie powiedział Korowiow – tylko jemu dostanie się ów lodowaty kufel piwa, o którym tak marzyliśmy my, biedni pielgrzymi. Sytuacja nasza jest niełatwa, smutna, i nie wiem, co mam począć.

Behemot zaś tylko boleściwie rozłożył ręce i włożył czapkę na okrągłą głowę, porośniętą gęstym włosiem, przypominającym kocią sierść.

W tym momencie nad głową obywatelki zabrzmiał niegłośny, lecz władczy głos.

– Zofio Pawłowna, proszę przepuścić.

Obywatelka z księgą zdumiała się. W zieleni żywopłotu pojawił się śnieżny frakowy gors i przycięta w klin bródka flibustiera. Pirat życzliwie spoglądał na dwóch podejrzanych oberwańców i co więcej, wykonywał zapraszające gesty. Autorytet Archibalda Archibaldowicza posiadał swoją wagę na terenie restauracji, którą zarządzał, więc Zofia Pawłowna pokornie zapytała Korowiowa:

– Pańskie nazwisko?

– Panajew – uprzejmie odpowiedział tamten. Obywatelka zapisała to nazwisko i podniosła pytające spojrzenie na Behemota.

– Skabiczewski – zapiszczał Behemot, nie wiadomo dlaczego wskazując na swój prymus. Zofia Pawłowna zapisała również i to nazwisko, po czym podsunęła księgę gościom, aby złożyli w niej swe podpisy. Korowiow naprzeciw nazwiska “Panajew” napisał “Skabiczewski”, a Behemot naprzeciw “Skabiczewskiego” napisał “Panajew”.

Archibald Archibaldowicz wprowadził Zofię Pawłówną w kompletne osłupienie – z uwodzicielskim uśmiechem poprowadził gości do najlepszego stolika na przeciwległym końcu werandy, w miejsce najbardziej zacienione, do stolika, przy którym w szparze zieleni wesoło iskrzyło się słońce. Zofia Pawłowna natomiast mrugając ze zdumienia długo studiowała dziwne podpisy, które niespodziewani goście złożyli w jej księdze.

W nie mniejsze zdumienie niż Zofię Pawłównę Archibald Archibaldowicz wprowadził kelnerów.

Osobiście bowiem odsunął krzesło stolika zapraszając Korowiowa, żeby usiadł, do jednego mrugnął, do drugiego coś szepnął i dwaj kelnerzy zakrzętnęli się koło nowych gości, jeden zaś z tych gości postawił swój prymus na podłodze obok porudziałego buta.

Błyskawicznie znikła ze stolika stara poplamiona czymś żółtym serweta, wleciała w powietrze z chrzęstem krochmalu inna, biała, jak turban beduina, czysta, a pirat już naszeptywał cicho i z uczuciem w samo ucho Korowiowa:

– Co panowie raczą zamówić? Mamy nadzwyczajnego jesiotra... wydarłem go zjazdowi architektów...

– Niech nam pan... e... da w ogóle zakąski... e... – dobrodusznie zamruczał Korowiow rozwalając się na krześle.

– Rozumiem – znacząco przymykając oczy odpowiedział Archibald Archibaldowicz.

Kiedy kelnerzy zobaczyli, jak traktuje nader wątpliwych gości kierownik restauracji, opuściły ich wszelkie podejrzenia i poważnie wzięły się do roboty. Jeden już podawał zapalną Behemotowi, który wsadził właśnie do ust wyciągnięty z kieszeni niedopałek, drugi podbiegł podzwaniając zielonym szkłem i już ustawiał przy nakryciach kieliszki, kieliszeczki i literatki o cieniutkich ściankach, te, z których tak znakomicie pija się narzan pod markiza... nie, wybiegając naprzód powiemy raczej – pijało się narzan pod markizą niezapomnianej werandy w Gribojedowie.

– Mogę polecić pierś jarząbka – melodyjnie pomrukiwał Archibald Archibaldowicz. Gość w pękniętych binoklach całkowicie zaaprobował propozycję dowódcy brygu i spoglądał na niego przychylnie przez bezużyteczne szkiełko.

Spożywający obiad przy sąsiednim stoliku prozaik Pietrakow –Suchowiej wraz z małżonką, która właśnie kończyła wieprzową escalope, z właściwą wszystkim pisarzom spostrzegawczością zauważył starania Archibalda Archibaldowicza i bardzo, ale to bardzo się zdziwił. A jego żona, dama nad wyraz czcigodna, nawet zrobiła się zazdrosna o pirata i nawet zadzwoniła łyżeczką – cóż to ma znaczyć? Jak długo jeszcze mamy czekać? Kiedyż wreszcie podadzą te lody? Co to za porządki?

Flibustier posłał Pietrakowej uwodzicielski uśmiech i kelnera, sam wszakże nie opuścił swych drogich gości. Ach, jakże mądry był Archibald Archibaldowicz! A jaki spostrzegawczy! Chyba nawet nie mniej niż sami pisarze! Słyszał i o seansie w Varietes, i o wielu innych wydarzeniach ostatnich dni, i nie puścił mimo uszu słowa “kraciasty” ani słowa “kot”. Od razu się domyślił,

kim są jego goście. A skoro się domyślił, to oczywiście wolał im się nie narażać. A ta Zofia Pawłowna – dobra sobie! Trzeba umieć coś takiego wymyślić – bronić tej dwójce wstępu na werandę! Ale właściwie czego można od niej wymagać!...

Wyniosłe grzebiąc łyżeczką w topniejących lodach śmietankowych Pietrakowa z niezadowoleniem obserwowała, jak stolik przed tymi dwoma przebranymi za strachy na wróble niby na skinienie czarnoksiężnika obrasta smakowitościami. Wymyte, skrzące się kroplami wody liście sałaty już wystawały z salaterki ze świeżutkim kawiozem, jeszcze chwila i na specjalnie przystawionym, oddzielnym stoliku pojawiło się; zapotniałe srebrne wiaderko...

Dopiero przekonawszy się, że wszystko zostało wykonane jak należy, dopiero wówczas, kiedy w dłoniach kelnerów nadleciała przykryta patelnia, na której coś powarkiwało, Archibald Archibaldowicz pozwolił sobie opuścić dwóch zagadkowych gości, i to też dopiero wtedy, kiedy im szepnął:

– Proszę mi wybaczyć! Ja na minutkę! Osobiście przypilnuję jarząbków!

Oddalił się od stolika i zniknął na zapleczu. Jeżeli jakikolwiek obserwator mógłby prześledzić dalsze poczynania pirata, poczynania te niewątpliwie wydałyby mu się nieco zagadkowe.

Szef nie udał się bynajmniej do kuchni, aby dopilnować jarząbków – udał się do restauracyjnej spiżarni. Otworzył ją własnym kluczem, zamknął się w niej od wewnątrz, ostrożnie, żeby nie zabrudzić mankietów, wyjął ze skrzyni z lodem dwa potężne wędzone jesiotry, zawinął je w gazety, pedantycznie przewiązał sznurkiem i odłożył na bok. Następnie w sąsiednim pokoju sprawdził, czy znajduje się na swoim miejscu jego kapelusz oraz letni płaszcz na jedwabnej podszewce i dopiero wtedy skierował się do kuchni, gdzie kucharz starannie przygotowywał obiecanie gościom jarząbki.

Należy tu powiedzieć, że w tym, co robił Archibald Archibaldowicz, nie było nic zagadkowego ani dziwaczego, i tylko nader powierzchowny obserwator mógłby uznać jego poczynania za dziwne. Postępowanie Archibalda Archibaldowicza było logicznym następstwem wszystkiego, co działo się poprzednio. Znajomość ostatnich wydarzeń, a przede wszystkim fenomenalna intuicja podpowiadały kierownikowi restauracji Gribojedowa, że obiad jego dwóch gości będzie być może obfity i wystawny, lecz niezmiernie krótko potrwa. Intuicja, która jeszcze nigdy nie zawiodła flibustiera, nie zawiodła go również tym razem.

W tej samej chwili, kiedy Korowio i Behemot tręcali się drugim już kieliszkiem wspaniałej, zimnej, podwójnie destylowanej moskiewskiej wódki, z zaplecza restauracji szybkim krokiem

wyszli trzej mężczyźni mocno ściśnięci w talii pasami, w sztylpach, z rewolwerami w dłoniach. Idący na przedzie krzyknął dźwięcznie i przerażająco:

– Nie ruszać się z miejsc! – i wszyscy trzej otworzyli na werandzie ogień celując w głowy Behemota i Korowiowa. Obaj ostrzeliwani natychmiast rozplynęli się w powietrzu, a z prymusa trysnął prosto w markizę słup ognia. Jak gdyby rozwartą paszcza o czarnych brzegach pojawiła się w płótnie i zaczęła się rozpełzać na wszystkie strony. Ogień przedarł się przez nią i wzbił się aż do samego dachu domu Gribojedowa. Leżące na oknie w pokoju redakcji na pierwszym piętrze teczki z papierami nagle się zapaliły, od nich zajęła się zasłona, a wtedy ogień buzując, jak gdyby go ktoś rozdmuchiwał, słupami ruszył w głąb ciotczynego domu.

W kilka sekund później wyasfaltowanymi ścieżkami prowadzącymi do sztachet bulwaru, skąd w środę wieczorem przyszedł nie znajdujący u nikogo zrozumienia pierwszy zwiastun nieszczęścia, poeta Iwan Bezdomny, biegli oderwani od obiadu pisarze, Zofia Pawłowna, Pietrakowa, Pietrakow.

Wyszędłszy zawczasu bocznymi drzwiami Archibald Archibaldowicz nigdzie nie uciekając i nigdzie się nie śpiesząc, jak kapitan, który ostatni opuszcza pokład płonącego brygu, stał spokojnie w swoim letnim płaszczu na jedwabnej podszewce, trzymając pod pachą dwa jesiotrowe polana.

29. Przesądzone zostają losy mistrza i Małgorzaty

O zachodzie słońca, wysoko ponad miastem, na tarasie jednego z najpiękniejszych budynków Moskwy, budynku wzniesionego przed stu pięćdziesięcioma mniej więcej laty, znajdowało się ich dwóch – Woland i Asasello. Z dołu, z ulicy nie można ich było zobaczyć, ponieważ przed niepożądanym spojrzeniem osłaniała ich balustrada ozdobiona gipsowymi wazami i gipsowym kwieciami. Ale oni widzieli prawie całe miasto.

Woland ubrany w swoją czarną chlamidę siedział na składanym taborecie. Długa i szeroka jego szpada wetknięta ostrzem w szparę między dwiema obłuzowanymi płytami tarasu, sterczała pionowo, tak że powstał zegar słoneczny. Cień szpady wydłużał się powoli acz nieubłaganie, podpełzał ku czarnym trzewikom na nogach szatana. Wsparłszy na pięści trójkątny podbródek, podwinąwszy nogę skurczony na taborecie Woland patrzył nieustannie na nieogarnione skupisko pałaców, wielopiętrowych domów i malutkich, skazanych na rozbiórkę ruder.

Asasello, który zrzucił swój współczesny strój, czyli marynarkę, melonik i lakierki, podobnie jak Woland ubrany w czerń stał bez ruchu nie opodal swego władcy i podobnie jak on nie spuszczał miasta z oczu. Ale nagle coś kazało Wolandowi zwrócić uwagę na okrągłą wieżę, znajdującą się za nim, na dachu. Z muru tej wieży wychynał obdarty, umazany gliną posepny czarnobrody człowiek w chitonie i w sandałach własnej roboty.

– Ba! – zawołał Woland patrząc na przybysza z ironicznym uśmiechem. – Wszystkiego się mogłem spodziewać, tylko nie ciebie! Co cię sprowadza, nieproszony gościu?

– Przybyłem do ciebie, duchu zła i władco cieni – odparł przybysz, nieprzyjaźnie patrząc spoде łba na Wolanda.

– Skoro przybyłeś do mnie, to dlaczego mnie nie pozdrowiłeś, były poborco podatków? – surowo powiedział Woland.

– Bo nie życzę ci dobrze, wcale nie chcę, żeby ci się dobrze wiodło – hardo odpowiedział mu przybysz.

– Będziesz się jednak musiał z tym pogodzić – odparł na to Woland i uśmiech wykrzywił mu twarz. – Zaledwie się zjawił na dachu, a już palnąłeś głupstwo. Chcesz wiedzieć, na czym ono polega? Na intonacji twego głosu. To, co powiedziałeś, powiedziałeś w sposób zdający się świadczyć, że nie uznajesz cieni ani zła. Bądź tak uprzejmy i spróbuj przemyśleć następujący

problem – na co by się zdało twoje dobro, gdyby nie istniało zło i jak by wyglądała ziemia, gdyby z niej zniknęły cienie? Przecież cienie rzucają przedmioty i ludzie. Oto cień mojej szpady. Ale są również cienie drzew i cienie istot żywych. A może chcesz złupić całą kulę ziemską, usuwając z jej powierzchni wszystkie drzewa i wszystko, co żyje, ponieważ masz taką fantazję, żeby się napawać niezmaconą światłością? Jesteś głupi.

– Nie zamierzam z tobą dyskutować, stary sofisto – odparł Mateusz Lewita.

– Nie możesz ze mną dyskutować z powodu, o którym już wspomniałem – albowiem jesteś głupi – odpowiedział Woland i zapytał: – No, mów krótko i nie zawracaj mi głowy. Po coś tu przyszedł?

– On mnie przysła.

– Cóż ci polecił przekazać, niewolniku?

– Nie jestem niewolnikiem – odpowiedział coraz bardziej rozwścieczony Mateusz Lewita. – Jestem jego uczniem.

– Mówimy, jak zawsze, różnymi językami – powiedział Woland. – Ale rzeczy, o których mówimy, nie ulegną od tego zmianie, prawda?

– On przeczytał utwór mistrza – zaczął mówić Mateusz Lewita – i prosi cię, abys zabrał mistrza do siebie i w nagrodę obdarzył go spokojem. Czyż trudno ci to uczynić, duchu zła?

– Nic dla mnie nie jest trudne – odpowiedział Woland – i ty o tym dobrze wiesz. – Milczał przez chwilę, po czym dodał: – A dlaczego nie weźmiecie go do siebie, w światłość?

– On nie zasłużył na światłość, on zasłużył na spokój – ze smutkiem powiedział Lewita.

– Możesz powiedzieć, że zostanie to zrobione – odpowiedział Woland i dodał, a oko mu przy tym błysnęło: – I opuść mnie natychmiast.

– On prosi, abyście zabrali także tę, która go kochała i która przez niego cierpiała – po raz pierwszy Lewita zwrócił się do Wolanda błagalnie.

– Gdyby nie ty, nigdy byśmy na to nie wpadli. Odejdź.

I Mateusz Lewita zniknął, Woland zaś przywołał Asasella i rozkazał mu:

– Leć do nich i załatw wszystko. – Asasello opuścił taras i Woland został sam.

Ale samotność jego nie trwała długo. Dał się słyszeć stukot butów po płytach tarasu i ożywione glosy i przed Wolandem stanęli Korowio i Behemot. Ale teraz grubas nie miał ze sobą prymusa, obładowany był innymi przedmiotami. A więc pod pachą trzymał nieduży landszafcik w poślaczanej ramie, przez ramię przerzucił na wpeł spalony fartuch kucharski, w

drugim zaś rękę trzymał całego łososia w skórze i z ogonem. I od Korowiowa, i od Behemota zalatywało spalenizną, fizjonomia Behemota była usmarowana sadzami, czapkę zaś miał mocno nadpaloną.

– Salute, messer! – zawrzęsnęła niepoprawna parka, a Behemot pomachał łososiem.

– Dobrzyście – powiedział Woland.

– W każdym razie przybyliśmy, messer – meldował Korowiow – i czekamy na twoje rozkazy.

Woland wstał z taboretu, podszedł do balustrady i długo, w milczeniu, samotnie, odwrócony plecami do swojej świty patrzył w dal. Potem zawrócił, znowu zasiadł na taborecie i powiedział:

– Nie mam dla was żadnych poleceń, zrobiliście wszystko, coście mogli zrobić, i na razie nie będziecie mi potrzebni. Możecie odpocząć. Zaraz nadciągnie burza i ruszymy w drogę.

– Świetnie, messer – odpowiedziały te dwa błazny i zniknęły kędyś za krągłą wieżyczką znajdującą się na środku tarasu.

Burza, o której mówił Woland, wzbierała już na widnokręgu. Czarna chmura wydzwignęła się na zachodzie i przecięła słońce w połowie. Potem przesłoniła je całkowicie. Na tarasie zrobiło się chłodniej, a nieco później zapadły ciemności.

30. Czas już! Czas!

Wesz – mówiła Małgorzata – wczoraj wieczorem, kiedy zasnąłeś, ja właśnie czytałam o ciemnościach, które nadciągnęły znad Morza Śródziemnego... i te idole, ach, te złote idole! Nie wiem, czemu przez cały czas one mi nie dają spokoju. Wydaje mi się, że i teraz będzie padało. Czujesz, jak się ochłodziło?

– Wszystko to jest bardzo ładne i bardzo miłe – odpowiedział mistrz, paląc i rozganiając dłonią dym – i te idole, bóg z nimi... ale doprawdy nie wiem, co będzie dalej!

Rozmowa ta odbywała się o zachodzie słońca, wtedy właśnie, kiedy na tarasie u Wolanda pojawił się Mateusz Lewita. Okienko sutereny stało otworem i gdyby ktoś w nie zajrzał, zdumiałby się, że tak dziwnie wyglądali rozmawiający. Małgorzata miała na sobie czarny płaszcz narzucony wprost na gołe ciało, mistrz zaś ubrany był w swoją szpitalną piżamę. Stało się tak dlatego, że Małgorzata dosłownie nie miała co na siebie włożyć, wszystkie jej rzeczy zostały bowiem w willi, i chociaż do willi tej było bardzo blisko, oczywiście nawet nie mogło być mowy o tym, żeby tam iść i zabrać rzeczy. Mistrz zaś, którego wszystkie ubrania były w szafie, jakby nigdzie nie wjeżdżał, po prostu nie chciał się ubrać tłumacząc Małgorzacie, że tylko patrzeć, a zacznie się znowu jakieś nadprzyrodzone szaleństwo. Co prawda był ogolony po raz pierwszy od tamtej jesiennej nocy (w klinice przystrzygano mu tylko bródkę maszynką).

Pokój także wyglądał dziwnie i trudno się było połapać w panującym tam bałaganie. Na dywaniku leżały rękopisy, rękopisy poniewierały się także na kanapie. Na fotelu leżała grzbietem do góry jakaś otwarta książka, okrągły zaś stół nakryto do obiadu, kilka butelek stało wśród zakąsek. Ani Małgorzata, ani mistrz nie mieli pojęcia, skąd się wzięły te potrawy i napoje. Kiedy się obudzili, zastali już to wszystko na stole.

Pospawszy aż do sobotniego zmierzchu, mistrz i jego przyjaciółka obudzili się zupełnie wypoczęci i jedno tylko przypominało im o wczorajszych przygodach – każde z nich odczuwało lekki ból w lewej skroni. Natomiast wielkie przemiany zaszły w psychice obojga i przekonali się o tym każdy, kto posłuchałby toczącej się w suterenie rozmowy. Nie było jednak nikogo, kto by ja mógł podsłuchać. Zaleta owego podwórza było właśnie to, że zawsze było puste. Wierzby i lipy za oknem z dnia na dzień coraz gwałtowniej się zazieleniające roztaczały zapach wiosny i wietrzyk, który właśnie zaczynał dąć, przynosił ów zapach do sutereny.

– Do diabła! – zawołał nagle mistrz. – Pomyśleć tylko, to przecież... – rozgniół niedopałek w popielniczce i chwycił się za głowę. – Słuchaj, jesteś przecież mądrym człowiekiem i nie byłaś obłąkana... Czy naprawdę jesteś pewna, że byliśmy wczoraj u szatana?

– Naprawdę jestem zupełnie pewna – odpowiedziała Małgorzata.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział ironicznie mistrz. – Ładne rzeczy... A więc mamy teraz zamiast jednego wariata – dwoje: i męża, i żonę! – Wzniósł dłonie ku niebu i zawołał: – Diabli wiedzą, co to ma znaczyć! Diabli, diabli... Małgorzata zbliżyła usta do ucha mistrza i szepnęła:

– Przysięgam na twoje życie, przysięgam na przepowiedzianego przez ciebie syna astronoma, że wszystko będzie dobrze!

I w tejże chwili zza okienka dał się słyszeć nosowy głos:

– Pokój temu domowi!

Mistrz drgnął, a Małgorzata, która zdążyła się już przyzwyczaić do rzeczy niezwykłych, zawołała:

– Przecież to Asasello! Ach, jak to miło, jak to dobrze! – i szepnąwszy do mistrza: – No, widzisz, nie zapominają o nas! – pobięła otworzyć drzwi.

– Zapnij się przynajmniej! – krzyknął za nią mistrz.

– Mam to w nosie – już z korytarzyka odpowiedziała mu Małgorzata.

I oto Asasello już się kłaniał, już się witał z mistrzem pobłyskując swoim białym okiem, Małgorzata zaś wołała:

– Ach, jak się cieszę! Nigdy w życiu tak się nie cieszyłam!

Nalała gościowi koniaku, Asasello zaś wypił go chętnie. Mistrz nie spuszczać oku z Asasella od czasu do czasu leciutko szczypał się pod stołem w lewą dłoń. Ale szczypanie nie pomagało. Asasello nie rozpływał się w powietrzu, zresztą, prawdę mówiąc, nie było to potrzebne. Niziutki, rudawy człowiek nie miał w sobie nic przerażającego, oprócz może przesłoniętego bielmem oka, ale to się przecież zdarza także i bez żadnych czarów. Może tylko jego ubranie było trochę niecodzienne – jakiś habit czy też płaszcz – ale po namyśle trzeba było przyznać, że i takie rzeczy się widuje. Koniak również ciągnął jak każdy porządny człowiek – duszkiem, całymi setkami i bez zagrychy. To właśnie ów koniak sprawił, że mistrzowi zaszumiało w głowie i zaczął rozmyślać:

“Tak, Małgorzata ma rację... Oczywiście, siedzi przede mną wysłannik diabła. Przecież ja sam

nie dalej niż przedwczoraj wieczorem dowodziłem Iwanowi, że na Patriarszych Prudach z pewnością zetknął się z szatanem we własnej osobie, więc czemu teraz przestraszyłem się tej myśli i zacząłem wygadywać coś o hipnotyzerach i halucynacjach... Cóż z nich, u diabła, za hipnotyzerzy!”

Zaczął się przyglądać gościowi i zauważył, że w spojrzeniu Asasella jest coś nienaturalnego, że nie mówi on czegoś, czego na razie nie chce wypowiedzieć. “To nie jest zwykła wizyta, on przyszedł tu z jakąś misją” – myślał mistrz.

– Czemu zakłócasz mój spokój, Asasello? – zapytała Małgorzata.

– Ależ, co też!... – zawołał Asasello – nawet przez myśl mi nie przeszło, aby was niepokoić. Ach! Mało brakowało, a byłbym zapomniał... messer przesyła wam pozdrowienia, a także polecił mi powiedzieć, że zaprasza was na niewielką przechadzkę, jeżeli, oczywiście, nie macie nic przeciwko temu. Co wy na to?

Małgorzata pod stołem trąciła mistrza nogą.

– Z przyjemnością – odparł mistrz, bacznie przyglądając się gościowi, a Asasello ciągnął:

– Mamy nadzieję, że i Małgorzata Nikołajewna nie odmówi naszej prośbie.

– O, z pewnością nie odmówię – powiedziała Małgorzata i jej noga znów dotknęła stopy mistrza.

– To wspaniale! – zawołał Asasello. – To mi się podoba! Raz–dwa i po wszystkim! Nie to, co wtedy, w parku Aleksandrowskim!

– Ach, Asasello, proszę mi o tym nie przypominać, byłam wtedy głupia. Zresztą trudno mieć mi to za złe, przecież nie co dzień człowiek spotyka się z nieczystą siłą!

– Tego jeszcze brakowało – przytaknął Asasello. – Gdyby się spotykał co dzień, to byłoby za dobrze!

– Mnie też się podoba szybkość – mówiła podniecona Małgorzata – podoba mi się szybkość i nagość... Jak z mauzera – trrach! Ach, jak on strzela! – zawołała zwracając się do mistrza. – Siódemka pod Jaśkiem, a on w dowolne serduszko!... – Małgorzata była już podchmielona, oczy jej się rozjarzyły.

– Znowu zapomniałem! – zawołał Asasello uderzając się w czoło. – Głowa do pozłoty! Messer przecież przysłał dla was upominek – i zwrócił się do mistrza – butelkę wina. Proszę zwrócić uwagę, że jest to to samo wino, które pijał procurator Judei, falern.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że podobny rarytas wywołał wielkie zainteresowanie mistrza

i Małgorzaty. Asasello odwinął z kawałka ciemnego trumiennego złotogłowiu niezwykle omszały dzban. Powąchali, naleli wina do szklanek, patrzyli przez nie pod światło, zamierające już przed burzą.

– Zdrowie Wolanda! – zawołała wznosząc swoją szklankę Małgorzata.

Wszyscy troje unieśli szklanki do ust i pociągnęli po dobrym łyku. Wówczas zwiastujące burzę światło dnia zaczęło gasnąć w oczach mistrza, dech mu zapało, poczuł, że zbliża się koniec. Widział jeszcze, jak śmiertelnie pobladła Małgorzata bezradnie wyciąga doń ręce, jak opuszcza głowę na stół, a potem zsuwa się na podłogę.

– Trucicielu!... – zdążył jeszcze krzyknąć mistrz. Chciał chwycić nóż ze stołu, aby przebić nim Asasella, ale jego dłoń bezwładnie ześlizgnęła się po obrusie, wszystko, co było w suterenie mistrza, poczerniało, a potem zupełnie zniknęło. Mistrz upadł na wznak, a padając rozciął sobie o kant sekretarzyka skórę na skroni.

Kiedy otruci znieruchomieli, Asasello przystąpił do działania. Przede wszystkim skoczył w okno i już w chwilę później był w willi, w której mieszkała Małgorzata. Asasello, nieodmiennie staranny i dokładny, chciał osobiście sprawdzić, czy wszystko zostało wykonane jak należy. Okazało się, że wszystko jest w porządku. Asasello widział, jak zasępiona, oczekująca na powrót męża kobieta wyszła ze swej sypialni, pobladła raptem, złapała się za serce, bezradnie zawołała:

– Natasza... ktokolwiek... na pomoc... – i upadła na podłogę w salonie, nie zdążywszy dojść do gabinetu.

– Wszystko w porządku – powiedział Asasello. W sekundę później był znowu przy powalonych kochankach. Małgorzata leżała z twarzą wtuloną w dywan. Asasello swymi żelaznymi rękami odwrócił ją jak lalkę, twarzą ku sobie, i wpatrzył się w nią. Twarz otrutej zmieniała się w jego oczach. Nawet w zapadającym przed burzą półmroku widać było, jak znika jej chwilowy zez wiedźmy, jak łagodnieją jej rysy. Twarz zmarłej rozjaśniła się, złagodniała wreszcie, nie była już drapieżna, była teraz twarzą cierpiącej kobiety. Asasello rozwarł jej białe zęby i wlał do ust kilka kropel tego samego wina, którym ją otruł. Małgorzata westchnęła, bez pomocy Asasella wstała z podłogi, usiadła i słabym głosem zapytała:

– Za co, Asasello, za co? Coś ty ze mną zrobił? Zobaczyła leżącego mistrza, wzdrygnęła się, szepnęła:

– Tego się nie spodziewałam... morderca!

– Ależ skąd! – odpowiedział Asasello. – On zaraz wstanie. Ach, dlaczego jesteś taka

nerwowa?

Ton rudego demona tak bardzo był przekonujący, że Małgorzata uwierzyła mu od razu. Zerwała się, dziarska i pełna sił, pomogła wlać wino do ust leżącego. Mistrz otworzył oczy, popatrzył ponuro i z nienawiścią powtórzył swoje ostatnie słowo:

– Trucicielu!...

– Ach, zniewagi są najczęstszą nagrodą za dobrze wykonaną pracę! – odpowiedział mu na to Asasello. – Czy jesteś ślepy? Jeśli tak, przejrzyj jak najprędzej!

Wówczas mistrz wstał, rozejrzał się, a spojrzenie miał już żywe i rozjaśnione, zapytał:

– To coś nowego. Co to ma znaczyć?

– Znaczy to – odpowiedział Asasello – że na nas już czas. Już grzmi, słyszycie? Ściemnia się. Rumaki ryją ziemię kopytami, rozkołysały się drzewa w waszym maleńkim ogródku. Pożegnajcie się, pożegnajcie się co prędzej.

– Ach, rozumiem – powiedział mistrz i obejrzał się – zabiłeś mnie, jesteśmy martwi. Teraz już wszystko zrozumiałem.

– Ach, na litość – odpowiedział Asasello. – Co ja słyszę? I któż to mówi? Przecież twoja ukochana nazywa cię mistrzem, przecież potrafisz myśleć, jak więc możesz być martwy? To śmieszne!...

– Zrozumiałem wszystko, co powiedziałaś – zawołał mistrz. – Nic już nie mów! Masz po stokroć rację!

– Woland jest wielki! – zawtórowała mu Małgorzata. – Woland jest wielki! Wymyślił to znacznie lepiej ode mnie! Ale powieść, powieść – wołała do mistrza – dokądkolwiek polecisz, zabierz powieść!

– Nie trzeba – odparł mistrz. – Znam ją na pamięć.

– Ale ani słowa... ani słowa nie zapomnisz? – pytała Małgorzata przywierając do kochanka i ocierając krew z jego rozciętej skroni.

– Bądź spokojna. Teraz już nigdy niczego nie zapomnę – odpowiedział jej na to.

– A zatem – ogień! – zawołał Asasello. – Ogień, od którego wszystko wzięło swój początek i którym wszystko zwykliśmy kończyć.

– Ogień! – przeraźliwie krzyknęła Małgorzata. Trzasnęło okienko sutereny, wiatr zdmuchnął na bok zasłonę. Rozległ się w niebie krótki i wesoły grzmot. Asasello wsunął do pieca pazurzystą dłoń, wyciągnął dymiącą głownię i podpalił leżący na stole obrus. Potem podpalił plik starych

gazet na kanapie, wreszcie rękopis i zasłonę na oknie.

Mistrz, odurzony już czekającą go galopadą, wyrzucił z półki na stół jakąś książkę, wzburzył jej karty nad płonącym obrusem i książka rozgorzała wesołym płomieniem.

Cały pokój chwiał się już pełen szkarłatnych jęzorów i wszyscy troje wybiegli wraz z dymem przez drzwi, wspięli się po ceglanych schodkach na górę i znaleźli się w ogródku. Pierwszą rzeczą, jaką tam zobaczyli, była siedząca na ziemi kucharka przedsiębiorcy budowlanego. Wokół niej poniewierały się rozsypane ziemniaki i kilka pęczków cebuli. Stan kucharki był zrozumiały. Przy szopie rżały trzy czarne rumaki, wierzgały, wzbijały fontanny ziemi. Małgorzata pierwsza wskoczyła na siodło, za nią Asasello, mistrz na końcu. Kucharka chciała podnieść rękę, aby uczynić znak świętego krzyża, ale Asasello groźnie zawołał z siodła:

– Utnę ci tę rękę! – gwizdnął i wierzchowce łamiąc gałązki lip wbiły się i zapadły w czarną nawisłą chmurę. Jednocześnie z okienka sutereny buchnął dym. Dobięgl z dołu słaby, żałośliwy krzyk kucharki:

– Gore!...

Konie przelatowały już ponad dachami Moskwy.

– Chcę się pożegnać z miastem – krzyknął mistrz do Asasella, który cwałował na przedzie. Grzmot zagłuszył dalsze jego słowa. Asasello skinął głową i przynaglił rumaka do galopu. Naprzeciw lecącym pędziła chmura, ale nie chlustała jeszcze deszczem.

Lecieli ponad bulwarem, widzieli postacie ludzi, którzy rozbiegali się, aby schronić się przed deszczem. Spadały już pierwsze krople. Przelecieli nad kłębam dymu – to było wszystko, co zostało z domu Gribojedowa. Przelecieli nad miastem, które ogarniała już ciemność. Rozjarzały się nad nimi błyskawice. Potem zieleń zajęła miejsce dachów. I dopiero wtedy lunął deszcz i lecący zamienili się w trzy ogromne, zanurzone w wodzie bańki powietrza.

Małgorzata знаła już uczucie, jakiego doznaje się w locie, mistrz jeszcze go nie znał, więc zdziwił się, że tak prędko przybyli do celu, czyli do tego, z którym chciał się pożegnać nie mając prócz niego nikogo, z kim by się żegnać powinien. Przez welon deszczu poznał od razu budynek kliniki Strawińskiego, rzekę i bór na jej przeciwległym brzegu, bór, który tak dobrze zdążył poznać. Wylądowali w zagajniku na polanie, niedaleko od kliniki.

– Poczekał tutaj na was – zwinąwszy dłonie w trąbkę krzyczał Asasello. To ginął za szarą przesłoną, to znów oświeślały go błyskawice. – Żegnajcie się, byle prędzej!

Mistrz i Małgorzata zeskoczyli z siodła i pobiegli przez ogród kliniki mającąc w ulevie jak

wodne cienie. W chwilę później mistrz wprawną dłonią odsunął balkonową kratę w pokoju numer sto siedemnaście. Małgorzata podążała za nim. W łoskocie i wyciu burzy weszli do pokoju Iwana niewidzialni i nie zauważeni. Mistrz przystanął przy łóżku.

Iwan leżał nieruchomo jak wówczas, kiedy po raz pierwszy obserwował burzę w miejscu swego odpoczynienia. Ale nie płakał jak wtedy. Kiedy dokładniej przyjrzał się ciemnej sylwetce, która wtargnęła doń z balkonu, uniósł się na łóżku, wyciągnął ręce i powiedział radośnie:

– Ach, to pan! A ja ciągle czekam, ciągle czekam na pana. Przyszedł pan wreszcie, mój sąsiedzie!

Mistrz odparł na to:

– Przyszedłem, ale, niestety, nie mogę już być sąsiadem pana. Odlatuję na zawsze i przyszedłem po to jedynie, by się pożegnać.

– Wiedziałem, że tak będzie, domyślałem się, że tak będzie – odpowiedział cicho Iwan i zapytał: – Spotkał go pan?

– Tak – powiedział mistrz. – Przyszedłem się z panem pożegnać, ponieważ był pan jedynym człowiekiem, z jakim rozmawiałem ostatnimi czasy.

Iwan rozpromienił się i powiedział:

– To dobrze, że pan tu przyleciał. Ja przecież dotrzymam słowa, nie będę więcej pisywał wierszydeł. Teraz zajmuje mnie co innego – Iwan uśmiechnął się i obłąkanymi oczyma popatrzył gdzieś w przestrzeń obok mistrza. – Chcę napisać coś innego.

Poruszyły mistrza te słowa. Powiedział siadając na skraju łóżka Iwana:

– To dobrze, to bardzo dobrze. Niech pan napisze dalszy ciąg o nim. Oczy Iwana zabłyśły.

– To pan nie będzie o tym pisał? – Ale spuścił głowę i dodał w zadumie: – No, tak... po cóż o to pytam – spojrzał zezem na podłogę, popatrzył z lękiem.

– Tak – powiedział mistrz, a jego głos wydał się Iwanowi nie znany i głuchy. – Nie będę już o nim pisał. Co innego będę miał do roboty.

Szum burzy przeciął daleki gwizd.

– Słyszysz pan? – zapytał mistrz.

– Burza szumi...

– Nie, to wołają mnie, na mnie już czas – wyjaśnił mistrz i wstał z łóżka.

– Niech pan zaczeka! Tylko jedno słowo – poprosił Iwan. – Odnalazł ją pan? Czy została panu wierna?

– Oto ona – odpowiedział mistrz i wskazał na ścianę. Od białej ściany oderwała się ciemna Małgorzata, podeszła do łóżka. Patrzyła na leżącego chłopaka i w jej oczach malowała się żalność.

– Biedak, biedak... – bezgłośnie szeptała Małgorzata, pochyliła się nad łóżkiem.

Leżący chłopak objął ją za szyję, pocałował ją.

– Żegnaj, uczniu – ledwo dosłyszalnie powiedział mistrz i zaczął rozpląwać się w powietrzu. Zniknął, a wraz z nim zniknęła i Małgorzata. Zamknęła się krata balkonu.

Iwanem oładnął niepokój. Usiadł na łóżku, rozejrzał się lękliwie, jęknął nawet, powiedział coś sam do siebie, wstał. Burza rozhasała się na dobre i najwyraźniej go rozstroiła. Niepokoiło go także to, że jego przyzwyczajony do niezmaconej ciszy słuch wyłowił niespokojne kroki i przygłuszone głosy za drzwiami. Zawołał, zdenerwowany już i drżący:

– Praskowio Fiodorowna!

Praskowia Fiodorowna już wchodziła do pokoju i zaniepokojona, pytająco patrzyła na Iwana.

– Co? Co takiego? – pytała. – Burza przestraszyła? To nic, to nic... Zaraz ci pomożemy... zaraz zawołam doktora...

– Nie, Praskowio Fiodorowna, nie trzeba wołać doktora – powiedział Iwan, niespokojnie patrząc nie na Praskowie Fiodorownę, ale na ścianę – nic mi takiego nie jest. Niech się pani nie boi, ja teraz już rozumiem... Lepiej niech mi pani powie – poprosił Iwan serdecznie – co się stało tam obok w sto osiemnastce?

– W osiemnastce? – Odpowiedziała pytaniem na pytanie Praskowia Fiodorowna i spojrzenie jej pobiegło w bok. – Nic się tam nie stało. – Ale w jej głosie brzmiała nieszczerłość, Iwan natychmiast to zauważył i powiedział:

– E, Praskowio Fiodorowna! Pani przecież zawsze mówi prawdę... Myśli pani, że zaczną rozrabiać? Nie, naprawdę, nie zaczną. Niech mi pani lepiej szczerze powie, ja przecież przez ścianę wszystko wyczuje.

– Umarł twój sąsiad przed chwilą – wyszeptała Praskowia Fiodorowna nie umiejąc się sprzeniewierzyć swojej dobroci i prawdomówności i popatrzyła z lękiem na Iwana, spłynęło po niej światło błyskawicy. Ale nic złego się nie stało. Iwan tylko wznosił znacząco palec i powiedział:

– Przecież ja wiedziałem! Może mi pani wierzyć, Praskowio Fiodorowna, że teraz w mieście umarł jeszcze jeden człowiek. Ja nawet wiem, kto. – I Iwan uśmiechnął się tajemniczo. – To była kobieta.

31. Na Worobiowych Górach

Burza przeminęła już bez śladu i przerzucona łukiem ponad całą Moskwę trwała na niebie wielobarwna tęcza, piła wodę z rzeki Moskwy. Wysoko na wzgórzu, między dwiema kępami krzaków, widać było trzy ciemne sylwetki. Woland, Korowiow i Behemot siedzieli na czarnych osiodłanych koniach, patrzyli na rozpościerające się za rzeką miasto, całe w rozpryskach słońca, pobłyskującego w tysiącach zwróconych ku zachodowi okien, na piernikowe baszty Diewiczego Monasteru.

Coś zaszumiało w powietrzu i Asasello wylądował w pobliżu całej grupy – za czarnym trenem jego płaszcza lecieli mistrz i Małgorzata.

– Musiałem przeszkodzić wam, Małgorzato, i tobie, mistrzu – po chwili milczenia zaczął Woland – ale nie miejcie o to do mnie żalu. Nie sądzę, byście mieli tego żałować. No cóż – zwracał się teraz tylko do mistrza – pożegnaj się z tym miastem. Na nas już czas – Woland dłonią w czarnej rękawicy z rozciętym mankietem powiódł w tę stronę, gdzie niezliczone słońca roztopiały za rzeką szkło, gdzie trwała ponad tymi słońcami mgła, dym i opary rozprażonego w ciągu całego dnia miasta.

Mistrz zeskoczył z siodła, opuścił jeźdźców i pobiegł na skraj wzgórza. Czarny płaszcz włókł się za nim po ziemi. Mistrz patrzył na miasto. W pierwszej chwili zakradł się do jego serca smutek i żal, ale niebawem ustąpiły one miejsca słodkawemu niepokojowi, cygańskiemu podnieceniu włóczęgi.

– Na zawsze!... Zrozumie to – wyszeptał mistrz i oblizał suche, spękane wargi. Zaczął uważnie przysłuchiwać się temu wszystkiemu, co działo się w jego duszy, analizować to. Wydało mu się, że podniecenie minęło, przekształciło się w poczucie wielkiej, śmiertelnej krzywdy. Ale i ono było nietrwałe, przeminęło, zastąpiła je, nie wiedzieć czemu, wyniosła obojętność, a tę z kolei – przecucie wiekuistego spokoju.

Grupa jeźdźców oczekiwała na mistrza w milczeniu. Jeźdźcy patrzyli na gestykulującą na krawędzi urwiska wysoką, ciemną sylwetkę, która to wznosiła głowę, jak gdyby starając się sięgnąć spojrzeniem aż za dalekie przedmieścia, to znów zwieszała ją na pierś, jak gdyby kontemplując wydeptaną mizerną trawę pod nogami.

Potem mistrz chwycił się za głowę i pobiegł z powrotem w stronę oczekujących nań

towarzyszy podróży.

– No i jak – z wysokości swego wierzchowca zwrócił się do mistrza Woland – pożegnałeś się?

– Tak, pożegnałem się – odpowiedział mistrz, i, już uspokojony, śmiało i otwarcie popatrzył w twarz Wolanda.

A wówczas przetoczył się ponad wzgórzami straszliwy, podobny dźwiękowi trąb głos Wolanda:

– Czas już! – a także przenikliwy gwizd i śmiech Behemota.

Konie poderwały się do biegu, jeźdźcy unieśli się w siodłach i pocałowali. Małgorzata czuła, że jej oszalały rumak szarpie i gryzie wędzidło. Pęd wzdął płaszcz Wolanda ponad głowami całej kawalkady, płaszcz ten zaczął przesłaniać cały wieczerniejący nieboskłon. Kiedy na sekundę czarna opończa odrzucana została na bok, Małgorzata nie zwalniając biegu odwróciła się i zobaczyła, że nie ma już za nimi różnobarwnych wieżyc, nie ma już od dawna i miasta...

32. Przebaczenie i wiekuista przystań

O bogowie, o, bogowie moi! Jakże smutna jest wieczorna ziemia! Jakże tajemnicze są opary nad oparzeliskami! Wie o tym ten, kto błdził w takich oparach, kto wiele cierpiał przed śmiercią, kto leciał ponad tą ziemią dźwigając ciężar ponad siły. Wie o tym ten, kto jest zmęczony. I bez żalu porzuca wtedy mglistą ziemię, jej bagniska i jej rzeki, ze spokojem w sercu powierza się śmierci, wie bowiem, że tylko ona przyniesie mu spokój.

Nawet czarodziejskie czarne konie zmęczyły się, coraz wolniej niosły swoich jeźdźców, zaczęła ich dopędząć nieunikniona noc. Nawet niespożyty Behemot wyczuwając ją za plecami zamilkł, rozwichrzył sierść na ogonie, wbił w siodło pazury i pędził milczący i poważny.

Noc jęła okrywać czarną chustą łąki i lasy, noc zapalała gdzieś daleko w dole smutne ogniki nie interesujące już teraz ani mistrza, ani Małgorzaty, niepotrzebne im obce ogniki. Noc wyprzedzała kawalkadę, zasnuwała ją z góry i to tu, to tam rzucała na oswiałe niebo białe plamki gwiazd.

Noc gęstniała, pędziła obok nich, chwytiała galopujących za płaszcze, zdzierała je z ramion, odsłaniała prawdę. I kiedy owiewana chłodnym wiatrem Małgorzata otworzyła oczy, zobaczyła, jak zmieniają się pędzący ku swemu celowi. Kiedy zaś zza skraju lasu wypełznął na ich spotkanie krągły purpurowy księżyc, wszystkie pozory znikły, runęły w moczary i rozpląnęły się we mgłach nietrwale czarnoksiężskie kostiumy.

Należy wątpić, czy ktokolwiek poznałby w tym, który pędził teraz tuż obok Wolanda, po prawej ręce Małgorzaty, Korowiowa –Fagota, samozwańczego tłumacza tajemniczego i nie potrzebującego bynajmniej żadnych tłumaczy konsultanta. Zamiast tego, który opuścił Worobiowe Góry w podartym stroju cyrkowca jako Korowiow–Fagot, galopował teraz cicho podzwaniając złotym łańcuchem uźdźienicy ciemnofioletowy rycerz o mrocznej twarzy, na której nigdy nie zagościł uśmiech. Wspierał brodę na piersi, nie patrzył na księżyc, nie interesowała go ziemia, pędząc obok Wolanda rozmyślał o jakowychś swoich sprawach.

Także i Behemotowi noc oderwała jego puszysty ogon, odarła go z futra, rozrzuciła strzępy sierści po mokradłach. Ten, który zabawiał księcia ciemności jako kot, objawiał się teraz jako szczuplutki chłopak, demon–paź, najwspanialszy błazen, jakiego znał świat. Teraz i on także zamilkł i pędził bezszelestnie, podstawiając swoją młodą twarz pod napływającą od księżycy

poświętę.

Z boku, w pewnej odległości od reszty, leciał pobłyskując stalową zbroją Asasello. Znikł bez śladu nieprzystojny kiel i zez również okazał się kamuflażem. Oczy Asasella nie różniły się już teraz od siebie, były jednakowo puste i czarne, twarz zaś była blada i zimna. Teraz, lecąc, Asasello przybrał swą prawdziwą postać demona bezwodnej pustyni, demona–mordercy.

Siebie samej Małgorzata nie mogła zobaczyć, za to dobrze widziała zmiany, jakie zaszły w mistrzu. Jego włosy bieleły teraz w poświęcie księżycy, zbijały się z tyłu w powiewający na wietrze warkocz. Kiedy wiatr odrzucał płaszcz z jego nóg, Małgorzata widziała to zapalające się, to znów gasnące gwiazdeczki ostróg na botfortach. Podobnie jak młodziutki demon mistrz leciał nie spuszczać oczu z księżycy, ale uśmiechał się do tego księżycy, jak do kogoś dobrze znanego i kochanego, i zgodnie ze zwyczajem, którego nabrał w sto osiemnastce, coś tam sam do siebie mamrotał.

Woland wreszcie leciał także w swej prawdziwej postaci. Małgorzacie trudno byłoby powiedzieć, z czego była zrobiona uzda jego wierzchowca, sądziła, że są to być może księżycowe promienie, sam zaś wierzchowiec jest tylko bryłą mroku, grzywa rumaka – chmurą, a ostrogi jeźdźca – to białe cętki gwiazd.

Długo tak lecieli w milczeniu, aż wreszcie okolica zaczęła się zmieniać. W mroku ziemi zatoneły smutne lasy, a wraz z nimi i zmatowiały klingi rzek. Pojawiły się w dole połyskliwe głazy, a pomiędzy nimi zaczerniały zapadliska, do których nie docierało księżycowe światło.

Woland osadził swego dzianeta na kamienistym, posępnym, płaskim szczycie i odtąd jeźdźcy pojechali stępą, nasłuchując, jak podkowy ich rumaków biją o żwir i kamienie. Zielonkawa, jasna poświęta księżycowa zalewała szczyt i wkrótce Małgorzata dostrzegła stojący na tym pustkowiu tron, a na tronie białą postać siedzącego człowieka. Siedzący był może głuchy, a może nazbyt pograżony w myślach. Nie czuł, że kamienista ziemia dygoce pod ciężarem wierzchowców, i jeźdźcy zbliżyli się doń nie zauważeni.

Księżyc bardzo dopomógł Małgorzacie, świecił jaśniej niż najjaśniejsza latarnia elektryczna, dostrzegła więc, że siedzący, którego oczy wydawały się być ślepe, nerwowo zaciera ręce i te nie widzące swoje oczy kieruje ku okręgowi księżycy. Widziała już teraz, że obok ciężkiego marmurowego tronu, na którym błyszczały w księżycowej poświęcie jakieś iskry, leży olbrzymi czarny pies o spiczastych uszach i podobnie jak jego pan niespokojnie wpatruje się w księżyc. U stóp siedzącego poniewierają się skorupy rozbitego dzbana i rozpościera się czarnoczerwona

niewysychająca kałuża. Jeźdźcy wstrzymali konie.

– Powieść twoja została przeczytana – zaczął mówić Woland zwracając się do mistrza – i powiedziano tylko jedno – że nie jest ona, niestety, zakończona. Chciałem ci zatem pokazać twego bohatera. Prawie od dwóch tysięcy lat siedzi on na tym szczycie i śpi, ale kiedy nadchodzi pełnia księżycy, dręczy go, jak widzisz, bezsenność. Cierpi na nią nie tylko on, ale również i jego wierny stróż, pies. Jeżeli prawdą jest, że tchórzostwo to najstraszliwsza z ułomności, to temu psu zarzucić go raczej niepodobna. Jedyną rzeczą, której bało się to nieustraszone zwierzę, była burza. No cóż, ten, który kocha, powinien dzielić los tego, kogo kocha.

– Co on mówi? – zapytała Małgorzata i jej nieruchoma, spokojną twarz osnuła mgielka współczucia.

– On mówi – odpowiedział jej Woland – ciągle to samo. Powtarza, że nawet przy księżycu nie może zaznać spokoju i że przyszło mu zagrać niedobłą rolę. Mówi tak zawsze, ilekroć nie śpi, a kiedy śpi, śni mu się ciągle to samo – pasmo księżycowego światła, którym chciałby iść i rozmawiać z więźniem Ha-Nocri, ponieważ, jak utrzymuje, nie zdążył czegoś dopowiedzieć wówczas, dawno temu, czternastego dnia wiosennego miesiąca nisan. Ale, niestety, nie udaje mu się wejść na tę drogę, nikt też nie przychodzi do niego. Więc, cóż robić, musi rozmawiać sam ze sobą. A zresztą, człowiek musi mieć przecież jakieś urozmaicenie, więc swój monolog o księżycu często uzupełnia stwierdzeniem, że nade wszystko w świecie nienawidzi własnej nieśmiertelności i swej niebywałej sławy. Utrzymuje, że chętnie by się zamienił z obdartym włóczęgą Mateuszem Lewitą.

– Dwanaście tysięcy księżyców za jedną księżycową noc sprzed lat, czy to aby nie za dużo? – zapytała Małgorzata.

– Powtarza się historia z Friedą? – zapytał Woland. – Ale o to, Małgorzato, nie musisz się martwić. Wszystko będzie, jak być powinno, tak już jest urządzony świat.

– Uwolnijcie go! – krzyknęła nagle przeraźliwie Małgorzata. Podobnie krzyczała kiedyś, kiedy była wiedźmą. Od tego jej krzyku osunął się gdzieś w górach kamień i z ogłuszającym łoskotem stoczył się po urwisku w przepaść. Ale Małgorzata nie umiała powiedzieć, czy był to łoskot padającego kamienia, czy może łoskot szatańskiego śmiechu. Woland w każdym razie śmiał się, spoglądał na Małgorzatę i mówił:

– W górach nie należy krzyczeć, on tak czy owak nawykł do lawin i nie zwróci na nie uwagi. Nie musisz się za nim wstawiać, Małgorzato, albowiem miał się już za nim ten, z kim tak pragnął

rozmawiać. – I Woland znowu zwrócił się do mistrza, mówiąc: – No cóż, teraz możesz zakończyć swoją powieść jednym zdaniem!

Mistrz, który stał nieporuszony i patrzył na siedzącego prokuratora, jakby tylko na to czekał. Zwinął dłonie w trąbkę i krzyknął tak, że echo poniosło się po bezludnych i nagich górach.

– Jesteś wolny! Jesteś wolny! On czeka na ciebie.

Góry przemieniły głos mistrza w grom i ten grom obrócił je w perzynę. Runęły przeklęte ściany skalne. Pozostał tylko szczyt, na którym stał marmurowy tron. Ponad czarną otchłanią, w którą zwały się skały, zapłonęły światła bezkresnego miasta, a nad miastem dominowały połyskliwe idole, górujące nad wspaniale rozrosłymi w ciągu wielu tysięcy księżyców ogrodami. Wprost ku tym ogrodom prowadziła tak długo wyczekiwana przez prokuratora, uczyniona z księżycowej poświęty ścieżka. Pierwszy pobiegł tą ścieżką spiczastouchy pies. Człowiek w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika wstał z tronu i krzyknął coś ochryplym, załamującym się głosem.

Nie można było się zorientować, czy płacze, czy też się śmieje, ani też, co krzyczy. Można było tylko zobaczyć, że i on pośpieszył księżycową ścieżką za tym, który wiernie pełnił przy nim straż.

– Mam iść tam, za nim? – ujmując cugle niespokojnie zapytał mistrz.

– Nie – odpowiedział mu Woland. – Po cóż iść za tropem tego, co się już skończyło?

– A więc tam? – zapytał mistrz, odwrócił się i wskazał za siebie, tam gdzie znowu zarysowało się za nimi niedawno opuszczone miasto, pełne piernikowych wież monasterskich i rozprysniętego w szkło na drobne kawałeczki słońca.

– Także nie – odparł Woland. Głos jego nabrał mocy i popłynął nad skałami. – Romantyczny mistrzu, ten, którego tak pragnie ujrzeć wymyślony przez ciebie, a przed chwilą również przez ciebie samego uwolniony twój bohater, przeczytał twoją powieść. – I Woland zwrócił się do Małgorzaty: – Małgorzato! Nie sposób nie uwierzyć, że usiłowałaś obmyśleć dla mistrza jak najlepszą przyszłość, ale doprawdy to, co wam proponuję, to, o co prosił dla was Jezua, jest jeszcze lepsze! Zostawcie ich samych – mówił Woland nachylając się ze swego siodła ku siodłu mistrza i wskazując w ślad za prokuratorem, który zniknął im już z oczu. – Nie przeszkadzajmy im. Niech rozmawiają, kto wie, może dojdą do czegoś? – Woland skinął teraz dłonią w kierunku Jeruzalaim i Jeruzalaim zagasło.

– A i tam – Woland wskazał za siebie – czegoż miałbyś szukać w swojej suterenie? – Teraz

zagasło rozprysnięte w szkle słońce. – Po co ci to? – łagodnie i przekonywająco ciągnął Woland – o, po trzykroć romantyczny mistrzu, czyż nie chcesz we dnie przechadzać się ze swoją przyjaciółką pod drzewami wiśni, które właśnie zaczynają okrywać się kwiatem, a wieczorami słuchać muzyki Schuberta? Czyż nie będzie ci miło pisać gęsim piórem przy świecach? Czyż nie chcesz jak Faust zasiąść nad retortą i żywić nadzieję, że uda ci się stworzyć nowego homunculusa? Tam, tylko tam! Tam czeka już na was dom i stary sługa, goreją świece, które wkrótce pogasną, ponieważ już niebawem powitacie świt. Tą drogą, mistrzu, tylko tą drogą! Żegnajcie, na mnie czas!

– Żegnaj! – chóralnie odrzyknęli Wolandowi Małgorzata i mistrz. A wówczas czarny Woland na oślepi, nie wybierając drogi, rzucił się w zapadlisko, a za nim z poszumem runęła jego świta. Wokół mistrza i Małgorzaty nie było już ani skał, ani płaskiego szczytu, ani Jeruzalaim. Zniknęły również czarne konie. I oto zobaczyli oboje przyobiecany świt. Zaczęło świtać natychmiast, przy północnym księżycu. Mistrz przechodził ze swą umiłowaną w blasku pierwszych promieni poranka przez omszały kamienny mostek. Przeszli przezeń. Strumień został za plecami wiernych kochanków, szli piaszczystą drogą.

– Posłuchaj, jak cicho – mówiła do mistrza Małgorzata, a piasek szeleścił pod jej bosymi stopami. – Słuchaj i napawaj się ciszą. Popatrz, oto jest już przed tobą twój wieczysty dom, który otrzymałeś w nagrodę. Widzę już okno weneckie i dzikie wino, które wspina się aż pod sam dach. Oto twój dom, oto twój wieczysty dom. Będziesz zasypiał wdziawszy swoją przybrudzoną wieczystą szlafmycę, będziesz zasypiał z uśmiechem na ustach. Sen cię wzmocni, przyjdą ci po nim do głowy mądre myśli. I już nie będziesz umiał mnie wypędzić. Ja zaś będę strzegła twego snu.

Tak mówiła Małgorzata idąc z mistrzem w kierunku ich wieczystego domu i wydawało się mistrzowi, że słowa Małgorzaty szemrzą tak samo, jak szemrał i szeptał strumień, od którego się oddalali...

Epilog

A swoją drogą – co się działo w Moskwie po owym sobotnim wieczorze, kiedy to Woland o zachodzie słońca opuścił stolicę zniknąwszy wraz ze swą świtą z Worobiowych Gór?

O tym, że długo jeszcze w całym mieście huczało od najniewiarygodniejszych pogłosek, które nader szybko dotarły także do najdalszych, zabitych deskami prowincjonalnych dziur, nie trzeba chyba nawet wspominać. Człowieka aż mdli na samą myśl, że miałyby te pogłoski powtarzać.

Spisujący tę rzetelną relację na własne uszy słyszał w pociągu, którym jechał do Teodozji, opowieść o tym, jak to w Moskwie dwa tysiące ludzi wyszło z teatru na golasa i w takim stanie taksówkami rozjechało się do domów.

Szept: “nieczysta siła” można było usłyszeć w kolejkach przed mleczarniami, w tramwajach, w sklepach, w mieszkaniach, we wspólnych kuchniach, w pociągach podmiejskich i dalekobieżnych, na stacjach i na przystankach, na letniskach i na plażach.

Ludzie wyrobieni i kulturalni nie brali oczywiście udziału w tych dyskusjach o nieczystej sile, która nawiedziła stolicę, szydzili z nich nawet i usiłowali apelować do rozsądku opowiadających. Ale, jak to się mówi, fakt pozostaje faktem i zostawić go bez wyjaśnienia nie sposób – ktoś niewątpliwie był w stolicy. Świadczyły o tym wymownie choćby zgliszcza, które pozostały z Gribojedowa, a także wiele innych rzeczy.

Ludzie kulturalni podzielali pogląd prowadzących śledztwo – była to robota szajki hipnotyzerów i brzuchomówców, którzy doszli w swoim rzemiośle do perfekcji.

Zarówno w Moskwie, jak poza jej granicami podjęto oczywiście natychmiast energiczną akcję mającą na celu schwytnie bandy, ale niestety, niestety, nie dała ona spodziewanych rezultatów. Ten, który przybrał imię Wolanda, zniknął wraz ze wszystkimi swymi kumplami i do Moskwy już nie powrócił ani nie pojawił się nigdzie indziej, w ogóle nie dawał znaku życia. Nic dziwnego, że powzięto podejrzenie, iż uciekł za granicę, ale i za granicą się nie ujawnił.

Były jednak również ofiary, i to nawet wtedy, kiedy Woland już opuścił stolicę. Ofiarą, jakkolwiek to bardzo smutne, padły czarne koty.

Ze sto tych łagodnych, przywiązanych do ludzi i pożytecznych stworzeń zastrzelono albo wytępiono w inny sposób, w rozmaitych zakątkach kraju. Piętnaście, niekiedy mocno z maltretowanych kotów, dostarczono do komisariatów milicji w różnych miastach. W

Armawirze, na przykład, jedno takie Bogu ducha winne zwierzę, doprowadzone na milicję przez jakiegoś obywatela, miało związane przednie łapy.

Obywatel ów przydybał kota w chwili, gdy zwierzę o wyglądzie rzezimieszka (cóż na to poradzić, że koty zawsze tak wyglądają? Nie bierze się to bynajmniej stąd, że są fałszywe, lecz stąd, że obawiają się, by ktoś potężniejszy od nich – pies albo człowiek – nie uczynił im krzywdy. Skrzywdzić kota jest bardzo łatwo, ale, wiercie mi, żaden to honor, żaden!) a więc, gdy zwierzę to o wyglądzie rzezimieszka w niewyjaśnionych zamiarach usiłowało udać się w łopuchy.

Obywatel ów runął na kota i ściągając krawat, by związać stworzenie, odgrażał się jadownicę:

– Aha! A więc się zawitało teraz do nas, do Armawiru, panie hipnotyzerze? No, aleśmy się tu pana nie przestraszyli. Niech pan nie udaje niemowy! Dobrze wiemy, co z pana za ptaszek!

Obywatel prowadził kota na milicję ciągnąc biednego zwierza za przednie łapy, związane zielonym krawatem, i lekkimi kopniakami zmuszając go, by koniecznie szedł na tylnych.

– Panie! – krzyczał oblegany przez gwizdzących chłopaczków. – Niech pan przestanie strugać wariata! To się nie uda! Niech pan będzie łaskaw iść jak człowiek!

Czarny kot tylko toczył umęczonymi ślepiami. Natura poskąpiła mu daru wymowy, ani rusz nie mógł więc dowieść swej niewinności. Ocalenie biedne zwierzę zawdzięcza przede wszystkim milicji, a także swojej właścicielce, czcigodnej wiekowej wdowie. Skoro tylko kot doprowadzony został do komisariatu, stwierdzono tam, że rzeczony obywatel intensywnie wonieje spirytusem, w związku z czym jego zeznań nie przyjęto za dobrą monetę. Tymczasem staruszka, dowiedziawszy się od sąsiadów, że jej kota przymknęli, popędziła do komisariatu i zdążyła na czas. Wystawiła kotu jak najpochlebniejsze świadectwo, zeznała, że zna go od pięciu lat, od małego kociaka, że ręczy za niego jak za samą siebie, udowodniła, że nigdy jeszcze się nie zdarzyło, by przyłapano go na czymś zdrożnym, oraz że nigdy nie wyjeżdżał do Moskwy. W Armawirze się urodził, tu się wychował, tu się kształcił w łowach na myszy.

Kot został rozwiązany i zwrócony właścicielce, acz, co prawda, ciężko doświadczony przez los – przekonał się bowiem na własnej skórze, co to znaczy fałszywe posądzenie i oszczerstwo.

Oprócz kotów pewne drobne nieprzyjemności spotkały również tego i owego spośród ludzi. W Leningradzie zatrzymano do wyjaśnienia obywateli Wolmana i Wolpera, w Saratowie, w Kijowie i w Charkowie – trzech Wołodinów, w Kazaniu – Wołocha, a w Penzie – doprawdy zupełnie nie wiadomo dlaczego – adiunkta chemii Wietczynkiewicza. Co prawda był to

niezwykle smagły brunet olbrzymiego wzrostu.

Poza tym w różnych miejscowościach ujęto dziewięciu Korowinów, czterech Korowkinów i dwóch Karawajewów.

Z pociągu jadącego do Sewastopola pewnego obywatela wyprowadzono związanego na stacji Biełgorod. Obywatelowi owemu strzeliło do głowy, by zabawić współpasażerów pokazywaniem sztuczek z kartami.

W Jarosławiu, akurat w porze obiadowej, wszedł do restauracji obywatel, który trzymał w ręku odebrany właśnie z naprawy prymus. Dwóch portierów porzuciło na jego widok swoje posterunki w szatni i uciekło, a za nimi uciekli z restauracji wszyscy goście i kelnerzy. Przy tej okazji niezwykle zbiegiem okoliczności kasjerce zginął cały utarg.

Działo się jeszcze niejedno, ale nie można przecież wszystkiego zapamiętać.

Jeszcze raz – podkreślam to z naciskiem – należy oddać sprawiedliwość tym, którzy prowadzili śledztwo. Nie dość, że uczynili wszystko, co w ludzkiej mocy, by ująć przestępców, zrobili także wszystko, by racjonalnie wyjaśnić ich rozróbę. I wszystko zostało racjonalnie wyjaśnione, a wyjaśnienia te były niewątpliwie rzeczowe i nie do obalenia.

Prowadzący śledztwo oraz doświadczeni psychiatrzy ustalili, że członkowie zbrodniczego gangu, czy też być może jeden z nich (podejrzanie padało przede wszystkim na Korowiowa), byli hipnotyzerami o niespotykanej sile oddziaływania i potrafili ukazywać się nie w tym miejscu, w którym naprawdę się znajdowali, ale gdzie indziej, tam gdzie ich wcale nie było. Poza tym umieli bez trudu przekonać tych, którzy się z nimi stykali, że określone przedmioty i osoby znajdują się tam, gdzie w rzeczywistości wcale ich nie było, i na odwrót – usuwali z pola widzenia przedmioty lub osoby, które w rzeczywistości znajdowały się w polu widzenia danego człowieka.

W świetle tych wyjaśnień wszystko stawało się zupełnie zrozumiałe, nawet ten najbardziej niepokojący społeczeństwo fakt, że kota ostrzeliwanego w mieszkaniu numer pięćdziesiąt w czasie nieudanej próby aresztowania nie imają się kule.

Oczywiście nie było na żyrandolu żadnego kota, nikt nie odpowiedział ogniem na strzały, strzelano do czegoś, czego w ogóle nie było, a w tym czasie Korowiow, który zasugerował wszystkim, że kot rozrabia na żyrandolu, mógł się swobodnie poruszać, najpewniej znajdując się za plecami strzelających, mógł szydzić z nich i rozkoszować się swym ogromnym, aczkolwiek wykorzystywanym do celów przestępczych darem sugestii. Jasne, że to on podpalił mieszkanie rozlawszy benzynę.

Stiopa Lichodiejew nie latał, oczywiście, do żadnej Jałty (taki numer przekraczałby możliwości nawet Korowiowa) ani też nie wysyłał stamtąd depesz. Kiedy – przestraszony sztuczkami Korowiowa, który ukazał mu kota, trzymającego na widelcu marynowany grzyb – stracił przytomność w mieszkaniu wdowy po jubilerze, leżał tam, dopóki Korowiow, natrzęsając się zeń, nie wcisnął mu na głowę wołokowego kapelusza i nie wysłał go na moskiewskie lotnisko, uprzednio zasugerowawszy oczekującym tam na Stiopę przedstawicielom wydziału śledczego, że Stiopa wysiądzie z samolotu, który przyleciał z Sewastopola.

Co prawda jałtańska milicja utrzymywała, że gościła bosego Stiopę i że wysyłała do Moskwy depesze o nim, ale w aktach nie zdołano odnaleźć kopii żadnej z tych depesz, z czego wyciągnięto smutny, lecz absolutnie niepodważalny wniosek, że banda hipnotyzerów jest w stanie hipnotyzować ludzi na wielką odległość i to nie tylko pojedyncze osoby, ale nawet całe grupy.

W tych warunkach przestępcy mogli przyprawić o obłąd nawet ludzi o wyjątkowo odpornej konstytucji psychicznej. Cóż tu więc mówić o takich głupstwach jak talia kart, która nagle znajduje się na parterze w cudzej kieszeni, albo znikające damskie sukienki czy miauczący beret i inne rzeczy w tym guście! Takie numery potrafi odstawić każdy zawodowy hipnotyzer średniej klasy na byle estradzie, dotyczy to również prostego tricku z odrywaniem głowy konferansjerowi. Kot, który mówi, to też zupełny drobiazg. By zademonstrować widzom takiego kota, wystarczy opanować elementarne zasady brzuchomówstwa, a nikt chyba nie wątpi, że umiejętności Korowiowa w tej mierze sięgały znacznie dalej.

Nie, nie chodzi tu bynajmniej o talie kart ani o fałszywe listy w teczce Nikanora Bosego. To wszystko są głupstwa! To on, Korowiow, posłał Berlioza pod tramwaj na pewną śmierć. To on wpędził w obłąd biednego poetę Iwana Bezdomego, to on był sprawcą majaczeń Iwana, to on był winien temu, że Iwanowi w męczących snach jawiło się starożytne Jeruszałaim i trzech powieszonych na słupach na spalonej słońcem pustynnej Nagiej Górze. To Korowiow i jego gang byli sprawcami zniknięcia z Moskwy Małgorzaty i Nataszy, jej gosposi. Nawiasem mówiąc, tą sprawą organa śledcze zajmowały się ze szczególną pieczołowitością. Należało wyjaśnić, czy kobiety te zostały uprowadzone przez bandę morderców i podpalaczy, czy też dobrowolnie zbiegły wraz ze zbrodniarzami. Opierając się na mętnych i absurdalnych zeznaniach Mikołaja Iwanowicza, a także biorąc pod uwagę pozostawiony przez Małgorzatę dziwaczny, szalony list do męża, list, w którym pisze, że zostaje wiedźmą i odchodzi na zawsze, mając też na względzie

tę okoliczność, że Natasza zniknęła pozostawiając wszystkie swoje rzeczy osobiste, organa śledcze ostatecznie uznały, że zarówno pani domu, jak służąca zostały, podobnie jak tyle innych osób, zahipnotyzowane, po czym bezwolne ofiary uprowadziła banda. Powstała też bardzo prawdopodobna wersja, że zbrodniarzy znęcała uroda obu kobiet.

Nie wyjaśnioną jednak zagadką pozostały dla organów śledczych pobudki, którymi banda kierowała się uprowadzając z kliniki psychiatrycznej chorego umysłowo, mianującego się mistrzem. Pobudek tych nie udało się wykryć, podobnie jak nie udało się ustalić nazwiska uprowadzonego pacjenta. Chory ów zaginął więc na zawsze pod martwym kryptonimem – numer sto osiemnasty z pierwszego oddziału.

Tak więc prawie wszystko zostało wyjaśnione i śledztwo skończyło się, ponieważ wszystko na tym świecie ma swój koniec.

Minęło kilka lat i obywatele powoli zapominali o Wolandzie, Korowiowie i o całej reszcie. W życiu tych, którzy ucierpieli przez Wolanda i jego kumpli, zaszło wiele zmian i choć były to zmiany drobne i nieistotne, należy przecież o nich napomknąć.

Żorż Bengalski, na przykład, spędził w szpitalu trzy miesiące, po czym uznano go za wyleczonego i wypisano, ale musiał porzucić pracę w Varietes, chociaż był to najgorętszy okres i publiczność waliła drzwiami i oknami – żywe było jeszcze wspomnienie o czarnej magii i o tym, jak ją zdemaskowano. Bengalski porzucił Varietes, zdał sobie bowiem sprawę, że zbyt męczące będą dlań codzienne występy przed dwutysięcznym audytorium, które go zawsze rozpozna i w nieskończoność będzie zadawało szydercze pytania: – Jak mu się lepiej pracuje – z głową czy bez?

Tak, konferansjer utracił poza tym wiele ze swego humoru, tak niezbędnego przecież w jego zawodzie. Pozostał mu niemiły, przygnębiający ślad po tej przygodzie – każdej wiosny przy pełni księżyca ogarniał go niepokój, Bengalski znienacka chwycił się za kark, rozglądał się lękliwie i szlochał. Ataki te mijały, ale ponieważ je miewał, nie mógł już pracować w swoim dotychczasowym zawodzie. Konferansjer porzucił więc pracę i zaczął żyć z własnych oszczędności, które według jego skromnych obliczeń powinny mu być wystarczyć na lat piętnaście.

Odszedł więc i nigdy już się nie spotykał z Warionuchą, który zyskał sobie ogromną popularność i powszechną sympatię za uprzejmość i życzliwość dla ludzi, rzadko spotykaną nawet wśród administratorów teatralnych. Na przykład amatorzy wejściówek nie mówili o nim

inaczej niż: “Nasz ojczulek i dobrodziej”. Każdy, kto zadzwonił do Varietes, o dowolnej godzinie, słyszał w słuchawce łagodny acz smutny głos: “Słucham”, na prośbę zaś, by zawołać do telefonu Warionuchę, tenże głos odpowiadał spiesźnie: “Do usług, jestem przy aparacie!” Ale ileż to Iwan Sawieliewicz wycierpiał przez tę swoją uprzejmość! Stiopa Lichodiejew nie korzysta już z telefonów Varietes. Skoro tylko po ośmiu dniach pobytu opuścił klinikę, wysłano go do Rostowa, gdzie został mianowany kierownikiem wielkiego sklepu spożywczego. Podobno nie pije już portweinu, tylko wódkę, nalewkę na pączkach czarnych porzeczek, co mu wyszło na zdrowie. Mówią, że zrobił się teraz milczący i że unika kobiet.

Usunięcie Stiopy z Varietes nie sprawiło Rimskiemu takiej satysfakcji, jaka mu się marzyła od paru lat. Po wyjściu z kliniki, po powrocie z Kisłowodzka starszy dyrektor finansowy z trzęsącą się głową złożył podanie o zwolnienie go z pracy z Varietes. Ciekawe, że podanie przywiozła do Varietes żona Rimskiego. On sam nie znalazł w sobie dość siły, by choćby za dnia odwiedzić ów dom, w którym widział zalaną księżycową poświatą popękaną szybę w oknie i długą, sięgającą ku dolnej zasuwce rękę.

Zwolniwszy się z Varietes dyrektor finansowy objął posadę w teatrze lalek ma Zamoskworieczu. W teatrze tym już nie musiał wyklócać się o akustykę z wielce szanownym Arkadiuszem Siemplejarowem. Arkadiusz Apołłowicz został bowiem momentalnie przeniesiony do Briańska na stanowisko kierownika punktu skupu runa leśnego. Mieszkańcy Moskwy jedzą teraz solone rydzyki i marynowane prawdziwki, nie mogą się ich nachwalić i są rozentuzjasmowani tym, że Arkadiusz Apołłowicz zmienił posadę. Teraz można już powiedzieć, że nie radził on sobie z akustyką i choć wiele robił, by ją udoskonalić, nie poprawiła się ani na jotę.

Alojzy Mogarycz działa do dziś na stanowisku, którego zrzekł się Rimski, to znaczy na etacie dyrektora finansowego Varietes.

W dobę mniej więcej po wizycie u Wolanda, oprzytomniawszy w pociągu gdzieś pod Wiatką, Alojzy stwierdził, że wyjeżdżając w zaćmieniu umysłu z Moskwy zapomniał włożyć spodnie, ale za to – nie wiadomo dlaczego – ukradł zupełnie mu niepotrzebną księgę meldunkową przedsiębiorcy budowlanego. Za olbrzymie pieniądze Alojzy nabył od konduktora stare, zaplamione portki i z Wiatki zawrócił do Moskwy. Ale już, niestety, nie zastał domku przedsiębiorcy. Płomień strawił doszczętnie i domek, i stare rupiecie. Alojzy był jednak człowiekiem niezmiernie przedsiębiorczym. W dwa tygodnie później mieszkał już w pięknym

pokoju w zaułku Briusowa, a po kilku miesiącach zasiadał już w gabinecie Rimskiego. I tak jak przedtem Rimski cierpiał przez Stiopeę, tak teraz Warionucha cierpi przez Alojzego. Iwan Sawieliewicz marzy tylko o jednym – o tym, żeby tego Alojzego zabrano z Varietes dokądkolwiek, byle jak najdalej, ponieważ – jak Warionucha czasem mówi o tym szeptem w zaufanym towarzystwie – “takiego ścierwa jak ten Alojzy nie spotkał chyba jeszcze nigdy w życiu i że, zobaczycie, wszystkiego się po tym Alojzym można spodziewać”.

Być może zresztą, że administrator nie jest bezstronny. Nigdy nie zauważono, żeby Alojzy robił coś złego, nie zauważono zresztą, żeby w ogóle robił cokolwiek, jeśli, oczywiście, nie liczyć zaangażowania na miejsce bufetowego Sokowa kogoś innego. Andrzej Fokicz zmarł na raka wątroby w klinice Pierwszego Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego w dziesięć miesięcy po pobycie Wolanda w Moskwie...

Tak więc minęło lat kilka i wydarzenia zgodnie z prawdą opisane w tej książce zblakły, zatarty się w pamięci. Ale nie wszyscy o nich zapomnieli, nie wszyscy.

Co roku na wiosnę, skoro się tylko zacznie świąteczna pełnia księżyca, pod lipami na Patriarszych Prudach zjawia się przed wieczorem człowiek może trzydziestoletni, może nieco po trzydziestce. Rudawy, zielonooki, skromnie ubrany. Jest to pracownik Instytutu Historii i Filozofii, profesor Iwan Nikołajewicz Ponyriow.

Przyszedłszy pod lipy zasiada zawsze na tej samej ławeczce, na której siedział owego wieczora, kiedy to dawno już przez wszystkich zapomniany Berlioz po raz ostatni w swym życiu ujrzał rozpryskujący się na kawałki księżyc. Teraz księżyc nie uszkodzony, o zmierzchu biały, później złoty, płynie nad byłym poetą Iwanem Bezdomnym, a jednocześnie tkwi bez ruchu na wysokościach, a na powierzchni księżyca siedzi ni to koń, ni to smok.

Profesor Ponyriow wie o wszystkim, wszystko wie, wszystko rozumie. Wie, że za młodu padł ofiarą zbrodniczych hipnotyzerów, że potem leczył się i wyleczył. Ale wie również, że z pewnymi sprawami nie może sobie poradzić. Nie może sobie poradzić z tą wiosenną pełnią księżyca. Skoro tylko zbliży się jej czas, skoro tylko zacznie rosnać i wyłacać się ów satelita, który niegdyś wisiał wyżej niż dwa pięcioramienne świeczniki, Iwan staje się niespokojny, nerwowy, traci sen i apetyt, czeka, aż księżyc się wyokrągli. A kiedy nadchodzi pełnia, nikt nie jest w stanie zatrzymać go w domu. Pod wieczór wychodzi i idzie na Patriarsze Prudy.

Siedząc na ławce już otwarcie rozmawia sam ze sobą, pali, zmrużonymi oczyma przygląda się to księżycowi, to pamiętnemu kołowrotowi.

Spędza w ten sposób godzinę lub dwie. Potem wstaje i zawsze tą samą trasą, przez Spiridonówkę, idzie w zaułki Arbatu, a oczy ma puste, nie widzące.

Mija sklep z naftą, skręca tam, gdzie wisi przekrzywiona stara latarnia gazowa, i skrada się ku kracie, za którą widzi piękny, choć jeszcze nagi ogród, a w ogrodzie – zacienioną gotycką willę, pomalowaną księżycowym blaskiem od strony, na którą wychodzi weneckie okno w wykuszu wieży.

Profesor nie wie, co go ciągnie do owej kraty, ani kto mieszka w willi, ale wie, że daremnie by ze sobą walczył w czasie pełni księżyca. Wie także, że w ogrodzie za kratą nieodmiennie zobaczy zawsze to samo.

Zobaczy siedzącego na ławce starszego, solidnie wyglądającego mężczyznę z bródką, w binoklach, mężczyznę o nieco prosiakowatej twarzy. Profesor zastaje mieszkańca willi zawsze w tej samej marzycielskiej pozie, zapatrzonego w księżyc. Profesor wie, że siedzący, kiedy napatrzy się już na księżyc, z pewnością spojrzy w okno w wieżycze i będzie w nie patrzył, jak gdyby oczekując, że okno to zaraz się otworzy i coś niezwykłego ukaże się na parapecie.

Wszystko, co będzie potem, profesor zna na pamięć. Należy się wtedy niezwłocznie ukryć głębiej za ogrodzeniem, bo siedzący zacznie teraz niespokojnie kręcić głową, wypatrywać czegoś błędzącymi po powietrzu oczyma, uśmiechać się z zachwytem, potem nagle z tęskną błogością plaśnie w dłonie, a potem już całkiem zwyczajnie i to dość głośno zacznie mamrotać:

– Wenera! Wenera! Ech, jakież ze mnie głupiec!...

– O, bogowie, bogowie! – będzie szeptał profesor kryjąc się za kratą i nie spuszczać rozplamionych oczu z tajemniczego nieznajomego. – Oto jeszcze jedna ofiara księżyca... tak, jeszcze jedna; ofiara, zupełnie jak ja...

Siedzący zaś będzie przemawiał nadal:

– Ech, jakież ze mnie głupiec! Dlaczego, dlaczego nie odleciałem z nią? Czego się, stary osioł, przestraszyłem? Zaświadczenie wziąłem!... Ech, męcz się teraz, stary kretynie!...

I będzie to trwało dopóty, dopóki w ciemnej części willi nie stuknie okno, nie ukaże się w nim coś białawego, nie rozlegnie się nieprzyjemny kobiecy głos:

– Mikołaju, gdzie jesteś? Co to za fanaberie? Chcesz złapać malarię? Chodź na herbatę!

Wtedy siedzący ocknie się, oczywista, i kłamliwym głosem odpowie:

– Chciałem odetchnąć świeżym powietrzem, serdeńko! Wyjątkowo dobre dziś mamy powietrze!...

Wstanie z ławki, ukradkiem pogrozi pięścią zamykającemu się oknu na parterze i powlecze się do domu.

– Kłamie, kłamie! O, bogowie, jak on kłamie! – mruczy Iwan Nikołajewicz odchodząc od ogrodzenia. – To wcale nie powietrze wyciąga go do ogrodu – w czasie tej wiosennej pełni on coś widzi na księżycu i tu, wysoko, w ogrodzie!

Ach, dużo bym dał, żeby poznać jego tajemnicę, żeby wiedzieć, co to za Wenerę utracił, a teraz daremnie chwytając rękami powietrze usiłując ją odnaleźć?...

I profesor wraca do domu całkiem już chory. Jego żona udaje, że nie dostrzega, w jakim profesor jest stanie, goni go do łóżka. Ale sama się nie kładzie, siedzi z książką przy lampie, patrzy ze zgrzyotą na śpiącego. Wie, że o świcie mąż obudzi się z przeraźliwym krzykiem, że zacznie się rzucać na łóżku i płakać. Dlatego na obrusie przy lampie leży w spirytusie zawczasu przygotowana strzykawka i ampulka z płynem koloru mocnej herbacianej esencji.

Biedna kobieta, która związała się z ciężko chorym, może już teraz zasnąć bez obawy. Profesor po zastrzyku aż do rana będzie spał z uszczęśliwioną twarzą i choć żona nie wie, co będzie mu się śniło, będą to sny szczęśliwe i natchnione.

Budzi zaś uczonego w noc pełni księżycy zawsze to samo, zawsze to samo sprawia, że krzyczy żałośnie.

Śni mu się niesamowity beznosy oprawca, który podskakuje ze stęknieniem i przebija włócznią serce przywiązanego do słupa obłąkanego Gestasa. Ale oprawca nie jest tak straszny jak nienaturalne światło rozświetlające sen, światło wysyłane przez jakąś chmurę, która wre i zwala się na ziemię, jak to się zdarza tylko podczas ogólnoswiatowych kataklizmów.

Po zastrzyku wszystko się zmienia przed oczyma śpiącego. Od posłania do okna zalega szeroka droga z księżycowej poświaty, wstępuje na nią człowiek w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika i zaczyna iść w kierunku księżycy. Obok niego idzie jakiś młody człowiek w podartym chitonie, ze zmasakrowaną twarzą.

Idący z zapalem o czymś rozprawiają, spierają się, chcą się wreszcie porozumieć.

– O, bogowie, o, bogowie moi – mówi ów człowiek w płaszczu, zwracając wyniosłą twarz ku swemu towarzyszowi podróży. – Cóż za wulgarna kaźń! Ale powiedz mi, proszę – na twarzy nie ma już wyniosłości, jest raczej błaganie – przecież ta kaźń się nie odbyła? Błagam, powiedz mi – nie było jej, prawda?

– Oczywiście, że nie było – ochryplym głosem odpowiada mu współtowarzysz – to ci się

tylko przywidziało.

– Możesz przysiąc? – prosi przymilnie człowiek w płaszczu.

– Przysięgam ci! – mówi ten, który mu towarzyszy, i nie wiadomo dlaczego jego oczy uśmiechają się.

– To mi wystarczy! – zdartym głosem woła człowiek w płaszczu i pociągając za sobą swego towarzysza wspina się coraz wyżej, ku księżycowi. Podąża za nimi spokojny i majestatyczny olbrzymi pies o spiczastych uszach.

Wtedy księżycowy promień zaczyna wrzeć, chlusta zeń księżycowa rzeka, rozlewa się na wszystkie strony. Księżyc panoszy się, igra, księżyc tańczy i figluje. Wówczas ucieleśnia się w owym strumieniu kobieta niezwyklej piękności i za rękę prowadzi do Iwana obrośniętego człowieka, który lękliwie ogląda się za siebie. Iwan poznaje go od razu. To numer sto osiemnasty, jego nocny gość. Iwan we śnie wyciąga do niego ręce i chciwie pyta:

– A zatem tak to się skończyło?

– Tak to się skończyło, uczniu mój – odpowiada numer sto osiemnasty, kobieta zaś podchodzi do Iwana i mówi:

– Oczywiście, że tak. Wszystko się skończyło, wszystko się kiedyś kończy... Ucałuję cię w czoło i wszystko będzie tak, jak być powinno...

Pochyla się nad Iwanem i całuje go w czoło, a Iwan lgnie do niej i wpatruje się w jej oczy, ale ona cofa się, cofa i wraz ze swym towarzyszem odchodzi ku księżycowi...

Wówczas księżyc zaczyna szaleć, zwała potoki światła wprost na Iwana, rozbryzguje to światło na wszystkie strony, w pokoju wzbiera księżycowa powódź, blask faluje, wznosi się coraz to wyżej, zatapia łóżko. To właśnie wtedy Iwan ma we śnie taką szczęśliwą twarz.

Nazajutrz budzi się milczący, ale zupełnie spokojny i zdrow. Przygasa jego zmaltretowana pamięć i aż do następnej pełni nikt profesora nie niepokoi – ani beznosy morderca Gestasa, ani okrutny piąty procurator Judei, eques Romanus, Poncjusz Piłat.

Moskwa, 1928–1940